

VICTORIA
HOLT

**JEDWABNA
ZEMSTA**

Prószyński i S-ka



Victoria Holt

Jedwabna zemsta

The Silk Vendetta

Przełożyła Zofia Kierszys

Jedwabny Dom

W miarę jak dorastałam, coraz bardziej intrygowało mnie to, że mieszkam w Jedwabnym Domu. Czułam się niezupełnie u siebie, a przecież gorąco byłam do tego domu przywiązana.

Zadziwiał mnie, śnił mi się z tym wszystkim, co się tam działo, i z tymi wszystkimi, którzy w nim żyli w ciągu stuleci.

Oczywiście, ta siedziba nieco się zmieniła od dawnych czasów. Sallongerowie wprowadzali zmiany, odkąd kupił ją przodek sir Francisa ponad sto lat temu. Właśnie sir Francis wymyślił

nazwę Jedwabny Dom — wprawdzie uzasadnioną, ale bardzo niedorzeczną. Philip Sallonger, tak samo interesujący się tym domem jak ja, pokazał mi stare dokumenty, z których wynikało, że niegdyś był to Myśliwski Dom Króla. Którego króla? — zastanawiałam się. Może niegodziwy Rufus tędy przejeżdżał? Czy może sam Wilhelm Zdobywca? Normanowie kochali swoje puszcze i rozkoszowali się polowaniami. Chyba jednak próbowałam sięgnąć w przeszłość trochę za daleko.

Stał ten dom tak, jakby drzewa specjalnie się cofnęły, żeby mu zrobić dużo miejsca. Otaczały go ogrody, na pewno pozostałość z czasów Tudorów. Zwłaszcza jeden oddzielony murem. Były w nim klomby ziół ujęte w czerwone cegły i sadzawka pośrodku, i posąg Hermesa gotowego wzlecieć w przestworza.

Ale wokół rozciągała się puszcza, z okien na górze widziałam jej wspaniałe drzewa — dęby, buki i kasztanowce — śliczne wiosną, przepyszne latem, pełne chwały jesienią, gdy liście mieniły się różnobarwnie, zanim opadły i utworzyły dla nas dywan, po którym lubiliśmy hałaśliwie szurać nogami. Ale też piękne pozostawały te drzewa zimą, bezlistne, rysujące się dziwnie na tle szarego, często burzliwego nieba.

Dom, od początku duży, Sallongerowie jeszcze bardziej powiększyli. To była ich rezydencja wiejska. Mieli również dom w Londynie, gdzie sir Francis najczęściej przebywał wtedy, gdy nie jeździł po kraju, bo poza swoją centralą w Spitalfields prowadził tkalnię w Macclesfield i w innych częściach Anglii. Jego dziadek dostał tytuł szlachecki jako jeden z największych angielskich wytwórców tkanin jedwabnych, a więc człowiek zasłużony dla społeczeństwa.

Panie tego domu wołałyby nie mieć nic wspólnego z przemysłem, ale sir Francis stawiał

jedwab na pierwszym miejscu i żywił nadzieję, że synowie, Charles i Philip, będą tacy jak on, gdy czas nadejdzie, by się do niego przyłączyli w dalszym wytwarzaniu tego najpiękniejszego ze wszystkich materiałów. Ta właśnie namiętność z dziada pradziada do tkaniny, dzięki której ród się wzbogacił, sprawiła, że lekce sobie ważąc skojarzenia historyczne, umieszczono na starej bramie posiadłości wykuty z brązu napis: JEDWABNY DOM.

Ja żadnego innego domu rodzinnego nie znałam. Ale z czasem uświadomiłam sobie, że jestem w dziwnej sytuacji. Dlaczego dopiero z czasem? Dzieci chyba prawie wszystko uznają za przesądzone. Muszą. Nie mają pojęcia prawie o niczym poza tym, co je otacza.

Dorastałam w pokojach dzieciennych tego domu razem z Charlesem, Philipem, Julią i Cassandrą, którą zwykle nazywano Cassie. Nie przychodziło mi na myśl, że jestem jak kukułka w ich gnieździe. Sir Francis i lady Sallonger byli dla nich tatą i mamą, a dla mnie sir Francisem i lady Sallonger. Niania — władczyni absolutna dzieciennych rejonów — nieraz patrząc na mnie, sznurowała wargi, z których dobywało się cichutkie phi!, oznaczające dezaprobatę. I cała służba mówiła mi po prostu Lenore, podczas gdy do Julii i Cassie zwracała się per panienko.

Uwidaczniało się to również i w tym, że Amy, pomocnica niani, zawsze podawała posiłki mnie ostatniej. Zabawki miałam tylko te odrzucone przez Julię i Cassie, i jedynie na gwiazdkę dostawałam nową lalkę czy inny prezent przeznaczony specjalnie dla mnie. Panna Everton, guwernantka, czasami rzucała mi spojrzenie prawie pogardliwe i najwyraźniej czuła do mnie urazę o to, że uczę się szybciej niż Julia i Cassie. Miałam się w tym dopatrywać przestrogi.

Clarkson, kamerdyner, ignorował mnie, ale on ignorował wszystkie dzieci. Ten bardzo ważny jegomość sprawował rządy razem z panią Dillon, kucharką, i oboje byli arystokratami w suterenie dla służby, gdzie różnice klasowe zaznaczały się ostrzej niż na górze. Nikt ze swojej wnęki nie mógł się wychylać. Już Clarkson i pani Dillon dobrze czuwali, by przestrzegano protokołu tak ściśle, jak w moim wyobrażeniu na dworze królowej Wiktorii. Wszyscy mieli stałe miejsca przy kuchennym stole — Clarkson na jednym końcu, pani Dillon na drugim. Z prawej strony pani Dillon siedział lokaj Henry. Panna Logan, panna służąca lady Sallonger, jeśli jadła w kuchni, co zdarzało się nie zawsze, bo mogła zabierać posiłki do swojego pokoju, siedziała po prawej stronie Clarksona. Grace, pokojówka, siedziała obok Henry'ego, dalsze miejsca zajmowały młodsze służące, May i Jenny, oraz Amy, pomocnica niani, i Carrie, pomywaczka.

Gdy przyjeżdżał sir Francis, zasiadał też do tego stołu jego stangret Cobb, który mieszkał w Londynie we własnym domku przy stajni tamtejszej rezydencji Sallongerów. Tutaj kilku chłopców stajennych mieszkało nad stajniami dość obszernymi, żeby oprócz koni mieściły się w nich powozy: dwuosobowy i czterosobowy. I oczywiście kareta sir Francis'a, gdy przyjeżdżał do Jedwabnego Domu.

Tak było w suterenie, a na ziemi niczyjej, czyli gdzieś pomiędzy niższym i wyższym szczeblem drabiny społecznej, przebywała, jak gdyby unosząc się w otchłani, guwernantka, panna Everton, i często myślałam, że na pewno jest bardzo samotna. Posiłki przynosiła do jej pokoju zawsze niechętnie któraś ze służących. Niania oczywiście też jadła w swoim pokoju, sąsiadującym z pokojami dzieciennymi. Miała kuchenkę spirytusową, na której trochę gotowała, jeżeli nie smakowały jej potrawy przyniesione z kuchni. I chyba nieustannie palił się ogień w jej kominku z kratą opatrzoną w występ na czajnik do zaparzania niezliczonych filiżanek herbaty.

Często myślałam o panie Everton, zwłaszcza odkąd pojęłam, że jestem w podobnej sytuacji.

Chłopcy byli o kilka lat starsi od Julii, starszej ode mnie o rok. Wydawali się bardzo dorośli i dorośli. Philip, młodszy z nich, zwykle nie zwracał na nas, dziewczynki, uwagi, ale Charles nas tyranizował, ilekroć przyszła mu na to ochota. Julia lubiła stawiać na swoim; z natury porywczą, wpadała od czasu do czasu w niepohamowaną wściekłość. Często się z nią kłóciłam. Niania wtedy mawiała:

— No, panienko Julio, no, Lenore. Przestańcie. To mi działa na nerwy.

Niania dosyć chlubiła się swoimi nerwami. Zawsze należało je uwzględniać.

Cassief była inna. Najmłodsza. Słyszałam, jak się mówiło, że lady Sallonger „ciężko ją przeszła” i „już nie może mieć więcej”. Zrozumiałam, że to powód nieszczęścia Cassie.

Słyszałam też, jak służące patrząc na nią, szepczą o „instrumentach”. Tonacja tych szeptów przywodziła mi na myśl ramy do naciągania stawów i śruby do miażdżenia kciuków z czasów inkwizycji. Chodziło o to, że Cassie ma prawą nogę krótszą i kuleje. Nieduża, blada, była „delikatna”, jak ją określano, łagodna i miła, pomimo swego kalectwa wcale nie zgorzkniała.

Kochałyśmy się serdecznie. Razem czytałyśmy i szyłyśmy razem. Obie miałyśmy smykałkę do igły. Myślę, że ja tę biegłość zawdzięczam Grand'mère.

Grand'mère była dla mnie najważniejszą osobą w życiu — tylko do niej rzeczywiście należałam. We dwie żyłyśmy jakoś z daleka od reszty domowników. Grand'mère życzyła sobie, żebym jadała posiłki z dziećmi domu, chociaż wolałabym z nią, i żebym uczyła się z nimi jeździć konno, a już szczególnie, żebym z nimi pobierała wykształcenie. Grand'mère stanowiła część tajemnicy mojego pochodzenia. Moja własna babcia — nie ich.

Rezydowała w wielkim pokoju dobudowanym przez któregoś z Sallongerów na szczycie domu. Były tam wielkie okna i nawet dach ze szkła, przez który napływało światło. Potrzebowała światła. Miała w tym pokoju warsztat tkacki i maszynę do szycia i przez cały dzień pracowała.

Przy maszynie stały krawieckie manekiny jak postacie prawdziwych kobiet. Trzy zgrabne panie o różnych rozmiarach, często ubrane wykwintnie. Nazwałam je: tę najmniejszą Emmeline, średnią lady Ingleby, a największą księżną Malfi. Ze Spitalfields przywożono bele materiałów.

Grand'mère najpierw rysowała suknie, a potem zabierała się do krojenia i szycia. Nigdy nie zapomnę zapachu tych bel. Materiały miały dziwne egzotyczne nazwy, których się uczyłam.

Poza cienkimi jedwabiami, atłasem i brokatem, były mory, tafty, rypsy, welury... Nieraz jak zaczarowana siedziałam słuchając turkotu maszyny, patrząc, jak czarny kaptuszek Grand'mère opiera się na pedale.

— Podaj mi nożyczki, *ma petite* — mówiła Grand'mère. — Przynieś szpilki. Ach, co ja bym robiła bez mojej małej pomocnicy.

Sprawiała mi tym wielką przyjemność.

— Grand'mère, bardzo ciężko pracujesz — zauważyłam kiedyś.

— Jestem panią, która ma takie szczęście — powiedziała. Mówiła inaczej niż wszyscy: częściowo po angielsku, częściowo po francusku. W pokoju szkolnym mozolnie prowadziłyśmy specyficzną konwersację francuską, oznajmiając, że mamy pióro czy kota, czy psa, i pytając o drogę do urzę —

du pocztowego. Julia i Cassie musiały się trudzić o wiele bardziej niż ja. Tak często bywałam u Grand'mère, że francuskie słówka wymawiałam gładko i akcent miałam inny niż panna Everton, której to się nie podobało.

Grand'mère ciągnęła:

— Mieszkam w tym pięknym domu z moją malutką. Ja jestem szczęśliwa, ona jest szczęśliwa.

Ona wyrasta na utalentowaną damę. Och, tak, naprawdę tutaj zdobędziesz wszystko, co ci pomoże radzić sobie w świecie. Życie tutaj to dobre życie, *mon amour*.

Tak ciepło mówiła *mon amour*. Przypominała mi tym, że kocha mnie całym sercem — jak nikt na świecie.

Nigdy nie przyłączała się do domowników. Tylko wtedy, gdy szła dla rodziny, schodziła na dół do salonu, żeby zobaczyć się z lady Sallonger, której słabe zdrowie nie pozwalało pójść po schodach na najwyższe piętro do miary.

Co dzień po południu Grand'mère spacerowała w ogrodzie. Przychodziłam tam do niej, siadałyśmy nad sadzawką i rozmawiałyśmy. Zawsze miałam o czym rozmawiać z Grand'mère.

Mówiła o jedwabiach, o sposobach ich tkania i o tym, co najlepiej z nich uszyć. Zadaniem Grand'mère w Jedwabnym Domu było projektowanie sukien i innych kreacji w sposób najpełniej eksponujący piękno tkaniny. Bele materiałów przywożono do Epping Forest z odległego o szesnaście mil Spitalfields czymś w rodzaju platformy kolejowej, ciągniętym przez dwa konie, i wnoszono na najwyższe piętro domu. Natychmiast przybiegałam, żeby je oglądać z Grand'mère.

Ją ogarniało upojenie. Łatwo ulegała emocjom. Trzymała jedwab przy policzku i wzdychała.

Drapowała go na mnie, zachwycona, klaskała w ręce. Jej bystre piwne oczy jaśniały entuzjazmem. Zawsze niecierpliwie czekałyśmy na przywiezienie bel.

Grand'mère była w tym gospodarstwie domowym osobistością. Ustanawiała swoje reguły.

Przypuszczałam, że mogłaby jadać z rodziną, gdyby chciała. Ale na swój sposób, podobnie jak Clarkson i pani Dillon, przejawiała skłonności autokratyczne. Posiłki jadała u siebie na górze, przy czym służące podając jej, nie śmiały okazać najlżejszej bodaj niechęci, bo miała w sobie wielką godność i autorytet. Och tak, była osobistością. Przyjmowała usługi inaczej niż panna Everton, która uważała, że musi zapewnić sobie należyty szacunek. Grand'mère po prostu zachowywała się tak, jakby jej wyższość nie wymagała podkreślenia, sama przez się dla wszystkich zrozumiała.

Gdy zaczęło mi do świadomości docierać, że jednak coś mnie oddziela od dzieci tego domu, z wielką ulgą pamiętałam, że jestem wnuczką Grand'mère. Sir Francis, ilekroć przyjeżdżał, co zresztą zdarzało się rzadko, składał Grand'mère wizytę. Rozmawiał z nią o jedwabiach, oczywiście, omawiając wszelkie związane z jedwabiem sprawy.

Właśnie dlatego domownicy okazywali jej niejaką cześć. Pokoje na najwyższym piętrze były nasze

— wszystkie cztery: wielka widna pracownia, salonik i dwie połączone ze sobą drzwiami małe sypialnie o wąskich jak szczeliny oknach. Mniejsze pokoje stanowiły część starego domu, pracownię dobudował któryś z Sallongerów.

— To są nasze włości — mówiła Grand'mère. — Tutaj jesteśmy w naszym małym królestwie, twoim i moim... Królowie w naszym małym zamczysku... Czy może raczej królowe, hę?

Niedużego wzrostu, miała bujne włosy, kiedyś czarne, teraz z białymi pasmami. Upinała je wysoko i zdobiła migotliwym hiszpańskim grzebieniem. Była ze swoich włosów dumna.

— Włosy zawsze muszą być... *elegant* — mówiła. — Nawet najpiękniejszy atlas, jedwabie najświetniejsze pod słońcem nie przydadzą szyku, jeżeli włosy nie uczesane.

Jej ogromne oczy iskrzyły się uciechą albo pały oburzeniem, albo lśniły jak lód, pełne zimnej pogardy, albo jaśniały miłością. Zdradzały każdy jej nastrój. Była piękna, oczywiście, mając takie oczy i włosy. I smukłe długie palce, które zawsze będę pamiętać — ruchliwe, zręczne, gdy kroїła materiały na dużym stole w pracowni. Była chucherkiem, aż lękałam się czasami, że uleci. Powiedziałam jej to.

— I co ja bym wtedy zrobiła? — dodałam.

Zwykle śmiała się z moich fantazji, ale tym jej nie rozśmieszyłam. Odrzekła bardzo poważnie.

— Będzie ci dobrze... zawsze... tak jak mnie. Ja zawsze stałam na tych dwóch nogach... od wczesnej młodości. Dlatego, że coś potrafię. To właśnie jest konieczne. Coś... wszystko jedno co... lepiej robić niż inni. Wtedy zawsze ma się swoje miejsce na świecie. Widzisz, tworzę z beli materiału dzieło sztuki nożyczkami i maszyną do szycia. Ale nie tylko nimi. Byle kto może nawlekać igłę... byle kto może kroić... kroić... kroić. Och, nie. Dochodzi jeszcze taki drobiazg jak natchnienie... odrobinka talentu w rzemiośle. Dopiero to się liczy. Z tym zawsze ma się miejsce na świecie. Ty, *ma petite*, pójdiesz w moje ślady. Ja cię wprowadzę na tę drogę. Więc potem... cokolwiek się stanie... nie bój się. Zawsze będę czuwać nad tobą.

Wiedziałam, że tak będzie.

* * *

Nie było mi trudno uczyć się od niej. Gdy przywożono materiały, rysowała modele i pytała mnie o zdanie. Jeśli sama coś naszkicowałam, cieszyła się bardzo. Pokazywała mi ustերki, dorzucała kilka śmiałych kresek. Jeden taki projekt ostatecznie został wykorzystany. Nazwała go

„suknią Lenore”. Pamiętam tę suknię uszytą ze ślicznego jedwabiu w kolorze lawendy. Później mi powiedziała, że sir Francis pochwalił mój model. Suknia i jedwab wprost dla siebie stworzone.

Modele, które już sir Francis i kilku jego dyrektorów obejrżeli, pakowano i zabierano, po czym przywożono następne bele. Kreacje Grand'mère sprzedawał i lansował ekskluzywny dom mody w Londynie. To była jeszcze jedna kolonia jedwabnego imperium Sallongerów.

Żywo pamiętam pewne popołudnie, gdy Grand'mère powiedziała mi, jak się to stało, że zamieszkałyśmy w Jedwabnym Domu.

Przyszłam do niej zakłopotana. Przedtem jeździłam z Julią i Cassie konno, bo lekcje konnej jazdy miałyśmy codziennie. Udzielał ich nam jeden ze stajennych. Zaczęłyśmy od jazdy na padoku, później były skoki.

Julia jeździła dobrze. Ja też nieźle. Cassie nie mogła nam dorównać. Myślę, że raczej bała się koni, chociaż dostała wierzchowca najłagodniejszego ze wszystkich. Uważałam na nią, gdy jeździłyśmy kłusem czy galopem, i to ją chyba uspokajało.

Tamtego dnia po lekcji Julia powiedziała.

— Pachnie mi z kuchni coś dobrego.

Więc poszłyśmy do kuchni.

— Macie błoto na butach? — zapytała pani Dillon.

— Nie mamy, nie mamy — zapewniła Julia.

— No, to mnie cieszy, panienko Julio, bo ja nie chcę w mojej kuchni błota.

— Te ciastka smacznie pachną — powiedziała Julia.

— Jeszcze by nie! Przecież są smaczne.

Usiadłyśmy przy kuchennym stole i patrzyłyśmy na panią Dillon błagalnie, a na tacę ciastek świeżo wyjętych z pieca niemal wielbiąco.

— Więc dobrze — powiedziała niechętnie pani Dillon. — Chociaż pannie Everton to by się nie podobało. Niani także nie... jedzenie między posiłkami, słyszał to kto! Powinnyście poczekać do podwieczorku.

— Tyle godzin? — jęknęła Julia. — Ja zjem to największe ciastko.

— Panna łakomczucha — powiedziała pani Dillon.

— Komplement dla pani — zwróciłam jej uwagę.

— Nie trzeba mi żadnych komplementów, dziękuję ci, Lenore. I bez tego wiem, jakie są moje ciastka. Proszę. Jedno dla ciebie, panienko Julio. Jedno dla ciebie, panienko Cassie. I jedno dla ciebie, Lenore.

Wtedy mnie to uderzyło. Panienska Julia, panienska Cassie i... Lenore.

Dumałam nad tym przez jakiś czas, a potem siedząc z Grand'mère w ogrodzie, zapytałam ją, dlaczego

zamiast mówić mi „panienko”, wszyscy zwracają się do mnie po imieniu jak do Grace czy May, czy do innej ze służących.

Po chwili milczenia Grand'mère odrzekła.

— Służba tutaj jest... jak by to powiedzieć... świadoma. Właśnie. Bardzo świadoma prawideł... Każdemu wedle jego stanu. Ty jesteś moją wnuczką. To inna pozycja niż być córką sir Francisa i lady Sallonger. Dlatego takie osoby jak pani Dillon powiedzą: och, jej się nie należy „panienko”.

— To znaczy, że jestem tego samego stanu, co May czy Grace?

Grand'mère ściągnęła usta, podniosła rękę i zakołysała się z boku na bok. Rozmawiając często poruszała rękami i ramionami bardzo wymownie.

— Nie będą nas martwić obyczaje takich osób jak pani Dillon. Uśmiechnij się. Powiedz sobie: ach to tak? Doskonale. Czy dla mnie ważne, że nie mówią mi „panienko”? Bo cóż to jest panienka? Po prostu to nic nie jest. Obejdzie się bez panienkowania.

— Tak, Grand'mère, ale dlaczego?

— Proste. Nie jesteś córką domu, więc dla pani Dillon nie możesz być „panienką”.

— Ale dziewczynkom Dallington, kiedy przyjechały do nas na podwieczorek, mówiła

„panienko”, a one to nie córki Jedwabnego Domu. Czy my tu jesteśmy służącymi, Grand'mère?

— Służymy... jeżeli to znaczy być służącą. Możliwe. Ale jesteśmy tu razem... ty i ja... żyje nam się dobrze. Mamy spokój. Więc po co się przejmować takimi błahostkami.

— Ja tylko chcę wiedzieć, Grand'mère. Skąd wzięłyśmy się tutaj?

Wahała się przez chwilę, a potem wyraźnie podjęła decyzję.

— Przyjechałyśmy, kiedy miałaś osiem miesięcy. Uroczym byłaś niemowlakiem. Chodziło mi o twoje dobro. Tu będziemy razem, Grand'mère i jej malutka, tu możemy być szczęśliwe. I obiecał, że da ci wykształcenie, wychowanie jak swoim córkom. Tylko nie było mowy o

„panience”. I dlatego nie jesteś panienką. Ale komu na tym zależy? Tobie na pewno nie. No, *ma petite*, w życiu są ważniejsze rzeczy niż takie słówko.

— Opowiedz, jak przyjechałyśmy tutaj. Dlaczego ja nie mam ojca... ani matki?

Westchnęła.

— To musiało nadejść — powiedziała jak gdyby do siebie. — Twoja mama była najmiłą, najpiękniejszą dziewczyną pod słońcem. Miała na imię Marie Louise. Była moim dzieckiem, moją malutką *mon amour*. Mieszkałyśmy w wiosce Villers-Mûre. Tam było ślicznie. Słońce często

świeciło i było ciepło. Budzisz się, patrzysz: słońce, i wiesz na pewno, że będzie świecić przez cały dzień. Nie tak jak tu... tu słońce ledwie wyrzy, zaraz się chowa, takie niezdecydowane.

— Chcesz teraz być w Villers–Mûre?

Potrząsnęła gwałtownie głową.

— Chcę być tutaj. Tutaj jest moje miejsce... i twoje, *ma petite*. Tu będziesz szczęśliwa i kiedyś przestanie cię obchodzić, czy mówią ci „panienko”, czy nie.

— Już przestało. Tylko chciałam wiedzieć.

— Villers–Mûre jest daleko stąd. Jest na drugim końcu Francji, a wiesz, prawda?... bo zacna panna Everton przecież cię tego uczyła... że Francja to duży kraj, większy niż ta mała wyspa. Są tam góry i miasteczka, i wsie... i tuż za granicą są Włochy. Morwy dobrze tam rosną, a to oznacza jedwab. Te robaczki, które przędą dla nas jedwab, kochają liście morw, więc jedwab jest tam, gdzie morwy rosną dobrze.

— Zawsze znałaś się na jedwabiu, Grand'mère?

— Villers–Mûre to siedziba jedwabników... utrzymuje się z tego. Bez jedwabiu nie byłoby Villers–Mûre. Rodzina St Allengère zawsze tam mieszkała i, oby Bóg pozwolił, będzie mieszkać zawsze. Opowiem ci o nich. Mają piękny dom. Podobny do tego tutaj... tylko że nie ma puszczy... są góry. Wspaniały ich dom... gniazdo rodu St Allengère od stuleci. Trawniki, kwiaty, drzewa, rzeka tamtędy płynie, wszędzie wokoło domki, w których mieszkają pracownicy ze swoimi rodzinami. I jest ta duża manufaktura. Piękna, ściany białe, całe w kolorowe plamy, bo oleandry i bugenwille też rosną tam dobrze. Są *mureraies*... gaje morwowe i w nich najlepsze jedwabniki na świecie. I krosna tam najświetniejsze... lepsze niż w Indiach i Chinach... a to chyba dwie ojczyzny jedwabiu. Niektóre z najbardziej znakomitych tkanin jedwabnych pochodzą z Villers–Mûre.

— Mieszkałaś tam, Grand'mère, i pracowałaś u tych St Allengère'ów?

Przytaknęła.

— Mieliśmy ładny domek... najładniejszy ze wszystkich. Kwiaty pięły się po ścianach. Ładny domek... i moja córka Marie Louise była bardzo szczęśliwa. Dziewczyna stworzona do szczęścia. Znajdowała śmiech wszędzie. Była pięknością. Ty masz jej oczy, tańczące, śmiejące się. Ale jej oczy nigdy nie były tak chmurne jak twoje, *ma petite*, nieraz bywają. Szafirowe oczy, włosy prawie czarne, ciemniejsze niż twoje, miękkie, rozfalowane. Ona była pięknością. I w niczym nie widziała żadnego zła. Nieświadoma. I umarła.

— Jak umarła?

— Przy twoim urodzeniu. To się zdarza. Nie powinna była umrzeć. Ja bym się nią opiekowała tak, jak opiekuję się tobą. Postarałabym się, żeby miała w życiu dużo radości. Umarła... ale zostawiła mi ciebie... i to mnie uszczęśliwia.

— A mój ojciec? — zapytałam.

Milczała długo.

— Czasami — powiedziała — tak się dzieje. Zrozumiesz to kiedyś później. Czasami dzieci się rodzą, a ojciec... gdzie jest?

— To znaczy... on ją opuścił?

Ujęła mnie za rękę i pocałowała.

— Była piękną — powtórzyła. — Ale cokolwiek się stało, zostawiła mi ciebie, *mon enfant*, a to jest najwspanialszy dar. Zamiast niej mam jej dziecko. Jesteś moją jedyną radością.

— O, Grand'mère — powiedziałam. — To bardzo smutne.

— Było lato — powiedziała Grand'mère. — Za długo ona zwlekała po łąkach, a kwiaty pachniały. Taka niewinna. Może powinnam była ją przestrzec.

— I została sama, porzucona przez mojego ojca.

— Tego nie powiem. Ja się nią zajmowałam. O tym, że masz się urodzić, nie wiedziałam prawie do ostatniej chwili. Stało się... umarła. Pamiętam, jak siedziałam przy jej łóżku w takim bezbrzeżnym osamotnieniu i nagle położna podeszła, włożyła mi w objęcia ciebie. Ocaliłaś mnie.

Bo zrozumiałam, że chociaż straciłam córkę, zostało dla mnie jej dziecko. Od tamtej chwili życie moje to ty.

— Chciałabym wiedzieć, kim był mój ojciec.

Potrząsnęła głową i uniosła ramiona.

— Więc potem przyjechałaś tutaj? — podsunęłam, żeby mówiła dalej.

— Tak — odrzekła — przyjechałam tutaj. To wydawało się najlepsze. Zawsze bywa trudno, kiedy takie rzeczy się zdarzają w małej, społeczności. Wiesz, jacy są Clarkson i pani Dillon.

Szepczą po kątach... gadają. Nie chciałam, żebyś rosła wśród szeptów.

— To znaczy, ludzie tam by mną pogardzali, bo moi rodzice nie mieli ślubu?

Przytaknęła.

— St Allengère'owie to bogata rodzina... i potężna. Villers-Mûre to właściwie oni. Cała wieś pracuje u nich. Głośne jest ich nazwisko w jedwabnictwie we Francji i we Włoszech. I ceniony jest monsieur St Allengère, wielki człowiek na czele... ojciec całego Villers-Mûre. Rodziny je

— dwabnicze na świecie mają ze sobą... jak by to powiedzieć... kontakt. Wszystkie się znają.

Porównują się, współzawodniczą: „Mój jedwab lepszy od twojego”. Wiesz, takie sprawy.

— Tak. — Myślałam jeszcze o mojej matce i o mężczyźnie, który jej się sprzeniewierzył, i o zgorzeniu, jakie musiało być w Villers-Mûre.

— Sir Francis... składał tam wizyty od czasu do czasu. Te rodziny się przyjaźnią... tylko czy to jest przyjaźń? Jedni i drudzy chcą robić lepszy jedwab. Zachowują swoje sekrety... jeśli cokolwiek wyjawiają, to odrobinę, nie więcej... nic istotnego.

— Rozumiem, Grand'mère, ale ja chcę słuchać o mojej mamie.

— Ona jest na pewno szczęśliwa, kiedy patrzy z nieba i widzi nas razem. Na pewno wie, że jesteśmy sobie oddane. No, sir Francis przyjechał wtedy do Villers-Mûre. Łączy ich pokrewieństwo. Podobno przed wielu, wielu laty wywodzili się z jednego pnia. Posłuchaj, jak brzmią te nazwiska: St Allengère... po angielsku to staje się Sallonger.

— Ależ tak! — wykrzyknęłam podniecona. — Więc ta rodzina tutaj ma rodzinę tam we Francji?

Ramiona Grand'mère znów się uniosły.

— Z pewnością słyszałaś od panny Everton o tak zwanym Edykcie Nantejskim.

— Och, słyszałam! — wykrzyknęłam. — Podpisał go król Francji, Henryk IV, w roku..., hm... zdaje się, to był rok 1598.

— Dobrze, dobrze, ale co ten edykt sprawił? Dał hugenotom wolność wyznawania wiary, tak jak chcieli.

— Umiem to. Ten król był hugenotem, a paryżanie nie zgadzali się na króla protestanta, więc on powiedział, że Paryż jest wart mszy, i stał się katolikiem.

Grand'mère uśmiechnęła się bardzo zadowolona.

— To się nazywa edukacja! No, ale odtąd wszystko uległo zmianie.

— Też to przerabiałam. W wiele lat później było unieważnienie i podpisał je Ludwik XIV.

— Tak, i wówczas wiele tysięcy hugenotów wyjechało z Francji. Jedna gałąź rodu St Allengère osiedliła się w Anglii. I to właśnie ci St Allengère'owie założyli w różnych miejscowościach manufakturę jedwabiu. Przywieźli swoją wiedzę tkacką. Pracowali ciężko i powiodło im się.

— To ogromnie ciekawe! Więc sir Francis odwiedza swoich krewnych we Francji?

— Bardzo rzadko. O tym pokrewieństwie raczej się nie pamięta. Pomiedzy Sallongerami w Anglii i St Allengère'ami we Francji jest wciąż współzawodnictwo. Kiedy sir Francis tam przyjeżdża,

pokazują mi coś niecoś... nie za dużo, i starają się dowiedzieć, jakie on ma osiągnięcia. Współzawodnictwo. Zwykła rzecz w interesach.

— Widywałaś tam sir Francisa? Grand'mère przytaknęła.

— Pracowałam tam, jak pracuję tutaj. Miałam krosna, znałam sporo sekretów... i nigdy ich nie zdradzę. Byłam zdolną tkaczką. Wszyscy w Villers-Mure mieli do czynienia z jedwabiami...

więc i ja.

— A moja mama?

— Ona też. Monsieur St Allengère wezwał mnie i zapytał, czy chciałabym wyjechać do Anglii. W pierwszej chwili nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Własnym uszom nie wierzyłam, ale potem zrozumiałam, że tak będzie dobrze. Najlepiej dla ciebie, a co dobre dla ciebie, musiało być dobre dla mnie. Więc przyjął propozycję, to znaczy, zgodziłam się przyjechać tutaj...

zamieszkać w tym domu... tkąć, jeżeli będzie potrzebna jakaś specjalna tkanina... i projektować modele tak, żeby pomagały sprzedawać nasz jedwab.

— To znaczy, sir Francis zaproponował, żebyśmy stale mieszkali u niego?

— Uzgodnili to ze sobą: on i monsieur St Allengère. I tylko ode mnie zależało, czy zechcę zabrać swoje krosna i swoją maszynę do szycia, zamieszkać tutaj i wykonywać taką samą pracę dla sir Francisa, jaką wykonywałam we Francji.

— I zostawiłaś własny dom... żeby przenieść się tak daleko do obcego kraju?

— Dom jest wszędzie, gdzie się ma tych, których się kocha. Ja miałam moje maleństwo. Z

tobą zawsze by mi było swojsko. Tutaj dobrze żyjemy. Ty się uczysz z córkami domu i myślę, że idzie ci to znakomicie. Panienska Julia pewnie zazdrosna, boś bystrzejsza od niej. A panienkę Cassie kochasz, prawda? Cassie jest dla ciebie jak siostra. Sir Francis to zacny człowiek.

Dotrzymuje słowa, A lady Sallonger... wymagająca, owszem... ale nie okrutna. Dostajemy dużo, musimy trochę dawać w zamian. Nigdy nie przestaję dziękować Panu Bogu, że znalazł dla mnie wyjście.

Rzuciłam się jej na szyję, przytuliłam się do niej.

— Wszystko nieważne, prawda? — powiedziałam — skoro jesteśmy razem.

Tak to dowiedziałam się czegoś z moich dziejów. Czułam jednak, że do dowiedzenia się jest o wiele więcej.

* * *

Grand'mère miała rację. Życie było przyjemne. Przestało mnie obchodzić, jak mnie kto traktuje. Nie jestem im równa. W porządku. Wszyscy odnoszą się do nas życzliwie. Pozwolili nam przyjechać z tej małej miejscowości, gdzie ludzie wiedzieli, że moja matka urodziła mnie, nie będąc zamężną. Orientowałam się, jakie to piętno. Kilka dziewczyn w okolicy musiało stawiać temu czoło ze swoim, jak to nazywano, „kłopotem”. Jedna z nich ostatecznie wyszła za tak zwanego „sprawcę” i miała teraz sześcioro dzieci, ale tamtego jej nie zapomniano.

Dosyć często zastanawiałam się nad moim ojcem. Czasami uważałam, że to raczej romantyczne nie wiedzieć, czym się jest dzieckiem. Można wtedy myśleć, że ów nieznany ojciec jest kimś bardziej interesującym i piękniejszym niż prawdziwi ludzie. Kiedyś — mówiłam sobie

— wyruszę na poszukiwanie i znajdę go. To dało początek marzeniom. Od tamtej rozmowy z Grand'mère przybywało mi coraz więcej wymyślonych ojców. Naturalnie nie mogę się spodziewać, że kiedykolwiek będę dla wszystkich panienką jak Julia czy Cassie, ale jakież nudne jest ich życie w porównaniu z moim. One się nie urodziły najpiękniejszej dziewczynie pod słońcem, ich ojciec nie jest nieznany, tajemniczy i wspianiały.

Zdawałam sobie sprawę, że jesteśmy poniekąd służącymi w tym domu. Grand'mère ma wyższą pozycję — może na równi z Clarksonem czy przynajmniej z panią Dillon — bardzo ceniona z powodu swoich umiejętności, ale i tak służy. No, a mnie tu trzymają ze względu na nią.

Więc... godziłam się z losem.

Lady Sallonger rzeczywiście była wymagająca. Ode mnie wymagała usług jak od jeszcze jednej pokojówki. Za młodu musiała być piękna i ślady tej urody pozostały. Co dzień leżała na kanapie w sypialni, od rana strojna w negliże ze wstążkami, i przez całe godziny panna Logan czesała ją i pomagała jej się ubrać. Potem Clarkson służąc jej ramieniem, powoli prowadził ją do salonu, a Henry niósł jej torbę z robótką, gotów w razie potrzeby udzielać pomocy. Często wzywała mnie, żebym jej czytała. Wyraźnie lubiła nie dawać mi wytchnienia. Zawsze delikatna, mówiła głosem zmęczonym, tonem jak gdyby pretensji do losu, który niełaskaw przy urodzeniu Cassie, uczynił z niej inwalidkę.

Mówiła:

— Lenore, przynieś mi poduszkę. Och, tak już lepiej. Usiądź tu, dziecko, dobrze? Proszę, nakryj mi pledem stopy. Marzną. Zadzwoń, żeby ktoś przyszedł, dołożył węgla do ognia. Podaj mi mój haft. Ojej, myślę, że ten ścieg nie jest ładny. Wypruj go. Może ty to uratujesz. Nie cierpię drugi raz robić tego samego. Ale haftować będziesz później. Teraz poczytaj.

Wydawało mi się, że czytam jej i czytam bez końca. Często zapadała w drzemkę. Myśląc, że śpi, przerywałam czytanie, ale natychmiast karciła mnie i kazała czytać dalej. Podobały jej się powieści pani Henry Wood. Jedną po drugiej jej czytałam. Twierdziła, że mam głos bardziej kojący niż panna Logan.

Teraz przez cały czas, gdy pełniłam te obowiązki, pamiętałam, jak wiele zawdzięczamy państwu Sallonger, którzy przyjęli nas pod swój dach, żebyśmy nie musiały dźwigać hańby mojej matki. To

było doprawdy coś z książek pani Wood, więc naturalnie zachwycona widziałam siebie w samym sercu takiego dramatu.

Może świadomość własnej niedoli przydaje nam współczucia dla bliźnich. W Cassie zawsze miałam przyjaciółkę. Z Julią, zbyt wyniosłą, zbyt protekcyjną, nie mogłam się przyjaźnić naprawdę. Cassie była inna. Szukała u mnie pomocy, co, zważywszy mój charakter, bardzo mi odpowiadało. Pragnęłam mieć autorytet. Lubiłam opiekować się słabszymi. Jakoś wiedziałam, że to niezupełnie altruizm. Lubiłam czuć się ważna. Więc pomagałam Cassie odrabiać lekcje. Na spacerach zrównywałam z nią krok za Julią i panną Everton idącymi zbyt szybko. Gdy jeździłyśmy konno, wciąż uważałam na nią. Odplącała mi niemym uwielbieniem, które sprawiało mi wielką satysfakcję.

Domownicy przyjmowali to, że opiekuję się Cassie, nie inaczej niż zrozumiałe dla nich samo przez się usługiwanie lady Sallonger.

Jeszcze ktoś budził we mnie współczucie — Willie. Pani Dillon nazywała go „reszką po Minnie Wardle”. Ze wszech miar Minnie była „wietrznicą”, „wiadomo, że ladaco”, „no i doigrała się, kiedy spadła na nią taka siurpryza”. Właśnie ową siurpryzą był Willie.

Ten dzieciak przyszedł na świat w wyniku przyjaźni Minnie Wardle z handlarzem koni, który kręcił się po okolicy, i gdy ona zaszła w ciążę, zniknął. Minnie myślała, że potrafi wybrnąć z takiej sytuacji. Odwiedziła pewną mądrą staruszkę w jej szalasię w puszczy odległym może milę od Jedwabnego Domu. Tylko że tym razem bez skutku. Willie się urodził i — znów cytując panią Dillon — czegoś mu nie dostawało”. Lady Sallonger nie chciała Minnie wyrzucić, pozwoliła dziewczynie zostać, mieć Willie’ego przy sobie. Ale zanim dziecko ukończyło rok, handlarz koni wrócił, po czym zniknął już nie sam, bo zniknęła również Minnie, przerzucając brzemień swego grzechu na cudze barki. Dziecko dostała na wychowanie pani Carter, żona najstarszego stajennego. Pani Carter od dłuższego czasu usiłowała mieć dzieci, ale nie mogła, więc wzięła Willie’ego chętnie. Ledwie jednak się nim zajęła, została pobłogosławiona własnym potomstwem i po kilku latach mając sześcioro swoich, nie bardzo się tym przybranym interesowała — zwłaszcza że było mu „brak piątej kleпки”.

Biedny Willie nie należał właściwie do nikogo; nikt się o niego nie troszczył. Przypuszczałam, że nie jest taki głupi, jak się wydaje. Nie umiał czytać ani pisać, ale przecież nie on jeden. Miał

kundla, który chodził za nim krok w krok i o którym pani Dillon mówiła „zatracony pies”.

Cieszyłam się, że Willie ma coś, co go kocha i może być kochane. Chyba stał się jakiś bardziej rozgarnięty, odkąd przyswoił sobie tego kundelka. Lubił przesiadywać ze swoim psem nad jeziorem w puszczy niedaleko Jedwabnego Domu. Za porębą wśród drzew ukazywało się to jezioro niespodziewanie — raptem wielka woda. Dzieci łowiły tam ryby, uganiały się ze szklanymi słoikami, piszczały z uciechy, gdy znajdowały kijanki. Gałęzie wierzb zwisały, wlokły się po wodzie, tojeść z kwieciami jak złociste gwiazdki rosła przy kwiatkach zwanych przez nas

„czapeczki” i wszechobecnym czyścicu polnym. Nigdy nie przestawałam zdumiewać się cudami puszczy. Kryła w sobie tyle niespodzianek. Jadąc konno przez gęstwinę, ni stąd, ni zowąd mogło się z daleka zobaczyć skupisko domów, wioskę, wiejskie błonia. Swego czasu najwidoczniej ścięto drzewa, żeby tam zbudować te siedziby, tak jednak dawno, że nikt nie pamiętał, kiedy.

Z biegiem lat puszcza się zmieniała, ale tylko trochę. W okresie wypraw zdobywczych Normanów zapewne pokrywała prawie cały obszar Essex, teraz nawet w jej głębi były gdzieś duże rezydencje, stare miasteczka z kościołami i szkołami, prowadzonymi przez starsze panie, i kilka wiosek.

Willie stronił od ludzi. Zagadnięty, patrzył jak płochliwa sarna i nieruchomieł sprężony do ucieczki. Nie ufał nikomu.

Dziwne to, ale są osoby, które lubią znęcać się nad słabszymi. Czy dlatego, że chcą zaznaczyć swoją siłę? Pani Dillon była jedną z nich. To właśnie ona wciąż podkreślała, że jestem niższego stanu niż moje towarzyszki. Willie'emu — jak widziałam coraz wyraźniej — nie próbowała pomóc, tylko wytykała jego upośledzenie.

Naturalnie chciała, żeby pracował w domowym gospodarstwie. Przynosił wodę ze studni, zamiatął kuchenne podwórze, aż weszło mu to w nawyk i krzątał się dosyć radośnie. Pewnego dnia poleciła:

— Idź, Willie, do spiżarni, przynieś słojeśliwek. I powiesz mi, ile słojeśliwek tam zostało.

Myślała, że Willie wróci ogłupiały i bez słojeśliwek i wtedy będzie mogła zapytać Boga czy któregoś z aniołów przypadkiem słuchającego, cóż ona popełniła, że pokarana jest takim idiotą.

Willie wysłuchał polecenia spłoszony. Nie miał pewności, czy wybierze słojeśliwek akurat ze słojeśliwkami, nie potrafił policzyć pozostałych. Rada z tej sposobności, ukradkiem skinęłam na niego i poszłam do spiżarni za nim. Dałam mu słojeśliwek, po czym pokazałam sześć palców. Zagapił

się na mnie, więc podniosłam sześć palców jeszcze raz. W końcu się uśmiechnął.

Wrócił do kuchni. Pani Dillon była chyba rozczarowana, bo przyniósł to, co mu kazała.

Krążąc przy drzwiach za jej plecami podniosłam sześć palców. Willie zrobił to samo.

— Sześć! — wykrzyknęła. — Tak mało! Boże święty, za jakie grzechy mam tu takiego idiotę?

— Zgadza się, pani Dillon — powiedziałam. — Weszłam tam i sprawdziłam. Jest sześć.

— Och, to ty, Lenore. Jak zwykle wtykasz nos w nieswoje sprawy.

— Myślałam, że pani chce wiedzieć.

Wyszłam z kuchni krokiem, miałam nadzieję, pełnym godności. Przy drzwiach minęłam kundelka, który siedział cierpliwie czekając na swego pana.

Gdy tylko mogłam, starałam się pomagać Willie'emu. Patrzył na mnie wtedy z ukosa, ale jeśli nasze spojrzenia się spotkały, pośpiesznie odwracał wzrok.

Żałowałam, że nie mogę pomagać mu bardziej. Przyszło mi na myśl, że skoro Willie nie jest takim głupkiem, za jakiego ludzie go uważają, chyba można by go trochę uczyć.

Rozmawiałam o nim z Cassie, którą łatwo było wzruszyć jego bezradnością. Też starała się służyć pomocą. Wskazywała mu najlepsze główki kapusty w ogrodzie warzywnym, gdy pani Dillon go po kapustę wysyłała.

Zawsze ludzie mnie ciekawili, więc się zastanawiałam, dlaczego pani Dillon, żyjąca sobie tak wygodnie, koniecznie chce utrudniać i bez tego trudne życie nieszczęsnemu Willie'emu. Willie żył w strachu. Powiedziałam kiedyś Cassie:

— Gdyby on przestał się bać, to już by zrobił krok do normalności.

Cassie przyznała mi rację. Nieodmiennie się ze mną zgadzała. Może dlatego do niej lgnęłam.

Pani Dillon była bezlitosna. Powiedziała, że Willie'ego trzeba „zamknąć”, bo to niesłychane, żeby po takiej posiadłości jak Jedwabny Dom wałęsali się idioci. Kiedy sir Francis przyjedzie, sama poruszy tę sprawę. Mówienie o tym jaśnie pani nie zda się na nic, a Clarkson nie może pozbyć się Willie'ego bez rozkazu.

Na pewno uznała, że skuteczny będzie atak przede wszystkim na tego kundelka. Któregoś dnia narobiła hałasu: pies Willie'ego porwał ze stołu napoczęty udziec jagnięcia i uciekł.

Zażądała dla psa kary śmierci.

Clarkson, pełen godności, siedział przy kuchennym stole jak sędzia.

— Pani Dillon, czy pani widziała to porwanie mięsa?

— Tak jakbym widziała — odrzekła.

— Więc pani nie widziała, że to zrobił ten kundel?

— No, widziałam, że jest i tylko ślepiami wodzi, co ukraść. Kiedy stałam odwrócona tyłem, hycnął jak błyskawica, złapał mięso ze stołu i wyleciał.

— Może to był któryś z tamtych psów? — podsunął Clarkson.

Ale pani Dillon słyszeć o tym nie chciała.

— Och, już ja wiem, że to ten. Mnie się nie zmyli. Widziałam go na własne oczy.

Wprost musiałam się odezwać.

— Ale jak brał mięso, pani nie widziała.

Rozgniewała się na mnie.

— Co ty tu robisz? Zawsze wtrącasz się do wszystkiego. Myślałby kto, że jesteś z rodziny, a nie...

Patrzyłam jej prosto w oczy. Clarkson powiedział zakłopotany:

— To nie ma nic do rzeczy. Jeżeli pani faktycznie nie widziała, że mięso zabrał ten pies, to nie wiadomo na pewno.

— Wezwę kogoś od gajowego. I niech ze strzelby zabije to zwierzę. Żeby mi tu już nie żerowało, nie porywało jedzenia mojej roboty. Tego nikt nie zniesie, ja też nie daruję.

Sprawa nie ucichła. Powstały dwa obozy. Tego psa trzeba zabić, nędzny zresztą kundel. Nie, trzeba chłopcu zostawić jego psa, nieborak tak mało ma w życiu.

Biedny Willie wpadł w panikę. Uciekł ze swoim kundelkiem. Była zima, Wszyscy głośno się zastanawiali, jak on przetrwa, zdany na siebie. Pani Carter się przyśnił... leżał gdzieś w puszczy zmarznięty, nieżywy.

May mówiła, że słyszy w domu dziwne, chyba psie wycie. Jenny na skraju puszczy usłyszała czyjeś kroki. Obejrzała się i to był Willie z psem. Dwa duchy, które po chwili zniknęły.

Pani Dillon poważnie się zaniepokoiła. To przecież ona prześladowała Willie'ego. Co do udźca jagnięcia już nie miała pewności. Mógł to być inny pies. Wyrażała żal, że prosiła o zastrzelenie tego kundla. Tak naprawdę wcale jej o to nie chodziło. Więc niech jej nikt nie obwinia; ona tylko stara się należycie spełniać swoje obowiązki w tym domu.

Ku wielkiej ogólnej uldze Willie wrócił. Brudny, rozczochrany, ślaniał się z głodu. Pani Dillon ugotowała mu kleik i powiedziała, żeby już nigdy nie był takim głuptasem grosza nie wartym. Nikt mu jego psa nie zastrzeli. Tak tylko się mówiło, różne rzeczy się mówi, no nie?

Potem było trochę więcej życzliwości. Ten incydent więc obrócił się na dobre. Oni obaj, Willie i pies, szybko doszli do siebie.

Życie płynęło jak przedtem. Julia miewała humory, chwilami zniecierpliwiona tym, że Cassie szybko się męczy, chwilami władcza, jak gdyby nagle jej się przypomniało, że ja niezupełnie należę do rodziny. Ale bez skrupułów ściągała ode mnie w pokoju szkolnym, pytała o rozwiązanie zadań, jakie dawała nam panna Everton. Żyliśmy raczej zgodnie i myślę, że na ogół

cieszyła ją moja obecność. Cassie nie mogła dotrzymywać jej towarzystwa tak jak ja.

Ćwiczyłyśmy na padoku skoki i koleżeńsko współzawodniczyłyśmy ze sobą.

Co innego Cassie. Ona często po południu musiała się położyć. Zdejmowałyśmy jej z nóg buty jeździeckie, siadałyśmy przy niej i rozmawiałyśmy. Grałyśmy w zgadywanki, często opowiadałam im o kłopotach pani Halliburton albo o ciężkich przejściach lady Isabel z powieści pani Wood. Cassie to lubiła i płakała cicho, słuchając, jakie udręki los zsyłał tym nieszczęsnym damom.

Chłopcy przez cały prawie czas przebywali w internacie. Wszystkie trzy wyczekiwałyśmy ich przyjazdów na ferie, ale gdy przyjeżdżali, rzeczywistość odbiegała od naszych wyobrażeń i nieraz oddychałam z ulgą po ich wyjeździe z powrotem do szkoły — w każdym razie, po wyjeździe

Charlesa. Philip był inny.

Philip jak Cassie był łagodny i dobrotliwy. Przypuszczałam, że oboje są w tym podobni do lady Sallonger, która zapewne była właśnie taka, dopóki wskutek cierpień przy urodzeniu Cassie nie stała się utrapieniem.

Charles był najstarszy z rodzeństwa — ode mnie starszy o sześć lat. Chodził po domu bardzo jaśniepański — zadzierał nosa, wciąż pamiętając, że kiedyś to wszystko będzie jego. Na siostry i brata patrzył z góry, ja dla niego oczywiście nic nie znaczyłam.

W czasie ferii chłopcy przeważnie jeździli konno albo wędkowali nad rzeką Roding.

Najwyraźniej mieli mnóstwo ekscytujących zajęć, z których nas wykluczali. Zazdrościłam im wolności. Philip jednak nieraz jeździł konno z nami. Wypytywał mnie, co robi Grand'mère.

Bardzo się nią interesował. Czasami ją odwiedzał. Grand'mère go lubiła. Powiedziała mi, że on ma wycucie materiału, zna się na dobrym jedwabiu.

— Ojciec będzie z niego zadowolony, kiedy wprowadzi go w interesy — powiedziała.

— Charles jakoś wcale o to wszystko nie dba — zauważyłam.

— Jeszcze zacznie dbać. Na razie nadyma się swoją ważnością... wielką ważnością. Tutaj...

przy młodszym bracie i młodszym siostrach. Może wśród obcych zachowuje się inaczej, he?

Zobaczymy. Ale to dobrze, że jest Philip, on okaże się błogosławieństwem dla ich ojca.

Spostrzegłam, że Charles zwraca szczególną uwagę na Grace, pokojówkę dosyć ładną.

Rozmawiali raz na uboczu, Grace chichotała zarumieniona, a Charles był miły, przyjacielski po swojemu, łaskawie. Więc nie każdą dziewczyną gardził.

Kiedyś Charles nie przyjechał na ferie. Spędzał je u któregoś ze swoich kolegów. Philip przyjechał sam, i to były przyjemne wakacje, bo pod nieobecność Charlesa nie czuł się zobowiązany do lekceważenia nas. Często nam towarzyszył.

Siedzieliśmy, pamiętam, on, Julia, Cassie i ja, nad jeziorem i mówił o rodzinie, i jak to cudownie, że przodkowie, przed wielu, wielu laty wygnani z powodu religii, osiedlili się tutaj.

— Przybyliśmy tu bez niczego, bo całe nasze mienie zostało we Francji. Ale umieliśmy tkąć i to myśmy zapoczątkowali przemysł jedwabniczy w tym kraju. Nie sądzicie, że to był wspaniały wkład?

Żarliwie powiedziałam, że tak sędzę. Uśmiechnął się do mnie i mówił dalej.

— Po kilku latach tkaliśmy materiały nie gorsze od najlepszych francuskich. Praca była ciężka, ale chcieliśmy pracować. Długo klepaliśmy biedę, ale ostatecznie nam się powiodło.

— To bardzo dobrze — powiedziała Julia. — Ja bym klepania biedy nie zniosła.

— Ciekawe są nasze dzieje, prawda, Lenore?

— Och, tak, tak — potwierdziłam.

— Taki przyjazd do nieznanego kraju, kiedy się nie ma nic, tylko wiarę i nadzieję, i niezłomną wolę pokonania trudności. — Twarz Philipa jaśniała entuzjazmem. Pomyślałam, że jest w nim coś rzeczywiście miłego. I że kiedy odjedzie do szkoły, będzie mi smutno.

— Ale piętrzyły się kłopoty — ciągnął. — Zaczęło się sprowadzanie jedwabi z Francji i tkacze w Spitalfields prawie przymierali głodem. Ludzie chcieli jedwabi tylko francuskich, chociaż te nasze były tak samo dobre. Po prostu uważali, że jedwab francuski to brzmi wytworniej niż jedwab Spitalfields. Ojciec mi opowiadał, jak się kotłowało. Wszyscy się zawzięli. Dochodziło do rozruchów. Tkacze włączyli się po ulicach. Nie było pracy dla ich krosien. Kiedy widzieli kobietę w sukni z perkalu, rozbierali ją. „Jedwab! Jedwab! —

wrzeszczeli — trzeba nosić jedwab Spitalfields”.

— Musieli być wściekle zawzięci — powiedziałam. — Nie chciałabym, żeby ze mnie zdzierali suknię nawet w takiej słusznej sprawie.

— Walczyli o chleb powszedni. Przyjechali tu, zostawili za sobą wszystko, co posiadali.

Zrobili krosna, już tkali piękne materiały i akurat kiedy zaczęło się im powodzić, rząd pozwolił sprowadzać francuskie jedwabie. Ludzie głupio myśleli, że one są lepsze, i skazali naszych tkaczy na głód!

— Jeżeli jedwabie Spitalfields były takie dobre, to dlaczego ludzie woleli kupować francuskie?

— Anglicy zawsze wyżej cenią cudzoziemskie wyroby niż rodzime. Poza tym Francuzi cieszyli się dobrą sławą. Przyjęło się, że francuskie materiały i stroje na pewno górują nad angielskimi. W każdym razie groziła nam ruina.

— Ale czemu tak się oburzasz teraz? — zapytałam. — Przecież to już minęło.

— Oburzam się w imieniu tych biedaków, bo wiem, jak cierpieli. I to mogłoby się powtórzyć.

— Nieszczęśliwi — rozrzewniła się Cassie. — Z pewnością strasznie jest głodować. I te ich małe dzieci w dodatku.

— Dzieci cierpiały najbardziej — powiedział Philip. — Och, to długa, krwawa historia. Ponad sto lat temu były wielkie rozruchy. Rząd właśnie podpisał Traktat Fontainebleau i na mocy tego traktatu francuskie jedwabie zwolniono od cła, więc tkacze wpadli w rozpacz. Kiedy król jechał do parlamentu, zdecydowali się złożyć petycję w Izbie Gmin. Byli przeświadczeni, że książę Bedford

zgodził się na Traktat Fontainebleau, bo został przekupiony przez Francuzów. Najpierw pomaszrowali do Izby i wymusili droczenie, a potem przypuścili szturm do pałacu Bedforda. Wezwano gwardię, odczytano ustawę o rozruchach. Tkacze uciekli, ale wielu stratowały konie gwardzistów. Wielu zmarło. Opuścili swoje domy we Francji z nadzieją, że czeka ich bezpieczna przystań, a tymczasem musieli wciąż walczyć, żeby się utrzymać.

— I utrzymali się — powiedziałam. — I teraz im dobrze.

Philip wzruszył ramionami.

— Nigdy nie wiadomo, na jakie trudności się natrafi. Tak to jest w życiu, Lenore.

— Ale ludzie znajdują wyjście z trudności.

— Niektórzy.

Julia ziewnęła.

— Czas wracać — powiedziała.

Przywiązałam się do Philipa tamtego lata. Bez Charlesa było przyjemniej. Philip raz po raz odwiedzał Grand'mère. Ze znanstwem oglądał jedwabie, rozmawiał o tkactwie. Interesował się jej krosnami.

— Często ich pani używa? — zapytał kiedyś.

— Wtedy, gdy sir Francis sobie życzy, żebym utkała coś specjalnego.

Grand'mère opowiadała mi o Villers-Mûre i o manufakturze z bugenwillami na ścianach, o wielkiej pracowni bardzo widnej dzięki ogromnym oknom.

Słuchał jak urzeczony. On jej w zamian mówił o nowym procesie przedzenia odpadów, tak by z nich też była dobra tkanina.

— Niejaki pan Lister z Bradford wynalazł odpowiednie krosna do tego — powiedział nam. —

To zrewolucjonizuje ten przemysł, bo na pewno w wielu składach w Londynie zalegają duże ilości chassum-silk.

Nie rozumiałam sporej części ich rozmów, ale przysłuchiwałam się z lubością. Policzki Grand'mère płonęły, zapal Philipa się udzielał. Cieszyłam się, że bliskie mi osoby się lubią.

Grand'mère zaparzała herbatę i przechodziliśmy z pracowni do saloniku, żeby dalej rozmawiać, popijając.

Philip nam powiedział, że bardzo już mu się śpieszy do pracy w ojcowskim przedsiębiorstwie, ale zacznie tam pracować dopiero po ukończeniu studiów uniwersyteckich. Ojciec tak postanowił. Jest

nieugięty. Chociaż on by wolał darować sobie wyższe studia.

— A twój brat? — zapytała Grand'mère.

— Och, Charles zamierza używać życia. Przypuszczam, że z tego wyrośnie.

— Nie ma twojego entuzjazmu — zauważyła Grand'mère.

— Będzie miał, madame Cleremont — powiedział Philip. — Niech tylko się zapozna z tym fascynującym przedsięwzięciem, a na pewno się zapali.

Grand'mère uśmiechnęła się do niego.

— Bardzo się cieszę, że sir Francis ma ciebie, syna, który pójdzie w jego ślady. To musi być dla niego wielka radość.

— Mój brat prawdopodobnie okaże się dobry w innym dziale. Mnie intryguje samo wytwarzanie jedwabiu... cały ten proces. Gąsienice żywią się liśćmi morw... przędą sobie kokony, żeby była z tej przędzy najznakomitsza tkanina na świecie...

Mówił dużo o procesach zgoła dla mnie niezrozumiałych. Siedziałam w mgiełkach ukontentowania i patrzyłam, jak Grand'mère i Philip przypadają sobie do serca z każdą minutą coraz bardziej.

Po odejściu tego gościa, gdy sprzątnęłyśmy filiżanki, Grand'mère zadowolona, śpiewała cicho:

En passant par la Lorraine

Avec mes sabots

J'ai rencontre dans la plaine

Avec mes sabots dondaines

Oh, oh, oh,

Avec mes sabots

Zawsze to śpiewała w chwilach zadowolenia. Kiedyś zapytałam ją, dlaczego. Odpowiedziała, że to piosenka jej dzieciństwa.

I zawsze się cieszyła, że żołnierze w piosence uważają tę śpiewającą za brzydulę. Nie wiedzą, że ją kocha królewicz.

Zapytałam:

— I ona wyszła za królewicza?

— Nie wiem. Właśnie dlatego to moja ukochana piosenka. Królewicz dał jej *le bouquet de*

marjolaine. Jeżeli ten majeranek zakwitnie, ona zostanie królową. Ale czy się sprawdziło, nie wiemy, bo piosenka kończy się przedtem.

Nadal uśmiechała się do mnie.

— Jest jeden, który kocha tę pracę — powiedziała. — Jak jego ojciec. To szczęście dla sir Francisa mieć takiego syna.

— Bardzo go lubisz, prawda, Grand'mère? Przytaknęła patrząc na mnie i uśmiechając się raczej rzewnie, z rozmarzeniem.

* * *

Dorastałyśmy razem. Julia miała prawie siedemnaście lat. Ja miałam piętnaście. Julia się zmieniła. Chciała, byśmy wiedziały, Cassie i ja, że już prawie jest panną na wydaniu.

Czekał Julię sezon towarzyski w Londynie.

Lady Sallonger często o tym mówiła przy podwieczorku, który w myśl zwyczaju jadłyśmy z nią w salonie. Ja zwykle przychodziłam tam wcześniej i czytałam jej, przerywając, żeby nawlekać jedwab do haftowania. Coraz więcej zabierała mi' czasu.

Julia i Cassie przychodziły punktualnie o czwartej na całą godzinę. Clarkson wtaczał wózek z podwieczorkiem. Grace stawała na swoim posterunku, gotowa nam usługiwać i nalewać herbatę, ale lady Sallonger nieraz ją odprawiała i podawanie herbaty poruczała mnie.

— Lenore sobie poradzi — mówiła. A potem było: — Lenore, jeszcze trochę śmietanki, proszę. Och, i może jedno ciastko.

Nie jadła, tylko kruszyła ciastko na talerzyku. Tematem rozmowy był teraz nieodmiennie rychły debiut Julii w towarzystwie.

— Ojej, powinnam tam być... ale to niemożliwe. Lenore, nogi mam zupełnie zdrętwiałe.

Zdejmij mi pantofle i rozetrzyj stopy, dobrze? Ach... już mi lepiej. Taka ulga. Więc zważywszy stan mojego zdrowia, to niestety niemożliwe. Te suknie, Julio, tyle ich będziesz musiała mieć.

Madame Cleremont, oczywiście, je uszyje. Powinna dostać żurnale. Może ojciec je sprowadzi z Paryża.

Julia splatając ręce, słuchała w podnieceniu. Marzyła o „wejściu w świat”. Omawiała to z Cassie i ze mną. Bale, uczyty, zastępy młodych adoratorów starających się o jej rękę.

Słyszałam, jak panna Logan, znająca się na takich sprawach, rozmawiała z panną Everton:

„No, jasna rzecz, sfera rzemieślnicza, jakby nie było, i to się odciska. Uważasz, pani, ale pieniądze są... pieniądze mówią”.

Więc Julię należało wystawić na rynku matrymonialnym tak, żeby w oczy biły jej atuty. Była młoda, naprawdę ładna, gdy dobry humor jej dopisywał, wprawdzie oszpecona tą etykietką

„rzemiosło”, ale zarazem opromieniona drugą etykietką „pieniądze”.

Lady Sallonger powiedziała:

— Uważam, że hrabina Ballader jest w tym świetna. Biedaczka, potrzebuje środków do życia, odkąd owdowiała. Hrabia zostawił ją właściwie bez grosza... Hazardzista, podobno, i pił.

Przepuścił cały majątek i po jego śmierci to wyszło na jaw. Biedna hrabina. Oczywiście, sama była niezupełnie... z dobrego domu. Aktorka czy coś. Trzecia żona hrabiego, ożenił się z nią już zdzieciniały. No więc teraz ona musi tak zarabiać na utrzymanie. Jest bardzo droga, ale z Marią Crawley to się opłaciło. Takie tam kurczątko, a wyszła za mąż nie byle jak... pieniądze, rozumiecie, niewiele tej niebieskiej krwi.

Nie oparłam się pokusie, by powiedzieć, że niebieska krew może mniej się przydaje niż pieniądze.

— To prawda, Lenore. Podłóżysz mi pod plecy jeszcze jedną poduszkę? Już lepiej. Czuję się trochę zmęczona. I upuściłam wachlarz. Och, jest. I jeszcze nalej mi herbaty, Lenore. Zabierz to ciastko. Ojej, chyba się rozkruszyło na dywan. Czy mamy tort maderę? Zjem kawałek... Nie, chyba wolę owoce. I daj, proszę, jeszcze śmietanki do herbaty. Więc właśnie, hrabinę uważa się za wprost idealną. Zorientowana, obyta i z racji swego pochodzenia umie iść przebojem... i jest praktyczna. Skąd pochodzi, wszyscy jakoś zapomnieli, a nazwisko Ballader bardzo się liczy. To wielka tragedia, Julio, że twoja mama nie może zrobić tego, co należy, dla ciebie.

Potem zaczęła mówić o sukniach, jakie będą potrzebne.

— Muszę poprosić madame Cleremont, żeby przyszła do mnie. Tyle będzie do roboty. Nie wiem, jak sobie z tym dam radę.

Nie zdołałam powstrzymać uśmiechu, wiedząc, że lady Sallonger niewiele włoży wysiłku w dawanie sobie rady, bo wszystko robi się za nią.

Wiodącym tematem wszystkich rozmów był pierwszy sezon towarzyski Julii. Grand'mère bardzo się przejęła sprawą sukien, które ma uszyć. Sporo szkicowała. Ja wykonałam jeden szkic.

Grand'mère obiecała przedłożyć go do aprobaty razem ze swoimi, ale nie mówić, że to mój, jeżeli nie zostanie wybrany.

Prawie co dzień po południu jeździłyśmy konno — Julia, Cassie i ja. We trzy wolno nam było jeździć bez stajennego pod warunkiem, że nie wypuścimy się dalej niż do wioski Branches Burrow z jednej strony i do Gospody Królewskiej z drugiej.

Puszczę w promieniu pięciu mil od domu znałyśmy dobrze, ale w dalszych okolicach mogłybyśmy niebezpiecznie zabłądzić.

Nigdy nie zapomnę grozy tamtego dnia. Jechałyśmy przez puszcę i było tak spokojnie.

Słońce zza listowia rzucało cętkowany deseń, w powietrzu niósł się miły zapach wilgotnej ziemi.

Julia mówiła — jak ostatnio chyba wciąż — o sezonie. Cassie słuchała zadumana, pewnie zastanawiała się niespokojnie, czy też będzie miała swój sezon. Mnie takie obawy nie dręczyły.

Nie wiedziałam, czy mnie to cieszy czy smuci. Grand'mère, być może, żywiła nadzieję, że przypadnie mi udział w debiucie już nie Julii, ale Cassie, który, jak przypuszczałam, nie zapowiadał się tak wspaniale.

Zbliżając się do jeziora, usłyszałyśmy wrzaski i salwy śmiechu.

— Wiejskie chłopaki się bawią — powiedziała Julia. — To ich ulubione miejsce.

Zobaczyli nas, gdyśmy podjechały. Gromada chłopców szesnasto-, siedemnastoletnich.

Zrobiła się cisza. Własnym oczom nie wierzyłam. Pod drzewem stał Willie przywiązany do pnia.

Wykrzyknęłam:

— Willie, skąd ty tutaj?!

Chłopcy — było ich sześciu — gapili się na nas przez kilka sekund. Wyczułam w nich jakieś zło, zanim pojęłam, co zrobili.

Jeden z nich wrzasnął:

— One są z tego domu!

I nagle wszyscy uciekli.

Zeskoczyłam z konia, podeszłam do Willie'ego. Usiłował nieartykułowanie coś nam powiedzieć, ale nie znajdował słów. Twarz miał zastygłą ze zgrozy. Julia i Cassie już podeszły.

— Och, patrzcie — powiedziała Julia.

Wtedy zrozumiałam. Chodziło o kundelka. Przywiązany do innego drzewa, zakrwawiony leżał nieruchomo. Odwiązałam Willie'ego.

— Co się stało? — krzyknęłam.

Willie nie odpowiedział. Podbiegł do psa, odwiązał go i wziął na ręce. Kundelek nie poruszył

się, nie reagował, więc wiedziałam, że nie żyje. Ci podli chłopcy go zabili. Jak mogli zrobić coś tak okrutnego, coś tak bez sensu?

— Co się stało? — zapytała Julia. — Powiedz nam, Willie.

Ale Willie milczał. Tulił psa do siebie. Zauważyłam, że jedna łapa zwisa złamana.

— Willie — odezwała się łagodnie Cassie — mógłbyś nam powiedzieć, co się stało?

Potrząsnął głową, nieszczęśliwy bezgranicznie.

— To te chłopaki? — zapytała Julia. — Och, niegodziwi. Willie, dlaczego oni to zrobili?

Ale pytania na nic się nie zdały. On był nieosiągalny w swoim nieszczęściu. Jego pies nie żył.

Nigdy nikogo Willie tak nie kochał jak tego kundelka. I nikt nigdy nie kochał Willie'ego tak jak to małe stworzenie. Znaleźli się nawzajem, pocieszali jeden drugiego i żyli tylko dla siebie. A teraz kundelka zabili w rozochoceniu bezrozumni chłopcy chcąc dokuczyć jak najboleśniej bezradnemu zwierzęciu i biednemu Willie'emu, którego uważali za istotę niższego rzędu niż oni.

Nie wiedziałam, jak mamy go pocieszyć.

Cassie cicho płakała. To chyba pomogło mu pojąć, że naprawdę się o niego troszczymy.

— Willie — błagałam — postaraj się, powiedz nam, jak się to stało.

Raptownie przemówił.

— Tu nad jeziorem siedzieliśmy i patrzyli. Przyszli, śmieli się ze mnie i z niego. Ja na nich nie patrzyłem. A potem jeden mówi: „Podoba ci się to jezioro, nie?” Wzięli mnie i chcieli wrzucić...

— Spojrzał na psa w swoich objęciach. Po chwili wykrztusił: — Ugryzł go, kiedy on mnie złapał... ugryzł go.

— Mam nadzieję, że do kości — powiedziałam.

— Wtedy mnie przywiązali powrozem i jego wzięli i przywiązali i rzucali w niego kamieniami.

— Powiem o tym Carterowi. Trzeba ich ukarać.

— Życia to nie przywróci temu biedactwu — zauważyła Julia.

— Ale przynajmniej się dowiedzą, co czeka chuliganów.

Wiedziałam jednak, że Carter nie ma władzy nad chłopcami, którzy nie są z naszych stajni.

— Musimy go pochować, Willie — powiedziałam.

Willie odszedł z psem w objęciach. Dosiadłyśmy koni i pojechałyśmy do stajni.

Odszukałyśmy Cartera, najstarszego stajennego, i opowiedziałyśmy mu o tym wszystkim.

— Widziały panienki, którzy to byli? — zapytał Carter.

— Nie znamy ich. Uciekli, kiedy myśmy się tam pokazały.

— On świata nie widział poza tym swoim psem.

— I właśnie dlatego to zrobili — powiedziałam. — Chciałabym ich odnaleźć. Myślę, że należy się im surowa kara.

— Gdyby to byli nasi stajenni, już bym dopilnował, żeby popamiętali. Ale żaden z naszych, mam nadzieję, nie zrobiłby czegoś takiego.

— Z Williem teraz trzeba postępować bardzo łagodnie.

— Żona tego dopatrzy. Tylko musimy pozbyć się psa. Mnie się zdaje, że Willie będzie chciał go trzymać. Jest niespełna rozumu pod wieloma względami.

Zostawiłyśmy Cartera i smutne poszłyśmy do domu. Byłyśmy do głębi wstrząśnięte. Julia tamtego dnia już ani słowem nie wspominała o swoim pierwszym sezonie.

* * *

Znałam Willie'ego dość dobrze, by wiedzieć, że on nie zechce zrezygnować z psa. Woli mieć go martwego, niż nie mieć wcale.

Również wiedziałam, że wkrótce siłą mu psa zabiorą, więc zdecydowałam się sama coś zrobić. Znalazłam pudło ze sztywnej tektury i sznurek, po czym ruszyłam na poszukiwanie Willie'ego. Nie spodziewałam się zastać go nad jeziorem, ale właśnie tam był. Siedział pod tym drzewem, do którego ci niegodziwcy przywiązali kundla, i tulił swego utraconego przyjaciela w ramionach.

— Willie — powiedziałam. — On musi mieć pogrzeb. Tak jak teraz nie może mu być dobrze.

— Wezmą mi go.

— Tak — potwierdziłam. — Więc zrobmy mu należyty pogrzeb, wtedy go nie wezmą. —

Pokazałam pudło. — On chce odpoczywać. Jest zmęczony. Powinno się go zostawić w spokoju, żeby spał.

Ku mojemu zdumieniu Willie ostrożnie położył kundelka w pudle.

— Zakopimy go — powiedziałam — i postawimy krzyż. Mam tu kije, widzisz? Skrzyżuję je, o tak, i zwiążę sznurkiem. Będzie krzyż i chrześcijański pogrzeb.

Patrzył na mnie. Myślałam, że lada chwila porwie to pudło i ucieknie.

Tłumaczyłam mu bardzo łagodnie.

— Wszyscy muszą kiedyś umrzeć. I kiedy umrą, trzeba ich traktować z szacunkiem. Trzeba im dać porządną grob. Bo chcą odpoczywać w spokoju.

Słuchał mnie zadziwiony.

— Wiem, co zrobimy — powiedziałam. — Jest przecież mauzoleum.

Patrzył na mnie, nie rozumiejąc.

— To dom umarłych — wyjaśniłam. — Wiesz, gdzie jest. Niedaleko stąd. Tam idą Sallongerowie po śmierci. Piękne miejsce. Znasz te anioły przy drzwiach. One stoją na straży.

Weźmiemy go teraz i tam pochowamy. Dobrze?

Nadal patrzył na mnie zadziwiony. Objęłam go ramieniem i przytuliłam. Drżał.

— Tak najlepiej — powiedziałam. — On będzie tam leżał w spokoju, a ty będziesz go odwiedzał. Będziesz wiedział, że on tam jest, pod ziemią. Będziesz mógł siedzieć przy jego grobie i rozmawiać z nim. Jak gdyby on był z tobą. Tyle tylko, że niewidzialny.

Nadal się we mnie wpatrywał. Plan był dobry. Psa trzeba było pogrzebać, a nie chciałam, żeby go zabrano przemocą. Możemy wykopać dół przy mauzoleum, myślałam, i to nada pogrzebowi pewną godność.

Willie zaciskał ręce na pudle. Wstałam.

— Chodź, Willie. Zrobimy to teraz. Potem możesz tam posiedzieć, porozmawiać z nim. I będziesz wiedział, że on ma wieczny odpoczynek. I jemu będzie dobrze w tej trumience. On właśnie tam chce być.

Byłam prawie pewna, że Willie ze mną nie pójdzie, ale poszedł. Tak więc poprowadziłam go do rodzinnego grobowca Sallongerów.

Zawsze mnie to miejsce urzekało. Grand'mère mi mówiła; „Kiedy ktoś z tej rodziny umiera, chowają go w tym mauzoleum. W tych trumnach są kości Sallongerów, którzy dawno umarli.

Byli razem za życia i pozostają razem po śmierci. Możliwe rodziny mają swoje krypty”.

Chodziłam tam popatrzeć, namawiałam Julię albo Cassie, żeby mi towarzyszyły. Urzekały mnie anioły z płonącymi mieczami — jak te anioły w raju w mojej Biblii — strzegące tego miejsca przed wtargnięciem intruzów.

Drzwi były pięknie wykute z żelaza, we wnękach kamiennych ścian stały posągi. Gdy byłam mała, wyobrażałam sobie, że widząc mnie robią różne miny. Nieraz śniło mi się to miejsce...

Jestem tam w środku zamknięta i trumny się otwierają, dawno umarli Sallongerowie wstają i patrzą na mnie.

Powiedziałam:

— Wykopiemy grób tutaj, Willie... przy ścianie mauzoleum. Twój piesek będzie leżał blisko Sallongerów. Będzie się cieszył, że ma prawdziwy grób. Postawimy krzyż, więc zawsze łatwo tu trafisz. I może zasadzimy na grobie kwiaty, wszyscy będą wiedzieli, że on tu leży i że bardzo o niego dbamy.

Willie powoli przytakiwał.

Miałam niedużą łopatę. Dałam mu ją.

— Kop, Willie. On by chciał, żebyś to ty go pochował. Bo ty go najbardziej kochałeś.

W ten sposób pogrzebaliśmy kundelka Willie'ego.

Wiedziałam, że Willie często tam chodzi. Siedział przy tej mogiłce i rozmawiał sam ze sobą.

Suki w stajniach często miały szczenięta. Namówiłam Tulię żeby poprosiła o szczeniaka, to podarujemy go Willie'emu. Spodobał jej się ten pomysł.

We trzy poszłyśmy z naszym prezentem tam, gdzie, jak wiedziałam, był Willie. Siedział samotnie przy kępce trawy.

— Dzień dobry, Willie — powiedziałam. — Popatrz, jest mały psiak. Przyszedł, żeby być z tobą... jeżeli go zechcesz.

Willie zagapił się bez szczególnego wrażenia. Cassie pogłaskała pieska.

— Chcesz być z Williem, prawda? — zapytała. Wtuliła twarz w jego sierść i ni stąd, ni zowąd kichnęła. Raz i jeszcze raz.

— Jedno kichnięcie, coś ci się spełni — zaśpiewała Julia. — Drugie, dostaniesz całusa.

— Więc całus dla mnie — powiedziała Cassie i kichnęła znowu. — Szczeniaczku, jesteś jak pieprz. Kręcisz mi w nosie. Więc nazywaj się Pieprz.

— To chyba dobre imię dla psa — zaopiniowała Julia.

Wzięłam szczeniaka i podeszłam do Willie'ego.

— Pieprz — powiedziałam — myślę, że ty i Willie się polubicie.

Willie wyciągnął rękę. Pieprz szczerknął i tę rękę polizał. Nagły uśmiech Willie'ego świadczył, że zrobiłam akurat to, co należało.

— Jest twój, Willie — powiedziałam. — On chce mieć dom. Weźmiesz go i będziesz się nim

opiekował?

To na pewno zakończyło żałobę tego nieboraka.

* * *

Sir Francis przyjechał do Jedwabnego Domu. Zawsze, gdy przyjeżdżał, było sporo ceremonii.

W wozowni stawała karoca przy powozach, które natychmiast wydawały się małe i nieważne. Do swojej kwatery nad stajnią wprowadzał się Cobb. Myślę, że jego obecność tak samo wpływała na stajennych, jak obecność sir Francisa na domowników. Cobb pochodził z Londynu, więc uważał

się za coś znacznie lepszego od wiejskich prostaczków. „W jadalni posiłki podawano ceremonialnie. Lady Sallonger przykładła do swojej toalety jeszcze większą wagę niż zwykle, ale też wydawała się jeszcze bardziej chora, i powłócząc wstążkami, wytwornie omdlewała na kanapie. Sir Francis siadał przy niej, mówił „moja droga”, gładził ją po ręce i słuchał cierpliwie, gdy opowiadała, jak bardzo jest zmęczona. Clarkson osiągał wyżyny kamerdynerskiej godności, a pani Dillon w kuchni zdenerwowana już to wydawała rozkazy, już to je odwoływała, aż Grace jęczała, że nie wie, na jakim świecie żyje.

Sir Francis odbywał narady z Grand'mère.

Przyjechał nie na długo — tylko na parę dni — ale na dostatecznie długo dla wszystkich zainteresowanych. Dała się odczuć ulga, gdy Cobb, pełen splendoru na koźle, uwiózł go z powrotem do miasta.

Grand'mère powiedziała mi po jego wyjeździe.

— Coś mu leży na sercu. Mam wrażenie, że nie wszystko idzie dobrze.

— Był zły o coś?

— Och, nie... ale był strapiiony. Mówił, że w handlu jest zastój i że potrzebujemy czegoś, co by się przebiło. Dosłownie tak. Chce czegoś nowego. Nie można stać w miejscu, mówił. Musimy coś wymyślić i to nie byle co. Nasz stary towar jest wysokiej klasy, ale ludzie łakną nowości.

Musimy znaleźć, madame Cleremont, powiedział mi, jakiś nowy sposób tkania jedwabiu... coś, co zrobi furorę... coś, czego nikt inny nie ma. Rzadko go widywałam w takim nastroju.

— Sądziś, Grand'mère, że on się martwi o sezon Julii? To musi bardzo drogo kosztować.

Grand'mère się roześmiała.

— Sądzę, że nie, *ma chère*. Myślę, że to tylko jedna mała sprawa, a sir Francis jest człowiekiem dużych interesów. Nie. Po prostu zarobił w tym roku mniej pieniędzy niż w zeszłym. On myśli wielkimi liczbami. Och, poradzi sobie. Tylko wzdycha do czegoś nowego. Im wszystkim o to chodzi... o jakiś wynalazek, którym znacznie by się wyprzedziło konkurencję.

— Więc taka ważna jest ta konkurencja?

— *Ma chérie*, przez cały czas dom Sallongerów zawzięcie współzawodniczy z domem St Allengère'ów. Jeden chce mieć lepsze rezultaty niż drugi. Katolicy St Allengère'owie i Sallongerowie protestanci. Trudno sobie wyobrazić te ciężkie przejścia w rodzinie, kiedy jedna jej gałąź zmienia wyznanie. Z powodu religii bywa sporo zmartwienia, *ma petite*.

— Ale oni się przyjaźnią. Odwiedzają się. Ściągnęła usta.

— To jest... jak by tu powiedzieć... pokój zbrojny. Pragną prześcignąć jeden drugiego. Każdy z nich musi być tym lepszym. Ta sama historia od lat.

— Byłaś tam, Grand'mère. Czy sir Francis często przyjeżdżał do Viller-Mure?

— Bardzo rzadko.

— I tyś z nim przyjechała tutaj. Nigdy nie mogłam rzeczywiście tego zrozumieć.

— Och... to była okazja. I odkąd przyjechałam, tutaj jest mój dom. Pracuję u Sallongera... już nie u St Allengère'a.

— Wielu rzeczy naprawdę nie rozumiem.

Ujęła moją twarz w dłonie i popatrzyła na mnie z czułością.

— Wielu rzeczy większość z nas nie rozumie, *chérie*.

W odpowiednim czasie domownicy ochłonęli i życie potoczyło się normalnym torem.

Ośrodkiem zainteresowania stał się znów debiut towarzyski Julii. Sezon trwał zwykle od Wielkanocy do sierpnia, więc Julia musi być gotowa na wiosnę. Przyjechała hrabina Ballader z wizytą prawie całotygodniową. Przypuszczałam, że po to, by się upewnić, czy Julia jest godna jej opieki.

Ta wysoka kobieta o imponującej prezencji wprost kipiała energią. O ile wiedziałam, hrabia był od niej starszy o trzydzieści lat i umarł w pięć lat po ślubie, pozostawiając jej niewiele oprócz tytułu. Miała kasztanowate włosy, chyba trochę zanadto połyskliwe i roziskrzone ciemnozielone oczy. Żeby wprowadzić Julię do socjety, została przez Sallongerów zatrudniona, a jednak dawała do zrozumienia, że czyni im wielką łaskę.

Panna Logan powiedziała, że hrabina ma wątpliwości, czy zadawać się z rodziną żyjącą bądź

co bądź z rzemiosła, ale niewątpliwie potrzebuje pieniędzy, więc dla niej, panny Logan, jest oczywiste, że zajmie się Julią, ponieważ sir Francis jest bogaty. Panna Logan stała się teraz wyrocznią. Była kiedyś panną służącą pewnej księżnej i mówiła o tej jaśnie pani jak o bogini.

Słyszałam jej rozmowy z panną Everton, ilekroć mogłam słuchać niezauważenie.

Hrabina odbyła kilka narad z lady Sallonger. Niektóre w naszej obecności: Julii, Cassie i mojej. Widziałam, jak bardzo nas lustruje swymi zielonymi oczami. Z początku próbowała onieśmielać lady Sallonger, szybko jednak pojęła, że ma w niej godną przeciwniczkę. Lady Sallonger, zawsze się lubiąca udzielaniem długoterminowych pełnomocnictw, delikatnie zsuwała odpowiedzialność na jej barki. Rozmawiały o balach, o spisach gości, o strojach. Julia powinna nauczyć się chodzić z wdziękiem i trzeba zwrócić uwagę na jej dyganie. Hrabina chciała się upewnić, że z debiutu towarzyskiego Julii uczyni sukces, inaczej nie podjęłaby się tej panny wprowadzić w świat.

— Ze wszystkimi moimi pannami mi się udawało — oznajmiła.

Lady Sallonger uśmiechnęła się i powiedziała, że „to szczęście mieć pani zdrowie” i gdyby ona była silniejsza... Nawet poprosiła hrabinę o podłożenie poduszki pod krzyż i o podniesienie z podłogi wachlarza, który lubiła upuszczać we właściwych po temu momentach.

Zdumiewało mnie to wszystko i podniecało.

Powiedziałam Cassie:

— Za dwa, trzy lata twoja kolej.

Cassie zadrżała.

— Mnie to chyba nie czeka — ciągnęłam. — Sama sobie znajdę męża, jeżeli będę chciała wyjść za mąż.

— Szczęśliwa jesteś — powiedziała Cassie.

— Ale ty masz jeszcze dużo czasu i kiedy przyjdzie kolej na ciebie, nauczysz się wszystkiego od Julii — spróbowałam ją pocieszyć.

W pracowni panowało ożywienie. Julia często przychodziła do miary.

— A czy te rzeczy, które szyjesz, Grand'mère, jeszcze będą modne w przyszłym roku? — zapytałam.

— Ja niezbyt się kieruję modą — odrzekła Grand'mère. — Szyję to, co jest dla Julii odpowiednie. Ona potrzebuje wstążek i falban... w tym jej najlepiej. Szyję dla Julii... nie dla mody. Gdybym szyła dla ciebie... och, jakaż to by była suknia!

— Dla mnie nigdy nie będzie. Pamiętaj, Grand'mère, jestem tylko Lenore, nie panienka.

I zaraz ugryzłam się w język, bo Grand'mère wyraźnie posmutniała. Objęłam ją ramieniem, przytuliłam się do niej.

— Byłoby cudownie, gdyby... — zaczęła.

— Gdyby co? — zapytałam.

Ale nie odpowiedziała. Znałam ją dobrze. Z pewnością żałowała, że to nie ja będę w salonach panną na wydaniu, i zastanawiała się, jak znajdzie sobie męża urodziwego i bogatego.

* * *

Właśnie tamtego lata przyjechał do Jedwabnego Domu Drake Aldringham. Jego przyjazd, zdawałoby się, zmienił wszystko. Słyszałyśmy przedtem, że Charles ma zaprosić na wakacje jakiegoś kolegę ze studiów. Philip przyjechał Pierwszy. Wiedział o Drake'u.

— Charles może być dumny z tego, że Drake'a namówił — powiedział nam.

— Dlaczego? — zapytałyśmy zdumione.

— Dlaczego? — wykrzyknął Philip prawie z oburzeniem. — Taki już jest Drake Aldringham.

— A niby pod jakim względem on taki specjalny? — Julia się ożywiła. Wkrótce miała być panną na wydaniu, więc coraz bardziej interesowała się młodymi mężczyznami. Uważałam, że to naturalne. Zostanie przecież wystawiona na pokaz, żeby któregoś zwabić, skusić do poślubienia jej.

— Po pierwsze: on jest Aldringham.

— No to co? — prychnęła.

— Chcesz powiedzieć, że nigdy nie słyszałaś o admirale Aldringhamie? To ojciec Drake'a.

— Bardzo się puszy? — zapytałam.

— Nie bardziej niż mu wypada.

Ta odpowiedź wydawała się dosyć wymijająca. Trudno było wyciągnąć od Philipa coś więcej.

Potem, po południu mówiło się o wizycie Drake'a przy podwieczorku. Ja nalewałam herbatę, Philip podawał filiżanki.

— Dziękuję, kochanie — powiedziała lady Sallonger. — Jeszcze trochę mleka... i poproszę o kromkę chleba z masłem. Mamy tu miód? Jest płynny czy gęsty? — Miód był gęsty. — Och, każ przynieść rzadki, Lenore... i nakryj mnie pledem, dobrze? Wiesz, na dworze słońce świeci, ale tutaj mi chłodno.

Gdy dostała płynny miód i chwilę się nim zabawiła, i gdy ponownie napełniłam jej filiżankę herbatą, nawiązała do rychłego przyjazdu gościa.

— Kiedy Charles i on tu będą, jak myślisz, Philip?

— Nie wiem, mamó. Wybrali się na wędrowkę po Okręgu Jezior. Z kilkoma kolegami. Ale myślę, że

niedługo przyjadą.

— Bardzo chcę go poznać. Na pewno to młodzieniec bez zarzutu. Syn admirała. I jest chyba jakiś Aldringham w rządzie.

— Tak, mamó. Sir James, stryj Drake’a. To znakomita rodzina.

— Drake! Co za nadzwyczajne imię.

— Czyli kaczor — wyrwało mi się.

— Może to mieć i inne znaczenie. Był wielki sir Francis Drake, na przykład. Właśnie na jego cześć tak Drake’a nazwali.

— Wyobraźcie sobie, nosić imię, które było nazwiskiem wielkiego bohatera. Takie imię chyba nakazuje dorastać do tamtej chwały.

— Jedno jest pewne — powiedział Philip — od ciebie, Julio, nikt by nie wymagał, żebyś pokonała hiszpańską armadę. A jeszcze inne znaczenie to smok Drakon. Słowo staroangielskie, drąca. Po łacinie oczywiście draco. Smok.

— Jesteś uczony.

— Wyszukałem to w książkach.

— Z powodu waszego Drake’a?

— Uznałem, że to interesujące.

— Ciekawe, jaki on jest — powiedziała Julia.

— Wielki kapitan okrętu... albo smok — podsunęłam.

— Prawdopodobnie jest bardzo łagodny i potulny — powiedziała Cassie. — Ani trochę jak smok czy sir Francis Drake. Często się zdarza, że ludzie wcale nie są tacy, jakby się sądziło z ich imion.

— Będziesz zaskoczona — powiedział Philip.

— Lenore, podaj mi ciastko z dżemem — poleciła lady Sallonger.

Usłuchałam.

— Och, to malinowy. Wolę z czarnej porzeczki. Nie wiem, mamy dżem z czarnych porzeczek?

Jak zwykle. Zadzwoiłam i przyszła Grace. Przyniosła ciastka z dżemem z czarnych porzeczek.

Uśmiechnęłam się, patrząc, jak lady Sallonger bierze jedno ciastko, oczywiście po to, by je ledwie skubnąć.

Gdyby przedtem były czarne porzeczeki, zażądałaby dżemu malinowego. Ale w kuchni chyba są przyzwyczajeni do jej kaprysów.

Prawie nie wątpiłam, że będziemy rozczarowane, gdy Drake Aldringham się pokaże. Po paru dniach zaczęłam się zastanawiać, czy w ogóle go zobaczymy. Charles nie zawiadomił, kiedy przyjadą. Przestałyśmy się już ich spodziewać.

Charles przyjechał sam. Nastąpiła rzeczywiście konsternacja. Tyle słyszałyśmy o Drake'u Aldringhamie, i co? Charles wyjaśnił, że Drake musiał pojechać na kilka dni do swojej starej ciotki i przyjedzie do Jedwabnego Domu, gdy tylko się od niej wyrwie.

Charles się zmienił. Ilekroć on i Philip przyjeżdżali do domu, ogarniało mnie zdumienie —

wydawali się przeobrażać, rośli tak prędko — zwłaszcza Charles. Teraz był zupełnie dorosły, kroczył buńczucznie i cedził słowa. Widział się w roli młodego światowca. Trochę mnie tym śmieszył. Wodził oczami za Grace z niejakim uznaniem i słyszałam, jak panna Logan mówiła do panny Everton, że chciałyby wiedzieć, co mu chodzi po głowie, czy też może lepiej byłoby nie wiedzieć.

Panna Everton westchnęła.

— Oni niedługo pozostają dziećmi — powiedziała z przejęciem. Może myślała o tym, że wkrótce już będzie w Jedwabnym Domu niepotrzebna.

Charles doroślał inaczej niż Philip — wcale nie był taki poważny. Nie bardzo interesował się rodzinnym przedsiębiorstwem i przypuszczałam, że nigdy się nie zainteresuje. Ale ogromnie go frapowały kobiece kształty.

Kiedyś ze zgrozą spostrzegłam, że Charles przygląda mi się tak, jakby coś rozważał — co? nie miałam pojęcia. Nie podobał mi się jednak ten badawczy wzrok i zrobiło mi się gorąco.

W tamto popołudnie siedziałam nad sadzawką w ogrodzie i czekałam na Grand'mère. Gdy usłyszałam kroki, podniosłam wzrok, spodziewając się, że to ona. Ale to był nieznamy młody człowiek.

Bardzo wysoki, jasnowłosy... przystojny, w nordyckim typie, uśmiechnął się do mnie.

— Och, słowo daję — powiedział. — Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

— Nie — odrzekłam. — Co... czego pan sobie życzy? Szuka pan kogoś?

— Charlesa Sallongera, w istocie. Nie było czasu, żeby go zawiadomić. Bagaż zostawiłem w domu i ponieważ nikogo z rodziny teraz tam nie ma, powiedziałem kamerdynerowi, że rozejrzę się po ogrodzie. To urocza posiadłość. Wiedziałem, że jest w samym sercu puszczy, ale nie wyobrażałem sobie, że tu tak ładnie.

— Pan przyjechał? Więc na pewno...

— Drake Aldringham — przedstawił się.

— Mogłam od razu się domyślić.

— Pani jest... Julia?

— Nie. Jestem Lenore Cleremont. — Najwyraźniej to mu nic nie powiedziało. — Mieszkam tutaj — wyjaśniłam. — Nie należę do rodziny. Moja babcia tu pracuje i tu zawsze miałam dom.

Przytaknął.

— Bardzo interesujący dom. Olśniła mnie ta wspaniałość, kiedy przyjechałem ze stacji.

— Tak, ja też uważam, że jest wspaniała.

— Charles mi mówił, że to tylko rezydencja wiejska. Państwo Sallonger mają dom w Londynie.

— Tak, na Grantham Square. Byłam tam parę razy. Sir Francis... ojciec Charlesa... prawie wciąż tam przebywa.

Ujęła mnie jego życzliwość, to, że nie zmienił sposobu bycia, gdy dowiedział się, że nie jestem z tej rodziny. Podtrzymałam rozmowę.

— Charles i Philip chyba wkrótce wrócą.

— Chciałem złożyć uszanowanie lady Sallonger, ale powiedziano mi, że wypoczywa.

— Och tak, zawsze o tej porze. Jest wątlęgo zdrowia.

Ze współczuciem pokiwał głową.

— Wszyscy niecierpliwie czekaliśmy na pana przyjazd.

— Miło mi.

— Rozmawialiśmy o panu mnóstwo... o sir Francisie Drake i w ogóle.

Skrzywił się.

— Łatwo sobie wyobrazić życie z takim imieniem.

— Pełne szczytnych celów — powiedziała dumnie, bo ładnie to sformułowałam.

— Raczej zniechęcenia. Spodziewają się, że będę pływał po morzach.

— A nie chce pan? Potrząsnął głową.

— Chcę zająć się polityką.

— To na pewno bardzo ciekawe. Wciąż coś się dzieje... no i polityk kształtuje losy kraju.

Parsknął śmiechem.

— Mówi pani o tym jak o wielkiej odpowiedzialności. Ale mniej więcej tak jest. Zawsze chciałem wiedzieć, co się dzieje i jak dotrzynamy kroku polityce Europy. Stryj często ze mną to omawia. Zwierzyłem mu się z moich ambicji.

— Myślę, że bardzo dobrze, kiedy człowiek wie, czego chce w życiu. Może wtedy iść prosto swoją wytkniętą drogą. Tyle jest ludzi niezdecydowanych.

— Nieraz się napotyka sprzeciw.

— Tym bardziej to podniecające. Co się robi, żeby zostać politykiem?

— No, właściwie zaczyna się na uniwersytecie. Ja należę do różnych organizacji... jestem w towarzystwie dyskusyjnym, w klubie politycznym. Często widuję się ze stryjem. Bywam w parlamencie i tam również się z nim widuję. To wchodzi w krew. Czytam gazety, wyrabiam sobie zdanie o wydarzeniach na świecie. Omawiam wszystkie ze stryjem i on mnie ze wszech miar zachęca. Szalenie ciekawe są te sprawy. Ludzie mają skłonność do zamykania się w swoich małych kokonach. Wiedzą, co się dzieje w najbliższym sąsiedztwie. Wiedzą o zburzeniu mostu Tay. Wiedzą, że Gladstone pokonał Beaconsfielda i jest u władzy. Wiedzą, że Parnell stanął

przed sądem, oskarżony o spisek. Ale nie wiedzą, co się dzieje w Afryce. To znaczy, nie wiedzą, dlaczego. Zanadto się rozgadałem. Musi mi pani wybaczyć. Poniosło mnie. Powiedziałam:

— Mnie to bardzo interesuje. Na pewno będzie pan doskonałym politykiem.

W tej samej chwili do ogrodu weszła Grand'mère. Szukała mnie.

— Grand'mère — zawołałam. — To pan Drake Aldringharn. Właśnie przyjechał i nie zastał nikogo.

Podeszła do nas. Miała w sobie wielką godność. Można by myśleć, że jest panią tego domu.

— Wiele słyszeliśmy o panu — powiedziała. — Z pewnością Charles będzie żałował, że nie było go tutaj, żeby pana powitać.

— Moja wina — powiedział Drake. — Powinienem był go uprzedzić, ale wolałem przyjechać bez straty czasu.

— Tak więc powitała pana moja wnuczka.

— Tak. Bardzo miło nam się rozmawiało. Tylko obawiam się, że za dużo mówiłem o sobie.

— To świadczy, że pan już jest politykiem naprawdę dobrym — powiedziałam, a on się roześmiał.

Usiedliśmy na ławce nad sadzawką.

— Pan Aldringharn — wyjaśniłam — opowiadał mi o swoich dążeniach, Grand'mère.

Potoczyła się rozmowa o puszczy. Drake powiedział, że jest ciekaw Jedwabnego Domu. Taka niezwykła nazwa. Myślałoby się, że to dom zbudowany z jedwabiu, gdyby to było możliwe.

— Pan oczywiście wie, że Sallongerowie mają największą manufakturę jedwabiu w kraju — powiedziała moja babcia.

O tym nie wiedział, ale się zainteresował, więc zaczęłam mu opowiadać romantyczne dzieje hugenotów St Allengère, którzy dawno temu przyjechali do Anglii i stali się Sallongerami.

— Musieli zostawić wszystko, co posiadali. Mogli przywieźć ze sobą tylko swoją wiedzę o jedwabiu.

Przyznał, że to romantyczne i ekscytujące. Dodał, że jeszcze bardziej będzie się cieszył pobytem w Jedwabnym Domu, który kryje w sobie taką historię.

Widziałam, że Grand'mère go polubiła. Z jakimś szczególnym wyrazem w oczach uśmiechała się, potakiwała i mówiła płynnie, od czasu do czasu wtrącając słowa francuskie.

Długo mogliśmy gawędzić, ale przyszedł Charles. Gdy wrócił do domu, powiedziano mu, że niespodziewany gość jest w ogrodzie, więc zaczął go szukać i zapewne usłyszał nasze głosy.

Zdziwił się, widząc, że Drake Aldringham siedzi pomiędzy mną i Grand'mère i rozmawiamy jak dobrzy znajomi.

— Drake, witaj, stary — powiedział. Drake wstał z ławki.

— Jesteś już, Charles. Powinienem być cię zawiadomić, ale wydawało się, że lepiej od razu przyjechać.

— Cieszę się. Tylko mi przykro, że nie było nikogo, żeby cię przyjąć.

— Och, była przecież panna Lenore i jej babcia. Bardzo interesującą mieliśmy rozmowę.

Charles parsknął zgrzytliwym śmiechem. Na nas prawie nie spojrział. Wziął Drake'a pod rękę, mówiąc:

— Chodźmy do domu.

Drake obejrzał się przez ramię, uśmiechnął się do nas.

— Na razie do widzenia — powiedział. Odeszli.

Grand'mère popatrzyła na mnie. Oczy jej się śmiały.

— Czarujący. Bardzo... *interessant*... podoba mi się. Bardzo miły młody człowiek.

— Zupełnie sympatyczny.

— To dobrze, że ktoś taki przyjechał do tego domu — powiedziała Grand'mère.

Rozmarzyła się. Zaczynałam zdawać sobie sprawę, że zaprzątnęła ją myśl o mojej przyszłości.

Gdyśmy szły do domu z powrotem, nuciła cicho *En passant par la Lorraine*...

* * *

Wszyscy domownicy byli oczarowani Drake'iem Aldringhamem. Zachowywał się tak naturalnie, do wszystkiego odnosił się z entuzjazmem, do wszystkich czarująco. Nawet Cassie wysunęła się ze swojej skorupki i rozmawiała z nim bez skrępowania. Lady Sallonger wprost się nim zachwycała. Chciała, żeby siedział przy niej, dotrzymywał jej towarzystwa.

— Drogi chłopcze, musisz mi wszystko opowiedzieć o sobie. To mnie tak ożywia. Jestem tu uwięziona na tej kanapie, skazana na to, by życie trawić tutaj, a ty... ty masz takie cudowne plany. Opowiedz o tym swoim stryju... i oczywiście o ojcu. Kiedy wejdiesz do parlamentu?

Musisz być naszym posłem, prawda, Julio, że on musi? Wszyscy byśmy pracowali dla niego, prawda?

— Och, tak, wszyscy — potwierdziła Julia żarliwie.

Już na pół się w nim zakochała, ale myślę, że zakochałaby się pewnie w każdym kawalerze, który by się zjawił w tym czasie.

Drake miał masę wdzięku. Potrafił przybierać lekki ton w odezwie na trochę kokieterijną paplaninę lady Sallonger i zupełnie poważnie rozmawiał z Philipem; śmiał się serdecznie z Charlesem; był swobodny, z każdym czuł się dobrze. Dla mnie miał zawsze specjalny uśmiech i w salonie często siadał obok mnie. Przypuszczałam, że darzy mnie tą szczególną sympatią, ponieważ jestem pierwszą osobą, którą poznał po przyjeździe do Jedwabnego Domu.

Julia czuła się tym nieco urażona. Rozumiałam ją. Chciała być przedmiotem niepodzielnej uwagi Drake'a, a musiała dzielić się ze mną, nawet nie należąca do rodziny. Cassie, gdy z nim siedziałam, nieraz się przyłączała i aż dziwne, jak onieśmienie z niej opadało w jego towarzystwie. Często czułam na sobie badawczy wzrok Charlesa. Robiło mi się wtedy dosyć nieswojo. On mi daje do zrozumienia — myślałam — że powinnam pamiętać, gdzie moje miejsce.

Po debacie, jak umilić gościom pobyt w Jedwabnym Domu, lady Sallonger zdecydowała się wydać wieczorne przyjęcie. Zaprosimy dwadzieścia osób, więc razem z rodziną będzie spory tłum. Po kolacji mogą być tańce, chociaż nie huczny bal, bo na to osób za mało. Jest sala balowa prawie nie używana, co oczywiście się zmieni, gdy Julia zacznie bywać. Zaprosimy takich, którzy nie mieszkają

zbyt daleko, by wrócić do siebie tej nocy. Ale niech też będzie trochę gości z Londynu, którzy oczywiście mogą nocować. Jedwabny Dom dostatecznie przestronny. Planując to lady Sallonger nawet nabrała wigoru.

Poleciała, żebym jej przyniosła blok do notowania i pióro.

— Nie ten bloczek, Lenore... duży z mojej sekretery.

W końcu dostała odpowiedni blok i odpowiednie pióro i rozpoczęło się sporządzanie listy gości.

W domu panowało podniecenie. Ja miałam być na przyjęciu, wypełniać powierzony mi obowiązek.

— Zaopiekujesz się Barkerami, Lenore — powiedziała lady Sallonger. — Wątpię, czy ktoś będzie chciał z nimi rozmawiać... a ludzie chyba nie lubią czuć się pomijani. Miny niezadowolonych gości sprawiają, że przyjęcie wydaje się nieudane. Może nie powinnam była ich zaprosić. Są bardzo, ale to bardzo bogaci... tylko że to fortuna z budownictwa. I Jack Barker nie daje o tym zapomnieć. Wciąż mówi, jak budownictwo się rozwija, jak budownictwo podupada. Zaprosiłam ich, żeby zaokrąglić liczbę do dwudziestu. Mieszkają dosyć blisko, nie muszą zostać na noc.

Grand'mère, zanim się dowiedziałyśmy, że ja będę na przyjęciu, zastanawiała się niepewnie.

— To by coś znaczyło — powiedziała. — Chcę, żebyś była... bardzo mi na tym zależy.

Więc gdy jej powiedziałam o Barkerach, uradowała się.

— Uszyję ci suknię, *mon enfant*. Taką, że będziesz jaśniała wśród nich wszystkich.

— Julii by się to nie podobało — zauważyłam.

— Och, ona się na tym nie pozna. Nie ma wycucia stylu, ta dziewczyna. Nie wie, co to jest prawdziwa elegancja. Za bardzo lubi okazałość i błyskotki, a to nie twój styl, o nie. To nie *chic*.

Uszyła mi suknię rzeczywiście piękną. Moją pierwszą suknię „dorosłą”. Z jedwabiu w kolorze płomienia efektownym przy moich ciemnych włosach, z krótkimi bufiastymi rękawami i stanikiem obcisłym do talii, rozkloszowana, zdobną w falbany.

Miała łzy w oczach, gdy przymierzała mi tę kreację.

— Jesteś taka podobna do swojej mamy — powiedziała. — Mogłabym prawie uwierzyć...

Uściskałam ją. Powiedziałam, że suknia jest fantastyczna i będzie moją najukochańszą suknią do końca życia.

Nadszedł oczekiwany wieczór, goście się zjechali. Lady Sallonger przyjmowała ich, spoczywając na kanapie. Wyglądała jak królowa, gdy podchodzili, żeby jej się pokłonić. Miała przy sobie obu synów i Drake'a Aldringhama oczywiście też. Wszystko było wspaniałe.

Do kolacji *à la fourchette* przygotowano bufet, w jadalni rozstawiono stoliki. W sali balowej muzykanci już grali. Lady Sallonger przysłała tam, opierając się ciężko na ramieniu Charlesa.

Usadowiła się wygodnie, żeby oglądać tańce.

Ja oczywiście usiłowałam zabawiać Barkerów. Pan Barker przez cały czas opowiadał o swoim przedsiębiorstwie, „ani Barker prawie się nie odzywała, siedziała z rękami splecionymi na krągłym brzuchu niczym chiński Budda. Wpatrywała się w męża tak, jakby piła słowa dobywające się z jego otwartych ust bez ustanku.

Było mi jednak przyjemnie. Dowiedziałam się, jaka jest różnica pomiędzy budynkiem z cegieł

a budynkiem kamiennym, jakie są trudności ze znalezieniem fachowców i jaka to szkoda, że ludzie przy tym całym gadaniu o reformie już nie pracują tak, jak pracowali dawniej. Wszystko chyli się do upadku, odkąd byle kto może głosować.

Za przykładem pani Barker miałam na twarzy wyraz zbożnego zasluchania, ale myślą błędziłam. Drake Aldringham tańczył z Julią. Cassie siedziała przy matce. Tańczyć nie mogła z powodu swojej krótszej nogi. Biedna Cassie, pomyślałam, takie zabawy to niewielka uciecha dla niej.

Charles z daleka spojrział na mnie i ku mojemu zdumieniu podszedł.

— Dobry wieczór — powiedział — mam nadzieję, że podoba się państwu nasz bal?

— Wspaniały, wspaniały — odrzekł pan Barker. — Proporcje sali świetnie wyważone.

Wiedzieli, co robią, ci, którzy budowali ten dom.

— Zgadzam się z panem — powiedział Charles rzucając mi porozumiewawcze spojrzenie. —

Ale żałuję, że pana tu wówczas nie było. Gdyby pan był, z pewnością miałyby proporcje jeszcze świetniejsze.

Pan Barker wysłuchał tego zadowolony.

— Och, ja bym tu wprowadził trochę nowoczesności. Ten kominek, no, popatrz pan. Ręczę, że pochłania tony węgla. Powinien być płytszy.

— Z pewnością. Państwo pozwolą, porwę Lenore na chwilę. Wyraźnie chciałyby zatańczyć.

Odwróciłam się do pani Barker. Zdziwiło mnie to, że Charles tak troszczy się o mnie.

— W porządku — powiedziała pani Barker. — Młodzi powinni się bawić. Do widzenia tymczasem, panno Cleremont.

Charles mocno ujął mnie za rękę.

— Proszę. — Poprowadził mnie do tańca. — Ach, walc. Szaleję za walcem, a ty? — Objął mnie i przycisnął do siebie.

Serce biło mi szybko. Nie ufałam mu. Zwykle okazywał mi obojętność, nieledwie pogardę, a teraz raptem taki szarmancki. Nie mogłam pojąć, dlaczego.

— Jesteś mi wdzięczna, mam nadzieję — ciągnął — za to, że cię uwolniłem od dwojga starych nudziarzy.

— Och — odpowiedziałam — nie są tacy okropni. Pan Barker chyba doskonale zna się na budownictwie.

— Że też mama musiała ich zaprosić, a potem skazać ciebie na zajmowanie się nimi.

Okrucieństwo wobec młodości, tak bym to nazwał. Lenore, wyglądasz dziś uderzająco ładnie.

— Dziękuję. To ta suknia.

— Gdyby mnie kto pytał, powiedziałbym, że raczej to, co jest w tej sukni.

Przesunął mi palcami po karku, aż się wzdrygnęłam.

— Jesteś bardzo młoda, Lenore — stwierdził. — Jeszcze mała dziewczynka właściwie.

— Wkrótce ukończę szesnaście lat.

— Ho ho! To dopiero wiek! Słodka szesnastolatka nigdy nie całowana. Czy może całowana?

Wirował ze mną zawrotnie. Bardzo lubiłam tańczyć. Zwykle tańczyłam z Julią, którą uczyła panna Logan — na razie, jak przypuszczałam, bo przed samym sezonem chyba czekała Julię prawdziwa nauka tańca. Taniec to jeden z niezbędnych wdzięków towarzyskich panny na wydaniu. Zawsze z przyjemnością przyłączałam się do tych lekcji panny Logan, żeby Julia miała we mnie dansera. Ale teraz taniec z Charlesem wcale mi przyjemności nie sprawiał. Charles wydawał się jakiś inny niż zwykle, zawsze dotąd myślałam, że on po prostu się nie zniża do zwracania uwagi na mnie.

Gdy mijaliśmy w tańcu drzwi, zacieśnił objęcia i wymanewrował mnie z sali. Tańcząc sunęliśmy przez korytarz.

Zachłysnęłam się.

— Co ty robisz? Dokąd mnie prowadzisz?

— Cie—erpliwości! — zaśpiewał.

Otworzył drzwi przy końcu korytarza i znaleźliśmy się w małym pokoiku, w którym co dzień rano pokojówki segregowały i wstawiały do domowych wazonów świeżo ścięte kwiaty. Był tu zlew i

kran. Wiało chłodem w ciemnościach. Nagle poczułam na ustach wargi Charlesa. Złęłam się jak rzadko kiedy.

— Puść mnie! — wrzasnęłam.

— A niby dlaczego?

— Nie przypuszczałam, że...

— Wiesz, jesteś dosyć ładna. Jesteś smarkula, ale smarkulę można nauczyć. Ja cię nauczę wielu rzeczy.

— Nie chcę tego słyszeć. Chcę wrócić do sali. Muszę zadbać, żeby państwo Barkerowie zjedli kolację.

— Potrafią zadbać o to sami. No, Lenore. O co chodzi? Przecież wiesz, że cię lubię.

— Na pewno mnie nie lubisz — powiedziałam. — Zawsze mną gardziłeś.

— Nigdy nie gardzę ładnymi dziewczętami — spróbował wsunąć mi palce za dekolot.

— Jak śmiesz! — wykrzyknęłam. — Idę stąd... już!

Zastąpił mi drogę.

— Przestań. Nie drażnij się tak ze mną. Nie cierpię dziewcząt, które się drażnią.

— A ja nie cierpię ludzi, którzy się narzucają.

— Och, jaka jaśniepannica!

— Jestem sobą i nie z każdym chcę rozmawiać.

— Ty mały bękarcie — powiedział Charles.

Oniemiałam, a on roześmiał się szyderczo.

— Czemuś taka zgorszona? Jesteś bękartem. Nie wiem, po co trzymamy cię w domu. Takaś pyszna... nie zgadzasz się na przyjacielski pocałunek... chociaż sama mnie do tego doprowadziłaś.

Milczałam ze zdumienia i wściekłości. Nie widział mojej twarzy, bo było ciemno. Powiedział

już łagodniej:

— Nie bądź niemądra, Lenore. Podobasz mi się. Powinnaś być z tego zadowolona. Zresztą na pewno jesteś. Przeżyjesz ze mną bardzo przyjemne chwile. Będziemy przyjaciółmi. To dopiero początek. Niedobrze, że masz sypialnię tak blisko swojej babci. Myślisz, że staruszka by słyszała, gdybym tam przyszedł po cichu? Wykrzyknęłam.

— Nie pojmuję, dlaczego tak mówisz do mnie!

— Dlatego, że wyrastasz na ponętą dziewczynę i już czas, żebyś się przekonała, jak dobrze ponętne dziewczyny mogą się bawić.

Gniew we mnie lodowaciał. Wiedziałam, co on mi daje do zrozumienia. Taka jak ja, nisko, zgoła nieszczacownie urodzona powinna wdzięcznym sercem przyjmować uwagę syna domu.

Nigdy go nie lubiłam, teraz poczułam do niego nienawiść.

— Proszę, zrozum: chcę stąd natychmiast wyjść i wypraszam sobie takie zachowanie.

— Och, jaka ważna! Za kogo ty się uważasz, francuska szumowino? Tak ci uderzyło do głowy to, że mam dobre chęci, chcę ci pokazać, co może dla ciebie zrobić gentleman...

— Sęk w tym, że nie jesteś gentlemanem.

Brutalnie chwycił mnie za rękę.

— Posłuchaj, dziewczyno. Masz mi tylko dać trochę przyjemności. Przecież po to są takie jak ty. Nie przyznano ci żadnych praw w naszym domu. Twoja babka może pracować u nas, ale to nie znaczy, że ty możesz pozować na wyniosłą damę... jeżeli sobie na to nie zasłużysz. No, Lenore, powtarzam, że mi się podobasz. Pocałuj mnie. Wiele mogę ci pokazać.

Wpadłam w popłoch. Byłam z nim sama w ciemnym pokoiku. Podniosłam raptownie rękę i uderzyłam go w twarz. Zaskoczyłam go tym, aż zachłysnął się ze zdumienia i bezwiednie mnie puścił. Nie tracąc czasu, przesunęłam się obok niego, wybiegłam na korytarz. Nie przestawałam biec, tak się bałam, że on mnie goni.

Od razu popędziłam na górę do swojego pokoju. Mignęło mi w lustrze moje odbicie. Twarz miałam rozplomioną, włosy potargane. Umyłam się zimną wodą i zobaczyłam z ulgą, że czerwone ślady na przedramieniu zaczynają znikać. Uczesałam się. Ręce mi drżały, ale byłam już spokojniejsza.

Może Charles wypił za dużo wina. Nie wierzyłam w to, że naprawdę mu się podobam.

Odniósł się do mnie nie inaczej niż do pokojówki chichoczącej, gdy spojrzał w jej stronę, i robiącej tajemniczą minę, jakąś szczególnie porozumiewawczą. Poczynał sobie ze mną tak, jak z pokojówkami.

Bałam się, ale musiałam wrócić do sali balowej, bo zauważono by, że mnie nie ma.

Towarzystwo nie było tak duże, żeby długo nie dawała się dostrzec czyjakołwiek nieobecność.

Zeszłam na dół i wślizgnęłam się do sali. Nikt nie patrzył na mnie ze zdziwieniem. Barkerowie nadal siedzieli sami we dwoje. Podeszłam do nich.

— Przyjemny był taniec? — zapytała pani Barker.

Uśmiechnęłam się wymijająco i zaproponowałam, żebyśmy poszli na kolację.

Prowadząc ich do jadalni, zobaczyłam Charlesa. Rozmawiał z Amelią Barrington, jedną z córek naszych najbliższych sąsiadów. Spojrzał na mnie jak na powietrze.

— Piękny pokój — mówił pan Barker. — Ale wkrada się tu wilgoć. Trzeba by w to wejrzeć.

Przyłączył się Philip z Cassie. Cassie wydawała się trochę zmęczona. Wolałaby, żeby ta zabawa już się skończyła. Pewnie, że to dosyć smutne tylko siedzieć i patrzeć, jak inni tańczą.

Philip rozmawiał z panem Barkerem — a raczej pozwalał mu mówić i nawet okazywał zainteresowanie przemysłem budowlanym, chociaż może tylko przez uprzejmość.

Powiedział mi później, że ma wiele sympatii dla ludzi zapas jonowany eh swoją pracą. Bo jego tak właśnie pasjonuje jedwab.

Do samego końca tamtego wieczoru byłam oszołomiona. Nie mogłam zapomnieć o nieprzyjemnym incydencie z Charlesem.

Gdy wreszcie położyłam się spać, przysłała do mnie Grand'mère, żeby porozmawiać. W

jedwabnym szlafroku, który, ponieważ sama go sobie uszyła, był szczytem wytworności, usiadła na krawędzi łóżka.

— No i jak? — zapytała. — Tańczyłaś?

— Trochę. Pan Barker nie tańczy, a ja musiałam ich zabawiać.

— Tańczyłaś z panem Aldringhamem?

— Nie. On był prawie wciąż z Julią. — Wyraźnie ją to rozczarowało. — Tańczyłam z Philipem zaraz po kolacji. Kolację jadłam z nim i z państwem Barker, i z Cassie.

Niezbyt z tego rada, powiedziała:

— Jesteś zmęczona. Powinnaś już zasnąć.

Chciałam nie tyle zasnąć, co być sama, żeby przemyśleć nieprzyjemny w sumie wieczór.

Grand'mère odeszła rozczarowana. Młoda dziewczyna po swoim pierwszym balu powinna być pełna wrażeń, kipieć potrzebą opowiedzenia, jak się bawiła. A ja mogłam myśleć tylko o tych strasznych chwilach w ciemnym pokoiku. Nie chciałam ich pamiętać, ale dobrze zapamiętałam.

* * *

Nazajutrz Charles, gdy go zobaczyłam, po prostu mnie nie zauważał. Odetchnęłam z ulgą. On

zapomniał. Zachowuje się jak zawsze wobec dziewcząt, w jego mniemaniu istot niższego rzędu.

Może więc nie miałam czego się bać. Próbował ze mną, nie udało mu się i teraz tylko jest zły, bo go spoliczkowałam. Było to przecież dla niego zarówno znieważające, jak bolesne.

Przed południem Charles i Philip zabrali dokądś Drake'a chyba na cały dzień i Julia bardzo się irytowała.

Po obiedzie jeździliśmy konno — ona, Cassie i ja. Przez cały czas Julia mówiła o wczorajszej zabawie.

— Rzeczywiście bawiłam się cudownie — powiedziała. — Wprost nie mogę się doczekać, kiedy zacznę „bywać”. Wyobrażam sobie raz po raz takie przyjęcie jak to wczoraj. I Drake będzie w Londynie na pewno zapraszany wszędzie ze względu na jego ojca i przede wszystkim stryja. Ludzie bardziej szanują ministrów niż admirałów.

— Nie wydaje mi się — powiedziałam. — Prasa tak ministrów oczernia.

— I właśnie dlatego ludzie się nimi interesują. A żeby się mówiło dużo o marynarzach, musi być wojna. Mam szczerą nadzieję, że Drake zajmie się polityką. Jakież to będzie ekscytujące!

— Myślisz — zapytała Cassie w zadumie — że będziesz z bliska widziała tę ekscytację?

Julia spłonęła rumieńcem.

— Ja... ja zawsze myślałam, że chciałabym prowadzić takie życie. Wiecie, ta gorączka wyborów... i miejsce w parlamencie i spotkanie takich mężów stanu jak lord Beaconsfield i pan Gladstone. Wiecie, Mary Ann Wyndham Lewis została później żoną lorda Beaconsfielda.

Wszyscy nazywali ją Mary Ann, nawet kiedy już była lady Beaconsfield. To szalenie romantyczne. Ona miała mnóstwo pieniędzy. Naprawdę to dlatego, że on się z nią ożenił.

— Szalenie romantyczne — powtórzyłam z przekąsem. — Przyznajesz, Cassie?

— No — powiedziała Julia — często małżeństwa z rozsądku okazują się w końcu bardzo dobre. Ich małżeństwo takim się okazało, i ona mawiała, że on może ożenił się z nią dla pieniędzy, ale po tylu latach przeżytych razem ożeniłby się z nią z miłości. Drake opowiadał mi o tym nad wyraz interesująco. Słuchałabyś go jak urzeczona, Cassie. I ty także, Lenore, tylko że musiałas zabawiać tych nudnych Barkerów.

— Philip i Cassie przyszli mi na pomoc. Wtedy już nie było tak źle.

— Państwo Barker to szczęśliwe małżeństwo — powiedziała Cassie. — Pani Barker uważa, że pan Barker jest nadzwyczajny. I miło patrzeć, jak mu się przysłuchuje i przytakuje przez cały czas. Byłaby chyba gotowa zamordować każdego, kto by powiedział o nim złe słowo albo spróbował mu zaprzeczyć.

— Małżeństwo, w którym jedna strona jest podporządkowana drugiej, musi być udane. Myślę, że mężczyźni szukają takich idealnych żon — oświadczyłam.

— Nie sądzę, żeby Drake chciał takiej. Drake lubi, żeby mu się sprzeciwiać. Zauważyłam to

— stwierdziła Julia.

— Ja nie zauważyłam — powiedziała Cassie.

— Kochana Cassie, nie przebywasz z nim tak ciągle, jak ja. — Julia się napuszyła. — On jest taki zabawny. Nad wyraz mi się podobała jeszcze jedna jego opowieść o lady Beaconsfield. Lord Beaconsfield był wtedy zwykłym panem Benjaminem Disraeli. A ona przycięła sobie rękę drzwiczkami, kiedy wsiadała do karety, żeby z nim pojechać do Izby Gmin, gdzie miał wygłosić przemówienie. Nie powiedziała mu o tej ręce, a ból musiał być straszny, ale nie powiedziała, siedziała uśmiechnięta i gawędziła jak gdyby nigdy nic, żeby, broń Boże, się nie zdenerwował i nie pokręcił czegoś w tym swoim przemówieniu. A ten ból na pewno był straszny.

— To ładna historyjka — powiedziała Cassie. — Bardzo mi się podoba. A tobie, Lenore?

— Mnie też — odrzekłam — ale myślę, że ja bym nie chciała być cieniem mojego męża... jak pani Barker, na przykład. Chciałabym być sobą. Może chciałabym coś robić w życiu...

niezależnie od małżeństwa.

— Och — powiedziała Julia — oczywiście za nic bym nie chciała być niczym cieniem.

Jednak żony mężów stanu mają rolę do odgrywania w społeczeństwie. Mary Ann Disraeliego śledziła wszystko, co działo się w Izbie, i zawsze na jego powrót do domu czekała z kolacją na zimno, o którejkolwiek by wrócił godzinie. Wtedy jej opowiadał dokładnie, jak było w parlamencie. I pani Gladstone jest bardzo dobrze znana w salonach. Pani Gladstone zawsze pilnuje, żeby zadbano o wygodę jej męża. Drake mówi, że w domu ona rządzi. Więc widzicie, jakie to ekscytujące.

— Dlaczego raptem tak cię interesuje świat polityki? — zapytała Cassie.

Julia lekko się zarumieniła.

— Pewnie dlatego, że wciąż rozmawiam z Drake'iem.

Cassie i ja wymieniliśmy spojrzenia. Nie ulegało wątpliwości, że Julia jest zakochana. To było do przewidzenia. Ukończyła siedemnaście lat, Drake miał lat dwadzieścia jeden. Oboje więc doszli już do wieku, w którym można myśleć o małżeństwie.

Wracając do domu spotkałyśmy Drake'a i Charlesa na konnej przejażdżce.

— Cześć — powitał nas Drake. — Już wracacie?

— Jeździłyśmy sobie — powiedziała Julia.

— W puszczy jest tak pięknie. — Drake miło po swojemu uśmiechnął się do nas wszystkich trzech.

Julia wpatrywała się w niego jak sroka w kość. Za bardzo to okazuje, pomyślałam i zastanowiłam się, czy będę śmiała jej powiedzieć, że zawsze lepiej ukrywać trochę swoje uczucia.

— Jedziecie do domu? — zapytał Charles.

Julia odpowiedziała, że tak.

Ja się nie odezwałam. Charles przecież nie zwrócił się do mnie. W ogóle mnie nie dostrzegął.

Czyżby zamierzał ignorować mnie już zawsze? Nie miałabym nic przeciwko temu. W istocie, byłabym z tego zadowolona, pomyślałam.

Wracaliśmy więc w pięcioro. Drake jechał pomiędzy mną i Julią.

— Bardzo interesujący był wczorajszy wieczór — powiedział.

— O tak, prawda — przytaknęła Julia.

— Lenore — odwrócił głowę do mnie — jak widziałem, byłaś bardzo zajęta.

— Ona dostała polecenie od mamy — wyjaśniła Julia. — Mama bała się, że każdy będzie uciekał od Barkerów, bo są tacy nudni, więc Lenore się nimi zajmowała.

— To bardzo szlachetnie, Lenore — powiedział Drake.

— Wcale nie. Robiłam to na polecenie.

— Nieważne — wtrąciła się Julia. — Byłaś tam i tańczyłaś z Charlesem i z Philipem.

Bawiliśmy się cudownie, prawda, Drake?

— Zabawnie było, owszem — odpowiedział.

— A ty, Charles, jak się bawiłeś? — zapytała Julia.

— Och, miałem bardzo udany wieczór — odrzekł Charles.

— Szalałeś z pannami?

— Jeszcze jak! — powiedział.

Dojechaliśmy do mauzoleum.

— Co za nadzwyczajny budynek — zauważył Drake.

— To grobowiec — wyjaśniła Julia.

— Bardzo ozdobny.

— Zbudowany jakieś sto lat temu — wyjaśnił Charles. — Raczej tu niesamowicie, nie sądzisz?

— Nic dziwnego — powiedział Drake. — Czy jest otwarty?

— Wielkie nieba, nie. Otwiera się to mauzoleum bardzo rzadko... Chyba tylko wtedy, gdy kogoś się chowa. I pomyśleć, mnie tam kiedyś położą... i Philipa. Co za myśl! Wy, dziewczęta, na pewno wyjdziecie za mąż i nie będziecie już Sallonger... a więc godne tego miejsca.

— Zawsze interesowały mnie mauzolea. — Drake zsiadł z konia. — Muszę się temu przypatrzeć. Ta robota kamieniarska jest znakomita. Tyle pracy włożonej w... miejsce wiecznego spoczynku.

— Ja to nazywam Dom Zmarłych — powiedziała Cassie.

— Dosyć to straszne. — Julia wzdrygnęła się.

— Nie chciałabym tędy przechodzić nocą — dodała Cassie. — A ty, Lenore?

— Myślę, że czułabym się raczej nieswojo — przyznałam.

— Ciekawe, skąd taka nazwa, mauzoleum — powiedziała Julia. — Ale pasuje, czyż nie?

Trudno sobie wyobrazić bal czy przyjęcie w mauzoleum.

— Moim zdaniem, to słowo wydaje się upiorne tylko z powodu tego, co oznacza —

powiedział Drake.

— Chyba nie wiadomo, kto pierwszy tak to nazwał — Cassie się zadumała.

— Mogę ci powiedzieć — Drake uśmiechnął się do niej. — Kiedyś chciałem studiować archeologię. Jeżeli zawiodę jako polityk, może do tego wrócę. Pierwszym mauzoleum był

grobowiec w Halikarnasie, który kazała wznieść dla Mauzolososa, króla Karii, wdowa po nim w roku 352 przed Chrystusem. Tamto mauzoleum było tak wielkie i wspaniałe, że zostało uznane za jeden z siedmiu cudów świata.

— Chciałabym je zobaczyć! — wykrzyknęłam.

Odwrócił się do mnie z uśmiechem.

— To niemożliwe. W ciągu trzynastego i czternastego wieku popadło w całkowitą ruinę.

Rozbierali je, żeby mieć budulec.

— Panowie Barker w trzynastym i czternastym wieku — mruknęłam.

— Na pewno nie uważali się za wandali. Ale kiedy będziesz w Londynie, Lenore, zabiorę cię do British Museum. Niedawno... w 1857 roku odkryto teren tamtego grobowca... i wszystko, co ocalało, przywieziono do Anglii. Jest wystawione w muzeum.

— Bardzo chcę to zobaczyć.

— Ja też — powiedziała Julia.

— Z przyjemnością będę tam towarzyszył wam obu.

— I mnie? — zapytał Charles.

— Oczywiście. Widzę, że zdołałem was zainteresować archeologią. — Drake zwrócił się do Charlesa. — Czy dałoby się zajrzeć do tego mauzoleum?

— Chyba tak — odpowiedział Charles. — Klucz gdzieś jest. Clarkson pewnie wie, gdzie.

— Może pojedź po klucz, Charles — powiedziała Julia. — To wszyscy teraz zajrzemy.

— Dobrze — zgodził się Charles i skierował swego wierzchowca w stronę domu.

— Mam nadzieję, że nie nudzi was mój entuzjazm — powiedział Drake.

— Różni się od fachowości pana Barkera — zapewniłam go solennie.

Parsknął śmiechem i znów zabrała głos Julia.

— Moim zdaniem, przeszłość wydaje się urzekająca. Musi ci być bardzo przyjemnie, Drake, odkrywać takie rzeczy.

— Jest urzekająca. Dałbym wiele, żeby uczestniczyć w jakimś spektakularnym odkryciu...

odkopywać zaginione miasto... świątynię czy grobowiec. Naturalnie taki ewenement zdarza się raz na wiele lat, jeśli w ogóle. Przeważnie ta praca to ciężka harówka bez żadnych nagród.

— Widzę, że wygra polityka — powiedziałam.

Uśmiechnął się smutno.

— Niewykluczone.

Rozmawialiśmy o starych grobowcach i o wczorajszym balu, dopóki nie wrócił triumfalnie Charles z kluczem w podniesionej ręce.

— Teraz — powiedział — zaspokoisz swoją makabryczną ciekawość.

Wszyscy zsiadliśmy z koni. Charles poszedł pierwszy do drzwi mauzoleum, mijając anioły z płomienistymi mieczami. Drake zobaczył nie opodal wbity w ziemię mały krzyż.

— To wygląda na miniaturową mogiłkę — zauważył.

— To jest grób — wyjaśniła Julia. — Tu leży pies.

— Któryś z waszych?

— Nie... nie nasz — odpowiedziała.

Ja mu wyjaśniłam dokładnie.

— Ukochany kundelek jednego z chłopców ze stajni. Kilku podłych łobuzów zabiło go kamieniami... niedaleko stąd. Ten chłopiec strasznie się przejął. Jest trochę głupkowaty i całym sercem kochał tego psa. Nie pojmuję, jak ludzie mogą robić coś takiego. — Rozgorączkowałam się, Przypominając sobie to wszystko. Wciąż jeszcze mnie to oburzało. Wiedziałam, że Willie często przychodzi na ten grób i rozmawia z duszkiem kundelka. Sama go słyszałam.

Miał teraz małego Pieprza, rzeczywiście pociechę, ale o tamtym nie zapomniał. Raczej ze wstydem poczułam, że mam łzy w oczach.

— To haniebne! — uniósł się Drake. — Tylko bezmyślni idioci tak postępują.

Pełen współczucia wziął mnie pod ramię i tuż przy mnie szedł ku aniołom.

— Gotów? — zapytał go Charles. — Nadchodzi wielki moment. — Włożył klucz w zamek i zaczął przekręcać. — Nie poddaje się — stwierdził — bo rzadko używany... tylko wtedy, gdy jakiegoś następnego nieszczęsnego Sallongera dołączają do przodków.

— Tam pewnie duchota — powiedział Drake.

— O ile wiem, są jakieś otwory, żeby napływało powietrze — powiedział Charles.

Drzwi się otworzyły. Strome schody wiodły w dół, w ciemność. Zaczęliśmy schodzić gęsiego, Charles na przedzie.

— Ostrożnie! — wołał. — Łatwo zjechać, uważajcie! Diabli wiedzą, co może się tutaj przydarzyć.

Schodziliśmy i schodziliśmy. Było chyba co najmniej trzydzieści stopni tych schodów. Ale w końcu znaleźliśmy się w wysoko sklepionej podziemnej komnacie. Przed nami stały ogromne posągi. Matka Boska z Dzieciątkiem i kobieta między dwoma aniołkami. Trzeci posąg przy tym drugim przedstawiał chyba szatana. Szatan zamierzał się na aniołki berłem i przypuszczalnie miała to być walka o duszę nieboszczki. Wyglądało to doprawdy niesamowicie, uwypuklone światłem padającym przez otwór w kamiennej ścianie, który na zewnątrz, jak się zorientowałam, był na poziomie ziemi. Przy bocznych ścianach ciągnęły się rzędy trumien.

Drżałam z zimna. Wydawało mi się, że zostałam schwytana w przeszłość.

— Robi wrażenie — szepnął Drake. — Nawet jest w stylu grobowca Mauzolosza. Widziałem tamto

mauzoleum na obrazach, odtworzone z czasów przed zrujnowaniem.

— Która chciałaby spędzić noc tutaj? — zapytał Charles. — Ty, Cass... jak myślisz?

— Myślę, że osiwiłabym w ciągu tej nocy — pisnęła Cassie. — Ludzie siwieją, wiecie, kiedy doznają wielkiego wstrząsu.

— Byłoby zabawnie zobaczyć cię białowłosą — powiedział Charles. — Może ją tu zostawimy?

— Nie! — wrzasnęła Cassie.

— Oczywiście że nie — uspokoił ją Drake. — Ale gdyby nie te mroki i myśl o zmarłych nie wydawałoby się tu tak upiornie. Naprawdę to tylko podziemny grobowiec.

— Ciekawe, co tu się dzieje w nocy — powiedziała Julia. — Myślicie, że oni wychodzą z trumien i tańczą?

— Niezbyt im przyjemnie tańczyć w samych całunach. Temperatura tu makabrycznie niska — powiedział Charles.

Drake chodził wokoło, przyglądając się ścianom. Oświadczył, że to wszystko jest urzekające.

— Powinniśmy otworzyć to dla turystów — podchwycił Charles.

— Tu za zimno i w ogóle — powiedziała Julia.

— Tchórze! — Charles prychnął. — Czegóż jednak innego można się spodziewać po dziewczynach.

Wilgoć wsączała mi się w kości. Patrząc na parapety z trumnami, pomyślałam, że tu jest miejsce jeszcze dla wielu nieboszczyków.

Nagle poczułam, że ktoś z tyłu ujmuje mnie za ramiona.

— Mam cię — zaświstał mi w uchu szept. — Jestem duch tego mauzoleum. Zatrzymam cię i będziesz moją oblubienicą.

Odwróciłam się gwałtownie i spojrzałam prosto w błyszczące oczy Charlesa. Staliśmy twarz przy twarzy. Cała się trzęsłam.

— No, zląkłaś się — stwierdził Charles ze śmiechem.

— Kto by się nie zląkł napadnięty w takim miejscu? — powiedział Drake. — Skończ z tymi figlami, Charles.

— Nie myślałem, że ona taka bojaźliwa. Lenore, robisz z siebie Bóg wie co, a jesteś przerażoną myszą.

— Chodźmy stąd — powiedziała Julia. — Dostyc mam już tego. Zobaczyliśmy, jak tu jest.

Przecież tylko o to ci chodziło, Drake.

— Tak. Bardzo to interesujące. Chciałbym tu przyjść znowu. Następnym razem powinniśmy przynieść świece.

— I ciepłe płaszcze — dodała Cassie.

Julia ruszyła do schodów.

— Ja pójdę pierwszy — oznajmił zdecydowanie Charles. — Poprowadzę was.

— Ja zamknę tyły — powiedział Drake.

— Właśnie się zastanawiałem, kto pójdzie ostatni. — Charles się roześmiał. — Wy, dziewczęta, zanadto się boicie, zaraz wam się zdaje, że ktoś się czai, wyciąga szpony, żeby was zatrzymać. No, lecz wyraźnie okazałyście brak dobrego wychowania tą nieproszoną wizytą w prywatnym domu duchów.

— Ja się postaram, żeby mnie nie złapały — powiedział Drake. — Chodźmy już, jest rzeczywiście chłodno.

Zaczęła się wspinaczka po stromych schodach i zasapani, mrużąc oczy, wyszliśmy w końcu na świeże powietrze.

— No, mam nadzieję, że wam się podobało — powiedział Charles. Zerknął na mnie. —

Wyglądasz, jakbyś rzeczywiście zobaczyła ducha. Nawet myślę, że tak ci się uroiło.

— Nie — odparłam. — Tylko zaskoczył mnie twój figielek.

Skrzywił się.

— Muszę zwrócić klucz Clarksonowi. Specjalnie prosił. Więc na razie do widzenia.

Odjechał.

— To było przeżycie — powiedział patrząc na mnie Drake.

* * *

Mocniejsze przeżycie nastąpiło nazajutrz po południu. Drake wczesnym rankiem wybrał się z Charlesem i Philipem na jakąś męską wycieczkę. Julia się wściekała. Chciała przebywać z Drake'iem nieustannie.

Wzięłam książkę i szłam nad sadzawkę, gdy spotkałam jednego z młodszych stajennych.

Podbiegł do mnie, zdyszany.

— Och, panno Lenore. Ja właśnie mam sprawę.

— Co się stało?

— Willie. Pies mu zginął.

— Och, nie...

— A tak. Willie wychodzi z siebie. Przez cały dzień szukał w puszczy. A ja to chyba wiem, gdzie zginął.

— Gdzie?

— A w tym domu pochówkowym, panno Lenore. Ludzie tam wczoraj wchodzili. Mógł się dostać, jak drzwi były otwarte. Chyba słyszałem, jak tam skomli. Przyłożyłem ucho do szpary w kamieniach.

— Powiedziałaś Willie'emu?

— Nie mogłem go znaleźć. Myślałem, że może panna Lenore... bo taka życzliwa dla niego. Ja to nie chcę tam wejść.

— Ale musimy tam wejść, żeby sprawdzić.

Dał mi klucz.

— Dostałem od pana Clarksona... ja to nie chcę tam wejść... myślałem, że skoro...

Wydawało się możliwe, że Pieprz wszedł do mauzoleum wtedy, gdy drzwi były otwarte i tam zesliśmy. Może węszył gdzieś w okolicy. Często tam przychodził z Williem.

Nie uśmiechała mi się myśl o zejściu w to podziemie, ale powiedziałam:

— Chodź... razem pójdziemy się rozejrzeć.

Zawahał się.

— Chodź! — Powtórzyłam zniecierpliwiona. — Przecież pójdę z tobą. Nie będziesz sam.

Chłopak otworzył drzwi mauzoleum zostawiając klucz w zamku i zesliśmy na dół. Ja szłam pierwsza bardzo ostrożnie.

— Uważaj, te schody są wilgotne i śliskie — ostrzegłam chłopca.

Nie odpowiedział. Nagle sobie uprzytomniłam, że nie schodzi za mną. Usłyszałam głosy za otwartymi drzwiami. Więc ktoś jeszcze przyszedł?

— Pieprz! — zawołałam. — Pieprz, gdzie jesteś?

Światło z otwartych drzwi przysłonił jakiś cień. Zawołałam w górę:

— Pewnie się schował. Musiał się przestraszyć, kiedy zobaczył, że nie może wyjść.

U stóp schodów odwróciłam się. Krew mi zastygła w żyłach. Na schodach stał Charles.

— Charles! — wykrzyknęłam.

— We własnej osobie.

— Jak... jak tu wszedłeś?

— Normalnie... na własnych dwóch nogach.

— Gdzie jest stajenny?

— Odesłałem go. Och, nie obawiaj się. Mam klucz.

Pokazał klucz, uśmiechając się do mnie.

Stanowczo nie chciałam okazać, że bardzo się obawiam być w takim miejscu sama z Charlesem. To zresztą było coś więcej niż obawa. To było coś koszmarnego.

— Pieprz! — zawołałam. — Gdzie jesteś?

— Gdzieś się zwierzak ukrywa. Znajdziemy go... jeżeli jest tutaj. Pieprz! Do nogi!

Nic. Nasze bezskuteczne wołanie brzmiało jakoś głucho, obco.

— No, jeżeli go tu nie ma, lepiej chodźmy stąd — powiedziałam. — Chłopcu się zdawało, że go tu słyszał i to było prawdopodobne, bo wczoraj otworzyliśmy te drzwi, a Pieprz tu często przychodzi z Williem.

— Jednak chyba go tu nie ma. — Charles odwrócił się i spojrzał na mnie. — Ty się boisz — powiedział.

— Nie lubię takich miejsc.

— Niezbyt tu przytulnie, prawda? I jeszcze bardziej ci się nie podoba to, że jesteś tu ze mną.

Zastanowiłam się, czy zdołam go wyminąć i wbiec na schody. Czy zdążę dopaść do drzwi przed nim? Wiedziałam, że nie zdążę, bo w tym mroku trzeba ostrożnie stawiać każdy krok.

— Nie bój się mnie — powiedział cicho. — Już ci mówiłem: chcę być twoim przyjacielem.

Ale ty mi nie pozwalasz.

— Nie chcę takiej przyjaźni, jaką mi proponujesz.

— Och, ja wiem, jesteś niepokalaną panienką. Szkoda. Przed czym ty się wzbranasz?

— Chyba powinniśmy już iść. Tego psa tu nie ma. Przyszędłby na wołanie, gdyby był.

— Myślisz, że będę cię napastował? Że zmuszę cię, żebyś się poddała moim diabelskim żądom? Przyznaj się. Myślisz, że jestem do tego zdolny, prawda?

— Tak, tak myślę.

Parsknął śmiechem.

— Zuchwała z ciebie dziewczka. Pozwól sobie powiedzieć, że ja nie muszę ubiegać się o względy.

— Z pewnością nie musisz. Więc zwracaj się do tych, które chcą... może pragną szalenie darzyć cię względami.

— Takich jest mnóstwo, zapewniam cię. Toteż nie zrobię tego, co mógłbym zrobić bez trudu, mój ty dumny bękarciu, tutaj jesteś zdana na moją łaskę. Cóż za dekoracja do sceny gwałtu w otoczeniu nieboszczyków.

— Ja już wychodzę.

— Nie tak prędko. Pewnie się boisz, że cię obrabuję z twojej niewinności... bo niewinna jesteś, prawda? Wymierzyłaś mi piekący policzek. Jeszcze go czuję. Tego, co mam do zaofiarowania, nie dałbym flądrze, która tego nie doceni.

— Potrafię zrozumieć. Przykro mi, że cię spoliczkowałam. Ale tyś mnie sprowokował. Skoro już się wzajemnie rozumiemy, może zapomnijmy o tym incydencie.

— Ja łatwo nie zapominam zniewag.

— Myślałam, że to ja zostałam znieważona.

— Myślałaś tak, bo masz fałszywe pojęcie o swojej pozycji, mała panno Cleremont.

— Niewykluczone — powiedziałam — ale mam szczerą nadzieję, że nigdy już nie będę ciebie trapić tym pojęciem.

— Więc wyjdźmy.

Był na schodach trochę przede mną. Nagle odwrócił się.

— Posłuchaj. Słyszałaś to?

Stojąc cicho i nasłuchując, też się odwróciłam, żeby spojrzeć w głąb mrocznej komnaty.

— Nie, nic nie słyszę — powiedziałam.

Roześmiał się. Gdy stałam odwrócona plecami, dalej szedł po schodach i dobrze mnie wyprzedził. Usłyszałam trzaśnięcie zamykanych drzwi, zanim do nich dobiegłam. Ze zgrzytem klucz obrócił się w zamku.

Ogarnął mnie straszny lęk.

Byłam sama — zamknięta w domu zmarłych.

* * *

Podeszłam do drzwi, zaczęłam w nie walić pięściami.

— Wypuść mnie! Wypuść! — wołałam.

Charles stał za drzwiami, słyszałam jego śmiech.

— Byłaś dla mnie bardzo niegrzeczna, ty mały bękarcie! — wrzasnął. — Należy ci się kara!

Siedź tam z nieboszczykami i rozważaj, jak się zachowałeś wobec syna swojego dobroczyńcy, ty niewdzięcznico! Musisz dostać nauczkę, wiesz o tym!

— Nie, nie! — krzyczałam.

Śmiech dolatywał coraz cichszy. Charles odszedł. Zostawił mnie zamkniętą.

Usiadłam na kamiennych schodach i ukryłam twarz w dłoniach. Było bardzo ciemno.

Pomyślałam: to nie dzieje się naprawdę. To sen. Zaraz się obudzę.

Ale wiedziałam, że to nie jest sen. Wiedziałam, że Charles wpadł na ten pomysł już wczoraj i zwabił mnie tutaj. Chłopiec stajenny wykonał jego rozkaz. Wcale nie chodziło o odszukanie psa.

Zawołałam:

— Na pomoc! Na pomoc! — Mój głos odbijał się słabym echem po podziemnej komnacie.

Może jednak ktoś mnie usłyszy, myślałam. Tylko kto mógłby być gdzieś blisko? Długo mam tu zostać?

Bałam się ruszyć ze schodów. Nie chciałam zejść na dół między trumny, wołałam siedzieć tak, żeby ich nie widzieć.

Wkrótce w domu zauważą, że mnie nie ma. Grand'mère się zaniepokoi. Podniesie alarm, zaczną mnie szukać. Wkrótce. Ale nawet chwila w takim zamknięciu jest przerażająca.

Dlaczego byłam taką ufną idiotką? Dlaczego nie kazałam stajennemu wejść przede mną? Ale tak mi się śpieszyło, tak pragnęłam znaleźć Pieprza. Zrobiłabym wszystko, żeby biedny Willie go odzyskał.

Siedziałam wpatrzona w mrok. Cisza może być straszna. Pojęłam, że nadstawiam uszu, słyhać czy nie słyhać zmarłych?

Przypominały mi się opowieści o duchach. Jeżeli duchy są gdziekolwiek na świecie, to przecież właśnie w takich miejscach jak to tutaj.

Znowu usłyszałam swój głos, teraz bełkot modlitwy:

— Błagam Cię, Boże, niech ktoś już przyjdzie... szybko... już... już.

Wstałam, bo nogi mi zdrętwiały. Znowu pięściami waliłam w drzwi, aż ręce mnie rozboleły.

Wiedziałam, że to daremne, ale nie przestawałam walić. A jeśli nikt nie przyjdzie... nikt, dopóki nie umrze następny z Sallongerów? Dopiero wtedy otworzą te drzwi, żeby wnieść trumnę i zobaczą mnie... martwą.

Ale na pewno będą mnie szukać. Muszą mnie znaleźć. Tylko komu na myśl przyjdzie mauzoleum? Chłopak stajenny im powie. Ale nie, nie powie. Charles dobrze go pouczył.

Nienawiść do Charlesa chwilami brała we mnie górę nad lękiem. Dlaczego ludzie są tacy wstrętni? Dlaczego chcą krzywdy innych? Tamci okrutni chłopcy, którzy ukamienowali psa Willie'ego... Charles, który niegodziwie postąpił ze mną, bo nie chciałam mu ulec...

Nie wiedziałam, ile czasu minęło. Piętnaście minut? Pół godziny? Próbowałam zastanowić się nad swoją sytuacją. Tak mnie to zaskoczyło. Na napastowanie byłam przygotowana.

Walczyłabym z Charlesem ze wszystkich sił, gdyby mnie napastował... ale takiej jego zemsty, jaką sobie obmyślił, przecież nie przewidywałam.

Czy istnieje prawdopodobieństwo, że ktoś będzie tędy przechodził? Wieczorem na pewno nikt. Służący nie lubią chodzić w okolice mauzoleum po zapadnięciu zmroku. Kiedy nadejdzie wieczór? Czy mam spędzić noc tutaj? I nawet kiedy zaświta... co dalej?

Ale z całą pewnością zaczną mnie szukać. Grand'mère się o to postara. Jeszcze nie zauważyła, że mnie nie ma. Dopiero wtedy, gdy nie przyjdę, żeby się położyć spać, bardzo się zaniepokoi.

Znów podeszłam do drzwi i waliłam w nie w poczuciu daremności. Wzywałam pomocy.

Jakaż jestem głupia, myślałam, przecież nikt nie usłyszy. Mrok mnie przytłaczał. W dole, w podziemnej komnacie przynajmniej było trochę światła ze szczeliny w ścianie. Wraz ze światłem napływało z tej szczeliny tuż nad ziemią trochę świeżego powietrza.

Odruchowo zesłam na dół.

Stałam w grobowcu: ciemnym, ponurym, z trumnami na parapetach, z posągami, które moja skołatana wyobraźnia przywoływała do życia. Miałam wrażenie, że berło szatana się porusza — że szatan zwrócił uwagę na mnie.

Przeniosłam wzrok, zapatrzyłam się w szczelinę. Może podejść tam, myślałam, i znów wołać, może wtedy ktoś usłyszy? To na nic. W okolicy nie ma nikogo.

Już bym wołała wrócić na górę do drzwi, niż pozostawać w mrocznej obecności śmierci. Ale tłumaczyłam sobie, że jedyna nadzieja jest w wołaniu, tak by głos niósł się przez szczelinę.

Wpatrywałam się tam. Jedyna nadzieja łączności ze światem na zewnątrz.

Jak długo mam tu zostać, myślałam. Charles przecież wie, jak ja się czuję. Uzna, że już dostatecznie mnie ukarał i wkrótce przyjdzie. Przypomniało mi się, co powiedziała Cassie.

Osiwiałaby tutaj w nocy! Niepewnie dotknęłam swoich włosów. Ale to niemożliwe, nie zostanę tu na noc. Nikt nie byłby aż tak okrutny... nawet Charles.

Ale ludzie są okrutni. Znów pomyślałam o łobuzach, którzy zabili kundelka Willie'ego. Popęd do stosowania bezcelowej przemocy rodzi się w umysłach otwartych dla niegodziwości, bo pustych. Ale Charles to co innego. Charles ma wykształcenie. Nie jest bezmyślnie okrutny. Jest okrutnie mściwy.

Odrzuciłam go — śmiałam go odrzucić, ja, dziewczyna skromnego stanu. Z tym nie mógł się pogodzić, a więc teraz daje mi nauczkę.

Znów modliłam się do Matki Boskiej z Dzieciątkiem. Usiadłam na najniższym stopniu schodów, chociaż kusiło mnie, żeby uciec na górę, już nie widzieć tej ponurej komnaty, posągów, trumien.

Zauważyłam, że po ścianach sączy się wilgoć, duże krople wody spływały równolegle, wprost się ścięły. Jak można w tak strasznych chwilach zauważać takie rzeczy?

Pomyślałam: czy ja tu umrę? A jeżeli nawet moich zwłok nie znajdą? Przypomniałam sobie ową pannę młodą, która w dniu swego ślubu weszła do skrzyni, zamek się zatrzasnął i nie mogła wyjść. To była zabawa w chowanego, szukano jej... ale nie znaleziono... dopiero po latach ktoś otworzył tę skrzynię i ujrzał szczątki w sukni ślubnej.

Ta opowieść zawsze mnie intrygowała. Biedna panna młoda! Jak ona się czuła, kiedy nie mogła się wydostać? Przynajmniej moja sytuacja, myślałam, nie jest aż tak beznadziejna.

On wróci, powtarzałam sobie uspokajająco. Tylko chciał mi dokuczyć. Zostawić mnie tu może na godzinę. Wróci, otworzy te drzwi i będzie śmiał się ze mnie.

Ile czasu już minęło? Skąd mogłam wiedzieć? Zamknięta w mroku, zatraciłam poczucie czasu.

Cisza... ta grobowa cisza. Nasłuchiwałam, usiłowałam wyłowić jakiś odgłos świadczący, że ktoś

jest w pobliżu. Pragnęłam usłyszeć... cokolwiek.

Niczego nie było.

Czułam na sobie wzrok jakiejś upiornej niewidzialnej istoty. Nadal światło padało przez szczelinę. Więc na zewnątrz jest dosyć słonecznie. To jeszcze nie noc.

Ale noc zapadnie, będzie zupełnie ciemno i wtedy coś się stanie.

Siedziałam na najniższym stopniu schodów zrozpaczona.

* * *

Czy to halucynacje, czy rzeczywiście słyszę szczekanie psa? Sprężyłam się, nadstawiłam uszu. Tak... słychać słabo... z daleka. Przeszłam przez komnatę i stanęłam bezpośrednio pod szczeliną w ścianie.

— Ratunku! Na pomoc! — Krzyknęłam. — Jestem w mauzoleum! Zamknięta!

Cisza.

Po długiej chwili znów usłyszałam szczekanie. Tym razem wyraźniej. Na szczelinę padł cień.

Zawołałam wniebogłosy:

— Ratunku! Ratunku! Wydostańcie mnie stąd! Cień zniknął.

Stałam przez jakiś czas wyęzając słuch. Ale już nic nie słyszałam.

Znów panowała grobowa cisza i byłam w rozpacz. Drżałam, czy z zimna czy ze strachu, nie wiedziałam.

Nikt w te okolice nie przyjdzie, a gdyby nawet ktoś przyszedł, nie usłyszałby mnie. Będę tutaj przez całą noc, jeżeli Charles nie wróci. On musi wrócić.

Czas mijał. Słabłam. Stopy miałam zdrętwiałe, ręce też. Czułam, jak zimno kamieni przenika przez suknię i bieliznę.

Grand'mère jeszcze nie wie. Jest zajęta w pracowni, jak zawsze pochłonięta swoją pracą.

Kiedy się dowie, że mnie nie ma, będzie szalała. Będzie nalegała, żeby szukano mnie wszędzie.

Ale komu przyjdzie na myśl mauzoleum?

I nagle usłyszałam hałas. Schody wydawały się już nie tak ciemne. Zgrzytnął klucz obracany w zamku. Zajaśniało światło, gdy drzwi raptownie się otworzyły.

Usłyszałam czyjś głos.

— Lenore, jesteś tam?

Usłyszałam znów szczekanie psa. Potykając się, wbiegłam na schody. Znalazłam się w czyichś ramionach.

— Drake... — szepnęłam. — Drake...

Drake powiedział:

— Już wszystko dobrze. Boże, ależ jesteś zziębnięta.

Pies szczekał i byłam już przed drzwiami. Świeże powietrze odurzało. W głowie mi się zakręciło. Myślałam, że zemdleję.

— Już dobrze — powtórzył Drake. — Zobaczyłam Willie’ego i znów usłyszałam szczekanie psa. — Zabieram cię do domu — powiedział.

A ja się osunęłam na ziemię.

Gdy odzyskałam przytomność, siedziałam przed mauzoleum, Drake mnie podtrzymywał.

— Tak lepiej. Biedne, biedne dziecko. Jak się to stało? Nieważne. Już po wszystkim.

— Drake — powiedziałam.

— Tak, jestem.

— Uratowałeś mnie.

— Chodź. Prędko zaprowadzę cię do domu. Potrzebne ci ciepłe łóżko i coś na uspokojenie.

Możesz wstać?

Wstałam chwiejnie. Willie patrzył zdumiony.

— Nogi niezbyt pewne — zauważył Drake. I podniósł mnie.

— Nie możesz...

— Mogę. Jesteś lekka jak piórko. No, nie traćmy czasu.

Idąc na przełaj, niósł mnie do domu.

Zapytałam:

— Charles... to on ci powiedział?

— Charles?

— Charles mnie zamknął.

Drake szedł już bez słowa. Przed domem odprawił Willie'ego.

— Brawo, Willie. Dobrze się spisałeś. Dziękuję ci. Panna Cleremont ci podziękuje, kiedy poczuje się lepiej.

— Więc to Willie — powiedziałam.

— Usłyszał twoje wołanie i miał dość rozumu, żeby przybiec po pomoc. Spotkał mnie, wziąłem klucz i tak cię uwolniliśmy.

Pełna ulgi wprost nie mogłam mówić.

W hallu byli pani Dillon i Clarkson.

— Miłosierny Boże święty — powiedziała pani Dillon. — Co jeszcze się wydarzy?

I przyszła Grand'mère. Od razu objęła dowództwo. Przenieśli mnie do mojego pokoju.

Bardzo szybko znalazłam się w łóżku. Leżałam pod paroma kocami i butelka z gorącą wodą rozgrzewała mi stopy.

Grand'mère siedziała przy mnie.

Spałam niespokojnie, wciąż się budziłam, myśląc, że jestem w mauzoleum. Krzyczałam ze strachu. Grand'mère mnie nie odstępowała. W końcu dała mi nasenny wywar ziołowy i zasnęłam już mocno pewna, że ona nie odejdzie, i jeśli „obudzę się przerażona, uspokoi mnie sama jej obecność.

* * *

Nazajutrz rano nic mi nie dolegało, ale Grand'mère się uparła, żebym została w łóżku.

Zmarzłam przecież na kość i najadłam się strachu.

Opowiedziałam jej o wszystkim, zaczynając od balowego incydentu.

— Charles tak się na mnie zemścił — wyjaśniłam — rozumiesz, Grand'mère.

— *Mon Dieu* — wyszeptała — pomyśleć, że jest do czegoś takiego zdolny! Jego trzeba się wystrzegać. Ale przynajmniej, *ma petite*, teraz wiemy, z kim mamy do czynienia. Żałuję, że nie mogę ciebie wywieźć stąd. Philip to delikatny, dobry chłopiec, zupełnie inny. Ale ten... złośliwy, taki on jest. Ale, *ma chérie*, mogłoby być gorzej. Ciarki mnie przechodzą, kiedy myślę, że byłeś z nim sama w tym grobowcu... Od dawna chciałam ci powiedzieć o takich niebezpieczeństwach.

Już nie jesteś małą dziewczynką. Będiesz mężczyznom wpadała w oko... tak jak Charlesowi.

Bóg łaskaw, że nie było gorzej. Och, wiem jak się dręczyłaś... jak się bałaś. Czyż mogłabyś się nie bać, zamknięta w grobowcu? Ale to już minęło. To był zły, zły sen. Tylko kiedy pomyślę, co mógłby zrobić taki mężczyzna jak on... Wtedy dopiero byłaby wielka krzywda. Cóż, za to ja bym go zabiła. I za to teraz także... Ale już na pewno, gdyby on...

Wiedziałam, o czym Grand'mère mówi, i wiedziałam, że powinnam dziękować Bogu.

— Ale dość na ten temat — zakończyła. — On wkrótce wyjedzie, uwolnimy się od niego. Nie odetchnę spokojnie, dopóki jest w domu.

— On mnie nienawidzi, Grand'mère.

— Bo zraniłaś jego próżność, odtrąciłaś go. Tak... *montagne* oszukaństwa, ten młodzieniec.

Sam się nabiera na to, że niby taki urodziwy i trudno mu się oprzeć. Trzeba jak najdalej od takich mężczyzn. Ale przynajmniej wiemy, z kim mamy do czynienia. To jest przestroga. Ochłoniesz i zapomnisz o tym... jak o koszmarnym śnie przypadkowo prawdziwym. Czasami jednak dobrze jest znać charakter ludzi w naszym otoczeniu. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Wiemy, jak patrzeć na Charlesa.

— I będziemy razem, Grand'mère.

— Dopóki jestem ci potrzebna. Kiedy się dojrzeje i ma się męża i dzieci... *les Grand'mères* nie są już takie ważne. Mniejsza z tym. To zwykła słuszna kolej rzeczy. Jeszcze jesteśmy razem.

I ja dopóki jestem przy tobie, będę nad tobą czuwała. A ty będziesz mi zawsze mówiła, kiedy się czegoś złękiesz. Wiem, że kiedyś będziesz szczęśliwa. Chcę, żebyś miała to wszystko, co ominęło twoją matkę. Ona była szczęśliwa bezmyślnie... zbyt ufna. No, ale to przeszłość, my musimy żyć w teraźniejszości.

Nazajutrz rano obudziłam się znów przerażona, bo wydawało mi się, że jestem w mauzoleum.

Ale po chwili uspokoił mnie widok swojskich sprzętów w moim pokoju. Grand'mère podeszła do łóżka.

— Dobrze spałaś — powiedziała.

— Byłaś tu, Grand'mère, przez cały czas?

— Wygodnie drzemałam sobie w fotelu. Teraz przyniosę ci śniadanie. Owsiankę, chyba...

trochę chleba z masłem. Pani Dillon doradziła owsiankę. Twierdzi, że to koi. Wszyscy bardzo się troszczą o ciebie. Clarkson się irytuje, bo Charles wziął ten klucz bez jego wiedzy.

Po śniadaniu chciałam wstać, ale Grand'mère uważała, że jeszcze nie powinnam.

— Byłaś przemarznięta do szpiku kości. Leż w ciepło, żebyś się nie zaziębiła.

Czułam się jakaś zwiotczała, nierzeczywista, więc nie miałam nic przeciwko temu.

Grand'mère dała mi „Jane Eyre” do czytania. Znałam dobrze tę książkę, ale zawsze mi się podobała. I zawsze mi było żal biednej Jane, której los sprawiał, że doceniałam swoje szczęśliwe życie.

Powiedziałam Grand'mère, że nie musi siedzieć przy mnie. Nie jestem przecież obłożnie chora i byleby była w pracowni, będę wiedziała, że jest blisko.

— Doznałaś wielkiego wstrząsu — powiedziała. — Nie tylko zmarłaś. Byłaś tam trzy godziny. Wystarczy, żeby każdy złodowaciał... ale samo to, że tam byłaś, jest chyba jeszcze gorsze. Więc musisz teraz spokojnie wypoczywać.

Przysła do mnie Cassie. Stojąc przy łóżku patrzyła czule, trochę pytająco.

— Wszystko w porządku, Cassie — zapewniłam ją. — Już tam nie jestem.

— Nie potrafię ci opisać, co czułam, kiedy usłyszałam, że byłaś tam całe trzy godziny. Ja bym umarła.

— Ja myślałam, że umrę.

— Włosy masz takie, jak miałaś. — Przyglądała mi się. — Ani trochę siwe, a byłoby widać, bo są bardzo czarne.

— Chyba się już z tego otrząsam... chociaż w nocy okropnie mi się śniło i obudziłam się z uczuciem, że jeszcze tam jestem.

— Nie wyobrażam sobie nic straszniejszego.

— Są rzeczy straszniejsze.

— Podziwiam twoją odwagę, Lenore.

— Szkoda, że nie widziałaś, jak się trzęsłam... przypominały mi się najkoszmarniejsze historie, wypatrywałam duchów... wcale nie byłam odważna.

— Zrobiło się zamieszanie — powiedziała Cassie. — Straszne. Mama bardzo się przejęła. Nie wychodzi ze swojego pokoju, zasłony tam zasunięte i tylko panna Logan może być przy niej.

— Ale dlaczego?

— Drake i Charles... pobili się o ciebie. Drake powalił Charlesa na ziemię i kazał mu się przyznać do tego, że zamknął cię w mauzoleum. Charles powiedział, że to jego sprawa i że tylko dał ci nauczkę. I że trzeba ci utrzyć nosa, bo zanadto się krygujesz jak na służącą. Drake wtedy wrzasnął, że on jest łajdakiem. I że to on kazał chłopcu stajennemu przyprowadzić cię tam i wtedy cię zamknął.

Charles powiedział, że nie zaprzecza, i że w ogóle, co to Drake'a obchodzi.

Drake powiedział, że to obowiązek każdego przyzwoitego człowieka i skoro Charles tak lubi dawać naucki, sam teraz naukę dostanie. Własnym oczom nie wierzyliśmy. Oni obaj byli zupełnie inni niż zwykle. Drake jest wyższy, więc Charlesa podniósł za kołnierz i potrząsał nim.

W końcu wrzucił go do jeziora. Julia płakała, ja prawie płakałam. W życiu swoim nie widziałam czegoś takiego.

— A co Charles w jeziorze?

— Wyszedł z wody, nie był daleko od brzegu, ale Drake już odszedł. Wrócił do domu, spakował rzeczy, zaanonsował się mamie i powiedział, że musi wyjechać, bo nagle go wezwano.

Mama się zdenerwowała, ale oczywiście musiała się z nim pożegnać. No więc Drake wyszedł, poprosił w stajni, żeby go któryś odwiózł na stację... i już go nie ma.

— To straszne. A Charles?

— Wyjeżdża dziś wieczorem. Nie chce powiedzieć, dokąd... tyle że do jakiegoś kolegi na całą resztę wakacji. Prosto stamtąd pojedzie na uniwersytet.

— Więc... obu ich już nie będzie i to tylko przeze mnie.

— Drake nie mógł u nas gościć, kiedy tak pokłócił się ze swoim gospodarzem. A Charlesowi pewnie teraz po prostu wstyd. Wiesz, Philip bardzo martwi się o ciebie.

— Philip był zawsze dla mnie dobry.

— Przyjdzie tu. Chciał się z tobą zobaczyć wczoraj, ale madame Cleremont powiedziała, że lepiej ciebie nie budzić.

Po odejściu Cassie wspominałam, jak Drake wszedł do mauzoleum, zabrał mnie i przyniósł do domu. Chyba nigdy już go nie spotkam, myślałam. Z pewnością nigdy już nie będzie w Jedwabnym Domu gościem Charlesa. Z pewnością oni się znienawidzili. Doznawałam mieszanych uczuć. Byłam — wdzięczna Drake'owi za to, że mnie bronił — nieomal jak w szrankach czy jak w pojedynku — i czułam się dzięki temu ważną osobą, chociaż Charles tak mnie upokorzył. Z drugiej jednak strony bardzo żałowałam, że Drake'a już nie zobaczę.

Przyszedł do mnie Philip.

— Kochana Lenore — powiedział. — Tak mi przykro. Straszne chwile przeżyłaś.

— To dobrze, że przyszedłeś, Philip — powiedziałam — mógłbyś przecież nie chcieć przyjść, takie z tego wynikły komplikacje.

— Więc już słyszałaś o Drake'u?

— Cassie mi opowiadała...

— Wstydzę się za mojego brata, Lenore.

— Zawsze wiedziałam, że on jest inny niż ty.

— Jest dosyć butny... Przechodzi teraz taką fazę. Szuka potwierdzenia siebie. Ale myślę, że mu to minie. W gruncie rzeczy nie jest taki zły.

Uśmiechałam się do Philipa. Był jednym z tych życzliwych dla całego świata i sądzących każdego według siebie.

— Jak się dziś czujesz?

— Grand'mère mnie rozpieszcza, wszyscy okazują mi troskliwość. Pani Dillon powiedziała, że powinnam jeść kleik.

Roześmiał się, ale zaraz spoważniał.

— To musiało dla ciebie być upiorne.

— Było. Siedziałabym tam jeszcze, gdyby nie Willie i Pieprz.

— Moje gratulacje dla Willie'ego. Drake uznał, że po tak gwałtownej kłótni z Charlesem nie może zostać.

— I Charles też wyjeżdża.

— Dziś wieczorem.

— Obawiam się, że rozbiłam towarzystwo.

— Charles rozbił, bo zachował się jak bydlę. Nie dziwię się Drake'owi, że wpadł w gniew i sobie pofolgował.

— Ale chyba rozumiesz, co odczuwam jako przyczyna tego wszystkiego.

— Przyczyną jest paskudna próżność Charlesa, toteż dostał porządną nauczkę.

— Ale Drake musiał wyjechać.

— Nie zostałby po czymś takim... w żadnym razie... był przecież jego gościem. Spuścił mu lanie, wrzucił go do jeziora. Nie bój się, że Charles coś zmaluje teraz. Przez dłuższy czas chyba nie będziemy go widzieli. Spokojnie wracaj do zdrowia.

— Nie jestem chora... tylko trochę wstrząśnięta.

— Takie przeżycie każdym by wstrząsnęło. Jutro, pojutrze ochłoniesz. Ja się tobą zaopiekuję.

Tak zdecydowaliśmy, Cassie i ja. Wiesz, ojciec, niedługo przyjedzie. Chce porozmawiać poważnie o przedsiębiorstwie. Tak samo ze mną, jak z Charlesem, oczywiście.

— Ale Charlesa nie będzie.

— Wątpię, czy Charlesowi na tym zależy. Jest starszy, ale to ze mną ojciec zwykle omawia te sprawy. Przekonam go, żeby mi pozwolił nie kończyć studiów. Chciałbym wejść do przedsiębiorstwa... natychmiast.

— Myślisz, że wasz ojciec się zgodzi?

— Przypuszczalnie tak. Jest zadowolony z mojego zainteresowania. I martwi go obojętność Charlesa. Ale dobrze, że przynajmniej jeden z nas się do tego pali.

Przyjemnie było rozmawiać z Philipem. Podobał mi się jego entuzjazm. I ta jego dobroć, ta naturalność. Gdy odszedł, czułam się już o wiele lepiej. I to świetnie, myślałam, że Charles wyjedzie, będąc miała spokój może przez wiele miesięcy.

Nie byłam przygotowana na Julię.

Po odejściu Philipa ona mnie odwiedziła. Zapłakana i bardzo gniewna. Stała w nogach łóżka, patrząc na mnie spode łba.

— Wszystko przez ciebie — powiedziała. — Drake omal Charlesa nie zabił.

— Słyszałam o tym. Bardzo mi przykro, że tak się stało.

— Tyś to sprawiła.

— Ja? Nie prosiłam, żeby on mnie zamknął w mauzoleum.

— Bóg wie, co opowiadałaś Drake'owi. Obserwowałam cię. Wciąż się starałaś zwrócić na siebie jego uwagę... aż wykombinowałaś taki dobry sposób.

— Julio, o czym ty mówisz? Myślisz, że chciałam siedzieć zamknięta w tym strasznym miejscu? Bałam się tam do utraty zmysłów. To była groza... z tymi wszystkimi trumnami.

— Ale Drake przyszedł i wybawił cię, prawda? O to ci chodziło.

— Przyszedł, bo Willie mnie usłyszał i przybiegł, żeby komuś powiedzieć. Przypadkiem natknął się na Drake'a.

— Drake wyjechał i chyba nie zobaczę go już nigdy więcej. — Wargi Julii drżały. — Tak dobrze nam było ze sobą... a tyś musiała to zepsuć!

— Julio — powiedziała stanowczo — ja tu nie zawiniłam, Charles...

Tylko popatrzyła na mnie kamiennym wzrokiem i wybiegła z pokoju wyraźnie gotowa wybuchnąć płaczem.

Wiedziałam oczywiście: zakochała się w Drake’u i do mnie ma pretensję o to, że go utraciła.

Zaręczyny

Ilekoć znalazłam się w okolicach mauzoleum, nie mogłam nie pamiętać grozy mojego podziemnego więzienia, ale już mi się nie śniła ta ciemna wilgotna komnata z wieloma rzędami trumien i posągami wyglądającymi jak żywe.

Charles długo trzymał się z daleka od domu. Nawet Boże Narodzenie spędził u któregoś z kolegów, rodzinę odwiedził dopiero w drugi dzień świąt i nawet nie został na noc. Nasze pierwsze spotkanie było trochę kłopotliwe, ale on najwidoczniej postanowił zachowywać się tak, jakby tamten nieszczęsny incydent nigdy się nie zdarzył, a ja chętnie się dostosowałam. Odnosił

się do mnie chłodno, z rezerwą, w miarę jednak przychylnie. Lepiej by nie mógł wybrnąć z sytuacji.

Julia zapomniała o swoim rozczarowaniu, bo w niedzielę wielkanocną miała być przedstawiona na dworze i przygotowania do tego wymagały całej jej uwagi. Z braku czasu chyba nie myślała często o Drake’u. Jego imię nigdy nie padło w rozmowach, nawet wtedy gdy lady Sallonger przy pewnej okazji zapytała:

— Jak on się nazywał... ten dosyć miły młodzieniec, który bawił kiedyś u nas? Nelson czy jak?

— Coś w tym rodzaju, proszę pani.

— Chcę teraz, Lenore, żebyś mi poczytała. To mnie uspi. Miałam raczej niedobłą noc. I myślę, że przyda się więcej poduszek... nie ta zielona... niebieska jest miększa.

Tak więc wydawało się, że Drake Aldringham raz na zawsze zniknął z horyzontu.

Zdecydowano, że Julia spędzi mniej więcej tydzień pod baczным okiem hrabiny Ballader w Londynie. Wiele jeszcze musiała się nauczyć, żeby pod każdym względem być gotowa na swoją wielką uroczystość.

Grand’mère miała z nią pojechać, zorientować się, co w Londynie jest modne, bo chociaż jej kreacje były doskonałe, nacechowane czymś swoiście jej, co Francuzi określają: *je ne sais quoi*, istniało prawdopodobieństwo, że nie nadążają za ostatnim krzykiem mody. Miała też ewentualnie kupić nowe materiały, inne niż te, które otrzymywała ze Spitalfields. Panna Logan znająca się na rzeczy, ponieważ służyła przedtem w domu wysoce arystokratycznym, zapewniała lady Sallonger, że to konieczne.

Jak coraz częściej ostatnio, dotrzymywałam lady Sallonger towarzystwa, gdy Grand’mère przyszła do niej. Zawsze mi imponowała godność mojej babci, jakaś wrodzona, natychmiast wywołująca szacunek.

— Proszę mi wybaczyć, lady Sallonger, że zawracam głowę, ale przychodzę w bardzo ważnej sprawie.

— Ojej — westchnęła lady Sallonger pełna niechęci do spraw bardzo ważnych, w których może musiałaby decydować.

— Mianowicie: mam jechać do Londynu, to *necessaire* dla panny Julii. Trzeba zobaczyć, co się nosi, i zrobić wszystko, żeby miała najpiękniejszą garderobę na sezon... tak, tak.

Niepomiernie mnie to cieszy, ale ja nie mogę wyjechać bez mojej wnuczki. Muszę ją mieć przy sobie. To *necessaire* dla mnie.

Lady Sallonger otworzyła oczy bardzo szeroko.

— Lenore!?! — wykrzyknęła. — Ależ Lenore jest potrzebna tutaj! Kto mi będzie czytał?

Właśnie czytamy jeszcze raz najciekawszą powieść pani Wood. I kto będzie się mną zajmował, jak nie ona?

— Wiem, że zawsze jest tu przydatna, lady Sallonger, ale nie mogłabym dobrze pracować, gdyby nie była ze mną... Zresztą to tylko tydzień... niecałe dwa tygodnie najdłużej. Jest panna Logan, taka sprawna. I jest panna Everton. One razem pani dogodzą.

— Wykluczone.

Patrzyły sobie w oczy bez drgnienia — dwie nieposkromione kobiety, przywykłe do stawiania na swoim. Grand'mère zwyciężyła, być może, dzięki swojej niezwykłej pozycji w domu Sallongerów oraz temu, że należał jej się haracz. Lady Sallonger, aczkolwiek pochłonięta sobą, przecież wiedziała, jak ważne jest wprowadzenie Julii w świat. Grand'mère powinna pojechać z Julią do Londynu, a było jasne, że nie pojedzie beze mnie.

W końcu lady Sallonger sznurując usta, powiedziała:

— Chyba będę musiała ją puścić, chociaż niezbyt mi to konweniuje.

— Wiem, jak pani moją wnuczkę ceni — powiedziała Grand'mère z odrobiną ironii — ale muszę ją mieć przy sobie. Bez niej bym nie pojechała.

— Nie rozumiem, dlaczego nie...

— Och, milady, nie zawsze łatwo jest zrozumieć „dlaczego nie”, jakie kto ma ważne powody.

Nie rozumiem, na przykład, dlaczego nie wystarczą pani usługi panny Logan. Pani jednak, skoro ma w Lenore taką wyrękę, łatwo zrozumie, dlaczego ja nie mogę się bez niej obejść przez ten bardzo ważny tydzień.

Grand'mère triumfowała.

— Czas, żebyś od niej odpoczęła — powiedziała mi, gdy byłyśmy same. — Jest coraz bardziej wymagająca. Widzę, że z biegiem lat, jeżeli coś temu nie przeszkodzi, staniesz się jej niewolnicą. Nie tego pragnę dla ciebie.

Perspektywa wyjazdu do Londynu bardzo mnie podniecała. Cassie chodziła przygnębiona, bo nie miała nam towarzyszyć. Lady Sallonger słyszeć nie chciała o jej wyjeździe. Ona będzie potrzebna. Pomoże w pełnieniu obowiązków pannie Logan.

— To tylko tydzień — pocieszałam Cassie. — I kiedy wrócę, wszystko ci opowiem.

Odbyliśmy tę podróż, Julia i ja z Grand'mère, w świszczący wiatrem dzień marcowy koleją żelazną o wiele wygodniej, niż gdybyśmy podróżowały kareta. W Londynie Cobb czekał na dworcu, żeby przywieźć nas do domu na Grantham Square.

Jakże ciekawie było jechać przez miasto. Przechodnie się śpieszyli, ruch panował wszędzie.

Karety jednokonne, dwukołowe kabriolety pędziły ulicami, aż się bałam, że przejadą niejednego z przechodniów. Ale najwyraźniej nikogo ten pośpiech nie dziwił, więc uznałam, że to zwykły tutaj stan rzeczy.

Grand'mère, gdy wjechałyśmy na Regent Street, bardzo się ożywiła. Głośno czytała szyldy sklepów. Peter Robinson... Dickens i Jones... Jay. Migwały mi wspaniałe rzeczy wyłożone w oknach wystawowych. Grand'mère mruczała jak zadowolony kot.

Dom Sallongerów stał na Grantham Square w jednej z wielu modnych dzielnic mieszkalnych Londynu. Był wytworny, wysoki, zbudowany w stylu osiemnastowiecznym. Do portyku wiodły schodki między dwiema skąpo przyodzianymi nimfami, które podtrzymywały dwa kamienne wazony pełne tulipanów. Cobb podwiózł nas i gdy wysiadłyśmy, odjechał do stajni na tyłach.

Służby było trochę więcej niż w Jedwabnym Domu: kamerdyner, lokaj i kilka pokojówek. Sir Francis nie zastałyśmy. Gospodyni poprowadziła nas do naszych pokoi i powiedziała, żebyśmy ją wezwały, jeśli czegoś będzie nam trzeba. Wydawała się władcza i dosyć straszna w sukni z czarnego bombazynu szeleszczącej przy każdym jej kroku. Nazywała się pani Camden.

Grand'mère i ja dostałyśmy wspólny pokój na najwyższym piętrze, duży i przewiewny; stały tam dwa łóżka i w małej alkowie mieściła się umywalnia.

— Myślę — powiedziała Grand'mère — że będzie nam tu dobrze. Przynajmniej jesteśmy razem.

Uśmiechnęłam się do niej. Wiedziałam, jak niezłomnie sobie postanowiła nie zostawiać mnie samej w domu, do którego mógł przyjechać Charles.

To był interesujący dzień. Sir Francis wrócił wieczorem. Z wielką kurtuazją odniósł się do Grand'mère. Coś go zatrzymało — powiedział — ale ma nadzieję, że przyjęto nas należycie.

Hrabina Ballader przyjedzie nazajutrz, żeby popracować nad Julią.

Zamierzał zabrać Grand'mère do zakładów w Spitałfields, pokazać jej nowe krosna i nowoczesny sposób tkania, dosyć trapiący tkaczy, którzy ilekroć pojawia się coś nowego, widzą w tym zagrożenie dla siebie.

— Zawsze są kłopoty — dodał.

Grand'mère mu powiedziała, że ja ogromnie jej pomagam i mam wrodzony zmysł do wybierania fasonów sukien, tak by harmonizowały z materiałem.

— Więc ona będzie mistrzynią jak pani. — Sir Francis popatrzył na mnie z uznaniem.

— Myślę, że może być — powiedziała Grand'mère czule.

Zmęczona tym całym dniem zasnęłam, gdy tylko znalazłam się w łóżku. Nazajutrz obudziłam się, czując podniecenie.

Przyjechała hrabina Ballader i wzięła Julię w obroty. Zamieszkała w tym domu na czas naszego pobytu. Tyle jeszcze Julia musiała się nauczyć. W chwilach gdy się z nią widywałam —

a zdarzało się to nieczęsto, bo prawie wciąż ćwiczyła z niezmordowaną hrabiną —

dowadywałam się różnych szczegółów dotyczących jej wielkiego debiutu. Fryzura powinna być taka, żeby trzymały się na głowie trzy pióra i welonik. Dyganie Julii chyba nigdy nie podoba się hrabinie, doprawdy nie wiadomo, dlaczego. Bo właściwie, co to jest dygnięcie? Po prostu kiwnięcie się z przysiadem. Po co tyle zachodu, żeby dygnąć? I talię Julia ma nie dość cienką.

Musi mierzyć nowe gorsety, które ściskają boleśnie i wtedy twarz czerwienieje, a to także źle.

Biedna Julia! Wkraczanie w elegancki świat wydawało się raczej mordęgą niż przeżyciem pełnym przyjemnych wrażeń. Ale jej podniecenie nie słabło, chociaż przyznawała, że może nie mieć powodzenia na swoim pierwszym balu, i bała się, że nikt nie poprosi jej do tańca.

Mnie było w Londynie o wiele lepiej. Zwiedzałyśmy, Grand'mère i ja, miasto. Oglądałyśmy wystawy sklepowe, chodziłyśmy po sklepach. Grand'mère lustrowała najnowszą modę... nie tylko na manekinach, ale i na londyńskich paniach. Orzekła, że brakuje im *chic* i że nie potrzebuje niczego uczyć się od nich.

Kupiła kilka materiałów, po czym debatowałyśmy, jaką z którego uszyć suknię.

Pojechała z sir Francisem do Spitałfields i wróciła czymś zaabsorbowana, czy też takie miałam wrażenie.

Mając wspólną sypialnię, co wieczór rozmawiałyśmy w łóżkach przed zaśnięciem. Tamtego wieczoru powiedziała:

— Cały ten szum... dla jednej młodej dziewczyny. Nadzwyczajny to obyczaj, prawda?

Dziewczyna nie może wejść do salonów, poznać ludzi ze swojej sfery, dopóki dwór jej nie akceptuje. I jakie to spotkanie z tym dworem? Jeden dyg... i przechodzi się dalej. A jednak panna musi być w sukni dworskiej i w weloniku, i w piórach... po długich miesiącach przygotowań. Co o tym myślisz? Czy to ciebie nie śmieszy?

— Myślę, że to jest dosyć nieprzyzwoite.

— Nieprzyzwoite? Jak to?

— No, myślę... takie wystawianie jej, pokazywanie, co ona sobą przedstawia, żeby tylko jakiś mężczyzna uznał, że warto ją wziąć za żonę.

— Aha, tak. Myślisz, że to... jak by tu powiedzieć... poniża naszą płęć?

— A czy nie poniża? Grand'mère długo się zastanawiała.

— Wydaje się, *ma petite* — powiedziała w końcu — że my musimy twardo walczyć o nasze miejsce na świecie. Żeby być równą mężczyźnie, kobieta musi być znacznie od niego lepsza, znacznie mądrzejsza. Zawsze o tym wiedziałam. Ja, na przykład. Mam iskrę bożą do tkanin, do fatałaszków i dzięki temu jestem gościem czy prawie gościem w domu sir Francisca Sallongera.

On mnie szanuje. Ostatecznie jest gentlemanem. Ale widzimy, jak niepewna może być sytuacja za sprawą tego wstrętnego monsieur Charlesa. Takich panów trzeba się strzec. Owszem, to jest poniekąd poniżające... takie wystawianie mademoiselle Julii niejako na aukcję, ale *ma chérie*, doprawdy żałuję, że tych przygotowań nie czyni się dla ciebie, bo gdybyś została wprowadzona do salonów, dane by ci było poznawać ludzi, których inaczej nie mogłabyś poznać. To moja wielka troska i często rozmyślałam o tym. Teraz jesteś bezpieczna. Ja stoję na straży. Ale już się starzeję... i nadejdzie dzień...

— Nie! — wykrzyknęłam mimo woli. Myśl o życiu bez Grand'mère wprost mnie poraziła.

— Och, przecież zdrowie mi dopisuje, nie tracę sił... wiele lat mam jeszcze przed sobą. Ale zanim te lata miną, chcę cię widzieć urządzoną w życiu. Chcę dla ciebie męża niekoniecznie bogatego... ale zacnego. Musi być zacny. Chcę cię zobaczyć z twoimi dziećmi. Bo wierz mi, dzieci to największa pociecha, jaką kobieta może znaleźć. Moją pociechą była Marie Louise.

Twój dziadek, zacny człowiek, umarł młodo i zostałam z nią sama. Kiedy ona umarła, myślałam, że ja też umarłam, bo już nic na świecie dla mnie nie ma, ale włożyli mi w objęcia ciebie... i od tamtej chwili jesteśmy wobec świata we dwie.

— Och, Grand'mère — powiedziałam — nigdy nie mów, że mnie opuścisz.

— Tylko jedno mogłoby mnie do tego przekonać. Nade wszystko chcę cię widzieć szczęśliwie zamężną... zadbaną. Chcę to widzieć, zanim odejdę.

— Umiem sama o siebie zadbać.

— Tak, będziesz umiała. Wiem. Ja sama o siebie dbałam, kiedy zostałam wdową, Pracowałam u St Allengère'ów. Byłam dla nich ważna z tym, co wiem o jedwabiach, i z moimi zdolnościami do szycia. Byłam dla nich bardzo przydatna.

— I dali ci odjechać.

— Dali ze względu na ciebie. Nie mogłam tam pozostawać w tej małej społeczności, gdzie każdy zna sprawy każdego. Wiedzieli, że muszę uciec... więc poprosili sir Francisa, żeby mnie zabrał.

— I zabrał.

— Trafiła mu się dobra okazja. Doceniał moje możliwości. I przecież monsieur St Allengère go o to poprosił. Chociaż wielkie współzawodnictwo między tymi gałęziami rodu nie ustaje, więzy krwi są mocne od stuleci.

— Dziwne, takie duże gałęzie... prowadzą takie same interesy i spotykają się od czasu do czasu, chociaż współzawodniczą.

— To jest... jak by powiedzieć?... symboliczne. To tak, jak Kościół. Schizma. Jeden idzie w tę stronę, drugi w tamtą. Reformacja rozdzieliła rodzinę. Na dwie strony: katolicką i hugenocką.

Stanęli przeciwko sobie, czy to religia, czy interesy. Teraz żyją w innych krajach, ale rywalizują.

W Anglii, o ile mi wiadomo, nie ma takiego przywiązania do religii jak w Villers-Mûre. Och, oni są dla siebie konkurencją... ale odwiedzają się czasami. Jeden chce wiedzieć, co robi drugi.

Przyjacielscy wrogowie.

— A ty, Grand'mère, jesteś religijna jak ludzie w Villers-Mûre?

— Moją religią jest troszczyć się o tych, których kocham. Tacy jak ja kochają bardziej ludzi niż doktryny. Może błędzę, ale dla mnie nieważne, w jaki sposób oddaję Bogu cześć. Wydaje mi się, że On rozumie.

— Ja wiem, że rozumie — powiedziałam. — I wiem, że jesteś lepszą chrześcijanką niż mnóstwo chrześcijan okazujących pobożność.

— Cóż za poważna rozmowa! Od czego się zaczęła? Och, tak, od paradowania Julii. Mam nadzieję, że ona temu podoła i znajdzie męża ku zadowoleniu wszystkich... a najbardziej jej samej.

Przez chwilę milczaliśmy. Potem Grand'mère zmieniła temat.

— Interesująca była ta moja wycieczka z sir Francisem. Ma teraz cudowne krosna. Jest z nich bardzo dumny, ale...

Czekałam i znów była cisza.

— Chciałaś coś powiedzieć, Grand'mère — ponagliłam.

— Och, właśnie. To, że sir Francis jest... jak by tu powiedzieć... niespokojny.

— O co?

— Coś go gnębi. Przypuszczam, że przedsiębiorstwo nie kwitnie tak jak dawniej.

— Ale to bogacz. Ma Jedwabny Dom... i ten dom tutaj... i tyle służby.

— Tyle do utrzymania. Jak mówisz, ma dom i służbę, synów i córki, i lady Sallonger. Sporo zobowiązań, prawda?

— Ale na pewno jest bardzo bogaty, Grand'mère.

— Ten, kto ma dużo, może stracić o wiele więcej.

— Rzeczywiście myślisz, Grand'mère, że sir Francis martwi się o pieniądze?

— Powiedziałabym, że gdyby to przedsiębiorstwo stracił, nadal byłby stosunkowo majątny.

Zostałyby mu nieruchomości i duże aktywa. Ale niepokoi się o przedsiębiorstwo. Napomykał o jedwabiach sprowadzanych z zagranicy. To nadal echa umowy w Fontainebleau. Rozumiesz, Francuzi zawsze mieli dobrą reputację u klienteli, więc sam fakt, że materiał jest francuski, to już przewaga nad materiałem utkanym w kraju.

— Czy on ci mówił, że się martwi?

— Nie, ale powiedział, że już rozpaczliwie potrzebuje czegoś nowego... czegoś, co zdobędzie klientelę szturmem... niezbyt drogie, dostępne dla ogółu, nie tylko dla *l'élite*. I żeby można było wytwarzać w różnych formach... materiał specjalny, bardzo kosztowny dla pewnych klientów... z tanią odmianą dla wszystkich.

— I będzie to robił?

— Moja kochana Lenore, najpierw trzeba wynaleźć taki materiał — cud. Sir Francis przypuszcza, że we Francji już się nad tym pracuje. Jego ludzie pracują nad tym także. Może to nawet jest jak wyścigi. Kto pierwszy utrafi, ten wygra.

— Więc to go niepokoi?

— Z pewnością powinien przedsiębiorstwo pobudzić, nadrobić straty. Ja go rozumiem.

Wydawał się taki zmęczony. Czerwieni się i brak mu tchu... i mówił gwałtowniej niż zwykle.

Mon Dieu! Słyszysz? Zegar wybija północ. Te nocne pogawędki są przyjemne, prawda, ale nie możemy ciągnąć ich do rana. Dobranoc, najdroższa moja.

Po chwili już smacznie spałam.

* * *

To się stało w dwa dni później.

Nieomal tak, jakby Grand'mère z góry wiedziała, sir Francis zachorował. Był to niegroźny udar i orzeciono, że on z tego wyjdzie. Niefortunnie jednak stało się to nie w domu na Grantham Square.

Sir Francis gościł wtedy u niejakiej pani Darcy w St John Wood. Pani Darcy, przerażona, natychmiast wezwała lekarza. Ów doktor uznał, że na razie nie można przewozić chorego, więc sir Francis przez kilka dni leżał w domu pani Darcy. Zjawił się tam jego domowy lekarz, zjawili się wezwani Charles i Philip. Wszystkim byłoby oczywiście łatwiej, gdyby sir Francis zachorował na Grantham Square, ale sęk w tym, że udar poraził go o godzinie drugiej nad ranem.

Charles, który przejął rządy dosyć sprawnie, uznał, że koniecznie zaraz trzeba przewieźć ojca na Grantham Square.

W końcu sir Francisa przewieziono i wszyscy oddychali lżej, zwłaszcza że wracał do zdrowia.

Hrabina dużo mówiła Grand'mère na ten temat. Zrodziła się między nimi przyjaźń jakoś obejmująca i mnie. Często rozmawiały o Julii i ponieważ hrabina stwierdziła, że suknie z pracowni najlepszych znanych jej krawcowych nie umywają się do kreacji Grand'mère, nadzwyczaj oryginalnych i zarazem wytwornych, zgadzały się ze sobą znakomicie.

Hrabina powiedziała, że wolałaby mnie „wprowadzić”, a nie Julię. Bo ja mam wyraźniejszą niż Julia osobowość. Julia „taka skwapliwa, zanadto się stara i okazuje to”.

— A grzechem towarzyskim jest okazywać skwapliwość — wyjaśniła hrabina. — Nie wolno pomijać okazji, rzecz jasna, trzeba być czujną, ale udawać obojętną. Dosyć trudno przybrać tę należytą postawę, ale tak właśnie osiąga się sukces. Lenore byłaby w tym lepsza niż Julia.

Coraz bardziej się otwierała, opowiadała o sobie i nieraz używała dosadnych określeń, raczej dziwnych jak na hrabinę.

— Nie urodziłam się herbowo — powiedziała kiedyś będąc w nastroju do zwierzeń. — Ja, zwyczajna Dulcie Dorman, miałam miłe podejście do mężczyzn, zwłaszcza starych. Niektórym podobają się młodzi, niektórym w średnim wieku, ale mnie zawsze pociągali starzy.

Występowałam na scenie. Jedyne sposoby dla takiej dziewczyny, jaką byłam... przystojnej i z olejem w głowie. Hrabia mnie zobaczył. Fajtłapa, rzeczywiście... trochę zgrzybiały... o całe trzydzieści lat starszy ode mnie. Ale wariował z miłości, a jeśli coś lubiłam, to być hołubiona.

Więc wyszłam za niego... i przez pięć lat go pielęgnowałam. Nawet dosyć przywiązałam się do niego... no, proszę, ja, hrabina, mieszkałam z moim starym hrabią w domu dużym prawie jak dworzec Paddington i tak samo pełnym przeciągów. Nie taki znów komfort, ale przyjemnie było być jaśnie panią. Potem on umarł i co mi zostawił? Same długi... długi... długi, i jakiś daleki kuzyn się

pokazał, zabrał dom. Znalazłam się prawie w skrajnej nędzy... ale niezupełnie.

Rozejrzałam się wokoło, co mogę robić. Przynajmniej nie przestałam być hrabiną Ballader, a to jest interes. Więc wzięłam się do opieki nad pannami. Szybko się tego nauczyłam i trafiają mi się dobre klientki. Oto cała ja. Miewam swoje wzloty i upadki i cieszę się z tego. Byłam zwyczajną Dulcie Dorman, która fikała nogami wysoko, i byłam panią hrabiego. Znam życie z jednej i z drugiej strony, można by powiedzieć. To pomaga. To pozwala zrozumieć zmartwienia ludzi.

Najważniejszej rzeczy się nauczyłam: nie osądzaj, nie potępiaj... bo tak czy owak znasz tylko połowę historii. Weźmy sir Francisa. — Uśmiechnęła się do nas dobrotliwie. — Lubię go.

Wiedziałam, jak sprawy stoją. To szczęście, że wyszedł z tego obroną ręką. Gdyby skonał w łóżku tej pani, nic by skandalu nie zatuszowało. Z debiutu Julii trzeba by było zrezygnować.

Chociaż oczywiście teraz nie ma na dworze takich sztywnych zasad, odkąd Albert umarł. Bo Albert nadawał ten niepokalanie moralny ton. Lubił karać dzieci za grzechy ojców. Jej Królewska Mość w gruncie rzeczy nie jest taka surowa. Ale gdyby on skonał w łóżku kochanki, czyż zdołalibyśmy ukryć taki pieprzny kąsek przed prasą? Tak, to by uniemożliwiło debiut Julii.

— Czy ten romans — zapytała Grand'mère — dawno się zaczął?

— Och, przed wielu, wielu laty. Stały już związek. Sir Francis to nie dziwkarz. Biedna pani Darcy teraz rozpacza.

Z powodu choroby sir Francisa nasz pobyt w Londynie miał się przedłużyć co najmniej o tydzień. W czasie jednej z nocnych pogawędek Grand'mère powiedziała:

— Jak mówi hrabina, nie można sir Francisa potępiać. To zacy człowiek. Kocha panią Darcy i ona kocha jego. Byli jak małżeństwo.

— Ale co z lady Sallonger?

— Lady Sallonger poślubiła swoje dolegliwości. Wyjaśnię ci. Po urodzeniu Cassie nie chciała mieć więcej dzieci. W życiu mężczyzny są potrzeby... ten, który nie może swoich potrzeb zaspokoić tam, gdzie powinien, zwraca się gdzie indziej.

— Więc sir Francis zwrócił się do pani Darcy?

— Tak by się wydawało — potwierdziła Grand'mère. — Nie można go potępiać. On dba o lady Sallonger. Spełnia wszystkie jej zachcianki. Nie było w tym okrucieństwa. A właśnie okrucieństwo to prawdziwy grzech.

Mignęło mi wspomnienie Charlesa biegnącego po schodach mauzoleum do drzwi i oglądającego się na mnie w tych strasznych ciemnościach. I pomyślałam o łobuzach, którzy zabili kundelka Willie'ego.

Grand'mère ma rację. Prawdziwym grzechem jest okrucieństwo.

Charles był w londyńskim domu, ale już się go nie bałam. Gdyśmy się spotykali, traktował mnie chłodno, co świadczyło, że minęło mu zarówno zainteresowanie, jak uraza. Natomiast Philip zawsze okazywał radość, że mnie widzi.

Obaj bracia dużo czasu spędzali z ojcem przykutym do łóżka jeszcze co najmniej na miesiąc, ale czującym się dość dobrze, żeby przyjmować wizyty. Bardzo mu zależało na rozmowach z synami, więc doktor uznał, że niedopuszczenie ich do niego zanadto by go przygnębiło.

Mieli sporo do omawiania, jak się orientowałam.

Grand'mère powiedziała, że zapadają ważne decyzje. Philip był poważny, ale dla mnie szczególnie miły. Kiedyś rano, gdy zesłam na śniadanie, siedział przy stole sam. Powitał mnie uśmiechem.

— Cieszę się, że tu jesteś, Lenore. Tyle się dzieje.

— Z powodu choroby waszego ojca?

Przytaknął. I znów uśmiechnął się do mnie ciepło, po swojemu.

— Zawsze, Lenore, lubię rozmawiać z tobą. Zawsze mi się wydaje, że rozumiesz. Choroba ojca zmieniła wszystko. Charles i ja nie będziemy dalej studiować. No, czas na to. Rzeczywiście tego chciałem i usilnie ojca prosiłem, żeby mi pozwolił rzucić studia. Obaj z Charlesem wchodzimy już do przedsiębiorstwa.

— Tak przypuszczałam.

— Ojciec wraca do zdrowia, ale nigdy nie odzyska swojej dobrej formy. Doktor mówi, że będzie musiał bardzo na siebie uważać. To jest ostrzeżenie. Więc my przejmujemy interesy.

Oczywiście nie chciałem, żeby to nastąpiło w takich okolicznościach. Słuchaj, zamierzam z tobą porozmawiać. — Rozejrzał się. — Nie tutaj. Może gdzie indziej.

— Gdzie? — zapytałam,

— Moglibyśmy popłynąć do Greenwich. Kocham tę rzekę. W Greenwich jest gospoda... „Pod Berłem i Koroną”. Powiadają, że szprotki są tam jak nigdzie w Londynie. — Nastroszył się żartobliwie. — Wolałbym, żebyśmy tam popłynęli sami. Ale to pewnie wykluczone.

Nie odpowiedziałam.

— Więc potrzebna nam będzie przyzwoitka. Inaczej nie wypada.

— No cóż, jeżeli koniecznie chcesz porozmawiać, rozmawiajmy tutaj.

— Zabierzemy twoją babcie. Będzie wiedziała, o czym mówię.

— Byłoby wspaniale — ucieszyłam się. Do jadalni weszła Julia.

— Dzień dobry — powiedział Philip. — Znowu skora do awantury?

Julia wzięła — sobie śniadanie z kredensu.

— Hrabina to istny smok — oświadczyła. — Niewiele mam spokoju.

— Ale to wszystko dla dobra sprawy — zbył ją Philip.

— Ty masz szczęście. — Julia spojrzała na mnie. — Nie musisz tak cierpieć. Ja nigdy nie zeszczupleję i te gorsety mnie dobijają.

— Gdybym był tobą, nie jadłbym tego bekonu — przestrzegł ją Philip.

— Muszę, żeby nie tracić sił. Wiesz — zwróciła się do mnie — ten lawendowy brokat, który kupiła twoja babcia, jest naprawdę śliczny.

— Piękny — zgodziłam się. — Widziałaś już, jaka z niego będzie suknia?

— Och, nie. One nie uważają za konieczne omawiać tego ze mną. Twoja babcia i hrabina jak dwie stare czarownice robią to, robią tamto... i nigdy mnie nie informują.

— Babcia na pewno by ci pokazała wszystkie fasony, gdybyś chciała je zobaczyć.

— Ale ja mam chwilami po dziurki w nosie tego wszystkiego i tęsknię do domu. Tyle mnie czeka tych balów i w ogóle...

— Będiesz bawiła się cudownie — powiedziałam. — Przecież zawsze tego chciałaś.

— Wydawało mi się, że chcę... do teraz. — Julia westchnęła i wzięła jeszcze jeden plaster bekonu.

— To nie panienkę hrabina wprowadzi na królewski dwór, tylko słońcę — powiedział Philip, szczerzy brat. Nie ulegało wątpliwości, że Julia tyje. Chyba ze zdenerwowania strasznie się objadała.

Wstałam od stołu, ale Philip mnie zatrzymał.

— Może dzisiaj — powiedział. — Po południu. Dopłyniemy tam koło wpół do szóstej. Będzie ci się podobało. Poproś babcie.

Grarid'mere, gdy jej powtórzyłam, była bardzo zadowolona.

— Lubię tego chłopca — powiedziała. — Najlepszy z całej rodziny.

Jej zadowolenie sprawiło, że tym bardziej cieszyła mnie ta wyprawa.

Philip był dobrym wioślarem. Zapewnił, że możemy ufnie zdać się na niego, bo trenował w drużynie uniwersyteckiej .

— Często teraz będę przyjeżdżał do Londynu — powiedział. — Dziś rano byłem w Spitalfields. Dużo muszę się nauczyć.

— Twój brat — zauważyła Grand'mère — nie podziela twojego entuzjazmu.

— To prawda — przyznał. — Poniekąd jestem z tego rad. Myślę, że to mi da wolną rękę. Nie zniósłbym wtrącania się do tego, co robię.

— Więc Charles będzie raczej śpiącym współnikiem — powiedziałam.

— Żadnego przedsiębiorstwa, nawet w rozkwicie, nie stać na śpiących współników — zaopiniowała Grand'mère. — Każdy musi się przykładać.

— Nie sądzę — powiedział Philip — żeby Charles miał wycucie jedwabiu... czy interesu.

Powinien zasiąść w parlamencie... zostać prawnikiem albo czymś tam.

— Tobie na pewno się powiedzie — oświadczyłam.

Zasepił się trochę.

— Ojciec dostał udaru chyba dlatego, że się bardzo denerwował.

— Prawdopodobnie — powiedziała Grand'mère.

— To znaczy martwił się o interesy? — zapytałam. Philip przytaknął.

— Sprawy układają się niezupełnie tak, jak powinny. Nie mówiłbym o tym nikomu, ale ty zawsze rozumiesz, Lenore, a pani, madame Cleremont, przecież jest częścią przedsiębiorstwa.

Pani wie, że wcale nie jest tak, jak powinno być.

— Wywnioskowałam to z tego, co mówił twój ojciec, już dosyć dawno — powiedziała Grand'mère.

— To przez ten import — powiedział Philip. — Coraz mniej sprzedaje się naszego jedwabiu.

Popyt spadł i nadal spada.

— Myślisz, że należy nałożyć cło na zagraniczne towary? — zapytałam.

Zastanowił się.

— To by się przydało, oczywiście. Moglibyśmy wtedy podnieść cenę naszych materiałów.

Nie musielibyśmy trzymać się cen konkurencyjnych tak rygorystycznie. Ale niezależnie od tego, czy się komu wolny handel podoba, czy nie, powstaje ważne pytanie: czy chcemy nałożenia cła na wszystkie zagraniczne towary? To niehonorowo domagać się oclenia tylko tych, które nam przeszkadzają. Chcieć cła na jedwab, bo interes kuleje. Grand'mère mu przerwała.

— Nie cel nam trzeba. Powinniśmy wynaleźć jakiś nowy rodzaj tkaniny. Żeby uzyskać piękny materiał, lepszy pod każdym względem od tych, które mamy.

— I to ma być tajemnica — podsunęłam.

— Właśnie! — wykrzyknął Philip. Oczy mu rozbłyły. — Sposób wytwarzania czegoś, czego nigdy dotąd nie było, zachowywany w tajemnicy, żeby nikt nie wiedział, jak my to robimy.

— Czy nie odkryto by tego sposobu? — zapytałam.

— Może by ktoś odkrył, ale nie mógłby z tego korzystać. Istnieje taka rzecz jak patent. Prawo zabrania kraść opatentowane wynalazki.

— To świetnie! — ucieszyłam się.

— Tylko przedtem musimy mieć ten wynalazek — przygasił mnie smętnie. — Och, dopłynęliśmy.

Uwiązał łódź i po schodkach weszliśmy na ścieżkę.

— Greenwich zawsze mnie pociąga — powiedział. — To był jeden z ośrodków hugenotów, uchodźców. Może tutaj przybyli moi przodkowie, zanim udali się do Spitalfields. Uchodźcy nawet mieli tu swoją kaplicę. Teraz chyba jej nie ma. Proszę, wchodzimy. Oto gospoda „Pod Berłem i Koroną”.

W gospodzie były łukowate okna z widokiem na rzekę.

— Słyną ze swoich szprotek, więc je zamówimy — powiedział Philip. — Madame Cleremont, lubi pani szprotki?

— To zależy — odpowiedziała Grand'mère. — O ile wiem, muszą być świeżo złowione.

Podeszła do nas gospodyni. Znała Philipa, który najwidoczniej często w tej gospodzie bywał.

— Właśnie zapewniałem moje przyjaciółki, że szprotki będą świeże — powiedział.

— No, niech mnie! — Wykrzyknęła. — Jeszcze dziś rano pływały w morzu.

— I to pani sekret, jak je przyrządzać, żeby były znakomite.

— Och, żaden sekret. Po mojemu jest tylko jeden sposób. Tak jak moja matka mnie nauczyła.

Kładzie się je w warstwę mąki na płótnie i potrząsa się tym płótnem, aż całe się osypią. Potem

wrzuca się do garnka z wrzącym tłuszczem... potem się je odsącza i już są gotowe. Ale trzeba jeść prędko, dopóki chrupkie. Z cytryną i z pieprzem Cayenne to naprawdę wielki przysmak. I powinno się je popijać czymś dobrym... ponczem albo szampanem z lodu.

— Co wybierzemy? — zapytał Philip. Uzgodniliśmy, że szampana.

Przy tej uczcie Philip powiedział:

— Brat i ja niebawem pojedziemy do Francji. Ojciec ma nadzieję, że nasi dalecy krewni w Villers-Mûre pozwolą nam przez jakiś czas u siebie popracować; uważa, że musimy się sporo nauczyć... zobaczyć, jak inni pracują... wpaść na nasze pomysły w manufakturze. — Popatrzył

uważnie na Grand'mère. — To pani rodzinne strony. Co pani o tym sądzi?

— Zawsze warto wiedzieć, jak ludzie pracują w innych krajach — odrzekła.

— Chciałbym, żebyśmy mogli wytwarzać jedwab od samego początku. Nieraz myślę, że powinniśmy urządzić się w Indiach czy w Chinach, we właściwym otoczeniu dla jedwabników.

W niektórych częściach Chin, o ile wiem, hoduje się jedwabniki pod gołym niebem. To z pewnością daje najlepsze rezultaty. A tak, jak jest, musimy surowce importować.

— Nawet w Villers-Mûre trzeba morwy ogrzewać sztucznie — powiedziała Grand'mère. —

Rzeczywiście tam uważają, że taniej jest sprowadzać surowiec z zagranicy i tylko tkać.

— Mają rację — powiedział Philip. Zwrócił się do mnie. — Nudzimy cię tą rozmową, Lenore?

— Wcale nie.

— Lenore interesuje się jedwabiem i chyba ma szczególne wyczucie materiału — powiedziała Grand'mère.

— Spodziewam się, że teraz będzie pani z Lenore często przyjeżdżać do Londynu.

— Dlaczego? — zapytała.

— No, Julia tu będzie.

— Przestanie nas potrzebować — powiedziałam. — Pochłonie ją życie towarzyskie.

— Dla Lenore niedostępne — dodała Grand'mère.

— Och, Lenore jest jeszcze za młoda.

— Wkrótce ukończę szesnaście lat.

— Wydajesz się starsza, prawda, madame Cleremont? O wiele rozsądniejsza niż Julia.

— Tak ją wychowałam — powiedziała Grand'mère. — Lenore nie jest w sytuacji Julii. Nie będzie panną na wydaniu.

— Cieszy mnie to — powiedział Philip z powagą.

— Dlaczego? — ostro zapytała Grand'mère.

— Bo jej by chyba nie odpowiadało... wystawianie na pokaz. Dobre to dla Julii... ale nie dla Lenore. — Ponieważ Lenore nie należy do rodziny...?

— Bogu dziękuję, że ona nie należy do rodziny!

Ujął mnie mocno za rękę. Zobaczyłam, jak oczy Grand'mère zabłyśły.

— Myślę — powiedziała — że oboje widzimy w mojej wnuczce coś szczególnego.

— Wyraźnie, pani i ja, prawie we wszystkim się ze sobą zgadzamy, madame Cleremont.

Grand'mère odchyliła się od stolika i podniosła swój kieliszek, mówiąc:

— Za przyszłość! — I czułam, że w tym momencie oni zawarli pakt.

W drodze powrotnej byliśmy dosyć zadumani, a wieczorem w łóżku Grand'mère zagała:

— Philip wyrósł na przemiłego młodzieńca.

— Zawsze jest dobry, delikatny.

— Zupełnie inny niż jego brat. Dziwne, jak ludzie różnią się od siebie. Nieraz się mówi, że to kwestia wychowania, ale ci dwaj chłopcy wychowywali się razem... a jakaż wielka między nimi różnica.

— Tak — potwierdziłam. Przypomniał mi się Charles w mauzoleum.

— Myślę, że bardzo ciebie lubi. To znaczy, wiem. To, co powiedział dzisiaj...

— Powiedział tylko, że się cieszy, że ja nie należę do rodziny.

— Jasne, co miał na myśli. Jest w tobie zakochany. Nie mówi tego, czeka, bo jesteś taka młoda. Może za rok... kiedy będziesz miała siedemnaście lat...

— Och, Grand'mère, romantyczne fantazje. Aż tak bardzo chcesz się ode mnie uwolnić?

— Nade wszystko na świecie chcę twojego szczęścia. Chcę, żebyś była kochana i pod dobrą opieką... zanim odejdę.

— A ja nie chcę, żebyś mówiła o odejściu.

— Jeszcze długo nie zamierzam odejść, trzeba jednak myśleć praktycznie. Popatrz na sir Francisa, jednego dnia zdrowy, następnego — powalony chorobą. Och, on z tego wychodzi, tak mówią, ale nigdy już nie będzie tym, kim był. Niczego do szczęścia by mi nie brakowało, gdybym wiedziała, że przyszłość masz zapewnioną. Philip zawsze serdecznie cię lubił. Zawsze myślałam, że jest akurat dla ciebie. Tyle w nim takiego cudownego entuzjazmu. Będzie oddany swojej pracy, swojej żonie, swoim dzieciom.

— Grand'mère, wydaje mi się, że podciągasz rzeczywistość do urojeń.

Pokręciła głową.

— Dzisiaj on miał serce na dłoni. To były prawie oświadczenia.

— Moim zdaniem, nie. Po prostu starał się być dla mnie specjalnie miły, bo myśli, że czuję się wykluczona z tych dworskich ceregieli.

— Nie, nie. Ja dziś jestem szczęśliwa. Widzę drogę w przyszłość.

— No więc cieszę się, Grand'mère, że jesteś szczęśliwa.

— Dobranoc, moje dziecko, i niech cię Bóg błogosławi.

Leżałam bezsennie, myśląc o tym, co Grand'mère mówiła. Usiłowałam przypomnieć sobie każdą chwilę naszej wyprawy „Pod Berło i Koronę”. Co mogło dla niej świadczyć o uczuciu Philipa? Zawsze był miły i życzliwy i uważałam jego i Cassie za moich najbliższych przyjaciół w Jedwabnym Domu.

Czy rzeczywiście coś znaczyła ta rozmowa, czy też Grand'mère stara się ją sobie tłumaczyć zgodnie ze swoim marzeniem? Od czasu do czasu podejrzewałam, że jest taką fantastką.

Ja... poślubiona Philipowi! Większość dziewcząt nastoletnich myśli o zamęściu. Śni o rycerzach, o romantycznych bohaterach. O świętym Jerzym... nie! Żadna nie chce świętego!

Raczej o kimś takim jak sir Lancelot. Grzesznik, ale kochał nad życie. Ten, kto kocha nie zważając na nic, jest o wiele bardziej pociągający niż ten, kto zabija smoki.

I są tacy jak Nelson... jak Drake...

Drake, oczywiście. On czymś ekscytował. Julia to rozpoznała. — Co by było, gdyby przy stoliku w gospodzie „Pod Berłem i Koroną” nie Philip, tylko Drake tak rozmawiał z nami? Jak ja bym teraz się czuła?

Rozmyślałam dosyć podniecona. No, przyjemnie jest być kochaną... Jeżeli rzeczywiście Philip dał do zrozumienia, że mnie kocha.

* * *

Dni mijały szybko. Charles i Philip wyjechali do Francji, bo sir Francis wyzdrowiał

dostatecznie, żeby zająć się swymi codziennymi sprawami. Grand'mère, Julia i ja wróciłyśmy do Jedwabnego Domu.

Lady Sallonger powitała mnie raczej opryskliwie. Oznajmiła, że przez cały ten czas było po prostu okropnie. Panna Logan zacina się przy czytaniu, głos jej się szybko męczy, a Cassie nie wkłada w to, co czyta, takiego uczucia jak ja. Miałyśmy być w Londynie tylko tydzień, a jak się to przedłużyło! No i tyle tego zmartwienia i niepokoju o sir Francis.

— Gdybym mogła pojechać do Londynu i pielęgnować go, chętnie bym to zrobiła. Ale cóż...

— wzdychała. — Jestem biedną inwalidką, nie mogę się ruszyć nawet z kanapy... i wszyscy mnie opuścili. Nikt jakoś nie zdaje sobie sprawy z mojej bezradności. Zimno mi, Lenore, zadzwoń, żeby dołożyć węgla do ognia, i czy tamto okno jest otwarte? No, oczywiście. Proszę, zamknij je i przynieś mi czerwony pled... Tego niebieskiego nie znoszę. Och, ogień, Henry...

Ten czerwony pled, Lenore... Niebieski drapie, a skórę mam delikatną. Postaraj się znaleźć do czytania mi coś dobrego...

I tak dalej. Grand'mère miała rację: lady Sallonger stawiała się coraz bardziej wymagająca.

Zarządziła, żebym była na jej usługi zawsze poza godzinami, które spędzam w pokoju szkolnym.

Udawało mi się jednak często bywać w pracowni Grand'mère. Powiedziałam lady Sallonger, że jestem tam potrzebna do pomocy przy sukniach Julii. Tylko tym — doniosłością debiutu Julii

— dała się przekonać. Dobrze pamiętając swoje „wejście w świat”, snuła te wspomnienia, chociaż naturalnie wszystko było o wiele trudniejsze w tamtych czasach, za życia Księcia Małżonka. Wszystko o wiele bardziej przepisowe. No, ale weszła w świat i miała powodzenie, jak żadna inna w sezonie. Te propozycje małżeńskie, które otrzymywała...

Wolałam słuchać takich opowiadań niż jej nieustannych żądań, więc okazywałam prawdziwe zainteresowanie. Ja się dowiadywałam, co znaczyło być panną na wydaniu w jej czasach, a ona wspominając bardzo się ożywiała.

— Były popołudniowe przyjęcia, na których obowiązywał pełny strój wieczorowy. Oni już się wyprowadzili z tych okropnych ciemnych klitek w pałacu St James, więc to się odbywało w Sali Tronowej w pałacu Buckingham. Dobierano nas ze wszech miar starannie w tamtych czasach.

Tak to było... uczyłyśmy się dygań, iść tyłem, koszmar... zwłaszcza z trenem długim na trzy czy cztery jardy. I te pióropusze, i welony. A gorset! Wprost męka dla niektórych panien. Ja oczywiście miałam od urodzenia talię jak osa. I to wszystko dla kilku zaledwie minut zaprezentowania się Jej Królewskiej Mości. Ojej, co to były za czasy! I sir Francis rozkochał

mnie w sobie, zanim miałam możliwość zakochać się w kimś innym. Jestem pewna, że wyszłabym za któregoś z książąt, gdyby nie zagarnął mnie tak szybko. Ach, jak żeśmy w tamtych czasach tańczyli!

Lenore, stopa mi drętwieje. Pomasuj.

Tak to wracałyśmy do codzienności. Sny o minionej chwale się rozwiewały.

Ale rzeczywiście udawało mi się dosyć często przebywać z Grand'mère. Emmelina była wciąż ubierana w najkosztowniejsze suknie. Cassie, która nieraz była z nami, upodobała sobie Emmelinę. Wymyślała różne historyjki i nie Wątpiła, że ciemną nocą w pracowni wszystkie trzy manekiny ożywają i rozmawiają o tryumfach, jakie odnosiły, zanim je w manekiny zmieniła jakaś niegodziwa czarownica. Z pewnością, mówiła Cassie, Emmelina uśmiecha się w duchu, kiedy ma na sobie niebieski jedwab.

Julia poweselała. Była z powrotem w domu. Lubiła lekcje tańca, w czasie których musiałam być jej danserem, co ja też lubiłam. Cassie siedziała, patrzyła i biła nam brawo. Ale najbardziej lubiłam chodzić do pracowni, siadać przy maszynie do szycia, dotykać miękkich jedwabów, przy czym chwilami żałowałam, że te suknie nie będą dla mnie.

Julia tyła. Jadła więcej niż zwykle chyba ze zdenerwowania. Zastanawiałam się, co powie hrabina, kiedy zobaczy, jak jej przybyło na wadze. Grand'mère martwiła się, że suknie mogą być za ciasne, gdy przyjdzie czas, żeby je nosić.

Nadeszła oczekiwana Wielkanoc. Panna Everton przekazała Julię w ręce hrabiny i zaczął się pierwszy sezon tej panny na wydaniu.

W pracowni zrobiło się bardzo cicho. Cassie mówiła, że Emmelina się dąsa. Grand'mère uszyła teraz dwie suknie, jedną dla Cassie, drugą dla mnie z materiałów pozostałych po skompletowaniu garderoby Julii. Nazwałyśmy te suknie naszymi „wyjściowymi w świat”.

Nadszedł sierpień, sezon londyński zbliżał się do końca. Żaden książę, żaden hrabia czy baronet, czy choćby zwyczajny sir nie poprosił o rękę Julii. Wkrótce Julia miała wrócić do Epping po okresie swoich usiłowań, a potem znów pojechać do Londynu, żeby pod znakomitym kierunkiem hrabiny Ballader przypuścić następny atak na londyńską socjetę.

Philip i Charles już wrócili z Francji. Philip od czasu do czasu zjawiał się w Jedwabnym Domu. Często przesiadywał w pracowni Grand'mère. Przychodziłam tam z Cassie i wtedy opowiadał nam entuzjastycznie o tym, co widział we Francji.

Martwił się o zdrowie ojca. Sir Francis upierał się, żeby jeździć do Spitalfields, a to go bardzo męczyło. Powinien więcej wypoczywać, ale słyszeć o tym nie chciał.

W londyńskim domu panowało spore podniecenie, bo Charles wpadł na jakiś fantastyczny pomysł, mający nieoszacowaną wartość w pracy nad wynalezieniem nowego sposobu tkania.

— I to właśnie Charles — zdumiewał się Philip. — Kto by przypuszczał, że jest zainteresowany? Wynalazł nowy wzór. Mówi, że dość dawno go opracowywał. Też dziwne.

Niczym przecież się nie zdradzał. Nie myślałem, że on taki skryty. Z początku raczej nie dowierzałem, ale chyba rzeczywiście zrobił ostatni krok do czegoś, nad czym nasi ludzie pracują od

lat. Zamówiłem już specjalne krosna, madame Cleremont, i sprowadzę je tutaj dla pani, tylko to musi być sekret, dopóki nie ruszy produkcja. Nie chcę, żeby konkurencja zwąchała. Krosna do tkania materiału o szczególnym połysku, jakiego nigdy dotąd nie było. Chyba wyjdzie nam coś zupełnie innego niż wszystko, co robiliśmy dotychczas. I kto by przypuszczał, klucz do tej doskonałości daje nam Charles!

Nowe krosna przywieziono. Grand'mère mówiła mi o nich co wieczór, gdy byłyśmy same.

— Philip jest taki przejęty. Myślę, że wkrótce będą udoskonalone. Wprost nie do wiary, że to Charles tak się zasłużył. I dziwne, że teraz kiedy dał nam taką wskazówkę, podobno zupełnie stracił zainteresowanie. Philip wyskakuje ze skóry. Już za kilka dni pewnie będziemy mieli rezultat. Trzeba dopilnować, żeby to było wyłącznie Sallongerów.

— Będzie patent. Philip mówił o tym „Pod Berłem i Koroną”.

— Tak, masz rację.

Philip od dwóch tygodni był teraz w Jedwabnym Domu. Podniecony niezwykle.

I doczekaliśmy się tego wielkiego dnia. Grand'mère wręczyła Philipowi kawałek jedwabiu.

Popatrzyli na siebie jaśniejącymi oczami.

— Eureka! — wrzasnął Philip.

Objął Grand'mère, serdecznie ją uściskał. Potem odwrócił się do mnie, podniósł mnie, zakręcił wokoło. Mocno pocałował mnie w usta.

— Przełom — powiedział. — Uczymy to.

— „Pod Berłem i Koroną” — powiedziała Grand'mère — szprotkami i szampanem.

Do pracowni weszła Cassie. Wybałuszyła oczy.

— Jest wielka uroczystość, Cassie! — wykrzyknęłam. — Znalazło się to, czego szukano! — I dodałam: — Cassie musi to uczcić razem z nami.

Philip podniósł do ust ten kawałek jedwabiu i z szacunkiem go ucałował.

— Przyniesie Sallongerom szczęście — powiedział.

— Tylko nie zapomnij o patencie — przypomniałam.

— Mądra dziewczyna! — wykrzyknął. — Zajmę się tym jeszcze dzisiaj. Muszę tylko mieć nazwę tego nowego gatunku jedwabiu.

Grand'mère podsunęła.

— Może jedwab Lenore? Lenore przyłożyła do tego rękę.

— Nie, nie — zaprotestowałam. — Śmieszny pomysł! To naprawdę jest jedwab Charlesa i Philipa... i Grand'mère. Ja tylko stałam obok. Przynosiłam, co trzeba, i podawałam. Nazwijmy ten jedwab Sallon. Część nazwiska rodziny, i tak salonowo w dodatku.

Po rozważeniu zostało zdecydowane, że ta nazwa jest dobra. Tego dnia wieczorem popłynęliśmy do Greenwich i w myśl propozycji Grand'mère uczciliśmy jedwab Sallon szprotkami i szampanem.

* * *

Przez jakiś czas nie mówiliśmy prawie o niczym innym poza jedwabiem Sallon. Sukces był

natychmiastowy, pisano o tym w gazetach. Chwalono przedsiębiorczość Sallongerów przyczyniającą się do dobrobytu w kraju.

„Nie ma jedwabiu, który by dorównywał doskonałością jedwabowi Sallon — pisały redaktorki działów mody. — Żaden jedwab chiński, indyjski, włoski czy nawet francuski nie da się z tym porównać. Sallon jest jedyny w swoim rodzaju. Powinniśmy być dumni z tego, że wprowadza go manufaktura brytyjska”.

Rozmawialiśmy często o jedwabiu Sallon w pracowni Grand'mère, rozważając sposoby jak najlepszego wykorzystania tego wynalazku. Na razie był to jedwab kosztowny, co sprawiało, że suknię z niego tym bardziej musiała mieć każda modna dama, ale Philip zamierzał wypuścić też tańszą odmianę, dostępną dla niezamożnych kobiet.

Tkano już piękny jedwab Sallon na nowych krosnach. Grand'mère uszczęśliwiona eksperymentowała z tańszą wersją.

Cassie i ja pasjonowałyśmy się tym projektem. Julia była w Londynie pod opieką hrabiny, która wprowadziła się do domu na Grantham Square i towarzyszyła jej wszędzie.

Zaczął się następny rok. W tym roku miałam ukończyć lat siedemnaście. Grand'mère wciąż napomykała, że wtedy zdarzą się cudowne rzeczy.

I nagle spadł cios. Sir Francis, rażony drugim udarem, umarł.

W ponury dzień styczniowy przywieziono jego ciało do Epping na pogrzeb. Trumna stała w Jedwabnym Domu przez dwa dni, skąd miała zostać przeniesiona do pobliskiego kościoła i po nabożeństwie żałobnym do mauzoleum. Tam czekał sir Francisa wieczny odpoczynek.

W domu zebrała się cała rodzina. Lady Sallonger była pogrążona w wielkim smutku, jak mi się wydawało, nieszczerym, bo widywała męża rzadko i nigdy z powodu jego nieobecności nie ubolewała. Uparła się, że pojedzie na nabożeństwo, odprowadzi „drogiego Francisa”.

Przeniesiona do karety, wyglądała wątło w czarnym okryciu i czarnym kapeluszu ze spływającymi strusimi piórami. Zastłaniając oczy białą chusteczką, nalegała, żeby Charles ją podtrzymywała jednej

strony, a Philip z drugiej.

W kościele było zimno. Trumnę na czas nabożeństwa postawiono na kozłach, po czym zabrano ją do karawanu i powoli, ceremonialnie żałobnym pochodem ruszyliśmy do mauzoleum.

Gdy stanęłam przed mauzoleum w ostrych podmuchach wiatru, powróciły przykre wspomnienia. Nie opodał gromadki służby pośród żałobników stał Willie tuląc do siebie psa.

Na skraju tłumu zobaczyłam jakąś nieznajomą. Ubrana na czarno, w welonie z krepy nasuniętym na twarz, wydawała się postacią tragiczną.

Od razu wiedziałam, kto to jest, Grand'mère wiedziała także.

— Biedaczka — szepnęła.

To była pani Darcy.

* * *

Nadeszło lato. Philip często przyjeżdżał do Jedwabnego Domu. Na sam dźwięk jego głosu Grand'mère rumieniła się zadowolona. Opowiadał nam o przedsiębiorstwie.

— Nie ulega wątpliwości — powiedział kiedyś — że wprowadzenie jedwabiu Sallon uratowało nas przed bankructwem. Tak — ciągnął — sprawy już wyglądały marnie. Nic dziwnego, że ojciec rozchorował się ze zmartwienia. Francuzi ustawicznie bili nas na głowę.

Tkali o wiele taniej i podejrzewam, że specjalnie obniżali swoje ceny, żeby nas wypchnąć z rynku. No, bierzemy odwet. Jedwab Sallon nas uratował.

— Charles pewnie jest bardzo dumny z siebie.

— Rzadko zagląda do kantoru. Mówi, że przyjdzie, kiedy zrobi nowy zbawczy wynalazek, który zrewolucjonizuje przemysł jedwabniczy.

— Trudno to zrozumieć — powiedziałam. — To, że Charles się tak nie interesuje... może zresztą pozornie... a dokonał tego cudownego odkrycia.

— Trudno, rzeczywiście. Ale myślę, że ostatecznie on ma zmysł do jedwabiu. Teraz, jak mówi, dobrze się bawi. Muszę przyznać, że na to zasłużył. Byleby był gotów usatkwować się w porę, niech bawi się jak najlepiej.

Zbliżały się moje siedemnaste urodziny. Uważałam, że powinnam już skończyć z nauką w pokoju szkolnym. Miałabym więcej czasu na pracę u Grand'mère. Coraz bardziej mnie ta praca wciągała. Lubiałam projektować suknie z jedwabiu Sallon, starając się eksponować wszystkie jego zalety. Było już kilka gatunków tego nowego jedwabiu. Philip wprowadzał coraz to inne kolory.

Wciąż konferował z farbiarzami, badał, gdzie miejscowa woda pozwala im osiągnąć najlepsze

rezultaty.

Wyczekiwałam jego przyjazdów i rozmów z nim w pokoju Grand'mère, Cassie często też tam przychodziła. Zwykle siedziała cicho na taborecie z nogą założoną na nogę, z rękami splecionymi na kolanie i pilnie się przysłuchiwała. Cieszyła się, że bierze udział w naszych pełnych podniecenia debatach.

Moje urodziny były w listopadzie. Niedobra pora na urodziny. Julia zawsze mi to mówiła. Za blisko Bożego Narodzenia. Najlepiej mieć urodziny mniej więcej w połowie roku. Może tak, ale ja wprost nie mogłam się doczekać tych moich siedemnastych, oznaczających, że z podlotka zmienię się w młodą pannę.

Gdybym była córką domu, zacząłby się dla mnie sezon towarzyski, oczywiście jednak mowy o tym być nie mogło w przypadku dziewczyny takiej jak ja.

Sezon Julii jak dotąd nie okazał się owocny. „Ona wciąż jeszcze pozostaje — powiedziała cynicznie Grand'mère — na rynku”. Julia snuła się po domu skwaszona, chyba trochę przybita tym, że nikt jej nie poprosił o rękę. Omawiając to z Grand'mère, powiedziałam, że z pewnością brak oświadczeń odbija się na pannach niekorzystnie.

Co do mnie, wkraczałam już w nową fazę. Lady Sallonger była z tego bardzo zadowolona.

Wymyślała dla mnie nowe obowiązki.

— To niedorzeczne... dziewczyna w twoim wieku... dzień w dzień w pokoju szkolnym. No, nie wątpię, że teraz ty pannę Everton mogłabyś niejednego nauczyć. Chcę, żebyś popatrzyła na mój haft. Jakiś wadliwy jest ten wzór. — Oczywiście, źle wyhaftowała, ale winiła wzór, a nie siebie. — Zamiast do pokoju szkolnego będziesz mogła rano przychodzić do mnie. Czuję się taka samotna przy kieliszku sherry. Chcę, żebyś ze mną rozmawiała, kiedy piję.

Poskarżyłam się Grand'mère.

— Ledwie przestanę się uczyć, lady Sallonger znajdzie tysiąc sposobów zabierania mi czasu.

— Postarajmy się ją pokonać — powiedziała Grand'mère.

Moje siedemnaste urodziny należało godnie uczcić. Grand'mère zamierzała wydać małe przyjęcie w ścisłym gronie — ona, Cassie i ja. I ewentualnie Philip, jeżeli przyjedzie i zechce się do nas przyłączyć.

No i doczekałam się tych urodzin. Dzień był typowo listopadowy, taki, jaki zawsze mi się z urodzinami kojarzył. Mgła wisiała w powietrzu. Puszcza za oknem mojego pokoju wydawała się spowita w tajemniczość.

Lady Sallonger podarowała mi jeden ze swoich jedwabnych szali.

— Obchodziłybyśmy twoje urodziny, Lenore — oświadczyła — gdyby nie żałoba po sir Francisie.

— Rozumiem — powiedziałam. — Ja naprawdę nie chcę ich obchodzić. Tylko cieszę się, że mam już siedemnaście lat.

— Siedemnaście... pamiętam moje siedemnaste urodziny. Cóż to był za dzień! To przyjęcie we dworze. Wtedy jeszcze nie byłam panną na wydaniu. Podobałby ci się mój rodzinny dwór.

Wspaniały, ze wszech miar jak przystało na dwór barona. Naturalnie, zawrzało, kiedy wyszłam za sir Francis'a. Moja rodzina wysuwała sprzeciw. Rzemiosło, wiesz... a uważano, że ja powinnam zrobić świetną partię. Mogłabym ci opowiedzieć nie lada historyjki.

— No chyba — wyrwało mi się.

Nie dostrzegła ironii. Zresztą byłam pewna, że ona słucha tylko tego, co sama mówi.

Powiedziałam jej, że ten szal jest prześliczny. Nie przesadziłam. Śliczny rzeczywiście: malowany w niebieskie i różowe motyle na zielonych liściach. Ale już doznawałam wrażenia, że nie jest tak cudownie mieć siedemnaście lat, jeżeli to za sobą pociąga narzucone dalsze obowiązki.

Po południu lady Sallonger dostała migreny — prawdziwej, co znaczyło, że musi leżeć w zaciemnionym pokoju. Panna Logan i ja położyłyśmy ją do łóżka i zostawiłyśmy samą.

Wychodząc z jej sypialni, zobaczyłam wchodzącego po schodach Philip'a. Właśnie przyjechał.

— Och, Philip! — wykrzyknęłam. — Ładnie, że przyjechałeś na moje urodziny.

— Przecież to oczywiste. Gdzie jest mama?

— Położyła się. Ma migrenę.

— Więc jesteś wolna. Muszę z tobą porozmawiać. — Otworzył drzwi buduaru matki. — Tutaj

— powiedział — nikt nie będzie przeszkadzał.

Weszliśmy do buduaru. Zamknął drzwi, objął mnie i pocałował.

— Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin.

— Dziękuję, Philip.

— W końcu dorostaś.

— Tak, stuknęło siedemnaście lat. Wydaje mi się, że bardzo długo dorastałam.

Ujął moją twarz w dłonie.

— Przyrzekłem sobie czekać do dzisiaj.

— Na co?

— Przywiozłem prezent dla ciebie. — Pogrzebał w kieszeni i wyciągnął pokryte aksamitem pudełeczko.

— Co to jest? — zapytałam.

— Dla ciebie. Ufam, że ci się spodoba. Jeżeli za mały czy za duży, dopasuje się go.

Otworzyłam pudełeczko. To był pierścionek. Wspaniały — szmaragd otoczony brylancikami.

— Zieleń — powiedział Philip — twój kolor. Oczy masz czasami zielonkawe.

— To dla mnie?

— To coś znaczy. Pierścionek zaręczynowy.

Uniósł mi lewą rękę i wsunął pierścionek na palec. Pocałował mnie w rękę.

— Lenore, od dawna tego pragnąłem.

Byłam oszołomiona. Grand'mère nieraz o tym napomykała, ale nigdy naprawdę w to nie wierzyłam. Myślałam, że ona żyje swoją mrzonką.

— Lenore — mówił Philip dalej. — Kocham cię od dawna, a te ostatnie sprawy jedwabnicze jeszcze bardziej nas do siebie zbliżyły. Mam rację?

— No... tak. — Więc...

— Ale, Philip... nie spodziewałam się tego. Czuję się... nie wiem... taka głupia rzeczywiście... taka niepewna...

— Nie wiedziałaś, że czekałem na ten dzień?

— Nie.

— Byłem pewny, że to oczywiste. Wydajesz się trochę wstrząśnięta. Bo po prostu cię zaskoczyłem, no nie? Chodzi mi tylko o to, czy zależy ci na mnie?

— Jasne, że mi zależy. Zawsze jesteś taki dobry i życzliwy. Tylko... chyba... jeszcze nie mogę.

Zdjęłam pierścionek z palca. Pokręcił głową.

— Czekałem dostatecznie długo. Już czas. Chcę, żebyśmy się pobrali. Chcę dzielić z tobą wszystko. Interesują nas te same sprawy... ciebie, twoją babcie i mnie. Wprost nie umiem powiedzieć, jakie to dla mnie ważne.

Włożyłam pierścionek z powrotem do aksamitnego pudełeczka i oddałam mu.

— Na razie, Philip, proszę.

Uśmiechnął się smutno.

— Byle nie na długo. Przymknij mi, że nie na długo.

— Dobrze — powiedziałam. — Nie na długo.

Poszedł do swojego pokoju nieco przygaszony, a ja poszłam do swojego piętro wyżej.

Grand'mère przyszła do mnie.

— Przyjechał Philip. No, co się stało? Wyglądasz... jak by powiedzieć?... jakaś nieswoja.

— Philip mi się oświadczył.

Uradowała się. Oczy jej się roziskrzyły, policzki poróżwiały. Odmłodziła.

— Taka jestem szczęśliwa. O tym właśnie marzyłam. Jestem najszczęśliwsza pod słońcem.

— Grand'mère, ja mu nie powiedziałam, że się zgadzam.

Cofnęła się i wlepiła we mnie wzrok zdumiona.

— Co?

— No, to było zbyt niespodziewane, ja...

— To znaczy, dałaś mu kosza!

— No, niezupełnie.

Wyraźnie odetchnęła z ulgą.

— Po prostu byłam zaskoczona.

— Mnie to nie zaskoczyło. Przecież jesteście stworzeni dla siebie.

— Ale, Grand'mère, mam zaledwie siedemnaście lat. Wydaje mi się, że za krótko żyję.

— Znam to uczucie... a jestem dosyć stara. Philip to zacy młody człowiek. Będzie dobrym mężem. Ma cel w życiu. Co noc modliłam się o to do Boga, do Wszystkich Świętych. Co mu powiedziałaś?

— Dał mi pierścionek...

Grand'mère uśmiechnęła się i klasnęła w ręce.

— Włożył mi na palec, ale nie mogłam... To za wcześnie.

— Nie, nie. To właściwa chwila. Twoje urodziny. Bardzo romantycznie. Och, Lenore, nie postąpisz

głupio, prawda? Jeżeli odwrócisz się od niego, będziesz żałować do końca swoich dni.

— Nie mam pewności...

— Ja mam, wiem, co jest najlepsze, Lenore, błagam cię, nie postąp w tej sprawie głupio.

Nigdy nie znajdziesz kogoś tak zacnego, tak wartościowego jak Philip, ja wiem. A sporo świata widziałam.

— Nie mówmy już o tym. Zaraz on tu przyjdzie i Cassie.

Tamten wieczór żywo pozostaje mi w pamięci. Świętowaliśmy tylko we czworo — ja, Grand'mère, Cassie i Philip, i to wystarczyło.

Jak żeśmy rozmawiali! Philip wciąż szukał mojego wzroku i oczy miał pełne miłości i oddania. Czulałam się otoczona serdecznością, myślałam: jak to cudownie, że jestem z tymi, którzy mnie kochają.

Philip ku oczarowaniu Grand'mère mówił dużo o Villers-Mûre. Głębokie wrażenie zrobiła na nim ta miejscowość, nie tylko tamtejsza tkalnia jedwabiu. Grand'mère słuchała z przejęciem, dopowiadała coś od czasu do czasu. Widziałam, że wraca myślą w swoje młode lata. Cassie milczała trzymając ręce splecione na kolanach. Patrzyła to na Philipa, to na Grand'mère, to na mnie i nierzadko na manekiny, jak gdyby rzeczywiście wierzyła, że one należą do naszego towarzystwa — Cassie, fantastka, rada, że ma swoje miejsce w naszym małym kręgu.

Philip powiedział, że Villers-Mûre to wieś bardziej włoska niż francuska.

— Jak niejedna inna na pograniczu — powiedziała Grand'mère. — Dużo tam Włochów i do Italii tak blisko. Na pewno mamy w sobie trochę włoskiej krwi, chociaż zawsze byliśmy pod francuskim sztandarem.

— Ludzie tam są muzykalni — ciągnął Philip — chyba jak Włosi. Słyszysz się śpiewy na polach i niektórzy z nich głosy mają piękne. Nieraz śpiewają włoskie, opery. Stałem oczarowany, tak piękne było wykonanie *La donna e mobile*. Kiedy indziej chłopak i dziewczyna śpiewali duet z „Il Trovatore”. — Sam zaśpiewał: — *Ai nostri monti ritorneremo*.

Biłyśmy mu brawo.

— Szkoda, że nie słyszałyście, jak to rozbrzmiewało po łąkach — powiedział.

— Och tak — potwierdziła Grand'mère. — Tam zawsze kochali muzykę. I śpiew, i taniec.

— O tym mówię — podjął. — Są niefrasobliwi, weseli, ale też bardzo krewcy. Wpadają w gniew nawet z błahych powodów. Naprawdę gotowi zamordować. I jest w nich pierwiastek francuski... z jednej strony romantycy, z drugiej realiści. Wprost nie potrafię wyrazić, jak mnie to urzekało, niezależnie od ich metod pracy.

— Czy monsieur St Allengère był z wami szczerzy? — zapytała Grand'mère.

Philip roześmiał się.

— Do pewnego stopnia. To naturalne, że oni nie chcą zdradzać swoich sekretów. Ciekawe, co myślą teraz, kiedy wynaleźliśmy jedwab Sali on.

— Czy wiedzą? — zapytałam.

— Czy wiedzą?! Cały świat wie. To jeden z większych przełomów w jedwabnictwie.

Zapewne zgrzytają zębami, wściekli, że to nie ich pomysł.

— Osiągną to w jakiś sposób, nie ulega wątpliwości — powiedziała Grand'mère. — Ale my jesteśmy pierwsi, mamy wielką przewagę.

Philip się zamyślił.

— Wciąż jeszcze nie mogę się nadziwić, że wynalazł to Charles.

— Ukrywa swoje zdolności — powiedziałam.

— Rzeczywiście nigdy ich nie przejawiał. Nawet wtedy, gdyśmy tam byli, wydawało się, że nic do niego nie dociera.

— Dowód, jak bardzo można się mylić.

— Chciałbym pojechać tam znowu — powiedział Philip. — Chciałbym też zwiedzić włoskie miasta. Byłem w paru, ale bardzo krótko. Rzym... Wenecja... Florencja. Zwłaszcza Florencja przypadła mi do serca. Cudownie było patrzeć na Florencję z wyżyn Fiesole. Jeszcze tam pojedę kiedyś. — Uśmiechnął się do mnie. — Tobie by się tam podobało, Lenore.

Byłam szczęśliwa. Patrzył na mnie czule. I Grand'mère była szczęśliwa — dlatego, że pragnął ożenić się ze mną.

Dziwny czar miał w sobie tamten wieczór. Widziałam w oczach Grand'mère rozmarzenie i Cassie promieniała, zadowolona z nas wszystkich. Grand'mère i Philip wymieniali spojrzenia jak dwoje radosnych spiskowców.

Chciałam, żeby te urodziny trwały i trwały. To cudowne ukończyć siedemnaście lat, już nie być dzieckiem. W pewnej chwili Philip ujął mnie mocno za rękę, patrząc pytająco.

Grand'mère wstrzymała oddech, wargi jej się poruszały jak zawsze, gdy bezgłośnie się modliła.

— Lenore — zapytał mnie Philip — zostaniesz moją żoną, prawda?

Więc powiedziałam, że tak.

Cóż to była za radość!

Philip wyciągnął z kieszeni aksamitne pudełeczko, znów włożył mi pierścionek na palec.

Grand'mère się rozplakała — jak nas zapewniła — ze szczęścia.

— Zišciło się moje najdroższe marzenie. Cassie uściskała mnie serdecznie.

— Teraz będziesz prawdziwą siostrą — powiedziała.

Grand'mère napełniła kieliszki szampanem. Philip mnie objął i przytulił, gdy Grand'mère i Cassie podniosły swoje kieliszki.

— Niech was dobry Bóg błogosławi — powiedziała Grand'mère — teraz... i zawsze.

Przygoda florencka

Różnie została przyjęta w domu wiadomość o naszych zaręczynach. Lady Sallonger z początku była raczej zaszokowana. Dokładnie wiedziałam, jak jej umysł pracuje. Każdą sytuację zawsze mierzyła skutkiem, jaki owa sytuacja będzie miała dla niej. Najpierw na pewno bolała nad tym, że Philip nie rozejrzał się za żoną wyżej. Czyż to stosowne, by jego wybór padł na dziewczynę, która jest właściwie panną służącą? Madame Cleremont, to fakt, ma pozycję dość szczególną i przyjeżdżając wysunęła pewne żądania, w pełni akceptowane, ale ostatecznie zalicza się ją do służby. Lady Sallonger zareagowała więc opryskliwością. Za dużo się na nią wali teraz, kiedy biedny sir Francis odszedł i ona musi sama dźwigać ciężkie brzemie obowiązków.

Doprawdy zanadto opada z sił, żeby uporać się z takimi sprawami. Ludzie powinni mieć więcej względów. Potem zaczęła patrzeć na to trochę inaczej. Uznała, że ja będę teraz jej synową. Będę wdzięczna za wyniesienie na tak poczesne miejsce w domu, co jej pozwoli rościć sobie jeszcze większe prawa do mojego towarzystwa, a jestem doprawdy przydatna. Więc ostatecznie chyba to nie taka bardzo zła wiadomość. Przynajmniej może być rekompensata — a zresztą Philip to młodszy syn.

Julia była zbita z tropu. I drażniła ją myśl, że ona po tych mazołach nie otrzymała ani jednej propozycji małżeńskiej, a ja bez niczyjej pomocy w moje siedemnaste urodziny już się zaręczyłam. Każdy by powiedział, że jak na dziewczynę tak skromnego stanu robię partię najlepszą ze wszystkich możliwych.

Służba była zalękniona. Ale nie przejmowała się tym, że osoba niższego stanu zajmie ważną pozycję żony jednego z synów domu. Za samych panów domu wychodziły guwernantki, to się od czasu do czasu zdarzało.

Cassie, oczywiście, była uszczęśliwiona.

Gdy Julia przyjechała na weekend do matki, towarzyszyła jej hrabina Ballader. Ta pani wzięła mnie na bok. Wydawała się szczerze zadowolona.

— Brawo — powiedziała z uznaniem, aż można by pomyśleć, że jedynym celem panińskiego istnienia jest zdobycie męża. — Od początku mówiłam, jak żałuję, że to nie tobą mam się zajmować.

Julia w czasie tego weekendu odnosiła się do mnie chłodno, więc odetchnęłam, gdy razem z hrabiną wyjechała.

I jeszcze był Charles. Odkąd dostał nauczkę od Drake'a Aldringhama, starannie okazywał, że jestem mu zupełnie obojętna. Prawie mnie nie zauważał. Dowiadując się o zaręczynach, uśmiechnął się z rozbawieniem, jak gdyby usłyszał jakiś dowcip.

Philip tak się entuzjazmował sprawą ślubu, jak sprawą jedwabiu Sallon. Miał umysł

jednotorowy; gdy już coś zaplanował, przeprowadzał ten plan z całym zapałem. Lubiłam to w nim. Przypuszczałam, że go kocham, chociaż nie na pewno. Lubiłam z nim przebywać, rozmawiać, przy

czym najbardziej podobał mi się sposób, w jaki on mnie traktował — jak gdybym była czymś bezcennym, czego do końca życia będzie pieczołowicie strzegł.

Nasz ślub miał odbyć się w kwietniu. To nam dawało pięć miesięcy na przygotowania.

— Absolutnie nie ma sensu zwlekać — powiedział Philip.

Grand'mère prowadziła z nim długie rozmowy. Dużo mówiła o „zabezpieczeniu”. Przeraziłam się, gdy zrozumiałam, o co jej chodzi.

— Grand'mère, chcesz przez to powiedzieć, że Philip powinien zapłacić?

— Tak się robi we Francji. Tam ludzie są praktyczni. Philip w dniu waszego ślubu zapisze ci pewną sumę i te pieniądze będą twoje... w razie gdyby coś mu się stało.

— Jemu?

— Ach, *mon enfant*, nigdy nic nie wiadomo. Więc ostrożności nigdy nie za dużo. Zdarza się wypadek... i co ma robić biedna wdowa? Ma być zdana na łaskę rodziny męża?

— To takie jakieś podłe.

— Trzeba podchodzić do tych spraw praktycznie. Ciebie nie będziemy fatygować. Załatwimy to, prawnicy, Philip i ja... czyż nie jestem twoją opiekunką?

— Och, Grand'mère — powiedziałam — wolałabym, żebyś nie była. Nie chcę, żeby Philip musiał płacić pieniądze.

— To tylko zabezpieczenie... po prostu. Kiedy wyjdiesz za niego, będziesz zabezpieczona.

— Ale ja wyjdę za niego nie po to.

— Dobrze... Są jednak tacy, którzy powinni pilnować twoich praw. Ty możesz nie być praktyczna, twoja opiekunka musi.

Gdy byłam z Philipem sama, poruszyłam ten temat.

— Twoja babcia — powiedział — jest bystrą kobietą interesu. Wie, czego chce. A chce jak najlepiej dla ciebie. Ja też, jesteśmy jednomyślni.

— Ale te rozmowy o zabezpieczeniu to jak o najemnictwie.

— Takie się tylko wydają, są słuszne. Nie myśl o tym. Spełnię każde życzenie twojej babci.

Wiesz, myślę, że w podróż poślubną pojedziemy do Włoch. Kiedy byłem we Florencji, często myślałem o tobie. Wciąż sobie mówiłem: muszę to pokazać Lenort. No i chyba pokażę. Zgódź

się pojechać do Florencji.

— Jesteś dla mnie bardzo dobry — powiedziałam wzruszona.

— I taki zamierzam być... zawsze, a ty będziesz dobra dla mnie. Będziemy idealnym małżeństwem.

— Mam nadzieję, że nie sprawię ci rozczarowania.

— Co za bzdura! Jak gdybyś ty była do tego zdolna! A więc Florencja. Tam jest tak pięknie.

Miasto największych malarzy świata. Czuje się to, kiedy się chodzi po tych ulicach. Pójdziemy do opery. To powinna być wspaniała uroczystość. Włóżysz piękną suknię z jedwabiu Sallon.

Twoja babcia musi ją uszyć. Specjalną do opery.

Parsknęłam śmiechem i powiedziałam:

— A ty włożysz długą czarną pelerynę operową i szapoklak... taki, który się spłaszcza i wyskakuje i tak wspaniale wygląda.

— I spacerkiem wrócimy do naszego *albergo*. Będziemy mieli pokój z balkonem, może z widokiem na jakiś skwer, i będziemy myśleli o wielkich Florentynczykach, którzy pracowali w tym unikalnym mieście i dali światu najznakomitsze dzieła sztuki.

* * *

Tygodnie przelatywały. Byłam szczęśliwa. Wiedziałam, że Grand'mère ma rację. To przecież najlepsze, co mogło mi się zdarzyć. Philip sporo czasu spędzał w Londynie. Zamierzał dać sobie trzy tygodnie wolne na naszą podróż poślubną. Nie mógłby być nieobecny w przedsiębiorstwie dłużej.

Potem mieliśmy wrócić do Jedwabnego Domu, na razie, przed przeniesieniem się do Londynu. Londyński dom był wspólny, Philipa i Charlesa. Philip uważał, że później powinniśmy mieć własny dom. Ja też tak uważałam. Czułam obrzydzenie na myśl o przebywaniu z Charlesem pod jednym dachem. Nie ufałam mu i wiedziałam, że nigdy nie będę ufać. On życzył sobie zapomnieć o incydencie w mauzoleum, ja zupełnie zapomnieć nie mogłam.

Grand'mère nieomal w błogostanie obmyślała i szyła mi suknie. Suknia ślubna była z białego atłasu i flamandzkiej koronki z Honiton. O wiele za wspaniała na skromny ślub, jaki planowaliśmy. Ale Grand'mère uparła się przy właśnie takiej. Ona też decydowała o mojej wyprawie. Wiedząc, że zamierzamy w czasie podróży poślubnej wybrać się do opery włoskiej, uszyła mi suknię z niebieskiego jedwabiu Sallon i pelerynę z czarnego aksamitu. Gdy Philip przyjechał, chciałam, żeby to zobaczył. Przyszedł z zawiniątkiem pod pachą. Stałam przed nim w moim niebieskim jedwabiu, a on rozwinął zawiniątko: narzucił na siebie czarną pelerynę, włożył szapoklak.

Śmieliśmy się. Paradowaliśmy ramię w ramię po pracowni Grand'mère, śpiewając urywki „La Traviaty”. Cassie wesoło nas oklaskiwała. Grand'mère patrzyła uszczęśliwiona. Chyba przyszło jej na myśl, że los jest dla mnie łaskawszy, niż był dla mojej matki.

Ślub miał być cichy, oboje tego chcieliśmy, gości niewiele i wkrótce po ceremonii mieliśmy wyruszyć w podróż poślubną.

Lady Sallonger była coraz bardziej zrezygnowana, chociaż jeszcze żywiła trochę urazy.

— Trzy tygodnie — powiedziała — to wydaje się tak długo. Musisz doczytać mi „Kobietę w bieli” do końca, zanim wyjedziesz.

— Panna Logan będzie pani czytać — przypomniałam jej.

— Ona dostaje chryпки... i nie wkłada uczucia.

— Cassie...

— Nie, Cassie czyta jeszcze gorzej. Bez ekspresji, aż się nie wie, czy mówi bohaterka, czy ten łotr. Ojej, nie rozumiem, po co ludziom podróże poślubne. Mogą być bardzo niedogodne.

— Pochlebia mi to, że pani będzie mnie brakowało — powiedziałam.

— Jestem teraz taka bezradna... odkąd sir Francis odszedł, nikt nie troszczy się o mnie.

— Wszyscy się o panią troszczymy tak jak zawsze — zaprotestowałam. Już nie byłam tylko wnuczką pracownicy, byłam przyszłą synową. Tę pozycję zamierzałam wykorzystać.

Tak to radośnie tygodnie mijały, aż nadszedł dzień ślubu. Słoneczny dzień kwietniowy.

Do pana młodego przy ołtarzu poprowadził mnie doktor, przyjaciel rodziny. Charles był drużbą.

Gdy stałam tam z Philipem, promień słońca padł przez witraż na tablicę wmurowaną ku pamięci kolatora, tego Sallongera, który kupił dom i nazwał go Jedwabnym Domem. Philip włożył mi na palec obrączkę i przysięgliśmy, że będziemy się miłować, dopóki śmierć nas nie rozłączy.

Szliśmy od ołtarza przy dźwiękach „Marsza Weselnego” Mendelssohna i w przejściu zobaczyłam Grand'mère, rozpromienioną.

Wróciliśmy do Jedwabnego Domu, gdzie odbyło się nieduże przyjęcie dla gości. Składano nam życzenia i wkrótce potem musieliśmy już przygotować się do podróży.

Grand'mère poszła ze mną do mojego pokoju. Pomogła mi zdjąć wspaniałą suknię ślubną, przebrać się w szafirowy kostium z alpagi, idealny strój podróżny.

Patrząc na mnie, promieniała radością i dumą.

— Wyglądasz pięknie — powiedziała — to jest najcudowniejsza chwila w moim życiu.

Potem wyjechaliśmy, Philip i ja, do Florencji.

* * *

Nastąpiły dni warte zachowania w najczulszej pamięci. Byłam szczęśliwa. Już nie miałam żadnych wątpliwości co do racji Grand'mère, tak bardzo pragnącej, żebym została żoną Philipa.

Teraz, gdy byliśmy rzeczywiście kochankami, i odkryłam nowe szczęście, wprost doznałam objawienia. Ta bliskość, ta nie znana mi dotąd zażyłość ekscytowała, radowała, zadziwiała.

Nigdy nie czułam się samotna, zawsze miałam przy sobie Grand'mère, ośrodek mojego życia.

Ale teraz miałam Philipa, a z nim łączyła mnie inna szczególna więź. Philip okazywał mi mnóstwo dobroci, przychyliłby mi nieba. Pod każdym względem stawiał mnie na pierwszym miejscu. To, że jestem tak kochana, budziło we mnie poniekąd pokorę i w pełni mnie zadowalało.

Grand'mère przewidziała, że tak właśnie będzie — dlatego nade wszystko chciała, żeby Philip mnie poślubił.

Philip nie tylko był zakochanym po uszy, delikatnym, a przecież namiętym kochankiem, ale posiadał ogromną wiedzę w wielu dziedzinach. Zawsze interesował się jedwabnictwem, teraz dowiadywałam się, że ma wiele innych zainteresowań, przy czym frapują go najdrobniejsze nawet szczegóły. Kochał muzykę, a mnie zawsze muzyka pociągała i teraz dzięki niemu zaczęłam lepiej ją rozumieć i oceniać. Wiedział bardzo dużo o florenckich malarzach, o niejednym spośród których przedtem nawet nie słyszałam. Zainteresowany przeszłością, potrafił

mi przedstawić historię Florencji tak żywo, że nieomal widziałam to, o czym opowiadał.

Był kwiecień i jeszcze niewielu przyjeżdżało turystów. Wyobrażałam sobie, jaka później Florencja będzie zatłoczona, bo to przecież miasto pokazowe. Mało osób zatrzymywało się w naszym hotelu, więc personel, który z pewnością miał być później liczniejszy, niepodzielnie okazywał nam względy.

Pokoje były duże, w naszej sypialni ściany z mozaiki w kolorach malwowym i niebieskim.

Szklane drzwi prowadziły na balkon, skąd mogliśmy patrzeć na ulicę poniżej. Balkon był bardzo szeroki. Chyba ten hotel mieścił się w dawnym pałacu, świadczyła o tym jakaś wyszarzała jego wspaniałość. Nazywał się Reggia. Doznawałam wrażenia, że jest w nim coś niesamowitego.

Odczuwałabym to wyraźniej, mieszkając tam sama. Ale przy Philipie dziwne niepokojące wrażenie, że w tym domu kiedyś szalały namiętności, nawet złowrogie, tylko przyczyniało się do mojego zafascynowania.

To były złociste dni. Wszystko wydawało się ciekawe i zabawne. Tak właśnie Philip potrafił

pokazywać mi świat. A ja przedtem myślałam, że jego świat to manufaktura jedwabiu — o której zresztą nawet teraz nie zapomniał. Gdy widzieliśmy jedwabie na wystawach sklepów, nie mógł

się przy nich nie zatrzymać i czasami do sklepu wchodził, żeby zapytać o ceny, dotknąć materiału, pogłaskać go czule. Śmiałam się wtedy z niego, mówiłam mu, że tylko irytuje sprzedawców, bo nigdy nie kupował.

— No — powiedział — gdybym kupił, to byłoby jak przywożenie węgla do Newcastle.

Ogromnie lubiłam sklepiki na Ponte Vecchio. Kontemplowaliśmy tam bibeloty i błyskotki i od czasu do czasu kupowaliśmy kamień czy bransoletkę, czy emaliowaną szkatułeczkę. Mnóstwo rzeczy nam się podobało.

Opiekował się nami kipiący życiem Włoch. Nie wiedziałam, co robił, gdy w hotelu było pełno gości, ale teraz najwidoczniej miał sporo wolnego czasu. Jakoś przywiązał się do nas i stał się naszym totumfackim.

Rano przynosił nam śniadanie. Rozsuwał zasłony w oknach i patrzył na nas z pobłażliwym uśmiechem. Jeśli zostawialiśmy ubranie w nieładzie, wieszał je starannie, bo bardzo interesował się naszą, zwłaszcza Philipa, garderobą. Mówił trochę po angielsku, raz po raz wtrącając słowa włoskie, i starał się korzystać z okazji do angielskiej konwersacji. Bawiło nas to, po paru dniach zaczęliśmy go zachęcać, żeby mówił jak najwięcej.

Był wysoki... mniej więcej wzrostu Philipa, miał ciemnobrązowe włosy i uduchowione, duże ciemne oczy.

Szybko odkrył, że jesteśmy w podróży poślubnej.

— Po czym to poznać? — zapytałam.

Wzruszył ramionami i podniósł wzrok na pomalowany sufit.

— Od razu wiadoma — większość słów kończył literą a i melodeklamował je głosem zgoła nieangielskim.

— Bardza miła — powiedział. — Bardza miła. — Chyba uważał podróże poślubne za wspaniały żart.

Traktował nas jak swoich podopiecznych. Gdy jedliśmy w restauracji, przychodził i stojąc przy kelnerze, patrzył, jak jemy. Jeżeli coś nam nie smakowało, potrząsał głową i pytał niespokojnie.

— Nia milla? — tak, że z trudem powstrzymywaliśmy śmiech.

Był elegantem. Przy każdej sposobności przeglądał się w lustrach z nie tajonym zadowoleniem. Na imię miał Lorenzo. Philip nazwał go Lorenzo Wspaniały.

Z biegiem dni rozmowy z nim stawały się coraz dłuższe. Philip w pewnej mierze rozumiał

język włoski, co w dodatku do tej włoskiej angielszczyzny pomagało się porozumiewać. Więc wyciągaliśmy go na zwierzenia. Wszystko wydawało nam się niesłychanie zabawne.

Zaśmiewaliśmy się. Był to śmiech najlepszego rodzaju, mający źródło nie tyle w rozbawieniu, co w radości. Oboje tak cieszyliśmy się z życia.

Lorenzo wyczuwał to. I chyba chciał w tym uczestniczyć.

Dokładał starań, żebyśmy wiedzieli, jaki z niego zuch uwielbiany przez panie. Nawet powiedział, że mu żal okazji, które musiał przepuścić. Swymi wymownymi rękami pokazywał, jak odpędzał owe wielbicielki niczym uprzykrzone muchy. Zawsze w czasie tych wywodów zajmował pozycję dogodnie blisko luster, zerkał na swoje odbicie i z aprobatą przyglądał sobie kędziory. Ale pomimo tej jaskrawej próżności był tak sympatyczny, że i Philip, i ja prawie od razu go polubiliśmy.

Jak już wspomniałam, z upodobaniem oglądał ubrania Philipa. Kiedyś niespodziewanie zastaliśmy go w naszym pokoju, gdy przymierzał szapoklak.

— Bardzo miła — powiedział, zgoła nie speszony. Usiłowaliśmy nie okazać zdumienia.

— Do twarzy Lorenzowi — powiedziałam.

— W tym... Lorenzo... dokona wielka podboja, aha?

— Z pewnością. Nie mógłby się Lorenzo opędzić. Musiałby uciekać.

Z szacunkiem zdjął szapoklak z głowy, spłaszczył go z uciechą nieomal dziecięcą i niechętnie włożył do pudełka.

On nam radził, dokąd pójść, i wypytywał nas po powrocie. Zawsze nas bawił. Ale najzabawniejszy był wtedy, gdy krygował się w szapoklaku Philipa. Śmieliśmy się później

— Widziałeś kiedykolwiek kogoś tak próżnego? — zastałam.

Philip odpowiedział, że Lorenzo chyba nie jest bardziej próżny niż inni, tylko po prostu tego nie ukrywa.

— Uważa się za wspaniałego kochanka — ciągnął. — No, wolno mu. Nie ulega wątpliwości, że to go uszczęśliwia.

Nie ulegało.

Nieraz siedzieliśmy w którejś kawiarni na ulicy, popijając kawę albo aperitif. Omawialiśmy wrażenia z dnia i plany na dzień następny. Zwykle przy tym komentowaliśmy ostatnie wyczyny Lorenza.

Czarowne dni w czarownym mieście. Gdy myślę o Florencji, mam przed oczami wzgórze Fiesole i miasto otoczone łagodnymi zboczami, i na zboczach winnice, ogrody, piękne wille. I dosyć surowe

florenckie budowle nadające ulicom jakiś złowieszczy splendor. Szczególnie pamiętam Duomo — katedrę — i kościół San Lorenzo, jego wspaniałe marmury, ozdoby z lapis lazuli, chalcedonu i agatu; tam odkryłam posąg Lorenza de Medici — Lorenza Wspaniałego.

Zaklinałam się, że to jest nasz Lorenzo. Dopatrywaliśmy się podobieństwa, ciekawi, czy nasz Lorenzo tu przychodzi, żeby przyglądać się swemu słynnemu imiennikowi.

Tyle było do zobaczenia — nadmiar bogactw. Powinno się mieszkać we Florencji przez cały rok i przyswajać ją sobie stopniowo. Te liczne pałace: il Bargello, gdzie kiedyś mieściło się więzienie, Palazzo Vecchio, Uffizi i Palazzo Pitti. Często zatrzymywaliśmy się na Piazza della Signoria wśród zbioru posągów i w Loggia dei Lanzi, pod której portykiem znajduje się kilka z najświetniejszych rzeźb, jakie w życiu widziałam.

Pogoda była ładna, ciepło, ale nie upalnie. Szafir nieba przydawał piękna wszechimponującym budowlom.

Gdy podziwialiśmy posągi na Piazza della Signoria, zauważyłam, że ktoś stoi nie opodal.

Podchwycił moje spojrzenie i uśmiechnął się.

— Cudowna kolekcja — powiedział po angielsku z wyraźnym akcentem włoskim.

— Piękna — przytaknęłam.

— Gdzie by się poza Italią znalazło coś takiego? — dodał Philip.

— Zaryzykuję twierdzenie, że nigdzie — powiedział nieznajomy. — Państwo tu na wakacjach?

— Tak — odrzekł Philip.

— Po raz pierwszy?

— Ja nie. Moja żona po raz pierwszy.

— Pan mówi po angielsku — powiedziałam. — Skąd pan wiedział, że jesteśmy Anglikami?

Uśmiechnął się.

— Ma się swoje sposoby. Z której części Anglii państwo pochodzą? Byłem w Anglii kiedyś.

— Jesteśmy z okolic Puszczy Epping — odrzekł Philip. — Był pan tam?

— Ach tak. Piękne strony... i tak blisko stolicy, czyż nie?

— Widzę, że pan dobrze poinformowany.

— Długo jeszcze państwo tu będą?

— Do końca przyszłego tygodnia.

Nieznajomy uchylił kapelusza i uklonił się.

— Powinni państwo jak najlepiej wykorzystać ten czas.

Gdy odszedł, powiedziałam:

— Był bardzo uprzejmy.

— Poczul do nas sympatię, bo zachwycamy się jego krajem.

— Myślisz, że to dlatego? Wydawał się dosyć nami zainteresowany... pytał, skąd jesteśmy i kiedy wyjedziemy.

— Tak sobie — powiedział Philip. — Zdawkowa rozmowa.

Wziął mnie pod rękę. Ruszyliśmy na poszukiwanie restauracji, w której moglibyśmy siedzieć i jeść patrząc na ruch uliczny.

* * *

Wybraliśmy się do opery. Ja w szafirowej sukni z jedwabiu Sallon, Philip w pelerynie i szapokłaku, któremu podziw okazał Lorenzo.

On wszedł pod jakimś pretekstem do naszego pokoju akurat wtedy, gdyśmy mieli wyjść.

Klasnął w ręce i wlepił w nas oczy urzeczony, jak gdyby ujrzał samego siebie w pelerynie i szapokłaku Philipa. Szeptał:

— *Magnifico! Magnifico!*

To był cudowny wieczór, ostatni z cudownych wieczorów. Wprost niewiarygodne, że można tak zupełnie być nieświadomym nadciągającego nieszczęścia.

Wystawiano operę „Rigoletto”. Całkowicie oczarowały mnie głosy księcia i jego tragicznego błazna. Z dreszczem wzruszenia słuchałam *Caro Nome* Gildy i kwartetu z księciem—

kobieciarzem w zawziętej pogoni za dziewczyną z gospody, łączącego się z tragedią zdradzonej Gildy i mściwego Rigoletta. Myślałam: muszę dokładnie opowiedzieć to Grand'mère.

W czasie przerwy zobaczyłam w jednej z łóż mężczyznę, który nas zagadnął na Piazza della Signoria. Napotkał mój wzrok i chyba mnie rozpoznał, bo się uklonił.

— Popatrz — wskazałam go Philipowi — tam jest ten człowiek. — I gdy Philip spojrzął

pytająco, przypomniałam: — Pamiętasz, rozmawialiśmy z nim na Piazza.

Philip przytaknął roztargniony.

Gdy wyszliśmy na ulicę, zobaczyłam go znowu. Stał tak, jakby na kogoś czekał. Znowu się uklonił.

— Może czeka na swój pojazd — powiedziałam. Myśmy wrócili do hotelu Reggia pieszo.

To był wieczór zaczarowany. Chciałam, żeby trwał dalej. Stanęliśmy ramię w ramię na naszym balkonie i patrzyliśmy w dół.

— Ta ulica, kiedy nie ma ludzi, jednak wygląda złowieszczo — powiedziałam. — Aż chciałoby się zapytać, jakich aktów przemocy tu dokonywano w przeszłości.

— To odnosi się do ulic wszędzie — stwierdził Philip.

— Ale ja myślę, że tutaj szczególnie...

— Masz zbyt bujną fantazję, kochanie moje — powiedział Philip wciągając mnie do pokoju.

* * *

Cały następny dzień spędziliśmy na spacerach, które dosyć nas zmęczyły. Lorenzo krążył wokół nas, gdy jedliśmy kolację w sali restauracyjnej, prawie pustej.

— Nia ida do opera dzisiaj? — zapytał.

— Nie. Byliśmy tam wczoraj — odpowiedział Philip.

— Było cudownie — dodałam.

— Bardzo miła. „Rigoletto”, he?

— Tak. Śpiewali wspaniale.

— A dzisiaj nie ida?

— Nie — powiedział Philip. — Dziś nigdzie nie idziemy. Mamy listy do napisania. I jesteśmy trochę zmęczeni, więc wcześniej położymy się spać.

— To dobra...

Wróciliśmy do naszego pokoju. Napisaliśmy listy. Mój list był do Grand'mère, długi, z opisami cudownych widoków we Florencji i wieczoru w operze. Philip odpisywał na list z manufaktury, wydając polecenia.

Potem posiedzieliśmy przez jakiś czas na balkonie i położyliśmy się spać o wiele wcześniej niż zwykle.

Nazajutrz śniadanie się opóźniało. W końcu przyniósł je nie Lorenzo, tylko inny służący.

— Co się stało z Lorenzem? — zapytałam. Angielszczyzna tego chłopca była bardzo słaba.

— Lorenzo... poszła.

— Poszedł? Dokąd poszedł?

Chłopiec postawił tacę i z twarzą bez wyrazu rozłożył bezradnie ręce.

Po jego odejściu zastanawialiśmy się. Co mogło się stać? To chyba nie znaczyło, że Lorenzo poszedł sobie raz na zawsze.

— Gdyby miał dziś wolny dzień, przecież by nas chyba uprzedził — powiedział Philip.

— To dziwne — przyznałam. — No, ale Lorenzo jest raczej dziwny. Chyba w swoim czasie się dowiemy.

Zeszliśmy na dół, nikt jednak nie wiedział, gdzie Lorenzo się podziewa, i było jasne, że wszystkich jego zniknięcie dziwi tak samo jak nas.

— Pewnie to romantyczna eskapada — powiedział Philip. Wyszliśmy i chodziliśmy po mieście. Minęliśmy pałac Lorenza de Medici i myśląc o naszym Lorenzo, mówiliśmy o tym drugim, latorośli osławionego rodu, który rządził Florencją w piętnastym wieku.

— Lorenzo il Magnifico — powiedział Philip, zadumany. — Musiał być wielkim człowiekiem, żeby być tak powszechnie znany. No, był wspaniały. Dawał dużo ze swoich wielkich bogactw na rozwój sztuki i literatury, uczynił Florencję ośrodkiem uczoneści. Wiesz, ofiarował skarby bibliotece, którą założył. Otaczał się rzeźbiarzami i malarzami i niejednego z nich zalicza się do najśłynniejszych, jakich kiedykolwiek znał świat. To właśnie jest wspaniałe.

O ile wiem, stał się w końcu zbyt potężny, a to nie jest dobre dla nikogo. Więc gdy umierał we Florencji, już utracił część władzy. Synowie wielkich ludzi często nie dorastają do swoich ojców, dla Florencji nastąpiły burzliwe czasy.

Nie mogłam przestać myśleć o naszym Lorenzo.

— Oby nie miał kłopotów, kiedy wróci — powiedziałam. — Nie są, zdaje się, z niego zadowoleni... tak odszedł bez słowa, nie wiadomo, dokąd.

Zrobiliśmy zakupy w sklepikach na Ponte Vecchio i poszliśmy nad Arno, tam, gdzie Dante po raz pierwszy spotkał Beatrice.

Ale wciąż na myśl nasuwał mi się Lorenzo, więc ciągnęło mnie z powrotem do hotelu.

A tu nas czekał wstrząs.

Ledwieśmy weszli, wiedzieliśmy, że coś się stało. Podbiegli do nas. Jeden z kelnerów i dwie pokojówki. Trudno było ich zrozumieć, bo mówili wszyscy jednocześnie i po włosku z odrobiną tylko angielskiego.

Własnym uszom nie wierzyliśmy. Lorenzo nie żyje.

Jak się wydawało, Lorenzo został napadnięty w poprzednią noc, gdy wyszedł z hotelu. Znalazł go martwego w jednym z małych zaułków za hotelem ktoś idący do pracy.

Zjawił się dyrektor.

— To dobrze, że państwo wrócili — powiedział. — *Polizia* chce z państwem porozmawiać...

Muszę ich zawiadomić, że państwo już są. Chcą porozmawiać.

Zdziwiliśmy się, dlaczego, ale nie zastanawialiśmy się nad tym zbyt oszołomieni taką wiadomością o naszym wylewnym, roześmianym Lorenzo.

Przyszli dwaj policjanci. Jeden niezłe mówił po angielsku. Powiedział, że nie zaraz Lorenza zidentyfikowano, ponieważ on był w pelerynie z naszywką na podszewce, z nazwiskiem londyńskiego krawca; przypuszczano, że ofiarą napadu padł jakiś bawiący czasowo we Florencji cudzoziemiec. Ale Lorenzo nie był w mieście nieznanym, więc wkrótce go rozpoznano. Napad musiał być rabunkowy, trudno jednak się zorientować, czy coś zostało zrabowane.

To było zagadkowe. Nagle sobie przypomniałam, jak Lorenzo się krygował w szapoklaku Philipa. Powiedziałam, że chcę pójść do naszego pokoju. Poszłam i sprawdziłam: nie ma szapoklaka w pudełku ani peleryny w szafie.

Zbiegłam na dół, żeby im to powiedzieć.

W rezultacie pokazali nam tę zakrwawioną pelerynę, niewątpliwie pelerynę Philipa. Już znaleziono cylinder. Gdy tylko go zobaczyłam, odgadłam, w czym rzecz.

Byliśmy zdenerwowani, do głębi nas to poruszyło. Lorenzo nas bawił, lubiliśmy go serdecznie. Przypomniałam sobie, jak zapytał, czy wybieramy się dokądś wieczorem. Wiedząc, że nie, spokojnie wypożyczył pelerynę i szapoklak Philipa, żeby udawać bogatego turystę, i tak spotkała go śmierć.

Ta tragedia dotknęła nas tym bardziej, że Lorenzo został zabity w pelerynie Philipa. Wciąż myślałam o nim — paradującym, uważającym się za mężczyznę doskonałego, któremu kobiety nie mogą się oprzeć. Jego próżność go zabiła, ale próżność przecież tak miła, nie wadząca nikomu.

Biedny Lorenzo — pełen życia, obdarowany przez naturę po to, by życiem się cieszyć, a tu raptem skutek jednego głupstwa to życie zgasło.

Taki był koniec naszego miodowego miesiąca. Już nie mogliśmy być we Florencji szczęśliwi.

Miasto nabrało innego aspektu. Ulice ze swymi dostojnymi budowlami i tłumem cieni wspaniałej przeszłości były naprawdę złowieszcze.

Wszędzie, dokądkolwiek szliśmy, widziałam Lorenza... kroczył zadowolony z życia i z siebie i ni stąd, ni zowąd ugodził go nóż skrytobójcy.

— Myślę — powiedział Philip — że byłoby lepiej, gdybyśmy już wrócili do domu.

Tragedia w puszczy

Bardzo różniła się nasza podróż powrotna od tej, w którą wyruszyliśmy z Jedwabnego Domu.

Nie wątpiłam, że Philip, tak jak ja, nie przestaje myśleć o biednym Lorenzo. Ten człowiek tylko na krótko wkroczył w nasze życie, ale nie mieliśmy nigdy zapomnieć o nim i o tym, że był w pelerynie i szapoklaku Phiiipa wtedy, gdy spotkała go śmierć.

Myślałam: wyszedł z hotelu tak zawadiacko, rad, że taki z niego światowiec... i nagle już nie żył. Czy zdążył sobie uświadomić, co się dzieje i dlaczego? Może tak... w jednej straszliwej chwili...

Jakaż niegodziwa napaść! Dźgnięty nożem kilkakrotnie i nic mu nie zabrano. Dziwne. Może to nie był napad rabunkowy, może to wynik jakiejś zadawnionej kłótni? Może on nie zmyślał

opowiadając o sercowych podbojach i miał jakiegoś zazdrosnego rywala. Nie. Peleryna i szapoklak, tu trzeba szukać znaczenia. Został mylnie wzięty za turystę.

Przyszło mi na myśl, że to równie dobrze mogłoby spotkać Philipa. Przerazona, powiedziałam mu o tym. Przywarłam do niego tak, jakbym się bała go puścić.

Powiedział:

— To nam zmieniło Florencję.

Przytaknęłam.

— Więc wróciliśmy do domu.

Grand'mère czekała na nas z rękami splecionymi, przyglądała mi się niespokojnie. Ale zaraz już się uśmiechała, bo przecież byłam szczęśliwa.

— Bardzo się cieszę... bardzo — powiedziała. — Marzenie się ziściło. Och, tak rzadko to się zdarza w tym życiu. Ludzie planują... mają nadzieję... a potem to im się nie spełnia. Ale tym razem... tak. Ty jesteś zadowolona, *mon amour*. On jest dobry, prawda, twój mąż? A dobry mężczyzna to rzadkość... ta, której trafi się taki, ma wielkie szczęście.

— Było cudownie. Muszę, Grand'mère, opowiedzieć ci o Florencji. O tych pięknych budowlach, obrazach... rzeźbach... o wszystkim. Takie śliczne mosty są tam na rzece... i są małe sklepiki... a te ulice... — Głos mi się załamał. Ulice ciemne i wąskie. Człowiek wyszedł

buńczucznie, radośnie, kochając życie i siebie... i spotkała go śmierć.

— Co ci jest? — zapytała Grand'mère.

Powiedziałam jej. Słuchała uważnie.

— I on był w pelerynie i kapeluszu Philipa?

— Tak. Najwidoczniej jakiś szubrawiec wziął go za turystę i dlatego...

— *Mon Dieu...* możliwe...

Przytaknęłam.

— Tak mi się zdaje. Dlatego też wróciliśmy wcześniej, niż zamierzaliśmy.

— Dzięki Bogu, nic wam się nie stało. Dzięki Bogu, jesteś szczęśliwa. Brakowało mi ciebie.

Ciągle o tobie myślałam i zastanawiałam się. Małżeństwo tyle znaczy w życiu kobiety. Niejedna nie znajduje szczęścia w małżeństwie, ale widzę, że ty znalazłaś, więc ja także jestem szczęśliwa.

Jednak to, co spotkało Lorenza, rzuciło cię nawet na radość Grand'mère. Ona również nie mogła zapomnieć, że mogło to spotkać Philipa.

Lady Sallonger powitała mnie z zadowoleniem.

— Długo ciebie nie było — powiedziała. — Mam nadzieję, że nie wyjedziesz znowu.

Postąpiłabyś doprawdy bezmyślnie.

Już jej nie podlegałam, stałam się córką domu, żoną jednego z synów. Zwyczajna Lenore Cleremont przedzierzgnęła się w panią Philipową Sallonger.

Powiedziałam jej:

— Philip chce, żebyśmy mieli dom w Londynie. Tam przebywa najczęściej, a ja oczywiście będę z nim,

— Przecież może tu przyjeżdżać, kiedy tylko chce — zaprotestowała. — Ten dom jest jego tak jak nas wszystkich.

— Wiem. Ale my będziemy mieli nasze własne ognisko domowe.

— Nudzisz — powiedziała lady Sallonger. — No, minie trochę czasu, zanim te sprawy da się załatwić. Mam książkę „Kamień Księżycowy”. Podobno nadzwyczaj ciekawa. Myślałam, że może zaczniemy czytać dziś po południu.

Najwyraźniej chciała wziąć mnie z powrotem w niewolę, chociaż czytanie jej, muszę przyznać, było jednym z moich najprzyjemniejszych obowiązków.

Ale lady Sallonger miała zrozumieć, że życie uległo zmianie.

Cassie uściskała mnie serdecznie.

— Tak nudno było tutaj, Lenore — powiedziała. — Wzdychałam, żebyś wróciła. Razem z twoją babcią liczyłam dni. Odkreślałam je w kalendarzu. Ucieszyliśmy się, że wróciliście wcześniej.

Z oczami szeroko otwartymi słuchała mojego opowiadania o Florencji i o strasznej śmierci Lorenza.

— Gdyby nie włożył tej peleryny, to by się nie stało — powiedziała zatrwożona.

— Nie wiemy. Ale chyba rzeczywiście ktoś myślał, że on jest turystą. Z drugiej strony może tak skończyła się jakaś kłótnia. On wciąż mówił o swoich podbojach sercowych, a Włosi są gwałtowni. Zawsze mają jakieś spory i vendetty.

— Romeo i Julia i tak dalej. Ale to bardzo denerwujące dla ciebie.

— Gdybyś ty go znała, Cassie...

— Chciałabym go znać!

— Strasznie jest myśleć o tym, co mu się stało.

— Dlatego, że był w pelerynie Philipa. To mogło się stać Philipowi.

— Nie mów tak.

— Kochasz Philipa, prawda? Cieszę się. Ja też go kocham. Teraz rzeczywiście należysz do rodziny.

— Tak, i cieszę się z tego, i Grand'mère się cieszy.

— Więc wszyscy jesteśmy szczęśliwi.

Przyjechała do domu Julia w towarzystwie hrabiny. Hrabina powitała mnie ciepło, Julia raczej chłodno. Patrzyła na mnie z niechętnym podziwem.

Rzeczywiście, myślałam, złapanie męża jest manią prześladowczą takich panien na wydaniu, bo robi się za dużo szumu z wprowadzeniem ich do salonów. Ja miałam szczęście. Mnie to nie dotyczyło. Bo mnie wprowadziła, może bardzo niekonwencjonalnie, moja Grand'mère, i to prosto w objęcia Philipa. Powinnam odepchnąć cień, jaki rzuciła śmierć Lorenza, powinnam radować się moim szczęściem.

Charles także przyjechał. On i Philip naradzali się przez długi czas, przy czym Philip, jak powiedział, wciągał się po urlopie w bieżące sprawy przedsiębiorstwa.

Jeden z kierowników przywiózł skrzynkę pełną papierów, które Philip chciał przejrzeć, decydując się nie jechać na razie do Londynu.

W trzy dni po naszym przyjeździe zjawiała się w Jedwabnym Domu Maddalena de Pucci.

Zjawiała się zgoła nieoczekiwanie.

Jedliśmy kolację. Z Julią, hrabiną i Charlesem towarzystwo przy stole było większe niż zwykle. Lady Sallonger w swoje tak zwane „dobre dni” wjeżdżała w fotelu na kółkach do jadalni.

Ten wieczór właśnie był „dobry”.

W połowie kolacji wbiegła pokojówka z wiadomością, że był wypadek. Jakaś karetka przewróciła się nie opodal domu. Pasażerowie to cudzoziemcy, więc niełatwo zrozumieć, co mówią, ale chyba proszą o pomoc.

Lady Sallonger się zaniepokoiła.

— Ojej... nudziarstwo — wymamrotała. Charles powiedział, że powinniśmy tam pójść.

W hallu stał jakiś mężczyzna. Był śniady, kruczowłosy i wyraźnie strapiony. Mówił bardzo szybko po włosku.

Zrozumieliśmy, że przewróciła się karetka, którą powoził. Jego pani odniosła obrażenia, jest z nią pokojówka. Jechali do Londynu.

Na drodze leżała karetka przewrócona na bok. Konie jednak nie ucierpiały, stały spokojnie.

Przy drodze siedziała młoda, uderzająco piękna brunetka. Z wyrazem bólu na twarzy trzymała się za kostkę. Siedząca obok niej niemłoda kobieta załamując ręce, usiłowała ją uspokoić, chociaż ona wydawała się spokojna.

Charles podszedł do niej.

— Boli? — zapytał.

— *Si... si...* — Podniosła swe piękne oczy błagalnie.

— Trzeba zabrać panią do domu — zdecydował Charles. Widziałam, że jest pod wrażeniem jej urody.

— Zobaczymy, czy może pani stanąć na tej nodze — powiedział. — Jeżeli pani może, to chyba kości nie są złamane.

— Sprowadzę ludzi ze stajni — powiedział Philip — żeby zajęli się kareta.

Niemłoda pokojówka rozgadała się po włosku, brunetka wstała. Zachwiała się w stronę Charlesa, który szybko ją podtrzymał.

— Myślę, że powinien to zbadać lekarz — powiedziałam.

— Słusznie — przytaknął Charles. — Wyślijcie kogoś po doktora. Niech mu wyjaśni, co się stało. — Zwrócił się do brunetki. — Tymczasem zapraszam do domu.

Idąc opierała się na nim ciężko. Pokojówka biegła za nimi, rozgadana.

Przyszło paru stajennych i obejrzało przewróconą karetę. Philip został z nimi, ja wróciłam do domu z Charlesem i tą nieznajomą.

— Pojechał ktoś po doktora? — zapytał Charles.

— Jim pojechał — powiedziała mu Cassie.

— Jesteście tacy uprzejmi... — zaczęła Włoszka.

— Wszystko będzie dobrze. — Ton Charlesa był kojący, nieomal pieszczotliwy.

Lady Sallonger, opuszczona w jadalni, dopytywała zaczepnie, co się dzieje. Zawołała mnie, więc podeszłam do niej, zdałam relację.

— I co dalej? — zapytała.

— Nie wiem. Doktor przyjedzie. Ona uderzyła się w kostkę, Charles uważa, że tym trzeba się zająć.

Doktor przyjechał od razu. Zbadał kostkę Włoszki i orzekł, że żadna kość nie jest złamana. To zapewne zwichnięcie. Trzeba kostkę skrupować, przez parę dni niech pani nie chodzi, i sprawa załatwiona.

Charles powiedział, że pani, dopóki nie będzie mogła chodzić, powinna poleżeć w Jedwabnym Domu. Tymczasem Philip dowiedział się, skąd są ci podróżni i dokąd jadą. To Włosi

— co już wiedzieliśmy — przyjechali do Anglii w odwiedziny. Ta młoda dama, Maddalena de Pucci, bawiła u przyjaciół i wraca do brata, który zatrzymał się w Londynie. Wkrótce mają wrócić do Włoch.

Rodził się plan działania.

Charles dalej nalegał, żeby ona została u nas, dopóki jej dolegliwość nie minie. Protestowała słabo, więc postawił na swoim. Miała z Marią, pokojówką, zatrzymać się w Jedwabnym Domu.

Kareta wymagała niewielkiej naprawy, której stajenni dokonali natychmiast. Stangret miał

pojechać do Londynu i wyjaśnić bratu pani, że zdarzył się wypadek i że signorina Maddalena z pokojówką przyjedzie za kilka dni.

Tak to w końcu ustalono, służba przygotowała pokój dla Maddaleny i sąsiedni dla jej pokojówki. Maddalena, wylewnie wdzięczna, raz po raz mówiła o naszej uprzejmości.

Całe to podniecenie podobało się służącym, toteż okazywali gościnność tak jak my, a zwłaszcza Charles, będący wyraźnie pod urokiem signoriny.

Jedynie lady Sallonger czuła się pokrzywdzona mając w domu rywalkę — inwalidkę, ale po paru dniach się z tym pogodziła i nawet była rada z jej towarzystwa. Lubiła opowiadać Maddaleni o złym stanie swego zdrowia, przy czym zapewniała, że jest o wiele gorszy, niż ona potrafi sobie wyobrazić. A Maddalena, chociaż połowy tych sprawozdań nie rozumiała, jako osoba dobrze wychowana wyrażała gorące zainteresowanie i głębokie współczucie.

Myślę, że nas wszystkich cieszył jej pobyt w Jedwabnym Domu. Szybko stało się jasne, że tym zwichnięciem nogi nie ma się co przejmować, kuśtykając mogła chodzić po domu. Gdyśmy siedzieli w salonie, opierała nogę na podnóżku albo czasami leżała na kanapie. Była pełna wdzięku, wytworna i niewątpliwie starannie wykształcona.

Maria, pokojówka, jednak nie miała takiego szczęścia. Trzymała się na uboczu, co chyba zrozumiała. W rejonach kuchennych odnoszono się do niej podejrzliwie. Cudzoziemka, nie zna angielskiego — to wystarczało, żeby budzić tam antypatię. Zresztą, wydawała się ponura i nawet życzliwe gesty przyjmowała tak, jakby znalazła się wśród wrogów. Polubiła puszczyć i długie samotne przechadzki. W domu poruszała się bardzo cicho, nagle podnosiło się wzrok prosto na nią nieoczekiwanie, bo nie słyszało się jej kroków. Maddalena powiedziała nam, że Maria po raz pierwszy jest za granicą i wszystko ją oszałamia, a już ten wypadek z karetą zupełnie ją rozstroił.

Pani Dillon oświadczyła, że „ciarki od niej przechodzą”.

Po naszej niedawnej bytności we Włoszech szczególnie interesowaliśmy się Maddalena.

Chętnie słuchała naszych wrażeń z Florencji i oczy jej jaśniały zadowoleniem, gdy wychwalaliśmy piękno tego miasta. Kiedyś omal jej nie powiedziałam o biednym Lorenzo, ale jakoś ugryzłam się w język. To wspomnienie zawsze mnie smuciło. Poza tym ona może by w moim opowiadaniu dopatrzyła się krytyki jej ojczyzny, kraju, w którym na ulicach zakłuwa się porządnych ludzi nożami.

Lgnęła do mnie bardziej niż do Cassie czy Julii, pewnie dlatego, że niedawno byłam we Włoszech. Chciała poznać Grand'mère, więc zaprowadziłam ją do pracowni. Ze szczerym zainteresowaniem patrzyła na maszynę do szycia, krosna i manekiny, i bele materiałów. Z uwagą słuchała wszystkiego, co Grand'mère mówiła o swojej pracy. Badawczo dotykała jedwabiu.

— Piękny — powiedziała.

— To jedwab Sallon — wyjaśniłam. — Najnowszy, specjalnie tkany gatunek. Widzi pani ten połysk. Jesteśmy bardzo z niego dumni. My pierwsi rzuciliśmy go na rynek. To rzeczywiście wielki wynalazek. Mój mąż mówi, że to zrewolucjonizowało przemysł jedwabniczy. Chłubi się tym.

— No chyba — powiedziała Maddalena. — To bardzo *interessante*... zobaczyć to wszystko w mieszkalnym domu.

— Właśnie — przytaknęłam. — Moja babcia pracuje u Sallongerów od lat. Ja tutaj byłam przez całe życie.

— I teraz pani jest panią Sallonger.

— Tak, wyszłam za Philipa sześć tygodni temu.

— To bardzo... *romantico*.

— Tak, myślę, że tak.

— Pozwoli mi pani, mam nadzieję — zwróciła się do Grand'mère — przyjść tu znowu?

Grand'mère powiedziała, że oczywiście. Wieczorem zapytałam Philipa, gdy byliśmy sami, czy jego zdaniem Charles zakochał się w Maddaleni.

— Uczucia Charlesa są jednodniowe — odpowiedział Philip — ale nie ulega wątpliwości, że Maddalena wpadła mu w oko.

— To takie romantyczne — powiedziałam. — Zdarzył się jej wypadek tuż za tym rogim.

Mógłby się zdarzyć o pięć mil dalej i wtedy on by jej nigdy nie zobaczył. Aż wydaje się to zamierzone.

Philip parsknął śmiechem.

— Wypadki zdarzają się wszędzie. Uprząż jest nie dość mocna.

— Ja wolę myśleć, że to przeznaczenie.

Chciałam, żeby Charles się ożenił, bo wciąż jeszcze czułam się przy nim nieswojo i nieraz się zastanawiałam, czy on pamięta okoliczności, w których Drake Aldringham wrzucił go do jeziora.

Maddalena była w Jedwabnym Domu od czterech dni, gdy wieczorem przyjechał dyrektor manufaktury w Spitalfields, raczej wzburzony. W tkalniach nastąpiło jakieś przesilenie, konieczna jest obecność Charlesa i Philipa.

Charles się zirytował. Zwykle gotów był wyjechać z Jedwabnego Domu w każdej chwili po bardzo krótkim pobycie, ale teraz ze względu na Maddalenę bynajmniej mu się do wyjazdu nie śpieszyło. Nieprędko dał się przekonać, że jego obecność w Spitalfields jest rzeczywiście konieczna.

Usłyszałam, jak skarżył się Maddaleni.

— Z pewnością mogliby tam się obejść beze mnie. No, ale to tylko jeden dzień. Pojutrze wrócę.

— Będę czekała niecierpliwie — powiedziała mu Maddalena.

Więc ostatecznie się rozchmurzył i następnego dnia wczesnym rankiem on, Philip i dyrektor wyjechali.

Wkrótce potem siedząc w oknie mojego pokoju, zobaczyłam Marię. Szła do puszczy, prawie biegła krokiem szybkim, zdecydowanym, jak gdyby w wielkim pośpiechu.

Patrzyłam na nią, dopóki nie zniknęła wśród drzew. Raczej było mi jej żal. Miała trudności w porozumieniu się z naszymi służącymi, wyraźnie jej nieprzychylnymi. W Jedwabnym Domu czuła się zupełnie inaczej niż Maddalena przyjęta tak gościnnie, zwłaszcza przez Charlesa.

Przed południem przyjechała karetka. Byłam z Cassie na przejażdżce konnej w puszczy i właśnie wróciliśmy. Rozpoznałam tę karetkę od razu, tak samo jak stangreta.

Zeskoczył z kozła i uklonił się nam. Po włosku powiedział, że musi natychmiast zobaczyć się z signoriną.

— Proszę wejść — powiedziałam. — Ona czuje się już znacznie lepiej.

Wymamrotał coś o Bogu i Wszystkich Świętych, co zapewne miało być modlitwą dziękczynną.

Maddalena była z lady Sallonger w salonie. Siedziała opierając nogę na taborecie. Lady Sallonger, jak zwykle o tej porze, popijała sherry. Wygłaszała przy tym monolog, w którym przeciwstawiała swe obecne cierpienia blaskom swojej minionej chwały.

Gdy weszłam ze stangretem, Maddalena wykrzyknęła i zerwała się na równe nogi. Drgnęła i usiadła z powrotem. Prędko powiedziała coś po włosku, na co stangret równie prędko po włosku odpowiedział. Potem zwróciła się do nas.

— Muszę zaraz wyjechać. To wiadomość od brata. Muszę dołączyć do niego w Londynie.

Jutro jedziemy do Włoch. To pilne. Nasz wuj jest umierający, wzywa nas... Przykro nam, że tak się składa... ale...

— Kochanie — powiedziała lady Sallonger — rozumiemy. Bardzo żałujemy. Oczywiście musisz tu znowu przyjechać, kiedy noga przestanie dokuczać. Wtedy będziemy mogli wszędzie cię oprowadzić, prawda, Lenore?

— Tak, doprawdy — przytaknęłam. — Pomóc pani... w pakowaniu? Chce pani wyjechać od razu?

— Już prawie czas na obiad — powiedziała lady Sallonger. — Tak... musisz zjeść obiad z nami.

— Myślę, że to niemożliwe — powiedziała Maddalena. — Brat chce, żebyśmy wyjechali jutro z samego rana. Musimy jak najrychlej być we Włoszech. Może nawet wyjedziemy dziś wieczorem. Nie, mowy nie ma o żadnej zwłoce. Lady Sallonger, jakże ja mam pani dziękować...

pani i jej rodzinie... za tyle okazanej mi dobroci? Wprost nie sposób wyrazić, jak jestem wdzięczna...

— Och — powiedziała lady Sallonger. — Miło nam było gościć cię, kochanie. To wcale nie był dla na: kłopot.

— Pójdę zawiadomić Marię — powiedziałam. — Widziałam, że wróciła ze spaceru.

Maddalena chciała zaprotestować, ale ją wyprzedziłam. Pobiełam na górę do pokoju Marii, zapukałam i weszłam. Maria się przeraziła. Pakowała rzeczy w torbę podróżną stojącą na łóżku.

— Ach... przyszedłam powiedzieć, że przyjechała wasza karetka. Stangret jest na dole. Signorina de Pucci chce wyjechać zaraz.

Oczywiście, nie rozumiała, co mówię, tylko wlepiła we mnie wzrok zaskoczona. Nie spodziewała się, że zamiast jej pani, przyjdę ja.

Zdziwiło mnie to, że już się pakowała, jak gdyby wiedziała, że mają wyjechać. Pomyślałam: jest w niej coś niesamowitego. Dlaczego ona się pakuje? Skąd wie?

Ale Maria przecież była dziwna.

Weszła Maddalena.

— Maria! — wykrzyknęła i zaczęła bardzo prędko mówić po włosku.

Maria podniosła ręce pod sufit. Zostawiłam ją i Maddalenę. Nadal się dziwiłam.

W ciągu godziny przygotowały się do podróży. Cassie, Julia z hrabiną i ja wyszłyśmy przed dom, żeby pomachać im na pożegnanie. Maddalena znowu wyraziła wdzięczność.

— Napiszę — powiedziała. I odjechały.

Gdy Charles i Philip wrócili wieczorem i powiedziałyśmy im, co się stało, Charles aż zbladł, tak się rozgniewał. Spode łba spojrział na Philipa.

— Nie było potrzeby wyciągać mnie z domu — warknął. — Mogłeś wszystko załatwić beze mnie.

— Mój drogi, twoja obecność była konieczna. Nie zapominaj, że jesteśmy współnikami.

Konieczny był twój podpis na dokumentach.

— Dokąd one pojechały? — zapytał.

Julia wyjaśniła.

— Jej wuj zachorował. Wracają do Włoch.

— Byłbym odwiózł je do Londynu.

— Pojechały swoją kareta. Stangret po nie przyjechał. Jej brat go przysłał.

— Więc dokąd pojechały?

— Do Londynu, oczywiście... na noc... może nawet nie — odrzekłam. — Ona mówiła, że może jeszcze dziś wyruszą do Włoch. Spieszą się.

Charles odwrócił się na pięcie i odszedł. Tamtej nocy powiedziałam Philipowi:

— Myślę, że jednak mu na niej zależy. Philip odniósł się do tego raczej nieufnie.

— Po prostu jest zły, bo polowanie skończyło się przed upolowaniem.

— To chyba trochę zbyt cyniczna opinia o rodzonym bracie?

— Mogę powiedzieć, że dobrze go znam. Za parę tygodni z trudem będzie sobie przypominał, jak ona wygląda. W odróżnieniu od młodszego rodzonego brata nie jest typem wiernym jednej kobiecie.

— Cieszę się, że ty jesteś takim typem — powiedziałam żarliwie. — Ciebie wcale nie oczarowały wdzięki tej syreny.

— Dla mnie istnieje tylko jedna dzisiaj... jutro i zawsze.

Ciesząc się moim szczęściem, mogłam litować się nad Charlesem.

W trzy dni po ich wyjeździe przysły dwa listy — do Charlesa i do lady Sallonger.

Lady Sallonger nie wiedziała, gdzie się zapodziały jej okulary, więc wezwała mnie, żebym ten list głośno przeczytała. Był to konwencjonalny liścik. Maddalena zapewniała, że nigdy—nie zapomni dobroci, z jaką została przyjęta i cudownej opieki. I że nigdy nie zdoła wyrazić swojej wdzięczności.

Podawała adres, jeszcze hotelu w Londynie.

Charles najwidoczniej też dostał podobny list. Pojechał do Londynu nazajutrz i złożył wizytę w tym hotelu, ale oczywiście jej tam nie było.

— Epizodzik się skończył — powiedział Philip.

* * *

Następnym razem jadąc do Londynu, Philip zabrał mnie ze sobą. Myślę, że Grand'mère nieco to zasmuciło, ale wszystko przysłaniała jej radość z mojego szczęśliwego małżeństwa.

Londyński dom wydawał się teraz inny. Przedtem był raczej obcy — bardzo wspaniała miejska rezydencja Sallongerów. Teraz — to ja sama byłam Sallonger. Ten dom należał

przynajmniej częściowo do mojego męża, więc poniekąd stał się również mój.

Wytworna osiemnastowieczna architektura wydawała się już nie tak odpychająca; skąpo przyodziane nimfy, które podtrzymywały wazony z obu stron drzwi frontowych, nieomal uśmiechały się do mnie: pani Sallonger, witamy! A ja myślałam, że chyba nigdy nie przywyknę do tego, że jestem panią Sallonger.

Kamerdyner patrzył na mnie prawie dobrotliwie. I czy myliłam się, słysząc w szeleście sukni pani

Camden niejaki szacunek?

— Dobry wieczór jaśnie pani. — Jakże inaczej niż poprzednio, gdy byłam zwyczajną panną, niezupełnie służącą, ale też nikim dystyngowanym.

To się zmieniło. Dumna złota obrączka na moim palcu proklamowała mnie panią Sallonger.

— Dobry wieczór, Evans. Dobry wieczór, pani Camden — powiedział Philip. — Najpierw chyba pójdziemy do naszego pokoju. Proszę przysłać tam gorącą wodę. Musimy odświeżyć się po podróży. — Wziął mnie pod rękę. — Chodź, kochanie. Jeżeli jest między nami jakieś podobieństwo, to ty także już konasz z głodu.

Na każdym kroku uświadamiałam sobie moją nową pozycję. Będę miała co opowiadać Grand'mère, myślałam. Rozśmieszę ją, kiedy zacznę parodiować miłą, chociaż niezupełnie wolną od wahania łaskawość pani Camden.

Bardzo mi było dobrze z Philipem w Londynie. On tak się wszystkim entuzjazmował. Mówił nieustannie — na ogół o przedsiębiorstwie — a ja zainteresowania nie musiałam udawać.

Obiecał zabrać mnie do tkalni w Spitalfields.

— To cudownie — powiedział — że mam żonę, którą obchodzi to samo, co mnie.

Przysięgam sobie, że będę poszerzać swoją wiedzę. Pragnęłam zadowalać Philipa pod każdym względem. Cieszyłam się, że Grand'mère nauczyła mnie tak dużo.

Ale pełnię szczęścia zamącała obecność Charlesa. Nadal Charles dąsał się z powodu Maddaleny i chyba przypuszczał, że myśmy z rozmysłem nie chciały się dowiedzieć, dokąd ona wyjeżdża. Jej list do niego był prawdopodobnie takim samym konwencjonalnym podziękowaniem, jakie dostała lady Sallonger, więc wiadomo mu było akurat tyle, co nam. To znaczy, w którym hotelu ona te listy pisała. Philip mi mówił, że Charles kilka razy próbował tam zasięgnąć informacji, ale daremnie. Swojego włoskiego adresu nie zostawiła.

Czasami napotykałam jego wzrok badawczy, prawie wyrachowany — nie wiem, wyrazu tych oczu nie potrafiłam zgłębić. W każdym razie nie był to wyraz braterskiej serdeczności.

Ku mojemu zadowoleniu przyjechały Julia i hrabina. Julia już trochę odpoczęła i teraz znów ruszyła na poszukiwanie męża.

Zaprzyjaźniłam się z hrabiną, pełną podziwu dla Grand'mère, która „zrobiła sobie kąć i zachowała godność” i której wnuczka weszła do rodziny państwa. Hrabina uważała, że to bardzo szczęśliwy ostateczny wynik.

Wiele z Julią „bywała”. Debatując, w co Julia ma się ubrać, często zasięgała mojej rady.

— Masz do tego smykałkę — pochwaliła mnie kiedyś i przyznała, że sama też ma.

Ogromnie ją lubiłam. Pewnego dnia rano, gdy Julia jeszcze była w łóżku — niezmiennie długo odsypiała swoje towarzyskie zajęcia — rozmawiałyśmy sam na sam. Szczerze mi powiedziała, że uważa swoją pracę za daremny trud. Wolałaby robić coś konkretnego.

Wspomniała o Grand'mère.

— To jest mistrzyni! Żadna z dworskich krawcowych nie może się z nią porównać. Jakże bym pragnęła robić coś, co by mi naprawdę odpowiadało.

— Ale czy ma pani jakiś pomysł?

— Coś w związku z krawiectwem. Chciałabym mieć sklep... tylko najznakomitsze kreacje.

Postarałabym się, żeby zasłynął w mieście.

Często wspominałam naszą poranną rozmowę.

Ale w tamtym okresie prawie cały mój czas wypełniał Philip. Dał mi do czytania książkę, żeby jeszcze bardziej, jak powiedział, zainteresować mnie jedwabiem, bo to książka o romantycznych początkach jedwabnictwa. Czytałam w urzeczeniu. Prawie trzy tysiące lat bez mała przed narodzeniem Chrystusa cesarzowa Hwang—te pierwsza na świecie zaczęła hodować jedwabniki i cesarz na jej naleganie kazał z ich kokonów tkać szaty. Tak więc sztuka tkania jedwabiu stała się znana za panowania Foch—hi, czyli na sto lat przed potopem. Ale to było bardzo dawno temu i daleko. Dopiero w szóstym wieku po narodzeniu Chrystusa dwaj perscy mnisi udostępnili wiedzę o jedwabnictwie światu zachodniemu.

Philip mówił z zapałem o początkach tego przemysłu i o znaczeniu, jakie ma odpowiedni gatunek morwy do karmienia jedwabnika. Ubolewał, że sam nie może jedwabników hodować w Anglii i musi sprowadzać tyle surowców z zagranicy.

Zabrał mnie do Spitalfields, gdzie dowiedziałam się trochę o tkactwie. Zobaczyłam wielkie szpule, a raczej obrotowe ramy, z których odwijano przędzę, zobaczyłam ludzi przy pracy, manipulowanie kłębkami. Cieszył się, że to mnie bardzo interesuje.

Zabrał mnie do sklepu. To właściwie nie był sklep według zwykłych kryteriów. Była to nieledwie instytucja dyskretnie pozasłaniana portierami i podlegająca niejakej pannie Dalloway, która stanowiła sam ekstrakt elegancji i którą w całym tym budynku nazywano Madame. Tutaj zobaczyłam kilka kreacji Grand'mère. Wydawały mi się starymi znajomymi, wyglądały jednak o wiele wspanialej niż przedtem w pracowni, gdy przystrajały Emmelinę, lady Ingleby i księżnę Malfi.

Urzeczona tym sklepem jeszcze bardziej niż warsztatami, zadawałam pannie Dalloway mnóstwo pytań. Powiedziała mi, że od czasu wprowadzenia jedwabiu Sallon panuje ruch w interesie. Sklep ma renomę, a to przede wszystkim się liczy, jeśli chodzi o domy mody. Etykietka przyszyta po lewej stronie może być warta Bóg wie ile. Suknia budzi podziw, bo wyszła ze

„stajni” Sallongerów. Taka sama suknia bez tej magicznej etykietki będzie warta tylko połowę ceny.

Poddałam jej wywód w wątpliwość mówiąc, że dwie identyczne suknie muszą mieć przecież identyczną wartość. Uśmiechnęła się do mnie wszechwiedząco.

— Większość ludzi potrzebuje tych, którzy myślą za nich. Wystarczy im powiedzieć, że coś jest cudowne, i będą się zachwycać. Gdyby pani była w tym interesie, od razu by to pani zrozumiała.

Później rozmawiałam o tym z Philipem. Przyznał pannie Dalloway rację.

— Jeżeli się chce odnieść w życiu sukces — powiedział — trzeba przede wszystkim rozumieć ludzi, ich umysłowość i sposób myślenia.

Och tak, to były szczęśliwe dni, ale nadal czułam się trochę nieswojo w obecności Charlesa.

Niezmiennie okazywał mi uprzejmość, niepokoił mnie jednak jego wzrok. — Zawsze on tu będzie, myślałam. To jego dom tak samo jak nasz. Philip był przenikliwy. Świetnie wyczuwał

każdy mój nastrój, więc też wyczuł, że niemiło mi mieszkać z Charlesem pod jednym dachem, i rozumiał, dlaczego. Pamiętał o epizodzie z Aldringhamem, o tym, że Drake wrzucił Charlesa do jeziora, oburzony jego niegodziwością wobec mnie.

— Musimy bezzwłocznie — oznajmił — znaleźć dom dla siebie, bo będziemy przeważnie mieszkać w Londynie.

— Och, to byłoby wspaniale.

— Od razu zaczniemy szukać. Niełatwo jest o odpowiedni dom, więc poszukiwanie może jakiś czas potrwać. Wiem o paru, które moglibyśmy obejrzeć.

Jakże radowały mnie te dni. Obejrzeliliśmy kilka domów — żaden jednak nie przypadł nam do gustu całkowicie.

— Musimy znaleźć dokładnie to, czego chcemy — powiedział Philip. — I gdzieś niedaleko stąd.

A jednak oglądając domy, czułam odrobinę smutku. Nasze ognisko domowe. Myślałam o Grand'mère nadal mieszkającej w Jedwabnym Domu. Wiedziałam, że będzie za mną strasznie tęskniła. Od urodzenia przecież zawsze byłam przy niej. Nigdy o tym nie mówiła, i na pozór wcale się nie martwiła perspektywą rozłąki; kochała mnie tak niesamolubnie. Wierzyła, że małżeństwo z Philipem jest najlepszym dla mnie darem losu i to ją zadowalało.

Domy mnie fascynowały. Chodziłam po pustych pokojach, wyobrażałam sobie dawnych mieszkańców, co się z nimi stało i gdzie są teraz. Znaleźliśmy dom niedaleko rzeki —

ośmiopokojowy, dwa pokoje na parterze i po dwa na każdym piętrze, stosunkowo mały jak na swoją wysokość. Na szczycie było dobudowane jeszcze jedno pomieszczenie ze szklanym dachem i bardzo dużymi oknami. Dowiedzieliśmy się, że ten dom należał do artysty malarza, który miał tu studio.

— Śliczny pokój! — wykrzyknęłam. — Przypomina mi pracownię Grand'mère w Jedwabnym Domu.

— To idealna pracownia — powiedział Philip. — Będzie jej tu dobrze. I widzisz, łączy się z pokojem, który może być jej sypialnią.

Odwróciłam się i spojrzałam na niego.

— Czy to znaczy, że Grand'mère przyjedzie i zamieszka u nas?

— No przecież chcesz tego, prawda?

— Och, Philip! — wykrzyknęłam. — Tak mnie uszczęśliwiasz!

— Tego właśnie ja chcę.

Wtedy mu wyznałam, że martwiłam się o Grand'mère. Czułaby się bardzo samotna w Jedwabnym Domu beze mnie.

— Znam cię — powiedział — więc wiedziałem, co ci leży na sercu.

— Jesteś dla mnie taki dobry.

— Jestem praktyczny. Będzie tu pracowała. O wiele dogodniej mieć ją tutaj niż w Jedwabnym Domu.

— Powiem jej. Och, Philip, chcę tam pojechać, wprost nie mogę się doczekać, kiedy jej to powiem.

* * *

Jakiż radosny powrót do domu! Myślę, że tym trudniej było znieść to, co nastąpiło później.

Przede wszystkim pobiegłam na górę do Grand'mère. W pracowni nie słyszała naszego przybycia.

— Grand'mère — zawołałam. — Gdzie jesteś? Po chwili znalazłam się w jej ramionach.

Przyjrzała mi się, widziała, że promienieję.

— Och, Grand'mère — powiedziałam. — Szukaliśmy domu i znaleźliśmy taki, jak trzeba.

Dlaczego się zwleka z przekazaniem dobrej nowiny? Dlaczego nie palnęłam tego od razu?

Może myśli się, że zwlekanie spotęguje radość, może to jest przygotowywanie gruntu, żeby radość została powitana jak najgodniej. Grand'mère niczym nie zdradziła swego smutku, chociaż fakt, że mamy dom w Londynie, oznaczał dla niej dalszą rozłąkę.

Już nie mogłam się powstrzymać.

— Zdecydował pokój na najwyższym piętrze. Dostyc podobny do tej pracowni. Dach ze szkła, cudowne światło. Zaprojektował go malarz, żeby tam malować. Philip natychmiast powiedział: „Akurat w sam raz dla Grand'mère”.

Patrzyła na mnie ze zdumieniem.

— Nie jesteś zadowolona? — zapytałam.

— Ale.., — wyjąkała — ty i Philip... chyba nie będziecie chcieli...

— Właśnie, że chcemy. Nigdy bym nie mogła być zupełnie szczęśliwa daleko od ciebie.

— Moje dziecko... *mon amour*...

— To prawda, Grand'mère. Byłyśmy razem przez całe moje życie. Nie mogłabym dopuścić do jakiegokolwiek zmiany teraz... tylko dlatego, że wyszłam za męża.

— Ale nie powinnaś składać takich ofiar.

— Ofiar! Co ty mówisz, Grand'mère? Philip jest najpraktyczniejszym człowiekiem pod słońcem, kiedy w grę wchodzi interesy. Mówi o interesach prawie przez cały czas. Nie myśli prawie o niczym innym. I ja robię się taka sama. Powiedział, że będzie łatwiej, jeżeli zamieszkaż w Londynie. Zawsze jest utrapienie z przywożeniem tych bel tutaj. Jesteś, Grand'mère, nadal w rękach poganiaczy niewolników... będziesz musiała pracować i pracować... tam w pracowni ze światłem od północy.

— Och, Lenore — wyszeptała Grand'mère i rozplakała się.

Patrzyłam na nią trwożnie.

— Ładny mi przyjazd do domu! Toniesz we łzach.

— Ta łzy radości, dziecinko — powiedziała. — Łzy radości.

* * *

Minęły trzy dni po przyjeździe. To, co się stało czwartego, pozostaje mi w pamięci tak boleśnie, jak już nigdy, mam nadzieję, nie pozostanie żadne inne wydarzenie w życiu.

Rankiem wyruszyłam z Philipem na przejażdżkę konną. Puszcza w maju jest piękna. To był czas leśnych dzwonek, wciąż napotykalismy ich kępy mgliście niebieskie pod drzewami.

Jadąc rozmawialiśmy, podnieceni, o naszym nowym domu i umeblowaniu, i o tym, że warto by znów wynaleźć jakiś materiał, rewelacyjny jak jedwab Sallon.

— Cudownie, że mogę z tobą to omawiać, Lenore — powiedział Philip — większość żon zapewne nic by z tego nie zrozumiała.

— Och, ja jestem wnuczką Andre Cleremonta.

— Kiedy myślę, jakie mam szczęście...

— Ja też mam szczęście.

— Więc z pewnością jesteśmy parą największych szczęściarzy na świecie.

Jakiż radosny poranek! Tym bardziej niepojęte było to, co nastąpiło.

Obiad jadła z nami lady Sallonger. Uzgodniliśmy, że na razie o naszym nowym domu nic jej nie powiemy. Ona by nie chciała mnie puścić. Najwyraźniej uważała, że teraz, gdy jestem jej synową, ma do mnie dodatkowe prawa.

Była trochę opryskliwa, bo głowa ją bolała. Poradziłam, żeby położyła się w swoim pokoju, a nie na kanapie w salonie. I ofiarowałam się zrobić jej na czoło okład z waty nasiąkniętej wodą kolońską. Prawie się rozchmurzyła. Poszłam z nią do jej pokoju.

Byłam u niej dość długo, bo chciała rozmawiać, dopóki nie zaśnie. Upłynęła chyba godzina, zanim mogłam na palcach wyjść.

W domu było cicho. Weszłam do naszego pokoju pewna, że Philip niecierpliwie czeka na mnie. Ku mojemu zdumieniu nie zastałam go, chociaż mieliśmy pójść na spacer do puszczy, gdy tylko uwolnię się od jego matki.

Ktoś zapukał do drzwi. Weszła Cassie.

— Więc jesteś sama — powiedziała. — To świetnie. Chciałam z tobą porozmawiać. Ostatnio prawie się nie widzimy. I niedługo wyjedziesz do Londynu na stałe. Tam będzie twój dom, nie tutaj.

— Cassie, zawsze będziesz mogła przyjeżdżać i zatrzymywać się u nas.

— Mama by protestowała. Jest szczególnie wymagająca, kiedy ciebie nie ma.

— Jest wymagająca, kiedy jestem.

— Cieszę się, że wyszłaś za Philipa, bo stałaś się moją siostrą, ale zarazem to mi zabiera ciebie.

— Kobieta musi być przy swoim mężu, wiesz.

— Wiem. Ale nie wyobrażam sobie, jak to będzie, kiedy na stałe zamieszkaż w Londynie. Co ja ze sobą zrobię? Dla mnie nie będą szukać męża. Nie mogą męża znaleźć nawet dla Julii. Więc jaką ja mam możliwość?

— Nigdy nie wiadomo, co kogo czeka.

— Ja wiem, co czeka mnie. Płasy na usługach mamy, aż się zestarzeję tak jak ona.

— Ależ nie, ty nigdy nie będziesz taka.

— Pamiętasz czasy, kiedy siedziałyśmy w pracowni twojej babci i planowałyśmy, że będziemy miały

sklep... będziemy szyć cudowne suknie, sprzedawać? Że zabierzemy Emmelinę, lady Ingleby, księżnę i wyjedziemy. Marzyłam o tym, a ty wyszłaś za Philipa i marzenia się skończyły.

— Cassie, Grand'mère zamieszka z nami w Londynie.

Patrzyła na mnie z przestraczem.

— Powtarzam ci — dodałam — kiedy tylko zechcesz, możesz też do nas przyjechać.

— Przyjadę na pewno — wykrzyknęła. — Nieważne, co mama powie.

Opowiedziałam jej o domu z wielkim pokojem pod szklanym dachem zaprojektowanym przez artystę malarza. Słuchała chciwie i już wiedząc, że zawsze będzie tam mile widziana, chyba pogodziła się z myślą o naszym rychłym wyjeździe.

Spodziewałam się, że Philip przyjdzie lada chwila, ale jego wciąż nie było. Pojęcia nie miałam, dokąd poszedł i dlaczego mnie o tym nie uprzedził.

Nie przyszedł na kolację. Czekałyśmy pół godziny, zanim usiadłyśmy do stołu.

Jadłyśmy już bardzo zaniepokojone.

Wieczór się dłużył. Siedziałyśmy w salonie nasłuchując, czy on nie wraca. Grand'mère zeszła na dół i wszystkie strasznie się denerwowałyśmy.

Pytałyśmy służbę, nikt go nie widział. Gdzie on jest? Co mogło się zdarzyć?

Niepokój wzrastał.

Drżałam zalekniona. Grand'mère objęła mnie ramieniem.

— Musimy coś zrobić — powiedziałam.

Przytaknęła.

Clarkson przypuszczał, że on miał w puszczy jakiś wypadek... złamał nogę czy coś. Może gdzieś tam leży... bezradny. Trzeba zebrać ludzi, powiedział Clarkson, i zorganizować poszukiwanie.

Siedziałam zwiotczala. Serce mi mówiło, że stało się coś straszego.

Dochodziła północ, gdy go znaleziono. Leżał w puszczy niedaleko domu.

Nie żył... z głową przestrzeloną. Strzał padł z jednej ze strzelb przechowywanych w zbrojowni Jedwabnego Domu.

* * *

Nie mogę nawet po tych wszystkich latach rozmyślać o tym. Spadła na mnie tragedia wprost

niewiarygodna. Dlaczego? Wciąż zadawałam sobie pytanie.

Tak niedawno zostałam żoną, a już byłam wdową.

Dnie i noce się zlewały. Grand'mère nie odstępowała mnie ani na chwilę. Przeważnie leżałam w łóżku. Znała się na ziołach i takich rzeczach, więc dawała mi napary usypiające. Zasypiałam, budziłam się, wracając do koszmarnej rzeczywistości i pragnęłam znów uciec w sen.

Odbyło się przesłuchanie, na którym musiałam być obecna. Pojechałam tam z Grand'mère i Charlesem, który pośpiesznie przyjechał z Londynu, gdy tylko dostał tę straszną wiadomość. Nie pojmowałam, co oni mówią. Myśli moje błądziły daleko... w puszczy pełnej leśnych dzwonek... Philip był taki szczęśliwy; powiedział, że jesteśmy parą największych szczęściarzy na świecie, a teraz... Co się stało? Padło wiele pytań pozostających bez odpowiedzi, ale wniosek wyciągnięto taki, że Philip najwidoczniej wziął strzelbę ze zbrojowni, poszedł do puszczy i palnął sobie w głowę, bo dowody świadczyły, że ta rana była samobójcza.

To niemożliwe... niemożliwe, wciąż powtarzałam w duchu. Byliśmy tacy szczęśliwi.

Wszystko szło dobrze. Mieliśmy kupić dom. Jakże on by mógł zrobić coś takiego? Gdyby miał jakieś zmartwienie, na pewno by mi powiedział. Nie miał żadnych zmartwień. Był szczęśliwy... najszczęśliwszy na świecie.

Wydano orzeczenie: „samobójstwo w chwili zakłócenia równowagi psychicznej.

Nie przyjęłam tego. W sali sądowej chciałam wstać i wrzasnąć na nich wszystkich.

Grand'mère mnie powstrzymała.

Drętwą dałam się zabrać z powrotem do Jedwabnego Domu. Grand'mère powiedziała, że się mną zaopiekuje. Rozebrała mnie, położyła do łóżka i usiadła przy mnie.

— To nieprawda — mówiłam raz po raz. Milczała, tylko przytulała mnie mocno.

Dni mijały... szare dni. Lady Sallonger płakała szczerymi łzami i zastanawiała się, co uczyniła takiego, że Pan Bóg ją tak ciężko ukarał. Cassie usiłowała mnie pocieszać. Biedaczka, sama była załamana. Utraciła ukochanego brata.

— Dlaczego on to zrobił? — pytała.

Nikt z nas nie potrafił jej odpowiedzieć.

— On był szczęśliwy — mówiłam.

— Charles twierdzi, że dostał ataku szału. Ludzie wtedy popełniają szaleństwa.

— Philip był najspokojniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znałam.

— I spokojni czasami wpadają w szal.

— Musiałyby być jakiś powód — powiedziałam. — Ale jaki... jaki? Czyż on by nawet w beznadziejnej sytuacji odebrał sobie życie?

Nie wierzyłam w to. To było niedorzeczne. Jak bardzo trzeba się ugiąć pod nieszczęściem, jak dalece mieć życia dosyć, żeby zrobić ten ostateczny krok?

Ludzie o tym mówili... szeptali. Podejrzewali, że coś w tym jest. Od tak niedawna żonaty.

Patrzyli na mnie, snując domysły. Coś w tym na pewno jest.

Bo ludzie używają sobie na tajemnicach. Gdy nie mogą znaleźć wyjaśnienia, sami je wymyślają. Ja byłam Philipowi Sallongerowi najbliższa. Byłam jego niedawno poślubioną żoną.

Więc ja chyba wiem. Czy owo coś dotyczyło mnie? Dlaczego on by chciał mnie opuścić, jeśli nie dlatego, że...

Wprost czułam, jak w głębi serc wszyscy mnie potępiają. Lady Sallonger... Clarkson, pani Dillon... Wyobrażałam sobie te rozmowy w suterenie służbowej.

„Może on się czegoś dowiedział o niej... Bo właściwie kto ona jest? Taka jak ona nie ma prawa wejść do rodziny, u której pracuje jej babka”.

Ale raczej nie obchodziło mnie, co oni tam mówią. Zawsze są gotowi plotkować. Ważne było tylko to, że Philip nie żyje, że na zawsze go straciłam.

Trwałam w jakimś letargu. Tak dalej być nie mogło. Coś musiało się zmienić.

Pewnej nocy obudziłam się przerażona, cała mokra od potu, a przecież wstrząsana dreszczem.

Miałam koszmarne sen. Jestem we Florencji, idę ulicą. Widzę mężczyznę w pelerynie i szapokłaku. Widzę czającego się za nim napastnika. Mężczyzna w pelerynie odwraca się do niego. Ten mężczyzna to Philip. Widzę podniesiony nóż. Wtedy to jest Lorenzo... ale gdy upada, to znów jest Philip.

Dopiero po kilku sekundach uświadomiłam sobie, że tak mi się tylko śniło.

Leżałam przez chwilę, po czym włożyłam szlafrok, nocne pantofle i poszłam do sypialni Grand'mère.

Poderwała się w łóżku.

— Lenore, co się stało?

— Przyśnił mi się koszmar — powiedziałam.

Wyskoczyła z łóżka i ujęła mnie za rękę.

— Trzęsiesz się — stwierdziła.

— Nie budziłabym ciebie, Grand'mère, ale muszę porozmawiać. Muszę ci o czymś powiedzieć.

— Oczywiście. Proszę. Połóż się tu.

Położyłam się obok niej. Objęła mnie ramieniem.

— Opowiadałam ci o tym służącym we Włoszech. Ten Lorenzo był w pelerynie i kapeluszu Philipa, kiedy został zabity. Nagle to dla mnie stało się zupełnie jasne. Był mniej więcej wzrostu Philipa... z tyłu wyglądał tak jak Philip. To nie był napad rabunkowy, nic z jego rzeczy nie zginęło. Ktoś zaszedł go od tyłu i dźgnął nożem w plecy... może potem zdał sobie sprawę, że zabił nie tego, którego miał zabić.

— Nie tego? Jak to?

— Philip w żadnym razie nie popełniłby samobójstwa. Jestem pewna, że ktoś go zabił.

— Ale ta strzelba...

— Czy to tak trudno upozorować samobójstwo? Teraz myślę, że Lorenzo stracił życie przez pomyłkę, bo ktoś wziął go za Philipa. Jestem już tego pewna. Dobrze Philipa znałam.

— Nikt z nas nie zna tajemnych zakamarków cudzego umysłu.

— Jeszcze wierzysz, Grand'mère, że Philip coś taił przede mną.

— Możliwe. Ale to już skończone. Nic nam nie da roztrząsanie przeszłości. Powinnaś się przespać.

— Ten sen... ten koszmar... Grand'mère, miałam objawienie. Z całą pewnością ktoś zamierzał zabić Philipa we Florencji. Zabił Lorenza zamiast niego. A teraz... udało się zabić go w puszczy.

— Kto by chciał zabić takiego człowieka?

— Nie wiem. Ale ktoś chciał.

Pogłaskała mnie po głowie.

— Zaparzę ci ziółka. Ukoją cię. Potrzebujesz snu.

Nie odpowiedziałam. Niemożliwością było przekonać ją o tym, w co ja sama już zaczynałam wątpić.

Posłusznie wychyliłam kubek, który mi podała.

— Teraz odprowadzę cię z powrotem do twojego pokoju. Tam ci będzie wygodniej. I nie wstawaj rano, dopóki do ciebie nie przyjdę.

Wróciłam do swojego łóżka.

Ziółka były skuteczne, szybko zasnęłam, ale rano obudziłam się przeświadczona, że śmierć Lorenza miała jakiś tajemniczy związek ze śmiercią Philipa.

Dziwne, ta myśl mi pomogła.

Już nie wierzyłam, że Philip się zabił, bo życie stało się dla niego nie do zniesienia.

Rozpaczliwie chciałam to zbadać. Tylko jak? Spróbowałam wszystko sobie przypomnieć.

Tamten wieczór we Florencji. Zostaliśmy wtedy w naszym hotelowym pokoju. Z bólem serca wspominałam, jacy byliśmy szczęśliwi. Lorenzo skorzystał z okazji i wymknął się w pelerynie i szapoklaku Philipa. Ktoś czekał w pobliżu hotelu... potem skradał się za nim na ulicy... i rzucił

się z nożem. Za późno się zorientował, że jego ofiara nie jest tym, którego miał zabić. Czy dlatego później wznowił swoje polowanie? Czy dlatego Philip poniósł śmierć w puszczy...

zastrelony ze swojej własnej strzelby? Jakże to mogło być?

Wydawało się, że to teoria oparta na paru logicznych przesłankach. Ale w którąkolwiek stronę się zwracałam, natrafiałam na mur. Nie miałam z kim omawiać moich podejrzeń. Z Grand'mère?

Z Cassie? Zawsze wszystko sprowadzało się do tego samego. Philip wziął strzelbę ze zbrojowni Jedwabnego Domu — czyż zdołałby to zrobić jakiś nieznany zamachowiec? Philip z rozmysłem poszedł do puszczy i zastrzelił się.

Wy tłumaczenie było tylko jedno, ale uparcie je odrzucałam.

Ponuro snułam domysły. Budziłam się w nocy z gotowym już rozwiązaniem; potem w świetle dziennym okazywało się ono bzdurą.

Czułam się jak liść na wietrze. Nie mogłam dalej tak żyć. Grand'mère bardzo się o mnie niepokoiła.

— Musi przyjść jakaś zmiana — powiedziała. I zmiana przyszła.

Zaświtało przypuszczenie. Prawie nie śmiałam uwierzyć, ale wkrótce nabrałam pewności.

Będę miała dziecko.

* * *

Z początku to było jak błysk światła w moim ciemnym świecie. A więc może nie utraciłam Philipa całkowicie. Może on będzie żył w naszym dziecku.

Grand'mère, gdy jej powiedziałam, najpierw nie posiadała się z radości, a potem z niepokoju.

— Musimy otoczyć cię specjalną opieką — powiedziała.

Gassie wpadła w zachwyty.

— Bobasek! — wykrzyknęła. — Kochany maleńki bobasek! Och, to najcudowniejsza nowina!

I rzeczywiście. To mnie zmieniło. Pomagało mi zapomnieć. Większą część dnia wypełniały rozmowy o dzieciach i planowanie. Grand'mère wspominała narodziny mojej matki. Służba patrzyła na mnie inaczej niż przedtem. Wszyscy cieszyli się, że będzie w domu małe dziecko.

Będąc przy nadziei stałam się pogodniejsza. Zaprzątały mnie takie sprawy jak wyprawka niemowlęcia i wybór kołyski. To mnie absorbowało. Miałam zostać matką.

Lady Sallonger była trochę opryskliwa. Nie podobało jej się rozprężenie w domu, ale też korzystała ze sposobności, żeby wspominać, jak strasznie się mordowała wydając na świat Cassie, co chyba nie było zbyt taktownie dobranym tematem rozmów z kobietą brzemienną.

Lato minęło, nadeszła jesień.

Julia znalazła męża. Był o trzydzieści lat starszy od niej i tego pił, ale okupywał to jedną zaletą — okazałym majątkiem. Hrabina się radowała. Wykonała wreszcie swoje zadanie i zajęła się następną klientką.

Spacery już sprawiały mi trudność. Zwykle, gdy pogoda na to pozwalała, siedziałam w ogrodzie albo z Grand'mère, albo z Cassie i rozmawiałyśmy o dziecku.

Doktor powiedział, że zdrowie mi dopisuje, jestem silna, wszystko będzie dobrze.

Przyjechała najęta położna, miała pozostać do wyznaczonego czasu. Liczyłam dni. Czułam, że wszystko będzie inaczej, gdy moje dziecko się urodzi.

Katharine zjawiała się ponurego dnia w lutym. Pomarszczona i naburmuszona, z kępką jasnych włosów i zadartym nosem, raczej nie zadziwiała urodą, ale uznałam, że jest doskonała. Zresztą zmieniała się tak szybko, że już po tygodniu była piękna.

Grand'mère promieniała szczęściem. Cassie ubiegała się o pozwolenie na potrzymanie brataniczki, jakby to był wielki zaszczyt. Lady Sallonger powiedziała, że powinnam przyjąć nianię, żeby mieć więcej czasu dla siebie — co oczywiście znaczyło, że dla niej. Chciałam jednak zajmować się moim dzieciątkiem sama.

— Bzdura — powiedziała lady Sallonger. — Tylko sługi i takie tam kobiety piastują niemowlęta.

Ale okazałam niezłomność. To jest moje dziecko. Moja pociecha, moja wyłączna własność.

Ponieważ wiele musiałam się nauczyć, cały czas miałam wypełniony. Byłam z tego rada.

Nazywałyśmy moją córeczkę Katie — imię Katharine wydawało się zbyt dostojne dla takiego małego

stworzonka. Gdy trzymałam Katie w objęciach, gdy patrzyłam, jak ona z dnia na dzień się zmienia, gdy zobaczyłam jej pierwszy uśmiech i wiedziałam, że ona wie, kim jestem, i czuje się bezpieczna i szczęśliwa przy mnie — los wynagradzał mi moją żalobę.

Mając Katie, mogłam otrząsnąć się z rozpacz. Katie była czymś więcej niż ukochaną córeczką, była dla mnie sensem istnienia.

Salon mody

Katie miała rok, gdy doszłam do wniosku, że już nie mogę mieszkać w Jedwabnym Domu.

Zawsze czułam się tam podległa. Lady Sallonger nie zapomniała, że jestem wnuczką kobiety pracującej u rodziny — bo Grand'mère pracowała nadal. Maszyna w pracowni terkotała teraz dwa razy dłużej, tyle szyło się coraz to nowych pajacyków i sukieneczek dla Katie. Musiałam nadal pełnić swoje obowiązki wobec jaśnie pani. Nadal czytałam jej, podawałam, przynosiłam rzeczy i dbałam o jej wygodę. To prawda, że ona tak samo traktowała Cassie, ale chociaż byłam teraz jej synową, nadal czułam się przy niej jak uboga krewna.

Żywiła do mnie urazę o czas, który spędzałam z Katie. I wcale jej nie konweniowało to, że jeśli byłam Katie potrzebna, w czytaniu zastępowała mnie Cassie. Rzeczywiście, jakoś nie mogłam sobie miejsca znaleźć w Jedwabnym Domu, jeszcze zanim doszło do przeprawy z Charlesem.

Zawsze wiedziałam, że jestem Charlesowi solą w oku. Było przecież spięcie dawno temu, gdy daremnie się do mnie zalecał, i była jego zemsta w mauzoleum, w rezultacie której doznał

upokorzenia. Miałam wrażenie, że Charles jest pamiętliwy. W takim razie zachował w pamięci swoją przymusową kąpiel w jeziorze, przy czym winę za nią przypisywał mnie. Często czułam na sobie jego wzrok i robiło mi się wtedy nieswojo.

Chociaż myślałam przede wszystkim o potrzebach Katie, myślałam też sporo o śmierci Philipa, która coraz wyraźniej kojarzyła mi się ze śmiercią Lorenza. Nabierałam absolutnego przekonania, że ów nóż miał ugodzić Philipa.

Weszły mi w nawyk spacerować do puszczy, tam gdzie znaleziono zwłoki. Drzewa w tym miejscu tworzyły gęstwinę. Zastanawiałam się, czy tam Philip umarł, czy też skrytobójca przywłókł go już martwego.

Wszystko wskazywało na samobójstwo. Usytuowanie strzelby... fakt, że to była jedna ze strzelb domowych. Ale nawet wobec tych dowodów nie wierzyłam, że Philip się zastrzelił.

Wiedziałam, że moje teorie łatwo zbić. Nawet Grand'mère przypuszczała, że w życiu Philipa był jakiś mroczny sekret, którego ujawnienia on by nie zniósł, i nie chciała uznać śmierci Lorenza za zbieg okoliczności.

— Musisz patrzeć na życie prosto — powiedziała — widzieć je takim, jakie jest. To jedyny sposób, żebyś się otrząsnęła i już spokojnie żyła dalej.

Więc zachowywałam te myśli przy sobie. Pewnego dnia znajdę drogę do odkrycia. Ale jak?

Kiedy? — pytałam swój rozsądek. Odpowiedzi rozsądku wołałam nie słyszeć. Pewnego, dnia dowiem się prawdy.

Nie wiedziałam, dlaczego mi się wydaje, że znajdę prawdę tam, gdzie znaleziono zwłoki.

Teraz Philip leżał w mauzoleum razem ze swoimi przodkami. Jednak wydawało mi się bardziej prawdopodobne, że gdyby mógł wrócić, żeby mi powiedzieć, to odezwałby się do mnie nie w grobowcu, tylko właśnie w tym miejscu.

Chodziłam tam jak na grób. Myślałam: gdyby te drzewa mogły mówić, powiedziałyby mi prawdę. Wznosiłam wzrok na ich wysokie liściaste wierzchołki. „Jak się to stało? — szeptałam.

— Z pewnością widziałyście”.

Tam zastał mnie Charles.

— Witaj, Lenore — powiedział. — Często tu przychodzisz, co?

— Tak — odrzekłam.

— Dlaczego? Czy to jakaś pielgrzymka?

Potrząsnęłam głową i odwróciłam się skrępowana jak zawsze w jego obecności.

Chwycił mnie za przedramię.

— Nie odchodź — powiedział — chcę z tobą porozmawiać.

— Słucham.

— Pewnie czujesz się bardzo samotna.

— Mam córkę... babcię.

— Ale brak ci Philipa?

— Oczywiście.

— Ja zawsze mu zazdrościłem.

— Zazdrościłeś? Czego?

— Ciebie.

— Chyba powinnam już iść.

— Jeszcze nie, Lenore, dlaczego jesteś taka uparta? — Przyciągnął mnie do siebie i nie puszczał.

— Chcę wrócić do domu — powiedziałam.

— Jeszcze nie. — Uśmiechnął się i spróbował mnie pocałować. — Nadal porywcza, co?

Wyrwałam mu się.

— Charles, nie będę pozwalać...

— Na pewno czujesz się samotna. Ja mógłbym to zmienić.

— Powiedziałałam ci już dawno temu. Wiesz, co potem się stało.

Zasepił się na wspomnienie Drake'a Aldringhama, wspaniałego kolegi, którego wprowadził do domu z taką dumą, i okoliczności, w jakich Drake wyjechał.

— Zadzierasz nosa — warknął. — A kim ty właściwie jesteś?

— Jestem Lenore Sallonger, wdową po twoim bracie.

— Udało ci się go złapać. Był łatwym łupem, czyż nie?

— Jak śmiesz to mówić!

— Och! — rozejrzał się wokoło. — Myślisz, że się boję duchów? To tutaj go znaleźli.

Dlaczego on to zrobił, Lenore? Co usłyszał o tobie? Dlaczego? Już kto jak kto, ale ty z całą pewnością wiesz.

Odwrociłam się, żeby odejść. Znow chwycił mnie za rękę.

— Zawsze miałem na ciebie ochotę. Coś się w tobie kryje. Chcę to zbadać. Chcę wiedzieć, czym złapałaś Philipa i co sprawiło, że odebrał sobie życie. Wiem, że z powodu ciebie.

— Wcale nie! Nie! — wykrzyknęłam.

Zaczęła się szamotanina. Ciągnął mnie za bluzkę. Nagle moja wściekłość zmieniła się w strach. Charles to zboczeniec. Wiedziałałam, o co chodzi. On chce mnie posiąść tutaj... gdzie znaleziono ciało Philipa. Jest w tym jakaś makabra, coś, co przemawia do jego wypaczonej umysłowości. Walczyłam szaleńczo. Był silniejszy niż ja. Modliłam się w duchu: Boże, ocal mnie. Dopomóż mi uciec przed tym złym człowiekiem.

— Już się nie wymkniesz — powiedział. — Bo i po co? Jesteś w naszym domu... żyjesz w zbytku... musisz na to zarobić, pani Lenore. Nie bądź idiotką. Ty i ja dla siebie stworzeni... z tej samej gliny.

Traciłam siły. Powalił mnie na ziemię i gotów był osunąć się na mnie.

— Lenore! — Ten głos jak sygnał z niebios przebił się przez mój strach.

To była Cassie. Szukała mnie. Boże, błogosław Cassie, pomyślałam.

Charles cofnął się zmieszany, rozjątrzony. Pogramoliłam się i wstałam. Obciągnęłam na sobie podartą bluzkę i spódnicę.

Cassie wyszła z za drzew.

— Domyślałam się, że tu jesteś. No, Lenore... Charles...

— Cassie — powiedziała — Bogu dziękuję, że przyszedłaś. Wracam już do domu. Chodź ze mną.

We dwie poszłyśmy z powrotem przez puszcę. Charles stał i patrzył, jak odchodzimy.

* * *

Cassie zapytała ze zgrozą:

— On... on cię napastował?

— Cassie, nigdy nie przestanę być ci wdzięczna za to, że przyszedłaś tak w porę.

— Ja... cieszę się. To było okropne. Charles...

— Myślę, że Charles zawsze mnie dziwnie jakoś nienawidził. Nie zdołam o tym mówić.

Doszliśmy do domu.

— Muszę zaraz zobaczyć się z Grand'mère — powiedziała. — Ty też tam chodź.

Grand'mère szła w pracowni. Na mój widok wydała okrzyk przerażenia. Rzuciłam się jej w objęcia, bliska hysterii.

— To Charles — wyjąkałam. — Cassie przyszła w samą porę, bo on by chyba... Był podły...

tam, w tym miejscu gdzie znaleźli Philipa. Myślę, że czerpał jakieś szatańskie zadowolenie z tego, że właśnie tam...

— On ci to zrobił? Rozdarł bluzkę?

Przytaknęłam.

— Musisz wszystko mi opowiedzieć.

— Cassie mnie uratowała — powiedziała.

— Poszłam szukać Lenore — wyjaśniła Cassie. — Wiem, że ona często tam chodzi. Więc poszłam i zobaczyłam...

Grand'mère napełniła trzy szklanki swoimi ziółkami.

— Dla nas wszystkich to wielki wstrząs. Ale zastanówmy się, co teraz zrobić.

Cassie patrzyła to na nią, to na mnie.

— Nie mogę zostać w tym domu — powiedziałam. — To jest jego dom. Nigdy już nie czułabym się tu bezpieczna.

Grand'mère potakiwała.

— Myślę o tym od pewnego czasu, Lenore. Wiedziałam, że nie możemy tu zostać. Katie ma już rok, jesteśmy gotowe. Gotowe do wyniesienia się od razu.

Patrzyłam na nią wyczekująco i chciało mi się płakać. Grand'mère zawsze jest przy mnie, żeby rozwiązywać moje problemy. Bezgłośnie dziękowałam Bogu za nią, tak jak przedtem dziękowałam za Cassie.

— Jesteś zabezpieczona — ciągnęła Grand'mère. — Są te pieniądze, które zdeponował dla ciebie Philip. Pokażna suma i ja trochę odłożyłam. Może to wystarczy.

— Jaki masz plan, Grand'mère?

— Otworzymy nasz własny zakład. Salon mody. Pojedziemy do Londynu i znajdziemy pomieszczenie. Możemy pracować razem. Tego zawsze chciałam... niezależności. Nikt nie powie, że brak mi doświadczenia.

— Och, Grand'mère! — wykrzyknęłam. — Mogłybyśmy?

— Możemy, *mon amour*. Możemy.

Cassie patrzyła na nas, bardzo przejęta. Nagle oznajmiła.

— Chcę pracować z wami.

— Moje drogie dziecko — powiedziała Grand'mère — to będzie ryzyko. Są w tym niebezpieczeństwa.

— Na pewno się uda! — wykrzyknęła Cassie. — Mam swoje pieniądze. Umiem szyć. Nawet pani mówi, madame Cleremont, że dobrze szyję. Będę pracować za darmo, tylko chcę do tego należeć.

— Pomyślimy — powiedziała Grand'mère.

Cassie wstała i podbiegła do manekinów. Uściskała Emmelinę.

— Ręcę, że one wiedzą — powiedziała — i cieszą się.

Pomimo zdenerwowania parsknęłyśmy śmiechem. Pomyślałam: o to mi chodzi. Nie zostanę tu ani chwili dłużej, niż trzeba. Muszę stąd uciec. Jak najrychlej.

* * *

Życie, które od narodzin Katie płynęło jednostajnie, teraz zaczęło obfitować w wydarzenia.

Przed wszystkim musiałyśmy się zobaczyć z radcą prawnym w sprawie intercyzy i z zadowoleniem dowiedziałyśmy się, że mam prawo lokować pieniądze w przedsiębiorstwie. To był pierwszy krok. Charles typowo dla siebie, a dogodnie dla nas wyjechał nazajutrz po tym spotkaniu w puszczy. Może się wstydził. Odetchnęłam z ulgą. Nie wiedziałam, jak mogłabym mu stawić czoło, i sama myśl, że mieszkam w jego domu, mnie rozdrażniała.

Najpierw musiałyśmy znaleźć pomieszczenie. Postanowiłyśmy nic nie mówić lady Sallonger, dopóki tego nie załatwimy, bo oczywiście wysunęłaby sprzeciw.

Pojechałam z Grand'mère do Londynu, zostawiając Katie pod opieką Cassie. Mogłam śmiało zdać się na Cassie. W razie potrzeby miała przesłać wiadomość do hotelu Cherry, gdzie zamówiłyśmy pokój na dwa dni.

Znalazłyśmy sklep niedaleko Bond Street. Mniejszy, niż byśmy chciały, ale z salonem wystawowym i sporym zapleczem nadającym się na pracownię. Co więcej, było tam nieduże, ale odpowiednie mieszkanie. Czynniki wydawał się nam zawrotny, a przecież gdyśmy to rozpatrzyły, pojęłyśmy, że musimy ponosić wysokie koszty, jeżeli chcemy prowadzić sklep w modnej dzielnicy Londynu. Adres — jak powiedziała Grand'mère — ma zasadnicze znaczenie.

Więc lokal już był. Materiałów kupiłyśmy tylko trochę, ale Grand'mère miała liczne resztki z bel, zawsze uważane za jej dodatkowe dochody. Gromadziła je od lat, bo a nuż się kiedyś przydadzą. Tak też były i zapasy na początek.

Wróciłyśmy do Jedwabnego Domu, gdzie Cassie czekała, ciekawa, cośmy załatwiły. Katie przez cały czas zachowywała się bez zarzutu, nie sprawiała żadnych kłopotów. Jak dotąd, wszystko szło dobrze.

Nazajutrz po południu zdecydowałam się powiedzieć lady Sallonger. Cassie siedziała z nami.

Powiedziałam:

— Lady Sallonger, mam nowinę dla pani. Grand'mère i ja zamierzamy otworzyć sklep.

— Co? — wrzasnęła. Wyjaśniłam.

— To śmieszne! Damy nie otwierają sklepów.

— Zawsze myślałam, że pani wątpi, czy jestem damą — powiedziałam.

— Lepiej natychmiast wybij to sobie z głowy.

— Już znalazłyśmy pomieszczenie.

Naprawdę się zdenerwowała. Właściwie mogło mi dawać satysfakcję to, że tak bardzo nie chciała mnie utracić. Ale rzecz jasna, chodziło jej nie o mnie osobiście, tylko o moje usługi.

Gdy zrozumiała, że sprawa jest przesądzona, zapytała:

— Ale co ja zrobię?

Grand'mère musiała złożyć w przedsiębiorstwie wymówienie. Wywołało to sporą konsternację. Otrzymała list od jednego z kierowników z zapytaniem, czy rzeczywiście zastanowiła się nad tym. Tak długo uważali tam jej pracę za nieodłączną część produkcji. Sam fakt, że ona mieszka w Jedwabnym Domu, był dla nich rękojmią. Najwyraźniej mieli z niej wielki pożytek, usiłowali więc ją nakłonić, żeby się rozmyśliła.

Ale myśmy stanowczo się zdecydowały. Charles uniemożliwił nam pozostanie w jego domu, a poza tym obie wiedziałyśmy, czego chcemy. I za bardzo Jedwabny Dom przypominał mi Philipa, dla zdrowia swego ducha musiałam wyrwać się stamtąd.

Nastąpiły dni pełne podniecenia. Urządzałyśmy nasz sklep: nieduże saloniki, dużą pracownię i salon. Cassie płakała i błagała matkę, ale lady Sallonger nie ustąpiła. Cassie zostanie. Jeżeli Grand'mère i ja jesteśmy takimi niewdzięcznicami, że odchodzimy po tym wszystkim, co ona, lady Sallonger, dla nas zrobiła, to przynajmniej jej rodzonej córce nie wolno odejść.

Tak więc pożegnałyśmy się z nieszczęsną Cassie, zapewniając ją, że kiedy tylko zechce do nas przyjechać, będzie bardzo mile widziana.

Grand'mère jak gdyby odmłodziła.

— To zawsze było jedno z moich marzeń — mówiła — ale nie pi wypuszczałam, że zdołam je urzeczywistnić.

Gdy patrzę wstecz, widzę naszą ówczesną naiwność. Grand'mère w Jedwabnym Domu szyła suknie, które kupowały damy z kół dworskich, ale na tych sukniach była etykieta Sallongerów.

Bez takiej etykiety wszystko przedstawiało się zupełnie inaczej. Nasz sklep nazwałyśmy „Lenore”.

— Bo jest twój — powiedziała Grand'mère — masz go na swoją przyszłość.

I oczywiście okazało się, że suknie od Lenore to nie to samo, co suknie od Sallongerów.

Miałyśmy towar, ale nie miałyśmy klientek.

Przyjęłyśmy służącą, chudą małą dziewczynę z East Endu imieniem Maisie. Ochocza, usłużna, bardzo przywiązała się do Katie. Potrzebowałyśmy jednak wydatniejszej pomocy, chociaż nigdy się nie leniła.

W ciągu sześciu miesięcy poznałyśmy gorzką prawdę: do tego, czego się podjęłyśmy, brak nam doświadczenia. Grand'mère usiłowała być rześka i pełna optymizmu, ale widziałam, że się martwi.

Pewnego dnia powiedziała:

— Lenore, chyba powinnyśmy wejrzeć w nasze finanse.

Przyznałam jej rację.

Patrzyłyśmy na siebie z powagą. Wydałyśmy lwią część kapitału; rozchody były większe niż przychody.

— Może — powiedziałam — wyznaczamy za niskie ceny.

— Gdybyśmy wyznaczyły wyższe, czy cokolwiek by się zmieniło? — zapytała Grand'mère.

— Musimy spojrzeć prawdzie w oczy. Jesteśmy tutaj, w modnej dzielnicy, ale nie przyciągamy tych dobrych klientek, które kupowały moje suknie. Może spróbujemy szyć coś skromniejszego...

Już wiedziałam, że otworzyłyśmy ten sklep zbyt pochopnie: Grand'mère mogła szyć suknie, ale konieczna była pomocnica. Ja musiałam razem z Maisie zajmować się Katie. Podjęłyśmy się zadania ponad siły. Tylu aspektów w ogóle nie wzięłyśmy pod uwagę, a już najbardziej zaskoczyło nas to, że kapitał może tak błyskawicznie maleć.

— Nie będziemy tego ciągnąć, aż nie zostanie ani grosza — powiedziała Grand'mère.

— Więc co, Grand'mère, twoim zdaniem, powinnyśmy zrobić?

— Do Jedwabnego Domu nie wrócimy.

— Nigdy — dorzuciłam gwałtownie.

— Może zapytam w przedsiębiorstwie, czy mogę dla nich pracować, tak jak pracowałam w Jedwabnym Domu.

— Tutaj, w tej kosztownej pracowni?

— Może znalazłybyśmy gdzieś mały domek... może z małą pracownią.

Przygnębienie wzrastało, aż któregoś dnia ktoś wszedł do sklepu. Miałam nadzieję, że to klientka, a to była ku mojemu zdumieniu hrabina Ballader.

Uściskała mnie serdecznie.

— Miło panią widzieć — powiedziałam.

Zatoczyła rękami krąg.

— To wszystko tu... Zobaczyłam szyld: „Lenore”... Od Julii słyszałam, że się usamodzielniała. Więc to tutaj?

— Proszę, niech pani wejdzie dalej. Grand'mère się ucieszy.

Przywitały się wylewnie. Zapytałam hrabinę, co porabia.

— Tym razem moja podopieczna to rzeczywiście cudo — powiedziała. — Córka multimilionera. Ma wszystko... twarz, figurę, pieniądze... tylko, niestety, nie ma błękitnej krwi.

Ja mam o błękitną krew dla niej się postarać. Już upatrzyłam pewnego hrabiego, ale tak naprawdę szukam księcia.

Mówiła jeszcze przez chwilę, wyznała, że jest znużona życiem towarzyskim i tą swoją profesją. Potem spojrzała na nas bystro.

— Idzie niedobrze? — zapytała.

Wymieniłyśmy spojrzenia z Grand'mère.

— Tak — odrzekłam. — Niedobrze.

— To mnie nie dziwi — powiedziała.

— Ale te suknie... Są przecież dokładnie takie same, wcale nie gorsze...

— Moja droga, nie jakoś przyciąga klientki, tylko aura. A tego wam brak. W ten sposób nigdy wam się nie powiedzie.

Chyba widać było, jakie jesteśmy przerażone, bo dodała:

— Och, głowy do góry! Jeszcze nie koniec świata. Musicie tylko podejść do tego właściwie.

— Beznadziejne z nas sprzedawczynie.

Rozglądała się po sklepie prawie z niesmakiem. W końcu powiedziała:

— Słuchajcie. Chcecie dawać sobie radę w świecie interesu, musicie znać ludzi. Ludzie nie potrafią sami się decydować. Trzeba im kłaść w uszy: to jest dobre, to jest coś specjalnego. Jeżeli powie się im dostatecznie dużo i odpowiednimi słowami, na pewno uwierzą. Pani kreacje, madame Cleremont, u Sallongerów robiły furorę. Każda panna przedstawiana na dworze musiała mieć suknię z jedwabiu Sallon.

— Mamy tu jedwab Sallon, ale żadna go nie chce. Grand'mère uszyła kilka pięknych sukien.

Wciąż jeszcze tu wiszą.

Hrabina popatrzyła na nas dobrotliwie.

— Chyba pomogę wam się wykaraskać. Pokażcie, co tu macie.

Oprowadziłyśmy ją. Obejrzała nasze zasoby dokładnie.

— Tak — powiedziała. — Jutro przywiozę tutaj Debbie.

— Debbie?

— Moją protegowaną. To urocze stworzenie. Polubicie ją. Najlepsza z moich wszystkich.

Trochę arystokratycznej krwi i byłaby doskonałością. Ale pełnia jest nieosiągalna.

— Myśli pani, że ona kupi którąś z naszych sukien?

Uśmiechnęła się do nas.

— Myślę, że to bardzo prawdopodobne. Zdajcie się na mnie. Myślę, że sytuacja się zmieni.

Macie kilka dla niej odpowiednich. Zobaczymy, co da się zrobić.

Nazajutrz dotrzymując obietnicy, hrabina Ballader przybyła ze swoją podopieczną.

Miała rację. Debbie była piękna. Miała zielonkawe duże oczy, gęste ciemne rzęsy i kręjące się ciemnobrązowe włosy. Ale najbardziej ujmował wyraz jej twarzy. Była wcieleniem niewinności.

Przyjechały karocą z okazałym stangretem na koźle i małym paziem, który stał na stopniu z tyłu i zeskoczył, żeby otworzyć drzwiczki.

Hrabina umiała być bardzo królewska przy pewnych okazjach, a taka właśnie okazja się nadarzyła.

— To jest panna Deborah Mellor. Deboro, to są madame Lenore i madame Cleremont.

Deborah czarująco skłoniła głowę.

— Namówiłam madame Lenore, żeby uszyła ci suknię balową, jeśli znajdzie na to trochę czasu.

— Bardzo pani uprzejma — powiedziała Deborah.

— Ale przedtem rozejrzyjmy się tutaj. Może jest coś, co nam się spodoba.

— Ja bardzo chętnie.

— Jak wiesz, madame Lenore, madame Cleremont i ja od dawna się przyjaźnimy. Dlatego one się zgodziły poświęcić ci szczególną uwagę.

Chciało mi się śmiać, ale hrabina była bardzo poważna.

— Czy zechcesz pokazać nam parę swoich modeli? — zapytała mnie.

— Z przyjemnością — odpowiedziałam.

— Och, Deborah, popatrz! — wykrzyknęła. — Nigdy nie widziałam takich riuszek, a ty?

— Ja też nie, pani hrabino. Nigdy.

— Ta byłaby najbardziej twarzowa. Musimy ją przymierzyć. I tę różową także.

Cóż to był za poranek! Nie zapomnę go. Los się uśmiechnął i odtąd wszystko zaczęło się zmieniać. Wyłącznie dzięki hrabinie Deborah Mellor kupiła dwie suknie i zamówiła trzecią na bardzo uroczysty bal dworski.

Oczywiście, Grand'mère, dla której zaprojektowanie takiej sukni było dziecinną zabawą, poczuła się w swoim żywiole.

Później tamtego dnia hrabina złożyła nam wizytę sama. Przyniosła butelkę szampana.

— Dajcie kieliszki — poleciła — oblewamy. To jest początek. Och, wy naiwniaczki!

Przeobrażę was w chytre kobiety interesu. Debbie jest zachwycona. Wdzięczna mi za to, że ją do was przywiozłam. Mówi, że te suknie są porywające. Wyjaśniłam jej, że sklep jest mały, bo upieracie się, żeby był ekskluzywny. Szyjecie tylko dla elity... dla najznakomitszych dam. Już ona to rozgłosi. No, moje drogie, musicie się przygotować. Potrzebna wam będzie pomoc.

Doświadczona szwaczka... nawet dwie szwaczki chyba. Tysiące ich w Londynie szukają pracy.

Debbie będzie o was mówić i ja będę mówiła. Będę sprowadzała klientki tak, jakby im się robiło specjalną łaskę.

— Wprost nie mogę uwierzyć, że to takie proste — powiedziała Grand'mère.

— Wszystko jest proste, byleby znać sposób. Niech pani popatrzy wokoło. Rzeczy są dobre głównie dlatego, że ludzie je uważają za dobre. Oczywiście trzeba mieć na czym budować. Nie można budować na śmieciach. Ale jeśli się ma dwa artykuły tej samej wartości, jeden przy drugim, i zasięgnie się opinii o nich, chwalony będzie ten, który jest otoczony właściwą aurą...

choć pod żadnym innym względem nie różni się niczym od tego drugiego, zignorowanego.

Tak jest na całym świecie. Ludziom trzeba mówić, że coś jest dobre... i jeżeli to rzeczywiście jest dobre, uwierzą. Ale kiedy się im nie mówi, nawet na to nie spojrzą. Modele w sklepie

„Lenore” są dobre... więc już jest doskonały początek. Zrobimy z tego sklepu najbardziej wzięty salon mody w Londynie.

Nie mogliśmy się powstrzymać od śmiechu i humor nam się poprawił na myśl o sukniach sprzedanych dzięki hrabinie, chociaż w tym momencie jeszcze powątpiewałyśmy.

Ale okazało się, że ona ma rację.

Suknia balowa odniosła oszałamiający sukces. Księżę się oświadczył. „Przyniosła mi szczęście” — powiedziała Deborah.

— Ona wyglądała przecudownie — opowiadała nam później hrabina. — Wszystkie chciały wiedzieć, kto jej to uszył. Ja mówiłam: „Nie powiem... nie chcemy się dzielić”. Ale oczywiście po cichu zdradzałam ten sekret. Wszystkie proszą, żebym je tu wprowadziła.

— Wprost nielogiczne — zauważyłam. — Myśmy błagały o klientki, teraz one błagają o nas.

— Tak się dzieje na świecie — powiedziała hrabina.

Od tamtego czasu zaczęło nam się powodzić. Mogłyśmy przyjąć szwaczkę. Przeniosłyśmy się do większego pomieszczenia w sąsiednim domu, więc zrobiło się luźniej. Naszywka „Lenore” oznaczała szyc najwyższej klasy.

Deborah poszła do ślubu w sukni uszytej przez nas. Wyglądała pięknie i życzyłyśmy jej żarliwie szczęścia z tym księciem. Ona była naszym zbawieniem. Nie. Zbawieniem była hrabina, która przez cały tamten rok wciąż do nas przyprowadzała bardzo zamożne i eleganckie klientki.

Pewnego dnia przyszła i powiedziała:

— Dostałam pokaźny prezent od papy Mellora za pomyślny mariaż jego córki. Nigdy mi się zbytnio nie podobał mój sposób zarabiania na życie. Raczej wolałabym zająć się sprzedażą... w takim sklepie jak ten.

— Chce pani przystąpić do nas? — wykrzyknęłam.

— No, co o tym myślicie?

— Nie posiadamy się z wdzięczności dla pani, prawda, Grand'mère?

Grand'mère to potwierdziła.

— Ulokuję prezent Mellora w waszym przedsiębiorstwie. Stanę się współniczką. Będiesz mogła więcej czasu poświęcać Katie.

Tak więc hrabina przystąpiła do spółki.

Wkrótce potem umarła lady Sallonger. Umarła spokojnie we śnie. Zasmuciłam się, bo pomimo jej wymagań byłam do niej dosyć przywiązana. Pojechałam z Grand'mère do Jedwabnego Domu na pogrzeb.

Teraz już nic nie zatrzymywało Cassie, więc do nas dołączyła. Zdomowiła się u nas i obie, Grand'mère i ja, byłyśmy zadowolone z jej pomocy, tak samo jak z pomocy hrabiny.

W ciągu pięciu lat od naszego przybycia do Londynu zdobyłyśmy sobie mocną pozycję.

Często myślałam o Philipie i szczęśliwych czasach naszego małżeństwa. Katie, bardzo do niego podobna, wciąż mi go przypominała. Ale oddalałam się od nieszczęścia. Miałam córkę i Grand'mère, i serdeczne przyjaciółki, co więcej, nabierałam przekonania, że jestem sprawną kobietą

interesu, nie najgorszą projektantką, potrafię wybierać materiał, potrafię patrzeć naprzód i planować, co należy zrobić.

Hrabina wytyczała nam drogę. „Lenore” zaczęto uważać za jeden z przodujących dworskich salonów mody.

* * *

Gdy powodziło nam się coraz lepiej, Julia coraz częściej zaglądała do naszego sklepu. Bardzo się zmieniła. Ze swoją skłonnością do tycia była teraz panią, jak się to mówi, „o bujnych kształtach”. Policzki miała coraz czerwieńsze, aż Grand'mère zaczęła podejrzewać, że ona przejęła od małżonka nawyk tęgiego picia. Rozwój naszego przedsięwzięcia bawił ją niepomiernie.

— Nie mogłam w to uwierzyć — powiedziała. — Wszystkie mówiły o „Lenore”... o cudownych modelach... cudownych kapeluszach (zaczęłyśmy za radą hrabiny sprzedawać kapelusze, niewiele, od czasu do czasu kilka pasujących do kostiumów). A zawsze to byłaś ty!

Dużo pieniędzy wydawała u nas, mając bogatego męża. Nieraz myślałam o jej dawnych sezonach, gdy tak bardzo się przejmowała swoim niepowodzeniem.

Hrabina uważała, że Julia wyszła za mąż bardzo dobrze. Jak mówiła: „Ostatecznie John Grantley ma pieniądze i nie skąpi jej”.

Mogłam przypuszczać, że Julia jest zadowolona z życia.

Potem jej mąż zmarł i została bogatą wdową. Wyraźnie upajała się wolnością.

— Na pewno bardzo dobrze zeszła z małżeńskiego rynku — komentowała hrabina.

Julia wydawała tak zwane *soirées* w swojej eleganckiej rezydencji niedaleko Picadilly. Jej gośćmi byli przeważnie politycy i trochę tych, o których mówiła: „bohema” — malarze, muzycy, pisarze i temu podobni. Od czasu do czasu zapraszała mnie. Angażowała skrzypka albo pianistę

— niezmiennie spośród najbardziej osławionych — żeby grał gościom, i to były jej wieczory muzyczne w odróżnieniu od wieczorów karcianych i od proszonych kolacji. Szybko zasłynęła jako pani domu otwartego szerzej i częściej niż za życia jej męża.

Cassie dobrze się czuła w Londynie. Pracowała ciężko i Grand'mère mawiała, że ona wspaniale się spisuje. Z początku Julia próbowała ku jej zgrozie znaleźć dla niej męża, ale ponieważ szybko traciła zapal do działania nie uwieńczonego od razu sukcesem, przestała tak usilnie próbować.

Ja nie grałam w karty i wielu ze znajomych Julii nie przypadło mi do gustu; przeważnie uprawiali hazard i pili. Rzeczywiście jednak pociągały mnie wieczory muzyczne. Julia to pojęła i na takie właśnie przyjęcia mnie zapraszała.

Katie miała teraz siedem lat. Piękne dziecko o słonecznym usposobieniu — niezupełnie ładne, ale z ogromnym wdziękiem. Kochała cały świat i nie wątpiła, że cały świat ją kocha. Byłam z niej bardzo

dumna. Co wieczór czytałam jej, zanim zasnęła, śpiewałam jej, co bardzo lubiła, a potem kładłam się obok niej i trzymałam ją za rękę. Wtedy czułam się znów naprawdę szczęśliwa.

Myślałam: jeżeli tak może być dalej, wystarczy mi to całkowicie.

Julia przysłała zaproszenie na wieczór muzyczny. Zastanawiałam się, czy tam pójść, ale Grand'mère powiedziała:

— Przecież wiesz, że to ci sprawia przyjemność. Ja na twoim miejscu bym poszła. I Cassie będzie chciała pójść z tobą.

Więc poszliśmy, Cassie i ja.

Zawsze będę to pamiętać — ten wytworny pokój z palmami w kątach, fortepian na podwyższeniu i Julia, łaskawa pani domu w sukni z fioletowego aksamitu, którą Grand'mère jej uszyła i ozdobiła koronką *ecrú*.

Julia poleciła jakiemuś niemłodemu panu zabawiać Cassie, niezbyt z tego zadowoloną.

Pianista zagrał Szopena, po czym rozległy się grzeczne oklaski. Siedziałam, gdy grał, zasłuchana.

Gdy oklaski ucichły, ktoś podszedł do mnie. Wysoki, bardzo przystojny i niejasno znajomy.

Uśmiechał się kpiąco.

— My się już znamy — powiedział.

Wtedy wiedziałam.

— Tak — ciągnął Drake Aldringham. Pani jest Lenore. Poznałbym panią wszędzie. A proszę zważyć, że pani się zmieniła. To ogromna przyjemność spotkać panią znowu. — Ujął mnie za rękę i trzymał mocno. — Wyjechałem raczej w pośpiechu. Pamięta pani? Nie było czasu, żeby się pożegnać.

— Dobrze pamiętam.

Roześmiał się.

— Tak dawno temu. — Spowaźniał. — Wiem o pani... i o Philipie. Julia mi powiedziała.

Przykro mi.

— A co u pana? — zapytałam.

— Byłem w Afryce. Tu jestem od roku. Mój ojciec prowadzi interesy na Złotym Wybrzeżu.

No, ale już wróciłem... na dobre. Ostatnio po wyborach uzupełniających zostałem członkiem parlamentu z okręgu Swaddingham.

— To interesujące.

— No chyba. Bardzo mnie to cieszy. Zawsze tego chciałem, tylko rodzina uważała, że najpierw powinienem trochę pojeździć po świecie. Może słusznie. No, ale już jestem tutaj.

— Mieszka pan w Swaddingham?

— Mam dom w tamtych okolicach... na szczęście, dogodnie w pobliżu moich wyborców.

Mam również mieszkanie w mieście... niedaleko stąd. Wypada członkowi parlamentu mieć dwie siedziby, jedną blisko tych, którzy go wybrali, drugą blisko izby. Słyszałem, że stała się pani wziętą projektantką mody.

— Z moją babcią i z Cassie... pamięta pan Cassie?... i z hrabiną Ballader.

— Więc rzeczywiście jest pani teraz ważną kobietą interesu.

— No... nie ważną — tylko kobietą interesu.

— Rzadki gatunek.

— Och, kobietom zawsze niełatwo. Muszą pracować dwa razy więcej niż mężczyźni, żeby się z nimi zrównać.

— To bardzo niesprawiedliwe, ale przypuszczam, że tak jest. Często o pani myślałem.

— Naprawdę?

— Tak. Przecież o panią zrobiłem tę awanturę. Potem zachowałem się haniebnie, odmaszerowując w taki sposób. Należało zuchwale zostać.

— Jakże by pan mógł? Był pan gościem Charlesa.

— On postąpił podle. Jeszcze teraz kiedy o tym myślę, krew we mnie kipi.

— Ładnie z pana strony, że pan stanął w mojej obronie.

— Na niewiele to się zdało... po fakcie.

— W każdym razie dziękuję.

— Chciałbym zobaczyć pani sklep. Czy to dozwolone? — Oczywiście. Panowie przychodzą do nas... chociaż zwykle w towarzystwie pań.

— Może namówię Julię, żeby mnie tam zabrała.

— Świetnie.

— Ma pani córeczkę, Julia mi powiedziała.

— Już siedmioletnią. Jest urocza. — Promieniałam dumą, jak zawsze gdy mówiłam o Katie.

— Tego bym się po niej spodziewał — rzekł z uśmiechem.

Podeszła Julia.

— Och, Drake... więc znalazłeś Lenore.

— Tak, wspominamy.

— To zamierzchła historia.

— Nie tak zupełnie zamierzchła.

— Ależ, Drake, byliśmy wtedy dziećmi. Chodź, porozmawiaj z Roskoffem, on gra bosko, ale rozmówca z niego trudny. Do widzenia na razie, Lenore.

Uśmiechnął się do mnie i odszedł z Julią.

Byłam dosyć podniecona.

Nie mogłam znów porozmawiać z nim w tamten wieczór. Cassie chciała wyjść i ponieważ nigdy nie zostawałyśmy długo na koncercie, wyszłyśmy.

Zapytałam ją:

— Widziałaś Drake'a Aldringhama?

— Drake'a Aldringhama? — powtórzyła. — Czy to nie...?

— Tak, to ten, który przyjechał na zaproszenie Charlesa. Była awantura i wrzucił go do jeziora.

— Pamiętam. O to, że Charles zamknął cię w mauzoleum. Więc on był dzisiaj u Julii?

— Był. Najwidoczniej bywa u niej.

— Dziwne. Ale właściwie chyba wcale niedziwne. Julia zna tyle ludzi. Wcześniej czy później zaprosi każdego.

Wróciłyśmy do domu i opowiedziałam Grand'mère o tym spotkaniu. Zawsze lubiła słuchać wrażeń z przyjęcia.

— Byłam taka zdumiona, kiedy go zobaczyłam.

— Od razu go poznałaś?

— Och tak. To człowiek, którego można poznać po latach. Ma w sobie coś takiego.

Pamiętacie, jak Charles się puszył, bo on raczył przyjąć zaproszenie na wakacje w Jedwabnym Domu? Tym straszniejsze było to, co się stało.

— Ciekawe, czy znowu go zobaczysz. — Grand'mère patrzyła na mnie bacznie.

— Zapowiedział swoją wizytę — odrzekłam. — Z Julią.

* * *

Rzeczywiście się zjawił — z Julią. Grand'mère i Cassie wyszły do niego i przedstawiłam go hrabinie.

— Czyż to nie nadzwyczajne, Lenore w takiej roli! — wydziwiała Julia. — Kto by to przypuszczał przed laty?

— Wszyscy byliśmy inni w tamtych czasach. — Upomniałam ją. — Napijcie się kawy? My często pijemy o tej porze.

— Tak, proszę — powiedział Drake. — I chciałbym tu zobaczyć wszystko.

— Och, Drake! — wykrzyknęła Julia. — Chyba nie interesujesz się modą!

— Interesuję się Lenore.

— To raczej cud — powiedziała — że one tego wszystkiego dokazały.

— Wielki spryt — Drake uśmiechnął się do mnie.

Grand'mère powitała go serdecznie.

— Hrabina Ballader wprowadziła mnie w świat — mówiła Julia.

— Porzuciłam już tamtą działalność — powiedziała hrabina. — To, co robię tutaj, bardziej mi przypada do gustu.

Cassie powiedziała, że zaparzy kawę.

Usiedliśmy wszyscy w pokoju recepcyjnym umeblowanym na biało i z czerwonym dywanem, tak jak sobie życzyła hrabina, twierdząc, że musi być właśnie taki nastrój zbytku.

Czułam na sobie wzrok Drake'a. Domyśliłam się, że mnie porównuje z przerażoną dziewczynką zamkniętą w mauzoleum.

— Jak idą interesy? — zapytała Julia.

— Kwitną — odrzekła hrabina.

— No, wasze suknie to ostatni krzyk mody — powiedziała Julia. — Rozmawiałam wczoraj z lady Bronson. Mówiła, że dała się zwieść, kupiła suknię... nie u Lenore... i mój Boże, zrozumiała, jaki popełniła błąd.

— Miejmy nadzieję — wtrąciła hrabina — że wystarczy jej rozsądku, by nie powtarzać tego błędu.

— Chcę mieć nową suknię przedpołudniową — oznajmiła Julia. — Rozejrzę się, skoro już jestem tutaj.

Gawędziliśmy. Drake opowiadał o swoim domu na wsi.

— Jest jak nieduży dwór. Należy do rodziny od wielu lat. Moja ciotka tam mieszkała, ale niedawno umarła. Wydaje się, że to idealny dom dla mnie ze względu na usytuowanie.

— Dobrze się składa, że jest tak blisko pana okręgu wyborczego — powiedziałam.

— Nie mogłoby się składać lepiej. Mieszkanie w mieście mam bardzo małe. Wyjeżdżam na wieś, kiedy tylko czas mi pozwala.

— To z pewnością fascynujące — powiedziałam — być w samym sercu spraw państwowych.

My tylko czytamy o nich w gazetach.

— Zawsze mnie to fascynowało. Byłem zdumiony, kiedy w to wszedłem. Miałem trochę szczęścia. Przypadkiem znalazłem się we właściwym miejscu w samą porę.

— Tylko że to się zdarza bardzo rzadko — dodałam.

— Ale kiedy się zdarzy, powinniśmy dziękować Bogu.

Chwyciłem się tej sposobności obiema rękami.

— Chcesz wybrać sobie suknię? — zapytała Julię hrabina.

— Właśnie, może teraz?

— Więc chodźmy. Pokażę ci, co mamy.

Julia odeszła z hrabiną i poczułam się swobodniej. W jej stosunku do Drake'a Aldringhama było coś, co mnie niepokoiło. Wydawało mi się, że ona obserwuje jego i mnie, gdy z sobą rozmawiamy.

— Pan jest liberałem — powiedziałam po jej odejściu — a liberałowie teraz nie są u władzy.

— Naprawimy to po następnych wyborach.

— Wtedy pan Gladstone wróci na urząd. Chyba już po raz trzeci?

— Po raz czwarty.

— On się starzeje, prawda?

— To największy mąż stanu w tym stuleciu.

— Pogląd wiernego poplecznika! O ile wiem, jest ktoś postawiony bardzo wysoko, kto by się z panem nie zgodził.

— Myśli pani, jej królewska mość?

— Chyba dobrze myślę?

— To jest dama o nieugiętych upodobaniach i uprzedzeniach. Niestety ostatnio żywi między innymi uprzedzenie do pana Gladstone'a.

— Czy to by mu nie szkodziło na stanowisku premiera?

— Szkodziłoby, oczywiście. Nie mogę zrozumieć, co ona ma przeciwko niemu.

— Chyba wszyscy czujemy do pewnych ludzi sympatię, do innych antypatię.

— Pani też?

— Większość ludzi lubię, ale są tacy, których nie polubiłabym nigdy.

Myślałam o Charlesie. Jeszcze przed incydem w mauzoleum Charles budził we mnie lęk.

— Pan Gladstone niezupełnie jest dworzaniem w takim sensie, w jakim był lord Melbourne.

Królowa w swoich panięskich czasach była całkowicie pod wrażeniem Melbourne'a.

— A później pod wrażeniem Disraeliego.

— Tego nigdy nie rozumiałem. Ale Disraeli umiał posługiwać się słowami.

— Pan Gladstone nie umie?

— Jako mówca, owszem, umie... ale nie pochlebca. Gladstone to wielki człowiek, zaryzykuje swoją przyszłość polityczną dla celów, które uważa za słuszne. Niewielu jest takich.

Oczy jaśniały Drake'owi entuzjazmem. Podobała mi się jego zarliwość. Poranek zrobił się bardzo interesujący.

Grand'mère powiedziała, że musimy jej wybaczyć: ma coś pilnego do roboty. Skinęła na Cassie:

— Będziesz mi potrzebna.

I tak to zostałam z Drake'iem sama.

Rozmowa potoczyła się łątwa i swobodna. Opowiedziałam mu o sklepie, o tym, że nie chciałam pozostać w Jedwabnym Domu — ja, wdowa z dzieckiem, pólsierotą. Marzyłam o niezależności i nadeszła chwila, gdy uznałam za wskazane się ruszyć.

— Tak więc włożyłam mój kapitał w to przedsięwzięcie.

Słuchał uważnie. Nie pytał o śmierć Philipa, za co byłam mu wdzięczna. Opowiedziałam, jak ciężko nam szło na początku i jak bardzo denerwowałyśmy się na pewnym etapie, zanim nas uratowała hrabina.

— Ten sklep — zapytał — wiele dla pani znaczy, prawda?

— Daje nam utrzymanie.

— Ale ja sądzę, że to coś więcej. Ten sklep symbolizuje wolność i coś, co pani zawsze chciała udowodnić.

— Co takiego?

— To, że kobieta potrafi sobie radzić tak samo dobrze, jak mężczyzna.

— Nie myślałam o tym, chyba jednak ma pan rację.

— Ja wiem. Pani nie cierpi niesprawiedliwości. Szuka pani prawdy. Chce pani, żeby zwyciężyła twarda logika.

— Chyba tak.

— Podzielam ten światopogląd. Po to jestem w parlamencie. Chcę sprawiedliwości... dla wszystkich. Tylko dlatego, że czyjś punkt widzenia jest akceptowany, ja się pod nim nie podpiszę. Tak samo jak pan Gladstone. On stał się bardzo niepopularny jako rzecznik autonomii Irlandii. Z tego właśnie powodu do rządu wszedł Salisbury z konserwatystami po ostatnich wyborach.

— Dla mnie to wszystko jest fascynujące — powiedziałam.

— Musimy spotykać się od czasu do czasu, porozmawiać. W Londynie bywam często. Co pani na to?

— Byłoby mi miło.

— Więc doskonale.

Wróciła do nas Julia.

— Rzeczywiście boska — zachwycała się. — Biadoliła z wstążkami trochę ciemniejszymi, kolor niezupełnie heliotropu... lawendy może?

— Jest ci w niej doskonale — powiedziała podchodząc hrabina. — Każę ci ją przysłać.

— Wydajecie się tacy poważni. — Julia przeniosła wzrok z Drake'a na mnie, najwyraźniej zdumiona, że zastaje nas samych, we dwoje.

Pośpieszyłam jej wyjaśnić.

— Babcia ma pilną pracę, Cassie musiała jej pomóc.

— Prowadziliśmy ciekawą rozmowę — powiedział Drake. — Na temat polityki.

Julia się skrzywiła.

— Nie potrzebujesz mi tego mówić. Od razu bym zgadła. Przecież to twój ulubiony temat, Drake. Prawie nie rozmawiasz o niczym innym.

— Zapewne masz rację. — Drake spojrzał na mnie. — Ufam, że pani nie znudziłem.

— Ależ skąd!

— Lenore jest zawsze uprzejma — powiedziała Julia.

— Nie uprzejma — zaprotestowałam — tylko szczerą.

— Drake wychwala swojego przywódcę, prawda, Drake?

— Są po temu konkretne przyczyny — powiedział.

— Szkoda, że nie wszyscy tak uważają. — Julia się roześmiała.

— Wszyscy nie, ale wielu — odparował Drake.

— Myślę, że sporo osób dziwi się tym jego nocnym przygodom — powiedziała Julia chytrze.

Drake zwrócił się do mnie.

— Julia mówi o krucjacie pana Gladstone'a mającej na celu ratowanie upadłych kobiet.

— Właśnie — przytaknęła Julia. — Kręcił się nocą po mieście i wyszukiwał panie lekkich obyczajów.

— Po to, by je ocalić — powiedział szybko Drake. — To człowiek wielkiej dobroci.

Oczywiście, już się starzeje, ale przez czterdzieści lat chadzał raz w tygodniu na Picadilly, do Soho i na Nabrzeże, gdzie można spotkać takie kobiety. Zabierał je do domu, dawał kolację i nocleg, a rano on i pani Gladstone rozmawiali z nimi o ich sposobie życia i usiłowali pomóc im... przekonać, żeby zmieniły zawód.

— Filantropia bardzo niebezpieczna — zauważyła Julia. — Na pewno niejedna podejrzewała go o nieczne zamiary.

— Tym szlachetniej z jego strony. — Drake zwrócił się do mnie. — Zgadza się pani?

— Tak. Zgadzam się. Ludzie są zbyt skorzy do podejrzeń, więc źle sobie tłumaczą fakty.

Pomyślałam o tych spojrzeniach, jakie na mnie rzucono po śmierci Philipa. Dlaczego on popełnił samobójstwo? — zastanawiano się. Jeśli mężczyzna od niedawna żonaty decyduje się na taki krok, to przecież na pewno ma z tym coś wspólnego jego żona.

— Lenore wyraźnie chce cię popierać.

— Tylko mówię to, co myślę.

— No, Drake, ja myślę, że trzeba już wyjść. To są godziny handlowe, czyż nie?

Drake wstał i wyciągnął do mnie rękę.

— Bardzo ciekawy był ten poranek. — Przytrzymał moją rękę mocno. *Au revoir.*

— Gdzie są tamte? — zapytała Julia. — Musimy się z nimi pożegnać.

Zawołałam je i odprowadziłyśmy naszych gości do drzwi, przed którymi czekał powóz Julii.

Gdy patrzyłyśmy, jak oni odjeżdżają, przyszło mi na myśl, że Julia odnosi się do Drake'a ostentacyjnie zaborczo. I że najwyraźniej oni znają się bardzo dobrze.

Przypomniałam sobie, jak jej zależało na nim przed laty i jaką miała do mnie pretensję o to, że byłam przyczyną jego nagłego wyjazdu.

Pomyślałam: jest w nim zakochana. Wydaje się łagodniejsza, inna. Już przed laty trochę się w nim kochała.

— Cóż za czarujący mężczyzna — powiedziała hrabina.

— Był bardzo miłym chłopcem — dodała Cassie.

— Podoba mi się — powiedziała Grand'mère. — Jest w nim coś dobrego. — Uśmiechnęła się do mnie czule. — Mam nadzieję, że znów się tu zjawi.

* * *

Co tydzień w piątek wieczorem omawiałyśmy sprawy tygodnia i nowe pomysły, jeśli któraś z nas na jakiś pomysł wpadła. Hrabina regularnie jeździła do Paryża.

— Paryż to ośrodek mody — mawiała. — Trzeba tam bywać, wiedzieć, jak rzeczy stoją.

Od czasu do czasu zabierała do Paryża Grand'mère. Ze znanstwem wybierała fasony, w których chciała wprowadzić zmiany — poprawki, jak to nazywała. Grand'mère zajmowała się stroną praktyczną, orzekała, czy owe poprawki są możliwe.

Ja nie mogłam wyjeżdżać, bo nie chciałam zostawiać Katie. Grand'mère zawsze po powrocie była jak odmłodzona. Chyba namiętnie interesowała się kreowaniem mody, poza tym ożywiało ją odwiedzanie ojczystego kraju.

Tym razem hrabina nas zadziwiła.

— Powinnyśmy — powiedziała — otworzyć sklep w Paryżu.

Zagapiłyśmy się na nią. W Paryżu! Bardzo dobrze nam szło w Londynie, z roku na rok coraz lepiej dawałyśmy się poznać w kręgach dworskich.

— No, bo przecież — ciągnęła hrabina — większość najznakomitszych domów mody coś tam ma. Ja bym tam była prawie przez cały czas, dopóki byśmy tego nie zorganizowały. Wiem, jak sobie z tym poradzić. I miałybyśmy tutaj w naszych modelach akcenty francuskie. „To, proszę pani, właśnie przyszło z naszego oddziału paryskiego”... i tak dalej.

— A koszty urządzenia się tam?

— Tanio to nie będzie.

— Skąd byśmy wzięły pieniądze na to? — zapytała Grand'mère.

— Pożyczymy.

Ja się wzdrygnęłam, a Grand'mère zbladła.

— W żadnym razie — powiedziałyśmy jednocześnie.

— Dlaczego?

— Kto by pożyczył te pieniądze?

— Każdy bank. Mamy zastaw... kwitnące przedsiębiorstwo.

— A procenty od pożyczki?

— Musiałybyśmy ciężko pracować, żeby je spłacać.

— Zawsze jestem przeciwna pożyczaniu — powiedziała Grand'mère, a ja przytaknęłam.

— Chcecie w nieskończoność stać w miejscu?

— Bardzo przyjemne miejsce sobie znalazłyśmy — upomniałam hrabinę.

— Ale rozrost daje kwitnącemu przedsiębiorstwu więcej powietrza do oddychania.

— O ile wiem, często doprowadza do ruiny.

— W życiu trzeba ryzykować.

— Nie chcę o tym słyszeć — oświadczyła Grand'mère.

Poparłam ją. Myśl o zaciągnięciu pożyczki po prostu mnie przerażała.

— Za ile lat — zapytałam — oddział w Paryżu zacząłby przynosić zyski?

— Za trzy lata... za cztery...

— I tak długo wisiałyby nad nami te procenty do spłacania?

— Dałybyśmy sobie radę — powiedziała hrabina.

— A gdyby nie?

— Tak z góry przepowiadasz klęskę?

— Nie możemy bujać w obłokach. Zbankrutujemy, a ja mam córkę, o której muszę myśleć.

— W odpowiednim czasie wprowadzę ją do salonów. — Ale tymczasem muszę ją karmić i ubierać... i kształcić, a to jest dla mnie najważniejsze.

— Rzeczywiście brak ci ducha przygody.

— Ja to nazywam ostrożnością.

— Więc obie jesteście przeciwko mnie?

Przytaknęłyśmy.

— No więc odkładamy tę sprawę *ad acta*.

— Właśnie — powiedziałam.

— Na razie — nie ustawała hrabina — będę w Paryżu się zwiadywać, co trzeba mieć.

— Cokolwiek trzeba, nas na to nie stać.

— Nigdy nic nie wiadomo — powiedziała hrabina.

Zaczęłyśmy omawiać inne sprawy.

Gdy zostałam sama z Grand'mère, jednak poruszyłyśmy ten temat.

— Ona ma rację, oczywiście — przyznała Grand'mère. — Wzięte domy mody mają oddziały w Paryżu. Bo Paryż to ośrodek, ma prestiż. Byłoby cudownie, gdybyśmy mogły tam sprzedawać nasze modele. Byłby triumf... doprawdy... i korzyść dla naszego sklepu tutaj. Powodziłoby się nam o wiele lepiej...

— Grand'mère — zapytałam. — Już cię bierze ten pomysł?

— Widzę jego plusy, ale jestem jak zawsze przeciwna pożyczaniu. Lepiej niech dalej będzie tak, jak jest, niż gdybyśmy miały martwić się długiem. Pamiętasz, jak było, kiedyśmy zaczynały, i jak nam się wydawało, że nie przebrniemy.

— Nigdy tego nie zapomnę.

— Jest nam przytulnie. Jest nam wygodnie. Niech tak zostanie.

Ale obie wciąż myślałyśmy o projekcie hrabiny i chwilami to nam się wrywało. Hrabina na ogół milczała, zadumana. Zaczęłam przypuszczać, że z czasem chyba dam się jej przekonać.

Mniej więcej w tydzień potem hrabina i Grand'mère znów wyjechały do Paryża.

Spotkania w parku

Jedną z największych radości naszego dobrobytu było dla mnie to, że mogłam więcej czasu poświęcać Katie. Przyjęłam guwernantkę, niejaką pannę Price, zacną osobę, poważnie traktującą swoje obowiązki, ale często zajmowałam się Katie sama, bo ta mała tak samo lubiła przebywać ze mną, jak ja z nią.

Co dzień po południu po jej lekcjach chodziłyśmy na spacer — nieraz do parku St James, gdzie karmiłyśmy kaczki, albo nad Serpentine. Katie, dziewczynka bardzo towarzyska, szybko zawierała znajomości z dziećmi. Lubiłam patrzeć, jak bawi się w gronie swoich rówieśników.

Dwa dni minęły po wyjeździe Grand'mère z hrabiną. Siedziałyśmy, Katie i ja, na ławce, pochłonięte rozmową pełną jak zwykle „dlaczego?” i „co?”, gdy ktoś zatrzymał się przed nami.

Uchylił kapelusza i powiedział.

— A więc znalazłem panią. To był Drake Aldringham.

— Złożyłem wizytę w sklepie — wyjaśnił — i panna Cassandra powiedziała mi, że pani jest albo w parku St James, albo tutaj. Niestety, najpierw szukałem pani w parku, ale przynajmniej teraz mój trud został wynagrodzony.

Ucieszyłam się, że go widzę.

— To jest Katie — przedstawiłam moją córkę. — Katie, to jest pan Drake Aldringham.

Spojrzała mu prosto w oczy.

— Ale pan nie Kaczor — powiedziała — tylko człowiek.

— Widzę, że cię rozczarowałem.

— No... słyszałam, jak one rozmawiają o jakimś kaczorze.

Trochę się zmieszałam, Drake jednak był wyraźnie rad z tego, że o nim rozmawiamy.

Katie uśmiechnęła się do niego promiennie.

— Nieważne — zapewniła go.

— Postaram się nie przejmować.

Widziałam, że przypadła mu do serca, i to mnie ucieszyło.

— Podoba nam się tutaj, prawda Katie? — powiedziałam. — Często tu przychodzimy.

— Tak — potwierdziła. — Tu jest jak na wsi... ale słysząc końskie kopyta, więc jest jeszcze przyjemniej. A Grand'mère pojechała do Francji — poinformowała Drake'a.

— Tak — dodałam — z hrabiną do Paryża.

— Kiedyś — powiedziała Katie — ja tam pojedę. Z mamą oczywiście.

— Oczywiście — przytaknął Drake. — Już nie możesz się tego doczekać.

— Właśnie. Pan tam był?

Odpowiedział, że był. Zaczął opowiadać jej o Paryżu. Słuchała uważnie. Potem do ławki podszedł chłopczyk, towarzysz jej zabaw, który często przychodził ze swoją nianią. Zobaczyłam, że ona chce odejść, żeby się pobawić, bo spojrzała na mnie pytająco.

— Dobrze — pozwoliłam. — Tylko nie odchodź za daleko. Jeżeli znikniesz mi z oczu, będę cię szukać.

Odwróciła się z uśmiechem do Drake'a i odbiegła.

— Urocze dziecko! — powiedział Drake.

— Jestem szczęśliwa, że ją mam.

— Doskonale to rozumiem.

Poczułam w oczach łzy. Wstyd mi się zrobiło, że tak nad sobą nie panuję.

— Z pewnością jest dla pani wielką pociechą.

Przytaknęłam.

— Zawsze była. Nie wiem, jak czułabym się bez niej.

— Przykro mi, że tak się stało. Musiało to być ciosem druzgoczącym.

— Samo to, że go utraciłam, a już w taki sposób...

— Niech pani o tym nie mówi, jeżeli pani trudno. Przez parę minut milczałam. Rzecz dziwna, ja właśnie chciałam mówić o tym. Jemu.

— Wszyscy myśleli — zaczęłam — że Philip popełnił samobójstwo. Wszyscy. I takie orzeczenie wydał sędzia śledczy. Ja nigdy w to nie uwierzę.

— Pani znała go najlepiej.

— Jakżeby on mógł? Byliśmy tacy szczęśliwi. Zdecydowaliśmy się kupić dom. Był

szczęśliwy i już w parę godzin potem... odebrałby sobie życie? To się nie klei.

— Nie było niczego, o czym pani nie wiedziała?

— Absolutnie niczego. Takie to wszystko tajemnicze. Mam teorię, że ktoś zamierzał go zabić... i próbował już przedtem.

Opowiedziałam historię Lorenza, który wyszedł w pelerynie i szapoklaku Philipa.

— Bardzo dziwne — powiedział Drake.

— Wszyscy chyba myśleli, że wiem o czymś, czego nie wyjawię. To mnie strasznie martwiło.

Przecież nie było niczego, niczego. Układało nam się doskonale.

Położył dłoń na mojej dłoni.

— Przepraszam — powiedziałam — poniosło mnie.

— Nie powinienem był tego rozdrapywać.

— Pan nie rozdrapał.

— Obawiam się, że rozdrapałem. Może kiedyś... ta rana się zagoi.

— Już się zagoiła w pewnej mierze. Katie mi pomogła. A jednak... chwilami jest taka podobna do niego. To mi przypomina... Myślę, że nigdy nie zapomnę.

— Oczywiście. Ale teraz czy jest pani szczęśliwa... poniekąd?

— Tak, chyba tak. Mam przecież Katie, Grand'mère... przyjaciółki...

— I przedsiębiorstwo — powiedział. — Stała się pani zapamiętałą kobietą interesu i to wiele dla pani znaczy.

— Wiele. Zaczęło się dopiero w rok po śmierci Philipa. Nie mogłam już mieszkać w tamtym domu. To dom Charlesa, nie mogłam o tym nie myśleć.

— Oczywiście.

— Hrabina okazała się dla nas bezcenna. To naprawdę skarb. Z pewnością mam szczęście.

— I kwitujące przedsiębiorstwo bardzo pomaga.

— Nie zawsze było kwitujące. Wcale nie znałyśmy się na takich sprawach... Grand'mère i ja.

Hrabina jest świetnie zorientowana. Pod jej kierunkiem już i my nabieramy orientacji.

— Byleby nie za dużej.

— Żeby odnieść sukces, to konieczne w naszej dziedzinie... właściwie i w każdej innej.

— Sukces ma dla pani spore znaczenie.

— Musi mieć. Oznacza, że mogę zapewnić Katie odpowiednie wykształcenie... Wprowadzić ją w odpowiednie towarzystwo... dać jej wszelkie szanse.

— Ambitna z pani mama.

— Jestem ambitna, jeśli chodzi o jej przyszłość. Ale za długo mówimy o mnie. Niech pan mi opowie o sobie, o swoim okręgu wyborczym, o tym wszystkim, co musi robić dobry członek parlamentu.

Więc zaczął opowiadać bardzo ciekawie i zabawnie. O listach, które piszą do niego wyborcy.

— Od członka parlamentu wymaga się, żeby był jak ten duch w arabskich baśniach spełniający wszystkie życzenia — powiedział. Opowiadał też o swoich dalekich podróżach, o życiu w skwarze słońca na Złotym Wybrzeżu, o tęsknocie za krajem i jaki był szczęśliwy, gdy wreszcie zobaczył białe skały Anglii — zaczął wtedy ku zdumieniu współpasażerów śpiewać pełnym głosem.

Przyjemnie więc spędziliśmy godzinę patrząc na Katie, która biegała i podskakiwała rozbawiona, ale raz po raz spoglądała przez ramię i uśmiechała się do nas.

Od dawna nie czułam się tak dobrze.

Potem odprowadził mnie do domu. Katie szła pomiędzy nami i trzymała nas za ręce.

Powiedział, że bardzo cieszy się z naszego spotkania.

— Codziennie przychodzi pani do parku? — zapytał.

— Dosyć często.

— Będę pani szukał.

Uklonił się i z uśmiechem zapytał Katie:

— Wybaczysz mi, mam nadzieję, że jestem tylko mężczyzną?

— Byłam niemądra — odrzekła — powinnam wiedzieć, kaczozy nie składają wizyt, prawda?

— Nie. Tylko kwaczą.

Wydał odgłos rzeczywiście przypominający kwakanie. Ogromnie ją tym ucieszył. Wbiegła do domu, sama kwacząc.

Przyszła Cassie.

— Och — oznajmiła — był tu Drake Aldringham.

— Wiem, spotkałyśmy go w parku — powiedziałam.

— Mówiłam mu, że tam jesteście i to na pewno gdzieś w okolicy wody.

— No i trafił do nas.

— Bardzo miły — powiedziała Katie. — Kwacze jak prawdziwy kaczor... tylko, że nie jest kaczołem, oczywiście... jest mężczyzną.

Nazajutrz zobaczyłyśmy go znowu.

Co więcej, spotkanie się z nami w parku weszło mu w zwyczaj.

* * *

W dwa tygodnie później Grand'mère i hrabina wróciły z Paryża. Bawiły tam dłużej niż zwykle. Zauważyłam, że Grand'mère jest zamyślona. Znałam ją dobrze i ona nigdy nie umiała ukrywać swoich uczuć, pojęłam więc, że się coś stało — coś dobrego czy złego, nie wiedziałam, ale z pewnością ważnego dla niej.

Hrabina, jak zawsze po powrocie z Paryża, miała bardzo dużo do powiedzenia.

— Oglądałam akurat taki lokal, jaki nam by odpowiadał. Na rue Saint-Honoré... w dobrym punkcie. Mały, ale rzeczywiście elegancki.

— Zdecydowałyśmy, że nie będziemy ryzykować — przypomniałam jej.

— Wiem. — Westchnęła. — Wielka szkoda. Bo to nadzwyczajna okazja. Trzeba by ci było zobaczyć... urocza widna pracownia i salon... Od razu pomyślałam, żeby go urządzić na biało ze złotem. Wyglądałoby doskonale.

— Gdyby nie jeden szkopuł — powiedziałam. — Nie mamy na to pieniędzy, a Grand'mère i ja nie chcemy popaść w długi.

Hrabina potrząsnęła głową z ubolewaniem, ale już nie mówiła o tym.

Gdy zostałam sama z Grand'mère, zagałam.

— No, Grand'mère, powinnaś mi powiedzieć, co się stało.

Spojrzała na mnie zdumiona.

— Wiem, że coś jest — nastawałam. — Widzę to na twojej twarzy. Więc lepiej mi powiedz.

Po długiej chwili milczenia powiedziała:

— Wprost chodziło to za mną. Musiałam tam pojechać. Zobaczyć tamte strony znowu.

Zostawiłam hrabinę w Paryżu i pojechałam do Villers-Mûre.

— Więc taka sprawa. Dlatego jesteś zadumana?

— Miejsce urodzenia ma dla każdego...

— Oczywiście. Dla ciebie to była daleka podróż.

— Odbyłam ją.

— I jakie wrażenie?

— Niewiele tam się zmieniło. Poczułam się tak... jak przed laty. Poszłam na grób twojej matki.

— I smuciłaś się.

— Raczej. Ale niezupełnie. Na grobie jest krzew róży... ktoś go zasadził. A spodziewałam się, że zastanę ten grób zaniedbany. To mnie dosyć podniosło na duchu.

— Kto to zrobił?

Wzruszyła ramionami i podniosła wzrok. Oczy miała smutne, zadumane.

— Może nieroztropny był powrót tam — powiedziałam.

— Och, nie... nie. — Zmieniła temat. — Wiem od Cassie, że pan Aldringham cię odwiedził.

— Tak, spotykam się z nim w parku od czasu do czasu. Przypadł do serca Katie... i ona jemu.

— Polubiłam go.

— Wiem.

Uśmiechnęła się do mnie.

— Rada jestem, że się z nim widzisz. — Potem dodała zagadkowo. — Nie możesz być w żałobie wiecznie.

Teraz z kolei ja zmieniłam temat.

— Hrabina na pewno myśli, że w końcu nas przekona.

— Nigdy się nie zgodzę na zaciągnięcie pożyczki.

— Ani ja. Więc oglądanie sklepów w Paryżu to tylko strata czasu.

— Na początku ona miała rację co do nas i rzeczywiście wydałyśmy niewiele, żeby puścić interes w ruch.

— Wtedy było inaczej. Znalazłyśmy się w rozpaczliwej sytuacji. Teraz mocno stoimy na nogach. Nie chcę znów niepewności.

— Tylko w jednym wypadku zgodziłabym się przyjąć ten pomysł hrabiny.

— W jakim?

— Gdybyśmy miały na to pieniądze. Gdyby jakiś dobroczyńca włożył kapitał w nasze przedsiębiorstwo.

— To zgoła niemożliwe.

— Nieprawdopodobne, ale możliwe. Znów się zamyśliła, więc zapytałam.

— Grand'mère, o czym myślisz?

— Tylko o tym, że ten sklep na rue Saint-Honoré był bardzo kuszący.

— Daj sobie spokój, Grand'mère. Wystarczy nam roboty tutaj.

— Już mi się do niej śpieszy. — Ucałowała mnie. — Jak dobrze być z powrotem w domu.

* * *

Wszystko poszło utartym torem. Katie i ja często spotykałyśmy się z Drake'iem i nawet wyczekiwałam tych spotkań. Nieraz w parku Drake już czekał na nas. Katie do niego podbiegała kwacząc, na co odpowiadał też kwakaniem. W ten sposób zawsze się witali i zawsze to była dla Katie uciecha.

Bawiła się z dziećmi, gdy rozmawiałam z Drake'iem. Mieliśmy sobie mnóstwo do powiedzenia. Stwierdziłam, że mogę mówić z nim bez skrępowania, i na pewno on czuł się ze mną swobodnie.

Często jeździł do Swaddingham.

— Chciałbym, żeby pani zobaczyła ten dom — powiedział kiedyś. — To dwór elżbietański.

Przedtem, w piętnastym wieku była to gospoda, potem przebudowano ją na prywatną rezydencję, powiększono tak, że część jest saksońska, a niższe kondygnacje całkowicie w stylu Tudorów. No i mam szmat ziemi. Jestem poniekąd ziemianinem. Jeśli utracę miejsce w parlamencie, oddam się wypełnianiu obowiązków dziedzica.

— To by się panu podobało? — zapytałam.

— To by tylko było lepsze niż nic. — Popatrzył na mnie z powagą. — Czasami człowiek musi się

czymś takim zadowolić.

— Tak jest. Przynajmniej ma pan coś w rezerwie. Szczęściarz.

— Zastanawiam się, czy pani zechciałaby z Katie odwiedzić mnie w Swaddingham.

— Zaproszenie ekscytujące.

— Może przyjechałaby pani z babcią i z Katie?

— Bardzo by nam było miło.

— No to zabiorę tam panie w czasie ferii parlamentu. Nigdy nie wiadomo, kiedy trzeba wziąć udział w jakimś ważnym głosowaniu... więc lepiej z tym poczekać do ferii.

— Czuję się zaproszona. Opowiedziałam mu o naszym dylemacie.

— Hrabina jest inna niż Grand'mère i ja. Pełna energii... trochę hazardzistka, chce rozszerzyć przedsiębiorstwo, otworzyć sklep w Paryżu.

— A pani nie chce? Zdumiewa mnie pani.

— Rzeczywiście chcę... bardzo, ale nie mam odwagi.

— Czy to takie ryzyko?

— Ogromne. Musiałybyśmy znaleźć sklep w odpowiedniej dzielnicy, gdzie czynsz byłby bardzo wysoki. Musiałybyśmy ten sklep wyposażyć... przyjąć personel. I zacząć tam od razu z rozmachem. Z początku, kiedy zakładałyśmy firmę, mogłyśmy zacząć skromnie. Teraz nie możemy. Hrabina słyszeć by o tym nie chciała. Powiedziała by, że to bardziej zaszkodzi, niż pomoże. Musimy już wszystko robić w wielkim stylu. Grand'mère i ja dobrze to rozumiemy.

Gdyby to się udało, byłoby cudownie, ale gdyby zawiodło, wszystko by runęło. Grand'mère i ja tak nie ryzykujemy.

— Zapewne są panie roztropne.

— Kto wie? Hrabina uważa, że nie jesteśmy przedsiębiorcze.

— Lepsze to niż bankructwo.

— Właśnie.

— Więc stoją panie przed dylematem.

— Raczej nie. Grand'mère i ja obstajemy przy swoim.

— Jednak z zalem.

— Tak, z żalem.

Rozmawialiśmy ozywieni, gdy nadeszła Julia. Była w modnym kostiumie szafirowym z czarną lamówką. Wyglądała bardzo elegancko w kapeluszu—dżokejce ze strusim piórem zwisającym z daszka. Widziałam ten kostium i ten kapelusz wcześniej w naszym sklepie, więc teraz pomyślałam: Grand'mère jest genialna.

Julia szeroko otworzyła oczy ze zdumienia, ale wyczułam, że naprawdę nie jest zdumiona.

Tknęło mnie, że przyszła tu specjalnie do nas. Prawdopodobnie widywał nas we dwoje ktoś z jej znajomych i nasze spotkania budziły pewne zainteresowanie. Byłam wdową z dzieckiem, więc nie musiałam tak ściśle przestrzegać konwenansów jak młoda panna. Fakt, że pokazuję się raz po raz w tym samym miejscu z kawalerem do wzięcia, mógł wywołać różne domysły.

— No, coś takiego, spotykam was tutaj! Oczywiście... ty przyszłaś z Katie. Dzieci kochają parki. — Usiadła przy nas. Poczułam się niepozorna w swoim kostiumie spacerowym u boku tej elegantki w pełnej chwale. — Lubię przejść się od czasu do czasu. Spacer podobno jest dobry dla zdrowia. Powóz czeka niedaleko. Drake, myślałam, że jesteś w Swaddingham.

— Będę musiał tam pojechać jutro albo pojutrze.

— Oczywiście. Trzeba ugłaskiwać wyborców przed wyborami. Kiedy wybory?

— W niedalekiej przyszłości.

— Przyjadę, żeby pomóc — powiedziała Julia. — Bardzo jesteś łaskawa.

— Polityka mnie fascynuje — ciągnęła. — To chodzenie między ludźmi, całowanie dzieci... i już jest się w połowie drogi do wygranej.

— Nie tak zaraz — Drake się roześmiał. — Nasi oponenti może też umieją okazywać, że przepadają za dziećmi.

— Biedny Drake! On tak ciężko pracuje — Julia położyła mu rękę na ramieniu. —

Rzeczywiście jest cudowny.

— Masz o mnie zbyt wysokie mniemanie.

— To z pewnością byłoby niemożliwe. Musisz przyjść do mnie jutro na kolację.

— Dziękuję — powiedział.

Uśmiechnęła się do mnie.

— Przepraszam, że nie zapraszam ciebie, Lenore. Ale sama rozumiesz. Jest mało mężczyzn, więc nieparzysta kobieta...

— Och, rozumiem jak najbardziej.

— Powinnaś wyjść za mąż. Mam rację, Drake?

— Myślę, że decydowanie o tym jest osobistą sprawą pani Lenore.

— Oczywiście, ale ona może korzystać z pomocy.

Spojrzałam na zegarek i powiedziałam, że muszę iść.

Na moje wołanie przybiegła Katie.

— Dzień dobry, ciociu Julio.

— Dzień dobry, kochanie — Julia ucałowała ją wylewnie.

— Ładnie ciocia pachnie.

— Ładnie, kotku? Koniecznie odwiedź mnie wkrótce.

— Kiedy? — zapytała Katie.

— Powinnyśmy poczekać na konkretne zaproszenie, Katie — zwróciłam jej uwagę.

— Ciocia już nas zaprosiła.

— Ciocia Julia powie, kiedy zechce nas ugościć.

— Ale już powiedziała...

— Naprawdę musimy już iść — powtórzyłam.

— Oczywiście — przytaknęła Julia. — Darujemy jej, czyż nie, Drake?

— Odprowadzę panią Lenore i Katie do domu — powiedział Drake.

Julia wydeła usta. Po chwili zaproponowała rześko.

— Powiem wam coś. Możemy przecież pojechać moim powozem.

Chciałam zaprotestować, ale Katie wykrzyknęła.

— Och, tak... proszę!

Więc pojechałyśmy.

Julia jakoś dała mi do zrozumienia, że jest niezadowolona z moich spotkań z Drake’iem.

Pamiętałam, że swego czasu była nim bardzo zainteresowana. Widziałam, że nadal jest.

Co do Drake'a nie miałam pewności. Chyba nie podobało mu się takie narzucanie.

Katie jednak się podobało. Mówiła o koniach i podśpiewywała klip-klap przez całą drogę do domu.

* * *

Potem nieraz spotykałam Julię. Ona, rzecz jasna, orientowała się, w jakich godzinach gdzie jesteśmy, toteż znajdowała nas w pobliżu Serrentine albo, jeśli byliśmy w parku St James, przychodziła tam, gdzie karmiliśmy kaczki.

— Rzeczywiście lubię takie spacerki. Dobrze robią. I to tak przyjemnie zobaczyć swojskie twarze, usiąść, porozmawiać.

Panowała nad rozmową, często mówiła o ludziach, których nie znałam, tak że właściwie mnie z rozmowy wykluczała.

Zastanawiałam się, co Drake na to. Dobrze wychowany, nigdy się nie zdradzał, więc nie wiedziałam, czy jest rad czy nierad ze spotykania Julii. Często jednak się uśmiechał słuchając jej nielogicznej gadaniny. Bo ona jest bardzo kobieca, myślałam, i może to go pociąga.

Julia miała swój sposób, żeby mnie dyskredytować. Były to jej rzekome komplementy.

— Oczywiście, Lenore jest cudowną kobietą interesu. Nigdy bym nie potrafiła być taka. Z

pewnością cudownie liczyć jest na własne siły... ona jest cudownym pryncypałem... doprawdy jak mężczyzna... Lenore nie potrzebuje opieki.

Nie wiem dlaczego, pozwalałam sobie irytować się tym. Julia tylko zaznaczała, że sama jest bezradną kobietką, co miało ujmować mężczyzn.

W każdym razie te przedpołudnia miałam zepsute. Srodcie rozczarowana, próbowałam zbadać moje uczucie do Drake'a.

Jest mi bardzo dobrze w jego towarzystwie. Ogromnie mnie interesują jego poczynania i chyba chciałabym w nich uczestniczyć.

Drake ze swojej strony interesował się sklepem. Hrabina protestowała, gdy mówiłam „sklep”.

— To jest salon.

— Jak się zwał, tak się zwał. Nieważne — odpowiedziałam jej.

— Ważne ze wszech miar — odparła. — Wciąż ci powtarzam, że wszystko jest zasadniczo takie, jak ludzie to widzą. Sklep jest miejscem, gdzie sprzedaje się towar za kontuarem. Salon jest miejscem, gdzie sprzedają swoje dzieła artyści.

— Uczę się — powiedziałam. — Więc niech będzie salon. Drake, gdy mu o tym opowiedziałam, był rozbawiony.

Słuchał uważnie historii naszego salonu mody. Interesował się moimi sprawami. Lubił

przebywać z Katie i widziałam, że ona się do niego przywiązała. Idąc z nim i z Katie pomiędzy nami, trzymającą nas oboje za ręce, czułam się dobrze, było mi jakoś przytulnie. Hrabina, która nas tak widziała, nawet wyraziła aprobatę:

— Wyglądaliście... należycie... otóż to! — powiedziała.

Grand'mère nigdy nie ukrywała swoich uczuć, teraz też jej zadowolenie nie ulegało żadnej wątpliwości.

Z głębokim wzruszeniem uświadamiałam sobie, że jedyną jej myślą w życiu jest troska o mnie. Serce jej krwawiło, gdy Philip umarł: moje małżeństwo było dla niej spełnieniem wszystkich marzeń, a teraz gdy tak długo już żyłam we wdowieństwie, snuła nowe marzenia. O

Drake'u.

Nie mogłam nie rozważać, na jaką drogę wkraczam. Częste spotkania z Drake'iem w parku, zacieśnianie się tej przyjaźni, błysk w jego oczach na mój i Katie widok to wszystko było znamienne. Istniała możliwość, że on się we mnie zakocha.

Pragnął mi pokazać swoją rezydencję w Swaddingham. Miałyśmy tam pojechać na weekend, gdy tylko zaczną się ferie parlamentu.

A ja? Nigdy bym nie mogła zapomnieć Philipa i miodowego miesiąca we Florencji, który skończył się tak tragicznie, a już odkąd moje uczucie do Drake'a z dnia na dzień stawało się poważniejsze, myślałam o tamtych czasach coraz więcej.

Dorosłam. Wychodząc za mąż, byłam młoda, prosta i niewinna. Niewiele wiedziałam o świecie. Może i Philip wiedział o świecie mało. Pobraliśmy się jak dwoje dzieci, czyż długo moglibyśmy być tacy? Nagle stanęłam twarzą w twarz z tragiczną rzeczywistością. Potem zostałam matką, zjawił się w moim życiu ktoś dla mnie ważniejszy niż ja sama. Nauczyłam się czegoś o powadze zarabiania na życie swoje i swego dziecka. Groźba niepowodzenia, strach przed nędzą sprawiły, że dojrzałam. Dobrze znająca świat hrabina niejedno mi powiedziała o ludziach. Już przestałam żyć w tym świecie idealnym, który dawniej słał się różami, jak mi się wydawało, przed Philipem i przede mną. Już wiedziałam, że są w życiu rzeczy brzydkie, które trzeba rozpoznawać, żeby stawić im czoło.

Teraz zadawałam sobie pytanie, jak głęboka stała się moja miłość do Philipa i czy nie pogłębiałam jej po jego śmierci. Czy nie powiedziałam sobie, że już nigdy nie pokocham żadnego mężczyzny?

Czy ja rzeczywiście znałam Philipa? Czy możliwe, że on miał jakiś mroczny sekret i wolał

popęlić samobójstwo, niż dopuścić, żeby to wyszło na jaw? Nie, niemożliwe. Philip był dobry, szczerzy i niewinny... tak jak ja. Więc dlaczego doszło do tego, do czego doszło? Jeżeli nie on sam

się zastrzelił, to kto go zabił i dlaczego? Wniosek wypływał tylko jeden: w życiu Philipa musiał być jakiś mroczny sekret, o którym nie miałam pojęcia.

Kochałam Philipa, ale czy rzeczywiście go znałam? Razem z nim uczyłam się znaczenia miłości pomiędzy mężczyzną i kobietą. Nasza więź była czule romantyczna. Ale Philip nie żyje.

Może już czas, żebym przestała go opłakiwać?

Spotkania z Drake’iem budziły we mnie myśl, że nie jestem stworzona na zakonnicę. Gdy patrzyłam, jak Drake nadchodzi, serce mi podlatywało. Staralam się jednak patrzeć beznamiętnie: wysoki mężczyzna ubrany nobliwie — już przed laty Drake był chłopcem dystygowanym —

teraz wprost urzekał mnie dystynkcją. Szczęśliwa siedziałam obok niego, przyjemność mi sprawiało dotknięcie jego ręki. Tak, on bardzo mnie pociągał; dni, w które go nie widziałam, były szare, i łapałam się na tym, że wyczekuję tego weekendu w Swaddingham prawie z taką radością jak Katie.

Julia zjawiała się w salonie. Zawsze zajeżdżała efektownie powozem ze służalczym stangretem i nie mniej płaszczącym się małym paziem.

Bałam się jej wizyt, głupio, bo była bardzo dobrą klientką. Jak mówiła, uwielbiała fatałaszkę.

Wydawała mnóstwo pieniędzy, jakże inna teraz niż tamta Julia w dzieciństwie. Wówczas już dostawała napadów złego humoru i bywała niepohamowana, ale nie miała owej przygniatającej pewności siebie, jaką daje pozycja bogatej wdowy.

Hrabina zawsze witała ją wylewnie.

— Tak się cieszę, że wstąpiłaś. Właśnie mówiłam do madame Cleremont, że ten aksamit w kolorze burgunda to akurat coś dla ciebie. Nawet powiedziałam: Julia musi zobaczyć tę suknię pierwsza.

Zapędzała Julię do przymierzalni, gdzie zaczynała cmokać, zafrasowana, na widok jej coraz grubszej talii. Suknia w kolorze burgunda pasowała, ale ledwie, ledwie.

— Drogie dziecko — często hrabina przybierała ton z czasów, gdy matkowała Julii w salonach — musisz pozbyć się tej skłonności do jedzenia.

A Julia chichotała i nieomal była znów młodą panną. Oczywiście kupiła tę suknię zgodnie z zamierzeniem hrabiny, a potem odszukała mnie.

— Charles się żeni — oznajmiła.

— Och... naprawdę?

— Już chyba pora. *Un mariage de convenance*. Wiesz, co mam na myśli. Słyszałam, że słabo sobie radzi z przedsiębiorstwem. Charles to nie Philip, wiesz. Potrzebuje pieniędzy, no i będzie je miał. Wybranka jest trochę starsza od niego i nie najpiękniejsza na świecie, ale, moja droga, siedzi na złocie.

— Mam nadzieję, że będzie im dobrze.

— Ona dostanie to, czego chce... męża... a on nie przestanie chodzić własnymi miłymi drogami... jak zawsze. Powiedziałam mu kiedyś, że jest bezlitosnym flirciarzem. Po prostu mnie wyśmiał i zapytał: „Ty też to zauważyłaś, siostrzyczko?”

— Może się ustakuje.

— Co?! Charles? Ty w to wierzysz? Chciałabym znaleźć kogoś dla Cassie.

— Cassie jest dosyć szczęśliwa.

— Prawdopodobnie otrzymasz zaproszenie na ślub. — I gdy nie odpowiedziałam, Julia zagadnęła niedbale: — Raczej sporo czasu spędzasz z Drake’iem Aldringhamem, czyż nie?

— Spotykamy się w parku, jak ci wiadomo, bo nieraz jesteś z nami.

— Drake to światowiec, wiesz.

— Tak, chyba.

— Poniekąd jak Charles.

— Jak Charles?

— No, mężczyźni są na ogół tacy sami... pod jednym względem.

Wybałuszyłam oczy zdziwiona.

— To znaczy wobec kobiet. Ja znam go bardzo dobrze, a ty... sprytna w interesach i tak dalej... jesteś pod wieloma względami niewiniątkiem.

— Nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć. Roześmiała się.

— Nie wiesz? Więc się zastanów. Drake jest moim wielkim przyjacielem... bardzo bliskim.

W istocie, nawet... no nieważne. Naprawdę myślisz, że w tym burgundowym aksamicie jest mi do twarzy? Wolałabym, żeby hrabina tak nie wydziwiała nad moją wagą. — Uśmiechnęła się filuternie.

— Niektórzy ludzie mi mówią, że pulchność im się podoba. Jest ciepła... przyjazna...

i kobieca. Nie sądzę, żeby mężczyźni rzeczywiście lubili tyki. — Zmierzyła mnie spojrzeniem nieco pogardliwym. To fakt, byłam bardzo smukła. Grand’mère martwiła się, że jadam za mało.

Odetchnęłam z ulgą, gdy Julia wyszła, ale później wciąż rozmyślałam o tym, co powiedziała.

Nie chciałam uznać jej za rywalkę. A przecież drażniły ją moje spotkania z Drake’iem w parku. Pośpieszyła mi powiedzieć, że on jest jej przyjacielem... bliskim przyjacielem. Co to miało znaczyć?

I czy nie ostrzegła mnie, porównując Drake'a z Charlesem?

Julia jest zazdrosna, myślałam. Pamiętałam, w jaką wściekłość wpadła przed laty, gdy się dowiedziała, że Drake wyjechał po kłótni z Charlesem, której ja byłam przyczyną.

* * *

W kilka dni potem po raz pierwszy zobaczyłam tego człowieka w parku. Siedział na ławce niedaleko naszej ławki i ilekroć przypadkiem spojrzałam w jego stronę, wydawało mi się, że patrzy na mnie. Doznawałam też wrażenia, że już go kiedyś gdzieś widziałam.

Był to średniego wzrostu brunet siwiejący na skroniach, mniej więcej czterdziestoletni.

Prezentował się godnie, w cudzoziemskim stylu. Coś zarówno w kroju jego ubrania, jak wyglądzie mówiło, że nie jest Anglikiem.

Jak zwykle przyłączyła się do nas Julia. Katie bawiła się zadowolona. Drake, który przed przybyciem Julii mówił z ożywieniem, stał się małomówny.

Zaczynałam już myśleć, że skoro Julia ma mi za złe przyjaźń z Drake'iem i celowo nam towarzyszy, powinnam znaleźć jakiś pretekst, żeby nie przychodzić do parku. Cassie bardzo chętnie będzie tam chodziła z Katie.

Nazajutrz znów zobaczyłam tego nieznajomego. Rzeczywiście mnie obserwował. Mogłabym uznać, że tak mi się tylko wydaje, ale Julia również to zauważyła.

— Słowo daję, Lenore ma wielbiciela! — wykrzyknęła.

— Co? — zapytał Drake.

— Ten niezbyt młody pan prawie nie odrywa od niej oczu. Widziałam go już wczoraj. Lenore, to twój potajemny kochanek?

— Pojęcia nie mam, kto to jest.

— No, wpatruje się w ciebie raczej z zachwytem.

— Nie bredź. Na pewno nas nie widzi.

— Nas, nie. I świata poza tobą, moja droga.

Zapragnęłam uciec.

— Dziś muszę wrócić wcześniej. Katie! — zawołałam. Katie niechętnie przerwała zabawę, ale miała takie słoneczne usposobienie, że się nie dąsała.

— Idziemy — powiedziałam.

Drake wstał z ławki, też gotów odejść.

— Niech pan zostanie, jeśli pan woli — powiedziałam.

Julia położyła mu dłoń na przedramieniu.

— Posiedźmy tu jeszcze trochę, Drake, a potem chcę cię zabrać na obiad. To będzie tylko małe przyjęcie. Liczę na ciebie.

Nie czekałam, żeby usłyszeć więcej. Wzięłam Katie za rękę i prędko odeszłam. Katie popiskiwała.

— Popatrz na tego kaczkę, mamó. Stroszy piórka. Chyba się gniewa. Albo może jest głodny. Och, szkoda, że nie mam dla niego chleba.

— Następnym razem przyniesiemy chleb — obiecałam.

— Jesteś czerwona — powiedziała. — Czy się gniewasz?

— Oczywiście że nie.

— Nie gniewasz się na ciocię Julię?

— Nie.

— To może na Kwak.

— Kwak?

— Nie, kochanie, na nikogo się nie gniewam.

— Ale wyglądasz, jakbyś się gniewała.

— Nie. Tylko się śpieszę.

Usłyszałam kroki za nami i pomyślałam, że to Drake. Zerknęłam przez ramię. To był ten nieznajomy.

Zrobiło mi się nieswojo. Ależ jestem dzisiaj przewrażliwiona, pomyślałam. Oczywiście on idzie za nami przypadkiem. Bo i dlaczego miałby nas śledzić?

Wyszliśmy z parku, przeszliśmy przez jezdnię. Obejrzałam się. Ten człowiek nadal był za nami. Gdy weszliśmy do domu, poszedł dalej po drugiej stronie ulicy.

* * *

Wyglądało na to, że w nadchodzącym roku będą wybory. Wszyscy mówili, że Gladstone powinien przejść na emeryturę teraz, gdy ma osiemdziesiąt dwa lata — wiek zbyt podeszły, żeby rządzić krajem.

Drake, podniecony perspektywą wyborów mówił o sporych szansach liberałów. Gladstone, chociaż sędziwy, cieszył się popularnością. Nazywano go Wielkim Starcem i Williamem Ludu.

Rzeczywiście, Wielki Starzec nie chciał zrezygnować.

Z Drake’iem, bardzo teraz zajęтым, widywałam się rzadziej. Było już za zimno na przesiadywanie w parku. Tylko spacerowałam tam z Katie. Julia się nie pokazywała wiedząc, że Drake pracuje w Swaddingham.

Projektowany weekend trzeba było odłożyć — tylko chwilowo, jak zapewniał Drake.

Charles ożenił się tej jesieni. Dostałam zaproszenie na ślub i chciałam odmówić, ale Cassie, która naturalnie musiała być na ślubie brata, ubłagała mnie, żebym jej towarzyszyła. Suknię ślubną dla panny młodej myśmy uszyły i hrabina również została zaproszona.

Była uroczystość w kościele Świętego Jerzego na Hanover Square, po czym nastąpiło przyjęcie w hotelu Claridge. Charles wydawał się wielce z siebie zadowolony, panna młoda wydawała się szczęśliwa. Suknię miała znakomitą i widziałam, jak hrabina z błyskiem w oczach patrzy na nią, prawdopodobnie już obliczając, ile zamówień nam to przyniesie.

Julia wyglądała wspaniale. Rozmawiała z nami krótko.

— Teraz, Cassie, przyjdzie na ciebie kolej — powiedziała.

— Nie życzę sobie żadnej kolejności — szybko odparowała Cassie.

— Jeżeli będziesz tak uparcie trzymać się staropanieństwa, nikt nie zada sobie fatygi, żeby ci je zabrać — ostrzegła Julia.

— Dobrze mi tak, jak jest.

— Ale nie ma nic lepszego niż ślub, który zadowala obie strony... jak ten dzisiejszy.

— Mam nadzieję, że oni będą szczęśliwi — powiedziałam.

— Będą, jeżeli są rozsądni. Ona marzyła o znalezieniu męża, a Charles rozpaczliwie potrzebował żony. Panna Worek Pieniędzy jest wysłuchaniem jego modlitwy. — Julia zaczęła śmiać się ze mnie.

— Zgorszyłam cię. Wiesz, łatwo cię zgorszyć. — Rozejrzała się wokoło. —

Drake’a nie widać. Nie był zaproszony. Charles by go nie zaprosił, prawda? Charles nigdy nie zapomina o starych porachunkach. Powiedziałam mu, że jest mściwy. Ostatecznie, ile to już lat minęło, odkąd Drake wrzucił go do jeziora?

— Drake jest zanadto zajęty, żeby teraz bywać — powiedziała Cassie. — Musi myśleć o wyborach.

— Wyborcy chcą, żeby ich posłowie mieli żony — powiedziała Julia. — To stwierdzone. —

Spojrzała na mnie filuternie. — Muszę Drake'owi powiedzieć. Wiem dokładnie, jaką żonę on powinien mieć. Znającą świat i mającą dość pieniędzy, na prowadzenia domu otwartego...

chętną do pokazywania się z nim wszędzie... i sympatycznej powierzchowności.

Milczałam.

— On to zrozumie — ciągnęła. — W istocie, przypuszczam, że już to rozważa i... z moją małą pomocą dokona właściwego wyboru.

— Miejmy dla jego dobra taką nadzieję — powiedziałam.

— Och, Drake to spryciarz. Wielką sprawą w jego życiu jest kariera. Nie zdziwiłabym się, gdyby marzył o zajęciu miejsca po kochanym starym Gladstone'ie. Och, nie tak zaraz, oczywiście. Wielki Starzec najwyraźniej się nie skończył i po wielu szczeblach Drake jeszcze musi się wspiąć. Ale będzie miał zawsze oczy otwarte na tę zasadniczą możliwość. Poślubi taką, która mu świetnie poprowadzi dom otwarty... i trochę jej pieniążków także mu się przyda.

— Przykro by mi było myśleć, że ktokolwiek z przyjaciół jest tak wyrachowany.

— Mylnie sobie tłumaczysz to, co mówię. No, czy ja powiedziałam, że on jest wyrachowany?

Ja to nazywam mądrością. Disraeli, na przykład, był mądry. Ożenił się z Mary Annę ze względu na jej pieniądze. Bardzo tych pieniędzy potrzebował. Kiedy się wchodzi po śliskiej drabinie...

znowu Disraeli... to trzeba się dobrze zabezpieczyć finansowo, żeby jeśli się dojdzie na szczyt, na tym szczycie zostać. Nasi dzisiejsi szczęśliwi nowożeńcy wkrótce wyjadą w podróż poślubną do Florencji. Dlaczego wszyscy po ślubie jeżdżą do Włoch?

Powróciłam tam myślami. Szłam brzegiem rzeki Arno. Przypomniała mi się noc, gdy zniknął

Lorenzo.

— To jedno z najpiękniejszych miast na świecie — powiedziała Cassie. — Dlatego tak się nadaje na miodowy miesiąc. Te cudowne dzieła sztuki. Tam musi być wspaniale.

— Charles nie interesuje się sztuką. On tam będzie tylko obliczał, ile uzyskał. A jego oblubienica będzie rozpamiętywała, jakie to szczęście, że papcio zostawił jej majątek, za który mogła sobie zafundować takiego przystojnego męża.

Spojrzałam na Cassie.

— Chyba bym już stąd wyszła — powiedziałam.

— Musicie być przy odjeździe państwa młodych — upomniała nas Julia. — Nie wypada wyjść przedtem. To zresztą lada chwila.

Cassie powiedziała:

— Chcę ją zobaczyć w tym morwowym kostiumie. Jest naprawdę piękny.

— Dziwne, ale stałyście się jednym z przodujących salonów mody w Londynie.

— Dzięki talentom mojej babci i kupieckim zdolnościom hrabiny.

— Jednak носи twoje imię. Chyba jesteś z tego salonu bardzo dumna.

— Oczywiście.

— Będzie cudownie, jeżeli otworzymy sklep w Paryżu — powiedziała Cassie.

— Nie otworzymy — zaprzeczyłam ostro. — Nie mamy na to pieniędzy.

— Twoja babcia myśli, że będziemy miały, i hrabina także. I ty chcesz tego, no nie, Lenore?

Widzę, jak oczy ci się iskrzą na myśl o tym sklepie na rue Saint-Honoré.

— W Paryżu! — wykrzyknęła Julia. — To byłoby wspaniale. Wszystkie byśmy tam jeździły kupować.

— Nadal byłby nasz salon w Londynie.

— Och, ale coś w sobie mają rzeczy kupione w Paryżu. Nawet jeżeli są zupełnie takie same, jakie się kupuje tutaj, jednak jest różnica. Nabierają tego paryskiego szyku.

Wymieniłam z Cassie spojrzenie. Dosłownie tak mówiła hrabina.

Julia parsknęła śmiechem.

— Nie wątpię, że otworzycie w Paryżu salon, bo jesteście wyraźnie zdeterminowane. Jakaś okazja się nadarzy, zobaczycie.

— Byłoby cudownie — powiedziała Cassie.

— Patrzcie! — wykrzyknęła Julia. — Nie zauważyłam, kiedy panna młoda zniknęła, a ona już jest gotowa do drogi. Ten morwowy kolor... przepiękny. W tym nawet ona wygląda ładnie. Te srebrzystoszare riuszki przy szyi i rękawach... wprost genialne.

Zapanowało wielkie podniecenie przy żegnaniu nowożeńców i wreszcie kareta odjechała.

Odwróciłam się do Cassie.

— Możemy już wracać — powiedziałam.

* * *

Dostałam list od Drake'a. Pracuje ciężko w okręgu wyborczym i dużo ma jeszcze do zrobienia. Brak mu naszych spotkań w parku, chce wiedzieć, czy spędziłabym z Katie, Cassie i babcią — i z hrabiną, jeżeli będzie chciała — Boże Narodzenie w Swaddingham.

Byłyśmy zachwycone tą propozycją, ale hrabina już została zaproszona do wiejskiej rezydencji Mellerów i uważała, że powinna tam pojechać. Wobec czego wybierałyśmy się do Swaddingham bez niej: Grand'mère, Cassie, Katie i ja.

Cieszyłam się, że zobaczę dwór Drake'a. Spotkania w parku wydawały się odległą przeszłością i z dnia na dzień coraz bardziej mi ich brakowało.

— Nawet kiedy hrabina nie jedzie, jesteśmy niemałą gromadką — powiedziałam. — Ciekawe, czy będą inni goście.

— No, on raczej nie mógł zaprosić cię bez przyzwoitki — zauważyła hrabina — i to powinna być madame Cleremont. I wiedział, że Katie nie zostawisz... I Cassie samej na święta też nie, to nie ulega kwestii. Mysłący gentleman bierze takie rzeczy pod uwagę. Powinnaś mieć specjalną suknię na tę okazję, Lenore.

— Myślałam już o tym — powiedziała Grand'mère. — Szkarłatny aksamit by się nadawał. —

Popatrzyła na hrabinę, która przytaknęła.

Widziałam ich porozumiewawcze spojrzenia. Znałam obie dość dobrze, by wiedzieć, czego się spodziewają. Oczywiście po Drake'u i po mnie.

* * *

Weszłyśmy do parku. Katie niosła w objęciach ulubioną kolorową piłkę. Po chwili mogła już ją rzucać, odbijać i biegać za nią.

Mruczała sobie jakąś piosneczkę, śmiała się, wydawała okrzyki niby to rozpaczy, gdy piłka jej uciekała.

A ja myślałam tęsknie o tamtych cieplejszych dniach i rozmowach z Drake'iem na ławce.

Dzieci mniej było teraz. Nianie już nie siedziały, nie dziergały na drutach, gawędząc o swoich chlebodawcach.

I myślałam o Bożym Narodzeniu. Grand'mère była pochłonięta kreowaniem szkarłatnej sukni, pragnąc, żebym wyglądała, jak tylko to możliwe, najpiękniej.

Wyczekiwałam tego wyjazdu. Nigdy dotąd nawet nie przypuszczałam, że tak bardzo może mi brakować Drake'a. Już wyobrażałam sobie, że on zarazi mnie swoim przedwyborczym entuzjazmem. Ale jest przecież salon. No, powinnam interesować się tylko salonem, rzecz jasna.

Serce mi mówiło, że w czasie tych świąt Drake poprosi mnie o rękę. Jeśli tak będzie, czy mam jego

oświadczyły przyjąć? Jasne, że to uśmiech szczęścia. Niezupełnie jeszcze otrząsnęłam się po śmierci Philipa, ale nic nie da smutne dumanie o nim. Muszę zacząć na nowo i właśnie Drake, w którym już jestem zakochana, to ten właściwy mężczyzna.

Katie krzyknęła z przestraczem. Piłka poleciała wysoko i spadła za wysokie żelazne ogrodzenie, otaczające krzewy róż, na których nawet o tej porze roku było kilka pąków.

Podbiegłam do Katie, ale ktoś był szybszy. Wychylił się za ogrodzenie, żeby laską przytoczyć piłkę. Katie stanęła przy tym panu i podskakując patrzyła, jak on ratuje piłkę.

Uratował. Podniósł piłkę zagięciem laski, z ukłonem podał ją Katie.

— Och, dziękuję panu! — pisnęła uradowana. — Pan jest taki mądry. Cudowna ta laska!

Czarodziejska?

— Ach, czarodziejska? — powtórzył pytająco z cudzoziemskim akcentem. — Któż wie?

Jeszcze raz spojrzała na niego z wdzięcznością i odwróciła się do mnie.

— Mamo, mam piłkę z powrotem.

I on się do mnie odwrócił. Serce mi zamarło. To był ten nieznajomy, który niedawno śledził mnie, czy też tak mi się wydawało.

Wyjąkałam.

— Bardzo pan uprzejmy. Dziękuję.

Katie podskakiwała, on przyglądał mi się badawczo. Doznałam wrażenia, że to spotkanie nie jest przypadkowe.

— Myślę — powiedziałam — że już kiedyś pana widziałam tu w parku.

— Tak — odpowiedział. Przychodzę tutaj. To naprawdę *la bonne chance*, że jestem, kiedy piłka pada za ogrodzenie.

— Z pewnością moja córka tak uważa.

— Jest czarująca.

— No, bardzo panu dziękuję. Byłaby niepokieszona, gdyby utraciła tę piłkę. Chodźmy już, Katie, chyba nie powinnaś przy ogrodzeniu odbijać jej tak wysoko.

Katie mocno swoją drogocenną piłkę przytulając jedną ręką, drugą podała mnie.

— Jeszcze raz panu dziękuję — powiedziałam. — Do widzenia.

Zdjął kapelusz i uklonił się.

Gdy odchodziłam, czułam na sobie jego wzrok. Francuz, pomyślałam, sądząc po akcencie, i ma dobre maniery. Katie nie przestawała o nim paplać.

— Taki pocieszny.

— Pocieszny?

— Mówił tak pociesznie.

— Bo to cudzoziemiec. Ale zręczny z tą piłką.

— Tak — zgodziła się. — Przyciągnął ją laską. To bardzo miły pan.

Gdy wróciłyśmy do domu, opowiedziała swojej prababci o panu, dzięki któremu odzyskała swoją piłkę.

— Ładnie z jego strony — skomentowała Grand'mère. — To cudzoziemiec. Mówił jak ty, Grand'mère... trochę jak ty. Powiedział *la bonne chance* zamiast szczęśliwy traf.

— Aha... Francuz.

— Był bardzo miły i uprzejmy.

— Oczywiście — powiedziała Grand'mère.

* * *

Przyjechałyśmy do Swaddingham na dwa dni przed Bożym Narodzeniem. Drake czekał na stacji kolejowej. Powitał nas uszczęśliwiony. Katie nie mogła stać spokojnie, tak bardzo była podniecona. Grand'mère wypowiadała się zwięźle, niż zwykle, ale wyraz jej twarzy świadczył o zadowoleniu.

— Mam nadzieję, że spodoba się paniom moja siedziba — powiedział Drake. — Coraz bardziej jestem do niej przywiązany. Isabel, moja siostra, i jej mąż, Harry Denton, przyjechali na święta. Isabel twierdzi, że potrzebna mi pani domu, i ofiarowała się pełnić tę rolę. Chyba panie ją polubią. Ona bardzo chce poznać słynną Lenore... panie wszystkie, rzecz jasna... nie wyłączając Katie.

Katie uśmiechnęła się do niego olśniewająco. W powozie zaczęła podskakiwać na siedzeniu.

— Przyjemnie jest jeździć — powiedziała. — Lubię konie.

— Nauczmy cię jeździć konno — obiecał Drake.

— Och, tak... tak!

— Nielatwo jeździć w Londynie — zauważyłam.

— Tutaj łatwo.

Uśmiechnął się do mnie i poczułam się szczęśliwa.

Jego dom już z daleka mnie zachwyił. Zbudowany był głównie w stylu Tudorów — pobielane płyty ujęte w czarne belki, górna część większa niż parter, wystająca.

Podjechaliśmy. Drake zaczekał chwilę patrząc, jakie dom robi na mnie wrażenie.

Odwróciłam się do niego z uśmiechem.

— Jest cudowny — powiedziałam. — Rzeczywiście to widok sprzed trzystu lat.

— Tak wygląda. Isabel uskarża się, że kuchnie niewygodne i tak dalej. Ale ja bym tu nic a nic nie zmieniał. Rad jestem, że się pani podoba.

Wyskoczył z powozu, pomógł nam wysiąść. Wielkie dębowe drzwi się otworzyły, wyszła kobieta o sniadej cerze, dostatecznie podobna do Drake'a, bym się domyśliła, że jest jego siostrą.

Uśmiechnęła się serdecznie.

Weszliśmy do przestronnej sieni z wysokim sklepionym stropem. Na palenisku ogromnego kominka buzował ogień.

— Pewnie zziębnięte i głodne? — zapytała nas Isabel. — Och, jest mój mąż. Harry, przedstaw się gościom.

Harry Denton miał mniej więcej trzydzieści pięć lat i czarujący sposób bycia. Od razu go polubiłam, tak samo jak siostrę Drake'a.

Isabel nalegała, żebyśmy się napiły gorącego miodu dla rozgrzewki.

— Miód? — wykrzyknęła Katie. — Jak można pić miód?

— Zobaczysz, jak — Isabel uśmiechnęła się do niej. Poprosiłam o rozrzedzenie jej miodu wodą.

— Dziwny dom — powiedziała Katie.

— Kochanie — poprawiłam. — To jest dom cudowny.

— Tak... ale dziwny.

Isabel zaprowadziła nas do naszych pokoiów. Schody były masywne, dębowe. Drake nie oparł się pokusie, żeby nam powiedzieć, że te schody zbudowano przed wizytą króla — Henryk VIII rzeczywiście bawił w tym domu przez dwie doby. Właśnie przedtem dom przebudowano, zrujnowanej saksońskiej siedzibie nadano styl Tudorów. Na filarze schodów wyrzeźbiono z jednej

strony różę Tudorów, a z drugiej lilie.

Weszliśmy na drugie piętro. Tutaj były sypialnie dla nas. Dwie małe dla Grand'mère i Cassie, i o wiele większy pokój dla Katie i dla mnie — z wysokim stropem i pochyłą podłogą, z oknami, przez których szybki, oprawne w ołów, widać było ogród.

— Tu będziemy spać? — zapytała Katie.

Odpowiedziałam, że tak, co przyjęła ze zbożną czią. Pokojówka przyniosła nam gorącą wodę.

— Czy mogę prosić na dół za pół godziny? — zapytała Isabel. — To chyba dość czasu, żeby się odświeżyć po podróży i rozpakować. — Uśmiechnęła się do mnie. — Cieszę się, że panią poznałam. Drake tyle mi o pani opowiada.

— Często pani tu przyjeżdża? — zapytałam.

— Owszem. Odkąd Drake zasiada w parlamencie. Potrzebna tu jest gospodyni i dobrze tu, Harry i ja, się czujemy. Ten dom jest pełen wspomnień mojego dzieciństwa. Należy do Aldringhamów od czasów Tudorów... więc pani rozumie nasze przywiązanie.

— Rozumiem doskonale.

— Miło mi będzie oprowadzić panią, ale chyba Drake sam chce to zrobić. Chłubi się tym starym dworem i jego historią. Karol I gościł w jednej z sypialni, kiedy go ścigali ludzie Cromwella. Oczywiście ukrywał się w wielu domach, ale my tę sypialnię zachowujemy. Nigdy z niej nie korzystamy. Wygląda tak jak wtedy, gdy on w niej spał.

— Cudowna musi być przynależność do takiej rodziny.

— No, wszyscy należymy do naszych rodzin, prawda? Na dole jest drzewo genealogiczne.

Pokażę je pani. Sięga wstecz w szesnasty wiek. Zbierzcie się, panie, kiedy będziecie gotowe, i zejźcie na dół.

Katie słuchała tej rozmowy bardzo uważnie.

— Co to są ludzie Cromwella? — zapytała.

— Później ci wyjaśnię — powiedziałam — to długa opowieść, teraz nie mamy czasu.

— Czy oni będą nas ścigać... jak tego Pierwszego?

Roześmiałam się.

— Nas nikt nie będzie ścigać. To wszystko działo się dawno temu.

Isabel czekała, gdy zeszliśmy na dół. Kolacja miała być za dziesięć minut.

Dowiedziałam się, że Harry jest właścicielem sporej posiadłości odległej od Swaddingham o trzydzieści mil. Dobrze nią zarządza, więc może sobie pozwalać na częste wyjazdy.

— To znaczy — powiedziała Isabel — że możemy przyjeżdżać, ilekroć Drake nas potrzebuje.

Jako członek parlamentu musi od czasu do czasu wydawać przyjęcia. Musi starać się, żeby jego wyborcy byli zadowoleni. Bywają tu najrozmaitsze zebrania. Oczywiście, on przeważnie jest w Londynie, ale wie, że przyjadę na każde wezwanie. Zawsze byłam trochę matką dla Drake'a.

Miał zaledwie osiem lat, kiedy nasza mama umarła. Ja miałam trzynaście. Czuję się o wiele lat starsza od niego. Zawsze tak było.

— Z pewnością jest pani bardzo wdzięczny.

— Och, to mój najukochańszy... po Harrym, naturalnie. Mam nadzieję, że jego małżeństwo będzie tak szczęśliwe jak moje. Drake to człowiek nie byle jaki.

Wydawało mi się, że ona mnie ocenia, że widzi we mnie kandydatkę na żonę. I chyba mnie aprobejuje. Rzeczywiście była dla mnie bardzo miła.

Katie jadła kolację z dorosłymi, bo nie chciałam jej zostawiać samej w obcym pokoju.

Zachwycona siedziała przy stole pomiędzy mną i Drake'iem.

Była to wesoła biesiada w starej jadalni z boazerią zdobną w wyrzeźbione draperie i z ołowianymi zamkami w oknach. Kapiące woskiem świece paliły się w kinkietach na ścianach i w wielkim kandelabrze pośrodku stołu.

Rozmawialiśmy o tym domu i jego ogrodach, i stajniach, i okolicy. Katie słuchała chciwie.

Drake powiedział, że nazajutrz znajdzie dla niej kucyka i udzieli jej lekcji jazdy konnej na ogrodzonej łące. Wprost zasypywała go pytaniami. Wszyscy byliśmy tym rozbawieni. Ale w końcu oczy zaczęły jej się kleić. Rozpaczliwie walczyła z sennością, żeby nie uronić ani chwili ze swojej podniecającej przygody, na niewiele jednak zdała się ta walka.

Powiedziałam, że położę Katie spać i zostanę z nią, bo mogłaby się przestraszyć, gdyby się obudziła i zobaczyła, że jest sama.

Katie wymamrotała coś o kucyku, gdy pocałowałam ją na dobranoc, i zaraz mocno zasnęła.

Siedziałam przez jakiś czas przy oknie. W słabej poświacie księżycy rysowały się kontury dalekich drzew.

Poniżej okna był trawnik otoczony klombami, które na pewno wspaniałe wyglądały latem.

Już kochałam ten dom i miałam wrażenie, że o to Drake'owi chodziło. Widziałam siebie jako panią tego domu, pomagającą mężowi w pracy politycznej, wkładającą tyle zainteresowania w jego

kariere, ile wkładałam w mój salon mody. Ale wiedziałam, że jeśli wyjdę za Drake'a, jego kariere będę stawiała na pierwszym miejscu. Salon „Lenore” to nie tylko ja. Grand'mère tworzy te przepyszne kreacje, przy czym zasadnicze znaczenie mają znajomości i obrotność hrabiny.

Łatwo mogę usunąć się na bok czy też odgrywać pomniejszą rolę... Grand'mère będzie to rozumiała, przecież chce dla mnie Drake'a. I niewątpliwie tego małżeństwa życzy mi również hrabina.

Zmęczona fizycznie, ale ożywiona, położyłam się i długo nie mogłam zasnąć. Byłam pewna, że Drake zaprosił mnie do swego domu po to, by mi się oświadczyć. Okazuje ostrożność, bo chyba będzie mnie prosił, żebym zrezygnowała z mojego przedsięwzięcia — przynajmniej w dużym stopniu — a nie wie, czy się na to zgodzę. Wyczuwałam w nim jakąś powściągliwość, której żaden inny powód nie przychodził mi do głowy.

Nazajutrz po śniadaniu Isabel oprowadziła nas po domu. Był większy, niż myślałam.

Zaczęliśmy od kuchni z ogromnym piecem z cegieł i z rożnami.

— To z czasów, kiedy ludzie mieli wilczy apetyt — powiedziała Isabel. — Ośmieliłam się wprowadzić tu trochę nowoczesności, żeby można było gotować w nie aż tak trudnych warunkach.

Zwiedziłyśmy przybudówki, w których mieściły się mleczarnia i pralnia.

Potem poszliśmy do sali wysoko sklepionej, o kamiennych ścianach.

— Tutaj przyjmujemy gości, kiedy jest ich dużo — wyjaśniła Isabel. — Nieraz musimy wydawać wieczorne przyjęcia dla miejscowych dygnitarzy. Mniejsze proszone kolacje podajemy w jadalni. W dzień Bożego Narodzenia będzie u nas kilka osób, więc zjemy tutaj. Te schody prowadzą do jadalni i do salonu. Na drugim piętrze są sypialnie. Dwadzieścia sypialni różnej wielkości. Powyżej jest galeria na całej długości domu, nad nią poddasze, pokoiki służbowe.

Drake przyłączył się do nas.

— Podstępnie mnie wyprzedziłaś, Isabel — powiedział. Teraz panie muszą zobaczyć galerię.

To najstarsza część domu, pozostałość części saksońskiej. Nie zmieniła się przy odnawianiu niższych kondygnacji.

Stałam w tej galerii. Było tam niesamowicie. Nawet jasne światło dzienne wydawało się przyćmione.

— Okna są takie małe — powiedział Drake. — Zmienilibyśmy je, ale to by było źle widziane.

Oczywiście nie można zmieniać charakteru takich zabytków.

— Czy tu straszy? — zapytała Cassie.

Isabel i Drake wymienili spojrzenia.

— Słyszał kto kiedy o starym domu, w którym nie straszy jakoby?

— A więc straszy — powiedziała Cassie.

— To stara część domu i zawsze w miejscach, gdzie ludzie mieszkają od stuleci, powstają jakieś legendy.

Cassie drżała. Spojrzałam na Katie. Nie chciałam, żeby się bała, ale ona przez okno patrzyła na stajnie. Powiedziała, że tam jest jakiś pan na koniu. Drake podszedł do niej.

— Tak, tam są stajnie — powiedział — i kucyk dla ciebie.

We dwoje teraz stali przy oknie rozmawiając.

— Kto sypia na górze? — zapytała Cassie.

— Służba — odpowiedziała Isabel.

— Czy ktoś z nich kiedy...?

— Nie mówimy o tym. Wiadomo, jacy są ludzie. Coś im się uroi i fantazja ich ponosi.

Grand'mère zapytała o obrazy.

— To wszystko nasi krewni — powiedział Drake, podchodząc do nas z Katie.

— Jest tu i pana portret? — zapytałam. Potrząsnął głową.

— Nasz dom rodzinny jest w Worcester. Siostra mojego ojca przyjechała tu dawno temu i zadomowiła się. Nie wyszła za mąż, poświęciła się temu domowi i miejscowym sprawom.

Dopiero wtedy, gdy wziąłem okrąg Swaddingham, jak mówią, pod swoje skrzydła, fakt, że ten dom jest w rodzinie, wydał mi się szczęśliwym trafem. Przyjechałem tu na jakiś czas, mieszkałem u niej. Była weredyczką... kobietą z charakterem, ale lubiliśmy się. Zostawiła mi ten dom w spadku.

— Moim zdaniem, jest cudowny — powiedziałam.

Uśmiechnął się do mnie radośnie.

— Bardzo się cieszę.

Dotrzymując obietnicy, zabrał Katie na lekcję jazdy konnej. Wprawilo ją to w błogostan nieomal. Serce mi się radowało, gdy z Grand'mère i Cassie patrzyłam, jak ona siedzi na kucu, którego Drake za uzdę prowadzi po padoku.

— Patrzcie na mnie! — wołała. — Jadę!

Było to szczęśliwe przedpołudnie.

Po obiedzie Katie zmęczoną — myślę, że bardziej podnieceniem niż czymkolwiek innym —

wyprawiałam do łóżka. Drake zaproponował mi konną przejażdżkę. Często jeździłam konno, gdy mieszkałam w Jedwabnym Domu, ale od tamtych czasów niewiele miałam do tego okazji.

Grand'mère powiedziała, że chce wypocząć, a Cassie ofiarowała się posiedzieć w moim pokoju, żeby Katie na wypadek, gdyby się zbudziła, nie zlekła się, że jest w obcym domu sama.

Drake wybrał dla mnie odpowiedniego wierzchowca i pojechaliśmy.

— Chcę pani pokazać okolice — powiedział. — Tu jest dosyć pięknie. Trudno uwierzyć, że stąd tak niedaleko do Londynu, co jednak bardzo mi konweniuje.

— No pewnie. I siostra pana jest bardzo pomocna.

— Mam nadzieję, że pani ją polubi. Isabel to zacna dziewczyna.

— Czarująca.

— Pani jej przypadła do serca.

— Ona prawie mnie nie zna.

— Słyszała o pani... ode mnie. Podziwia pani przedsiębiorczość. Wszystko jej opowiedziałem. Uważa, że ma pani cudowne osiągnięcia.

— Muszę przyznać, że moja praca sprawia mi przyjemność.

— Myśli pani, że kiedy się pracuje z przyjemnością, zawsze ta praca przynosi sukces?

— Chyba nie zawsze.

— Nadal trapi panią kwestia rozszerzenia przedsiębiorstwa?

— No, rzeczywiście, nie przestaje to nas trapić. Hrabina nie mówi prawie o niczym innym i Grand'mère, jak wiem, uznała, że powinniśmy się na to zdecydować. Ja też, w gruncie rzeczy...

— Tak, wciąż pani o tym rozmyśla.

— Miałyśmy szczęście. Hrabina doprawdy okazała się darem niebios.

— Dla pani to była droga ucieczki... od smutku.

— Właśnie.

— Ale już pani przychodzi do siebie?

— Jak każdy... z czasem. Chyba.

— Ale nadal często pani wspomina?

— Przeszłość jest. Nie da się jej przekreślić.

— Rozumiem. Sądzi pani, że... — Urwał, a ja czekałam na ciąg dalszy. Wyraźnie jednak się rozmyślił. — Tutaj kończy się nasza ziemia — powiedział.

— To raczej rozległa posiadłość.

— Wymaga zarządzania. Na szczęście, mam dobrego rządcę. Dla mnie to tylko zajęcia dodatkowe.

— Główne to polityka.

— Tak, i mogę jej się poświęcać spokojnie. Jeżeli coś mnie zatrzymuje w Londynie, tutaj wszystko idzie gładko.

— Świetnie pan to zorganizował.

— Zależało mi na tym, żeby pani tu się rozejrzała... żeby pani wiedziała, jak jest tutaj... i w Londynie. Muszę podejmować ludzi tu i tam. Siostra, oczywiście, bardzo mi tu pomaga... ale ma przecież swój własny dom.

— Jest serdecznie do pana przywiązana.

— Owszem, zawsze była moją małą mateczką.

Serce mi śpiewało. Drake zapytał, czy zostanę jego żoną. Odpowiem mu, że tak. Życie się zmieni. On będzie dobrym ojcem dla Katie. Dzieci potrzebują ojca... i niektóre kobiety... jak ja... potrzebują męża.

Wjechaliśmy na łąkę. Powiedziałam:

— Galopujmy.

I pogalopowaliśmy przez tę łąkę, zahamowaliśmy raptownie przed żywopłotem. Cóż za rozradowanie!

Myślałam, że rozumiem. On zamierza się oświadczyć, tylko jeszcze się waha. Oświadczy mi się, zanim wyjadę. Chce, żebym zdała sobie sprawę, że małżeństwo z nim pociągnie za sobą wymagania. Chce być zupełnie pewny, że mogę zapomnieć o przeszłości. Dlatego zaprosił mnie na całe święta. Bierze pod uwagę to, że ja jestem Lenore, której imię oznacza jeden z najbardziej ekskluzywnych salonów mody w Londynie. Muszę go przekonać, że chociaż wkładam serce w prosperujące przedsiębiorstwo, miłość i małżeństwo będą dla mnie ważniejsze.

To było bardzo radosne popołudnie, ale czekała mnie przykra niespodzianka.

Wróciliśmy do stajni, stajenny zajął się naszymi wierzchowcami i poszliśmy do domu.

Zastaliśmy Isabel z damą strojną we wspianiałe sobole. To była Julia.

Podbiegła do Drake'a.

— Jestem — powiedziała. — Jak miło cię widzieć.

Patrzył na nią wyraźnie oszołomiony.

— Przyjechałam tylko na Boże Narodzenie. Oczywiście musimy spędzić je razem.

Zrozumiałam, co miałeś na myśli, kiedy mówiłeś mi, że będziesz tutaj.

— Witaj, Julio — włączyłam się. — Nie wiedziałam, że przyjedziesz.

— No, Drake i ja porozumiewamy się bez słów. Wystarczyło, by z naciskiem powiedział, że święta spędzi tutaj. Od razu zrozumiałam, że będzie mnie tu oczekiwał. Drake, kochanie.

Przepraszam, że nie przyjechałam wcześniej. Ale wczoraj była kolacja u Harringtonów.

Musiałam tam być. Nalegali. Gdyby nie to, przyjechałabym wczoraj.

Isabel powiedziała:

— Trzeba będzie przygotować pokój dla pani.

— Bardzo pani miła.

— I przyjechała panna służąca?

— Annette... tak.

— Będzie musiała spać na poddaszu. Tam znajdzie się pokoik dla niej.

— Bardzo pani uprzejma! Drake jesteś niedbały, czemu nie uprzedziłeś pani Denton, że przyjadę?

— Zaskoczyłaś mnie.

— Och, Drake... kiedy mi powiedziałeś... myślałam, że to samo przez się rozumiałe...

— No, skoro już jesteś... Isabel wszystkiego dopatrzy.

— Jak tu ładnie! Wielce mi się podoba ten stary dom. Taki dziwny. I Cassie jest tutaj?

Przytaknęłam.

— Tak mi przyjemnie. Rodzina powinna być razem... zwłaszcza w Boże Narodzenie.

Już zmieniła się ta moja wizyta. Julia ją zepsuła.

Boże Narodzenie! Powinny to być takie szczęśliwe chwile. Ledwie zmrok zapadł, przyszli kolędnicy. Stali z latarniami przed domem i śpiewali wszystkie ulubione kolędy.

Katie uszczęśliwiona śpiewała z nimi, a potem pomagała częstować ich grzonym winem i keksem. Wieczorem położyła się spać o zwykłej porze i szybko zasnęła. Już się zadomowiła.

Po kolacji poszliśmy na galerię, gdzie rozpalono ogień w kominku.

— Zawsze tu przychodzimy w Wigilię — wyjaśniła Isabel. — Pieczemy kasztany i pijemy portwajn. Jakoś wypada przestrzegać odwiecznych obyczajów.

— Tu jest dosyć niesamowicie — zauważyła Julia. — Ten stary pan ma taką minę, jakby chciał wystąpić z ram i dobrze nam nagadać.

— Z pewnością wydaje się surowy — przyznał Drake. — To prapradziadek William. Był admirałem. Nasza rodzina tradycyjnie związana jest z morzem.

— Więc niejeden z tych starych panów musi być dosyć zły na ciebie, Drake, bo odstąpiłeś od tradycji rodzinnej.

Cassie zapytała:

— Pan się nie boi, że mogliby w jakiś sposób okazać swoje niezadowolenie?

— Od dawna leżą w grobach.

— Podobno zmarli żyją dalej — powiedziała Cassie — i niektórzy wracają.

— Nawet gdyby oni wrócili, zamierzam robić w życiu to, co chcę, tak jak oni — powiedział

Drake.

— Dlaczego duchy zawsze nam się kojarzą ze starymi domami? — zapytałam. — Rzadko słyhać o nawiedzanych małych domkach. Zawsze to są wielkie domy.

— Zmarli to zmarli — powiedziała Grand'mère. — I choćby bardzo się chciało, by wrócili, nie wrócą. — Wiedziałam, że myśli o mojej matce i o Philipie.

— Ale czy tę galerię rzeczywiście nawiedzają? — zapytała Cassie, którą najwyraźniej temat duchów urzekał.

— Jakoby — odpowiedział Drake.

— Jest jakaś legenda...?

Drake spojrzął na Isabel.

— No, jest.

— Więc opowiedzcie — poprosiła Cassie.

— Cassie — ostrzegłam ją. — Nie będziesz mogła dziś zasnąć.

Drake zwrócił się do siostry.

— Ty opowiedz.

— No, w tej galerii jakoby ukazuje się młoda dziewczyna... z naszej rodziny, oczywiście.

Umarła, kiedy miała szesnaście lat, mniej więcej dwieście lat temu. Zakochała się w pewnym młodzieńcu, ale ojciec nie pozwolił jej wyjść za mąż za niego. Znalazł dla niej innego męża...

podstarzałego bogacza. W tamtych czasach dziewczęta musiały być posłuszne rodzicom.

— Jak nie zawsze teraz — wtrąciła Grand'mère.

— Możliwe, że i wówczas nie wszystkie były posłuszne — powiedziałam.

— No, Anne Aldringham była posłuszna. Pożegnała się z ukochanym i wyszła za tego, którego wybrał dla niej ojciec. Po ślubie odbywało się w domu huczne wesele — Isabel przymknęła oczy. — Nieraz kiedy tu wchodzę wyobrażam sobie, że słyszę muzykę minstrelów.

Goście tańczyli w wielkiej sali na dole i nagle zorientowali się, że panna młoda zniknęła.

— To jak w „Gałązce jemioli” — szepnęła Cassie.

— Niezupełnie. Nie bawili się w chowanego i panna młoda nie zamknęła się w skrzyni, w której znaleziono ją po stu latach. Przyszła tutaj i wyskoczyła przez okno. Podobno przez tamto.

— Isabel wskazała. — Zabiła się.

— Och, biedna, biedna Anne — wymamrotała Cassie.

— Powinna była uciec ze swoim ukochanym — powiedziała Julia. — Ja bym uciekła. —

Spojrzała czule na Drake'a, ale on nie spojrzął na nią.

— No nie uciekła — powiedziała Isabel. — Tylko wyskoczyła przez tamto okno.

— I teraz — zapytała Cassie — ukazuje się tutaj?

— W pewnych okolicznościach, podobno. Kiedy ktoś z rodziny ma zawrzeć związek małżeński, w którym nie będzie szczęśliwy, Anne wchodzi przez tamto okno i przechadza się po galerii. Załamuje

ręce, z płaczem woła: „Strzeż się! Strzeż się!”

— Widzieliście ją? — zapytałam Isabel.

— Potrząsnęła głową.

— Więc pewnie wszystkie małżeństwa w tej rodzinie są szczęśliwe — powiedziała Cassie.

— Jeżeli się wierzy w tę historię, tak. Nie sądzę, że jej duch nam się ukáže.

Julia patrzyła na mnie.

— Cóż za wesoły temat na Wigilię Bożego Narodzenia. Mam nadzieję, że mój pokój jest daleko od tej lamentującej damy.

— Nie słyszałaby jej pani w swoim pokoju — zapewniła Isabel.

— Bogu dzięki.

— Napijmy się portwajnu — powiedział Drake.

— Och, czyż nie jest przytulnie? — Julia uśmiechnęła się do całego towarzystwa. — Boże Narodzenie w tym cudownym domu... z cudownymi ludźmi... — Podniosła swój kieliszek. —

Wesołych Świąt... wam wszystkim.

A potem już nie oderwała wzroku od Drake'a.

* * *

W poranek Bożego Narodzenia pojechaliśmy do kościoła. Julia, raczej ku mojemu zdumieniu, pojechała z nami. Najwidoczniej postanowiła sobie mieć oko na Drake'a, gdy tylko to jest możliwe.

Czułam się jakoś nieswojo. Pamiętałam jej wściekłość przed laty, gdy dowiedziała się, że Drake wyjechał z Jedwabnego Domu i że ja byłam tego powodem. Wydawało się, że omal jest gotowa mnie zabić.

Teraz nie ulegało dla mnie wątpliwości: ona chce wyjść za Drake'a. Z pewnością Drake jej nie zaprosił, chociaż zachowywała się jak zaproszona — może coś, co powiedział, źle zrozumiała i uznała za zaproszenie. To już zbyt naciągane. Gdyby chciał, żeby ona przyjechała, czyż nie powiedziałby jej tego wprost? Najprawdopodobniej dowiedziała się, że jestem w Swaddingham i zdecydowała, że musi być także.

Wiedziałam, że Julia sporo pije. Świadczyły o tym jej rumieńce, agresywność od czasu do czasu, niebaczne uwagi, na jakie sobie pozwalała, gdy jej trochę szumiało w głowie.

Zastanawiałam się, czy Drake wie. Zawsze był pełen kurtuazji i po wstrząsie w pierwszej chwili

wywołanym jej nieoczekiwaną wizytą, stał się znów nienagannie gościnnym gospodarzem.

W południe zjedliśmy tradycyjny świąteczny obiad z indykiem i puddingiem płonącym na stole i oczywiście z piernikami. Przyjechało na ten obiad kilkoro sąsiadów, przyjaciół, którzy popierali Drake'a, swego przedstawiciela w parlamencie. Dużo mówiło się o sprawach politycznych i o rychłych prawdopodobnie wyborach.

Po obiedzie wypoczywaliśmy.

Byłam wdzięczna Drake'owi za to, że znalazł trochę czasu, by zabrać Katie na padok. Ją uszczęśliwiało siedzenie w siodle, a ja się cieszyłam widząc, w jakiej świetnej jest z Drake'iem komitywie.

Wieczorem zjechało się więcej gości, był zimny bufet, przygrywali muzykanci. Nastąpiły tańce na galerii, której niesamowitość prysła, tyle tam bawiło się osób.

Drake musiał zatańczyć z każdą panią, więc ze mną tańczył raz tylko. Zapytał, czy dobrze się czuję w jego domu, zapewniłam go, że tak. Powiedział, że rad jest z tego, bo pragnął, żebym przyjechała i wszystko zobaczyła. I czy mogę szczerze powiedzieć, co myślę o życiu polityka, jakie on musi prowadzić.

— Pan wie, co ja myślę o tym — odpowiedziałam. — Zawód polityka to z pewnością jeden z najbardziej interesujących zawodów.

— Jeszcze lepszy niż prowadzenie ekskluzywnego salonu mody?

— To zależy od punktu widzenia.

— Nie wątpię.

— Siostra pana wspaniale daje sobie radę ze wszystkim — zauważyłam.

— Robi to przez całe życie. Najpierw w domu, potem u Harry'ego, teraz u mnie. Isabel jest cudowna.

— Wiem. Nic jej nie wytrąca z równowagi. Była zgoła nieprzygotowana na przyjazd Julii i wcale tego nie okazała.

— Tak. Wcale.

Czekałam na zapewnienie, że nie zaprosił Julii. To było dla mnie ważne.

Ale nic nie powiedział, a zapytać nie mogłam.

Gdy wróciłam do swojego pokoju, Katie smacznie spała. Pochyliłam się nad nią, ucałowałam jej niewinną miłą twarzyczkę. Rozbierałam się powoli. Wiedziałam, że niełatwo mi będzie zasnąć. Nie minęło rozczarowanie, które poczułam z chwilą przyjazdu Julii.

Wciąż myślałam o nich dwojgu. Wciąż widziałam, jak tańczyli ze sobą. Ona zaborcza, on nie mający jej tego za złe. Czy może ma? Nie okazuje swoich uczuć, jest świetnie wychowany, musi pamiętać, że to gość w jego domu. Czy ją zaprosił? Nie byłam pewna.

Nie mogłam spać. Leżałam, wpatrzona w sufit. Katie spała spokojnie. Katie jest wyłącznie moja, myślałam. Kiedy ją mam, powinnam być szczęśliwa... bez względu na wszystko. Ale rozczarowanie, poczucie daremności nie ustępowało.

Raptownie się poderwałam. Działo się coś na górze. Wskoczyłam z łóżka, włożyłam szlafrok i nocne pantofle.

Po schodach weszłam na długą galerię. Kilka świec jeszcze się paliło w kinkietach, płomyki ich pełgały niespokojnie. Zobaczyłam Isabel. Siedziała na ławce z jakąś młodą dziewczyną.

Dziewczyna płakała.

— W porządku — powiedziała mi Isabel. — Patty rozhisteryzowała się trochę.

— Ale ja to słyszałam, psz-pani — wyjąkała dziewczyna. — Słyszałam wyraźnie. To było strasznie upiorne, jak...

Przybiegł Drake.

— Co się tu dzieje, na Boga?

Isabel odpowiedziała:

— Patty miała jakiś koszmarny sen.

— Och, nie, to nie był... — zaczęła Patty. Jeszcze trzy pokojówki wynurzyły się z cieni.

— Ja też to słyszałam — powiedziała jedna z nich. — Och to było okropne, pierwszy raz w życiu słyszałam coś takiego... krzyk jakiś straszny. To było: „Strzeż się! Strzeż się!” Trzy razy to krzyczała. Cała się trzęsłam, bo nagle zrobił się ziąb, jak gdyby...

— To dlatego, że byłeś w samej nocnej koszuli.

Julia weszła na szczyt schodów. Włosy miała twarzowo rozpuszczone, ręką na piersiach przytrzymała negliż koloru rozjaśnionej lawendy.

— O co chodzi? Boże! Co się stało? Ta biedaczka taka wystraszona.

— Patty miała koszmarny sen — powtórzyła Isabel. Patty potrząsnęła głową, zęby jej dzwoniły.

— Ja nie spałam, psz-pani...

— Przyda się trochę brandy, Drake — powiedziała Isabel. — Och, jest Harry. Patty miała jakiś sen,

Harry. Dziewczyny się zdenerwowały. Proszę, przynieś brandy. To je uspokoi.

Zjawiła się pani Gratten, kucharka. Przyżegłowała majestatycznie, chociaż na głowie jej sterczały papierowe papiloty.

— Co za sprawa? — zapytała pokojówki. — Co jest Patty?

— Trochę histeryzuje, pani Gratten — poinformowała ją Isabel. — Nie ma się czym przejmować. Ona pewnie nastraszyła się przed zaśnięciem opowiadaniem o duchach.

— Nie, psz—pani — zaprzeczyła jedna z pokojówek. — Żadna nic nie mówiła o duchach. To po prostu doleciało do Patty. I ja też to słyszałam. To się nie uroiło. To było naprawdę.

Julia zapytała:

— Czy to był duch z tej opowieści? Ten, który wchodzi przez okno i płacze, i krzyczy:

„Strzeż się”!?

— Ten, psz—pani, a jakże — przytaknęła Patty. — Słyszałam kroki na galerii. Ona krzyczała jakoś strasznie i to było: „Strzeż się!” A jakże...

— Och, Harry przyniósł brandy — przerwała jej Isabel. — Dziękuję, Harry. No, dziewczęta, wypijcie to i wracajcie do łóżek.

— Dopilnuję ich, proszę pani — powiedziała kucharka. — Do czego to dochodzi... żeby tak zrywać na nogi cały dom...

— Ale to był ten duch, pani Gratten — upierała się Patty. — Ten, jak amen w pacierzu.

— Myślę — powiedział Drake — że wszyscy powinniśmy trochę się wzmocnić. Zejdźmy do salonu.

Zeszliśmy za nim na dół. Napełnił kieliszki brandy i prawie zaraz przyłączyła się do nas Isabel.

— Mam nadzieję, że to nie obudziło Katie — powiedziała.

— Nie, zajrzałam do niej. Śpi spokojnie.

— Aha... to dobrze.

— Nadzwyczajne — zdumiewała się Julia. — Akurat po tej naszej rozmowie... Jak myślicie, co ta dziewczyna rzeczywiście słyszała?

— Chyba ktoś jej opowiadał tę historię — powiedziałam.

— Prawdopodobnie — zgodziła się Isabel.

— Rzeczywiście to dosyć dziwne — ciągnęła Julia. — W każdym razie, Drake, nie powinieneś

zlekceważyć tego ostrzeżenia.

Drake uniósł brwi.

— No, bo czyż to nie ma czegoś wspólnego z zagrażającym małżeństwem... ostrzeżenia i wszystko? Jesteś jedynym w rodzinie kawalerem do wzięcia. Nie przyznasz mi racji?

— Zawsze uważałam Patty za histeryczkę — stwierdziła Isabel.

— Niemniej to dziwne — powiedziała Julia. — Och, jak rozkosznie brandy rozgrzewa.

— Dolać? — zapytał Harry.

— Tak, proszę — powiedziała Julia.

— Ja już idę — oznajmiłam. — Nie chcę, żeby Katie się obudziła i zobaczyła, że mnie nie ma.

— Biedna Lenore — wyraziła mi współczucie Julia. — Wydajesz się rzeczywiście wstrząśnięta. Ale ty chyba nie wierzysz w duchy?

— A ty? — zapytałam.

Roześmiała się i pomachała ręką w jedną stronę i drugą.

— Właściwie nie wierzę. Ale to jest dosyć dziwne. Zastanawiam się, czy ta dziewczyna nie podsłuchiwała naszej rozmowy.

— Powiedziałabym raczej, że już przedtem słyszała gdzieś tę historię. Dobranoc.

Wyszłam z salonu.

Katie nadal spała. Ja nie miałam nadziei, że zasnę. Leżąc nasłuchiwałam odgłosów... deski trzeszczały jak zwykle w starych domach... wiatr jęczał wśród drzew i wydawało mi się, że szepcze: „Strzeż się”.

* * *

Dalszy ciąg tej wizyty był niejako raptownym powrotem do powszedniości. Wszyscy sprawiali wrażenie zakłopotanych — wszyscy oprócz Katie. Ona chciała mieć lekcje jazdy konnej z Drake’iem i gdy dosiadła kuca, niczego jej nie brakowało do szczęścia.

Isabel kazała Patty zostać w łóżku na cały dzień.

— Biedna dziewczyna rzeczywiście doznała wstrząsu — powiedziała. — To histeryczka.

Wszystko poszło inaczej, niż się spodziewałam. Widziałam, że Grand’ mère jest rozczarowana.

Odjeżdżając czułam raczej ulgę — ale Katie bardzo się smuciła.

— Było tak przyjemnie — powiedziała i zarzuciła Drake’owi ręce na szyję. — Niech pan dba o Dzwonka, dopóki nie wrócę.

Drake zapewnił ją, że kucyk będzie należycie zadbany.

Zostawiłyśmy tam Julię. Przynajmniej jej udało się Boże Narodzenie.

* * *

W dwa dni później Grand’mère oznajmiła, że chce ze mną porozmawiać na osobności, coś bardzo ważnego ma mi do powiedzenia.

— Lenore — zaczęła — jak wiesz, byłam niedawno w Villers-Mûre.

— Tak, Grand’mère.

— Kiedy tam byłam... spotkałam kogoś.

— Kogo?

— Spotkałam... twojego ojca.

— Grand’mère!

— To fakt.

— Myślałam, że nie wiesz, kto był moim ojcem.

Milczała przez chwilę.

— Opowiedziałam ci tylko część. Nie tak łatwo wyjaśniać takie sprawy dziecku. Mówienie o tym bolało. Więc chyba stchórzyłam.

— Powiedz mi teraz.

— Jak wiesz, twoja matka, a moja córka, Marie Louise, była „niezwykle piękna. Naturalnie, że podobała się mężczyznom. Żyliśmy skromnie. Młodo owdowiałam, musiałam zarabiać na utrzymanie, więc jak ogół ludzi w Villers-Mûre pracowałam w przedsiębiorstwie St Allengère’ów i Marie, kiedy dorosła, też tam dostała pracę. Wiesz, co się stało... zakochała się.

Tys przyszła na świat. Ona umarła... może z przerażenia i rozpacz. Ale położnice umierają, nawet jeżeli widzą przed sobą świetlaną przyszłość. Nie wiem... wiem tylko, że umarła, a ja się załamalam, bo ona była moim życiem. Potem pojęłam, że zostawiła mi ciebie... i to zmieniło wszystko.

— Tak, Grand’mère, opowiadałaś o tym.

— Więc wiesz, że można Alphonse St Allengère załatwić mi wyjazd do Anglii, pracę u Sallongerów. Zrobił tak, bo nie chciał, żebym tam pozostawała.

— Dlaczego? — zapytałam.

Grand'mère, zawsze elokwentna, teraz marszcząc brwi, z trudem zdobyła się na odpowiedź.

— Dlatego, że twoim ojcem jest jego najmłodszy syn.

— Więc... więc wiedziałaś.

— Marie Louise mi powiedziała... przed twoimi narodzinami.

— I nie chciał się z nią ożenić?

— Był jeszcze chłopcem. Miał siedemnaście lat, a możesz mi wierzyć, Alphonse St Allengère to straszny człowiek. Wszyscy w Villers-Mûre trzęśli się przed nim. Nasze istnienie zależało od niego. Wszyscy bali się jego srogości, jego synowie tak samo, jak my. To, żeby któryś z St Allengère'ów ożenił się z dziewczyną pracującą u nich, w ogóle nie wchodziło w rachubę. Twój ojciec uczynił wszystko, co tylko mógł, ale pan Alphonse był nieugięty. Wysłał go do wuja, który miał winnice w Burgundii. Kiedy pojechałam ostatnio do Villers-Mûre zasięgnęłam informacji.

Bardzo szczęśliwym trafem on właśnie bawił tam z wizytą u rodziny, więc mogłam z nim porozmawiać. Opowiedziałam mu o tobie... że jesteś teraz młodą wdową z dzieckiem. Bardzo się wzruszył.

— Wiedziałaś, że coś się stało. Widziałam to na twojej twarzy, Grand'mère, kiedy wróciłaś.

— On jest teraz w Londynie.

Zapatrzyłam się na nią. Przytaknęła radośnie.

— Tak. Powiedział, że musi cię zobaczyć. To naturalne, że chce poznać swoją córkę.

Przyjdzie tutaj.

Patrzyła na mnie uważnie badając skutek wystrzelenia tego pocisku. Muszę przyznać, że osłupiałam. Spotkanie twarzą w twarz z ojcem, którego się nie znało, może być druzgocącym przeżyciem. Nie byłam pewna, czy tego wyczekiwać, czy się lękać.

— Bo zgoła nienaturalne — ciągnęła Grand'mère — jest to, że ludzie tak sobie bliscy się nie znają.

— Ale po tylu latach, Grand'mère...

— *Ma chérie*, on bardzo pragnie cię poznać, możesz mu sprawić tę wielką radość. Żeby cię zobaczyć, przyjechał z tak daleka.

— Kiedy tu będzie?

— Dziś wieczorem. Zaprosiłam go na kolację.

— Ale... to takie niespodziewane.

— Uznałam, że roztropniej powiedzieć ci o tym dopiero w ostatniej chwili.

— Dlaczego?

— Nie wiedziałam, jak się do tego odniesiesz. Przez te wszystkie lata on ciebie nie znał. Przez te lata naszej mordęgi. Jest bardzo bogaty. Ma winnice w różnych częściach Francji. St Allengère'om zawsze się powodzi, cokolwiek przedsięwzma. Jego ojciec teraz chlubi się nim.

To sytuacja zupełnie inna niż wtedy, gdy on był młody.

— Niewiele mnie obchodzi ten jego ojciec... mój dziadek chyba.

— Magnat. Czasami niedobrze dla człowieka, kiedy ma taką władzę. Zestarzał się, ale to nadal ten sam Alphonse St Allengère. Nadal rządzi w Villers-Mûre i niewątpliwie jest największym fabrykantem jedwabiu na świecie.

— Więc dziś wieczorem... Potwierdziła.

Byłam zbyt przejęta, żeby roztrząsać moje uczucia. Czy powiedzieć Katie? I co jej powiedzieć? „To jest twój dziadek”? Zadawałaby niezliczone pytania. Gdzie ten dziadek był

przez tyle czasu?

Na szczęście, pomyślałam, Katie będzie już w łóżku, zanim on przyjdzie i ja go poznam.

Potem będę mogła powiedzieć jej stopniowo o dziadku, który zjawił się jak wyczarowany z powietrza.

Ubrałam się starannie w szkarłatną suknię i czekałam z trwogą, Grand'mère też była dosyć poruszona. Dobrze, że hrabina i Cassie miały być przy tym. Obie z Grand'mère tłumiliśmy wzruszenie.

O wyznaczonej godzinie zadźwięczał dzwonek. Rosie, nasza pokojówka, zaanonsowała gościa.

— Pan Sallonger — powiedziała, bo nie potrafiła wymówić jego nazwiska inaczej niż po angielsku.

I wszedł mój ojciec.

Patrzyłam na niego zdumiona. To przecież ten nieznajomy, który obserwował mnie w parku, wyciągnął piłkę Katie zza ogrodzenia.

Wieczór był pełen podniecenia. Tyle zostało powiedziane, że trudno mi teraz przypomnieć sobie wszystko, i to w kolejności. Pamiętam, jak on ujął mnie za ręce i spojrział mi w oczy.

— Już spotykaliśmy się — powiedział. — W parku.

Przytaknęłam.

— Tyle razy już chciałem się przedstawić — ciągnął — ale wahałem się. Teraz... wreszcie jesteśmy razem.

Jakież to zdumiewające, myślałam, w parku uważałam go za obcego, a okazał się moim ojcem.

W czasie kolacji w towarzystwie Cassie i hrabiny opowiadał o swoich winnicach. Mówił po angielsku, od czasu do czasu szukał słów. Wypytywał o nasz salon mody, na co hrabina udzielała wyczerpujących odpowiedzi.

Wtrącała zabawne historyjki o naszych klientkach, o tym, że one wszystkie idą jedna za przykładem drugiej jak owce. Jedna ma suknię od Lenore, zaraz wszystkie muszą mieć także.

Nieuniknienie poruszyła sprawę leżącą jej na sercu.

— Tak czy inaczej ja nas wprowadzę do Paryża — powiedziała. — To jest ośrodek mody i każdy szanujący się salon musi z czasem mieć tam koneksje. To nieodzowne na dłuższą metę.

— Rozumiem — przytaknął. — A wy w tej chwili nie macie tych... koneksji?

— Nie mamy, ale będziemy mieć.

— Kiedy zamierzacie tam się urządzić?

— Wtedy, gdy fortuna się uśmiechnie... dosłownie fortuna — odrzekła hrabina. — Ja bym chciała zaraz, ale moje współpracowniczki są ostrożne. Wolą czekać, dopóki nie będziemy mogły tego spłacić. A tylko Bóg jeden wie, kiedy będziemy mogły.

Znów przytaknął z powagą. Grand'mère raptownie zmieniła temat.

Po kolacji hrabina i Cassie zostawiły go samego z Grand'mère i ze mną. Zaczęliśmy mówić po francusku. Ja dzięki Grand'mère mówiłam w tym języku dosyć płynnie, a ona oczywiście była teraz w swoim żywiole.

— Nasz dobrobyt zawdzięczamy w dużym stopniu hrabinie, czyż nie, Grand'mère? Ona to wspaniały kupiec, my przy niej to naiwne gąski. Zbankrutowałybyśmy bez niej.

— Chcę więcej wiedzieć o waszym przedsiębiorstwie. Ale najpierw porozmawiajmy o nas.

Musisz zrozumieć, że naprawdę kochałem swoją matkę. Hańbą mojego życia było to, że posłusznie wyjechałem. Powinienem być trwać przy niej. Powinienem być rzucić mojemu ojcu wyzwanie. Ale byłem młody... słaby i głupi. Powinienem być się z nią ożenić zamiast tak dać się wysłać.

Grand'mère potakiwała. Patrząc na nią, powiedział.

— Jakże musiała mnie pani przeklinać.

— Przeklinałam — przyznała Grand'mère szczerze. — Przeklinałam. Marie Louise nie potępiała pana. Broniała pana przede mną. Mówiła, że pan robi to, co pan musi robić. Że ojciec pana się wziął, a to człowiek bardzo potężny i bezwzględny.

— Nadal jest taki — potwierdził on ponuro. — Dobrze dla mnie, że wymknąłem się spod jego panowania. Wolałem żyć wśród winorośli niż wśród morw. Ale to wszystko było dawno temu.

— I nie przywróci życia Marie Louise.

— Może i tak by umarła — powiedziałam.

Milczeli.

Potem on nam opowiadał, jak zamieszkał u wuja mającego winnice i jak zainteresował się winem.

— Rzuciłem się w wir pracy. To była pociecha. Wuj uznał, że będę dobrym winiarzem. Więc zostałem u niego. Potem już miałem własne winnice. Pracowałem ciężko. Ożeniłem się, żona wniosła posag. Założyliśmy rodzinę.

— Szczęśliwą? — zapytałam.

— Nie uskarżam się. Mam syna i córkę.

— Widziałam, że grób Marie Louise nie jest zaniedbany — powiedziała Grand'mère.

— Zawsze jej grób odwiedzam, kiedy przyjeżdżam do Willers-Mûre. I płacę jednemu z miejscowych za utrzymywanie tam porządku, żeby to był znak dla niej, jeżeli to możliwe, że nie zapomniałem.

Dość długo rozmawiali, on i Grand'mère, o mojej matce — jak byłaby zadowolona i dumna ze mnie i z Katie, którą się zachwycił. Mówił, jak sobie z radością uświadomił, że to urocze dziecko jest jego wnuczką.

— Aleś się nacierpiała — zwrócił się do mnie. — Madame Cleremont opowiadała o śmierci twojego męża i o twoim przywiązaniu do tej dzieciny.

— Katie jest, dla mnie promieniem słońca — powiedziałam.

Umilkliśmy znowu. Po chwili zaczął:

— Zainteresowało mnie to, że hrabina chciałaby otworzyć wasz salon w Paryżu. Ma rację, dobrze wiesz.

— Och tak, wiemy, babcia i ja, że ma rację, ale jesteśmy temu przeciwni... przynajmniej na razie. Od paru lat zaledwie prowadzimy salon tutaj i raz już... na początku groziła nam katastrofa. Dlatego wolimy zachować ostrożność...

— Ale — przerwał — to jest posunięcie, które niewątpliwie trzeba zrobić, Grand'mère patrzyła na niego bacznie, doznałam wrażenia, że przewiduje, co on powie, Powiedział:

— Może ja mógłbym pomóc. Spojrzałam na niego zdumiona.

— I pomógłbym z wielką przyjemnością. Nie jestem biedny. Mam winnice. Są teraz dobre lata, wszystko idzie dobrze. Pogoda dla nas łaskawa, czerwczyki i inne szkodniki zdecydowały się zostawić nas w spokoju... więc mamy spore zyski. Nieźle mi się powodzi. Poczytałbym sobie za przywilej, gdybyś mi pozwoliła przyczynić się do tego oddziału w Paryżu.

— Och — powiedziała szybko — to bardzo ładny gest, ale oczywiście nie chcemy pożyczać pieniędzy...

— I słusznie. Jak ten wasz Szekspir powiada: „Ni długów nie zaciągaj, ni nie bądź

dłużnikiem...” Ale ja nie myślę o pożyczce. Jesteś moją córką. Czyż między ojcem i córką nie powinno być takich spraw? Niech ja wyłożę na ten sklep w Paryżu... niejako w posagu dla mojej córki.

Cofnęłam się ze zgrozą. Podejrzliwie spojrzałam na Grand'mère. Siedziała z głową spuszczoną i rękami splecionymi na kolanach. Nie odważyła się podnieść głowy, bo wiedziała, że promienieje triumfem.

— Nie mogłabym tego przyjąć — palnęłam.

— Mnie by to sprawiło wielką przyjemność.

— Proszę, nie myślmy już o tym.

Popatrzył na mnie smutno.

— Widzę, że nie uznajesz mnie za ojca.

— Przecież — wyjąkałam — spotykamy się po raz pierwszy. Te spotkania w parku się nie liczą. I już ta propozycja! Takie przedsięwzięcie kosztuje bardzo dużo.

— Jestem zdania, że koszty nie przerosną moich możliwości.

— Ale nie — uparłam się. — To wykluczone. Mamy tu świetnie prosperujące przedsiębiorstwo. Wystarczy. Bardzo dobrze zwraca się kapitał, który zostawił mi mój mąż.

Mam za co wychowywać córkę, jeśli nie w zbytku... co i tak nie wyszłoby jej na dobre... to jednak w komforcie.

— O tym też pomyślimy.

— Nie. Proszę zapomnieć o tym. To bardzo wielkoduszne i serdecznie dziękuję. Ale nie mogę tego przyjąć.

Skłonił głowę.

Ponieważ chciałam zmienić temat, zaczęłam wypytywać go o winnice. Odpowiadał z entuzjazmem. Opisywał żywo kaprysy pogody i ich skutki. Pogoda to wielki wróg, ale tak jak wielu wrogów może też być przyjazna. Właściciele winnic rozpaczają, gdy lato jest zbyt deszczowe i modlą się w kościołach o ciepłą słoneczną jesień, jaka nieraz ocalała zbiory. Tak o tym mówił, że zrozumiałam, jak podniecające jest winobranie.

— Przyjdziecie i zobaczycie — powiedział. — Ty i twoja córeczka. Teraz, kiedy już się odnaleźliśmy, nie możemy znów siebie utracić. Malutkiej ogromnie spodobają się te winnice.

— Z pewnością.

— I będziemy szczęśliwi.

— A pani St Allengère i rodzina?

— Moja żona umarła dwa lata temu. Była starsza ode mnie. Nasze małżeństwo układało się dobrze. George, mój syn, już jest żonaty, moja córka, Brigitte, zamężna. Nie wątpię, że radzi będą cię poznać.

— Więc powinniśmy przyjechać — powiedziałam i zwróciłam się do Grand'mère. — Czy tak?

Przytaknęła zamasyście. Wyszedł od nas późno.

— Zobaczymy się jutro — powiedział. — Bo chyba wolno mi przyjść?

— Musi pan przychodzić, kiedy pan tylko chce — powiedziała Grand'mère.

* * *

Weszła do mojego pokoju, gdy już leżałam. Byłam na to przygotowana. Wyglądała młodo jak na swój wiek, w prostym, ale wytwornym szlafroku, z włosami zaplecionymi w dwa pensjonarskie warkocze.

— Cóż za wieczór — powiedziała. — Godny zapamiętania.

— Nie co dzień w prezencie dziewczyny dostają ojców, których wcale nie znają. Tyś to wszystko zaplanowała, Grand'mère, prawda?

— No... — mruknęła.

— Znamy się aż za dobrze — powiedziałam. — Poza tym twoja twarz, Grand'mère, ciebie zdradza. Jest najbardziej wyrazista ze wszystkich twarzy, jakie zdarzyło mi się widzieć.

Pojechałaś do Francji z zamiarem odszukania go. I przekonałaś go, że powinien się ze mną zobaczyć.

— Wcale nie trzeba było go przekonywać.

— Więc dlaczego przez te wszystkie lata...?

— Skąd mógł wiedzieć, gdzie jest jego córka?

— Więc powiedziałaś mu, Grand'mère, gdzie ja jestem i że musi do mnie przyjechać.

— Kiedy tylko się dowiedział, chciał cię zobaczyć.

— I czy przypadkiem nie napomknęłaś mu o salonie... i o sprawie otwarcia sklepu w Paryżu?

— Hrabina o tym mówiła przy kolacji.

— Ale czy przedtem nic o tym nie słyszał?

— No, może wspomniałam...

— I teraz raptem wysunął tę propozycję. Nie wyobrażam sobie, żeby coś takiego można było zaproponować pod wpływem chwili.

— Po co ten katechizm? Czy nie jest dobrze, że on pragnie ci pomóc?

— Więc ty mu to podsunęłaś, Grand'mère?

Uniosła ramiona.

— Chciał wiedzieć, jak ci się powodzi... co się dzieje. Naturalne, że interesuje się życiem swojej córki. Och, dość już tego. Powinnaś przyjąć te pieniądze.

— Grand'mère, nie mogłabym! To jak żebranina. To haniebne. Jak gdybym podała mu cenę do zapłacenia, bo porzucił moją matkę.

— Myślisz tylko o sobie, *ma chérie*. A powinnaś myśleć o innych. Jemu to sprawi wielką przyjemność. Czyż można mu tego odmawiać z racji twojej dumy?

— Grand'mère, ty chyba nie chcesz wziąć jego pieniędzy?

— Bardzo chętnie bym wzięła. Dadzą nam wszystko, czego potrzebujemy. Ten salon w Paryżu... Od początku wiedziałam, że jest konieczny. I mówiłam sobie: „Kiedyś...” A teraz są te pieniądze, a ty je odrzucasz.

— Nie mogę ich przyjąć, Grand'mère.

— Więc mamy wszystkie cierpieć z powodu twoich fanaberii. Ty, ja, hrabina, Cassie... i twój ojciec.

— Ale chyba...

— Potrząsnęła głową.

— Pomyśl o tym człowieku. On jest pełen skruchy. Chce mieć możliwość naprawienia krzywdy, którą wyrządził twojej matce. Przez lata miał wyrzuty sumienia. Gdyby mógł ci udzielić takiej pomocy, byłby szczęśliwy. Czułby, że poniekąd tę krzywdę wynagrodził. No, ale madame Lenore... ona mówi: nie. Moja duma, moja cenna duma... musi być na pierwszym miejscu.

— Grand'mère, jak możesz tak to ujmować?

— Ujmuję to zgodnie z prawdą. Idę już, ty uparty osiołku, dobranoc. Przyjemnych snów.

Niech ci się przyśni całe to dobro, jakie możesz uczynić, tylko że nie chcesz z powodu głupiej pychy, która nie służy ani Bogu, ani kobiecie.

— Dobranoc, Grand'mère.

Odwróciła się od drzwi i przesłała mi całusa.

— Boże, miej cię w swojej opiece, kochaneczko.

* * *

Słyszając o propozycji mojego ojca, hrabina klasnęła w ręce i rzuciła się Grand'mère na szyję.

— Nie ciesz się zanadto, hrabino — powiedziała Grand'mère — Lenore zdecydowała się tego nie przyjąć.

— Co?! — wykrzyknęła hrabina.

— Coś, co się nazywa duma.

— Och nie!

— Tak... niestety — powiedziała Grand'mère. Siedziała z półśmiechem kołysząc się z boku na bok. — Ten biedak, ten kochający ojciec. Okryty hańbą po tym wszystkim, co stało się przed laty. Teraz odnalazł ją i chce jej okazać, jak się z tego cieszy. Chce ofiarować namacalny dowód swojej radości. Ale jego córka mówi: „Nie. Musisz swoją hańbę dalej dźwigać, ja ci nie sprawię ulgi ani trochę”. Biedak. Pycha jest okrutna. Jest jednym z siedmiu grzechów głównych, wiecie.

— Nie o to chodzi, Grand'mère. Już wiem, że odszukałaś go tylko dlatego. Postanowiłaś sobie go znaleźć, bo potrzebujemy tych pieniędzy na sklep w Paryżu. Przyznaj się, Grand'mère.

— Spotykam go. On chce wiedzieć, co robi jego córka. No to mówię mu... i czyż mogłam nie powiedzieć o tym? On słucha... z wielką uwagą... i mamrocze pod nosem: „Ach, jest możliwość, żebym naprawił krzywdę, którą wyrządziłem mojej biednej Marie Louise. Oto jej córka... jej i moja. Zadbam o szczęście naszej córki. Dam pieniądze na ten salon. Pieniądzy mam mnóstwo. Lekką ręką mogę dać”. Ale niestety, ona nie weźmie. Duma jej nie pozwala. Nieważna jego skrucha, nieważny jego smutek... ta uparta pycha.

Nie zdołałam powstrzymać się od śmiechu i po chwili śmiałyśmy się już wszystkie.

— Cassie — zawołała hrabina — przynieś butelkę szampana!

— Ale ja się nie zgodziłam...

— To zbyt wspaniała sposobność, żeby z niej nie skorzystać. Przecież byś nie mogła być dla nas tak okrutna.

— Ale widzisz, hrabino...

— Widzę przyszłość. Widzę salon w Paryżu. To, czego nam brakowało, może być nasze.

Cassie przyniosła szampana.

— Co to za okazja?

— Ojciec Lenore ofiarował się wyłożyć pieniądze na salon w Paryżu.

Cassie się rozpromieniła. Postawiła tacę.

— Och, Lenore — powiedziała. — To cudownie!

W końcu więc ustąpiłam.

* * *

Dużo było krzątaniny i podniecenia. Stopniowo dawałam się przekonać, że ustąpiłam słusznie.

Mój ojciec godzinami przesiadywał w salonie. Przysłuchiwał się z entuzjazmem, gdy omawialiśmy nasze plany.

Któregoś dnia wkroczyła Julia.

— Stała się najcudowniejsza rzecz pod słońcem — informowała hrabina. — Otwieramy salon w Paryżu.

Oczy Julii zrobiły się okrągłe jak spodki.

— Mamy dobrodzieja — ciągnęła hrabina wesoło. — Ojciec Lenore wkłada kapitał.

— Ojciec Lenore?

— Tak, zjawił się... ni stąd, ni zowąd. Jest czarujący i szczodrobliwy.

Akurat ojciec wszedł, gdy była Julia, i został jej przedstawiony.

— Ja pana już widziałam — powiedziała.

— W parku — przypominałam jej.

— Och, tak, pamiętam. Wielbiciel. Żartowałyśmy z tego. Mówiłyśmy, że Lenore ma wielbiciela.

— Bo ma — powiedział ojciec.

— Jakież to cudowne. Musicie wszystko mi opowiedzieć.

Hrabina się rozgadała. Nawet mnie już wciągnął ten projekt i widząc, jaką radość sprawiłam ojcu moją zgodą, już uważałam, że one miały rację.

— Jesteście mądre — powiedziała Julia. — Większość domów mody ma oddziały w Paryżu.

Teraz jak z kopyta ruszycie do przodu.

Zaczęła mówić o Bożym Narodzeniu.

— Było przyjemnie, prawda?... Dopóki ta dziewczyna nie dostała ataku hysterii. Chyba wszyscy się tym przejęli. Na wsi takie sprawy traktuje się poważnie. Drake tam teraz ciężko pracuje. Powiedział, że musi trochę zająć się wyborcami. Właśnie jest czas na to. Musi być gotów do tych wyborów... pokazać wyborcom, jak bardzo troszczy się o nich.

Ucałowała mnie wylewnie i odjechała.

Tamtego dnia zapadła decyzja, że pojedę z hrabiną i ojcem do Paryża. Pozostaniemy tam, dopóki nie znajdziemy odpowiedniego pomieszczenia i nie puścimy interesu w ruch.

Już tak się kwapiłam do tego, jak one wszystkie. Ojciec się cieszył. Będzie bardzo pomocny, powiedziała hrabina, bo to nie tylko człowiek interesu, ale i Francuz, a powinniśmy pamiętać, że będziemy we Francji.

— Nieprawdopodobne, żebyśmy zapomniały — zapewniłam ją.

Klasnęła w ręce i szepnęła modlitewnie.

— Paryż. — Jak gdyby Paryż był niebiosami.

* * *

Tak więc zostawiłam Katie pod opieką Grand'mère i Cassie i wyruszyłam z ojcem i hrabiną w

podróż. Już w chwili gdy wyszliśmy z Gare du Nord, zachwyciłam się tym miastem, najczarowniejszym ze wszystkich miast, i na równi z hrabiną byłam przekonana, że nasze ryzyko przyniesie sukcesy. Uspokajała mnie obecność ojca, bo to miasto wydawało się trochę oszałamiające. Ojciec podjął się załatwiania wszystkiego, wiedział dokładnie, od czego należy zacząć. Widząc, w jakim dobrym jest humorze, zdawałam sobie sprawę, że przyjęciem jego propozycji rzeczywiście go uszczęśliwiłam — tak samo jak nas.

Ojciec zapędził hrabinę i mnie do dorożki i kazał temu *cocher* jechać do hotelu na rue de la Fayette. Nigdy nie zapomnę mojej pierwszej jazdy ulicami Paryża, gdzie wszyscy wydawali się tak pełni życia. Mijaliśmy targowiska z beczkami na chodnikach i kawiarnie, i restauracje, z których latem, jak powiedział mi ojciec, wystawia się stoliki na zewnątrz, żeby goście jedli i pili na świeżym powietrzu. Francuzi lubią przebywać pod gołym niebem, powiedział. Pojazdy przejeżdżały we wszystkich kierunkach, stangreci wymyślali jeden drugiemu, przekrzykując uliczny hałas.

Ojciec wskazywał mi punkty orientacyjne.

— Och, z przyjemnością będziesz zwiedzała Paryż. Pokażę ci Monmartre... Notre Dame...

Och, tyle mam ci do pokazania.

— Najpierw — upomniała go hrabina — musimy znaleźć lokal.

— Tak, droga hrabino, pamiętam, to przecież cel naszego przyjazdu.

Wkrótce ulokowano nas w hotelu. Dostałam przestronny pokój z balkonem, z którego mogłam patrzeć na ulicę poniżej. Ojciec poradził, żebyśmy poszły spać wcześniej, bo nazajutrz od rana rozpoczniemy poszukiwania.

Cieszyłam się, że jestem w Paryżu, ale myślałam o Katie — że może ona już tęskni za mną.

Myślałam też o Drake'u i o tym Bożym Narodzeniu ostatecznie wcale nie takim, jakie sobie wymarzyłam. Oczywiście, radowała mnie perspektywa otwarcia salonu w Paryżu, ale mój dom i serce były w Londynie. Czy dlatego, że Drake tam jest? Zastanowiłam się. Dziwne to, ale po Bożym Narodzeniu moje uczucie do Drake'a nabrało mocy. Przedtem nie miałam pewności i dopiero wielkie rozczarowanie, którego doznałam, gdy on jednak mi się nie oświadczył, sprawiło, że pojęłam, co naprawdę do niego czuję. Wszystko zepsuł przyjazd Julii, a także incydent z tą dziewczyną przeświadczoną, że widziała ducha.

Teraz muszę się skupić na otwarciu sklepu w Paryżu, myślałam. Dopatrzę tego, a potem...

wyjdę za Drake'a. Przedsiębiorstwem nie przestanę się interesować, ale najważniejsza będzie dla mnie rodzina, Katie i... Drake. I bardzo chcę mieć więcej dzieci... synka... jeszcze jedną córkę.

Zycie poświęcę rodzinie. Ktoś kiedyś powiedział, słyszałam, że w szczęśliwym małżeństwie nie ma miejsca na dwie kariery.

Następnego dnia wstaliśmy wczesnym rankiem. Kawę i *brioche*s podano nam w pokojach, więc

szybko byliśmy gotowi wyruszyć z hotelu. Ojciec postarał się o adresy paru nieruchomości.

Jedna była niedaleko, poszliśmy tam pieszo. Ulice Paryża mają w sobie coś pocrzepiającego.

Poranek był słoneczny, ciepły jak na tę porę roku. W powietrzu niósł się zapach kawy, ludzie już wychodzili z domów, coraz większy ruch panował na jezdniach.

Ojciec zapytał:

— Zaczynasz odczuwać nastrój Paryża? Przy pierwszej sposobności zabiorę cię na jeden z najwyższych punktów na Pile de la Cité... to znaczy na sam szczyt Notre Dame, żebyś stamtąd zobaczyła śródmieście.

— Dziękuję — powiedziałam — to będzie cudowne. Hrabina się niecierpliwiła.

Przyjechałyśmy do Paryża w interesach, więc, na Boga, nie zwracajmy sobie niczym innym głowy.

W ciągu następnych dni obejrzelśmy kilka nieruchomości, z których żadna nie była w pełni odpowiednia. Ojciec pokazywał mi Paryż i nieraz hrabina nam towarzyszyła, chociaż najczęściej chodziła po sklepach, studiując modę. Wprost kipiała pomysłami, co powinna zrobić.

— To bardzo ożywczo działająca pani — powiedział ojciec — ale czasami dobrze jest od niej uciec. No nie?

Przyznałam, że tak. Dobrze czułam się w jego towarzystwie. Odkrywaliśmy siebie nawzajem.

Okazywał mi dużo czułości wyraźnie pragnąc nadrobić lata zaniedbania. Zaczynałam go podziwiać, bo niewątpliwie był człowiekiem bardzo zdolnym. Hrabina tak uważała. Zajmowała mu sporo czasu rozmowami o interesach... kosztach... możliwościach założenia i powiększenia przedsiębiorstwa. Przysłuchiwałam się tym rozmowom zafascynowana, ale nabierałam niezbitej pewności, że ja nigdy nie będę tak oddana tym sprawom jak ona. Hrabinę interesuje tylko jedno: sukces przedsiębiorstwa, ja mam inne zainteresowania.

Potrafiłam oddawać się przyjemnościom Paryża. Często spacerowałam z ojcem. Chodziliśmy ramię w ramię nad Sekwaną i opowiadał mi historię kraju, który kochał. Pokazał mi Tuileries i przedziwny pomnik, który postawił Gustave Eiffel przed paroma zaledwie laty. Wydawał się ten pomnik niebotyczny — będąc głównym w mieście punktem orientacyjnym.

— Tylko część kosztów tej wieży poniosło państwo — powiedział ojciec po swojemu, praktycznie i rzeczowo. — Resztę wyłożył monsieur Eiffel. Podobno ma nadzieję, że te pieniądze mu się zwrócą... z zyskiem, oczywiście, bo są opłaty za wstęp... w ciągu najbliższych dwudziestu lat.

— Myślisz, ojcze, że tak będzie?

— Nie jestem pewny. On obecnie popadł w kłopoty z powodu jakiegoś sprzeniewierzenia przy budowie Kanału Panamskiego. Monsieur Eiffel jest spekulantem... a to może być niebezpieczne.

— Zgadzam się. Właśnie dlatego...

— Rozumiem. Roztropnie być ostrożnym i lepiej nie spekulować wcale, niż spekulować i stracić. Ale też niektórzy mawiają: niczego nie ryzykujesz, niczego nie będziesz mieć.

— Słyszysz się przestrogi przed każdym sposobem działania — powiedziałam. — I w rezultacie trudno wybrać właściwy sposób.

Opowiadał mi trochę o swojej rodzinie, która ostatecznie była również moja.

— Ojciec jest bardzo srogi. Wciąż jeszcze rządzi. Uważa się za sprawiedliwego i postępuje zgodnie ze swoim sumieniem. Niewiele ma jednak litości dla kogokolwiek, niewiele zrozumienia dla ludzkich uchybień. Rzeczywiście, jest tragiczny. Najpotężniejszy człowiek w Villers–Mûre i z pewnością najbardziej nie lubiany. Wszyscy się go lękają... ja jeszcze teraz drżę przed nim.

Przestaję być sobą w jego obecności. Dlatego rzadko tam jeżdżę. Ale jedna z moich winnic graniczy z Villers–Mûre. Jedna z moich najlepszych. Myślę, że ojciec teraz trochę mnie szanuje.

Oderwałem się od rodziny i powiodło mi się bez jego pomocy. On by tego nie przyznał... ale mnie docenia. Dlatego jestem w domu przyjmowany.

— Po tylu latach jeszcze pamięta?

— I będzie pamiętał do końca życia. Nigdy nie przebacza i nie zapomina. Wystarczy zasłużyć na jego niezadowolenie jeden raz. W moim rodzeństwie budził zbożną trwogę... i nadal budzi.

Wieśniacy trzęsą się, kiedy nadjeżdża, i co tchu uciekają z drogi.

— To jak bajka o potworze. A przecież w naszych czasach...

— On żyje w przeszłości. Przede wszystkim interesuje się jedwabiem. Jest największym wytwórcą jedwabiu na świecie. Do tego zawsze zmierzał i chce, żeby tak pozostało.

— Chyba już się starzeje.

— Ma siedemdziesiąt lat. — J[wciąż jeszcze taki tyran? Ojciec przytaknął.

— Utrzymuje się tradycja we wsi i w manufakturach. Ostatecznie Villers–Mûre to zakłady jedwabnicze. Ludzie są od niego zależni. Jeżeli utracą środki utrzymania, będą konać z głodu.

Więc on stał się panem ich wszystkich.

— To jak bajka o potworze — powtórzyłam. — Mam nadzieję, że kiedyś go poznam.

— Mało prawdopodobne. On ciebie nigdy nie przyjmie.

— Nie chciałby zobaczyć swojej wnuczki?

— Nie uznałby ciebie za wnuczkę. Jest bardzo religijny, o ile taką postawę można nazwać religijnością. Nie toleruje niczego, co uważa za niemoralne. Mówi, że dba o czystość duchową Villers–Mûre. Kiedy dziewczęta wychodzą za mąż, oblicza czas od ślubu do narodzin pierwszego dziecka. Jeżeli to krócej niż dziewięć miesięcy, następuje śledztwo.

— Więc ja szczególnie nie czuję się godna jego łaski.

— Nieistotne, bo nigdy go nie spotkasz.

— Szkoda. Chciałabym zobaczyć Villers–Mûre.

— Będziemy bardzo blisko Villers–Mûre, kiedy przyjedziesz do mojej winnicy. Mieszka tam moja zameżna siostra. Z radością cię powita.

— Więc tylko tego starca nie zobaczę?

Przytaknął.

— Głowa do góry — powiedział. — Tym lepiej dla ciebie. On często bywa w kościele... co dzień na jednej mszy i w niedzielę na dwóch. Dziwne ma pojęcie o tym, co słuszne, a co niesłuszne. Zgoła nie jak chrześcijanin. Myślę, że gdyby mógł, przywróciłby we Francji inkwizycję. Wszystkich, którzy nie należą do Kościoła katolickiego, uważa za grzeszników.

Nigdy nie wybaczył odstępstwa hugenotom z naszego rodu... i ich potomkom w Anglii, chociaż śledzi poczynania Sallongerów. Och, poczuwa się do tego pokrewieństwa, chociaż mają inną ojczyznę i inne nazwisko. Zawsze ich przyjmie, kiedy przyjadą do Francji. Nie traci nadziei, że nawróci ich na katolicyzm.

— Ciekawie tak słuchać o swojej rodzinie. Dawniej miałam tylko Grand'mère.

— To zacna kobieta. Stawiła czoło mojemu ojcu. Jedyna, jaką znam. Chyba w nim budzi niechętny podziw. To on wysłał cię z nią do Anglii do tej gałęzi rodu, która nazwała się Sallongerami. A ty wyszłaś za jednego z nich.

Z każdym dniem dowiadywałam się więcej i ojciec stawał mi się coraz bliższy.

Tymczasem hrabina znalazła akurat to, czego chciała. Sklep nieduży, ale bardzo elegancki i niedaleko Chaps–Elysées.

— Dobre miejsce — oświadczyła. — W sam raz. Niecierpliwie zaprowadziła tam ojca, który w pełni zaaprobował jej wybór.

Kochałam Chaps–Elysées i Cours de Reine i wspaniały l'Axe de Triomphe. I widok dzieci bawiących się w ogrodach. Przywiozę tu Katie, myślałam. Kupię jej serso i koło z patykiem.

Musi tu być pięknie latem, kiedy będą stały małe stoliki pod kolorowymi parasolami.

Wciągnęło mnie podniecające planowanie naszego salonu mody. Spacerów było teraz mniej.

Ojciec się pasjonował prawie tak jak hrabina. Ona pracowała niezmordowanie, zirytowana każdą zwłoką. Chciała jak najprędzej widzieć w tym oknie wystawowym piękne kreacje Grand'mère i w pokoju za salonem kilka szwaczek przy maszynach do szycia.

Pertraktacje się przeciągnęły. Spędziliśmy w Paryżu całe sześć tygodni. Wydawało mi się, że odjechałam od Katie przed wiekami, i bardzo już chciałam wrócić. Kupiłam dla niej kilka prezentów, wśród nich dużą lalkę, inną niż wszystkie lalki, jakie przedtem widziałam. Była to wytworna paryska dama zaopatrzona w garderobę do wkładania i zdejmowania, zamykała oczy, gdy się ją przechylało w tył, i wtedy na jej różowych porcelanowych policzkach kładły się długie gęste rzęsy.

Cudowny był powrót do kraju. Stałam na pokładzie statku, gdy ukazały się białe skały.

Potem była podróż do Londynu.

Czekały na nas, gdyśmy przyjechali. Katie rzuciła mi się w objęcia.

— Och, mammo... tak mi się dłużyło.

— Nigdy już na tak długo się nie rozstaniemy — zapewniłam ją.

I Grand'mère mnie witała... ale coś się stało. Wyraz jej twarzy to zdradził.

— Jak tam wszystko? — zapytałam.

— Dobrze. Bardzo dobrze — odpowiedziała zbyt gwałtownie, więc wiedziałam, że nie mówi prawdy.

Dużo miałyśmy do powiedzenia. Hrabina nieprzerwanie opowiadała o naszym znalezisku w Paryżu. Wkrótce otworzymy. Formalności doprowadzały ją do szału. Dlaczego kupowanie lokali nie może być prostą, łatwą sprawą? Trzeba załatwić to... i to... i tamto... istne wariactwo.

Cassie cieszyła się, że znów nas widzi.

— Nie mogliśmy się doczekać wiadomości, że wracacie. No nie, Katie?

Katie przytaknęła. Trzymała się przy mnie, ścisnęła mi rękę, jak gdyby nie chciała mnie puścić od siebie.

Dowiedziałam się w tamten wieczór, gdy one wszystkie już poszły spać. Weszłam do pokoju Grand'mère i zapytałam, co się stało.

Przez chwilę patrzyła mi w oczy, a potem powiedziała:

— Drake się żeni.

— Co?! — wykrzyknęłam.

— Z Julią — dodała.

Mogłam tylko się wpatrywać w Grand'mère. Wszystkie moje marzenia o przyszłości nagle się rozwiały.

— Ona rozsyła zaproszenia na ślub. To będzie za dwa tygodnie.

Mogłam powiedzieć tylko:

— Więc... rychło.

— Tak. To chyba jakaś pochopna decyzja. — Teraz Grand'mère unikała mojego wzroku.

Powiedziałam.

— No... cóż... dobranoc.

Musiałam być sama. Byłam kompletnie zdruzgotana. Drętwa z rozpaczy. Do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, że tak ogromnie mi na Drake'u zależy.

* * *

Nie wiem, jak przeżyłam następny dzień. Trudno było wciąż uśmiechać się do Katie, która nie przestawała mnie wypytywać o Paryż. Powiedziałam jej sporo z tego, co mówił mi ojciec.

Wiedziałam, że zarówno hrabina, jak Cassie są wstrząśnięte — usilnie się starały nie czynić żadnych wzmianek o Drake'u.

Bardzo boleśnie zraniona, powtarzałam sobie: już nigdy nie uwierzę moim instynktom.

Przecież nie wątpiłam, że Drake mnie kocha.

Nie dało się zachowywać żadnych pozorów wobec Grand'mère.

Wieczorem przyszła do mojego pokoju tak jak zawsze, gdy chciała porozmawiać poufnie.

— Kochanie — powiedziała — przede mną nie musisz udawać. To jest dla ciebie wielki wstrząs. Zastanawiałam się, jak ci o tym powiedzieć. Obawiam się, że zrobiłam to niezręcznie.

— Nie... wcale nie. Trzeba było, żebyś dowiedziała się szybko.

— Zależało ci na nim. Przytaknęłam.

— Nie rozumiałam. Myślałam, że może ty o tym wiesz... że może dałaś mu kosza... więc dlatego on zwrócił się do niej. A już tak się cieszyłam, że macie się ku sobie, bo uważałam, że to przyzwoity człowiek. Och, *mon amour*, nie zamykaj uczuć. Daj im upust... Jest tylko stara Grand'mère...

Zanadto jesteŝmy zŝyte, ŝebyŝ udawała.

— Och, Grand'mère... kochana Grand'mère... czuję się tak... taka zagubiona i oszołomiona.

Nie wiem, jak się czuję.

Podeszła do mnie, objęła mnie, kołysała, jak gdybym była małym dzieckiem.

— To minie — powiedziała — wszystko mija. I lepiej, ŝe nie wyjdiesz za kogoŝ takiego. On wyraźnie jest niestały... inny, niŝ myślałyŝmy.

— Tylko dlatego, ŝe woli Julię?

— Aleŝ okazywał, ŝe kocha ciebie. I raptem tak postąpił... to niepojęte. Przyszedł tu po twoim wyjeździe. Tego samego dnia. Cassie go przyjęła. Poprosiłam, ŝeby mi opowiedziała cały przebieg jego wizyty. Biedna Cassie! Myślała, ŝe zrobiła coŝ niewłaŝciwego. Był tylko pięć minut. Pytał o ciebie. Cassie powiedziała: „Ona wyjechała do Paryŝa z monsieur St Allengère i hrabiną. Będą szukać lokalu na salon. Bardzo sà tym podnieceni”. Dosłownie tak powiedziała. A on wtedy zbladł i powiedział. „Rozumiem. Nie mogę zostać. Muszę natychmiast wyjść”. I to powiedział, moŝe nawet nie szorstko, ale bezpardonowo.

— Bardzo dziwne. Zawsze tak uprzejmie odnosił się do nas wszystkich.

— I więcej się nie pokazał. Niedawno dostałyŝmy zawiadomienie o tych zaręczynach. Julia tu przyjechała zamówić kostium do ślubu.

— Och... nie!

— Nie mogłam odrzucić zamówienia. To by wyglądało bardzo dziwnie. To by nas zdradziło.

Kostium jest juŝ uszyty. Juŝ go zabrała. Przykro mi było go robić. Ale... jakie to ma teraz znaczenie?

— Czy mówiła coŝ o mnie?

— Owszem. Gawędziła przez cały czas. Ŝe jakie to cudowne, pojechałaŝ wreszcie do Paryŝa.

Wiadomo, ŝe tego pragnęłaŝ. Czy ŝycie nie jest cudowne? Takie pełne niespodzianek. Oto ona teraz zostanie ŝoną tego cudownego Drake'a Aldringhama. To będzie taka uciecha. Zawsze chciała zajmować się polityką... i będzie się zajmować razem z Drake'iem. To wymaga prowadzenia domu otwartego. Kaŝdemu mężczyźnie potrzebna jest pomocna kobieta... kobieta właŝciwego rodzaju. Ona się poświęci na ołtarzu kariery Drake'a.

— Z pewnością jest sprawną panią domu.

— Myślę, ŝe dlatego on się z nią ŝeni.

— Myŝlisz, Grand'mère, ŝe byłby taki wyrachowany.

Grand'mère powoli pokiwała głową.

— Myliłyśmy się co do niego. No, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Julia jeszcze mówiła o tobie. Że nie powinnaś dalej żyć we wdowieństwie. Powiedziała: „Wiecie, co zamierzam wkrótce zrobić? Ja znajdę dla Lenore męża”.

Zakryłam twarz rękami.

— Wiem, najdroższa. Było w Julii coś... coś zjadliwego. Och, ja jej nie ufam. Ona jest... jak by to powiedzieć?... wąż w trawie, właśnie. Mniejsza z tym, *ma chérie*. On wart jej, ona warta jego. Z pewnością niewiele szczęścia tam będzie.

— Oni dobrze się rozumieją — powiedziałam. — Ja widocznie go nie rozumiałam.

— Żeni się z Julią dla jej pieniędzy.

— Jakoś nie mogę w to uwierzyć, Grand'mère.

— Takie panuje przekonanie. Parę dni temu była u nas lady Travers, rozgadana jak zwykle.

Wie o wszystkim, co się dzieje. Naturalnie mówiła o ślubie Julii. Powiedziała: „Biedna ta Julia, już nie pierwszej młodości, a wciąż jeszcze kochliwa. Zaginała parol na Drake'a Aldringhama, aż w końcu doprowadziła do tego, że pojął, co ona może dla niego zrobić”. Zapytałam niewinnie:

„A co może?” Lady Travers odpowiedziała: „Drake ma zadatki. To materiał na ministra...

mógłby nawet aspirować do urzędu premiera... większość ich aspiruje. Julia wie o tym. Czyby nie chciała być panią premierową? Już siebie widzi jako drugą Mary Annę Disraeli albo Catherine Gladstone. Z pewnością, żadnej z tych pań nie dorastałaby do pięć. Ale przynajmniej ma pieniądze. A Drake'owi pieniędzy brak. Jego rodzina jest dosyć bogata, ale jemu duma nie pozwala korzystać z rodzinnej pomocy”. „A na ożenek dla pieniędzy mu pozwala” —

powiedziałam. „To już, droga Madame Cle — remont, inna sprawa” — powiedziała lady Travers. I moje pytanie, dlaczego inna, zbyła machnięciem ręki. „Julia będzie mogła podejmować wszystkich odpowiednich ludzi — powiedziała. — Chociaż o polityce nie ma zielonego pojęcia, będzie popychała Drake'a naprzód. Zobaczymy. I to jest doskonale wyczucie czasu... teraz kiedy wybory na widoku. Ludzie bardzo lubią śluby i wesela. Julia chce Drake'a, a Drake chce pieniędzy Julii... akurat właściwe połączenie, żeby małżeństwo było udane. Tylko Julia będzie musiała przestać pić. Posuwa się w tym za daleko. Ale może Drake zdoła ją powściągnąć”.

— Grand'mère — jęknęłam. — Nie wierzę w to, że Drake żeni się z nią dla pieniędzy.

— Żaden inny powód nie przychodzi mi na myśl.

— Och, Grand'inere, co ja mam zrobić?

Pogłaskała mnie po włosach.

— Możesz zrobić tylko jedno, *ma chérie*: żyć dalej. Pamiętasz, jak było po śmierci Philipa?

Myślałaś wtedy, że świat się dla ciebie skończył. Ale czas dopomógł, prawda? Teraz wydawało się, że jest możliwość szczęścia, a tej możliwości nie było. Ale jest to przedsięwzięcie paryskie i będziemy miały mnóstwo roboty. I jest Katie, kochaneczka taka szczęśliwa, że wróciłaś.

Biedactwo, była osowiała, co dzień pytała, kiedy znów będziesz w domu. On cię zawiódł, Lenore, *mon amour*, ale masz wokół siebie osoby, które cię kochają.

Popłakałam trochę. Nie mogłam ukrywać swoich uczuć przed Grand'mère. Przyniosła mi napar z ziółek na uspokojenie i siedziała przy mnie, dopóki nie zasnęłam.

* * *

Hrabina mówiła wyłącznie o Paryżu. Tak ją pochłaniało planowanie, że nie zauważyła we mnie zmiany — czy może ja tak dobrze się maskowałam.

Katie jak zawsze była dla mnie pociechą. Wciąż wypytywała o Paryż.

— Ja tam pojedę, prawda?

— Na pewno. — Opowiadałam jej, jak dzieci biegają z kołami w paryskich ogrodach.

Ojciec wrócił do Paryża, żeby dalej pertraktować. Zamierzałam tam do niego dołączyć z Grand'mère i hrabiną. Cassie miała zostać i razem z naszą sprawną kierowniczką baczyć przez tych kilka tygodni na wszystko.

Dostałyśmy zaproszenie na ślub Julii.

— Ja się nie wybieram — powiedziałam.

Grand'mère milczała. To znaczyło, że jej zdaniem powinnam być na tym ślubie. Poruszyłam to z nią.

— Nie można — odpowiedziała — ...jak by tu powiedzieć?... nosić serca na dłoni, żeby wszyscy je widzieli. Cassie musi tam być. Jest jej siostrą... a ty? Wychowywałaś się z nimi.

Ludzie będą pytać: gdzie Lenore? Czy ona nie chciała sama się wydać za tego młodego człowieka? Więc czy to zazdrość... zawiść? Z pewnością dziwne, że jej tutaj nie ma.

— Potworne. Ludzie tyle wiedzą o naszych sprawach osobistych.

— Normalne... Ludzie są spostrzegawczy.

— Jeżeli tam będę...

— Uszyję ci świetny kostium na tę uroczystość. Aksamitny, myślę... oblamowany sobolami.

Mam kupon pięknego niebieskiego aksamitu... śliczny odcień, nie za jaskrawy, stonowany.

Doskonały dla ciebie. I do tego kapelusik ze strusim piórem... już ja wiem, jaki.

— Będę tam się wiła.

— Rozumiem. Na weselu tylko się pokażesz i możesz zaraz wyjść. Nie obejdzie się bez prasy.

Ostatecznie on jest początkującym politykiem, a ją znają z jej przyjęć w kręgach towarzyskich.

„Oblubienica wygląda znakomicie w kostiumie od Lenore... Dała się zauważyć nieobecność samej Lenore pomimo więzi łączącej ją z oblubienicą”. Tak być może. Twoja nieobecność rzucałaby się w oczy.

— Masz rację, Grand'mère.

Przytaknęła zadowolona.

Odkąd usłyszałam tę wiadomość, wydawało mi się, że to koszmarny sen, z którego zaraz się obudzę. Drake nie ożeni się z Julią... Nie mógłby... po tym wszystkim, co mi dawał do zrozumienia. Często myślałam o naszych spotkaniach w parku, jakże one mi umilały życie. A teraz... to już skończone? Te rozmowy, które tyle znaczyły dla mnie, dla niego nie znaczyły nic?

W dniu ślubu włożyłam niebieski aksamitny kostium i mały kapelusik ze strusim piórem.

Grand'mère i hrabina klasnęły w ręce, gdy mnie zobaczyły.

— Doskonale, doskonale — mamrotała hrabina.

Elegancko się wystroiła, bo też miała być na weselu. Była protektorką Julii. Zainicjowała pierwsze jej małżeństwo i ze zgrozą, jak wiedziałam, przyjęła wiadomość o drugim. Razem z Grand'mère widziała w Drake'u męża dla mnie.

Do kościoła nie pojechałam. Na to nie mogłam się zdobyć. Wesele odbywało się w salonie Julii dostatecznie dużym, by pomieścić weselnych gości.

Mignął mi Drake stojący przy Julii, gdy krajała tort i wygłaszano przemówienia, wznoszono toasty. Zauważyłam, że nie wygląda na uszczęśliwionego, chociaż się uśmiecha.

Potem w pewnej chwili poczułam na sobie jego wzrok z daleka. Spojrzenia nasze się spotkały.

Serce mi zamierało. Spuściłam oczy. Bałam się, że mnie zdradzą.

Pomyślałam: muszę uciec. Rozejrzałam się, gdzie jest Cassie. Rozmawiała z gromadką znajomych. Ruszyłam ku niej, żeby zapytać, czy chce już wyjść.

Nagle Drake stanął przy mnie.

— Lenore — powiedział.

— Och... — Opancerzyłam się i spojrzałam na niego. — Drake. Gratuluję.

— I ja gratuluję pani.

— Mnie?

— Otwarcia sklepu w Paryżu.

— Och, słyszał pan o tym?

— Tak. Wszyscy o tym mówią. Szczęśliwie się trafiło.

— Właśnie.

— Dobrze mieć bogatych przyjaciół.

— Mój ojciec jest w tym materialnie zainteresowany.

— Ojciec pani?

— Chyba pan wie. Czy Cassie panu nie powiedziała, kiedy pan był u nas z wizytą?

— Cassie powiedziała, że pani jest w Paryżu... żeby załatwić te sprawy. Nie wiedziałem o ojcu.

— Widział go pan w parku.

Patrzył na mnie oszołomiony.

— Nie pamięta pan? Przyglądał mi się. Zauważyliśmy go. Julia nazwała go moim wielbicielem.

Powtórzył.

— Pani ojciec.

— To bardzo romantyczna historia. Moja matka umarła przy moim urodzeniu. Nie pobrali się.

Jego rodzina wyprawiła Grand'mère ze mną do Anglii.

Znów powiedział:

— Pani ojciec.

— O co chodzi, Drake? Wydaje się pan bardzo zdumiony.

— Julia powiedziała... — zapatrzył się we mnie. — Musimy porozmawiać. Musimy stąd wyjść.

— Nie może pan wychodzić ze swojego wesela. Niedługo wyruszyście w podróż poślubną.

Powiedział cicho.

— Nie miałem pojęcia, że ten człowiek jest pani ojcem. Myślałem, że... to pani przyjaciel...
że pani bierze od niego pieniądze na ten swój paryski projekt, tak bardzo dla pani ważny.

— Pan myślał...

— Tak — potwierdził — że on jest pani kochankiem.

— Co za pomysł! Jak pan mógł? Chyba nie myślał pan, że... Jak pan mógł...? Wahałam się, czy przyjąć te pieniądze od ojca, ale Grand'mère i hrabina mnie przekonały... a jemu na tym zależało, bo wstydział się, że tak postąpił przed laty i że zjawił się w moim życiu dopiero teraz.

— To... niemożliwe — Drake rozejrzał się bezradnie. — Co ja zrobiłem?

Zaczynałam rozumieć. Uwierzył, że ja mam kochanka, że oddałam się wielbicielowi z parku dla dobra mojego przedsiębiorstwa. Dlaczego uwierzył w takie oszczerstwo? Dlatego, że Julia mu to powiedziała.

Wtedy znienawidziłam ją z tą rumianą twarzą rozpromienioną triumfalnie. Ona wygrała.

Zrobiło mi się duszno.

— Muszę wyjść — wykrztusiłam.

— Nie — zaprotestował. — Muszę z panią porozmawiać. Muszę wyjaśnić.

— Nie ma nic więcej do wyjaśnienia, Drake.

— Do wyjaśnienia jest wszystko. Na pewno pani wiedziała.

— O czym?

— O tym, że to o panią mi chodziło. Taki ze mnie idiota. Chciałem pani powiedzieć.

Myślałem, że pani wciąż jeszcze tęskni do Philipa... i za dużo ma pani zmartwień, żeby się zdecydować na powtórne małżeństwo. To pani pragnąłem. Co ja teraz zrobię?

— Będzie pan dobrym mężem dla Julii — powiedziałam i dodałam z lekką zawziętością. —

Ona będzie wydawać należyte przyjęcia, zapraszać wpływowych ludzi. Taką właśnie żonę powinien mieć ambitny polityk. Może z czasem będzie mogła powiedzieć, jak żona lorda Beaconsfielda: „Ożenił się ze mną dla moich pieniędzy, ale teraz gdyby mógł, ożeniłby się ze mną z miłości”.

— Dla pieniędzy! — wykrzyknął. — Mania prześladowcza na punkcie pieniędzy?

— Są bardzo przydatne.

— Pani myśli, że ożeniłem się z nią dla pieniędzy?

— Tak jak pan myślał, że ja dla pieniędzy się oddałam.

— Zaszło straszne nieporozumienie. Och, Lenore, musimy się spotkać.

— Nie sędzę, żebyśmy powinni.

— Tyle mam pani do powiedzenia.

— Już wiem. Myślał pan, że wzięłam sobie bogatego kochanka, żeby otworzyć sklep w Paryżu. To, że pan mógł tak myśleć, budzi we mnie zgrozę. W ogóle mnie pan nie znał.

Rozumiem pana zgorzenie. A potem pan sobie po prostu powiedział: ona się zaprzedała, więc i ja się zaprzędam. Uważał pan, że pana sposób jest szacowniejszy niż sposób, w jaki rzekomo ja postąpiłam... ale nawet, gdyby był, tak samo bym pana uważała za człowieka bez zasad moralnych.

— Lenore...!

Upomniałam go:

— Stajemy się zbyt gwałtowni. A to ma być beztróskie wesele. Powinien pan mi teraz mówić o waszej podróży poślubnej... dokąd jedziecie, jakiej się spodziewacie pogody... i tak dalej, i tak dalej.

— Kiedy o tym usłyszałem — podjął swoje — byłem zupełnie zdruzgotany. Złożyłem wizytę w pani domu. Wydawało mi się, że mam potwierdzenie tego, co mi powiedziała Julia.

— Ale Julia wiedziała, że to jest mój ojciec. Wiedziała, że on wykląda te pieniądze.

— Jak mogła? — mruknął. — Już jej nie cierpię.

— Mówi pan o swojej żonie.

— Tak, Boże dopomóż mi.

— Jak pan mógł! — wykrzyknęłam. — Och, jak pan mógł!

— Stało się — powiedział. — Byłem... rozbity... oszołomiony... wściekły, kiedy dowiedziałem się, że pani wyjechała do Paryża... z tym mężczyzną. Słyszałem, że hrabina jest z wami. Wyobrażałem sobie, że ona tam wyszuka gniazdko miłości, żeby miała pani gdzie odpłacać się swojemu kochankowi za inwestycję!

— Drake!

— Wiem... teraz. Powinienem był wtedy myśleć logiczniej. Dlatego włączyłem się po ulicach... usiłowałem sobie tłumaczyć, że szczęśliwie uniknąłem nieszczęścia.

— Tak jak ja sobie tłumaczyłam.

— Jak mogliśmy, Lenore... ty i ja. Milczałam.

— Poszedłem do Julii — ciągnął. — Zjadłem u niej kolację. Wypiłem za dużo. Julia też. Jej często się to zdarza, ja zalewałem robaka. Nazajutrz obudziłem się w jej łóżku. Tak mi było wstyd, że chciałem uciec. Pojechałem do Swaddingham. Siedziałem tam i usiłowałem zapomnieć o tym epizodzie... A ona napisała do mnie, że poczęła dziecko... tamtej nocy. Pozostawało mi tylko jedno... ożenić się z nią.

— Och, Drake... jak myśmy wszystko zabagnili!

— Co zrobimy?

— A cóż możemy zrobić? Musimy żyć dalej. Mnie będzie trochę lepiej teraz, kiedy wiem, że jednak mnie kochałeś... to jest pewna pociecha. Nie myliłam się co do tego.

— Kocham cię. Kochałem cię zawsze. To się zaczęło wtedy, gdy wyniosłem cię z mauzoleum.

— Bardzo dziwne. Mówisz, że mnie kochasz, na swoim weselu po ślubie z inną. Niesłychana sytuacja.

Ujął mnie za rękę.

— Lenore, nigdy o tobie nie zapomnę.

— Ale musimy zapomnieć o sobie możliwie jak najprędzej.

— To niemożliwe.

— Witaj, Lenore. — Podeszła Julia. — Wszystko dobrze? Drake się tobą opiekuje?

— Muszę już iść — powiedziałam chłodno.

— Taka jesteś zajęta tym Paryżem! Rozumiemy to, prawda, Drake? I tak musimy zaraz wyjść, żeby się przebrać do podróży.

On milczał. Żałosny jak zbity pies. Gdy Julia wzięła go pod ramię, widziałam, jak się wzdrygnął.

Powiedziałam:

— Poszukam Cassie. Do widzenia.

I odeszłam od nich.

Carsonne

Salon paryski był dla mnie wybawieniem. Przez cały rok wytrwale pracowałam. Nie chciałam myśleć o Drake'u. Grand'mère jak zawsze była niezmienną pociechą, przede wszystkim moje dobro miała na względzie. Hrabina stanowczo zabroniła mi się nad samą sobą roztkliwiać.

Powtarzała, że oddział w Paryżu to nabytek wart o wiele więcej niż mąż. Ojciec również podtrzymywał mnie na duchu. Nieba by mi przychylił, żeby wynagrodzić tamte długie lata, gdyśmy się nie znali. I była Katie, wesoła, ciekawa, co się dzieje. Patrząc na jej twarzyczkę pełną zainteresowania, słuchając jej nie kończących się pytań, wiedziałam, że chociaż ciężką poniosłam stratę, jeszcze mam po co żyć.

Tak się o mnie troszczyli w tym okresie, że dni stały się możliwe do zniesienia. Ale nocą ogarniał mnie smutek i dumałam, jak by to było, gdyby... Philipa kochałam romantycznym sercem dziewczęcym. Nie zdążyliśmy odkryć nawzajem swoich wad, do czego niewątpliwie by doszło z czasem. Żyliśmy w jakimś idealnym błogostanie. Czy to by trwało? Chyba nie. Ale nasza miłość miała pozostać mi w pamięci właśnie taka, jaka była... a nie taka, jaką mogłaby się okazać. I Philip zmarł tragicznie, niespodziewanie... nikt nie wiedział, dlaczego. Drake'a pokochałam zupełnie inaczej. I właśnie wtedy, gdy już widziałam możliwość bardziej dojrzałego związku z tym mężczyzną, którego podziwiałam i szanowałam, wydarzenia tak się sprzysięgły, że jego też utraciłam. Czasami wydawało mi się, że jestem skazana na to, by tracić moich ukochanych, przynosić im nieszczęście: Philip zastrzelony, Drake, co może być jeszcze gorsze, ożenił się z kobietą, budzącą w nim nienawiść.

Musiałam dokładać starań, żeby zapomnieć o swoim rozbitym marzeniu i zacząć na nowo.

Poniekąd szczęśliwym trafem projekt paryski wymagał całej mojej uwagi i to pomagało.

Grand'mère uznała, że dobrze mi zrobi wyjazd do Paryża. Mamy w Londynie sprawną kierowniczkę, spokojnie możemy jej i Cassie zlecić zawiadywanie wszystkim. A więc wyjedziemy: Grand'mère hrabina i ja z Katie — roboty w Paryżu jest mnóstwo.

Hrabina miała przyjeżdżać do Londynu od czasu do czasu, sprawdzać, czy wszystko idzie, jak należy.

Katie zachwyciła się Paryżem. Przyjęłam dla niej dwie guwernantki — Angielkę i Francuzkę, bo skoro będzie przez jakiś czas mieszkać we Francji, powinna po francusku mówić płynnie, nie zanedbując przy tym nauki w ojczystym języku.

Panna Price, poważna, sumienna, troszeczkę pruderyjna, stanowiła przeciwieństwo mademoiselle Leclerc, gadatliwej i pełnej życia. Mademoiselle Leclerc pochodziła z Lionu, gdzie, jak mnie zapewniła, francuszczyzna jest najpoprawniejsza.

Katie była dosyć rozsądnym dzieckiem. Ogromnie lubiła mademoiselle Leclerc, ale chyba bardziej szanowała pannę Price wymagającą rygoru. Zawsze dla wszystkich życzliwa, potrafiła dostosować się do jednej i do drugiej i ku mojemu rozbawieniu zmieniała się w zależności od tego, w czym

znalazła się towarzystwie, już to stateczna przy pannie Price, już to płocha przy pannie Leclerc. I jej, i mnie podobał się ten układ.

Z mademoiselle i swoim kołem i patykiem chodziła do ogrodów, pływała z nią parowcem po Sekwanie. Zawierała znajomości z dziećmi i coraz lepiej umiała z nimi gawędzić. Z panną Price przechadzała się godnie nad rzeką, oglądała książki na straganach, zwiedzała zabytki i, na co panna Price kładła wielki nacisk, uczyła się historii związanej z tymi miejscami. Później powtarzała mi te opowieści, a ja słuchałam zadowolona, że tak poszerza swoją wiedzę.

Kilka początkowych trudności musiałyśmy pokonać, ale hrabina zręcznie załatwiała trudne sprawy i otworzyłyśmy sklep wcześniej, niż się spodziewałam.

Myślałam o Anglii. W wyniku wyborów, które odbyły się wkrótce po ślubie Drake'a, Gladstone, chociaż nie miał takiej większości głosów, na jaką liczył, odniósł triumf i zaraz pojechał do Osborne, żeby ucałować rękę królowej. „Omamiony starzec osiemdziesięciodwuletni

— powiedziała królowa z niesmakiem — usiłujący ze swymi nieszczęsnymi demokratami rządzić Anglią. Był wręcz śmieszny”.

— To będzie krok w górę dla pewnej partii — zauważyła hrabina.

Zastanawiałam się, co Drake robi. Czy przedsięwzięcia towarzyskie Julii są dla niego rekompensatą za brak miłości.

— Tylko że niedługo oni się skończą — przepowiadała hrabina. — Ta mania Gladstone'a na punkcie Irlandii doprowadzi ich do upadku.

Zastanawiałam się też często nad dzieckiem poczętym tak przypadkowo. Czy ono będzie dla Drake'a pociechą? Później się dowiedziałam, że dziecka nie ma i wcale nie było — a zatem powód, dla którego Drake poślubił Julię, nie istnieje.

Wyczekiwałam wiadomości. Myślałam o Drake'u. Słyszałam, że projekt ustawy o samorządach autonomicznych, przeforsowany przez Gladstone'a w Izbie Gmin, Izba Lordów odrzuciła.

Minął jeszcze jeden rok, a ja myślałam o Drake'u nadal. Byłyśmy jednak tak zajęte, że niewiele czasu pozostawało na cokolwiek poza naszym salonem.

Ojciec regularnie przyjeżdżał do Paryża. Bardzo nam pomagał — nie tylko finansowo — bo chciał, tak samo jak my, żeby przedsiębiorstwo kwitło.

Katie stała się jego oczkiem w głowie, zwłaszcza że gawędziła z nim już w jego języku.

Nieustannie namawiał mnie do odwiedzenia winnic. Katie będzie się tam świetnie czuła, argumentował. I miał rację.

Najbardziej ze swoich kilku winnic lubił Villers–Carsonne, tę w pobliżu Villers–Mûre. Jak przypuszczałam, dlatego, że była w jego stronach rodzinnych i przypominała mu dzieciństwo.

Gdy mówił o niej, w głosie mu brzmiała jakaś miękka nuta. Ale nie tam zabrał nas najpierw, tylko do winnicy niedaleko Paryża.

Myślał, że Katie zainteresuje *la vendange*. Ona rzeczywiście była zachwycona, i to przez całe tygodnie naszego pobytu. Gdy nie uczestniczyła w winobranii, jeździła konno. Uczył ją na polecenie ojca jeden ze stajennych. Patrząc na to wracałam pamięcią do tamtych dni w Swaddingham — wówczas uczył ją Drake — i ze smutkiem myślałam, jak by to mogło teraz być.

Ale w takich chwilach pocieszał mnie widok radosnej twarzyczki Katie. Nadeszła uroczysta chwila jej pierwszej samodzielnej przejażdżki po padoku. Stajenny już nie musiał prowadzić jej kuca. Ojciec powiedział, że Katie jest urodzoną amazonką, tak swobodną w siodle, jak na własnych dwóch nogach. Zaczął z nią jeździć po winnicy — on na dużym karym koniu, ona na kucyku. Mówił jej o winogronach i rad odpowiadał na niezliczone pytania. Po powrocie wszystko mi powtarzała.

W tej winnicy, dosyć jeszcze staroświeckiej, wyciskano sok z winogron odwiecznym sposobem, czyli deptano je. Chyba ojciec chciał, żeby Katie to zobaczyła, i dlatego nas tam przywiózł.

Rozmawiał z nią jak z dorosłą, czym podbił jej serce.

Wyjaśnił, że w większości swoich winnic używa maszyn do wyciskania soku. Są to dwa drewniane walce obracające się w przeciwnych kierunkach i żadna jagoda im nie umknie. Ale niektórzy wolą stare sposoby stosowane od stuleci.

Jakiż mieliśmy wieczór! Winogrona, które przez dziesięć dni leżały na klepisku w blasku słońca, wrzucono do koryt i wieśniacy śpiewając tańczyli na nich, a sok spływał do ustawionych pod korytami kadzi.

Czarowne widowisko dla Katie i chyba dla nas wszystkich. Ojciec czule patrzył na nią, gdy przyglądała się w urzeczeniu, z włosami rozwianymi, z iskierkami zachwytu w oczach.

— Musicie zawsze przyjeżdżać na winobranie — powiedział.

Katie wróciła do Paryża niechętnie, ale szybko zapomniała o swoim żalu i znów była zadowolona.

Pamiętam, jak do naszego paryskiego salonu zawitała jedna z angielskich klientek, lady Bonner, znana ze swoich świetnych przyjęć i poinformowana o cudzych prywatnych sprawach lepiej niż którakolwiek inna dama w Londynie. Zawsze skwapliwie służyła swymi informacjami.

Wiedząc o moich powiązaniach z Julią, zapytała, czy ostatnio miałam od niej wiadomości.

Odpowiedziałam, że nie.

— Ojej! To wprost skandal. Biedny Drake okropną popełnił pomyłkę. Oczywiście, chodziło mu o jej pieniądze. Potrzebował ich. Jest ambitny. Wiadomo, pochodzi z bogatej rodziny, ale ma taką dumę, która mu każe powiedzieć: „Nie. Ja sam sobie poradzę”. A to radzenie sobie oznacza ożenek z pieniędzmi... no więc się ożenił. Ale jakież brzemie ten biedak nieświadom wziął na swoje barki. Ona pije, wie pani?

— Och!?! — powiedziała tylko.

— Och tak, moja droga. Chyba pani wiedziała? Zawsze był z nią kłopot, a już teraz zrobił się rzeczywiście poważny.

— Miało być dziecko... — zaczęłam. — Może poroniła...

— Dziecko! Wielkie nieba, nie! Gdzie tam Julii do macierzyństwa! To było na tej gali. Tak się wstawiła... chwiała się, kiedy rozmawiała z lordem Roseberry, i gdyby Drake jej nie przytrzymał, upadłaby na twarz. I można sobie wyobrazić, co wygadywała. Biedny Drake był

strasznie zażenowany. To by mogło go pozbawić teki... gdybyśmy mieli jakiś stały rząd. Myślał, że jej pieniądze mu pomogą... i pomogłyby, gdyby ona była odpowiednią żoną. Im wszystkim się zdaje, że znajdują sobie drugą Mary Anne Disraeli. Grubo się pomylił, biedny Drake, i to może mu zrujnować karierę.

— Ale on jest zdolnym politykiem — zaprotestowałam.

— Zaledwie w połowie tej bitwy, moja droga.

Dalej opowiadała o londyńskiej socjocie, ja jednak prawie jej nie słuchałam. Myślałam o Drake'u, który wplątał się w taką kabałę.

Biedny Drake, nie lepiej mu teraz niż mnie — a nawet gorzej. Ja mam swoje pociechy, za co dziękuję Bogu.

Cassie przyjechała do Paryża, hrabina od czasu do czasu jeździła do Londynu. Już ciągnęłyśmy w Paryżu zyski, a w Londynie nasze interesy nadal kwitły. Cieszyłyśmy się renomą w świecie mody.

Od ślubu Drake'a z Julią minęły trzy lata. Katie miała teraz jedenaście lat.

Pewnego dnia ojciec oznajmił:

— Zabieram was do Villers–Carsonne.

Nieraz mówiąc o Villers–Carsonne, wydawał się trochę tajemniczy. Chyba nie bez jakiegoś powodu mówił o tej miejscowości niechętnie, więc byłam pewna, że nie chce nas tam zabrać.

Teraz najwidoczniej się zdecydował. Skorzystał ze sposobności, gdy zostaliśmy sami, żeby ze mną poruszyć ten temat.

— Może się dziwisz — powiedział — dlaczego zapraszam cię do Carsonne dopiero teraz.

Przyznałam, że się dziwię.

— To niedaleko domu, w którym się wychowałem. Moja ulubiona winnica, stamtąd są nasze najlepsze wina. Często tam bywam, ale ciebie nigdy tam nie zabrałem. Dlaczego? — zapytałaś.

— Nie zapytałam — pośpieszyłam sprostować. — Ale zapytam.

Wahał się przez chwilę, zanim wyjaśnił.

— Dlatego, że wiele jeszcze mam ci do powiedzenia. Twój dziadek, Alphonse St Allengère, jest dobrze znany w tamtej części kraju. Mówią, że Villers–Mûre to on. Może trudno ci takie sprawy zrozumieć, ale Villers–Mûre przypomina społeczność feudalną. W Villers–Mûre mój ojciec jest panem wszystkich, *le grand seigneur, monsieur le patron*. Jest potężny jak średniowieczny król. Prawie wszyscy w tej społeczności są zależni od manufaktury jedwabiu; a ta manufaktura należy do niego. Jemu więc zawdzięczają środki utrzymania.

— Wydaje się straszny.

Ojciec przytaknął z powagą.

— On by ciebie nie przyjął, Lenore.

— Rozumiem, że nie uznaje we mnie swojej wnuczki. Ale czy z tej racji nie wolno mi przyjechać do twojej winnicy, ojczy? Winnica jest twoja, nie jego.

— Moja. On widuje się ze mną, kiedy tam przyjeżdżam. Powodzi mi się, nie potrzebuję pomocy, więc poczuł do mnie szacunek. Daje do zrozumienia, że jestem nieposłusznym synem, ale chcąc, nie chcąc pozwala się odwiedzać.

— Myślę, że ja bym raczej powstrzymywała się od odwiedzin.

— A jednak nie. Jest w nim coś szczególnego... coś, co sprawia, że ludzie, nawet oburzeni jego postawą, są mu posłuszni.

— Nie boleję nad tym, że nie zostanę przyjęta.

— Ursule, moja siostra, bardzo pragnie cię poznać.

— Czy dostanie pozwolenie na to?

— Ursule nie mieszka we dworze Villers–Mûre. Mieszka w Villers–Carsonne. Wyrzekł się jej. Bo rzuciła mu wyzwanie, rozumiesz.

— Wybacz, papa, ale twój ojciec wydaje mi się człowiekiem, z którym lepiej nie mieć do czynienia.

Przytaknął.

— Wyrzekł się Ursule wkrótce po rozprawie ze mną. W domu zjawił się malarz przyjęty do odświeżenia cennych starych obrazów, Louis Sagon, obecnie jej mąż. Namalował portret Ursule i zakochał się w niej... z wzajemnością. Ojciec miał dla Ursule inne plany. Nie zgodził się na ten związek. Więc uciekli i w rezultacie wyklął ją. Wyszła za Louisa Sagona, osiedlili się w Villers–

Carsonne. Ojciec od tamtej pory się z nią nie widział. Ursule była odważniejsza niż ja.

— Jest szczęśliwa w małżeństwie?

— Tak. Ma syna i córkę. Pragnie cię poznać. Ja często się z nią widuję, kiedy przyjeżdżam do tej winnicy.

— Więc wyrzekł się was obojga.

— Oboje sprawiliśmy mu zawód. Natomiast Renę, mój starszy brat, to dobry syn. Przejął

sporo pracy w manufakturze, chociaż oczywiście nadal podlega ojcu. Ma dwóch synów... i były dwie córki... bliźniaczki... jedna z nich, Heloise nie żyje.

— Od dawna?

— Od dwunastu lat mniej więcej.

— Młodo umarła.

— Miała siedemnaście lat. Ona... utopiła się. Wielki cios dla nas wszystkich, a zwłaszcza dla Adele... jej bliźniaczki. Były ze sobą zżyte.

— Dlaczego to zrobiła?

— Jakaś sprawa sercowa. Dosyć tajemnicza.

— Wydaje mi się, że to bardzo smutny dom, no, ale nic dziwnego, skoro rządzi nim taki człowiek.

Przytaknął posępnie.

— Chcę, żebyś była przygotowana, zanim tam pojedziesz.

— Nie będę myślała o dziadku. Jeżeli on nie chce mnie widzieć, ja też nie chcę widzieć jego.

— Ursule nie może się ciebie doczekać. Wciąż nalega, żebym cię przywiózł.

— Więc na spotkanie z nią też czekam niecierpliwie. To oczywiście moja ciotka.

— Polubisz i ją, i Louisa Sagona. Louis jest pochłonięty swoją pracą, na pozór niewiele go obchodzi cokolwiek innego, ale na pewno przypadnie ci do serca. To człowiek spokojny, delikatny i wielkiej dobroci.

— Z radością ich poznam... i zapomnę o tym potworze, moim dziadku.

A jednak ojciec, chociaż poniekąd przygotował mnie na to, czego miałam się spodziewać, wyraźnie żywił pewne obawy.

Pożegnałam Grand'mère i hrabinę i wyruszyłam z Katie i ojcem w drogę.

* * *

Jechaliśmy pociągiem. Długa to była podróż z Paryża. Katie, ogromnie podniecona, nie ruszała się od okna. Ojciec siedział obok i pokazywał jej charakterystyczne szczegóły krajobrazu.

Przejeżdżaliśmy przez miasteczka i wsie, mijaliśmy rzeki i wzgórza. Z wielkim zainteresowaniem Katie i ja patrzyłyśmy na winnice, gdy ojciec tylko rzucał na nie okiem znawcy. Zobaczyłyśmy kilka starych zamków, szarych, kamiennych, z upstrzonymi czerwienią basztami, tak bardzo francuskich. Ojciec, w miarę jak zbliżaliśmy się do miejsca jego urodzenia, mówił coraz mniej. Zapewne był trochę niespokojny, może zastanawiał się, jak zareaguje jego ojciec, jeśli dowie się, że jestem w Villers-Carsonne.

Na stacji w Carsonne czekał na nas powóz. Wiedziano dokładnie, kiedy przyjedziemy, bo w tych stronach kursował tylko jeden pociąg dziennie.

Była to mała stacyjka.

— Szczęście, że mamy bodaj taką — powiedział ojciec. — Le Comte de Carsonne uparł się, żeby pociąg tu się zatrzymywał. Jest bardzo ustosunkowany. Nie obyło się chyba bez walki, ale le Comte zwykle stawia na swoim. — Skinięciem ręki przywołał stangreta w granatowej liberii, stojącego nie opodal. — Alfredo! — I zwrócił się do mnie. — To Włoch. Wśród służących są Włosi. Jesteśmy blisko granicy, pod niejednym względem ulegamy włoskim wpływom. Alfredo zaczął ładować bagaże do powozu.

— To jest moja córka, madame Sallonger — poinformował go ojciec — i moja wnuczka, mademoiselle Katie Sallonger.

Alfredo uklonił się i wziął od nas torby.

Ojciec był najwidoczniej dosyć ważną postacią w okolicy. Ludzie dotykali czapek i pozdrawiali go, gdy jechaliśmy powozem.

Winnica rozciągała się przed nami. Robotnicy już zrywali winogrona ostrożnie, żeby zbyt gwałtownymi ruchami nie uszkodzić jagód.

Ojciec powiedział:

— Przyjechaliśmy akurat w porę na *la vendange* — na co Katie radośnie klasnęła w ręce.

Zobaczyłam zamek. Stał na kwadratowym wzniesieniu otoczonym głębokimi rowami.

— Wspaniały! — wykrzyknęłam.

— Château Carsonne — powiedział ojciec.

— Czy to tego Comte... tego, który się uparł, żeby doprowadzić do Carsonne kolej?

— Tegoż samego.

— On tu mieszka?

— Och, tak. O ile wiem, ma dom w Paryżu... i prawdopodobnie niejedną gdzie indziej, ale to jest siedziba rodu Carsonne.

— Poznamy ich... tych Carsonne'ów?

— Niezbyt prawdopodobne. Nasze rodziny nie są ze sobą w najlepszych stosunkach.

— Jakaś odwieczna nieprzyjaźń?

— Raczej nie. Ziemia mojego ojca graniczy z ich ziemią. Powiedziałbym, że zbrojna neutralność... a nie otwarta wojna. Ale tak jedna, jak druga strona gotowa wszcząć akcję w razie najmniejszego bodaj zadrażnienia.

— A więc stan wojenny.

— Tobie z twoim angielskim wychowaniem trudno zrozumieć zapalczywość tutejszych ludzi.

To ta romańska krew... Wychowanie sprawiło, że w tobie nie kipi, chociaż się z tą krwią urodziłaś.

Roześmiałam się. — Ciekawe.

— Zaraz zobaczymy mój dom. Och, już go widać.

Katie podskakiwała, podniecona. Ojciec objął ją ramieniem.

Przed nami stał zamek w miniaturze, oczywiście z basztami. Jego kamienną szarość urozmaicały okiennice i balkony z kutego żelaza. Był uroczy.

Oczekiwano nas na podjeździe.

— Jest Ursule — powiedział ojciec. — Ursule, kochanie, jak miło, że przyszliście! I ty, Louis!

— Zwrócił się do mnie. — To jest twoja ciotka, Ursule. A to jej mąż, Louis. — Uśmiechnął się do nich. — Lenore — przedstawił mnie — i moja wnuczka, Katie.

— Witamy w Carsonne — powiedziała Ursule, ciemnowłosa, dosyć podobna do mojego ojca i tak wyraźnie dobrotliwa, że natychmiast ją polubiłam.

Louis ujął mnie za obie ręce i powitał serdecznie. Był łagodny, delikatny, dobrze go ojciec określił.

— Od dawna molestowaliśmy twojego papę, żeby cię przywiózł — powiedziała Ursule. —

Wejdźmy już. My mieszkamy o pół kilometra stąd. Śpieszyło się nam do poznania ciebie.

Weszliśmy po schodkach i znaleźliśmy się w długiej przestronnej sieni z boazerią i wielkim kominkiem, połyskliwym od mosiężnych ornamentów.

— Już zarządziłam, który pokój dostanie Lenore — mówiła Ursule. — Uznałam, że lepiej tej sprawy nie zostawiać służbie. Katie będzie miała sąsiedni pokój.

— Dziękuję — powiedziałam. — Lubimy być blisko siebie.

Katie wprost chłoneła wszystko, gdy Ursule poprowadziła nas na górę do naszych pokoiów.

Mój był niski z bladozielonymi portierami i kapą na łóżku, i popielatym dywanem w nikły zielony deseń. Przytulny pokój, zachęcający do wypoczynku i, co mnie ucieszyło, połączony z pokojem Katie wewnętrznymi drzwiami.

Inne drzwi, oszklone, prowadziły na balkon. Z balkonu zobaczyłam w dali baszty zamku Carsonne i miasteczko czy raczej nagromadzenie dachów koloru terakoty. Bliżej w dole ciągnęły się wszechobecne winnice.

Ogarnęło mnie dziwne wzruszenie. Za tym zamkiem jest Villers-Mûre, są morwy i zakłady jedwabnicze... to tam po raz pierwszy ujrzałam światło dnia. Chyba każdego musi wzruszyć widok okolic, w których się urodził, szczególnie, jeśli te okolice były mu dotychczas nie znane.

Pokojówka przyniosła gorącą wodę. Umyliśmy się i przebrałyśmy. Katie wykrzykiwała, ilekroć odkryła coś nowego.

— Prawda, że to nadzwyczajne — powiedziała — znaleźć dziadka w parku? I wciąż czegoś można się o nim dowiedzieć. Dziadkowie innych dzieci są dosyć nudni. I ma się ich od samego początku.

— Niektóre dzieci może tak wolą — zauważyłam.

— Ja nie. Ja wolę dziadka po naszymu.

Obiad podano na dziedzińcu. Później zabrali nas z powrotem do domu, żebyśmy poznały służących. Było ich sporo. Ursule po drodze mi wyjaśniła:

— Jadamy pod gołym niebem aż do nastania chłodów. Lubimy świeże powietrze. Czasami bywa bardzo upalnie, Georges, syn twojego ojca, często tu przyjeżdża. Ma swój dom w odległości piętnastu kilometrów stąd. Brigitte, jego siostra, niedawno wyszła za mąż i mieszka w Lionie. Chyba poznasz ich kiedyś. Cieszę się, że mój brat ma ciebie. Nigdy nie zapomniał o twoim istnieniu i kiedy twoja babcia tu przyjechała i odszukała go, był taki podniecony... taki szczęśliwy. Cudownie, że jesteś tutaj.

— Ojciec jest dla mnie bardzo dobry.

— On uważa, że nie zdoła wynagrodzić...

— Już wynagrodził... wprost nie potrafię ująć tego w słowa.

Zapytała, czy jeżdżę konno, odpowiedziałam, że tak.

— To dobrze. Niełatwo tu się poruszać inaczej, a powinnaś obejrzeć okolicę.

— Chciałabym zobaczyć Villers–Mûre.

Po chwili milczenia powiedziała:

— Ja tam nie byłam ponad dwadzieścia lat.

— Przecież to tak blisko.

— Nie słyszałaś tej historii? Wysłałam za mąż wbrew woli ojca. Nie wybaczył mi.

— Straszne... przez tyle czasu.

— Tak to jest.

— I nigdy... żadnych kroków do pojednania?

— Jasne, że nie. Nie znasz mojego ojca. On się chlubi swoją niezłomnością. Raz powiedział, że mam mu zejść z oczu, i wystarczy. Już nigdy nie będzie się ze mną widział.

— Więc z pewnością wiele mu brak w życiu. Z pewnością czuje się nieszczęśliwy.

Pokręciła głową.

— Ma wszystko, czego chce. *Le seigneur de Villers–Mûre*. Król w królestwie, gdzie ludzie muszą go słuchać i gdzie wymierza kary za nieposłuszeństwo. Myślę, że jest zadowolony. No, ja nie żałuję swojego wyboru.

— Więc ciocia tam nie bywa?

— Nigdy.

Gdy już Ursule pokazała nam dom, ojciec zabrał nas do winnicy. Potem znów jedliśmy na dziedzińcu i siedzieliśmy po kolacji, aż zapadł zmrok. Nocne powietrze było wonne, coraz więcej gwiazd iskrzyło się na niebie, przelatywały nietoperze, nisko, tuż nad naszymi głowami, a myśmy siedzieli.

Ojciec, wiedziałam, cieszył się, że w końcu przywiózł mnie z Katie. Ursule i Louis mieli zostać u niego przez parę dni. — Dopilnujemy, żebyście się zadomowiły — powiedziała Ursule.

— Twój ojciec od czasu do czasu potrzebuje gospodyni, wtedy nieraz mu się przydaję.

Rozmawialiśmy dosyć chaotycznie o miasteczku Carsonne, prawie tuż przy granicy włoskiej, i o klimacie, akurat właściwym do uprawy winorośli.

Ogarnęła nas senność, tak działało wino, które ojciec przyniósł z piwnicy mówiąc, że wybrał na tę okazję swoje najlepsze. Oczy Katie się kleiły. Ostatecznie stwierdziliśmy, że pora już udać się na spoczynek.

Położyłam Katie do łóżka.

— Zostawię drzwi między naszymi pokojami otwarte — powiedziałam. — Więc będę blisko.

Katie była z tego rada. Może wydawało jej się, że na wsi o zmroku jest jakoś niesamowicie.

Zasnęła, ledwie otuliłam ją kołdrą i ucałowałam na dobranoc.

Przeszłam do swojego pokoju, rozebrałam się, ale zanim się położyłam, wyszłam na balkon.

Było ciemno i tajemniczo — roziskrzone gwiazdy jaśniały na bezchmurnym niebie jak gdyby bliżej teraz ziemi. Zamek Carsonne, butny, potężny, wyglądał raczej groźnie. Wprost nie mogłam oczu od niego oderwać.

Nazajutrz, gdy się obudziłam, pamiętałam, co mi się śniło. Wstałam czując się bardzo nieswojo i przede wszystkim wyszłam na balkon, żeby znów zobaczyć le château Carsonne.

* * *

Kilka dni przeleciało jak na skrzydłach. Ursule i Louis wyruszyli z powrotem do swojego domu, nalegając, żebym Katie odwiedziła ich wkrótce. Powiedziałam, że nic mi nie sprawi większej przyjemności. Już się z nimi zaprzyjaźniłam.

— Zawsze w czasie *la vendange* mamy tu trochę zamieszania — tłumaczył ojciec. —

Wszyscy są podnieceni. Bo to przecież uwieńczenie ciężkiej całorocznej pracy. Skończyły się utrapienia, niepewność, czy będą dobre zbiory, czy w ogóle jakieś zbiory będą... i oto jest osiągnięcie.

— Podniecenie zupełnie zrozumiałe.

— Gdybyś wiedziała, ileśmy ucierpieli. Było dosyć mokro w tym roku, musieliśmy mieć się na baczności przed pleśnią. Ale poza tym to niezły sezon. I teraz już wszystko się zbiera. Więc rozradowani wyczekujemy wielkiego finału.

Przydzielił nam wierzchowce, Katie i mnie, żebyśmy odbywały przejażdżki krajoznawcze.

Katie jeździła konno pełna zapału, ale jeszcze bardziej interesowało ją winobranie.

Lubiła jeździć z moim ojcem, którego zawsze cieszyło jej towarzystwo, toteż wiedząc, że jest zadowolona i pod dobrą opieką, mogłam się wypuszczać na samotne wyprawy.

To było chyba czwartego dnia po naszym przybyciu. Gdy nawet krajobraz, zdawałoby się, odbywał popołudniową sjęstę, włożyłam amazonkę i poszłam do stajni.

Ojciec mi zarekomendował pewną kasztankę, niedużą i nie zanadto harcującą, ale rączną.

Odpowiadałyśmy sobie nawzajem. W to popołudnie pojechałam na niej.

Niewiele myśląc skierowałam się w stronę Villers–Mûre. Wiedziałam, któredy wjechać na szczyt wzgórza, żeby popatrzeć w dolinę. Już sobie upodobałam to miejsce i czułam, że kiedyś nie oprę się pokusie, zjadę w dół do tej wsi.

Więc wjechałam na wzgórze. Z wysoka widać było morwy i w dali manufakturę ze szklanymi oknami. Nie wyglądała na fabrykę. Przed nią przepływał strumień, przerzucony nad wodą mostek oplatały pnącza — bardzo malowniczo. Widziałam też wieże dużego domu i zaczęłam się zastanawiać, co porabia mój dziadek, czy wie, że jego wnuczka jest tak niedaleko.

Kiedyś — myślałam — zjadę do Villers–Mûre. Poszukam domku, w którym Grand'mère mieszkała z córką. Ciekawe, czy moja matka przychodziła na to wzgórze i patrzyła stąd na ten widok, tak jak ja teraz. Gdzie spotykała się z moim ojcem? Gdzie ja zostałam poczęta? Tam jest miejsce mojego urodzenia, ale mnie tam nie wolno być.

Zawróciłam. Słońce mocno grzało. Z prawej strony las zachęcał cieniem, biła woń sosen.

Skierowałam kasztankę w prawo, sosny rosły coraz gęściej. Zrobiło się pięknie... pachniała wilgotna ziemia... ale cienisty chłód przesyciała ta woń sosnowa. Coraz dalej wjeżdżałam w las.

Na pierwszy rzut oka wydawał się nieduży, byłam więc pewna, że zaraz z niego wyjadę.

Usłyszałam szczekanie psa. Ktoś jest w lesie. Czy może tylko jakiś samotny pies? Szczekanie gniewne, zajadle dolatywało już z bliska. Nagle zobaczyłam za drzewami dwa owczarki alzackie.

One też mnie zobaczyły. Zaskowytały, jak gdyby z triumfem, i wielkimi susami ruszyły ku mnie.

Zatrzymały się przede mną, szczekając rzeczywiście groźnie. Kasztanka drżała. Odrzuciła łeb w tył, bardzo niespokojna.

— Już was tu nie ma! — wrzasnęłam z wysiłkiem, żeby to zabrzmiało rozkazująco.

Ale psy to chyba rozwścieczyło, bo czekały jeszcze zajadlej, sprężone, jakby były gotowe się rzucić.

Ku mojej uldze jakiś jeździec wyłonił się zza drzew. Powściągnął swojego wierzchowca i wlepił wzrok we mnie. Po chwili powiedział:

— Fidele, Napoleon! Do nogi!

Psy natychmiast ucichły i podbiegły do jego konia.

W ciągu tych kilku sekund zdążyłam mu się przyjrzeć. Siedział na tym wspaniałym karym ogierze, jak gdyby był z nim zrośnięty. Przypominał centaura. Oczy miał czarne, ciężkie powieki, brwi wydatne, włosy pod dżokejką prawie krucze, a przy tym cerę bladą niezwykle w zestawieniu z tą czernią oczu i włosów. Jego nos określiłabym przymiotnikiem: agresywny —

długi, arystokratyczny, przypominał mi portrety króla Franciszka I. Najbardziej jednak wyrazistą częścią jego twarzy były usta. Dopatrzyłam się w nich okrucieństwa i zarazem poczucia humoru.

Nikogo o tak imponującej prezencji dotąd w życiu nie widziałam, dlatego więc mogłam w jednej krótkiej chwili zobaczyć go tak dokładnie.

Od razu wiedziałam, że to ktoś możny, kto stawia się ponad ludźmi i jest przyzwyczajony do tego, że są posłuszni, tak samo jak jego psy. Teraz on mnie się przyglądał, lekko unosząc wydatne brwi. Pod jego przenikliwym wzrokiem poczułam się nieswojo. Nie zdołałam ukryć, że te oględziny mnie irytują.

— Zapewne — powiedziałam — to są pana psy.

— Moje i mój jest ten las, a pani tu wtargnęła.

— Przepraszam.

— Ścigamy prawnie intruzów.

— Nie miałam pojęcia, że tu wstęp wzbroniony.

— Są tablice.

— Niestety, nie widziałam ich. Nie jestem tutejsza.

— To żadne usprawiedliwienie, mademoiselle.

— Madame.

Uklonił się ironicznie.

— Pardon, po tysiąc kroć, madame. Mogę wiedzieć, jak pani godność?

— Madame Sallonger.

— St Allengère. Więc jest pani spowinowacona z tymi kupcami jedwabiu.

— Nie powiedziałam St Allengère. Powiedziałam Sallonger. To nazwisko mojego męża.

— I mąż pani... jest tutaj?

— Mój mąż nie żyje.

— Przykro mi.

— Dziękuję. Teraz przeproszę za kłopot, jaki sprawiłam, i wyjadę z tego pańskiego lasu, jeżeli pan ze swoimi psami mi na to pozwoli.

— Służę eskortą.

— Nie ma potrzeby. Na pewno sama znajdę drogę.

— W tym lesie łatwo zablądzić.

— Nie wydaje mi się taki rozległy.

— Niemniej... jeżeli pani pozwoli.

— Oczywiście... żeby pan był spokojny, że wyjechałam z pana ziemi natychmiast. Mogę tylko jeszcze raz przeprosić za wtargnięcie. To nigdy już się nie zdarzy.

Podjechał do mnie. Pogłaskałam kasztankę i szeptem spróbowałam ją uspokoić. Nadal była zdenerwowana obecnością psów.

— Niespokojna — zauważył.

— Nie podobają jej się pańscy Fidele i Napoleon.

— To bardzo uległa parka.

— Wyglądają groźnie.

— Potrafią być groźne, kiedy pełnią swoją powinność.

— To znaczy usuwają intruzów z pańskiej ziemi.

— Między innymi. Proszę tędy.

Jechał obok mnie przez las. Psy, teraz potulne, akceptowały mnie i kasztankę, widząc, że nas akceptuje ich pan.

— Niech mi pani powie, madame Sallonger, bawi pani tu w okolicy z wizytą?

Odpowiedziałam.

— U mojego ojca, Henri de St Allengère.

— Więc pani to jedna z nich.

— Chyba.

— Rozumiem. I nawet wiem, kim pani jest. Tą wnuczką, którą babka zabrała do Anglii, co tłumaczy pani akcent i poniekąd cudzoziemskie wzięcie.

— Ubolewam nad swoim akcentem.

— Niech pani nie ubolewa. Jest czarujący. Mówi pani w naszym języku płynnie i tylko troszeczkę akcent panią zdradza. Podoba mi się. A co do sposobu bycia... też mi się podoba. *Vive la difference!*

Uśmiechnęłam się.

— Teraz — ciągnął — zadaje pani sobie pytanie: kim jest ten arogant, który śmiał mnie zagadnąć i wyrzuca mnie ze swojego lasu? Czy tak?

— No, kim on jest?

— Postacią niezbyt sympatyczną, jak się pani już orientuje.

Patrzył na mnie wyczekująco, ale nie odpowiedziałam. To go rozbawiło. Roześmiał się. Znów mu się przyjrzałam. Był już innym człowiekiem. Oczy mu błyszczwały, roześmiane. I usta się zmieniły: złagodniały.

— Słusznie by tak pani zapytała — powiedział. — Nazywam się Gaston de La Tour.

— Mieszka pan w tej okolicy?

— Tak, niedaleko.

— I jest pan dumny ze swojego lasu. Chce go pan mieć wyłącznie dla siebie.

— Zgadza się — przyznał. — Nie ścierpię w nim nikogo.

— To piękny las — powiedziałam — więc szkoda, że go pan nie udostępnia ludziom.

— Właśnie dlatego, że jest piękny, chcę go mieć dla siebie. Widzi pani, jaki ze mnie sknera.

— ,Co ludzie psują w pańskim lesie?

— Raczej nic. Ale niech pomyślę. Mogliby niszczyć drzewa... wywołać pożar. Prawdziwy jednak powód jest taki, że nie lubię się dzielić tym, co moje. Myśli pani, że to naganne?

— Myślę, że to pospolita ludzka słabość.

— Studiuje pani naturę ludzką?

— A pan?

— Ja jestem pochłonięty samym sobą... stworem wprost niemożliwym, doprawdy.

— Ma pan jedną zaletę.

— Błagam, niech mi pani powie, co dobrego we mnie pani odkryła.

— Pan wie, jaki pan jest... pana własne słowa: wprost niemożliwy. Znajomość samego siebie to ogromna zaleta, mało kto ją ma.

— Cóż za uroczy intruz! Bardzom rad, że wpadła pani na pomysł, żeby wjechać do mojego lasu. Proszę, madame Sallonger, powiedzieć mi, jak długo pani wśród nas zostanie?

— Przyjechałyśmy na winobranie.

— My?

— Moja córka i ja.

— A więc ma pani córkę.

— Tak. Jedenastoletnią.

— Coś nas łączy. Ja mam syna. Dwunastoletniego. Oboje jesteśmy... rodzicami. I jeszcze coś.

Pani wdowa. Ja wdowiec. Prawda, że to interesujące?

— Nie wiem. Interesujące? Z pewnością jest na tym świecie wiele ludzi owdowiałych. I przypuszczam, że dosyć często się spotykają.

— Bardzo pani prozaiczna... spokojna... logiczna. Czy to ta Angielka w pani?

— W istocie jestem Francuzką, tylko odebrałam angielskie wychowanie i wykształcenie.

— Prawdopodobnie wychowanie najbardziej rzutuje na charakter. Powiem pani szczerze.

Wiem dokładnie, kim pani jest. Miałem osiem lat wówczas. No, już pani wie, ile mam lat teraz.

Tutaj nie da się niczego utrzymać w sekrecie. Był wielki szum. Henri St Allengère i ta dziewczyna... jedna z miejscowych piękności... Niegodziwy starzec zniweczył ich przyszłość.

On nałogowo wszystko niweczy, ten stary Alphonse St Allengère. Jeden z miejscowych ludojadów... najpotworniejszy.

— Ma pan rację myśląc, że jestem jego wnuczką.

— Moje kondolencje.

— Wnoszę, że pan go nie lubi.

— Miałbym go lubić? Czy lubi się grzechotnika? Dobrze go znają tu wszędzie. W kościele zobaczy

pani witraże odnowione sumptem Alphonse'a St Allengère, dobrodzieja. Ambona jest darem od niego. Dach kościoła po generalnym remoncie. Dzięki niemu wypowiedziano wojnę kornikom, jemu ten kościół zawdzięcza przetrwanie. On jest zarówno dobrym przyjacielem Boga, jak najgorszym wrogiem ludzkości.

— Czy możliwe?

— Na to, droga madame Sallonger, chyba pani ze swoim zrozumieniem natury ludzkiej potrafi odpowiedzieć lepiej niż ja.

— Długo się jedzie przez ten las — zauważyłam.

— Rad jestem z tego. Przynajmniej mogę się nacieszyć tą ciekawą rozmową.

Nagle stałam się podejrzliwa. Tak długo nie jechałam, zanim zobaczyłam psy. Wytłumaczył sobie moją minę i uśmiechnął się przymilnie.

— Dokąd wyjedziemy z lasu? — zapytałam.

— Zobaczy pani.

— Niezbyt dobrze znam ten obszar. Chcę trafić na moją drogę powrotną.

— Ze mną pani nie zabłądzi.

— Powinnam już wracać. Będą się o mnie niepokoić.

— Proszę zdać się na mnie.

— Chyba nie wjechałam w ten las aż tak daleko.

— Ten las jest piękny... tak pani powiedziała.

— Owszem. Ale nie mam zamiaru w nim pozostawać.

— Udzielam pani pozwolenia przebywania w moim lesie, kiedy tylko pani zechce.

— Dziękuję. Bardzo to wielkoduszne.

— Mam swoje dobre cechy.

— Nie wątpię.

— Więc udało mi się oczyścić w czasie tego przelotnego spotkania.

— Ależ tak. Po pierwszym wstrząsie był pan bardzo uprzejmy. A teraz, jeśli mi pan pokaże, którądy mam wyjechać z lasu szybko... będę bardzo wdzięczna.

— Pani wdzięczność jest czymś, co doceniam. Proszę ze mną.

Drzewa się przerzedzały. Wyjechaliśmy na otwartą przestrzeń. Przed nami wznosił się zamek.

Zachłysnęłam się i powiedziałam. — Wspaniały.

— Siedziba hrabiów de Carsonne od stuleci.

— Wiem. Opowiadano mi o nich. Widziałam ten *château*, kiedyśmy przyjechały, i zrobił na mnie wrażenie.

— Jeden z najświetniejszych i najstarszych w tej części kraju.

— O ile wiem, obecny hrabia często w nim rezyduje.

— Tak, chociaż na ogół przebywa w Paryżu.

— Czy to jego winnice?

— Tak. Małe są w porównaniu z winnicami monsieur Allengère, ale, rzecz jasna, w winie zamkowym jest coś specjalnego.

— No, na pewno. Stąd już trafię do domu. Dziękuję za ocalenie mnie przed tymi pana potworami.

— Mówi pani o moich dobrych, wiernych psach?

Przytaknęłam.

— I dziękuję za eskortę.

— Bardzo pani łaskawa. Spróbuję się odwzajemnić. Powtarzam: mój las stoi przed panią otworem, kiedy tylko pani zechce.

— Doprawdy, uprzejmie z pana strony.

— Może przypadkiem w lesie się spotkamy.

Nie odpowiedziałam. Gdy przyszło mi na myśl, że on zwleka z pokazaniem mi drogi powrotnej, byłam zaniepokojona. A teraz żałowałam, że to spotkanie już się kończy.

Zatrzymaliśmy się wierzchowiec przy wierzchowcu, na łagodnym wzniesieniu. Rozejrzałam się wokoło.

— Tam — powiedział — jest winnica pani ojca. Pojedzie pani prosto tym zboczem w dół i na przełaj przez łąkę.

— Rozumiem. I dziękuję. Do widzenia, monsieur de La Tour.

— *Au revoir*, madame Sallonger.

Wiedziałałam, że on patrzy na mnie, gdy odjeżdżałam. Czułam przyjemne mrowienie. Było tak zabawnie. Zainteresował mnie. Nie powiedziałabym, że mi się podobał. Nigdy nie podziwiałam mężczyzn aroganckich. Ani Philip, ani Drake nie byli tacy. Philip z natury delikatny, Drake też.

Ten był zupełnie inny i przez cały czas doznawałam wrażenia, że stroi sobie ze mnie żarty. I wyczuwałam coś zmysłowego w jego wzroku i w tonie jego głosu. Uznałam, że jest zanadto świadomy mnie jako takiej... kobiety, i że to przekomarzanie się do czegoś prowadzi. Wywołał

we mnie niepokój, a jednocześnie jakoś mnie podekscytował.

Podjeżdżając do domu, zobaczyłam ojca. Wychodził ze stajni.

— Lenore! — zawołał. — Dobrze, że wróciłaś. Trochę się denerwowałam.

— Co z Katie?

— Nie, nie. Wszystko w porządku. Tylko mi powiedzieli, że wybrałaś się na przejażdżkę, i jakoś długo nie wracałaś.

— Miałam przygodę. Znasz, ojcze, ten las?

Przytaknął.

— Wjechałam tam i zjawiły się dwa groźne psy. Myślałam, że rzucą się na mnie. Marron się złąka. Głaskałam ją, mówiłam do niej i czułam, jak reaguje...

— Psy! — wykrzyknął ojciec.

— Okropne bestie. Na szczęście ich właściciel był z nimi. Odwołał je i powiedział, że wtargnęłam na jego teren. Ten las, jak się okazało, należy do niego. Rozmawialiśmy chwilę, przedstawił się: Gaston de La Tour. Znasz go, ojcze?

Zapatrzył się we mnie.

— Gaston de La Tour to przecież le Comte de Caronne. To jego las. Jak większość tych obszarów.

— Chcesz powiedzieć, ojcze, że ten człowiek to le Comte we własnej osobie? Przedstawił się tylko: Gaston de La Tour.

— Żałuję, że go spotkałaś — powiedział ojciec.

— To było nawet zabawne.

— Potrafi być miły, jeżeli jest w dobrym nastroju.

— Po zarzuceniu mi, że wtargnęłam, był życzliwy...

Ojciec z wyraźnym niepokojem patrzył na mnie, zarumienioną.

— No, prawdopodobnie już go nie spotkasz. I lepiej tak. On nie cieszy się dobrą opinią... jeśli chodzi o kobiety.

— Och, rozumiem. — Roześmiałam się. — Łatwo mi w to uwierzyć.

Zostawiłam kasztankę Marron stajennemu i z ojcem weszłam do domu, myśląc o tym niegodziwym Comte.

* * *

Winogrona zbierano szczęśliwie bez żadnych zakłóceń. Te zebrane leżały teraz na klepisku wchłaniając słońce. Co dzień niebo podlegało inspekcji trochę niespokojnej, ale każdy poranek niezmiennie jaśniał słonecznym blaskiem, dobroczynnym dla zebranych owoców. Wszystko szło dobrze.

Katie była coraz bardziej podniecona. Ojciec pokazał jej wielkie walce, które zainstalował do wyciskania winogron. To ją trochę rozczarowało, bo wolałaby, żeby je deptano. Przyjęła jednak wyjaśnienie, że taki sposób wyciskania daje lepsze rezultaty.

I nagle spadł pierwszy cios. Wędrowni robotnicy, którzy zwykle o tej porze roku przybywali do pomocy miejscowym, nie przyszli. Ojciec wściekle się rozgniewał, gdy usłyszał, dlaczego.

— Oni są w zamku — powiedział mi. — *La vendange* u hrabiego zawsze odbywa się mniej więcej o tydzień później niż u nas. My tutaj mamy więcej słońca, więc możemy zaczynać wcześniej. A w tym roku raptem on się zdecydował zacząć jednocześnie z nami... Zamówił sobie tych robotników, poszli do niego zamiast przyjść do nas.

— Czy to znaczy, że chociaż od lat przychodzili tutaj, polecieci do niego na jedno skinienie palca?

— Jest hrabią, rozumiesz. Wymaga absolutnego posłuszeństwa.

— Ale powinni być lojalni wobec ciebie, ojcze.

— Ja ich nie potępiam. Dostali rozkaz, muszą usłuchać.

— Jakież on podły.

— Chce, żebyśmy wszyscy wiedzieli, że on tu jest panem. Posiada większość tej ziemi. Tylko moja winnica i oczywiście Villers-Mûre nie są w jego władaniu. Ale lubi nam przypominać o swojej władzy.

— Nie możesz, ojcze, mu wytłumaczyć, że musisz mieć tych robotników?

— Ani mi się śni prosić go o cokolwiek. Poradzimy sobie bez nich.

— Naprawdę?

— Myślę, że zrobimy wszystko, co trzeba.

Ojciec zabrał się do organizowania pracy na nowo, ale zaraz spadł następny cios. Z jednym z wozów, służących do przewożenia robotników z miejsca na miejsce, zdarzył się wypadek. Koń się spłoszył, skoczył na żywopłot, złamał nogę i przewrócił wóz, przy czym czterej robotnicy odnieśli poważne obrażenia.

Tego konia z konieczności zastrzelono, brygadzysta miał nogę złamaną, jeden robotnik złamał rękę, dwaj byli poranieni i potłuczeni.

Ojciec rozpaczał.

— Zdawałoby się — powiedział — że jakaś klątwa wisi nad tym winobranieniem.

I wtedy stało się coś niespodziewanego. Gdy ojciec rozpaczliwie usiłował wszystko przeorganizować, przyjechało wozem dziesięciu wędrownych robotników — spośród tych, którzy nam sprawili zawód na rozkaz hrabiowski.

Zobaczyłam, jak ten wóz nadjeżdża i przybiegłam. Ojciec też przyszedł zaraz.

Jeden z robotników zeskoczył z wozu.

— Pozdrowienia od monsieur le Comte — powiedział. — Usłyszał o pana pechu, monsieur St Allengère, i przysłał nas tutaj, żebyśmy pracowali, dopóki będzie pan nas potrzebował.

Ojciec patrzył na niego z niedowierzaniem.

— Ale — wyjąkał — ja nie rozumiem. I przede wszystkim dlaczego mnie zawiedliście?

— Rozkaz monsieur le Comte. Nie mogliśmy, monsieur St Allengère, być nieposłuszni. Ale teraz on sam nas tu przysłał. Dowiedział się o tym wypadku i chce panu pomóc. Kiedy tu skończymy, mamy wrócić do zamku na jego *vendange*.

Widziałam, w jakiej ojciec jest rozterce. Pragnął odrzucić propozycję hrabiego, a przecież przyjazd tych ludzi i perspektywa takiej pomocy zrobiły swoje — zdrowy rozsądek wziął górę nad dumą. Oto jest możliwość uratowania zbiorów, byłoby głupotą z niej nie skorzystać.

Wymamrotał.

— Zacnie ze strony le Comte.

— Staniemy do pracy od razu, monsieur St Allengère. Wszyscy wygramolili się z wozu. Nie

potrzebowali poleceń. Dokładnie wiedzieli, co robić.

Poszłam za ojcem do domu. Położyłam mu rękę na ramieniu.

— Więc wszystko będzie dobrze?

— Nie rozumiem jego pobudek.

— Jemu zrobiło się żal. Słyszał o tym wypadku. Wie, że są trudności. Chyba współczuje.

— Ty nie znasz tego człowieka. Rywalizujemy. Z pewnością byłby szczęśliwy, gdyby zbiory mi przepadły.

— Czy nie mylnie go, ojcze, osądzasz?

Ojciec potrząsnął głową.

— Ma swoje powody, tak myślę. Zawsze ma swoje powody.

Katie przybiegła i przysłuchiwała się tej rozmowie, jak zwykle prostolinijna.

— On rzeczywiście jest ludojadem? — zapytała.

Ojciec przytaknął ponuro.

— To ja bym strasznie chciała go zobaczyć. On mieszka w tym zamczysku. Jest olbrzymem?

— Katie, już nie ma olbrzymów na świecie — przypomniałam jej.

Westchnęła, rozczarowana.

— Czy chociaż zjada ludzi? — zapytała.

— Można by to tak ująć — rzekł ojciec.

— Och, zapomnijmy o nim — powiedziałam. — Mamy dostateczną siłę roboczą, bierzmy się do dzieła.

Ojciec zgodził się ze mną, ale nie podobało mu się to, że zbawcą jest le Comte.

* * *

To był pamiętny wieczór. Zbiorom już nic nie zagrażało, wielka radość panowała wszędzie.

Po katastrofalnym początku doszliśmy do zadowalającego zakończenia. Wydawało się, że ściągnęli wszyscy z okolicy. Światła latarń i pochodni pełgały w ciepłym wieczornym mroku, Na trawie przed domem muzykanci grali melodie ludowe, ludzie tańcząc śpiewali. Katie siedziała przy mnie onieśmielona, zadziwiona.

Dla wszystkich płynęło zeszłoroczne wino, stoły się ugiwały pod ciastami orzechowymi i owocowymi. Śpiew stawał się coraz głośniejszy, tańce nabierały wigoru. Siedziałam na ławce i patrzyłam. Wzruszały mnie niektóre piosenki, wspominałam, jak Grand'mère mi je śpiewała, gdy byłam dzieckiem.

En passant par la Lorraine

Avec mes sabots...

Ktoś stanął przy mnie. Usiadł. Odwróciłam się i serce mi podskoczyło ze zdumienia, konsternacji i — przyznaję — z podniecenia.

Usłyszałam swój jękający się głos.

— Le Comte de Carsonne.

— We własnej osobie — odpowiedział przychyłając głowę do mojej głowy. — Proszę powiedzieć, jak bardzo pani rada, że mnie widzi. — Ujął moją rękę i pocałował. Spojrzał na Katie. — Prezentacja zbyt dobra. Wiem. To jest ta rozkoszna mademoiselle Katie. Oczarowany poznaniem pani, mademoiselle. — I ją z kolei pocałował w rękę.

Widziałam, jak oczy jej rozbłysły. Dotąd nikt tak się do niej nie odniósł. I to taki pan wyraźnie bardzo ważny, odczytałam w jej oczach myśl.

— Wiem, kto pan jest — powiedziała. Mojej Katie nigdy nie zabrakło słów.

— A zatem dobrze się znamy.

— Pan rzeczywiście jest potworem?

— Chyba rzeczywiście.

— Ale pan nie jest olbrzymem.

— Przykro mi z tego powodu.

— Pan zjada ludzi.

— Czy wyglądam na kanibala?

— Mamo, kto to jest kanibal?

— Ktoś, kto zjada ludzi — odpowiedziałam.

— Ludzie jednak nie wchodzą w skład mojego stałego jadłospisu.

— To niemądra rozmowa — ucięłam. — I ty o tym wiesz, Katie.

On się roześmiał. Ujął Katie za podbródek i uśmiechnął się do niej.

— Niedobra na śniadanie — powiedział.

— Więc na obiad?

— Przedtem musiałbym cię utuczyć.

— Fi-faj-fo-fam — wyskandowała Katie, jak dzikus z książek przygodowych o Afryce. —

Pachnie mi tu krew małej Angielki. — I zachichotała.

— Chce pan zobaczyć się z moim ojcem? — zapytałam.

— Nie. Chciałem tylko się upewnić, że pokonał swego pecha i wszystko już jest dobrze.

— Był panu wdzięczny — powiedziałam.

— Skoro wszystko dobrze, jestem zadowolony. — I po chwili zapytał: — Co pani myśli o tym? —
Zatoczył ręką krąg. — O tej... ceremonii?

— Bardzo interesująca.

— Dosyć zabawna... *en passant* dla pani wielkich interesów z Londynu i Paryża.

— Dostyć zabawna.

— Widzę, że mademoiselle Katie jest oczarowana. Mademoiselle, chciałbym pani pokazać prawdziwą *vendange*... taką, jaką świętuje się od stuleci... taką, jaka odbywa się w moim *château*.
Czy zaszczyci ją pani swoją obecnością?

Powiedziałam.

— Jeszcze się zastanowimy.

— Ale dlaczego? — zapytała Katie.

— Musimy wiedzieć, co planuje dla nas twój dziadek.

— Dziadek nic nie planuje.

— A zatem — powiedział le Comte — uzgodnione. Madame Sallonger, mademoiselle Katie, będą panie moimi gośćmi. To za trzy dni od dzisiaj.

Katie klasnęła w ręce.

— Przynajmniej, że ciebie nie zjem — dodał.

Wzruszyła ramionami i zachichotała. Ojciec nas zobaczył i szybko podszedł do nas.

— Monsieur le Comte.

Le Comte wstał z ławki, uśmiechnięty światowiec, jak gdyby wstąpienie z wizytą do wieloletniego wroga było czymś najbardziej naturalnym w świecie.

— Cieszę się, że wszystko poszło dobrze, monsieur St Allengère.

— Muszę podziękować panu — powiedział ojciec oziębło.

— Nie ma o czym mówić. To było jedyne rozwiązanie. Słyszałem o tym wypadku. Akurat w takim czasie! Domyśliłem się, jaki pan ma kłopot, więc przysłałem tych ludzi.

— Przyjechali w samą porę.

— No to jestem kontent.

— Mam wobec pana dług — powiedział ojciec.

Le Comte machnął ręką.

— Madame Sallonger i mademoiselle Katie właśnie się zgodziły przyjechać na zamkową *vendange*. To sowita nagroda za tę małą przysługę, którą mogłem oddać.

Ojciec osłupiał. Po chwili powiedział.

— Na pewno le Comte zechce się tu rozejrzeć. Pójdzie pan ze mną?

— Chętnie.

Uśmiechając się porozumiewawczo, Gaston de La Tour uklonił się najpierw mnie, potem Katie. Patrzyłyśmy, jak odchodzi z moim ojcem.

— Nie olbrzym — powiedziała Katie. — Ale lepszy niż olbrzym. Doprowadza mnie do śmiechu. Lubię go, a ty, mamó?

Milczałam. Zawiedziona wyjaśniła mi.

— On naprawdę nie zjada ludzi. To był tylko żart.

— Czyżby? — zapytałam.

— Lubię go — powtórzyła prawie wyzywająco.

W tamten wieczór już go nie widziałam.

Byłam rada, gdy znalazłam się sama w swojej sypialni. Niewątpliwie on mnie zaniepokoił.

Dlaczego przysłał tych ludzi? Dlaczego zjawił się dzisiaj u nas? Najpierw okazał, jaką ma władzę wzywając wędrownych robotników do siebie, potem okazał, jaki ma szeroki gest. Uznałam, że to wykoncypował.

Długo leżałam bezsennie i myślałam o nim.

Nazajutrz rano ojciec, gdy byliśmy sami, powiedział:

— Hrabia zachowuje się bardzo dziwnie... Te jego odwiedziny, jak gdybyśmy byli przyjaciółmi od lat. Nigdy nie utrzymywaliśmy żadnych stosunków towarzyskich.

— No, jednak przysłał robotników.

— Dlaczego? Normalnie zagrałby nam palcami na nosie. Cieszyłby się, że zbiory nam się nie udały. Przecież jesteśmy w pewnej mierze konkurencją. Co więcej, jego rodzina od dawna jest z naszą w stanie wojny.

— Ale nie z tobą osobiście, ojczu.

— Mój ojciec jest z nim na noże. Gdyby mogli jeden drugiemu zaszkodzić, zrobiliby to bez wahania. Dlaczego więc nagle *volte-face*? — Patrzył na mnie badawczo i poczułam, że się rumienię. — Ty go znasz, oczywiście.

— Tak, poznałam go w lesie. Mówiłam ci, ojczu.

— Myślę, że to ma coś wspólnego z tobą. Musisz być ostrożna, Lenore.

— Ojczu, nie martw się o mnie.

— Może on zamierza się zalecać. Podobno wrażliwy na kobiece wdzięki, a ty jesteś powabna.

— Wyraźnie polubił Katie.

— Część jego gry. O ile mi wiadomo, mało interesuje się swoim synem.

— Katie była nim oczarowana. Żartował z nią o potworach i skłonnościach do ludożerstwa.

Bawiło go to.

— A mnie się to nie podoba. Tak bardzo czekałem na wasz przyjazd tutaj, a teraz myślę, że odetchnę z ulgą, kiedy wrócimy do Paryża.

— Nie martw się, ojczu. Nie jestem niewinną młodą panienką. Pamiętaj, że jestem wdową z dzieckiem.

— Wiem. Ale on podobno jest bardzo interesującym mężczyzną.

— Sam siebie na pewno za takiego uważa.

— Obawiam się, że niejedna też tak o nim myśli.

— Powtarzam ci, ojcze, nie martw się.

— Ale obiecałaś być na jego *vendange*.

— Katie, tak czy owak, przyjęła zaproszenie, zanim zdążyłam się wtrącić.

Ojciec pokręcił głową.

— To mi się nie podoba — powiedział jeszcze raz.

— Wszystko będzie dobrze — zapewniłam.

A myślałam: mnie się to podoba — chociaż nie wątpiłam, że ojciec ma rację i że le Comte liczy na łatwy podbój sercowy.

Wprost nie mogłam się doczekać chwili, gdy udowodnię mu, że się myli.

* * *

Zawsze żywo będę pamiętała tamtą *vendange*. Wówczas miałam wrażenie, że w tym wszystkim jest coś nierealnego. Nawet teraz, gdy zamykam oczy, przypominam sobie każdy szczegół. Ciepłe bez wiatru powietrze było tak czyste, że gwiazdy wydawały się świecić nisko nad nami. Głosy świętujących dolatywały z niedaleka — śpiewy przy akompaniamencie skrzypiec, akordeonów, triangli i bębnow.

Ale najżywiej pamiętam hrabiego. Tak jakoś to zaaranżował, że siedziałam z nim na uboczu na małym dziedzińcu wśród rozkwitłych bugenwilli, rozjaśniających szarość murów, i wśród wonnych czerwonych jaśminów. Popijałam wino, które on specjalnie kazał przynieść z piwnicy, i pogryzałam ciasto, upieczone na tę uroczystość, nieodzowne w święto winobrania.

Już w chwili gdy on przysłał powóz po mnie i Katie, ten wieczór stał się czarodziejski. Powóz był nieco niezgrabny, chociaż znakomity i z herbem na drzwiczkach. Ojciec się denerwował, ale go uspokoiliam. Nic złego mnie nie spotka i przecież Katie jest ze mną. Powiedziałam, że wrócimy o północy, a ojciec mruknął, że to raczej późno dla Katie, na co odparłam, że raz wyjątkowo ona nie musi pójść spać o zwykłej porze i że na pewno jej to nie zaszkodzi.

Ojciec nie wątpił, że le Comte wziął się, żeby mnie uwieść. W duchu poniekąd przyznawałam ojcu rację, ale nie miałam zamiaru być łatwą ofiarą donżuana, a poza tym uznałam, że już — zbyt długo byłam poważna i przecież należy mi się trochę niepoważnej rozrywki.

Jakiż wspaniały był ten zamek! Wprost przytłaczał swoją odwiecznością. Gdy podjeżdżałyśmy do wzniesienia, na którym stał, poczułam dreszczyk miłego oczekiwania.

Wysoka okrągła baszta, stanowiąca główną część tej budowli, otoczona parapetem na wspornikach, walcowate wieże z boków, potężne grube ściany, wąskie okna jak szpary —

wszystko to wydawało mi się średniowieczem. Jak gdybym została przeniesiona w inny świat innych czasów.

Hrabia wyszedł nam na spotkanie ze swoim synkiem, Raoulem. Katie i chłopczyk przyglądali się sobie niepewnie. Ostatecznie Katie zagaiła.

— Dobry wieczór, Raoul. Naprawdę tu mieszkasz? — Po czym zapytała, czy tu oblewają wrogów wrzącym olejem.

— Och, obecnie mamy chytrzejsze sposoby rozprawiania się z nimi — powiedział le Comte.

Stojąc w tej starej przestronnej sieni czułam, jak na mnie napiera przeszłość, a czołową postacią tej przeszłości jest le Comte — suzeren, wszechmocny *seigneur*, przekonany, że może egzekwować teraz *le droit de seigneur*, tak jak czynili to jego przodkowie.

Popatrzyłam na broń wiszącą na ścianach i na wielki kominek, nad którym widniał herb Carsonne, na kamienne ławy we wnękach wyraźnie sprzed stuleci. Doprawdy to wywierało wielkie wrażenie.

Hrabia wszystko zaplanował. Powiedział, że Katie z pewnością jest ciekawa, jak się wytwarza wino w jego *château*.

— My tutaj przestrzegamy tradycji — dodał. — Trzeba to tak robić, jak się robiło setki lat temu. Powinnaś zobaczyć deptanie winogron.

Polecił Raoulowi zająć się gościem. Wezwał guwernera, monsieur Grenier, żeby czuwał nad nimi obojgiem. Przyszła również gospodyni, madame Le Grand, i została mi przedstawiona.

Obiecała, że wino dla dzieci będzie dobrze rozcieńczone wodą. Wiedziała, że chcą czym prędzej skosztować ciasta.

Tak to wszystko taktownie było załatwione, że Katie radośnie dała się zabrać i znalazłam się z hrabią sama.

Nie zapomnę tego widoku.

Mężczyźni z koszami pełnymi winogron maszerowali do koryt, w których miało się odbywać deptanie przy dźwiękach muzyki.

Winogrona zapełniały koryta do wysokości już chyba trzech stóp, gdy przyszli ci, którzy mieli je deptać.

Le Comte patrzył na mnie uważnie.

— Niech pani nie myśli, że to jest niehigieniczne. Zapewniam panią, że podjęliśmy wszelkie środki

ostrożności. Wszystkie narzędzia zdezynfekowano. Ludzie wyszorowali ręce i nogi. Widzi pani, są w specjalnie krótkich spodniach... wszyscy mężczyźni i kobiety. Tak właśnie się to robi w tym *château*. Będą tańczyć i śpiewać tradycyjne piosenki ludowe. Ach, już zaczynają.

Przyglądałam się. Tańczyli metodycznie, stopy ich zanurzały się coraz niżej w fioletowym soku.

— Będą tak tańczyć do północy.

— Katie...

— Dobrze się bawi z Raoulem. Grenier i madame Le Grand dopilnują, żeby włos jej z głowy nie spadł.

— Myślę, że...

— Cieszymy się odrobiną swobody przez chwilę. To posłuży i nam, i nawet dzieciom. Proszę się nie obawiać. Zanim północ wybiję, będzie już pani z Katie bezpiecznie w drodze powrotnej.

Daję słowo. Przysięgam.

Roześmiałam się.

— Niepotrzebnie. Wierzę panu.

— Chodźmy stąd. Uciekniemy od tego zamieszania. Chcę z panią porozmawiać.

Tak to więc znalazłam się na tym wonnym dziedzińcu w gwieździstą noc... sam na sam z nim... a przecież niezupełnie, bo z bliska było słyszeć hałasy hulanki, od czasu do czasu okrzyki i nieustannie muzykę.

Służący podał wino i ciasto, małe widelczyki, serwetki z wyhaftowanym herbem Carsonne.

— To — powiedział le Comte — jest rocznikowe wino *château*, które każe podawać tylko przy szczególnych okazjach.

— Takich jak *la vendange*.

— *La vendange* odbywa się co rok. Cóż w tym szczególnego? Ja mówię o dniu, w którym goszczę madame Sallonger.

— Jest pan bardzo miłym gospodarzem.

— Potrafię być czarujący, kiedy robię to, co chcę robić.

— Chyba tak jak wszyscy.

— Dopiero w innych okolicznościach ujawnia się nasz charakter, zdradzamy nasze wady.

Niech mi pani opowie o sobie. Czy pani jest szczęśliwa?

— Jak większość ludzi, powiedziałabym.

— To wykrętna odpowiedź. Ludzie różnie są zadowoleni z życia.

— Szczęście rzadko bywa ciągle. Tylko wybrańcy losu osiągają ciągłość szczęścia. Na ogół to są tylko momenty. Raptem się mówi z niejakim zdumieniem: jestem teraz szczęśliwa.

— Powie pani to w tym momencie? Zawahałam się.

— Bardzo mnie wszystko tutaj interesuje. *La vendange*, ten zamek... wszystko tu jest dla mnie nowe.

— A zatem mogę wyciągnąć wniosek, że to niezupełnie szczęście. Że to raczej przyjemne doświadczenie?

— Właśnie.

Pochylił się ku mnie.

— Złożmy dziś sobie przysięgę.

— Przysięgę?

— Że będziemy wobec siebie całkowicie szczerzy. Czy ten *château* panią pociąga?

— Od pierwszej chwili, kiedy go zobaczyłam z daleka, chciałam go dobrze obejrzeć. Pan rozumie, urodziłam się w tych okolicach. Zawsze Villers-Mûre wydawało mi się tajemnicze.

Więc podnieca mnie to, że jestem tutaj, tak blisko.

— Ja urodziłem się w tym *château*. Niedaleko pani miejsca urodzenia. Proszę mi powiedzieć, co pani myśli o swoim dziadku.

— Dosyć to smutne.

— Niechże się pani nie smuci z jego powodu. Mnie sprawia pewną przyjemność rozmyślanie o nim. Nie cierpię go. Właśnie takich, jak on, uważam za najbardziej nienawistnych. Zabawnie i ciekawie jest żywić do ludzi mocne uczucia. Ja albo nienawidzę albo kocham... w jednym i drugim wypadku tak samo żarliwie.

— Więc życie musi być raczej wyczerpujące.

Popatrzył na mnie z mocą.

— Pani została wychowana zupełnie inaczej. Anglicy, o ile wiem, nie są tak ceremonialni jak my. A przecież ukrywają swoje uczucia pod maską obojętności. Nazywam to pewnego rodzaju obłudą.

— Być może łatwiej jest żyć, kiedy nie trzeba się borykać z żarem nienawiści i miłości, o jakich pan mówi.

Zamyślił się.

— Być może — powiedział. — Chciałem zobaczyć panią Katie i mojego Raoula razem. Ona nie ma żadnych zahamowań.

— Cecha wrodzona.

— Tak jak wrodzona jest uroczyta powaga Raoula.

— Katie zawsze czuła się bezpieczna. Wie, że może mi wszystko powiedzieć. Zawsze jestem, żeby pomóc. To jej daje pewność siebie. Chyba dlatego jest spontaniczna.

— Myśli pani, że Raoulowi tego brak?

— Pan wie lepiej.

— Ja nie jestem takim przykładowym ojcem, jak pani matką.

— Robię po prostu to, co naturalne.

— Zdaje mi się, że ona jest dla pani całym światem.

— Jest.

— Szczęściara mała.

— Chciałabym w to wierzyć.

— Wychowała panią madame Cleremont?

— Zgadza się. Też miałam szczęście.

— Zaczyna kobieta.

— Mówi pan tak, jakby ją znał.

— Wiem prawie o wszystkich wydarzeniach miejscowych, a z jej wyjazdem stąd łączył się skandal. W tych okolicach matka pani słynęła z urody. Byłem dzieciakiem, ale miałem długie uszy i umiałem ich nadstawiać. Toteż wiedziałem, że Henri St Allengère zakochał się w tej wiejskiej piękności i że niegodziwy stary Alphonse nie chce usankcjonować tego związku, i że dziecko jest w drodze. Henri ma albo wyrzec się tej dziewczyny, albo wyjechać. Henri zdecydował się wyjechać. Biedna Marie Louise. Mieszkała z matką, która bardzo ją kochała i która, jak mówili, załamała się, gdy ona umarła wydając na świat córeczkę.

— Ja byłam przyczyną tego nieszczęścia.

— Niewinną przyczyną. — Uśmiechnął się do mnie. — Kiedy babka pani chciała, żeby panią uznano, i wysunęła żądania, ten stary tyran wołał, żeby nie pozostawała tutaj, więc ją przekazał

angielskiemu kuzynowi... oderwanej hugenockiej gałęzi rodu. Madame Cleremont była przynętą.

Wielki talent przy maszynie do szycia, bardzo szanowana w zakładach jedwabniczych St Allengère. Dał ją Sallongerom pod warunkiem, że wezmą również to dziecko i pozwolą, by je wychowywała w ich domu. W taki sposób pozbył się ciężaru i pamiętki po wykroczeniu syna. A potem pani wyszła za jednego z Sallongerów i to powinno być szczęśliwym zakończeniem. Ale coś poszło źle.

Poczułam ból wspomnień — tamtych dni i nocy we Florencji... z każdym dniem coraz większej miłości do Philipa... i nawet tego okropnego przeżycia, jakim była śmierć Lorenza.

— Teraz pani posmutniała — powiedział le Comte. — Wspomina pani swoje małżeństwo.

— Skończyło się tak fatalnie. Trwało tak krótko. — I nagle już opowiadałam mu o zniknięciu Philipa z domu i o znalezieniu jego zwłok w puszczy.

— Dlaczego? — zapytał.

— Nie wiem. Może nigdy nie będę wiedziała. Byliśmy szczęśliwi. Właśnie kupiliśmy dom.

To jest tajemnica.

Opowiedziałam mu o tamtym szczęśliwym okresie, o orzeczeniu w wyniku śledztwa.

— Niewiarygodne — powiedział. — Mąż pani musiał mieć jakiś sekret, którego za nic by pani nie wyjawiał.

— Nigdy nie uwierzę w to, że popełnił samobójstwo. Czasami się zastanawiam, czy ktoś go nie zabił.

— Dlaczego?

— Dlatego, że skoro nie zabił się sam, tylko takie jest rozwiązanie.

I opowiedziałam mu o śmierci Lorenza.

— Pan rozumie — ciągnęłam — czasami myślę... chociaż wtedy tak nie myślałam, oczywiście, tylko dopiero później, po tym, co spotkało Philipa... że ktoś miał zabić Philipa i mylnie wziął Lorenza za niego.

Widziałam, że jest zdumiony.

— To z pewnością rzuca inne światło na wszystko — powiedział. — Przypuszcza pani, że kiedyś o

tym pani zapomni?

— Przypuszczam, że nie zapomnę nigdy.

— Próbowwała pani zgłębić tę tajemnicę?

— Rozmyślałam o niej nieskończenie i jakoś nie widzę powodu. Musiałam dojść do wniosku, że odpowiedź może być tylko jedna, ale znałam Philipa, więc wydaje się niemożliwa.

— Nikt nigdy mu nie dorówna. On będzie w pani pamięci zawsze... taki, jaki był w tygodniach waszego małżeństwa. Nie dość długo byliście razem, żeby odkryć skazy. Wybrańcy bogów umierają młodo.

— Pan w to wierzy?

— To znaczy, że nigdy się nie zestarzeją. Zawsze młodzi pozostaną w pamięci tych, którzy ich znali.

— Mówi pan to z zawiścią. Chyba pan nie żałuje, że żyje.

— Ja nie. Choćbym się narażał na ujawnienie wszystkich swoich grzechów. Opowiedziała mi pani o swoim mężu. Ja pani opowiem o swojej żonie. Wie pani, w takich rodzinach jak moja te sprawy się układają.

— Tak przypuszczałam.

— Kiedy miałem osiemnaście lat, znaleziono dla mnie małżonkę.

— I pan zgodził się na to? Zdumiewające.

— Buntowałem się. Nie oczarowała mnie ta panienska. Ale była córką jednego z najświetniejszych rodów we Francji. Nadal mamy tu świetne stare rody, wie pani, pomimo *Liberté, Egalité i Fraternité*. Nadal przestrzegamy odwiecznych tradycji. Niektórzy z nas uniknęli zagłady w zeszłym stuleciu. Carsonne'owie mieli to szczęście. Może byliśmy w zbyt dalekim zaścianku. Może nasi miejscowi chłopcy to ślamazary. Zamek się ostał nietknięty.

Ostatecznie jesteśmy prawie na granicy włoskiej. Przetrwaliśmy i przetrwali niektórzy inni. Te rodziny teraz trzymają się razem... tak jak w czasach Napoleonów... do końca monarchii i dalej.

Więc musiałem ożenić się z tą, którą mi wyznaczono. Ojciec mi wytłumaczył, że nie powinienem upadać na duchu. Moim obowiązkiem jest spłodzenie dziedzica Carsonne, który musi mieć wymaganą ilość błękitnej krwi w żyłach. Kiedy spełnię ten obowiązek, powiedział ojciec, będę mógł robić, co mi się podoba. Każdy francuski arystokrata musi spełnić swój obowiązek w małżeństwie, a potem może do woli cieszyć się swoimi kochankami. To sposób życia.

— Nie wątpię, że dla panów jak najbardziej możliwy do przyjęcia.

— Ma pani rację. Więc ożeniłem się. Moja biedna Evette. Była jeszcze dzieckiem, niespełna

siedemnastoletnia, nie dorosła do tego, żeby sama mieć dziecko... Akurat tak nadawała się na matkę, jak ja na ojca. Jednakże spełniliśmy nasz obowiązek i Raoul stosownie przyszedł na świat.

Niestety Evette przypłaciła to życiem. Owdowiałem.

— Rodzina nie myślała, że powinien pan ożenić się ponownie i postarać o następnych dziedziców pełnej błękitnej krwi?

— Myślała. Ale ja tak nie myślałem. Już zrobiłem to, co należało. I sam stanowią o sobie, odkąd mój ojciec umarł. Nie dla mnie stan małżeński. Korzystam z wolności.

— Ale pan by chyba nie dopuścił do tego, by małżeństwo ograniczało panu wolność?

— Chyba nie. Jak kot chodzę swoimi drogami. Wszelako kontentuję się obecną moją sytuacją, zabawną, kiedy uganiają się za mną damy, które pragną tytułu *la comtesse* i mają respekt dla starych zamków. Zawsze im się wymykam.

— Ta pogoń pewnie jest zawzięta i bezpardonowa.

— Różnie bywa. Czy pani też, szanowna madame Sallonger, woli stan wolny?

— Myślę, że jest lepszy niż nieszczęśliwe małżeństwo.

— Z pewnością nie brak ubiegających się o pani rękę? Milczałam myśląc o Drake'u. W tę noc Drake wydawał mi się daleki, jak nigdy od długiego czasu.

— Widzę, że wywołałem jakieś nieprzyjemne myśli. Niech mi pani wybaczy. — Chciał napełnić mój kieliszek winem.

— Nie, dziękuję — powiedziałam. — Dosyć już wypłam.

— To mój specjalny rocznik.

— Jest mocny.

— Tak pani uważa? Czy nie bardziej działa to nocne powietrze, woń kwiatów, towarzystwo?

— Być może — powiedziałam.

— A gdyby tak pani dziadek zobaczył, jak pani tu siedzi przy mnie teraz. Z wielką przyjemnością wyobrażam sobie jego gniew.

— Z przyjemnością?

— Ogromną. Nie potrzebuję niczego, żeby cieszyć się pani towarzystwem bardziej, niż się cieszę. Ale gdybym potrzebował, to właśnie rozsierdzenia pani dziadka.

— Żarliwie pan go nienawidzi.

— Bezgranicznie — powiedział. — Toczy się wojna między naszymi rodzinami. Vendetta.

Nie cierpię go, jak nikogo innego na świecie. Są pewni grzesznicy, których toleruję... siebie samego, na przykład. Ale nie mogę znieść łotrów cnotliwych. Pani dziadek jest jednym z nich.

Okrutny, bezwzględny samolub. Ludzie, którzy u niego pracują, żyją w ciągłym strachu przed nim... jego rodzina także. On wierzy, że Bóg jest jego najbliższym przyjacielem i sprzymierzeńcem. Wierzy, że miejsce w niebiosach ma zapewnione. Że kiedy tam się dostanie...

a o tym nie wątpi... usunie Jezusa Chrystusa z miejsca po prawicy Wszechmocnego i sam zasiądzie. Chyba nawet spodziewa się, że Bóg ześle po niego specjalny zastęp aniołów. Co dzień chodzi na mszę. Jego domownicy muszą odmawiać długie wieczorne pacierze i wciąż im przypomina, że jeśli zbroczą na drogi zła, to on, wysłannik Boga, przyłapie ich na każdym wykroczeniu i dopilnuje, żeby za grzechy, które popełniają pojedynczo i we dwoje, pojedynczo zostali ukarani. W swojej kaplicy obcuje duchowo z jakimś bogiem stworzonym na podobieństwo jego, a więc takim antypatycznym jak on. Ręczę pani, że potomni samego diabła są lepsi niż tego rodzaju człowiek.

Mimo woli parsknęłam śmiechem.

— On jest naszym wrogiem od lat — ciągnął. — Ojciec mi przekazał swoją odrazę. *Vive la wendetta!*

— Ależ pan go nie cierpi! On przecież musi mieć jakąś zaletę okupującą wady.

— Przychodzi mi na myśl tylko jedna. To, że jest pani dziadkiem, więc pośrednio dzięki niemu pani istnieje.

Milczałam.

— Ma pani szczęście, że on nie chce pani widzieć. Czy zna pani swoją ciotkę Ursule?

— Tak. I jej męża.

— Ursule wykazała odwagę, jakiej zabrakło w swoim czasie pani ojcu. Ojciec pani wyłamał

się dopiero później, a powinien był to zrobić w porę, żeby zawsze już żyć szczęśliwie z Marie Louise. Niech pani sobie tylko wyobrazi, jak by to było! Znalibyśmy się, pani i ja, od dawna, od dawna. Ursule rzeczywiście miała odwagę. Mój ojciec pomógł jej i Louisowi Sagon. Dał

Sagonowi pracę przy renowacji obrazów i dom, jak twierdził, należący się za taką pracę. Zrobił

to na złość staremu Alphonse'owi. St Allengère'owie są tragiczną rodziną i można w tym wytropić winę starego. Potem była sprawa Heloise, córki Reného. René miał dwie córki: Heloise i Adele. A także ma syna. Patrice jest taki, jak René, posłuszny staremu bez zastrzeżeń, więc w końcu odziedziczy majątek St Allengère... po René, oczywiście. Obaj ciężko na to pracują, co znaczy, że

— nigdy nie urażą tyrana i ślepo słuchają jego rozkazów. Pewnie myślą, że gra warta świeczki.

— Niech mi pan opowie o Heloise.

— Była bardzo ładna... delikatna. Utopiła się w rzece. Ta rzeka jest tak płytka, że to nie mógł

być wypadek. Ona po prostu zrezygnowała. Mówiło się, że ukochany ją zdradził. Wielki cios dla jej ojca. Była jego oczkiem w głowie. Córką o wiele mu droższą niż Adele. Ta nie ma w sobie ani krzty delikatności. Kochała siostrę i zawsze ją chroniła. *Mon Dieu*, ochrona potrzebna w takim domu! Adele wyjechała do Włoch. Interesowała się wytwórczością jedwabiu. Podobno, chociaż to dziewczyna, odgrywała dużą rolę w manufakturze, więc wyjechała, żeby postudiować włoskie sposoby. I właśnie po jej wyjeździe rozegrała się tragedia Heloise.

— A ten ukochany?

— Sprawa dosyć tajemnicza, Heloise nie mówiła, kto to jest. Gdyby powiedziała, Adele by go zabiła. Jest pasjonatką. Po śmierci siostry omal nie zwariowała z rozpaczy.

— Więc ten ukochany nie został wykryty? Chyba w takich okolicznościach trudno ukrywać swoją tożsamość.

Milczał i nagle mnie olśniło. To byłeś ty!

Powiedziałam:

— Robi się późno.

— Czas leci. Czas jest taki przewrotny. Leci, kiedy się chce, żeby został w miejscu, i pełźnie, kiedy się pragnie, żeby leciał. Dla mnie to cudowny wieczór.

— Bardzo interesujący, ale muszę znaleźć Katie. Już dawno powinna spać.

Wstałam i on stanął przy mnie. Ujął mnie za rękę, przyciągnął do siebie. Jestem wysoka, ale on wyższy ode mnie o co najmniej sześć cali — musiałam podnosić wzrok, żeby spojrzeć mu w oczy. Chciałam dać do zrozumienia, że jego bliskość mnie nie wzrusza.

— Przyjemny wieczór — powiedziałam chłodno. — I dziękuję panu.

— To ja powinienem pani dziękować.

Myślałam w tym momencie, że mnie pocałuje, i poczułam niepokój. Pojęłam, że się boję nie tyle jego, co siebie samej.

Niecierpliwie spróbowałam się opamiętać. Przecież to wytrawny flirciarz. Dlaczego tak zgłupiałam, że wydaje mi się pociągający? Dlaczego mam nadzieję, że mnie pocałuje i wyzna swoje namiętne uczucie? Może za długo byłam samotna. Może chcę prowadzić normalne małżeńskie życie. Zakosztowałam małżeństwa... i zostało mi zabrane. Myślałam swego czasu o Drake'u... ale

niezupełnie tak, jak teraz o nim.

Przyciągnął mnie i lekko pocałował w czoło. Uwolniłam ręce, postarałam się nie okazać zdumienia ani emocji. Udawałam, że uważam to za francuski zwyczaj: gospodarz grzecznie w czoło całuje swoich gości.

Trochę zbyt szybko powiedziałam:

— No, muszę poszukać mojej córki.

Wziął mnie pod rękę i trzymał mocno, prowadząc do świętujących.

Katie była tam z Raoulem i monsieur Grenier.

— Prawda, jak cudownie? — wykrzyknęła, gdy nas zobaczyła. — To najlepsze winobranie, jakie w życiu widziałam.

Najwyraźniej zaprzyjaźniła się z Raoulem, i ten chłopiec był nią zachwycony. Biedaczek, pomyślałam, na pewno rzadko mu się zdarzają miłe chwile przy takim ojcu. Zawsze musi pamiętać o obowiązkach, które kiedyś na niego spadną. Musi uprawiać męskie sporty, musi stosować się do wymagań guwenera. Swoboda Katie na pewno jest dla niego rewelacją.

Katie była bardzo podniecona. Pomyślałam: rzeczywiście już czas, żebyśmy stąd odjechały.

Le Comte kazał sprowadzić powóz. Chciał nas eskortować z Raoulem. W powozie usiadłam obok Katie i objęłam ją ramieniem. Oparła się o mnie, widziałam, jak powieki jej opadają, chociaż usiłuje mieć oczy otwarte. Kołysanie powozu ją usypiało.

Czułam na sobie czujny wzrok hrabiego. Raoul siedział sztywno obok ojca. Pomyślałam, że chyba zawsze w jego obecności jest taki sztywny.

W końcu powiedziałam:

— Jesteśmy na miejscu.

Katie otworzyła oczy i natychmiast się rozbudziła.

— Raoul — zapytała — czy mogę do ciebie przyjechać i zobaczyć twojego sokoła? Obiecałeś, że mi go pokażesz. Mogę przyjechać? Właściwie nie widziałam tego zamku.

Le Comte odpowiedział za syna.

— Proszę, przyjeżdżaj, kiedy tylko zechcesz, mademoiselle Katie. Zawsze będziesz mile widziana.

Katie uśmiechnęła się, ucieszona.

— To najszczęśliwszy wieczór w moim życiu — oświadczyła.

Le Comte uśmiechnął się do mnie triumfalnie. Ojciec przywitał nas z ulgą. Było oczywiste, że czekał na nasz powrót.

— Dziadku! — wykrzyknęła Katie — było cudownie! Żebyś widział, jak tańczyli na winogronach! Fioletowy sok chlustał im po nogach... i tańczyli coraz niżej.

— Doprawdy, to dla mnie nagroda — powiedział le Comte.

Pożegnaliśmy się i słuchałam, jak powóz turkocze znikając w nocnym mroku.

— Pewnie jesteś zmęczona — powiedział ojciec.

— Bardzo.

— Ja nie jestem — powiedziała Katie.

— Ale powinnaś być — upomniał ją. — Powinnaś spać już od wielu godzin.

— Jest dopiero północ — powiedziała. — I dopiero pierwszy raz nie śpię o północy.

— Chodź — poleciłam. — Przecież oczy ci się kleją.

Zasnęła mocno, ledwie pomogłam jej się położyć. Ale do mnie sen nie przychodził.

Niezwykły spędziłam wieczór i jakoś bogaty w znaczenie. Ten francuski światowiec arystokrata jest zupełnie inny niż wszyscy, których kiedykolwiek przedtem znałam.

Myślałam też o Heloise. Ona z pewnością całe tygodnie... może miesiące żyła w upojeniu...

zanim się dowiedziała, że zaufała niewiernemu.

Próbowałam sobie przypomnieć wyraz jego twarzy, gdy mówił o Heloise. Czy możliwe, że to on był tym mężczyzną? Miała go w pobliżu.

Wiedziałam, że powinnam być bardzo ostrożna.

* * *

Nazajutrz on przysłał powóz po Katie. Przyjechała po nią madame Le Grand. Powiedziała, że na polecenie monsieur le Comte sama zajmie się Katie. Moja córka będzie pod dobrą opieką, nie ma się czego obawiać.

Powiedziałam:

— Nie jestem pewna, czy powinnam ją puścić.

— Och, mamó — zaprotestowała Katie. — Ja chcę tam pojechać. Chcę zobaczyć się z Raoulem. Obiecał, że mnie oprowadzi po zamku i pokaże sokoła i psy.

— Osobiście dopilnuję, madame, żeby nic złego się nie stało pani córeczce — zapewniła mnie madame Le Grand.

Podziękowałam jej. Nie sposób było nie zgodzić się po takim zapewnieniu.

Potem przyszedł do mnie ojciec.

— To dziwne — powiedział — nasze rodziny nigdy tak się nie bratały.

— Czy nie jest głupio kultywować te dawne wrogości rodowe?

— Moja droga Lenore, hrabiowie de Carsonne kultywowali wrogość bardziej zdecydowanie niż ktokolwiek z nas. Właśnie ta nagła zmiana frontu mi się nie podoba. To od czasu, kiedy poznałaś go na przejażdżce.

— Jego synek zaprzyjaźnił się z Katie.

— Jego robota.

— Przecież to są dzieci. Dobrze im zrobi ta przyjaźń. Od razu się polubili. Biedny chłopiec, nie sądzę, by miał często towarzystwo rówieśników.

— Bez wątpienia wychowują go tak, jak każdego z nich... żeby uważał się za istotę boską zesłaną do panowania nad pospólstwem.

— Wydaje mi się, że tak właśnie on myśli o St Allengère'ach. Och, ojczy, naprawdę te wojny rodowe skończyły się razem z tragedią Romea i Julii.

— Chyba powinniśmy już wrócić do Paryża. Tutaj obejdzcie się bez nas. I nieładnie na tak długo zostawiać spraw salonu na głowie hrabiny. Zaraz po beczkowaniu, niech tylko wino będzie bezpieczne w pierwszej piwnicy, mogę jechać.

— To znaczy, kiedy?

— W końcu tego tygodnia, myślę.

Zgodziłam się.

Katie wróciła późno po południu, pełna wrażeń.

— Oni mają warownię, mamó. Wiesz, co to jest warownia?

Powiedziałam, że wiem.

— Zwiedzaliśmy zamek z monsieur Grenier. On opowiadał nam mnóstwo historii... ale to było ciekawe, bo wszystko o tym zamku. Potem jeździliśmy z nim konno. Oni mają *l'oubliette*.

Wiesz, co to jest *l'oubliette*? — Nie czekała na odpowiedź, tak bardzo chciała mnie oświecić. —

To znaczy: loch, wrzucali do lochu ludzi. To taka ciemna, ciemna jaskinia... jest tylko dziura w podłodze na górze. Zostawiali tam ludzi, żeby umarli... w zapomnieniu. *Oublier* to znaczy zapomnieć.

— Miejsce z pewnością okropne.

— Och, tak — potwierdziła Katie zachwycona. — I Raoul ma sokoła. Nauczy go tego, co trzeba. Poszliśmy na przedpiersie. Wiesz, co to jest przedpiersie? Widać stamtąd morwy i budynki nad małą rzeczką. Tam mieszkają St Allengère'owie. Prawda, że to nazwisko trochę podobne do naszego?

Powstrzymując ten potok słów, powiedziałam:

— Katie, jeszcze w tym tygodniu wyjeżdżamy.

— Och, mamó... akurat kiedy ja się tak dobrze bawię.

— Każda dobra zabawa się kończy, Katie.

— Niekoniecznie... jeżeli się nie chce.

— Musimy wyjechać.

— Jeszcze w tym tygodniu — powtórzyła głośno. I przez pięć prawie minut była przygnębiona.

Nazajutrz przed południem znów przyjechał po nią powóz z zamku.

* * *

Tamtego dnia pojechałam konno sama. Za dwa dni miałam być już daleko stąd. Przed wyjazdem w tę stronę spodziewałam się, że to będzie pamiętne przeżycie. Tak często myślałam o miejscu, gdzie się urodziłam, gdzie moja matka żyła i umarła wydając mnie na świat. Jednak le Comte skomplikował moje wrażenia, sprawił, że były inne, niż oczekiwałam. Coś dodał do tej przygody.

Nie zdziwiłam się tamtego dnia, gdy go spotkałam. Wyobraziłam sobie, że zaczął się na mnie, pewny, że kiedyś mnie złapie.

Podjechał na swym dużym wierzchowcu, na którym po raz pierwszy zobaczyłam go w lesie.

— Dzień dobry, madame Sallonger — powiedział. — Cóż za przyjemność zastać tu panią.

— Dziękuję.

— Słyszałem, że państwo wkrótce wyjeżdżają.

— Zapewne moja córka o tym wspomniała.

- Raoul jest niepokieszony.
- Och, znajdzie inne towarzystwo do zabawy.
- Jakżeby zdołał znaleźć drugą Katie? Ja również jestem niepokieszony.
- Szybko zapomnicie, że w ogóle byliśmy tutaj.
- Zgoła to niezgodne z prawdą i pani wie o tym.
- Pan nam obu pochlebia.
- Mówię prosto z serca. — I gdy lekko się uśmiechnęłam, ciągnął dalej. — Czuję, że moglibyśmy być przyjaciółmi... gdyby pani na to pozwoliła. Sporo o pani myślę.
- To dla mnie zaszczyt, ale też i dziwne, że dałam panu tyle do myślenia.
- Zupełnie naturalne, zważywszy, że jest pani inna niż wszystkie, które znam.
- Nie ma osób jednakowych.
- Większość ich raczej mnie nie interesuje.
- Dlatego, że jest pan pochłonięty sobą.
- Rzeczywiście tak pani mnie osądza?
- Nie. Wypowiadam się zbyt pochopnie. Niewiele o panu wiem.
- Myślę, że interesowałoby panią dowiadywanie się czegoś więcej.
- Szkoda, że mnie tu nie będzie, żeby się dowiadywać.
- Chyba mogłaby pani zostać.
- Mam przedsiębiorstwo, które muszę prowadzić.
- Nikt nie może pani zastąpić?
- Nie mogą zastępować mnie w nieskończoność.
- Myślę, że pani mi się wymyka.
- Dlaczego miałabym się wymykać?
- Chyba dlatego, że pani trochę się boi.
- Aż taki pan straszny?

— Aż taki.

— Może dla tych, którzy są zależni od pana szczodrości, ale ja, monsieur le Comte, nie należę do tej kategorii.

— Pani boi się mnie inaczej. Doszły do pani słuchy o mojej reputacji. I jestem osławionym wrogiem pani rodziny.

— Wiem, że jest pan wrogiem mojego dziadka, ale czyż jego wrogowie mieliby być moimi?

— A zatem... jestem pani przyjacielem?

— Miłym znajomym, powiedzmy.

— Tak pani mnie określa?

— To jest, jeśli się nie mylę, nasze czwarte spotkanie. Więc jak mogłabym pana określić?

— Ale każde z tych spotkań było nadzwyczajne.

— Owszem. Za pierwszym razem poszczuł mnie pan psami, za drugim wystąpił pan jako gościnny gospodarz, no i teraz spotkaliśmy się przypadkowo... Aha, i było jeszcze jedno, wtedy gdy zjawił się pan nie zaproszony u mojego ojca.

— Będzie mi smutno, kiedy pani wyjedzie.

— Ładnie, że pan tak mówi — powiedziałam niedbale.

— Mówię poważnie. Proszę, niech pani nakłoni ojca, żeby odłożył wyjazd na tydzień...

Będziemy się spotykać codziennie.

— Obawiam się, że to byłaby ogromna strata czasu dla pana... i dla mnie.

— Dość tego przekomarzania się. Pani wie, jakie robi na mnie wrażenie. Intryguje mnie pani.

Taka chłodna... taka pewna siebie... a przecież podejrzewam, że kryją się w pani płomienie.

— Mówi pan, jak gdybym była tłącym się ogniskiem.

— Chyba zaczynam kochać się w pani.

— Monsieur le Comte raczy żartować.

— Nigdy nie żartuję w sprawach, które są dla mnie ważne. Czy zamierza pani być w żałobie po mężu do końca życia?

Milczałam. Tak mnie cieszyło spotkanie z nim. Pobudzało mnie. Czułam się młoda, jak nigdy od

czasów małżeństwa z Philipsem. Chciałam staczać dalej tę bitwę na słowa. Był w niej jakiś pierwiastek niebezpieczeństwa, tym bardziej więc mnie ekscytował. Wiedziałam, że on jest mistrzem takich potyczek. Pociągał mnie. Chyba pociągałby każdą kobietę. W każdym calu światowiec, ale przede wszystkim emanujący siłą, a to, o ile mi wiadomo, stanowi element pociągu fizycznego nie do odparcia. Mężczyzna przyzwyczajony do stawiania na swoim i biegły w braniu tego, co chce. Pomyślałam o wątlej Evette i o wszystkich kobietach, które łatwo i sprawnie uwodził. Fakt, że zamierza mnie dopisać do listy, już nie ulegał wątpliwości. Ale też nie wątpiłam, że ze mną mu się nie powiedzie. Niemniej... kusił mnie flirt. Uznałam, że to rodzaj uwodzenia intelektualnego — dość ciekawy, żeby sobie w nim pofolgować roztropnie, bez żadnych skutków.

Z pewnością ogromną przyjemność sprawiały mi wszystkie nasze spotkania.

Nagle pomyślałam o Heloise w płytkiej rzece. Czy z nią też tak było na początku?

Le Comte właśnie mówił.

— Mógłbym pani pokazać drogę do nowego życia. Wyrwać panią z przeszłości. Mógłbym pani umożliwić pozostawienie tego wszystkiego za sobą.

Czy on ma rację? — zastanowiłam się. Czy za długo już żyję przeszłością? Mogłabym była teraz być żoną Drake'a. Chyba szczęśliwą. Drake jest rycerski i łagodny, godny zaufania. Byłby czułym mężem, dobrym ojcem dla Katie. Jakże inaczej byłoby z Drake'iem.

— O czym pani teraz myśli? — zapytał le Comte.

— O tym, że powinnam już zawrócić.

— Myśli pani, że ucieknie ode mnie tak łatwo?

— Ucieknę? Nie jestem pana więźniem.

— Nie — powiedział. — To ja jestem więźniem pani.

Roześmiałam się.

— Okrutna z pani kobieta.

— Pan przecież prosił, żebym była szczerą. Rozumiem pana. Wiem, o co panu chodzi. Nie jestem jedną z tych pana wiejskich dziewcząt olśnionych hrabiowskim herbem... ani żadną z pana znajomych pań, które zabiegają o tytuł i rodowy *château*... Dla mnie te rzeczy nie mają znaczenia.

— A ich właściciel?

— Jak powiedziałam, prawie go nie znam. Jest... zabawnym znajomym.

— Więc bawię panią?

— Pan wie, że tak.

— A pani mnie oczarowuje. I wie pani o tym.

— Pan jest z wielkiego świata, monsieur, a ja nie. I nie jestem w kwiecie młodości. Pan również. Chcę tylko, by pan wiedział, że marnuje pan czas, kiedy szuka łatwego podboju z tej strony. Z pewnością nie brak widoków na łatwiejsze podboje gdzie indziej.

— Pani mnie źle rozumie.

— Rozumiem pana bardzo dobrze. Powiem panu prawdę. Cieszę mnie spotkania z panem, ale nie przykładam do nich wagi.

Westchnął.

— Trudno panią przekonać o moich uczuciach.

— Wcale nietrudno. Co do pana uczuć nie żywię wątpliwości. Naprawdę muszę już wracać.

Powinnam przygotować się do podróży.

— A gdybym zaprosił panią z ojcem na wieczór muzyczny w zamku. Mógłbym sprowadzić paru znanych muzyków, żeby nam zagrali. Lubi pani muzykę?

— Lubię. Ale nie mogliśmy przyjąć pańskiego zaproszenia. Musimy wyjechać w końcu tego tygodnia.

— Zależy mi na wykryciu okoliczności śmierci pani męża. Uważam, że tej sprawy nie wolno zbyć. Powinniśmy spróbować zgłębić tę tajemnicę. Kiedy pozna pani prawdę, przestanie pani tak nieustannie myśleć o nim. Ta tragedia się oddali. Zobaczysz pani, że życie jest po to, by żyć, a nie dumać ponuro o zmarłym i marzyć o tym, co mogłoby być, gdyby...

— To ma niewiele wspólnego z naszą znajomością.

— Och, bardzo dużo, na pewno.

— Skręcę tutaj. Tędy krótsza droga do domu.

Gdy już było widać dom mojego ojca i winnicę, zatrzymałam się.

— Na wypadek gdybyśmy już się nie spotkali przed moim wyjazdem, pożegnaj pana.

— To brzmi jak odprawa.

— Ależ skąd. Po prostu... pożegnanie.

Pocałował mnie w rękę.

— To nie jest koniec, wie pani.

Lżej mi się zrobiło na sercu, bo bardzo bym żałowała, gdyby to był koniec.

Wysunęłam rękę z jego dłoni.

— *Au revoir* — powiedział.

Odwróciłam się i odjechałam.

W Paryżu będę zajęta, zapomnę o tym wszystkim zupełnie, powtarzałam sobie. Co by oznaczała nasza znajomość? Przelotny romans. Nie małżeństwo. Myśl o małżeństwie z nim była niepokojąca. Poruszała mnie i podniecała. Ale on o możliwości małżeństwa nigdy nie wspomniał. To jeszcze jeden powód, dla którego powinnam wyjechać.

Oczywiście, on nie ma zamiaru się ożenić. Raz tylko poruszył temat małżeństwa, mówiąc o Evette, z którą ożenił się na życzenie rodziny. Spłodził dziedzica i nie chce ponownie być żonaty.

Chociaż dlaczego ktoś taki, jak on, czuje taką niechęć do związku małżeńskiego, nie mogłam pojąć. On by przecież nie baczył na ślubną przysięgę. Byłby typowym francuskim mężem...

uprzejmym, okazywałby względy swojej żonie, spełniałby to, co nazywa się obowiązkiem, a potem by odchodził, żeby używać życia ze swoimi kochankami.

Mariage à la mode, zgodnie ze światowymi zwyczajami francuskiej arystokracji.

To nie dla mnie.

* * *

Przed wyjazdem chciałam zobaczyć grób mojej matki. Wiedziałam, że została pochowana na cmentarzu przy niedużym kościele w Villers-Mûre. Ojciec nie życzył sobie, żebym się zbliżała do jego rodzinnego domu. Chyba obawiał się; no bo jak mój dziadek by zareagował, gdyby usłyszał, że tam jestem? Nie chciałam ojca narażać, ale niezłomnie postanowiłam odwiedzić ten grób.

Wyruszyłam tam w przeddzień wyjazdu.

Wjechałam na wzgórze powyżej posiadłości St Allengère'ów. Widziałam stamtąd wioskę w pobliżu zakładów jedwabniczych i rzeczkę z małym mostem płynącą kręto obok kamiennych zabudowań. Był to uroczy widok.

Skierowałam się ze wzgórza w dół, w stronę wieżyczki kościoła.

Nie spotkałam nikogo. Pewnie wszyscy byli w pracy. Przed kościołem zsiadłam z kłaczy, uwiązałam ją. Weszłam do kościoła. Odgłos moich kroków na kamiennych płytach rozbrzmiewał

echem, przerywając ciszę. Czulałam jakąś zbożną trwogę na myśl, że to właśnie w tym kościele często

Grand'mère modliła się z moją matką. Okna były wspaniałe. Jeden z witraży ufundował

niejaki Jean Pascal St Allengère w szesnastym wieku. Inny witraż, przedstawiający przypowieść o bochenkach chleba i rybach — Jean Christophe St Allengère w sto lat później. I był święty Jan Chrzciciel „dar Alphonse'a St Allengère”. Zatrzymałam się wpatrując w to imię i nazwisko. Mój dziadek! Przypomniłam sobie, co le Comte o nim powiedział, i mimo woli się uśmiechnęłam.

Nazwisko St Allengère zobaczyłam jeszcze w niejednym miejscu. Od stuleci St Allengère'owie łożyli na ten kościół. Nie powinnam być tutaj. Ojciec sobie nie życzył.

Zastanawiałam się, co by mój dziadek powiedział na to, że wtargnęłam do jego domeny.

Zrobiło mi się gorąco, więc zdjęłam szalik. Przyjrzałam się zdobnemu ołtarzowi, ambonie...

będącej jeszcze jednym darem mojego pobożnego dziadka. Wszędzie widniały dowody jego hojności.

To jego kościół, pomyślałam. W zamku chyba jest kaplica, więc le Comte nigdy tu nie zagląda. To zresztą człowiek zupełnie innego rodzaju. Tak nonszalancki, że z pewnością nie ma w sobie ani krzty pobożności.

Wyszłam na świeże powietrze i po chwili otoczył mnie cmentarz.

Na wielu grobach stały posągi. Mnóstwo aniołów, postacie świętych. Niektóre z nich, duże, sprawiały wrażenie żywych, prawie tak, jak gdyby lada chwila miały przemówić.

Nie szukałam grobu mojej matki wśród wymyślnych grobowców, ale te najwspanialsze były miejscem wiecznego odpoczynku moich przodków. Na niejednym nagrobku widniało nazwisko St Allengère. Podchodziłam do najozdobniejszych. Marthe St Allengere, żona Alphonse'a, 1842–

1870. Moja babka. Umarła młodo. Rodzenie dzieci i życie z Alphonse'em szybko ją zmogło.

Idąc dalej, natrafiłam na grób Heloise. Tu nie było kosztownego posągu. Ale o rośliny na tej niepozornej mogile dbano. W białej urnie kwitły blad różowe róże. Biedna Heloise!

Zastanowiłam się nad nią. Jakże musiała cierpieć. Pomyślałam o le Comte. Oczywiście, może to nie on doprowadził do tragedii tej nieszczęsnej dziewczyny. Może jestem niesprawiedliwa ze swoją pewnością, że to nikt inny. Nie ma powodu, żeby tak sądzić poza tym, że on jest taki, jaki jest. Heloise była piękna i przecież wiem, że jemu by sprawiło ogromną przyjemność uwiedzenie córki wrogiego rodu.

Szłam dalej. Dopiero po jakimś czasie znalazłam grób mojej matki. W rogu cmentarza pośród grobów już nie tak przystrojonych kwiatami. Przeczytałam na nagrobku: „Marie Louise Cleremont. Zmarła w wieku lat 17”. Poczułam głębokie wzruszenie. Różany krzew na tym grobie zobaczyłam przez łyzy.

Jej historia nie różniła się bardzo od historii Heloise. Ale ona umarła śmiercią naturalną. Ona,

pomyślałam z ulgą, nie zrezygnowała. To ja zabrałam jej życie. Gdyby żyła, byłybyśmy wszystkie razem: matka, Grand'mère i ja. Biedna Heloise nie zdołała z życiem się zmierzyć. Jej historia skończyła się inaczej, chociaż zaczęła się tak samo od miłości do mężczyzny, który w rezultacie ją zawiódł. Przestroga dla każdej słabej kobiety.

Odwróciłam się i ruszyłam z powrotem do drzwi kościoła, tam gdzie zostawiłam Marron. Gdy mijałam znów grobowiec St Allengère'ów, zaskoczył mnie widok kogoś stojącego przy grobie Heloise.

— Dzień dobry — powiedział mi.

Odpowiedziałam i nie oparłam się pokusie, by przystanąć.

— Ładny dziś dzień — powiedział. — Pani tu zabłądziła?

— Nie. Tylko oglądałam ten kościół. Zostawiłam konia przed drzwiami.

— To piękny stary kościół, prawda? Przyznałam, że piękny.

— Pani tu pierwszy raz. — Przyjrzał mi się przenikliwie. — Chyba wiem, kim pani jest. Czy przypadkiem nie mieszka tu pani przy winnicy?

— Zgadza się — odpowiedziałam.

— Więc pani jest córką Henriego.

Przytaknęłam.

— Słyszałem, że pani przyjechała — powiedział dosyć przejęty.

— Więc pan chyba jest moim stryjem. Z kolei on przytaknął.

— Bardzo jesteś podobna do swojej matki... tak podobna, w istocie, że przez chwilę wydawało mi się, że to ona.

— Ojciec mówił, że jest podobieństwo.

Patrzył teraz na grób.

— Udał się przyjazd tutaj? — zapytał.

— Bardzo.

— Szkoda, że jest tak, jak jest. A madame Cleremont? Dobrze się czuje?

— Dobrze. Wróciła do Londynu.

— Słyszałem o tym salonie mody. O ile wiem, prosperuje.

— Owszem, mamy teraz sklep w Paryżu. Wracam do Paryża jutro.

— Wiem także — powiedział mój stryj — że jesteś teraz madame Sallonger.

— Tak.

— Znam tę sprawę, oczywiście. Wychowywała cię tamta rodzina i w odpowiednim czasie wyszłaś za jednego z synów domu, za Philipa, o ile wiem.

— Dużo stryj o mnie wie. Tak, wyszłam za Philipa.

— I teraz jesteś wdową.

— Tak, wdową od dwunastu lat.

Szalik, który trzymałam w ręce, zaczepił o krzak. Wysunął mi się z palców. Stryj go odczepił.

Był to jedwabny szalik koloru bladej lawendy, taki jak te, które sprzedawałyśmy w salonie.

Stryj zbadał tę tkaninę i przyjrzał jej się uważnie.

— Piękny jedwab — powiedział. Trzymał szalik oburącz. — Wybacz. Jedwabie bardzo mnie interesują, rzecz jasna. Są naszym życiem tutaj.

— Tak, oczywiście.

Nadal trzymał szalik.

— To najlepszy ze wszystkich jedwabi. O ile wiem, został nazwany jedwab Sallon.

— Tak.

— Ten splot jest cudowny. Nigdy na rynku nie było jedwabiu, który by temu dorównał. O ile wiem, twój mąż odkrył sposób tkania go i zastrzegł, że to własność przedsiębiorstwa w Anglii.

— Owszem, to jest wynalazek jednego z Sallongerów, ale nie Philipa, mojego męża, tylko jego brata, Charlesa.

Stryj zapatrzył się we mnie z niedowierzaniem.

— Zawsze byłem pewny, że Philipa. Czy na pewno się nie mylisz?

— Na pewno. Dobrze pamiętam. Nie posiadaliśmy się ze zdumienia, że właśnie Charles wpadł na ten sposób, bo zawsze się wydawało, że jedwabnictwo nic a nic go nie obchodzi. Mój mąż był... całkowicie pochłonięty sprawami manufaktury. Więc wynalazcą jedwabiu Sallon powinien być Philip. Ale to z całą pewnością Charles. Pamiętam bardzo dobrze. Wspaniałe odkrycie, i zawdzięczamy je Charles owi.

— Charlesowi — powtórzył stryj. — Czy on teraz jest głową przedsiębiorstwa?

— Tak. Przypadło im obu i odkąd mój mąż... nie żyje, Charles jest wyłącznym właścicielem.

Stryj milczał. Zauważyłam, że zbladł i gdy oddawał mi szalik, ręce mu się trzęsły.

Spojrzał mi w oczy.

— To grób mojej córki — powiedział.

Pochyliłam głowę ze współczuciem.

— Wielka żałoba dla nas wszystkich. Była piękną delikatną dziewczyną... i nie ma jej.

Chciałam go jakoś pocieszyć, bo wyraźnie był załamany. Nagle uśmiechnął się.

— Miło mi rozmawiać z tobą. Żałuję, że nie mogę ciebie zaprosić do mojego domu.

— Rozumiem — powiedziałam. — I mnie było przyjemnie poznać stryja.

— Jutro wyjeżdżacie?

— Tak. Jutro wracam do Paryża.

— Do widzenia — powiedział. — To było bardzo... objawiające.

Odszedł powoli, a ja zawróciłam do Marron.

* * *

Ostatni wieczór spędziliśmy u Ursule i Louisa w ich domku na terenie włości Carsonne.

Pełen serdeczności był ten wieczór. Ursule powiedziała, że zawsze wyczekuje przyjazdu Henriego, i ma nadzieję, że i ja, skoro już raz przyjechałam, będę tu składać wizyty.

Zapewniłam ich, że przez cały czas czułam się doskonale i wszystko bardzo mnie interesowało. Napomknęłam, że byłam na cmentarzu, żeby zobaczyć grób mojej matki, i że spotkałam Renégo. W pierwszej chwili wyraźnie zbiło to ojca z tropu. Ale szybko się z tym pogodził.

— Biedny René — powiedział. — Czasami chyba żałuje, że stchórzył i się nie wyłamał.

— Jest marionetką naszego ojca — powiedziała Ursule raczej z zawziętością. — Robi wszystko, czego się od niego wymaga, i w nagrodę dostanie cały majątek St Allengère'ów, kiedy przyjdzie pora.

— Jeżeli — powiedział Louis — zanim ta pora przyjdzie, on nie zrobi czegoś, co nie spodoba się staremu.

— Jestem rada, że wybrałam wolność — powiedziała Ursule.

Później rozmawiali o le Comte.

— To dobry pracodawca — stwierdził Louis. — Daje mi wolną rękę i bylebym utrzymywał kolekcję Carsonne w porządku, mogę malować, co tylko chcę. Od czasu do czasu on załatwia mi wystawę. Nie wiem, jak bym przetrwał bez pomocy najpierw jego ojca, a teraz jego.

— On to robi na złość naszemu ojcu — zauważył mój rodzi ciel.

— Le Comte docenia sztuki piękne — powiedział Louis — szanuje malarzy i myślę, że raczej podobają mu się moje prace. Wiele mu zawdzięczam.

— Oboje wiele mu zawdzięczamy — dorzuciła Ursule. — Więc, Henri, nie mów o nim źle w naszym domu.

— Przyznaję. — powiedział ojciec — że jest wam przydatny. Ale jego reputacja w okolicy...

Ursule przerwała mu:

— To tradycja rodzinna. Hrabiowie Carsonne zawsze byli pożądatliwi. Ale przynajmniej on nie wkłada maski pobożności jak nasz papa... a pomyśl, ile papa spowodował nieszczęścia.

— La Tour też niemało spowodował niepokoju.

— No, Henri, myślisz teraz o Heloise, a przecież naprawdę nie wiesz, czy on miał z tym cokolwiek wspólnego.

— To jest dość jasne — odparował ojciec. — Wiecie, przymilał się do Lenore.

— A więc — zwróciła się Ursule do mnie — może powinnaś się strzec.

— Katie zaprzyjaźniła się z Raoulem, jego synkiem — ciągnął ojciec. — Była tam dzisiaj.

Przysłał po nią powóz. Chętnie bym mu powiedział, żeby trzymał się od nas z daleka.

— Och, powinieneś być bardziej dyplomata. — Ursule się uśmiechnęła. — Zresztą ty, Lenore i Katie wyjeżdżacie jutro do Paryża, więc nic wam z jego strony nie grozi.

Byłam ciekawa, co oni mają o nim do powiedzenia. Rzeczywiście tylko to zapamiętałam z tamtego ostatniego wieczoru u Ursule i Louisa.

Nazajutrz wyjechaliśmy do Paryża.

* * *

Hrabina nas przywitała. Grand'mère i Cassie były nadal w Londynie.

— No — wykrzyknęła obejmując mnie — jesteś jak odmłodzona. Co ci się tam przytrafiło?

Poczułam, że się rumienię.

— Dobrze czułam się w tamtych stronach — powiedziałam.

— Byłyśmy w zamku — oznajmiła Katie. — I był tam sokół i tyle psów... małe szczeniaki, niektóre te psy. I tam mają *l'oubliette*, gdzie wtrącają ludzi, kiedy chcą o nich zapomnieć na zawsze.

— Szkoda, że tutaj nie mamy czegoś takiego — powiedziała hrabina. — Madame Delorme zwróciła nam tę malwową suknię aksamitną. Mówi, że za ciasna. Ją pierwszą bym tam wtrąciła, gdyby to ode mnie zależało.

— Jeżeli się ich tam zostawia — informowała Katie — umierają.

— Świetna koncepcja! — stwierdziła hrabina. — Ale opowiadajcie, jak wam tam było.

Katie zaczęła żywo opisywać *la vendange*.

— Najlepsze winobranie było w zamku. Tańczyli w wannach, pani hrabino. W olbrzymich wannach i ten sok lał się im po nogach. Ale wyszorowali nogi, zanim zaczęli tańczyć. To było fioletowe rozpaćkane błoto.

— Taki właśnie będzie ten aksamit madame Delorme, kiedy się go poszerzy na jej wałki tłuszczu.

Hrabina sporo opowiadała o tym, co się działo w salonie pod moją nieobecność i zauważyłam, że przygląda mi się tak, jakby mnie posądzała o jakiś sekret.

Ledwie trzy dni byłam znów w salonie, gdy zjawił się gość. Hrabina go przyjęła i przybiegła do mnie rozpromieniona.

— Jakiś pan do ciebie. Nie podał nazwiska. Powiedział, że chce ci zrobić niespodziankę. Ca za maniery! Co za mina! Kto to jest?

— Nie wiem, najpierw muszę go zobaczyć — odrzekłam, ale wiedziałam, zanim go zobaczyłam.

Uśmiechał się do mnie prawie sardonicznie.

— Droga madame Sallonger, bawię w Paryżu i nie mógłbym przecież wrócić do Carsonne bez zameldowania się pani.

Hrabina u mojego boku kipiała podnieceniem.

— Hrabina Ballader — dokonałam prezentacji — to jest Comte de Carsonne.

— No, bardzo mi przyjemnie — powiedziała hrabina.

— I mnie, madame *la comtesse*.

— Napije się pan czegoś? — zapytała. — Trochę wina?

— Le Comte jest koneserem wina — powiedziałam. — Sam je wytwarza. Myślę, że nie mamy nic odpowiedniego dla jego podniebienia.

— Wszystko, czym panie mnie poczęstują — powiedział le Comte — będzie nektarem. Tak się cieszę, że jestem tu, w Paryżu.

— To pana ulubione miasto? — zapytała hrabina.

— W tej chwili... najulubieńsze.

Zostawiła nas, uśmiechając się pod nosem. Odwróciłam się do niego.

— Niechże pani się rozchmurzy na mój widok — poprosił.

— Jestem taka zdumiona.

— Naprawdę? Chyba pani nie myślała, że dałbym pani uciec tak łatwo.

— Nie nazwałabym tego ucieczką.

— Pani daruje. Nietrafne określenie. Jestem szczęśliwy, że panią widzę. Ma pani tu bardzo wytworny lokal.

— Wytworność w Paryżu jest konieczna.

— Przyjmuję komplement w imieniu miasta. Dopóki w nim jestem, chcę je pokazać pani.

— Przebywam tu już dość długo, wie pan.

— Wiem. Ale z pewnością mogę tu panią niejednym zadziwić.

— Nie wątpię, że będzie pan próbował.

Hrabina wróciła z butelką, kieliszkami i ciastkami.

— Przejdźmy do saloniku — zaproponowała. — Tam wygodniej. Napełniła winem dwa kieliszki.

— Teraz — powiedziała — odejdę, bo na pewno państwo chcą porozmawiać ze sobą.

— Bardzo pani łaskawa — powiedział le Comte. Uśmiechnęła się do niego olśniewająco.

Widziałam, że jest trochę nim urzeczona i że uznała go za odpowiedniego mężczyznę dla mnie.

Zawodowo swego czasu wybierała mężów dla panien na wydaniu w wyższych sferach, teraz chciała

wyswatać mnie.

— Czarująca pani — powiedział le Comte.

— Tak. Znam ją od dawna. Wprowadzała panny w świat, jak się to mówi. To znaczy przygotowywała je do prezentacji na dworze i pomagała im znaleźć dobrych mężów.

— Na pewno była bardzo przydatna.

— Już się tym nie zajmuje, oczywiście. Jest jedną z kierowniczek naszego salonu. Długo pan będzie w Paryżu?

Uśmiechnął się do mnie, wzruszając ramionami.

— Kto wie? To w dużym stopniu zależy od... okoliczności.

— Gdzie pan się zatrzymał?

— Mam dom na rue du Faubourg Saint Honore u zbiegu z rue Royale.

— Znam ten dom.

— To nasza paryska rodzinna rezydencja od pięćdziesięciu lat mniej więcej. Nasz dawny *hôtel* spalił się w czasie rewolucji.

— Często pan bywa w Paryżu?

— Wtedy gdy interesy... albo przyjemności sprowadzają mnie tutaj.

Usłyszałam, jak Katie kłóci się z hrabiną.

— Twoja mama jest zajęta.

Katie zajrzała zza drzwi.

— Och! — wykrzyknęła uszczęśliwiona — to monsieur le Comte. — Podbiegła i wyciągnęła rękę do pocałowania.

Le Comte pocałował ją w rękę z kurtuazją.

— Gdzie jest Raoul? — zapytała.

— Niestety, w Carsonne.

— Dlaczego pan go nie przywiózł?

— Mam tu ważną sprawę, a on ma swoje obowiązki w Carsonne.

— Jaka szkoda.

— Powtórzę mu to, co powiedziałaś. Będzie bardzo zadowolony.

Weszła mademoiselle Leclerc. Szukała Katie.

— To jest mademoiselle Leclerc, francuska guwernantka Katie — przedstawiłam.

Wstyd mnie zdjął, gdy stwierdziłam, że niepokoi mnie spojrzenie, jakie on rzucił na nią —

taksujące, pomyślałam. Była bardzo ładna i młodsza ode mnie. Zauważyłam, że pod jego wzrokiem zarumieniła się i oczy jej rozblęły. Co do niego, nigdy nie można mieć pewności, pomyślałam.

Mademoiselle Leclerc wyjaśniła, że przyszła po Katie, żeby ją zabrać na spacer.

— Idź, Katie — powiedziałam.

— Pan będzie tu, kiedy wrócę? — zapytała Katie hrabiego.

— Mam nadzieję, że będę — odpowiedział.

Zadowolona odeszła z guwernantką.

— Urocze dziecko. Tylko pani może mieć tak uroczą córeczkę. Chciałbym, żeby częściej widywała się z Raoulem.

Ja nadal myślałam o ładnej guwernantce.

— A zatem — ciągnął. — Pokażę pani Paryż.

— Jak panu już mówiłam, Paryż nie jest mi nie znany.

— Ale ja myślę o prawdziwym Paryżu... jaki mogą tylko Francuzi pani pokazać. Jeszcze wiele tu powinna pani zobaczyć.

W ciągu tych dni, które nastąpiły, byłam zadziwiająco szczęśliwa. Wiedziałam, że ulegam jego urokowi i powtarzałam sobie, że nie mam czego się obawiać. Przecież nie jestem niewinną panienką. Zawsze będę pamiętała, z jakim mężczyzną mam do czynienia... ten bezbłędny światowiec wciąż szuka świeżych wrażeń, nowości. Zawsze będę o tym pamiętać i chlubić się swoim zdrowym rozsądkiem.

Ale wszystko wydawało się inne w jego obecności. Był niezmordowany w wysiłkach, żeby mi się podobać. Dni stały się kalejdoskopem zmiennych wzruszeń. Zarażając się jego nastrojami, mogłam być szczęśliwa, beztroska jak nigdy od wielu lat, chociaż nawet w najmiłszych chwilach słyszałam głos przestrogi. Od czasu do czasu nasuwał mi się obraz Heloise leżącej w płytkiej wodzie. Myślałam też o mojej matce. Ona również kochała niebacznie, nieroztropnie.

Rozumiałam uczucia ich obu. Mnie samej łatwo byłoby stracić głowę z takim mężczyzną jak le Comte.

Na ogół jednak poddawałam się czystej radości dnia za dniem. Coraz lepiej poznawałam Gastona de La Tour, poważniejszą stronę jego natury. Życie nie upływało mu wyłącznie na uciechach zmysłowych. Miał duży zasób wiedzy. Był poniekąd koneserem sztuk pięknych. Znał

bardzo dobrze historię swojego kraju i potrafił interesująco ją wyklądać. Zagorzały patriota, a przecież z zasady krytyczny, dzięki czemu dyskusje z nim stawały się szczególnie ciekawe.

Dowiadywałam się sporo o Francji, a także i o sobie.

Wyczekiwałam naszych spotkań. Ojciec się niepokoił, ale zapewniałam go, że nie ma powodu do obaw. Obawiał się jednak. Hrabina była rozgorączkowana. Le Comte po prostu ją urzekał.

Wiedział, jak postępować z kobietami i co której się podoba, więc i do niej odnosił się akurat w odpowiedni sposób.

Przynosił prezenty dla Katie, kwiaty dla hrabiny. Okazywał ustępliwość memu ojcu. Zależało mu na dobrych stosunkach ze wszystkimi w domu. To stanowiło część jego strategii.

Zabrał nas do opery na „Orfeusza w piekle”. Powiedział, że to jego ulubiona operetka, bo stroi się w niej żarty z bogów. Przedstawienie było urocze, świetnie się bawiliśmy. Śmiał się nawet ojciec, i gdy wracaliśmy do domu, jeszcze brzmiały mi w uszach te wspaniałe melodie.

Zaliczyłam je do tych, które najbardziej będę zawsze lubiła.

Hrabina chciała, żebym oddawała się takim rozrywkom. Powiedziałam jej, że powinnam pracować, ale zaprotestowała.

— Doskonale dajemy sobie radę — dowodziła uparcie. — Ostatecznie nic się nie zawaliło, kiedy wyjechałaś. To jest tylko przedłużenie twoich wakacji. Na pracę będzie jeszcze mnóstwo czasu... później.

Tamte dni przelatywały w niewiarygodnym tempie. Wiedziałam, że nigdy ich nie zapomnę.

Coraz lepiej poznawałam jedno z najbardziej zachwycających miast świata, a już gdy le Comte mi je pokazywał, było rzeczywiście czarowne. Nieraz towarzyszyła nam Katie, przeważnie jednak chodziliśmy sami.

Wspinaliśmy się po Montmartre i trzymał mnie pod rękę na tych stromych ulicach.

Zwiedziliśmy bazylikę, tę dosyć cudaczną budowlę orientalną, która zawsze była charakterystycznym elementem Paryża. On mi opowiadał o świętym Dionizym, patronie Francji, o męczennikach skazanych na śmierć. Pokazał mi wielki dzwon — Françoise–Margueritte czy też La Savoyarde de Montmartre — mający dziewięć stóp wysokości. Polecił mi wsłuchać się w niezwykły ton tego dzwonu. Przedtem, gdy pierwszy raz przyjechałam do Paryża, byłam w bazylice z ojcem, ale teraz

wydawało mi się, że wszystko nabiera jakichś nowych niezwykłych cech.

W tym, co on opowiadał, było zawsze wyczucie przeszłości. Ze smutkiem mówił o rewolucji, która zmiotła bezpowrotnie dawny styl życia, i z goryczą o pospólstwie, które tyle krzywd wyrządziło jego przodkom. Jedynie nadzwyczajne szczęście ocaliło jego gałąź rodu.

— ...Żądza krwi, żółć zawiści... przemożna chęć zabicia każdego, kto ma coś, czego im brak... — opowiadał.

Zaprowadził mnie do Conciergerie, do piwnicznej Salle Saint Louis zwanej la Salle des Pas Perdus, ponieważ skazańcy przez nią przechodzili w drodze na szafot. Sposepniał, gdy oglądaliśmy celę, w której ostatnie dni życia spędziła Maria Antonina.

— Upokarzana przez nędznych drobnych tyranów — powiedział jadowicie.

Wtedy zobaczyłam jeszcze jedną stronę jego natury. On wciąż mnie zdumiewał.

Wiadomości o sztuce miał dogłębne, co odkryłam, gdy zwiedzaliśmy Luwr. Zwracał mi uwagę na nowe aspekty obrazów, które już przedtem widziałam. Był zafascynowany Leonardem da Vinci i długo staliśmy w la Grande Galerie omawiając „Madonnę wśród skał”. Oczywiście dużo mówił o Monie Lisie, znajdującej się w 7e Francji od roku 1793, i opowiedział mi, jak Franciszek I, który bardzo dbał o artystów, sprowadził Leonarda z Włoch, żeby mieć prawo pierwszeństwa do jego dzieł.

— Był artystą *manqué* — powiedział o tym królu — tak jak ja, być może. Ale w moim życiu niestety za dużo jest *manques*.

— Nie jest *manqué* mądrość dostateczna, by zdawać sobie z tego sprawę — powiedziałam.

Jakież szczęśliwe dni! Nigdy ich nie zapomnę. Co dzień rano wstawałam do nowej przygody.

Tak właśnie — mówiłam sobie — trzeba żyć. I sto razy dziennie słyszałam też inny swój głos: to przelotne, musi się skończyć... już wkrótce.

Ale upajałam się każdą chwilą, chociaż nieswojo mi się robiło na myśl, że z wolna staję się jego ofiarą, tak jak on od początku to obmyślił. Zapominałam o tym, odkrywając nieznane strony jego natury.

Pojechaliśmy na cmentarz Pere Lachaise. Przedtem często się zastanawiałam, kto to jest père Lachaise. On mi wyjaśnił, że to był modny spowiednik Ludwika XIV i że ten cmentarz tak nazwano, bo jego dom stał tam, gdzie obecnie stoi cmentarna kaplica. Oglądaliśmy pomniki i groby sławnych ludzi.

— Lekcja dla nas wszystkich — powiedział — że życie jest krótkie. Mądrzy wykorzystują każdy moment.

Ujął mnie za ramię mocniej i uśmiechnął się do mnie.

Bardzo lubiłam te otwarte przestrzenie. Podziwiałam elegancki Parc Monceau pełen dzieci i piastunek i niezwykłych posągów, takich jak Chopin przy fortepianie czy postacie: Noc i Harmonia, Gounod z Małgorzatą. Dzieci uwielbiały te posągi. Katie, gdy tam z nią poszłam, nie dawała się od nich odciągnąć.

Aż pewnego dnia w Jardin des Plantes pojęłam, że ten czas ciszy i spokoju już prawie mija.

Siedzieliśmy na ławce, obserwując pawie, i przypomniałam sobie, jak on kiedyś powiedział, że zdarzają się chwile, w których człowiek jest świadom pełni szczęścia. To właśnie była taka chwila.

Powiedziałam:

— Niedługo będę musiała wrócić do domu.

— Do domu? — zapytał. — To znaczy dokąd?

— Do Londynu.

— Dlaczego musi pani tam wrócić?

— Dlatego, że długo mnie tam nie było.

— Paryż nie jest dla pani również domem?

— Prawdziwy dom można mieć tylko jeden.

— Chce pani przez to powiedzieć, że tęskni do domu?

— Po prostu czuję, że powinnam wrócić. Od dawna nie widziałam mojej babci.

— Mam nadzieję, że nie zaraz pani wyjedzie. Takie przyjemne dni.

— Bardzo przyjemne. Obawiam się, że zabrałam panu mnóstwo czasu.

— Spędzam ten czas tak, jak sobie życzyłem. Pani wie o tym, prawda? Ufam, że nasze spotkania są dla pani tak samo miłe, jak dla mnie.

— Będę szczerą — powiedziałam. — Pan ma cel, więc dla pana może są stratą czasu.

— Moim celem jest przyjemność. Znajduję ją, więc czasu nie tracę.

Milczałam. Odmówić mu tego, o co nie prosił, raczej nie mogłam... chyba że nie wprost.

— O czym pani tak дума? — zapytał.

— O Londynie.

— Nie pozwalam na to. Co pani chce zwiedzać jutro?

— Jutro zacznę się pakować.

— Proszę jeszcze nie wyjeżdżać. Niech pani pomyśli, jaki będę opuszczony, kiedy pani wyjedzie.

— Przypuszczam, że pan szybko znajdzie jakąś inną rozrywkę.

— Czy za to się pani uważa... za rozrywkę?

— Nie. To właśnie coś, czym nie mam zamiaru być.

— Pani zna moje uczucia do pani.

— Wyraźnie pan je określił.

— Lubi pani nasze wyprawy?

— Są bardzo oświecające.

— Będzie pani ich brakowało?

— Chyba tak. Ale w Londynie czeka mnie dużo zajęć. Są zaległości, które trzeba nadrobić.

— Więc pani zapomni o mnie?

— Będę o panu myślała, to na pewno.

Ujął moją rękę.

— Dlaczego pani się boi?

— Boję się? Ja?

— Tak. Boi się pani... dopuścić mnie do siebie zbyt blisko.

— Może jestem inna niż większość pana znajomych kobiet.

— Jest pani inna, doprawdy. Również i to mi się w pani podoba.

— A więc nie reaguję tak, jak pan zwykle się spodziewa.

— Skąd pani wie, czego się spodziewam?

— Stąd, że zdaję sobie sprawę, jakie życie pan prowadzi.

— Tak dobrze mnie pani zna?

— Dość chyba dobrze, żeby wyciągnąć pewne wnioski.

Scisnął mi rękę.

— Niech pani nie wyjeżdża — powiedział. — Poznajmy się... naprawdę.

Wiedziałam, co on ma na myśli, i ogarnął mnie wstyd, bo to było dla mnie kuszące. Gniewnie uwolniłam rękę. Romans? Byłby płomienny, szalony... dopóki ten ogień by się nie wypalił. Taka przygoda nie dla mnie. Chciałam trwałego związku. Parę tygodni... może miesięcy namiętności to nawet nie namiastka.

A gdyby on zaproponował małżeństwo? Też bym się wahała. Zdrowy rozsądek mówił mi, że powinnam zastanowić się ze wszech miar beznamiętnie, zanim związę się w jakiegokolwiek formie z tym mężczyzną. Ale rzecz jasna, on małżeństwa nie proponował. Raz się ożenił dla dobra rodu, a teraz chce być wolny... bez żadnych obciążeń. Ma krzepkiego, zdrowego spadkobiercę. Spełnił swą powinność wobec rodu Carsonne. Nie dla niego małżeństwo. Pozostanie wolny.

Myślałam: dlaczego dałam się w to wciągnąć tak daleko? Dlaczego nie zdławiłam uczuć? Nie zdławiłam i teraz bardzo się lękałam, że on mógłby mnie zniszczyć. Popatrzyłam na dumnego pawia, butnie rozkładającego pięknie upierzony ogon, i na bezbarwną małą pawicę drepczącą za nim.

Ten widok jakoś dodał mi siły.

Nigdy, nigdy, zakazałam sobie.

Wstałam z ławki.

— Myślę — powiedziałam chłodno — że czas już się stąd zabrać.

Szantaż

Wróciłam z Katie do Londynu. Ojciec nam towarzyszył, bo nie chciał, żebyśmy podróżowały same. Wiedziałam, jaką odczuwa ulgę. Bardzo się denerwował atencjami hrabiego — zwłaszcza w Paryżu.

— Udał ci się pobyt we Francji? — zapytał niepewnie.

— To był jeden z najciekawszych okresów mojego życia — odpowiedziałam.

Nie komentował.

Ogromnie się cieszyłam znowu widząc Grand'mère. Przyglądała mi się badawczo i skorzystała z pierwszej sposobności, żeby porozmawiać ze mną na uboczu.

— Wyglądasz inaczej... młodziej — stwierdziła. — Od razu zobaczyłam, jak się zmieniłaś.

Powiedziałam jej, że spotkałam Renégo na cmentarzu.

— Pojechałam tam na grób mojej matki — wyjaśniłam.

— Więc spotkałaś brata swojego ojca. Rozmawiał z tobą?

— Tak. Był zupełnie życzliwy. Przyszedł na grób Heloise. Wiedział, kim jestem. Słyszał, że przyjechałam do winnicy ojca i rozpoznał mnie. Powiedział, że jestem bardzo podobna do matki.

Przytaknęła z przejęciem.

— Ciekawe, co pomyślał, kiedy cię tam zobaczył. Chyba staremu o tym nie opowiadał. Tylko by sobie narobił kłopotu.

— W istocie zainteresował się moim szalikiem bardziej niż mną.

— Twoim szalikiem?

— Tak. Wypuściłam szalik z ręki. On mi go podał i zobaczył, że to jedwab Sallon. Wtedy zaczął mówić o Philipie. Myślał, że to Philipa wynalazek. Był naprawdę zaskoczony, kiedy mu powiedziałam, że Charlesa.

— Ta rodzina zawsze myślała przede wszystkim o jedwabiu. Musiały im bardzo zrzędnąć miny na wiadomość o odkryciu Sallon.

Ale czy jeszcze coś się zdarzyło?

— Pamiętasz Grand'mère ten zamek tam?

— Carsonne? Oczywiście. Wszyscy znają *le château* i de La Tourów.

— Poznałam Gastona de La Tour.

— Le Comte?

Przytaknęłam.

— Och — powiedziała zdawkowo.

Zaczęłam jej opowiadać o spotkaniu z psami i o zaproszeniu na *la vendange*, i o przyjaźni Katie z jego synem.

— No, to interesujące — powiedziała przypatrując mi się uważnie.

— Spotykałam się z nim w Paryżu.

— Czyli przyjechał do Paryża za tobą?

— Nie. Po prostu był tam wtedy, gdy my byliśmy.

— I widywałaś się z nim?

Potwierdzająco kiwnęłam głową.

— Więc tak to jest. Rozumiem.

— Co to znaczy, Grand'mère... Tak to jest?

— To znaczy, że on spowodował... tę zmianę w tobie.

— Nic nie wiem o żadnej zmianie.

— Więc dowiedz się ode mnie, że się zmieniłaś. Och, Lenore, że też to musiało się stać.

Bardzo się martwię o ciebie. Od śmierci Philipa jesteś samotna.

— Samotna! Z tobą, Grand'mère, i z Katie, i z hrabiną, i z Cassie?

— Mówię, że brak ci męża.

— Brak mi go, oczywiście.

— A ten Gaston de La Tour... zdaje się, że ci zaimponował.

— On jest dosyć imponujący.

— Oszłamia cię jego tytuł... majątek... jego władza...

— To w dużej części składa się na niego.

— Często się z nim widywałaś?

— W Paryżu codziennie. Zabierał mnie do wielu ciekawych miejsc i ma tyle wiadomości z zakresu sztuki, historii, architektury, że oglądałam to wszystko innymi oczami.

— Lenore, czy nie rozumiesz...?

— Posłuchaj, Grand'mère, niepotrzebnie się denerwujesz. Wróciłam do Londynu, prawda? A mogłam była zostać w Paryżu. On tam był.

— Wiem, że jest przystojny i potrafi czarować kobiety. Nie traktuje kobiet poważnie. On dla ciebie się nie nadaje, Lenore. Znam dobrze jego rodzinę. Od pokoleń to byli władcy tamtych obszarów. Uważali, że mają prawo do każdej dziewczyny, która im wpadła w oko. Tak żyli w dawnych czasach i tacy pozostali, chociaż czasy są już inne.

— Rozumiem, Grand'mère. Wiedziałam o tym od początku, ale naprawdę lubiłam się z nim spotykać. Jest taki... żywy... taki zabawny... tak bardzo różni się od wszystkich mężczyzn, których kiedykolwiek znałam. Lubiłam nasze spotkania, ale nigdy nie zapomniałam, co nasza przyjaźń oznacza dla niego i co on ma na celu. Tak niezłomnie się uwzięłam, że on tego celu nie osiągnie, jak

on się wziął, że osiągnie. Trzeba dwojga, żeby do czegoś doszło, a myśmy się ze sobą pod tym względem nie zgadzali. Wiem, co myślisz, i zapewniam cię. Grand'mère, że nadal jestem wdową dziewiczo czystą.

— Serca złamane zostawia wszędzie taki typ. Żałuję, że go poznałaś.

— Nie żartuj, Grand'mère. To było doświadczenie... i wcale mi nie zaszkodziło,

— Bogu dzięki, że już jesteś w domu.

— Katie go adorowała — powiedziałam. — Był dla niej czarujący.

— To jasne. Widział w niej drogę do ciebie. *Mon Dieu*, jakże ja bym się zamartwiała, gdybym wiedziała, że to zaszło tak daleko.

— Przez cały czas pamiętałam, jakim on jest człowiekiem.

— Ale jakoś to ciebie nie poruszało.

— No, szczerze mówiąc, nie mogło nie poruszać. Słyszałam tam o Heloise, córce Reného, która popełniła samobójstwo, bo jej ukochany ją zdradził; ogólnie się przypuszcza, że tym ukochanym był właśnie le Comte. On by przecież chętnie uwiódł którąś z St Allengerów. Ta wojna rodów toczy się od dawna. Zupełnie bez sensu. O ile wiem, mój dziadek nie jest takim świętym, jakiego z siebie robi.

— Masz rację. Większy od niego obłudnik jeszcze się nie narodził.

— Zorientowałam się. Bardzo emocjonalni są ludzie w twoich rodzinnych stronach, Grand'mère. Ponieważ wiem o tym, mało jest prawdopodobne, żebym chciała się tam angażować, no nie?

— To prawda. Często myślę, jaka byłam szczęśliwa, kiedy wyszłaś za Philipa. Jakiż on był zadowolony. Myślałam, że masz spokój zapewniony do końca życia. Taka byłam kontenta.

— Ale nigdy nie wiadomo, co się stanie, Grand'mère. — Niestety. I pomyśleć, że to tak się obróciło... Potem chciałam, żebyś ty i ten Drake Aldringham... ktoś, komu można ufać. Nie przestaję żałować, że to tak się nie stało.

— Nie da się wytyczyć życia po swojemu.

Przytaknęła. Wypytywałam ją o sprawy salonu, o wszystko, co się działo w czasie mojej nieobecności. Znow zaczęłam myśleć o Drake'u. Jego obraz przysnuwała mgła, odkąd poznałam Gastona de La Tour.

* * *

Cassie bardzo się cieszyła z naszego powrotu. Powiedziała, że tęskniła do Katie i do mnie.

— Chwilami było mi strasznie żal, że nie jesteśmy razem, tak jak na początku. Ten salon paryski nas rozdzielił.

— Powinnaś pojechać do Paryża, Cassie. Świetnie byś się tam czuła.

Potrząsnęła głową.

— Lepiej mi tutaj.

W londyńskim salonie była rzeczywiście nieoceniona. Przedzierzgnęła się w doskonałą kobietę interesu, zdecydowana owocnie przeżyć życie, zapomnieć o ułomności, wykorzystywać swoje atuty. Bardzo zbliżyła się do Grand'mère i dobrze im się razem pracowało.

Gdy już mi pokazała osiągnięcia pracowni — będącej szczególną jej domeną, bo nie lubiła mieć do czynienia z klientkami — powiedziała mi, że martwi się o Julię.

— Pije więcej niż przedtem. Ludzie o tym mówią. Mówią, że Drake popełnił największą pomyłkę w życiu. Ożenił się z nią ze względu na swoją karierę, a ona okazuje się przeszkodą.

Widuję się z nimi obojgiem od czasu do czasu... i myślę, że on zaczyna jej nie cierpieć.

— To bardzo smutne.

— Powinnaś ją któregoś dnia odwiedzić. Prawdopodobnie słyszała, że wróciłaś, i będzie jej przykro, jeżeli się nie pokażesz.

— Nie sądzę, — żeby chciała mnie widzieć.

— Ależ chce. Zawsze mówi o tobie.

— Więc ją odwiedzę.

Tak to znalazłam się z Cassie w domu Julii, który teraz był londyńską kwaterą główną Drake'a.

Gdy lokaj wprowadził nas do salonu, ogarnęło mnie na widok Julii zdumienie. Roztyła się, rumieńce miała ciemne, niemal fioletowe, oczy trochę szkliste.

Zostałam powitana wylewnie.

— Lenore... prawie prosto z Paryża! Wyglądasz na to, moja droga, czyż nie, Cassie? Taka elegancka! Co ty robisz, że wciąż jesteś taka szczupła? Ja się rozlewam... nawet moja pokojówka wie, że nic nie da wbijanie mnie w gorset. Przychodzi czas, kiedy się rezygnuje z wyglądanania na taką, jaką się nie jest. Napijmy się sherry. Cassie, zadzwoń i każ podać herbatniki.

Cassie usłuchała. Julia nalała do kieliszków wina — sobie po same brzegi, jak zauważyłam.

— No, to jest przyjemność! — powiedziała podnosząc swój kieliszek. — Jak w dawnych czasach.

Pamiętacie... w Jedwabnym Domu? Niemało się zdarzyło od tamtej pory. Biedny Philip odszedł... ty jesteś wdową, Lenore. Czy nigdy nie myślałaś o ponownym zameściu? — zapytała jakoś kwaśno. Czyżby dawała do zrozumienia, że pamięta, jak kiedyś sprawy stały między Drake'em i mną?

— Pozostaję wdową — odpowiedziałam.

— Biedna Lenore! Czy dlatego, że tak chcesz?

To zignorowałam. Znów napełniła sobie kieliszek i szybko wypila.

— Być żoną polityka wcale nie jest tak zabawnie — powiedziała. — Chwilami myślę, że powinnam była jak ty pozostać wdową. — Wzruszyła ramionami. — No, byleby tylko umieć bawić się samotnie.

Cassie wyraźnie czuła się nieswojo i już szukałam pretekstu, żeby skrócić tę wizytę, gdy do pokoju wszedł Drake.

Julia, nagle czujna, odstawiła kieliszek. Zastanowiłam się, czy ona nas zaprosiła specjalnie w porze, gdy on będzie. Przyglądała się mężowi bacznie. Drake nie ukrywał zdumienia — i zadowolenia — od razu podchodząc do mnie.

— No, Lenore — powiedział i ujął mnie za rękę.

— Miło pana zobaczyć — powiedziałam.

— Słyszałem, że pani jest w Paryżu.

— Wróciłam niedawno.

— Kieliszek sherry, najdroższy? — zaproponowała Julia.

— Nie, dziękuję.

Wydeła usta.

— Pewnie myślisz, że ja wypiałam za dużo.

— Tego nie mówię.

— Nie, ale widzę, że tak myślisz. Lenore, kiedy będziesz wychodziła za mąż, nie bierz sobie takiego, który krytykuje. Tacy mężowie to straszni nudziarze.

Drake milczał. Po chwili zwrócił się do mnie.

— Mam nadzieję, że wszystko dobrze w filii paryskiej.

— Nawet bardzo dobrze. Hrabina ma cudowną głowę do interesów.

Zapanowała cisza.

— Powinieneś być, Drake, otworzyć przedsiębiorstwo tego rodzaju zamiast zajmować się polityką — powiedziała Julia. — Może byś wtedy mniej przebywał poza domem... jeśli to rzeczywiście polityka jest powodem.

Rumieńce na jej twarzy jeszcze bardziej pociemniały. Ileż ona musiała wypić, zanim przyszliśmy. Zwróciła się do Cassie i do mnie:

— On w domu jest tak rzadko... tylko wpada, kiedy musi przyjechać do miasta. Ciągnie go z powrotem na wieś, no nie, Drake? I ta cała opieka nad głupimi starymi wyborcami. Niezbyt wdzięczna praca, no nie? Ostatnim razem wcisnął się do parlamentu tylko malusieńką większością głosów.

Drake spróbował nadać rozmowie ton konwencjonalny.

— Tak to bywa z wyborcami — powiedział.

— Oczywiście miał nadzieję na stanowisko w rządzie — nie ustawała Julia — ale w tej polityce nigdy nic nie wiadomo. Partia odpada, to się odpada razem z partią. Nikt rozsądny nie zajmuje się polityką.

Drake roześmiał się przepraszająco.

— Nie przeczę, że masz rację — powiedział.

Zabrałam głos:

— Ja uważam, że to podniecający zawód. Oczywiście, trzeba mieć sporo szczęścia i wiele zależy od tego, która partia jest u władzy. Ale wytyczanie drogi narodowi to na pewno sprawa fascynująca.

— Jeszcze sherry? — zapytała Julia.

Cassie i ja odmówiliśmy, a ona sobie znów napełniła kieliszek.

Drake zmarszczył brwi.

— Julio, myślisz, że powinnaś?

Parsknęła śmiechem.

— Czy myślisz, że powinnaś, on pyta! No bo wy tu jesteście. Jego nie obchodzi, ile piję. Ma nadzieję, że zapiję się na śmierć.

Nagle się rozplakała. To było bardzo żenujące. Wiedziałam, że jest wstawiona. Drake podszedł i

położył jej rękę na ramieniu.

— Julia nie czuje się dobrze — powiedział. Wyciągnął chustkę do nosa, otarł jej oczy i delikatnie zabrał kieliszek.

Przywarła do niego namiętnie.

Cassie wstała.

— No, my się już pożegnamy. Do widzenia, Julio.

Julia przytaknęła.

Drake odprowadził nas do drzwi. Ujmując mnie za rękę, powiedział:

— Lenore, muszę się z panią zobaczyć. Czy możemy spotkać się w parku... tam, gdzie dawniej... niedaleko kaczek?

Skinęłam głową.

Gdy wyszliśmy stamtąd, Cassie powiedziała:

— Niefortunna wizyta. Julia jest w złym nastroju. Widziałaś, jak pije. Rzeczywiście jest bardzo nieszczęśliwa. Gorąco kocha Drake'a, a on jej nie kocha, tylko ma dobre serce, więc próbował udawać, ale nieudolnie, prawda? Zwykle to nie wygląda aż tak źle. Dziś przeholowała chyba dlatego, że ty byłaś. Zawsze jest zazdrosna o ciebie, Lenore. Nieraz mi się wydaje, że Drake może by ją ocalił, gdyby się w niej zakochał.

— Jest jej mężem.

— Co z tego? Nigdy nie kochał jej naprawdę. Ożenił się z nią dla kariery, ludzie mówią.

— Nie przypuszczam, żeby tak było.

— Kiedyś myślałyśmy, że zakochał się w tobie. Nic na to nie powiedziałam.

— Ale ożenił się z Julią. Chyba dlatego, że jest bogata. To błąd ożenić się z takiego powodu.

On szybko się o tym przekonał.

— Może mylnie go osądzasz. Właściwie nigdy się nie wie, dlaczego ludzie postępują tak, jak postępują.

— Masz rację, oczywiście, i ogromnie mi żal ich obojga. Drake na pewno, kiedy się z nią żenił, myślał, że wszystko dobrze się ułoży... i ona też tak myślała. Ale się nie ułożyło ani jemu, ani jej.

Przygnębiło mnie to, co widziałam w tamto przedpołudnie.

Nieswojo czułam się przygotowując do spotkania z Drake'iem. Wydawało mi się dziwne, że mamy się spotkać tam, gdzie spotykaliśmy się tyle razy w przeszłości.

Drake czekał na mnie przy naszej dawnej ławce. Ujął mnie za obie ręce i badawczo spojrzął mi w oczy.

— Dobrze, że przyszedłaś, Lenore.

— Jak w dawnych czasach — powiedziałam.

Westchnął.

— Chciałbym zawrócić. Wszystko bym załatwił zupełnie inaczej.

— Każdy miewa chwile, kiedy tak myśli.

— Musiałem z tobą porozmawiać. Życie nieraz staje się nie do zniesienia i kiedy wyobrażam sobie, jak mogłob3' być... Lenore, nie wiem, czy to uciągnę.

— Masz swoją karierę.

— Bogu dzięki, jestem wciąż zajęty, ale trudno mi pracować tutaj. Siedzę w Swaddingham, kiedy tylko mogę, cóż kiedy tu ustawicznie coś mnie zatrzymuje.

— Biedny Drake! Tak mi przykro.

— To cudownie, że wróciłaś do Londynu. Bardzo mi ciebie brakuje. Lenore, gdybyż wszystko poszło inaczej. Proszę cię, już nie wyjeżdżaj.

— Możliwe, że na jakiś czas tu zostanę — powiedziałam.

— Ty rozumiesz... sprawę z Julią. Bardzo szybko pojąłem, że dziecka nie będzie. Ona mnie oszukała. Boże, wybacz, nienawidzę jej za to. Staram się mojej nienawiści nie okazywać. Julia jest nieraz żalсна. Widziałaś coś niecoś, kiedy ją odwiedziłaś, ale nie mogłabyś sobie wyobrazić, jaka bywa gwałtowna. Po części to moja wina. Jej uczucie do mnie jest obsesyjne.

Gdybym potrafił się odwzajemnić... gdybym tylko zdołał ją przekonać... ale nie zdołam, Lenore.

To taki fałsz. Nie potrafię aż tak udawać. Ona wie, że nigdy jej nie kochałem. Wie, że się z nią ożeniłem, bo dałem się nabrać. Też nienawidzi siebie za to, że mnie oszukała. Biedna Julia, chcę jej pomóc. Chcę ją wyleczyć, żeby przestała pić... ale to przekracza moje możliwości i nieraz okazuję wstręt. Nieustannie myślę o tobie. Wciąż mówię, gdyby tylko... Muszę od czasu do czasu się z tobą widywać. Lenore, proszę, spotykajmy się.

— W tych okolicznościach, Drake, uważam, że to byłoby nieroztropne.

— Byłem pewny, że nie jestem ci obojętny. Chciałem ci się oświadczyć. Często myślałem o twoim pierwszym mężu. Wiem, że był ci drogi. Wciąż sobie powtarzałem: muszę poczekać...

poczekać, aż czas dojrzeje... poczekać, aż ona zupełnie oderwie się od przeszłości. Ale czekałem za długo i stało się.

Słuchałam odrętwiała. Gdyby mi się oświadczył, przecież bym za niego wyszła. Nie wątpiłam wtedy, że kocham go — tego rycerza, który uwolnił mnie z zamknięcia w mauzoleum i który po latach znów się zjawiał, żeby mnie uwolnić z zamknięcia w żałobie po Philipie. Poszłabym do niego z wdzięcznością. Wierzyłam, że byłabym z nim szczęśliwa... spokojnie, bezpiecznie... tak jak pragnęła tego dla mnie Grand'mère. Założylibyśmy rodzinę w tym uroczym wiejskim domu, jeździlibyśmy do Londynu. Dalej bym się zajmowała salonem mody „Lenore”. Tak, mogło to być szczęśliwe małżeństwo.

Ale coś mnie niepokoiło. Czy życie szczęśliwe w całej pełni? Le Comte — jego oczy ironiczne, rozbawione, jego ciemna, raczej posępna aparycja, jego interesująca osobowość. Teraz już bym się nie zadomowiła w spokojnym szczęściu — wciąż bym myślała o nim, o tym, czego mi zabroniło moje konwencjonalne wychowanie.

Le Comte wkraczając w moje życie, zmienił wszystko. Jakaż ja głupia, dlaczego o nim myślę?

On jest nieosiągalny dla mnie, tak samo jak mąż Julii.

Powiedziałam:

— Było, minęło, Drake, to już przeszłość. Na nic się nie zda rozmyślanie, co mogłoby być.

— Łatwiej bym to znosił, gdybym wiedział, że mnie kochasz. Czy gdybym ci się wtedy oświadczył, zostałabyś moją żoną?

Skinieniem głowy odpowiedziałam, że tak.

— Lenore, uszczęśliwiasz mnie.

— Nie powinniśmy mówić o tych sprawach.

— Teraz chyba mogę wytrzymać życie w Londynie już łatwiej... z myślą o tobie. Musimy znów spotkać się tutaj.

— Nie sędzę, żeby to było mądre.

— Moglibyśmy się spotkać... przypadkiem... nad stawem. Gdybym się z tobą widywał od czasu do czasu...

Potrząsnęłam głową.

— Proszę cię — powiedział. — To by mi tak bardzo pomagało,

— Nie powinniśmy wprowadzać tego w zwyczaj.

Twarz mu się rozjaśniła.

— Chcę z tobą rozmawiać na tyle tematów. O polityce, o okręgu wyborczym. Często patrzę z dołu na galerię i wyobrażam sobie, że ty tam stoisz. Ty byś bywała w parlamencie i słuchała moich przemówień, prawda? Robiłabyś dużo, żeby mi pomóc. Julia chyba nie znosi mojej pracy.

O ileż lepiej się czuję teraz, kiedy ty wróciłaś.

Wydawał się dziwnie jak na niego nieopancerzony. Od pierwszej chwili, gdy przyjechał do Jedwabnego Domu, sprawiał wrażenie człowieka silnego. Julia marnowała sobie życie alkoholem. Było mi jej żal, ale teraz widziałam, że Drake jest tak samo bezradny.

Chyba to nic złego spotykać go od czasu do czasu w parku.

* * *

Ojciec pojechał z powrotem do Francji, a ja znowu rzuciłam się w wir pracy, stanowiącej dla mnie taką pociechę przy innych okazjach. Byłam wciąż zajęta. O Gastonie de la Tour starałam się nie myśleć. Grand'mère ma rację, powiedziałam sobie. Jestem dla niego jeszcze jedną kobietą, którą zachciało mu się przez jakiś czas emablować, i skoro okazało się to nieskuteczne, już skierował uwagę gdzie indziej. Przygnębiona żywiłam płonną nadzieję, że on przyjedzie do Londynu i udowodni, że Grand'mère osądziła go mylnie.

Drake był moją troską bardziej bezpośrednią. Składał wizyty w sklepie. Przejawiał pewną lekkomyślność. Grand'mère bardzo go lubiła, ale nie chciała, żebym się przyjaźniła z mężczyzną żonatym; to jeszcze bardziej niewskazane niż przyjaźń z le Comte.

Mówiłam Drake'owi kilka razy, że nie powinniśmy się widywać, ale natychmiast przygasał.

— Widywanie się z tobą... rozmowy z tobą... nie potrafię ci wyjaśnić, jak mi na tym zależy.

Nieraz boję się, co zrobię, jeżeli się nie wyzwolę.

— Zawsze byłeś pewny siebie, spokojny — powiedziałam mu kiedyś. — Zaradny w każdej sytuacji.

— Nigdy przedtem nie znalazłem się w takiej sytuacji jak ta, i świadomość, że sam się w nią wplątałem, nie pomaga mi jej znosić. Bywają chwile, kiedy nie jestem pewny, czy nie wyrządę Julii jakiejś krzywdy.

— Na litość boską, nie mów tak.

— Mogę zrozumieć ludzi doprowadzonych do ostateczności. Lenore, chcę, żebyś wiedziała, co czuję. Spotkania z tobą znaczą dla mnie tyle... ja muszę się z tobą widywać.

Naprawdę lękałam się o niego. Bardzo go lubiłam. Widziałam w nim rzetelność, którą wychwalała

Grand'mère. Ostatecznie on znalazł się w takiej sytuacji, bo jest człowiekiem honoru. Ożenił się z Julią uważając, że inaczej nie wolno mu postąpić. Czyż mógł przypuszczać, że ona go oszukała?

Rozpaczliwie było mi go żal — poniekąd i Julii także. Wiedziałam od Cassie, jak nieszczęśliwe jest to małżeństwo, bo Julia popijając wypowiadała się szczerze.

Widziałam wszystko wyraźnie. Julia namiętnie zakochana w swoim mężu, który jej nienawidzi. Ona chyba pokochała Drake'a — zaczęła go wprost uwielbiać — już w chwili, gdy wkroczył do Jedwabnego Domu, przystojny chłopiec, prymus w szkole, bohater imponujący nawet Charlesowi, który czuł się zaszczycony tym, że może gościć go u siebie. Przypomniałam sobie, jakim pałała gniewem po jego wyjeździe. Miłość od pierwszego wejrzenia. Lata minęły i wykombinowała, jak go zdobyć — tylko że chwytając go w pułapkę, utraciła go bezpowrotnie.

Biedna Julia! Mogłam sobie wyobrazić te noce pełne udręki, ilekroć Drake przyjeżdżał ze Swaddingham... i spał w innym pokoju. Julia opowiadała Cassie, jak chodzi po sypialni, wyrzeka na jego obojętność i sięga po swoją podręczną butelkę. I opowiadała o kłótniach — ona mu czyniła wyrzuty, że ją zaniedbuje, a on nie chce nawet jej odpowiadać. „Chce tylko uciec! —

wykrzykiwała do Cassie — Zawsze tylko uciec! Odejść ode mnie, ale ja go nie puszczę. Jest mój, dopóki żyjemy. Jeżeli ja go nie będę miała, to żadna inna też!” Sporo myślałam o nich obojgu. Dzięki temu mogłam nie myśleć wyłącznie o Gastonie de La Tour i nie zastanawiać się, co on teraz robi. Prawdopodobnie wrócił do Carstone. Czy kiedykolwiek myśli o mnie? Czaiło się pytanie. Może mu się zdarza wspomnieć tę oziębłą kobietę, która nie dała się uwieść... i na którą zmarnował tyle czasu.

Tak więc nadal widywałam się z Drake'iem. To było nieuniknione. Gdy wychodziłam z domu, Drake czekał na mnie. Żadne protesty by nie odniosły skutku. Wiedziałam, jak bardzo mu potrzebna przyjazna dusza. Rozmawialiśmy o rządzie, o tym, co czyni Salisbury, i o tym, co by uczynił Gladstone, ale jakoś zawsze zaczynaliśmy znów mówić o Julii.

Tuż przy Picadilly, dogodnie blisko była nieduża herbaciarnia. Miły lokalik ze stolikami we wnękach, gdzie nic nie zakłócało rozmowy. Podawano tam przepyszne ciastka. Katie ogromnie je lubiła.

Pewnego dnia poszliśmy we dwoje do tej herbaciarni. Siedzieliśmy i wypytywałam Drake'a o jego pracę. Zawsze starałam się oderwać jego myśli od nieszczęśliwego małżeństwa, a mogło to sprawić tylko zaabsorbowanie polityką.

Rozchmurzył się, omawiając swe zamierzenia i osiągnięcia. Wyznał, że martwi się o Gladstone'a, który szybko podupada na zdrowiu.

— Roseberry mu nie dorównuje — powiedział. — No, ale kto by mu dorównał?

— Gladstone nie zawsze potrafił utrzymać jedność partii, a teraz to już starzec.

— Wielu pcha się do władzy... są gotowi zrobić wszystko, żeby tylko wspiąć się o szczebel wyżej

na tej drabinie.

— Ale ty, Drake, nie jesteś taki.

— Może to moje uchybienie.

— W żadnym razie — zapewniłam go.

— Och, Lenore, jakże inaczej mogłoby być? Na myśl o tym wściekłość mnie ogarnia. Tak łatwo wszystko mogło potoczyć się zupełnie inaczej.

— Nie ma powrotu, Drake.

— Kocham cię, odkąd wyniosłem cię z tego mauzoleum. Byłaś taka mała i przestraszona.

Potem przez lata ciebie nie widziałem... ale gdy cię zobaczyłem, odżyła miłość. Dlaczego to musiała być ona? Gdybym był wolny, wyszłabyś za mnie.

Milczałam.

— Lenore, prawda, że tak? — zapytał z powagą. — Kochasz mnie?

Doznałam niemal wrażenia, że le Comte siedzi naprzeciw nas i śmieje się. Czy ten Aldringham panią podnieca? czy czuje pani przy nim smak przygody? Czy to z nim chce pani być bardziej niż z kimkolwiek innym pod słońcem? A takie właśnie uczucia, madame Sallonger, ja w pani budzę. Czy ten Aldringham również? Niech pani powie prawdę, no.

Powiedziałam:

— Jestem do ciebie przywiązana, Drake. Kocham cię, owszem, ale zakochanie się...

Patrzył mi w oczy.

— Czyli nie jesteś we mnie zakochana?

— Zakochałam się w Philipie, myślałam, że na zawsze. Drake, niemądrze mówić o tym.

— Mógłbym dać ci szczęście, Lenore, gdybym...

— To niemożliwe — powiedziałam.

Milczał i ja też milczałam. Pragnęłam, żeby rozwiął się obraz tej sceptycznej posepnej twarzy Gastona de La Tour. Ale czułam, że nigdy się nie rozwieje, tylko będzie rzutował na mój stosunek do wszystkich innych mężczyzn.

Drake ujął mnie za rękę nad stolikiem.

I w tym momencie usłyszałam swoje imię.

— Lenore! Cudownie, że cię tu widzę.

Przy stoliku stał Charles. Zakłopotana, szybko wycofałam rękę.

— Lenore... z moim szanownym szwagrem! Jak się masz, Lenore? Wyglądasz dobrze.

Zarumieniłam się. Tak mnie przyłapał. Nie był sam. Towarzyszyła mu kobieta niejasno mi znajoma.

— To jest — powiedział — signorina de Pucci.

Kobieta z uśmiechem skłoniła głowę. Była uderzająco piękna. Spod jej zawadiackiego kapelusza z białej słomki, ozdobionego białą–czarną wstążką, wysuwały się włosy czarne prawie jak węgiel. Miała na sobie czarny kostium w białe paski i białą falbaniastą bluzkę. Bardzo elegancka dama.

— To jest madame Lenore z salonu mody „Lenore”, o którym pani na pewno się dowie, signorina, jeżeli spędzi pani trochę czasu w Londynie. Lenore ma wielki dryg do interesów. A to jest mój szwagier, Drake Aldringham.

Powiedziała, że bardzo jej przyjemnie. Lekki akcent cudzoziemski, jak wszystko inne w niej, był czarujący. Nazwisko wydało mi się znajome, tak jak jej twarz... chociaż minęło tyle lat, odkąd ją widziałam.

— Już wiem — przypomniałam sobie. — Miała pani wypadek i przyszła pani do Jedwabnego Domu.

Uśmiechnęła się promiennie.

— Więc pani pamięta.

— Takich zdarzeń raczej się nie zapomina.

— Była pani tą młodą żoną. Och, ja też pamiętam świetnie... taka urocza para. A mąż...? —

Zaintrygowana spojrzała na Drake’a.

— Tak — powiedziałam. — Philip Sallonger. Umarł wkrótce potem.

— Och... to smutne.

Charles rzucił mi dobrze kiedyś znane spojrzenie pełne namysłu.

— Wpadliśmy tylko na herbatę. Te bezy tutaj są wyśmienite. Chciałem zaprezentować je signorinie de Pucci, dopóki jest w Londynie.

— Wszystko żywo mi się przypomina — powiedziałam. — Wyjechała pani tak nagle.

— Nie myślałam, że to tak wyglądało. Brat mnie wezwał... więc wyjechałam.

— Ja wtedy się wściekałem, pamiętasz, Lenore?

— Owszem. Wściekałeś się.

— Ale dlaczego? — zapytała ona. — Dlaczego miałby pan się wściekać?

— Dlatego, że pani mnie opuściła. Chciałem, żebyśmy coraz się lepiej poznawali. Już czyniliśmy postępy.

— Czy Julia spotkała się z signoriną? — zapytałam. Charles potrząsnął głową.

— Ale się spotka. Bardzo się ucieszy. Wszyscy przecież pamiętamy pani wizytę.

— Mam nadzieję — powiedziałam — że nie było żadnych następstw tego zwichnięcia.

— Zwichnięcia? — wymamrotała.

— Czy nie zwichnęła pani nogi w kostce, kiedy karetka się wywróciła?

— Ach tak... zwichnęłam. Szybko się wyklarowałałam. — Uśmiechnęła się czarująco do Drake'a. — Nie wiem, co by mnie czekało, gdyby nie ci dobrzy przyjaciele.

— Z przyjemnością zajęliśmy się panią, jak tylkośmy mogli — powiedział Charles. —

Nadzwyczaj szczęśliwym trafem spotkałem signorinę na ulicy niedaleko domu. Zapatrzyłem się w nią. Obawiam się, że niczym prostak,

— Ależ nie... nie — pośpieszyła go zapewnić.

— Byłem taki uszczęśliwiony — dodał.

— Długo będzie pani w Anglii tym razem? — zapytałam.

— To zależy od mojego brata. On załatwia mnóstwo interesów. Teraz jest w waszych środkowych hrabstwach. Czekam na niego i kiedy wszystko załatwi, wrócę z nim.

— Pamiętam pani pokojówkę... Marię. Czy nadal pracuje u pani?

— Tak, nadal..

— No, mam nadzieję, że miły jest pani pobyt tutaj.

— Już ja się postaram, żeby był miły — zapowiedział Charles.

— No... cieszę się, że spotkałem was oboje. — Znacząco przeniósł wzrok ze mnie na Drake'a i z powrotem. — Niechybnie znów się zobaczymy. Teraz zabieram signorinę do Julii. *Au revoir.*

Patrzyłam, jak ci dwoje odchodzą. Po chwili powiedziałam:

— Pech. To, że Charles tu się natknął na nas.

Drake wzruszył ramionami. Jest zbyt pogrążony w swojej niedoli, żeby dojrzeć niebezpieczeństwo, pomyślałam. Ale mnie zaniepokoiły spojrzenia i aluzje Charlesa.

Opowiedziałam Drake'owi o wypadku drogowym tej Włoszki w pobliżu Jedwabnego Domu i o tym, że przez kilka dni tam gościła, nagle wyjechała do brata i poza liścikami z podziękowaniem, przysłanymi z któregoś londyńskiego hotelu, nigdy nie dawała znaku życia.

— Wkrótce potem Philip umarł — zakończyłam — więc zupełnie zapomniałam o tym incydencie. Nawet w pierwszej chwili jej nie poznałam, chociaż wydawała mi się znajoma.

— Ciekawe, że Charles ją spotkał... przypadkowo.

— Chyba prawie wszystko zdarza się przypadkiem.

Gdy wróciłam do sklepu, nie mogłam przestać myśleć o spotkaniu w herbaciarni i było mi nieswojo. Charles zobaczył Drake'a ze mną. Bałam się. Bóg wie, co taki człowiek jak on może na tym odkryciu zbudować.

* * *

To Cassie mi powiedziała o Charlesie i Maddaleni de Pucci, zanim ja jej zdążyłam powiedzieć.

— Zatrzymała się z pokojówką w hotelu i czeka na swojego brata.

— Tak. Mówiła o tym, kiedy ją spotkałam. — Opowiedziałam, jak spotkaliśmy się w herbaciarni, gdzie byłam z Drake'iem.

Cassie trochę przygasła. Wiedziała o mojej przyjaźni z Drake'iem. W istocie wiedziała dużo.

Poniekąd żyła cudzymi sprawami. Interesowała się ludźmi dobrotliwie i z głębokim zrozumieniem. Serce miała otwarte dla wszystkich i była pełna współczucia.

— Charles — powiedziała mi — troskliwie się nią zajął — Oczywiście, bo piękna...

wyjątkowo. Chyba tym piękniejsza, że cudzoziemka. Smutne to jego małżeństwo. Nigdy nie był wiernym mężem. Myślę, że Helen dawno się z tym pogodziła. Ale teraz wyraźnie jest zaangażowany.

— Ona mu się podobała już wtedy, gdy przyszła do Jedwabnego Domu — powiedziałam. —

Wspominał, jak go rozgniewał jej nagły wyjazd nie wiadomo dokąd.

— Bardzo mnie to trapi. Ich małżeństwo... i małżeństwo Julii i Drake'a... Dochodzę do wniosku, że czasami lepiej być panną.

— Życie w panieństwie jest mniej skomplikowane — przyznałam. — Idzie się równą drogą.

W większości związków drogi są bardzo wyboiste.

— Za nic bym nie chciała być na miejscu Helen z takim niewiernym mężem... ani na miejscu Julii, tak kochać całym sercem wciąż odtrącana. Zupełnie inne było twoje małżeństwo z Philipem, ale on umarł.

Przytaknęłam.

— Przepraszam — ciągnęła Cassie — nie powinnam ci tego przypominać. Ojej, szkoda, że nie ty wyszłaś za Drake'a. On ciebie kocha, to przecież jasne. I tego chciała twoja babcia.

— Nie zawsze wszystko układa się tak, jak ludzie chcą.

— Serdecznie pragnę, żeby Julia była szczęśliwa. Ale chyba nigdy nie będzie. Niestety, coraz z nią gorzej. Pije bez ustanku... o wiele więcej, niż widzimy. Kiedy ostatnio ją widziałam, leżała, poprosiła, żeby jej podać szlafrok. Wzięłam go z szafy... spośród kilkunastu butelek. Ona pije potajemnie tak samo, jak przy wszystkich. Co ją doprowadziło do takiego stanu. Zgryzota?

— Jej pierwszy mąż tego popijał. Może przejęła ten nałóg od niego. Z początku piła dla przyjemności, a teraz ze zmartwienia. Marnuje sobie zdrowie, życie i możliwość szczęścia.

— To jest tragedia. Często wspominam czasy, kiedy miała zacząć bywać. Pamiętam, jak się cieszyła. Zjawiła się hrabina... i ta radość zamieniła się w przerażenie. Biedna Julia. Wtedy za dużo jadła, tak jak teraz pije za dużo. W jednej chwili była pewna siebie, w następnej schowałaaby się w mysią dziurę. I jak strasznie czuła się w tym swoim pierwszym sezonie, kiedy nie spełniły się jej nadzieje.

— Też dobrze to pamiętam.

— Potem wyszła za tego starca i on jej zostawił majątek. Myślę, że gdyby sobie znalazła kogoś młodszego, zanim uznała, że nie jest tak ponętna, jak niektóre panny... może jej sprawy przyjęłyby inny obrót. Czuję się jakoś macierzyńska wobec Julii.

— Chyba wobec nas wszystkich.

— Naprawdę byłoby dobrze, gdybyś poszła ze mną do niej. Proszę cię, Lenore. Myślę, że ona chce cię widzieć.

— Nie mam co do tego pewności.

— Ależ na pewno chce. Zawsze mówi o tobie. Zrozum, Lenore, ona jest bardzo nieszczęśliwa.

Więc ją odwiedziłam. Witła mnie gorąco, wydawała się pogodniejsza. Pomyślałam, że może pojęła, jak sobie szkodzi i próbuje się poprawić.

Była podniecona. Projektowała przyjęcie. Weszło w modę angażowanie pianisty, żeby grał gościom. Uważała, że to doskonały pomysł. Chciała też zaprosić kilku kolegów Drake'a.

— Koncert fortepianowy, a potem kolacja *à la fourchette!* — wykrzyknęła. — Jak myślicie?

Cassie widząc ją wreszcie czymś zainteresowaną, tak się uradowała, że wpadła w entuzjazm.

— Ty będziesz? — zapytała mnie.

Odpowiedziałam, że tak, będę na tym przyjęciu. Grand'mère była ostatnio dosyć markotna.

Wiedziała o moich spotkaniach z Drake'iem, niepokoiła się. Chyba biorąc pod uwagę, że długo żyję w celibacie, jeszcze przecież młoda po zaznaniu małżeńskiego szczęścia tak przelotnym.

Pragnęła, żebym była szacownie poślubiona zacnemu mężczyźnie. Drake jej zdaniem nadawałby się na męża idealnie, gdyby nie był żonaty.

Lękała się, że emocje mogą mnie ponieść za daleko. Wyczuwałam to, więc chciałam jej wyjaśnić, jakie żywię do niego uczucia — z pewnością to nie namiętność górująca nad zdrowym rozsądkiem, tylko spokojne, stateczne przywiązanie. A już wiedziałam, że bywają uczucia zupełnie innego rodzaju.

Wybrałam się z Cassie na przyjęcie u Julii. Cassie zadowolona orzekła, że ona powinna prowadzić dom otwarty.

— Będzie miała jakieś zainteresowanie. A właśnie tego jej potrzeba.

Powitali nas pani i pan domu, we dwoje. Trochę się przeraziłam, bo policzki Julii pod różem już przybrały odcień fioletowy. Oczy jej błyszczały podnieceniem.

— Kochana Cassie! I Lenore! Wyglądasz uroczo. Taka wytworna, prawda, Drake?

Drake uśmiechnął się do mnie smętnie.

Powiedziałam, że wprost nie mogę się doczekać koncertu fortepianowego. Poszłyśmy dalej, gdy oni witali innych gości.

Zobaczyłam Charlesa. Była z nim Maddalena de Pucci. Kruczowłosa w czerwonej aksamitnej sukni, podkreślającej jej włoską urodę, przyciągała wzrok.

Charles pozdrowił nas wylewnie.

— Ach, jak miło, że się tu stawiliście. Ku radości Julii na pewno — uśmiechnął się chytrze.

— I Drake'a także. Duże towarzyskie zebranie, co? Wielu z najślawniejszych... czy mam powiedzieć najbardziej osławionych?... polityków jest tutaj. Wszystko dla dobra Drake'a. —

Zwrócił się do swojej damy. — Droga moja, to przekrój angielskiej socjety. Ci, którzy ustalają reguły, i ci, którzy tych reguł przestrzegają. Powiedziałbym, że Drake wydaje się wielce zadowolony z siebie... i z gości. — Znów rzucił mi znaczące spojrzenie.

Bałam się go. I to bardzo.

Nie odchodził od nas, więc czułam się nieswojo. Do Maddaleny odnosił się tak, jakby była jego cenną własnością, ale denerwująco raz po raz spoglądał na mnie.

W swoim czasie podeszła do nas Julia.

— Dobra zabawa, prawda? Zamówiłam fotografa. Chcę, żeby zrobił zdjęcia teraz... na początku... zanim ludzie oklapną. Po zdjęciach zagra nam signor Pontelli, a potem będzie kolacja i bal. Gładko poszło załatwienie tego wszystkiego z dostawcami.

— Spisałaś się znakomicie — pochwaliłam ją.

Z serdecznym uśmiechem powiedziała:

— Cieszę się, że tak uważasz.

— Drake na pewno jest zadowolony.

— Mam nadzieję... och, mam nadzieję. Ach, przyszedł fotograf. Pójdę po niego. Stójcie tak, jak stoicie, poproszę jeszcze parę osób i już będzie jedno zdjęcie grupowe.

Zostałam więc sfotografowana razem z Charlesem i Maddaleną. Sporo było szumu, gdyśmy się ustawiali. Fotograf kazał nam się uśmiechać. Nucił i powtarzał „ha!”, a my udając, że niczego nam nie brakuje do szczęścia, staliśmy z ustami rozciągniętymi, aż te uśmiechy zastygły nam na twarzach.

Wreszcie to się skończyło.

Do salonu wszedł pianista. Grał z wielką wprawą i ekspresją — przeważnie Chopina — i naprawdę zasługiwał na więcej uwagi, niż okazywało mu audytorium.

Dostał niegłośne oklaski i zaczął grać muzykę taneczną. Wkrótce potem otworzyły się drzwi jadalni, gdzie był zimny bufet. Poszłam tam z Cassie, przyłączył się do nas Drake ze znajomym z parlamentu. Popijając wędzonego łososia szampanem, prowadziliśmy ciekawą rozmowę i dobrze się bawiłam, dopóki nie spostrzegłam, że Julia siedząca przy jednym z dalszych stolików ciągle nas obserwuje. Miała kieliszek w ręce, ilekroć na nią spojrzałam.

Po kolacji były tańce. Julia zmyślnie przeobraziła duży pokój w salę balową, bardzo elegancką, z palmami w donicach sprowadzonych na ten wieczór. Teraz grał do tańca zespół

muzyczny.

Wiedziałam, że Drake skorzysta z okazji, żeby zatańczyć ze mną — lekkomyślnie, chociaż wcale nie był lekkomyślny z natury. Myślę, że wskutek codziennych przykrości zubożyła mu jego własne zasady. Nie mógł nie wiedzieć, że Julia jest o mnie zazdrosna, bo na pewno w którejś ze swoich pijackich awantur to poruszyła. Chwilami wydawało mi się, że jemu już wszystko jedno — czy może nawet stara się doprowadzić do jakiegoś przesilenia.

Ta mała orkiestra zagrała walca. Ten taniec początkowo, gdy stał się modny, budził zgorszenie. Uważano, że jest dosyć śmiały.

Sunęłam w objęciach Drake'a.

— Cudownie, że tu jesteś — powiedział.

— Julia zorganizowała bardzo udaną zabawę.

— Udaną... na razie. Co powiesz o poglądach Jamesona? — Nawiązał do rozmowy przy kolacji.

— Są interesujące — odrzekłam.

— Ja myślę, że on się skłania w stronę Sałisbury'ego.

— Przecież należy do twoich liberałów.

— Wielu się waha.

Milczeliśmy przez chwilę, po czym on szepnął.

— To błogość... trzymać cię tak.

— Drake — poprosiłam — bądź ostrożny.

— Czasami nie mogę... tylko pozornie nic mnie nie obchodzi. Coś musi się stać.

Wyjechałabyś ze mną?

— Nie mówisz poważnie.

— Nie wiem. Wciąż to rozważam. Planuję... i czasami widzę, że to jedyne wyjście.

— Pomyśl o swojej karierze.

— Moglibyśmy wyjechać dokądś daleko... zacząć na nowo.

— Nie. To byłby błąd. Zresztą... — Nie mogłam temu biedakowi powiedzieć, że nie mam pewności, czy gdyby był wolny, przyjąłabym jego oświadczenia. Żal mi go było, bardzo go lubiłam. Już i tak zraniłam go mówiąc, że nie jestem w nim zakochana.

— Czuję się nieraz strasznie zniechęcony i bezsilny. Julia jest... nie do zniesienia. Z dnia na dzień mi coraz trudniej. Bywają chwile, kiedy zrobiłbym wszystko, byle z tym skończyć. Odkąd wróciłaś, jeszcze trudniej mi to znosić.

— Może powinnam znów wyjechać na jakiś czas do Paryża.

— Nie, nie. — Przyciągnął mnie bliżej. — Nie wyjeżdżaj.

Wiedziała, że Julia patrzy. Nie tańczyła. Stała z nieuniknionym kieliszkiem w ręce, trzymając się oparcia krzesła, jak gdyby nie mogła stać o własnych siłach. Chwiała się i szampan z kieliszka sączył się na suknię.

Nagle wykrzyknęła.

— Słuchajcie wszyscy! Mam coś do powiedzenia!

Stała na tym krześle. Myślałam, że lada chwila spadnie. Zaległa pełna zdumienia cisza.

Muzyka urwała w pół taktu.

Julia wskazała Drake'a.

— To — powiedziała — jest mój mąż, Drake Aldringham, ambitny polityk. — Mówiła bełkotliwie i ze zgrozą pojęłam, że jest pijana na umór. — On mnie nie chce. To jest ta, którą on chce... ta, z którą tańczy... przytula ją... szepcze do niej..., mówi jej, jak mu ze mną okropnie.

On chce ją, tę krawcową Lenore, bękarcticę! Mnie on nie chce. Jestem tylko jego żoną. Ona jest jego kochanką. Zabrała mi go.

Cisza zapanowała grobowa. Czułam ukradkowe spojrzenia rzucone w naszą stronę.

Drake podszedł do Julii.

— Julio — powiedział z niesmakiem — jesteś pijana.

Julia wybuchnęła śmiechem, przewróciłaby się razem z krzesłem, gdyby jej nie pochwycił.

Ale wywinęła mu się z rąk i osunęła na wznak na podłogę, zapatrzona szeroko otwartymi oczami w pustkę. Charles ruszył ku niej.

— Lepiej zanieść ją na górę — powiedział i doznałam wrażenia, że z trudem ukrywa rozbawienie.

Podeszła do mnie Cassie.

— Powinnyśmy już wrócić do domu — powiedziała.

Tak więc... przyjęcie się skończyło.

* * *

Nawet teraz nie przypominam sobie jasno, co się działo po tym wybuchu Julii. Stałam oszołomiona. Wszyscy wokoło starali się nie patrzeć na mnie.

Cassie zawsze w krytycznych chwilach przejawiała siłę i rozsądek. Wzięła mnie pod rękę i

wyprowadziła. Karetą miała przyjechać po nas znacznie później, nie miałyśmy czym pojechać do domu.

— Pójdziemy pieszo — powiedziała Cassie.

Szłyśmy ulicami, trzymała mnie pod rękę i milczała. Byłam jej za to wdzięczna.

Gdy weszłyśmy do domu, Grand'mère zbiegła na dół, żeby się dowiedzieć, dlaczego wracamy tak wcześnie. Opowiedziałyśmy wszystko. Słuchała pełna grozy.

— Biedna Julia — dodała Cassie. — Nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi... i co mówi.

— Musiało jej to leżeć na sercu — powiedziałam. — Jak mogła rzucać takie fałszywe oskarżenia przy gościach!

— Wszyscy widzieli, że jest pijana.

— To było oczywiste. Ale co ona wygadywała! Ludzie zawsze wierzą w najgorsze rzeczy.

— Moje kochane dziecko — powiedziała Grand'mère. — Postaraj się uspokoić. Znajdziemy sposób, żeby to ucichło. Może byś wyjechała. Z powrotem do Paryża. — Umilkła marszcząc brwi.

Wiedziałam, o czym myśli: powrót ten mógłby oznaczać, że wpadnę w sidła hrabiego.

Rozważyła sytuację i zdecydowała: pomimo skandalu i trudnych chwil, jakie mnie czekają, bezpieczniejsza będę tutaj.

— To byłoby jak ucieczka — zauważyłam.

Przytaknęła.

— Powiem wam coś. Przygotuję dobry uspokajający trunek. Napijemy się i porządnie prześpimy. Jutro rano będziemy się czuły lepiej.

Czy mogę wyjechać — zastanawiałam się. Szkoda, że hrabiny tu nie ma. Ze swoją bystrą znajomością świata hrabina by podsumowała tę sytuację mądrzej niż którakolwiek z nas. A jeśli le Comte jeszcze jest w Paryżu? Pomyśli, że wracam ze względu na niego. Będzie dalej mnie emablował. Nie wiedziałam, czy mu się oprę.

Nazajutrz spróbowałam rozpatrzeć sytuację bardziej rzeczowo. Jednego byłam pewna: wczorajsi goście Julii już opowiadają znajomym o niezwykłym incydencie. Bo nigdy dotąd się nie zdarzyło, żeby żona publicznie oskarżała swego męża o cudzołóstwo z jedną z obecnych przy tym kobiet. Świadkowie tej sceny będą się chwalić, że widzieli to na własne oczy, słyszeli na własne uszy.

I co teraz? Ludzie uwierzą, że jestem kochanką Drake'a? Na pewno uwierzą.

Może więc ostatecznie powinnam wyjechać.

Myślałam o Paryżu... o możliwości widywania się z le Comte, o pozostawieniu tej całej przykrew sprawy za sobą. Wszyscy byliby pewni, że uciekłam, i ja też!

Minął dzień. W salonie panował duży ruch. Chociaż w takich okolicznościach wypadało od skompromitowanej stronić, wiele pań niezdolnych do powściągnięcia ciekawości przychodziło pod pretekstem, że chcą coś kupić. Nie pokazywałam się im.

W dwa dni potem, ku mojemu zdumieniu, w sklepie zjawiała się Julia.

Cassie zaanonsowała, że Julia chce się zobaczyć ze mną.

— Wykluczone — powiedziałam. — Uważam, że nie powinnam się z nią widzieć.

— Bardzo się martwi. Płacze. Mówi, że nie spocznie, dopóki z tobą nie porozmawia.

Wahałam się, ale Cassie patrzyła na mnie błagalnie. Stała się z biegiem lat tak macierzyńska, jakby uznała, że jej posłannictwem w życiu jest troszczenie się o nas wszystkie.

— Zobacz się z Julią — prosiła. — Nie cierpię kłótni w rodzinie.

Zgodziłam się więc.

Julia weszła. Dosyć blada, z wyraźną siatką żyłek na policzkach, wyglądała staro i żałośnie.

Patrzyłyśmy sobie w oczy milcząc, po chwili wybuchnęła:

— Och, Lenore, jest mi strasznie przykro. Nie wiedziałam, co robię... co mówię. Niewiele z tego pamiętam. Stałam na krześle... ni stąd, ni zowąd.

— Wrzeszczałaś, okropnie oskarżałaś Drake'a i mnie.

— Nie zamierzałam.

— Jak mogłaś myśleć coś takiego? — zapytałam. — Bo musiałaś tak myśleć.

— Lenore, jestem strasznie nieszczęśliwa. Chyba zawsze byłam zazdrosna o ciebie. Drake cię lubił od samego początku... bardziej niż mnie kiedykolwiek.

— Ożenił się z tobą, Julio.

— Wiem, ale to nie oznacza wszystkiego, prawda? On mnie nie kocha. Chwilami wpadałam w szał. Bałam się, że on się z tobą ożeni. Starłam się temu zapobiec... dlatego, kiedy byliśmy w Swaddingham, kazałam mojej pokojówce udawać ducha w galerii... tego ducha, który się ukazuje, żeby ostrzegać przed ożenkiem...

Nie zaraz to sobie przypomniałam.

— Och, Julio, jak mogłaś być taka... głupia. I te twoje podejrzenia są niesłuszne.

— Tak mi przykro, Lenore.

— Zło już się stało. Co ludzie sądzą? Wierzą tobie, rzecz jasna.

— Będę wszystkim mówiła, że nie wiedziałam, co robię. Nieraz myślę, że Drake mnie nienawidzi. To mnie rozwściecza... doprowadza do szału.

Znów zaczynała histeryzować, więc musiałam ją uspokoić.

— Dobrze, Julio — powiedziałam — zapomnijmy o tym.

— Poważnie?

— Tak. I powiem ci, że nie jestem i nigdy nie byłam kochanką Drake'a.

— Ale on kiedyś już był gotów się z tobą ożenić.

— Nie oświadczył mi się, Julio. Nie mówmy o tym. Ożenił się z tobą.

— Tak — powiedziała. — Ze mną, czyż nie?

Uśmiechnęła się trochę chytrze, pewnie wspominając, jak go nabrała.

Pomimo wszystko było mi jej żal. Nieszczęsna histeryczka. Bogata, ale życie nie ułożyło jej się dobrze. Miała bzika na punkcie Drake'a, odkąd tylko zobaczyła go po raz pierwszy, i nie cofnęłaby się przed niczym, żeby go zdobyć.

— Postarajmy się o tym zapomnieć — powiedziała z uśmiechem.

Pomyślałam: czy już wie o tym londyńska socjeta? Jak dalece to zaszkodzi karierze Drake'a?

Polityk mający nie zrównoważoną żonę nie może liczyć na sukces. Czy nie zaszkodziło mu to nieodwracalnie?

Z Drake'iem nie widziałam się od czasu tego incydentu i właściwie nie chciałam się z nim zobaczyć. Obawiałam się tego, co może by mi powiedział, bo przypuszczałam, że jeszcze bardziej niż przedtem pragnie uciec od Julii. Jego kariera była zagrożona. Może już nawet nie do uratowania.

Ale Julia stanęła przede mną. Rzeczywiście miała wyrzuty sumienia. Myślę, że skruchę okazała szczerą. To przecież fakt, że się upiła, nie zdawała sobie sprawy, co mówi. I na cóż by się zdały gorzkie pretensje do niej? Lepiej, chociaż to niełatwe, pamiętać, że wypiła za dużo, więc nie wiedziała, co mówi. Jest żałosna.

— Dołożę starań, żeby już nie pić — powiedziała. — Jestem pewna, że mi się uda, jeżeli dołożę starań. Pije się, bo wino pociesza, rozumiesz, Lenore. Daje zapomnienie. Ja naprawdę chcę pomagać

Drake'owi... no i co przedwczoraj zrobiłam? To dlatego, że widziałam, jak z nim tańczysz... i on wydawał się taki szczęśliwy. Zadałam sobie pytanie: czemu on przy mnie nie jest taki? I zanim się spostrzegłam, już...

— Proszę cię, Julio, zrozum, on jest tylko miłym moim znajomym. Ożenił się z tobą...

— Tak. Ożenił się ze mną, więc znów jesteśmy przyjaciółkami, czy tak, Lenore?

Cassie patrzyła na mnie błagalnie.

— Tak — powiedziałam. — Jesteśmy przyjaciółkami.

* * *

Tydzień jeszcze się nie skończył, gdy doszło do tragedii, przy której ten mały skandal już ludzi nie interesował. W domu Charlesa wybuchł pożar. Charles był sam na górze. Wszyscy służący byli w suterenie. Zaprosił kogoś, jakąś panią, na kolację i zapowiedział, że nie wolno mu przeszkadzać. Ta pani najwidoczniej wyszła przed pożarem, bo nie zostało po niej ani śladu.

Charles szczęśliwie ocalał. Jego lokaj, który miał wolny wieczór, wrócił niezamierzenie wcześniej. Na szczęście poczuł dym, dobywający się zza drzwi sypialni pana. Gdy otworzył

drzwi, buchnęły płomienie. Wołał Charlesa i chociaż nie było odpowiedzi, nie wątpił, że Charles tam jest. Z mokrym ręcznikiem na twarzy wszedł do sypialni. Charles leżał na łóżku, przypuszczalnie zaczadzony, nieprzytomny. Zaradny lokaj wyciągnął go w bezpieczne miejsce.

Zastosował sztuczne oddychanie i uratował swemu panu życie.

Charles doprawdy miał szczęście. Zginąłby w płomieniach, gdyby nie szybka akcja tego lokaja.

Julia otrząsnęła się z przygnębienia i, o dziwo, nabrała energii. Helen, żona Charlesa, była w tym czasie na północy Anglii. Julia orzekła, że nie ma potrzeby jej wzywać. Zabierze Charlesa do swojego domu i sama go wykuruje.

* * *

Katie, bardzo spostrzegawcza, zauważyła, że coś nie jest w porządku.

— Co ciocia Julia zrobiła? — zapytała.

Udałam zdumienie.

— Coś było — nastawała Katie. — Panie mają buzie w ciup, kiedy o niej mówią, i takie miny, jakby ona coś źle zrobiła i jakby to je cieszyło.

— Och... ciocia niezbyt dobrze się czuje.

— Wygląda dobrze. Jest rumiana. Ciemnorumiana.

Zapytałam impulsywnie:

— Katie, chciałabyś pojechać do Paryża?

— Kiedy wyjedziemy?

— Nie powiedziałam, że wyjedziemy. Tylko się zastanawiam, czy ty byś pojechała tam do hrabiny?

— Bez ciebie, mamó?

— Hm... myślałam, że chyba byś chciała.

— Dlaczego, mamó, ty nie możesz pojechać?

— No, różne sprawy mnie tu trzymają, więc...

— Mogłabym widywać się z Raoulem i z le Comte. Chciałabym, ale tylko z tobą, mamó. Poza tym le Comte by do mnie nie przychodził. On przychodzi do ciebie.

Zdumiewająco dużo Katie wiedziała.

Dzieci się orientują lepiej, niż my z tego nieraz zdajemy sobie sprawę. Zastanawiałam się, ile Katie wie o zakusach Gastona de La Tour i o sprawie z Julią i Drake'iem.

Do pokoju weszła Grand'mère. Katie jej oznajmiła.

— Grand'mère, mama uważa, że mogłabym pojechać do Paryża.

Grand'mère spojrzała na mnie. Powiedziałam szybko: — Myślę, że mogłaby tam przez pewien czas być pod opieką hrabiny.

— Bez ciebie? — zapytała Grand'mère.

— Jakoś mi się wydaje, że powinnam być tutaj.

Grand'mère przytaknęła.

— Ja nie chcę jechać bez mamy — oświadczyła Katie.

— Myślę, że obie powinnyście na razie tu zostać — dorzuciła Grand'mère.

Później powiedziała:

— Chyba nie puściłabyś dziecka do Paryża.

— Ja tylko myślałam, że może ona widzi więcej, niż nam się wydaje. Zawsze wie, kiedy coś się

dzieje. Mogłaby też słyszeć urywki plotek. Dzieci mają dobre uszy. Więc uznałam, że to dobry pomysł, gdyby przez jakiś czas była z daleka.

Grand'mère wolno pokręciła głową.

— Nie... nie. Lepiej, żebyście byli razem.

* * *

Zaniepokoiłam się, gdy złożył mi wizytę Charles. Wyglądał dziarsko pomimo swego niedawnego przeżycia.

Było popołudnie. Cassie poszła z Katie do parku, Grand'mère wypoczywała. Siedziałam sama nad rachunkami. Po tym skandalu nie odważyłam się bywać między ludźmi.

Pokojówka przysłała i zaanonsowała pana Sallongera.

Chciałam jej polecić, by mu powiedziała, że mnie nie ma, ale Charles już stanął w drzwiach.

Typowe. Wiedział, że nie zechcę go przyjąć, więc wszedł bez pozwolenia.

— Lenore, cudownie cię widzieć!

Podszedł do mnie. Pokojówka wyszła zamykając za sobą drzwi. Byliśmy sami!

— No — powiedział — pogratuluj mi. Czy zdawałaś sobie sprawę, że wyrwano mnie z paszczy śmierci?

— Gratuluję — powiedziałam.

— Jedder to przyzwoity facet. Byłoby dla mnie *Przyjdź Królestwo Twoje*, gdyby nie on.

— Powinieneś być bardzo wdzięczny.

— Och, jestem. Jeszcze sobie nie życzę zejścia z tego padołu. A ty, Lenore, czarująca jak zawsze. Przyniosłem coś dla ciebie.

Wyciągnął fotografię.

— Pamiątka po godnej wspomnienia nocy — powiedział.

Była to fotografia zrobiona na przyjęciu u Julii, bardzo ostra: Charles, Cassie, Maddalena, jeszcze dwaj mężczyźni i ja.

— Dobre zdjęcie, nie sądzisz?

Nie chciałam mieć pamiątki z tamtego wieczoru. Przeciwnie, usilnie się starałam puścić go w niepamięć.

— Wszyscy wyszliśmy dobrze — powiedziałam. Schowałam fotografię do szuflady. Nie mogłabym znieść jej widoku.

— Chciałem ci tym sprawić przyjemność — powiedział Charles drwiąco.

— To był wieczór, o którym wolę zapomnieć.

— Och, myślisz o wybryku Julii. — Roześmiał się. — Biedna Julia! Sporo wypła, niestety. Ja też w tę noc pożaru. Widocznie to rodzinne. Podejmowałem pewną panią *le diner à deux*... i nic nie pamiętam. No, Julia oczywiście przeholowała. Teraz jest dla mnie dobrą siostrą. Wiesz, niewiele mi z domu zostało. Moja sekretera chippendale przepadła... spaliła się na popiół... tak samo meble hepplewhite. Naprawdę miałem tam trochę świetnych sprzętów.

— Myślałam, że może wyjechałeś na jakiś czas do Jedwabnego Domu.

— Och, mam za dużo do załatwienia w Londynie.

— Kiedy Helen wraca?

— Chyba nie ma powodu, żeby się śpieszyła. Żyjemy zgodnie, bo rzadko się widzimy. To dobra recepta małżeńska.

— Jesteś dosyć cyniczny.

— Realizm. Tak ja to nazywam. Julia odgrywa miłosierną samarytanę, Drake nie wysuwa sprzeciwów, więc mogę u nich mieszkać, dopóki sobie nie znajdę nowego gniazdka w Londynie.

Ale nie o tym chcę z tobą porozmawiać.

Uniosłam brwi. Uśmiechnął się i podszedł do stolika, przy którym stałam. Nie poprosiłam, żeby usiadł.

— Zapytasz, o czym? No, powiem ci. Chcę porozmawiać o nas.

— O nas?

— Tak... o tobie i o mnie.

— Cóż takiego masz o nas do powiedzenia ?

— To, że powinniśmy być bliższymi przyjaciółmi. Jestem trochę zazdrosny... o Drake'a.

Chyba trochę zanadto się do niego przywiązałaś... a doprawdy nie powinnaś. Ostatecznie to mąż Julii, i to rodzina... poniekąd. Rzeczywiście ogarnia mnie gniew, kiedy myślę o tobie i Drake'u i o tym, jak mnie zostawiłaś na lodzie.

— Mówisz bzdury.

— Nie sędzę, żeby ogólnie tak uważano po tej...

— A ja nie sędzę, żeby było o czym mówić.

— Jest o czym. Mam raczej fioła na twoim punkcie, Lenore. Nie mogę przestać myśleć o tobie. Szydzisz ze mnie. Jesteś taka cnotliwa... na pozór. Takim niewinnym dziecięciem byłaś, kiedy złowiłaś Philipa. Ale powiedz mi, dlaczego Philip się zabił?

— Nie mam pewności, że się zabił.

— Och, daj spokój. Myślisz, że ja go zamordowałem? Z zazdrości może, bo on miał nagrodę, której pożądałem. Nie, moja droga, to nie to. Przypuszczam, że dowiedział się czegoś o tobie.

Miał dosyć surowe poglądy na życie, ten Philip. Był rycerzem w błyszczącej zbroi. Wszystko, co bodaj trochę niedoskonałe, do głębi by go zgorszyło. Czego on się dowiedział o tobie, Lenore?

— Jesteś śmieszny.

— Potrafisz być takim fuksem na torze. Sama tylko pomyśl. Nieślubna córka z domu St Allengère, a tu papcio zjawia się akurat w porę, żeby pomóc w interesie. Mała przybłęda, która zostaje żoną jednego ze spadkobierców Sallongerów. Bardzo romantyczne... melodramat, w istocie, zwłaszcza że ten małżonek popełnia samobójstwo. Myślałoby się, że to wystarczy, ale, och, nie, nie dla Lenore. Ona musi zafascynować biednego męża Julii. Ambitnego polityka. No, ma biedak problem. Cały świat utracić z powodu miłości?

— Nie chcę już tego słuchać.

— Niestety musisz. Wiesz, że nie jestem zbyt porządnym człowiekiem.

— Pod tym jednym względem się zgadzamy.

Chwycił mnie za rękę.

— Ale ci, którzy nie są porządni, mogą być pociągający, wiesz.

— Ty jednak mnie nie pociągasz.

— Uważaj. Powinienem cię ostrzec, że potrafię być też mściwy. Pamiętasz mauzoleum?

— Nigdy nie zapomnę.

— I pamiętasz, jak dobry, szlachetny Drake cię wybawił i jeszcze mu było mało, musiał

zademonstrować swoją rycerskość wrzuceniem mnie do jeziora. Ja też nie zapominam. Trzeba wyrównać stare rachunki.

— Charles, chcę, żebyś stąd wyszedł.

Uwolniłam rękę, ale przysunął się do mnie tak blisko, że prawie dotykał twarzą mojej twarzy.

Patrzył drwiąco, pożądliwie. Bardzo się go zlekłam.

— Ja chcę zostać.

Zapytałam:

— Czy ta przepiękna Maddalena wyjechała?

— Jeszcze jest u nas.

— Myślałam, że ją emablujesz.

— Apetyt mam ogromny. Maddalena jest rozkoszna, piękna, ale, rzecz dziwna, nadal pragnę ciebie.

— Nie pragnij, tylko tracisz czas.

— Nie... nie. To będzie czas dobrze spędzony.

— Posłuchaj, Charles. Po tej rozmowie nigdy już nie chcę ciebie widzieć.

— Sprawię, że zmienisz zdanie.

— Zawsze jest takie, jakie sama sobie wyrabiam.

— Lenore, dosyć mam tych ceregieli z tobą. Mówię poważnie: jeżeli dalej będziesz ze mnie szydzić, źle się to skończy dla ciebie... i dla Drake'a Aldringhama. Co będzie, jeżeli Julia zdecyduje się na rozwód i poda, że ty jesteś powodem?

Zdrętwiałam z przerażenia. Wiedziałam, że on nie mówi na wiatr.

— To byłoby oczywiste kłamstwo — szybko powiedziałam.

— Czyżby? Spotkania w parku, Julii wybuch w obecności tyłu świadków. To by oznaczało koniec kariery politycznej Drake'a, a ciebie by ukazało jako damę raczej lekkich obyczajów.

— Julia już mi dosyć zaszkodziła.

— Mogłabyś go ocalić... i siebie też... gdybyś była rozsądna.

— Jak?

Łypnął lubieżnie okiem.

— Znasz odpowiedź na to pytanie. Przyjaźniąc się ze mną, oczywiście.

— Czyli...

— Powiedzmy, że zostałąbys moją bardzo bliską przyjaciółką.

Roześmiałam się.

— Chyba zwariowałeś.

Wzruszył ramionami.

— To jakiś szantaż — powiedziałam.

— Broń często skuteczna.

— Jesteś taki melodramatyczny.

— Raczej intrygujący, nie?

— Daleko do tego. Raczej niedorzeczny i zgoła nielogiczny.

— Moja droga bratowo o pochodzeniu dosyć haniebnym, spryciaro przyjęta do owczarni Sallongerów jako służka z babcią u nas pracującą, kiedy jakoś ci się udało złapać jednego ze spadkobierców Sallongerów na męża...

— Jak śmiesz mówić takie kłamstwa!

— Kłamstwa? Czy nie wyszłaś za mojego brata? Czy on nie był jednym ze spadkobierców majątku ojca? Czy nie wspierałaś się ze służebnej pozycji w domu, żeby należeć do naszej rodziny?

— Ja nie złapałam Philipa na męża.

— Swoimi sztuczkami i ładniutkimi minkami złapałaś. On zawsze był twoim niewolnikiem.

Wiedziałaś, że jest lepszą perspektywą niż ja, biedny Charles wzgardzony. Potem umarł w tajemniczych okolicznościach. Samobójstwo, jak mówią. Ale czy tak było? Uważaj, Lenore. Nie jesteś w bezpiecznym położeniu. Ja mam duży wpływ na Julię. Mógłbym ją namówić, żeby się rozwiodła. Ona by mnie usłuchała, jestem jej doradcą teraz.

— Nie zrobiłaby tego. Już bardzo zaszkodziła Drake'owi i czuje skruchę.

— Skruchę? Może chwilowo. Potem będzie wściekle zazdrosna. To zależy od butelki.

Widziałem ją w niejednym nastroju, jaki butelka wywołuje. Ckliwą, czułościową, szalejącą z zazdrości... jadowitą. Więc nie byłoby mi trudno. Szkoda, bo podobno Drake, gdyby mu dać szansę, stałby się wspaniałym mężem stanu. Rozwód by go wykończył. A ty, moja droga?

Pomyśl o swojej pozycji. Dawne skandale odżywają. Kobieta, której mąż popełnił samobójstwo w

kilka tygodni po ślubie. To by nie brzmiało zbyt ładnie, prawda, w sali sądowej?

— Nie zrobiłbyś tego.

— Czyżby? Chyba jeszcze słabo mnie znasz. To byłoby powtórzenie historii mauzoleum.

Wtedy szydziłaś ze mnie. Więc gdyby nie Drake, jak myślisz... że ile czasu siedziałabyś w, tej wilgotnej ciemni wśród szczątków dawno zmarłych Sallongerów?

— Za nic na świecie nie zostałabym, jak ty to nazywasz, twoją bliską przyjaciółką.

— Zobaczymy, Lenore, moja kochana. Zobaczymy.

— Pójdiesz już?

Skłonił głowę.

— Ale — powiedział — wrócę. Myślę, że rozważysz tę sprawę i to wszystko, co z niej wynika, sprawi, że zmienisz zdanie.

— Nigdy — oświadczyłam.

— *Au revoir*; słodka Lenore — powiedział.

Gdy odszedł, trzęsłam się wyczerpana. Zawsze myślałam, że jest niebezpieczny, ale dopiero teraz zdałam sobie sprawę, jak bardzo.

* * *

Nie powiedziałam nikomu o tej rozmowie z Charlesem. Nie mogłam się na to zdobyć. Szarpał mną niepokój. Wiedziałam jedno: Charles nie mówi na wiatr. Zawsze żywił do mnie szczególne uczucie wahające się między antypatią i pożądaniem. Chciał mnie upokorzyć, zranić. Szukał okazji takich jak ta w mauzoleum. Ale teraz sprawa była o wiele poważniejsza.

Jakże chętnie zwierzyłabym się Grand'mère z moich kłopotów, wolałam jednak jej nie martwić. Dosyć się nadenerwowała moimi spotkaniami z le Comte i z Drake'iem. Za bardzo to brała do serca. Nie mogłam jej obarczać tym nowym przerażającym dylematem.

Dostałam list od Drake'a.

„Muszę się z tobą zobaczyć — pisał — ale po awanturze Julii byłoby nieroztropnie pokazać się razem. Wpadłem na pomysł. Moja stara piastunka ma dom w Kensington. Czy moglibyśmy spotkać się u niej? Jest bardzo dyskretna i zrobiłaby dla mnie wszystko. Zawsze była jak matka.

To Panna Brownlee, Parsons Road 21. Przyjedziesz tam? Czy mogłoby to być jutro po południu?

Ja tam wtedy będę. Powiedzmy o pół do trzeciej. Muszę z tobą porozmawiać, Lenore. Proszę, przyjedź”.

Nie mogłam zignorować jego prośby i miałam mu przecież dużo do powiedzenia. A naprawdę byłoby głupio narażać się na to, że ktoś mógłby zobaczyć nas we dwoje, zwłaszcza po tych pogróżkach Charlesa.

Nie powiedziałam, dokąd się wybieram. Wzięłam dorożkę. Jechałam krócej, niż przewidywałam, więc przybyłam tam o dziesięć minut wcześniej. Tylko trochę ludzi kręciło się na ulicy i jakaś dorożka właśnie podjeżdżała, gdy wysiadałam z mojej. Dom był nieduży, z gęstymi koronkowymi firankami w oknach i kołatką przy drzwiach wypolerowaną na połysk.

Drzwi otworzyła mi kobieta mniej więcej sześćdziesięcioletnia, siwowłosa, o miłej twarzy, różowych policzkach i jasnoniebieskich oczach. Uśmiechnęła się do mnie serdecznie.

— Pani to pewnie pani Saltonger — powiedziała.

Przytaknęłam.

— A pani to panna Brownlee.

— Tak jest. Panicz Drake mi mówił, że pani przyjedzie. On tu wkrótce będzie. Zawsze punktualny. Proszę, niech pani wejdzie do mojego saloniku.

Salonik był mały, zagracony, okna wychodziły na ulicę, ale widok zasłaniały koronkowe firanki. Kanapa stanowiła komplet z kilkoma krzesłami, w kominku stała waza z wiązką róż.

Na parapecie kominka tykał zegar z imitacji złota, jego tarczę pomiędzy dwoma wazonami podtrzymywały dwa anioły. Na etażerce w kącie roilo się od małych bibelotów. Mnóstwo też przedmiocików, służących tylko ku ozdobie, było w oszklonym narożnym kredensie, który zastawiał inny kąt.

Panna Brownlee poprosiła, żebym usiadła.

— Ładny domek, prawda? — zapytała. — Jestem z niego dumna. Kupił go dla mnie, wie pani, panicz Drake.

— Ach, tak?

Uśmiechnęła się.

— Mój cudowny chłopiec. Ze wszystkich moich dzieci on był najlepszy.

— Wiem, że pani była jego nianią.

— Niania Brownlee... to byłam ja. Miałam w swoim czasie niejednego cherubinka, ale żaden nie umywał się do Drake'a. Mówiłam mu: „Zapomnisz o mnie zupełnie, kiedy pojedziesz do szkół i

będziesz miał wspaniałych przyjaciół”. „Nianiu Brownlee — odpowiadał — nigdy nie zapomnę”. I dotrzymał słowa. Boże mu błogosław. Zawsze pamiętał... na urodziny... na gwiazdkę... a potem kiedy przestałam pracować, kupił mi ten domek. I odwiedza mnie.

Rozmawia. Mówi o swoich kłopotach. Chcę zobaczyć, jak będzie kiedyś premierem. Gdyby mieli choć trochę rozumu, już by go wzięli na ten urząd.

— Widzę, że on ma w pani żarliwą popieczniczkę.

— No, ja go znam. Będzie tu niedługo. Punktualnie. Uczyłam go tego. „Musisz być punktualny, paniczu Drake — mówiłam — spóźniać się to złe wychowanie”. Zapamiętał. Zawsze wszystko pamiętał. Miło mi pomyśleć, że trochę dzięki mnie jest takim człowiekiem, jakim jest.

— Patrzyła na mnie bystro, przenikliwie, czujnie. Zastanowiłam się, co jej wiadomo o mojej przyjaźni z Drake’iem. Chyba wie sporo, bo on jej się zwierza. — Teraz jest bardzo smutny już od dawna. Strasznie go zmoгло życie. Modły zanoszę, żeby wszystko się naprawiło i żeby miał to, na co zasługuje, a zasługuje na najlepsze.

Zastukała kołatka. Panna Brownlee triumfalnie spojrziała na zegar.

— Punkt co do minuty — rzekła. — A nie mówiłam?

Zostawiła mnie w saloniku i poszła otworzyć drzwi.

Usłyszałam, jej głos:

— Jest tutaj.

Wprowadziła Drake’a.

— Lenore — powiedział. — Więc przyjechałaś.

Uśmiechnęłam się do niego. Był mizerny i zmęczony. Panna Brownlee oznajmiła.

— No, idę stąd, żebyście porozmawiali. Podać dobrą herbatę koło czwartej?

— Dziękuję, nianiu — powiedział.

Patrzyła na niego z taką miłością i dumą, że byłam do głębi wzruszona.

Gdy drzwi się za nią zamknęły, odwrócił się do mnie.

— Musiałem tak to zorganizować. Zważywszy wszystko, nie możemy się spotykać w publicznych miejscach.

— Rozumiem. Cieszę się, że poznałam pannę Brownlee. Jest taka ci oddana.

— Zawsze była dla mnie jak matka. Od lat jestem jej bliski, chyba jak nikt inny. W tamten wieczór... to było potworne.

— Wiem.

— Rozumiesz, co muszę wytrzymywać?

Przytaknęłam.

— Julia jest nieobliczalna, Lenore. Nie ma ucieczki przed nią. Najdłużej jak tylko mogę siedzę w Swaddingham, ale ona tam przyjedzie. Od tamtego dnia nic, tylko myślę, coś trzeba zrobić. Jakiż idiota ze mnie, że się w to uwikłałem.

— Postąpiłeś tak, jak uznałeś za słuszne. W przekonaniu, że musisz się z nią ożenić.

— Ona mnie oszukała.

— Wiem. Wiem.

— Akurat wtedy, gdy myślałem, że masz kochanka... a to był twój ojciec. Jakiż ze mnie głupiec! Nie potrafię opisać, jak się czułem. Zraniony, upokorzony, wściekły. Nigdy nie powinienem w ciebie wątpić, ale sytuacja wydawała się tak oczywista i ona to tak chytrze zrobiła. Byłem wtedy za słaby. Nie obchodziło mnie, co się dzieje. Zostałem u niej na noc.

Resztę wiesz.

— Nie ma sensu tego roztrząsać, Drake. To już przeszłość, jesteśmy w nowej sytuacji.

— Udawała, że troszczy się o mnie, a teraz usiłuje mnie zniszczyć.

— Jest zazdrosna, a kiedy pije, zdolna jest do wszystkiego. W tamten wieczór mieliśmy przykład. Musimy być ostrożni, Drake.

Przytaknął.

— Wciąż się głowię i głowię. Dochodzę do wniosku, że trzeba położyć temu kres. Odejdę od niej.

— Byłby skandal.

— A jeszcze skandalu nie ma?

— Być może, zdołałbyś to naprawić?

— Tak myślisz?

— Być może. Jeżeli będziesz taktowny. Jeżeli nie będziemy się spotykali. Mogłabym na długo wyjechać do Paryża. Wszystko by się ułożyło.

— Tego ja nie chcę. Zrezygnuję z polityki. Widzę, że w końcu będę musiał... nawet gdybym został z Julią. Jej nie będą akceptować i stanie się jeszcze gorsza.

— Być może, stanie się lepsza. Mogłaby, gdyby uwierzyła, że ci na niej zależy.

— Nie zależy mi wcale — powiedział. — I nie potrafię udawać.

— Niektóre skandale dają się uciszyć. Pomyśl o lordzie Melbourne.

— Zawsze się go wspomina przy takich okazjach, ale on miał chyba szczególne cechy. Z

natury zdolność przetrwania. Ja nie chcę tego naprawiać. Jestem gotów zrezygnować, Lenore, wyjedźmy razem.

— Nie, Drake, to nie jest wyjście.

— Był czas, kiedy myślałaś, że mnie kochasz.

— Kocham cię, Drake. Jesteś moim drogim przyjacielem.

— To znaczy, że nie kochasz mnie dostatecznie.

— To znaczy, że nie kocham ciebie tak, jak powinnabym. Ludzie, którzy z czegoś rezygnują dla siebie nawzajem, muszą kochać się w sposób szczególny. Jestem do ciebie przywiązana.

Zawsze cię podziwiałam, ale...

— Zmieniłaś się, Lenore. Jest ktoś inny.

Milczałam.

— Czuję, że jest — powiedział. — Rozumiem.

— Nie, nic nie rozumiesz. To prawda, że poznałam kogoś. On po prostu podziałał na mnie dziwnie.

— Zakochałaś się w nim.

Potrząsnęłam głową.

— Nie wiem. Byłabym głupia, gdybym się w nim zakochała. Nie, to nie jest miłość. Ale jego towarzystwo pobudza mnie, ekscytuje i myślę o nim często. Może to śmieszne. Z pewnością. On nie jest poważny. Ale właśnie brak powagi mogłabym lubić i nie wyobrażam sobie, że mogłabym się zakochać w kimś innym.

Drake słuchał ze zdumieniem.

— Nie potrafię tego wyjaśnić dokładnie — ciągnęłam — to było tylko... przypadkowe spotkanie, ale wywarło na mnie głębokie wrażenie. Nie, nic mnie z nim naprawdę nie łączy. On by zatrzymał się

przez chwilę i poszedł dalej. Taki człowiek. Nie mogłabym zgodzić się na to, a przecież... jestem z tobą szczerą, Drake... wciąż jeszcze o nim myślę i dlatego wiem, że nie powinieneś składać żadnych ofiar dla osoby tak niepewnej jak ja.

— Zawsze myślałem, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

— Ja też tak myślałam, czasami. I Grand'mère tak myśli. Strasznie się zmartwiła, kiedy ożeniłeś się z Julią.

— To bardzo mądra kobieta.

— Świata poza mną nie widzi. Twoja panna Brownlee mi ją przypomina. Kocha cię serdecznie.

— Wiem.

— A ty się nią opiekujesz. Jest ci taka wdzięczna.

— To ja powinienem być wdzięczny jej.

— Drake — zapytałam — więc co zrobisz? Julia może wystąpić o rozwód.

— Byłbym bardzo rad.

— Charles dał do zrozumienia, że mógłby ją namówić do tego i żeby jako powód podała mnie.

Ścisnął mi rękę.

— To byłoby wyjście — powiedział. — Rad byłbym z każdego sposobu, byle z tym skończyć.

Chwilami wydaje mi się, że byłbym zdolny do wszystkiego.

— Proszę cię, nie mów tak, Drake. Zastanów się, co by to oznaczało. To byłby koniec twojej kariery.

— Ale ja już się zdecydowałem zrezygnować.

— Teraz, ale jak byś się czuł za pięć czy dziesięć lat? Politykę masz we krwi. Jest twoim życiem, Drake. Zawsze by cię dręczyło uczucie, że coś zaprzepaściłeś.

— Mógłbym być szczęśliwy, gdybyś była ze mną. Ty byś zapomniała o tamtym mężczyźnie.

Ja bym zapomniał o polityce. Moglibyśmy być ze sobą szczęśliwi. Wiem.

— Drake, nie bądźmy pochopni. Może coś się stanie. Tak rozmawialiśmy wciąż na ten temat, raz po raz się objając o swoją niepewność... o determinację Drake'a i o to, że on już nie może ciągnąć tego dalej i że musi się coś stać, bo jeśli się nie stanie, wkrótce będzie musiał sam coś spowodować.

Chciałam mu powiedzieć o Charlesie, ale w porę ugryzłam się w język. Po co martwić go jeszcze bardziej, i jakie by podjął kroki? Przed laty wrzucając Charlesa do jeziora, podsycił w nim urazę do

nas dwojga. Milczałam.

Przed czwartą weszła panna Brownlee z herbatą w dużym brązowym czajniku, bułeczkami i ptysiami.

— On zawsze lubił moje bułeczki — powiedziała mi — prawda, Drake? A ptysie to był specjalny przysmak. Pamiętasz?

Zapewnił ją, że pamięta. A ja przy tej kobiecie kochającej go tak widocznie, pomyślałam: jest ze wszech miar zacnym człowiekiem, więc w tym tragiczniejszej znalazł się sytuacji. Może gdyby to ze mną się ożenił, a nie z Julią, byłibyśmy bardzo szczęśliwi.

Wyszliśmy z domku panny Brownlee oddzielnie. Drake zawczasu zamówił dla mnie dorożkę.

Zostawiłam go tam. Dorożka miała wrócić po niego.

Pożegnałam się z jego nianią, która powiedziała, że zawsze będę u niej mile widziana.

Gdy odjeżdżałam, jakiś mężczyzna szedł wolno mijając ten dom. Nie dopatrzyłam się w tym niczego niezwykłego.

* * *

Byłam bezustannie niespokojna i wysiłki, żeby wydawać się normalną, sporo mnie kosztowały. Przede wszystkim nasłalałam o swojej córce. Katie, szczególnie spostrzegawcza, wiedziała coraz więcej. Jak nieraz stwierdzałam, obserwowała mnie bacznie. Zapewne czuła, że coś się święci. Bardzo lubiła Drake'a, ale lubiła wiele osób. Le Comte budził w niej wielki podziw. Gotowa każdego kochać, wierzyła, że wszyscy mają tak dobre intencje jak ona. Chociaż nie miała ojca, wychowywała się otoczona miłością przez całe swoje dotychczasowe życie, nie wyobrażała więc sobie, że może być inaczej. Cierpiałam. Dałabym wszystko, żeby nie musiała stanąć twarzą w twarz z nieprzyjemną rzeczywistością — a zwłaszcza z przykrymi sprawami dotyczącymi jej matki.

Chodziłyśmy do parku, karmiłyśmy kaczki — uważała to już za swoją powinność — i pewnego dnia gdy byłyśmy nad wodą, zjawił się Charles. Myślę, że przyszedł za nami.

Z rozmachem uchylił kapelusza.

— Dzień dobry, Lenore. Dzień dobry, Katie.

— Dzień dobry, stryju! — powitała go Katie rozpromieniona. — Będziemy rzucać kaczkom jedzenie.

— Jakież anioły litościwe! — Charles wznosił oczy w niebo. Katie uznała, że to bardzo zabawne.

— Niektóre kaczki są dosyć łakome — powiedziała.

— Powszechne uchybienie większości żywych stworzeń — skomentował.

— Tam jest jeden straszny łakomeczuch. Nieznośny kaczor, próbuje złapać wszystko... porcje dla innych, nie tylko dla niego. Staram się go powstrzymać. To wielka uciecha.

— Muszę zostać, żeby popatrzeć na tę uciechę — powiedział Charles.

— Z pewnością to cię znudzi — powiedziałam.

— Ależ skąd. Takie dobre uczynki są budujące. Rzucacie wasz chleb na te wody.

— Tylko czerstwy — uściśliła Katie i dodała: — To jest w Biblii.

— Miałem nadzieję, że uznasz to za moją myśl oryginalną.

— Czerstwy chleb i skórki — powiedziała Katie.

— Ale najwidoczniej dobre dla łakomych kaczek.

— Dać stryjowi trochę? Tylko niech stryj nie rzuca temu żarłokowi.

— Karmienie ich zostawię tobie, droga Katie. Wiem, że w tej dziedzinie wykazujesz mądrość Salomona.

Katie wydało się to świetnym dowcipem.

— Mam pomysł — mówił dalej. — Usiądę z twoją matką na tej ławce i będziemy patrzyli, jak czynisz sprawiedliwość.

Pociągnął mnie na ławkę z powrotem. Nie było alternatywy, musiałam usiąść obok niego.

— Bardzo miłe dziecko ta twoja córka — powiedział. Milczałam.

— I bardzo inteligentna — dodał. — Ciekawe, jak ona zrozumie ten okropny skandal, który się zrobi na świecie.

To było prawie niesamowicie dokładne sformułowanie mojej myśli.

— Ale, oczywiście — przybrał ton kojący — nigdy o tym nie usłyszysz, jeżeli będziesz rozsądna.

— Charles, chcę, żebyś sobie poszedł.

— Przecież ja się tu dobrze bawię. Katie to sam czar. Jestem dumny z mojej brataniczki.

Naprawdę by mi było przykro, gdyby znalazła się wśród takich brudów.

— Niemniej byś się tym rozkoszował, gdyby przyszło co do czego.

— Nie musi tak być... tylko ty musisz zdecydować się szybko. Rozmawiałem z Julią. Na razie się waha. Falowanie zależne od ilości wypitego alkoholu. Ale teraz, kiedy przedstawię jej dowód,

myślę, że obejdzie się bez namowy.

— Jaki dowód?

— Gniazdko miłości.

— O czym ty mówisz?

— Parsons Road numer 21.

Zdrętwiałam wstrząśnięta.

— Widzę, że moje rewelacje cię poruszają. Obserwuję, droga Lenore. Robię to od pewnego czasu i już mam rezultaty. Widziano ciebie i Drake'a, jak przyjechaliście oddzielnie pod numer dwudziesty pierwszy na Parsons Road i jak w dwie i pół godziny później odjeżdżaliście stamtąd oddzielnie w sposób nader dyskretny. To zostało zarejestrowane.

Zrobiło mi się mdło ze zgrozy. Przypomniałam sobie mężczyznę, który wysiadł z dorożki tam, przed tym domem. Najwidoczniej przyjechał na Parsons Road za mną, a potem czekał, dopóki nie wyjdę. Musiał też widzieć przyjazd Drake'a i być świadkiem jego odjazdu. Wyobrażałam sobie budowlę, jaką Charles na tych faktach wzniesie.

Przyglądał mi się uważnie.

— Jest łatwe wyjście — powiedział.

— Całkowicie się mylisz.

Wzruszył ramionami.

— Nie zaprzeczysz temu, że byliście tam razem.

— Ty tak świetnie poinformowany powinieneś wiedzieć, że to jest dom bony Drake'a Aldringhama.

— Stare bony mogą być dosyć przydatne i znane są z pobłażania kaprysom swoich wychowanków.

— Naprawdę?

— Och, tak... szczególnie, kiedy ci wychowankowie są takimi aniołkami, jakimi z pewnością był Drake.

Katie podbiegła do mnie.

— Już nie ma chleba — oznajmiła.

— Musimy wracać do domu — powiedziałam jej.

— Mamo, tak wcześnie?

— Tak, musimy. Mam pewne sprawy do załatwienia.

— Odprowadzę was — powiedział Charles.

Katie paplała przez całą drogę, Charles żartował z nią beztrąsko. Ale czułam, że to nie odbija jego nastroju. Był śmiertelnie poważny.

Ja prawie nic nie mówiłam. Byłam pełna obawy.

* * *

Co mogę zrobić? Nie chciałam martwić Grand'mère. Już bardzo się denerwowała, chociaż nie wiedziała, jak daleko posunęła się ta sprawa.

A gdybym zobaczyła się z Julią, by wytłumaczyć, że krzywdząc Drake'a i mnie, krzywdzi samą siebie? Jeżeli jest rozsądna, jeżeli rzeczywiście kocha Drake'a, to przecież nie chce go utracić.

Wybrałam pewne popołudnie. Może Julia ma zwyczaj ucinać sobie popołudniową drzemkę, ale to spokojna pora dnia — chciałam, żeby możliwie jak najmniej osób wiedziało o naszym spotkaniu. Jeśli Julia zechce ze mną porozmawiać i będzie podatna, coś przecież osiągnę.

Mogłabym jej nadmienić o pobudkach Charlesa. Wszystko zależy od tego, w jakim nastroju ją zastanę.

Bardzo zatrwożona zadzwoniłam do drzwi. Otworzyła mi pokojówka. Pani Aldringham, powiedziała, jest w swoim pokoju. Poszła zobaczyć, czy pani nie śpi i może mnie przyjąć.

Po chwili wprowadziła mnie do sypialni. Julia siedziała w fotelu przy oknie. Powitała mnie uśmiechem.

— Proszę, wejdź, Lenore.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam w drzemce.

Potrząsnęła głową.

— Chciałam się położyć... ale nieważne.

Była w peniuarze swego ulubionego koloru fioletowego, który pasował do jej rumieńców.

Może przedtem piła, widziałam jednak, że nie jest pijana.

Na stoliku przy łóżku zobaczyłam oczywiście karafkę i szklankę z nie dopitym alkoholem.

— Cieszę się, że przyszłaś — powiedziała Julia. — Chciałam z tobą porozmawiać. Tak się martwię tobą... i Drake'iem.

— Julio, nie ma się czym martwić. Drake i ja jesteśmy przyjaciółmi... to wszystko.

Potrząsnęła głową.

— On wciąż myśli o tobie... ja wiem.

— Jest twoim mężem, Julio. Gdybyś tylko...

— Tak — powiedziała. — Gdybym co?... — Spostrzegła, że wzrok mi zabłądził na karafkę.

— Wiem, co chcesz powiedzieć! — wykrzyknęła. — Gdybym przestała pić! Staram się. Staram się... przez jakiś czas, a potem znów zaczynam. Nic na to nie poradzę. Po prostu muszę pić.

— Gdybyś tylko zdołała...

— Myślisz, że to by coś zmieniło?

— Myślę, że to by zmieniło wszystko.

— Jak, skoro on kocha ciebie?

— Ty jesteś jego żoną, Julio. To ma zasadnicze znaczenie.

— Nie. Zawsze byłaś ty... nawet kiedy byliśmy bardzo młodzi, ty mu się podobałaś.

— Ale ożenił się z tobą. Chciałaś tego. Powinnaś być szczęśliwa. Gdybyś tylko starała się... nie pić... i w miarę swoich możliwości pomagała mu w jego karierze zamiast...

Rozpłakała się.

— Wiem. Straszne to, co zrobiłam. On mi nigdy nie wybaczy. Ty także.

— Rozumiem twoje cierpienie, Julio, ale gdybyś tylko była rozsądna... Spróbuj zrozumieć Drake'a. Jest ambitny. Mógłby zajść wysoko. Chyba wszyscy tak myślą... a to, co robisz, pozbawia go szans.

— Charles mówi, że powinnam się z nim rozwieść.

— Gdybyś się rozwiodła, utraciłabyś go.

— Wiem.

— Chyba tego za nic byś nie chciała.

Zawahala się.

— Nie wiem. Czasami wpadam w gniew i wszystko widzę inaczej. Wtedy go nienawidzę.

Chcę go zranić... tak głęboko, jak ja zostałam zraniona. Charles mówi, że po rozwodzie byłoby mi lepiej.

— Do ciebie należy decydowanie o tym, nie do Charlesa.

— Charles zawsze miał na mnie wpływ. Podziwiam Charlesa. Philip był taki łagodny. Ale Charles był zawsze światowcem. Ożenił się z Helen. Nawet nie są w stosunkach przyjacielskich, a on wcale się tym nie przejmuje. Jest zadowolony z ich układu. Zdradza ją zupełnie jawnie i cieszy się życiem. Chcę być taka właśnie jak Charles... nie przejmować się..

— Nie chcesz.

— Och, powinnam chcieć. Wtedy by mnie nie obchodziło, czy Drake mnie kocha, czy nie.

Chcę być taka... brałabym sobie kochanków. Charles wcale się nie przejmuje. Ma teraz romans z tą Włoszką.

— Mówisz o Maddaleni de Pucci?

— Tak, o niej. Często się z nią widuje. Ona wciąż tu się kręci w tym domu. W jego pokojach.

Chyba dał jej klucz, żeby przychodziła bez skrępowania.

— Doprawdy... przecież to jest twój dom.

— Charlesa też, kiedy on mieszka tutaj. Och, Charles jest taki wyrafinowany. Nie dałby się tak zranić nigdy. Chcę być taka jak on.

— Julio, nie możesz decydować pod jego wpływem. Swoje życie trzymasz w swoich własnych rękach.

— Nieraz myślę, że Charles ma rację, a nieraz, że nie ma. I nieraz mi się wydaje, że nic mnie nie obchodzi. Tylko pragnę się odpłacić Drake'owi. A znów w innych chwilach wszystko widzę inaczej.

Powiedziałam:

— Za jednym zamachem zrujnowałabyś Drake'owi karierę.

— Wiem... wiem. Mówię, że nie powinnam, a potem mówię, że to zrobię. Jestem bezgranicznie nieszczęśliwa, więc niech wszyscy inni też będą.

— Och, Julio, gdybyś tylko mniej piła i była taka, jak dawniej...

— Ale to pociesza. Jestem w rozpacz, więc myślę sobie, a niech tam. I potem robi się zupełnie wesoło i nic już nie ma znaczenia. Tylko czasami jestem na takim dniu, że mogłabym raz na zawsze skończyć to wszystko... nie tylko dla siebie, ale dla wszystkich innych.

— Julio, jeszcze nie za późno.

— Nie za późno? — zapytała skwapliwie. — Naprawdę?

— Naprawdę, Julio, nie jest za późno.

— Porozmawiam dziś z Charlesem. Powiem mu, że postaram się zmienić. Będę dla Drake'a dobrą żoną. Będę mu pomagać. Zawsze tego pragnęłam. Właśnie, powiem Charlesowi dziś wieczorem. Powiem mu, że się zdecydowałam. Będę inna. Przestanę pić... tak dużo. Zacznę się odzwyczajając. Nie można się odzwyczaić w jednej chwili, kiedy to już weszło w zwyczaj, tak bardzo jak mnie. Właśnie, porozmawiam z nim dziś wieczorem.

— Zawsze pamiętaj, Julio, że chcę być twoją przyjaciółką.

— Och, wiem, wiem, Lenore — powiedziała znów bliska płaczu. — Będę inna. Powiem Charlesowi dziś wieczorem, że nie usłucham jego rady. Postaram się być dla Drake'a lepszą żoną. Sprawię, że mnie pokocha...

Wstałam. Podeszłam i pocałowałam ją.

— Nie podnoś się. Sama wyjdę.

Na ulicy pomyślałam, że to spotkanie nie było daremne.

Ale nazajutrz Julia już nie żyła.

* * *

Następne dni są w moich wspomnieniach jakimś groteskowym koszmarem. Wciąż sobie powtarzałam: muszę się obudzić, przekonać się, że to był tylko sen.

Ustalono przyczynę śmierci Julii. Znalaziono ją w saloniku Charlesa. Od czasu pożaru miał u niej nieduży apartament: sypialnię, garderobę i salonik przy końcu korytarza na pierwszym piętrze, w głównej części domu, ale prowadziły tam tylko tylne schody. Dlatego te pokoje były odosobnione. Julia ulokowała tam Charlesa, żeby mieszkał niekrępująco, dopóki nie odbuduje swojej rezydencji.

Lokaj — ten, który uratował Charlesa z pożaru — powiedział Julii, że pan wróci do domu koło siódmej.

Więc Julia przed siódmą poszła do saloniku Charlesa, bo chciała z nim porozmawiać bez żadnej zwłoki. Zamierzała poczekać na niego. Zapewne zobaczyła karafkę, i to wystarczyło.

Pociąg do picia zabił Julię. Śmierć nastąpiła od razu. Charles zastał Julię martwą. Wypiła sherry z trucizną, prawdopodobnie przeznaczoną dla Charlesa.

Gdy usłyszałam tę wiadomość, doznałam wielkiego wstrząsu. Musiałam uciec od wszystkich, żeby rozważyć, co to może oznaczać. Ktoś chciał otruć Charlesa i zamiast niego umarła Julia.

Grand'mère przyszła do mnie.

— Dziecko moje kochane — powiedziała — nie rozumiem tego wszystkiego.

— Chcieli zabić Charlesa — wyszeptałam. — Nie chcieli zabić Julii.

— Dlaczego ktokolwiek nastawałby na jego życie?

— Musiał mieć wielu wrogów. Nie jest porządnym człowiekiem. Jest niegodziwy... zły... lubi mścić.

Grand'mère patrzyła na mnie badawczo.

— Powiedz mi wszystko, Lenore — poprosiła. — Nie trzymaj mnie w niewiedzy.

Więc jej opowiedziałam, jak Charles mnie prześladował i śledził, jak usiłował namówić Julię, żeby wystąpiła o rozwód z Drake'iem, podając mnie za przyczynę.

— *Mon Dieu* — wyszeptała. Och, *mon Dieu*.

— Grand'mère, nie myśl, że... Ja bym nie umiała, nawet gdyby... Nigdy nie byłam w jego pokojach.

— Będzie śledztwo — powiedziała Grand'mère. — Będą przesłuchiwać. Tyś widziała się z nią tego dnia, kiedy umarła. Musiałaś być jedną z ostatnich, którzy ją widzieli żywą.

— Rozmawiałam z nią, mówiłam, jak niemądrze by postąpiła, gdyby się rozwiodła z Drake'iem. Zamierzała porozmawiać z Charlesem. Z pewnością dlatego była w jego saloniku.

— Kiedy coś takiego się dzieje, zawsze jest wiele pytań, wiele sondowania.

— Grand'mère — powiedziałam. — Boję się. Myślę o Katie.

— Katie trzeba wyprawić do Paryża.

— Ja nie mogę wyjechać. To by wyglądało na ucieczkę. Zresztą chyba by mi nie pozwolono.

Może ty, Grand'mère, mogłabyś ją tam zawieźć.

Grand'mère potrząsnęła głową.

— Moje miejsce jest tutaj, przy tobie. Cassie mogłaby... razem z tymi dwiema guwernantkami. Tak będzie najlepiej. W takich sprawach należy rozważnie stawiać krok po kroku... upewnić się, czy to aby krok właściwy. Więc zacznijmy od wyprawienia stąd Katie.

Wiedziałam, że Grand'mère ma rację.

Cassie była zupełnie rozstrojona. Kochała Julię, oszołomił ją cios, jakim była dla niej wiadomość o tragicznej śmierci siostry.

— Wciąż myślę o Julii z czasów, kiedy byliśmy małe. O tych wszystkich głupstewkach. Że też tak musiało się stać! Dobrze, że mama tego nie dożyła.

Zastanawiałam się, jak lady Sallonger odebrałaby tę wiadomość. Chyba spokojnie. Nigdy nie pozwalała sobie na przejmowanie się kimkolwiek poza sobą samą. Po prostu Julia przestałaby grać rolę w jaśniepańskim życiu lady Sallonger.

— Cassie — powiedziałam — trzeba szybko coś zrobić.

Musiałam jej wyjaśnić pewne sprawy. Z przerażeniem, ale bez szczególnego zdumienia dowiedziała się o postępowaniu Charlesa. Znała swego brata. Już w dzieciństwie Charles rozkoszował się dokuczaniem jednej i drugiej siostrze, nieraz je doprowadzając do łez. Zawsze był sadystą.

Cassie, odkąd opuściła Jedwabny Dom, nabrała życiowego doświadczenia. Pojęła natychmiast konieczność wywiezienia Katie z Londynu i zaczęła przygotowywać się do wyjazdu.

Katie pytała bez końca:

— Mamo, dlaczego nie pojedziesz z nami?

— Muszę tu załatwić pewne sprawy. Będę mogła przyjechać później.

— Dlaczego nie czekamy na ciebie?

— Lepiej, żebyś już pojechała z ciocią Cassie, z mademoiselle i z panią...

— Wolałabym z tobą, mamo.

— Wiem, ale jeszcze mi się nie układa.

— Więc...

Przerwałam jej pocałunkiem i powiedziałam:

— Przecież kochasz Paryż... i to nie potrwa długo.

— Pojedziemy do winnicy dziadzia?

— Chyba tak... kiedyś.

— Czy on będzie w Paryżu?

— Nie wiem.

— Mam nadzieję, że pojedę do winnicy. Chcę się zobaczyć z Raoulem.

Szczebiotała dalej, ale widziałam, że rozmyśla. Oczywiście, byłoby bardzo trudno taić przed nią wiadomości o tym, co się dzieje.

Musiałam stawić się na przesłuchanie. To była ciężka próba. Drake wszedł blady, wyraźnie spięty. Fakt, że ofiarą zabójstwa padła żona dość już znanego polityka, przyciągnął do sali sądowej sporo ludzi z prasy.

Zadano Drake'owi kilka badawczych pytań. Powiedział, że nie zna powodu, dla którego ktokolwiek chciałby zabić Charlesa Sallongera. Niewiele o nim wie. Pokoje szwagra w domu to właściwie oddzielne mieszkanie, a obaj zawsze są bardzo zajęci, widują się rzadko. Mówił

spokojnie, z godnością i widziałam, że sprawia dobre wrażenie.

Mnie zapytano o moje ostatnie spotkanie z Julią i dlaczego ją odwiedziłam właśnie tamtego dnia. Powiedziałam, że wychowywałyśmy się razem, więc często się spotykałyśmy. Czy rozmawiałyśmy o jej bracie i dlaczego ktoś mógłby próbować go zabić? Odrzekłam, że wspominałyśmy o nim. Julia mi powiedziała, że nie ma go w domu i że chce z nim pogawędzić, kiedy on wróci wieczorem.

Wreszcie ku mojej uldze te pytania się skończyły.

Charles był głównym świadkiem, bo to on Julię znalazł. Wyjaśnił cicho i z wielkim smutkiem, że mieszka w domu siostry i szwagra po pożarze swojego domu. Był nieobecny przez całe popołudnie i kiedy wrócił, zastał w swoim pokoju Julię martwą.

W należyтым czasie wydano orzeczenie: morderstwo popełnione przez osobę czy też osoby nieznane.

Teraz miało się rozpocząć śledztwo.

Wyjaśnienie

Nie widziałam się z Drake'iem. Grand'mère powiedziała, że to byłoby niebezpieczne i jeśli Drake nieroztropnie złoży nam wizytę, ona nie pozwoli mi go przyjąć.

Zjawił się jednak Charles. Jako niedoszła ofiara tego morderstwa wolny od podejrzeń.

Grand'mère przyszła do mojego pokoju.

— Charles jest na dole.

— Muszę się z nim zobaczyć — powiedziałam.

— Czy to konieczne?

— Myślę, że tak. Muszę wiedzieć, co on zamyśla.

Więc zeszłam do Charlesa. Stałam przed nim w pokoiku, do którego zapraszałyśmy nasze klientki na rozmowy. Charles był przygaszony, nawet jego to wszystko zgnębiło.

— Więc myślałaś, że możesz się mnie pozbyć. Rzeczywiście jesteś jędzą pod tą spokojną powierzchownością.

— Nigdy nie byłam w twoich pokojach.

— Miałaś motyw. Niczego nie pragniesz bardziej niż pozbyć się mnie. Byłaś z Julią w tamto popołudnie. Nikt nie widział, jak wychodziłaś. Znasz dobrze dom. Mogłaś wejść do moich pokojów po wyjściu od Julii. Mogłaś tam się zakraść tylnymi schodami. I najwidoczniej wiedziałaś, że mam zwyczaj popijać sherry, kiedy się ubieram.

— Pojęcia nie miałam o tym.

— Służący mówią. Czy może zakładałaś, że naleję sobie sherry z tej karafki w jakimś momencie. Moja droga Lenore, nikt nie ma tak konkretnego motywu, jak ty. Zamierzałem narobić kłopotu tobie i twojemu kochankowi. A on czyż nie pragnął nade wszystko pozbyć się Julii? Przypuszczam, że nawet chciał rozwodu. To był nieudany zamach, moja droga. Udałoby ci się, wiesz. Ale Julia tam przyszła i zobaczyła karafkę... coś czemu nigdy nie mogła się oprzeć.

Powinnaś była jednak być chytrzejsza. Co za pomysł użyć trucizny, którą można natychmiast wykryć. I spodziewałaś się, że to ci ujdzie bezkarnie?

— Mówisz tak, jakbym...

— Tak właśnie będę mówić do ciebie, Lenore. Staniesz się podejrzana, gdy tylko zaczną prawdziwe dochodzenie. Chciałaś mnie usunąć, prawda?

— Mówisz skończone bzdury.

— Chyba wszystko tu pasuje. Kto chciał mnie usunąć? Ty. Kto chciał usunąć Julię? Drake i ty. Wyczekiwaliście oboje czasów, kiedy nie będziecie musieli spotykać się potajemnie na Parsons Road. Kiedy będziecie mogli być razem szacownie i nikt nie będzie wiedział, co musiałaś zrobić, żeby te szczęśliwe czasy dla was nadeszły.

— Jak śmiesz mówić takie rzeczy!

— Ja tylko stwierdzam fakty.

— Charles, wynoś się. Powiem prawdę, kiedy mnie zapytają. Odwiedziłam Julię. Weszłam tam prosto i wyszłam stamtąd prosto po głównych schodach. Nigdy nie byłam w twoich pokojach i nie znam się na truciznach.

— Nie? Więc chyba dlatego tak sfuszerowałaś. Skąd to wzięłaś? Tę odrobinę arszeniku.

Podobno bierze się go z lepu na muchy. O ile wiem, jest pewien środek chwastobójczy, który może być bardzo skuteczny.

— Proszę, wyjdź.

— Wtedy, gdy zechcę. Czy właśnie to planowaliście pod dwudziestym pierwszym na Parsons Road? Czy nianusia udzieliła swojemu pupilkowi wskazówek? Bony są skarbnicami niespodziewanej

mądrości.

— Wyjdz! Wyjdz! — wrzasnęłam.

— Nie jesteś taką spryciarą jak zwykle. Pomyśl, co ja wiem. Mógłbym ci, moja słodka Lenore, założyć stryczek na szyję... i twojemu kochankowi kiedyś, być może.

— Nie będę już słuchać tych podłości.

— No, powiem już *au revoir*. Podziękuję ci za serdeczne przyjęcie i bezgraniczną gościnność.

Jeszcze przyjdę do ciebie, Lenore. Kto wie, może zdołamy coś obmyślić we dwoje.

Trzęsąc się, trzasnęłam drzwiami za Charlesem i osunęłam się w fotel, zakryłam twarz rękami.

Chciałam się schronić przed wszelką myślą o nim. Chciałam zapomnieć o tragedii, która zawisła nad Drake'iem i nade mną... i nad wszystkimi, których to dotyczyło.

Nie ufałam Charlesowi. W jego oczach widziałam sekrety. Wiedziałam, że on nie będzie miał żadnych skrupułów, by mnie zniszczyć.

* * *

Nazajutrz już budząc się, czułam zgrozę. Dobrze, że Katie była w Paryżu. Przynajmniej o nią nie musiałam się martwić.

Wiedziałam, jakie padną pytania. Wiedziałam, że będzie dużo plotek. Służba patrzyła na mnie prawie ukradkiem, jak gdyby z podsumowania sytuacji wynikało, że ja jestem epicentrum tej burzy.

Mało czego nasi służący o nas nie wiedzą. Są jak prywatni detektywi... widzą każdy nasz ruch, nadstawionym uchem łowią co ważniejsze urywki rozmów i mają łączność z domami naszych znajomych, bo znają ich służących.

Toteż było wiadomo, że Drake i Julia nie są zgodnym małżeństwem. Dochodziło do awantur.

Po tym przyjęciu z muzyką dowiedzieli się o mojej przyjaźni z Drake'iem wszyscy.

Zawsze w takich sprawach wyciąga się wnioski najbardziej sensacyjne. Wyczuwałam te szeptane konkluzje. Drake i ja jesteśmy kochankami i chcieliśmy pozbyć się Julii. Więc Julia umarła, co prawda wypić wino przeznaczone dla jej brata, ale tak czy owak umarła, a właśnie o to Drake'owi i mnie chodziło.

Nastąpiło nieuniknione wypytywanie. Do domu przyszedł człowiek w ciemnoszarym garniturze i drugi jakiś z policji.

Musiałam odpowiedzieć na mnóstwo pytań. Widziałam się z Julią w dniu jej śmierci.

Odwiedziłam ją bez uprzedzenia. Jak ona się czuła? Tak jak zwykle, odpowiedziałam. Czy piła przedtem? Jeśli tak, to niewiele, bo nie była wstawiona. Rozmawialiśmy zupełnie rozsądnie. A o czym? Wiedziałam, że powinnam mówić prawdę. Odpowiedziałam.

— Zastanawiała się, czy wziąć rozwód. Radziłam jej, żeby spróbowała ocalić swoje małżeństwo.

— Przyjaźniła się pani z obojgiem państwem Aldringham?

— Tak. Z Julią się wychowywałam i obie znałyśmy pana Aldringhama już w dzieciństwie.

— Rozumiem, rozumiem. — Ten w szarym garniturze uśmiechnął się dyskretnie. —

Przyjaźniła się pani jednakowo z nią i z nim?

— Przyjaźniłam się jednakowo z nią i z nim.

— Czy była pani kiedyś zaręczona z panem Aldringhamem?

— Nie.

— Czy było między panią i nim przed jego ślubem jakieś porozumienie?

Zawahałam się.

— Było — powiedział. — A jednak on ożenił się z panią, którą teraz spotkała ta przedwczesna tragiczna śmierć. Zaskoczyło panią to, że on się ożenił.

— Wiedziałam, że się z nią przyjaźni.

— Ach, tak — powiedział. — Na razie chyba nie mamy więcej pytań, pani Sallonger. Nie wątpię, że odwiedzimy panią znowu.

Gdy wyszli, Grand'mère nalegała, żebym się położyła. Kazała mi wypić kordiał i siedziała przy moim łóżku.

— Dopóki nie zaśniesz — powiedziała przymilnie.

Jak gdybym mogła zasnąć!

* * *

Usiłowałam się zdrzemnąć, gdy usłyszałam podniesione głosy dolatujące z dołu.

Nasłuchiwałam przez chwilę, po czym wstałam i podeszłam do drzwi. Głosy dolatywały z pokoju recepcyjnego przy sklepie. Widocznie drzwi tam były otwarte.

Zbiegłam na dół. Myślałam, że śnię. Grand'mère stała przerażona i wyzywająca, z czerwonymi plamami gniewu na policzkach, z oczami pałającymi furją. Ale to przecież nie widok Grand'mère

wydał mi się nierzeczywisty — przed Grand'mère stał le Comte.

Zrobiło się cicho, gdy weszłam. Podszedł do mnie z uprzejmym uśmiechem, jak gdyby najnaturalniejsze pod słońcem było to, że składa mi wizytę.

— Le Comte de Carsonne.' — wykrzyknęłam. — Co pan robi w Londynie?

— Proszę, nie tak ceremonialnie, Lenore — powiedział. — Przyjechałem, żeby się z panią zobaczyć.
— Spoglądając na Grand'mère dodał: — I nic by mnie nie powstrzymało.

Ujął mnie za obie ręce, a ja omal nie omdlałam, nagle pełna ulgi i nedorzecznie beztroska. Na jeden wspaniały moment opuściły mnie obawy, niepewność. Była tylko myśl. On jest tutaj, przyjechał do mnie.

— Dobrze się pani czuje? — zapytał patrząc niespokojnie.

— Mamy tu trochę zmartwień.

— To właśnie mówiłam — zawołała rzeczowo Grand'mère. — I nie chcemy mieć ich więcej.

— Wyzywająco ciągnęła. — Mówiłam monsieur le Comte de Carsonne, że teraz nie czas na przyjmowanie znajomych.

— Tak — potwierdził smętnie. — Madame mówiła, że nie jestem tu mile widziany.

— Dostyc mamy zmartwienia — powiedziała Grand'mère. — Moja wnuczka powinna teraz wypoczywać. — Zwróciła się do mnie. — Tyle na głowie. Dlatego powtarzam monsieur le Comte, że nie możesz go przyjąć.

— Więc — wtrącił niefrasobliwie — raz-dwa zeszła pani na dół, żeby nie dopuścić do odprawienia mnie stąd.

— Grand'mère — powiedziałam. — Ja chcę z le Comte porozmawiać.

Milczała i zasmuciło mnie to, że się jej sprzeciwiam, chociaż zawsze ma na względzie tylko moje dobro. Wiedziałam, jak boi się, żeby le Comte mnie nie skrzywdził. Ale musiałam z nim porozmawiać... sama. Czułam, że on może mi jakoś pomóc. Emanował siłą, jego obecność działała na mnie uspokajająco.

— Proszę, Grand'mère... wszystko będzie w porządku, zapewniam cię.

Popatrzyła na mnie bezradnie i wzruszyła ramionami. Potem odwróciła się, jadowicie spojrzała na niego.

— Nie rozmawiaj długo — poprosiła mnie.

— Dobrze.

Le Comte ukłonił się, gdy wychodziła.

— Ona mnie nie lubi — stwierdził z żalem.

— Słyszała różne historie o panu.

— O mnie? Byłem dzieckiem, kiedy wyjechała z Villers-Mûre.

— Słyszała o pana rodzinie i myśli, że pan też jest taki.

— Grzechy ojców — mruknął. — Ale oto ja tutaj. Pokonałem smoka... chwilowo... i dotarłem do pani.

— Od dawna pan w Londynie?

— Od godziny.

— Więc przyszedł pan prosto do mnie. — Idiotyczne, pomyślałam, jestem szczęśliwa, a przecież nic się nie zmieniło... Ale on jest ze mną.

Do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, jak głębokie on budzi we mnie uczucie.

— Wyjechałem z Paryża wkrótce po pani wyjeździe. Musiałem wrócić do Carsonne. Raoul miał wypadek. Spadł z konia.

— Raoul! Jak się czuje?

— Mogło to być fatalne, ale już dochodzi do siebie. Kiedy znów przyjechałem do Paryża, mademoiselle Cassandra miała wiele do powiedzenia.

— Rozumiem. Więc pan wie...

— Czytałem w gazetach. Ta żona polityka... to pani krewna?

— Wychowywałyśmy się razem. Zna pan historię Sallongerów i St Allengere'ów.

— Dużo jeszcze chcę wiedzieć, zamierzam pani pomóc.

— Co pan może zrobić?

— Znajdę jakiś sposób. Jak sprawa stoi?

— Szukają zabójcy Julii.

— I podejrzewają...

— Ja jestem jedną z ostatnich, którzy ją widzieli żywą. Znalazł ją brat. Wszedł do swojego pokoju, a ona tam była martwa po wypiciu sherry z trucizną przeznaczoną dla niego.

— Ma wrogów?

— Najwidoczniej.

— I panią wśród nich?

— Zarzucił mi, że jestem kochanką męża Julii.

Le Comte uniósł brwi.

— A jest pani?

— Oczywiście że nie.

— To mnie cieszy. Bardzo bym się na panią rozgniewał, gdyby to była prawda.

— Proszę, niech pan nie będzie niepoważny. Nie mogę tego znieść. Czuję się jak najdalsza od tego.

— Ten Charles — powiedział — czy jest tak zwanym Casanovą?

— To znaczy, czy ma dużo romansów? Myślę, że pozyskał sobie taką reputację. Ze swoją żoną widuje się rzadko. Ożenił się z nią dla pieniędzy i dali sobie wolną rękę.

— Może więc to *le crime passionnel*. Czy zna pani którąś z dam jego serca?

— Niewiele wiem o jego życiu prywatnym. Ale pewna kobieta...

— Ach, jedną pani zna.

— Słyszałam, że go odwiedza. Nazywa się Maddalena de Pucci. Mam ją na fotografii.

Fotografowano nas w czasie przyjęcia.

— Chciałbym tę fotografię zobaczyć. Może ona wie coś niecoś o tym figielku. Warto byłoby ją zapytać, dowiedzieć się.

— Wątpię, czy byśmy ją znaleźli. Ona tu była... jakiś czas temu. Mogła już wrócić do Włoch.

— Więc jest Włoszką. Naród bardzo namiętny. Gdzie ta fotografia? Pokaże mi pani?

— Zaraz przyniosę.

Byłam zdumiona wrażeniem, jakie zrobiło na nim to zdjęcie.

— Maddalena de Pucci! — powiedział. — Jakże uderzająco piękna.

Poczułam gniew. Zabrałam mu fotografię, ale mi ją odebrał i dalej się w nią wpatrywał.

— Wyraźnie pana zainteresowała — zauważyłam chłodno.

— Tak, zainteresowała. Chyba znałem tę piękność we Francji.

— Ona często podróżuje. Tutaj była z bratem... podróż w interesach.

— Poznała pani jej brata?

— Nie... nie. On jeździł... po Środkowej Anglii. Zdaje się, że w Londynie czekała na niego.

— Niech mi pani więcej opowie o Maddaleni de Pucci.

— Naprawdę jest pan nią tak bardzo zainteresowany?

— Ogromnie.

— Poznałam ją dawno temu, kiedy zdarzył się wypadek w pobliżu Jedwabnego Domu. Jej karetę się wywróciła i ona sobie zwichnęła nogę. Przebywała u nas przez kilka dni.

— Kiedy to było?

— Wkrótce po moim ślubie.

— Wtedy jeszcze żył mąż pani?

— Umarł niedługo potem.

— Mówi pani, że ona przebywała u państwa w domu?

— Tak, przez kilka dni. Zrobiła wielkie wrażenie na Charlesie... tak jak teraz na panu.

— Bo też jest jedną z tych, które zawsze robią wrażenie. Niech pani mówi dalej.

— No, Charles był nią bardzo zajęty. Pamiętam, pojechał na cały dzień z moim mężem do Londynu i właśnie tego dnia brat przysłał po nią karetę. Żeby wróciła do Londynu, skąd zaraz mieli wyruszyć do Włoch.

— I mówi pani, że mąż zmarł wkrótce potem?

— Wkrótce. Dlatego zupełnie zapomniałam o Maddaleni de Pucci.

— To naturalne. I znaleziono męża pani zastrzelonego?

— W puszczy. Tak.

— Z jego własnej strzelby?

— Tak, z jednej ze strzelb ze zbrojowni.

— I ona znów przyjechała do Londynu... niedawno?

— Tak, Charles przypadkiem spotkał ją na ulicy.

— Taki traf, co?

— Był uszczęśliwiony.

— Ja mogę go zrozumieć, a pani?

— Podobała mu się nie mniej niż, jak widzę, podoba się panu.

Uśmiechnął się zadowolony. Wprost nie mógł oczu oderwać od fotografii.

— Jak daleko posunął się romans Charlesa i tej pięknej damy?

— Nie wiem. Julia rzeczywiście wspominała, że ona go odwiedza. Do jego pokojów prowadzą też osobne schody.

— Więc są tam dwa dojścia?

— Tak. Te pokoje są przy końcu korytarza na pierwszym piętrze. Z korytarza są drzwi, o ile wiem, do saloniku, a osobne schody prowadzą do ubieralni. Nigdy tych schodów nie widziałam, ale Julia mi o nich mówiła, kiedy Charles się tam wprowadził po pożarze swojego domu.

Mówiła, że będzie miał mieszkanie niekrępujące.

— Więc jego dom się spalił?

— Och, tak. On sam tylko cudem ocalał. Zginąłby w płomieniach, gdyby jego lokaj, który miał wychodne, nie wrócił przed czasem. Charles dużo wypił, przypuszczam... prawdopodobnie dlatego był tam jak w pułapce.

— Jakiż dramat! I to zatrute wino... przygotowane dla niego. Czy nie dziwne, że omal nie spłonął w pożarze i niedługo potem omal nie został otruty?

— Myśli pan, że ktoś specjalnie podpalił?

Patrząc mi w oczy, le Comte wzruszył ramionami.

Powiedziałam wolno.

— To się układa. Najpierw mój mąż. Nigdy naprawdę nie wierzyłam, że popełnił samobójstwo. Nie miał żadnego powodu. Dziwne... tym dziwniejsze, że był ktoś... we „Włoszech...

— Niech mi to pani opowie.

Już mu kiedyś opowiadałam o zabójstwie we Florencji. Przypomniałam mu teraz, jak znaleziono zakłutego nożem Lorenza w pelerynie operowej i szapoklaku mojego męża.

— A potem... kiedy wróciliśmy do domu, Philip zmarł.

Le Comte się zamyślił.

— Interesujące. Ten Lorenzo mógł komuś wydawać się pani mężem. „Wkrótce potem pani męża ktoś zastrzelił. Ten Charles... uratowany przez lokaja od niechybnej śmierci w pożarze.

Potem uratowany przez siostrę, którą zabiła trucizna przeznaczona dla niego. Prawda, że to wszystko bardzo dziwne, Lenore?

— Bardzo tajemnicze.

— Teraz chcę posłuchać o tym pani polityku.

Opowiedziałam mu, jak poznałam Drake'a w dzieciństwie i jak później się zaprzyjaźniliśmy.

— Bliska przyjaźń?

— Dosyć szczegółna.

— On się w pani zakochał?

Przytaknęłam.

— A pani?

— Myślałam, że byłoby dobrze dla mnie... i dla Katie... gdybyśmy nie były same.

— Moja biedna Lenore! Więc czuła się pani samotna?

— Nie... nie. Mam babcię. Mam córkę. Mam dobrych przyjaciół, tylko...

— I ten kwitnący salon mody. Tak, ma pani dużo. Ale myślała pani, że z tym Drake'iem będzie pani szczęśliwsza. A tymczasem on poślubił Julię... Zraniona przyjechała pani z ojcem do Francji i tam ja panią znalazłem. Zrządzenie losu zupełnie jasne. Zaczynam być trochę zazdrosny o tego Drake'a.

— Proszę, to sprawa zbyt poważna, żeby bawić się w galanterię.

— Uważa mnie pani za niepoważnego galanta?

— Gdzie pan się zatrzymał? — zapytałam.

— W Hotelu Parkowym.

— I... jest tam panu wygodnie?

— Jeszcze nie wiem. Dostałem pokój, zostawiłem bagaż i od razu przyjechałem do pani.

— To ładnie z pana strony.

— Już pójdę. Wkrótce się zobaczymy. Niech się pani nie dręczy. To wszystko minie. Prawda wyjdzie na jaw.

— Jestem panu wdzięczna za przyjazd.

— Oczywiście że przyjechałem.

Pocałował mnie w rękę.

Gdy wyszedł, stwierdziłam, że zabrał fotografię. Radość, którą mi sprawił pojawiając się znowu, zgasła.

* * *

Jakież te dni były długie. Wydawało mi się, że chodzę w złym śnie. Żyłam pełna obawy.

Miałam gości — ludzi o stalowych oczach, którzy pod chłodną grzecznością ukrywali podejrzenie. Znow zaczęły się pytania nie mające końca. Usiłowali mnie złapać, doprowadzić do tego, bym się zdradziła z czymś, co by ich upewniło o mojej winie.

Zastanawiałam się, ile czasu im zabierze wyciągnięcie ostatecznego wniosku.

Drake zapewne był tak samo przesłuchiwany. Prasa donosiła, że policja nadal prowadzi śledztwo. Czytałam relacje o działalności politycznej Drake'a, o jego małżeństwie z Julią z domu Sallonger, z rodziny fabrykantów jedwabiu. To właśnie pan Charles Sallonger zrewolucjonizował

przemysł jedwabniczy, wprowadzając na rynek jedną z najświetniejszych tkanin jedwabnych z dotychczas znanych. Czytałam też i o sobie — że wyszłam za Philipa Sallongera i że Philip wkrótce po ślubie się zastrzelił. Obsadzono mnie w bardzo dramatycznej roli — kobieta, której mąż popełnia prawie zaraz po ślubie samobójstwo, musi być *une femme fatale*.

Ludzie na ulicy zatrzymywali się, żeby popatrzeć na nasz sklep. Ja w dzień nie wychodziłam.

Byłoby to zbyt żenujące.

Pocieszałam się myślą, że Katie jest daleko. Nie wie, co się dzieje, a o to przecież mi chodzi.

Cd ze mną będzie, nie miałam pojęcia, ale sprawiono, że czułam się podejrzana. Nie pierwszy raz w życiu dziękowałam Bogu za to, że mam Grand'mère. Gdyby coś się stało, Grand'mère by się opiekowała Katie najlepiej, jak tylko to możliwe w tych okolicznościach. Podobnie Cassie i hrabina. Żałowałam, że ich obu teraz nie ma przy nas, chociaż powinnam się cieszyć, że Katie pozostaje pod

ich opieką w Paryżu.

Czasami myślałam o le Comte. Rozpamiętywałam chwile, gdy on wszedł do pokoju. Jakaż wielka wtedy ogarnęła mnie radość! Bo pozwalałam swoim uczuciom do niego zanadto się rozwijać. Tylko udawałam, że tak nie jest. Ale w tamtej chwili sama przed sobą się zdradziłam.

Żałowałam, że nie zostałam we Francji. Żałowałam, że nie miałam dość odwagi, żeby dalej się z nim widywać. Wtedy nie byłabym tutaj, gdy stała się ta okropność.

Zobaczyłam go, dowiedziałam się, że przyjechał do Anglii, żeby zobaczyć się ze mną. Moja szalona radość chwilowo przysłoniła wszystko, rzeczywiście powiedziała mi, co do niego czuję

— nic by nie dało zaprzeczanie.

Ale on mnie rozczarował, jak powinnam była zawsze przewidywać. Nie potrafi być wierny nawet przez moment. Mówiąc, że przyjechał do mnie, zainteresował się fotografią pięknej Włoszki, zapomniał o mnie i o moim przykrym położeniu, pełen podziwu dla niej.

I zabrał tę fotografię.

Dziwny zbieg okoliczności to, że on ją znał, no, ale dużo podróżuje, mieszka niedaleko granicy włoskiej, niewątpliwie bywa we Włoszech często. Pewnie się poznali na jakimś towarzyskim zebraniu — bo rozpoznał ją natychmiast i ta fotografia kompletnie go zaabsorbowała.

I właśnie tak byłoby z nim zawsze. Zgłupiałam do reszty, pozwalając sobie na marzenia nie mające żadnych podstaw w rzeczywistości.

Grand'mère ma rację. Co by mnie czekało? Parę tygodni szczęścia i on by znalazł preteksty —

bardzo rycerski, oczywiście, bardzo uprzejmy — żeby wyruszyć na następny podbój.

Nie widziałam go przez cztery dni. Dlaczego nie przychodzi? Powiedział, że przyjdzie do mnie... A tu nic. Trzeba o nim zapomnieć. Ale czy to możliwe?

Coś mnie opętało. Musiałam się z nim zobaczyć. Musiałam mu powiedzieć, że jestem urażona, bo nie przyszedł, nie dotrzymał słowa. Upokarzające wyznanie, cóż kiedy nie mogłam się powstrzymać. Musiałam wiedzieć.

Zapadał zmrok. Włożyłam kostium spacerowy i wyszłam z domu. Hotel Parkowy był niedaleko. Wsunęłam się przez wahadłowe drzwi i podeszłam do kontuaru recepcji.

— Służę pani — powiedział portier.

— Czy jest le Comte de Carsonne?

Portier patrzył na mnie ze zdumieniem.

— Proszę pani, le Comte wyjechał parę dni temu.

— Och — powiedziałam słabo. — Ach, tak.

Zajrzał do książki gości.

— Czternastego po południu.

Tego samego dnia, kiedy był u mnie. Zabrał fotografię i wyjechał. Z powrotem do Francji...

nawet mi nie powiedział, że wyjeżdża. Po wizycie u mnie wrócił prosto do hotelu już planując wyjazd.

Byłam rozpaczliwie nieszczęśliwa.

Typowe dla niego, mówiłam sobie gniewnie. Ale gniew nie pomagał w tym zagubieniu, w tej dezorientacji. Chmury niepokoju wiszące nade mną od tak dawna, teraz osunęły się niżej, ciężkie, ołowiane. Nigdy dotąd nie czułam się tak beznadziejnie.

* * *

Napięcie wzrastało. Wytrzymywałam coraz więcej odwiedzin i pytań. Doznawałam wrażenia, że oni napierają. Zastanawiałam się, jak znosi to Drake.

W gazetach pojawiły się domysły. Czekano, żeby policja wydała oświadczenie.

Przypuszczałam, że to będzie wiadomość ó aresztowaniu kogoś. Czy tym kimś będzie Drake, mąż ofiary? Zwykle przy takich okazjach podejrzewa się mężów. Czy może Lenore Sallonger —

„tajemnicza wdowa”, jak mnie nazywano — ta słynna krawcowa, której mąż popełnił

samobójstwo? Byłam tym zmęczona... zmęczona tym wszystkim.

I tak dni mijały.

Wieczorem siedziałam z Grand'mère nie zawracając sobie głowy zapaleniem lampy gazowej.

Siedziałyśmy po ciemku, czasami trzymając się za ręce. Grand'mère też była przerażona i nieszczęśliwa jak nigdy dotąd w życiu.

Nie rozmawiałyśmy o tym zmartwieniu. Żadna z nas nie miała już nic więcej do powiedzenia.

Grand'mère wspominała przeszłość, opowiadała mi różne małe wydarzenia z mojego dzieciństwa i nagle głos jej się załamywał, nie mogła mówić dalej.

A ja błędziłam myślą we Francji. Myślałam o *le Comte*, zastanawiałam się, co on teraz robi i czy udało mu się znaleźć Maddalenę de Pucci. Usiłowałam wmawiać sobie, że tak najlepiej —

dowiedziałam się, jaki on jest, w samą porę, inaczej zrobiłabym z siebie idiotkę. Rozmyślanie o nim było tak bolesne, że starałam się myśleć o Drake'u.

Grand'mère, jak nieraz, czytała chyba w moich myślach.

— Kiedy już to wszystko się skończy... a skończy się na pewno — dodała stanowczo —

Drake będzie wolny. Z czasem...

— Nie chcę myśleć o tym, Grand'mère.

— Jeżeli terażniejszość staje się trudna do zniesienia, dobrze jest popatrzeć w przyszłość.

Zmartwienia nie trwają wiecznie. Za rok... To zacny człowiek, Lenore, a zacnych mężczyzn mało na świecie. On cię kocha. Wiem, że kocha. Postąpił popędliwie. Powinien był porozmawiać o swoim podejrzeniu, dowiedziałby się, że to twój ojciec. Głupio zrobił, ale nam wszystkim zdarza się robić głupstwa. *Mon Dieu*, biedak, zapłacił za swoją głupotę. Ale nadejdą czasy, kiedy będzie wolny... a wtedy.

— Grand'mère, proszę, nie mów o tym. Nie mogłabym wyjść za Drake'a.

— Bzdura, moje dziecko. On cię kocha. Będzie najlepszym z mężów. Tyle się nacierpiałaś, Philip był taki zacny... mogłaś być z nim taka szczęśliwa. Nie możesz już myśleć o le Comte. On niedobry dla ciebie, niedobry dla żadnej kobiety.

— Niczego nie jestem pewna, Grand'mère.

— Oczywiście. Zbyt blisko ciebie wlecze się ta cała sprawa. Ale się skończy... Drake będzie czekał... i to wszystko pójdzie w niepamięć jak zły sen.

Milczałam. Nie było sensu wyjaśniać Grand'mère moich uczuć, skoro nawet ja sama nie miałam co do nich pewności.

* * *

Nagle stał się cud.

„Nowy obrót sprawy Aldringhamów — głosiły nagłówki. — Policja poszukuje kobiety, która kilka razy odwiedzała ich dom. Przypuszcza się, że mogłaby pomóc w śledztwie”.

Potem przez dwa tygodnie nie było ani jednej wzmianki o tej sprawie.

Już nikt nie przychodził, żeby mnie dręczyć pytaniami. Nieomal wydawało się, że sprawę odłożono ad acta.

I nadszedł ten cudowny dzień, w którym *le Comte* znów przyjechał do Londynu. Przyszedł do sklepu i powiedział, że chce porozmawiać ze mną... na osobności.

Udało mu się uniknąć spotkania z Grand'mère. Ja, gdy się dowiedziałam, że on czeka w pokoju recepcyjnym, nie chciałam go przyjąć. Ośmielił się tu wrócić jak gdyby nigdy nic po takim nagłym wyjeździe bez słowa! Grand'mère ma rację, myślałam. Nie powinnam już się z nim widzieć. Ale oczywiście zeszłam na dół.

I oto znów on, układny, oczywiście, pocałował mnie w rękę z kurtuazją, którą zawsze tak mnie czarował.

Powiedziałam:

— A więc znówu pan jest w Londynie?

— Tak by się wydawało — odrzekł z błyskiem kpiny w oczach... jak nieraz gdyśmy się spotykali we Francji. Nikomu by na myśl nie przyszło, że on rozmawia z kobietą, którą może czeka oskarżenie o morderstwo.

— Ufam, że we Francji spędził pan czas przyjemnie.

— Ze wszech miar owocnie.

— Powiodło się panu w poszukiwaniach Maddaleny de Pucci?

— Jak najbardziej. Nawet nie przypuszczałem, że tak gładko mi to pójdzie.

— Moje gratulacje.

— Dość tego — uciął. — Mam pani coś do powiedzenia. Coś, co panią ogromnie zainteresuje.

— O panu i o tej damie?

— Istotnie, to jej dotyczy.

Pomyślałam. Och, nie. On jest po prostu okrutny. Wie, co ja do niego czuję. Bo ja przecież to zdradzam. A on dobrze zna się na kobietach. Po prostu chce mnie umęczyć. Najpierw Charles... teraz on.

— Dotyczy też i pani... w wielkiej mierze — ciągnął. — Więc może byśmy byli poważni. Bo to bardzo poważna sprawa.

— Dla pana i Maddaleny de Pucci. Nie mam zamiaru...

— To dotyczy pani także. Proszę usiąść tak, żebym panią widział. Napracowałem się dla pani.

Zasmucił mnie stan pani ducha... teraz też smuci zresztą. Zdecydowałem się więc postarać, żeby była pani znów taka jak dawniej. Wziąłem się do pracy. Przede wszystkim ta piękna Włoszka.

Mówiłem pani, że ją znam.

— Tak, wspominał pan o tym. Zabrał pan jej fotografię.

— Na tej fotografii jest i pani, czyż nie? No, proszę słuchać! Bardzo mi zależało na zobaczeniu się z tą osobą, bo ją znałem... ale nie jako Maddalenę de Pucci. To, jak już udowodniłem, nie było jej prawdziwe imię i nazwisko.

— Więc kim ona jest?

— Jest, można by powiedzieć, pani krewną. Nazywa się Adele St Allengère.

W osłupieniu zagapiłam się na niego.

— Rozumie pani, to było aż nazbyt przypadkowe. Ludzie nigdy nie są dostatecznie ostrożni.

Więc bywają małe potknięcia i w rezultacie wali się cały wielki plan. Wiedziała pani coś niecoś o życiu w Villers-Mûre i w Carsonne. My jesteśmy zapalczywi. Wie pani o wojnie pomiędzy moim rodem i rodem St Allengère. Vendetta. To słowo pospolite na tym pograniczu, bo mamy krewkich sąsiadów. Kochamy i nienawidzimy... tak samo gwałtownie. Wiele jeszcze musi pani się dowiedzieć. Zaczęło mi się składać to wszystko, kiedy pani o tym opowiedziała. Ja nie chcę patrzeć na panią taką nieszczęśliwą, żyjącą w cieniu podejrzeń, i to zapewne już do końca życia, więc postanowiłem na własną rękę zgłębić tę tajemnicę. Zresztą mnie to zaintrygowało.

Złożyłem zeznanie francuskiej policji i oni skontaktowali się z policją tutejszą. Wkrótce tajemnica przestanie być tajemnicą, ale chciałbym, żeby pani dowiedziała się pierwsza.

— Trzyma mnie pan w niepewności.

— To się pani należy za te domysły, że wyjechałem, żeby szukać pięknej Włoszki. Pani w to wierzyła, czyż nie? I to była prawda. Ale nie z tego powodu, który pani sobie uroiła. Panią do głębi to uraziło.

— Proszę, niechże mi pan powie. O co chodzi w tym wszystkim?

— O vendettę i jest pewien niegodziwy starzec, teraz już wzięty w karby. Miała pani rację.

Pojechałem do Francji, żeby szukać Adele St Allengère. Postawiłem sobie cel: tę całą historię muszę usłyszeć prosto z jej ust. Nie nastęczyło mi to szczególnej fadygi. Zatrudniam dużo ludzi.

Jak pani mówiłem, jesteśmy w naszym zakątku świata feudalni. Moje słowo jest prawem i jeżeli powiem: „Odnajdźcie Adele St Allengère”, na pewno ją odnajdą.

— Ale wciąż jeszcze nie widzę związku.

— Bo ja niedobrze opowiadam. Więc zacznę od początku. Dwaj bracia za życia swego ojca przyjechali do Francji. Starszy to był Charles, młodszy to był Philip, późniejszy pani mąż.

Przyjechali do Villers-Mûre przyjęci tam jako dalecy krewni... z tej hugenockiej gałęzi drzewa genealogicznego. Starzec... surowy fanatyk nie był z tego zadowolony... a owo niezadowolenie St Allengère'ów katolików z hugenockich krewniaków zaczęło się już przed trzystu laty. No, ale ci dwaj należeli do rodziny, i co więcej, chciał wiedzieć, jak postępuje przemysł jedwabniczy w Anglii. Więc przyjął ich pod swój dach. Stwierdził, że tym, który interesuje się jedwabnictwem, jest Philip. Charlesa uznał za nicponia.

Otóż pewna grupa pracowników starego opracowywała od jakiegoś czasu specjalny rodzaj jedwabiu, inny od wszystkich dotąd tkanych. Jeden z tych ludzi zalecał się do jego wnuczki, Heloise, więc ona wiedziała, co się dzieje, tym bardziej że miała dzięki swojemu adoratorowi dostęp do działu, gdzie prowadzono te prace badawcze. Oczywiście, gdyby wiedziano o tym, zakazano by jej tam wchodzić. Charles Sallonger był bardzo sympatycznym młodym człowiekiem, przystojnym, w dodatku innym niż wszyscy, których Heloise przedtem знаła.

Zakochała się w Charlesie. Najwidoczniej rozmawiała z nim o tych tajnych pracach i on wymógł na niej, żeby mu pokazała ten przepis. Biedna, trawiona miłością dziewczyna zrobiła to. Potem...

ci dwaj bracia wyjechali. Heloise zdała sobie sprawę, że... jak to się pięknie mówi... złożyła siebie w ofierze kobieciarzowi. I ponadto zdradziła mu rodzinny sekret St Allengère'ów.

Wkrótce potem Anglik wypuścił ich niezwykły jedwab na rynek i twierdził, że jego zasługą jest wynalezienie sposobu wytwarzania tej tkaniny. Na wiadomość o tym w domu St Allengère'ów zrobiło się zamieszanie. Heloise nie mogła znieść hańby: wszakże sprzeniewierzyła się rodzinie, i to dla kogo, dla zdradzieckiego uwodziciela! Utopiła się w rzece, która kręto płynie przez teren ich posiadłości. Zostawiła list z przyznaniem się do winy, pominęła jednak imię swego ukochanego. Ponieważ Charles najwyraźniej wcale nie interesował się jedwabnictwem, naturalnie wypłynął wniosek, że złodziejem i zdrajcą był Philip. Pani już trochę wie, jaki jest ten starzec. Musiał się zemścić. Zabrał się do dzieła.

— Więc Philipa mieli zabić...

— Tak. Pierwszy zamach się nie udał... ta sprawa z Włochem, Lorenzem. Przewrócona karetka była pretekstem, żeby dostać się do waszego domu. Adele ze swoją służącą wykradły strzelbę ze zbrojowni. Jeden z najętych zbirów Alphonse'a zwabił Philipa do puszczy i zastrzelił go. I upozorował samobójstwo.

— To wszystko staje się okropnie jasne.

— No, a po latach, niedawno okazało się, że winowajcą był Charles.

— Wiem! — wykrzyknęłam. — Powiedziałam to René na cmentarzu.

— Więc stary zdecydował, że Charles musi ponieść pełną karę! Znowu wyprawił Adele do Anglii. Patrząc od jej strony, miała pecha, pożar nie poskutkował, bo lokaj wrócił

nieprzewidzianie wcześniej. Musiała spróbować jeszcze raz.

— Zatręła wino. Ale skąd pewnoř, że tak było?

— Usłyszałem to z ust samej Adele.

— Dlaczego ona panu powiedziała?

— Od razu rozpoznałem ją na tej fotografii. Domyśliłem się, że ona tu coś knuje.

Zaintrygowała mnie historia nieszczęsnego Lorenza i uderzyło mnie to, że pani mąż umarł wkrótce po wizycie Adele. Potem oczywiście Charles był zagrożony dwa razy po jej wizytach.

Znam sposoby St Allengère'ów. Wiedziałem, że jej obecność oznacza coś niedobrego.

— Ale pan nie ma dowodów.

— Mam. Mam zeznanie Adele na piśmie.

— Ona panu je dała?

— Jestem bardzo zdeterminowany, kiedy już zdecyduję się na jakieś działanie. Byłem pewny, że St Allengère'owie maczali w tym palce. Tak właśnie ten stary by to opracował. Nie będę nazbyt skromny. My, de La Tour, od lat rządzymy okolicą. W dawnych czasach byliśmy wszechmocni. Czasy się zmieniły, ale obyczaj pozostaje. Chciałem, żeby sprowadzono do mnie Adele, i stało się mojemu życzeniu zadość.

— To znaczy, uwięził ją pan?

— Tak. Żądałem od niej prawdy. Udawałem, że wiem o wiele więcej, niż wiedziałem. I w czasie kiedy ją, że tak powiem, gościłem w moim *château*, odwiedziłem starego. — Oczy mu rozbłysły. — Wielkie dla mnie wydarzenie. Twarzą w twarz z tym samym starym łotrem.

Byliśmy dwoma tytanami... chociaż pani niewątpliwie uważa, że brak mi skromności. Ale ja wywodzę się z długiej linii rządzących comtes, a on jest głową St Allengère'ów, którzy mają iście królewską władzę na swoim małym obszarze. Villers-Mûre jest jak małe państwo w większym państwie Carsonne... jak Burgundia we Francji swego czasu. To jeden z powodów, dla których on nie cierpi mojej rodziny. Zawsze zdecydowanie baczyliśmy, żeby nie wykraczał

poza swój teren.

— Więc rozkoszował się pan tą konfrontacją.

— Właśnie. On zaniemówił z wściekłości. Oskarżyłem go o morderstwo. Powiedziałem, że zgrzeszył przeciwko jednemu z dziesięciu przykazań... najważniejszemu. Zaprzedał duszę za vendettę.

Wyjaśniłem, że Philip nie zawinił, a on ponosi pełną odpowiedzialność za śmierć człowieka Bogu ducha winnego. Zabójcy tylko działali na jego rozkaz, więc to on sam będzie musiał z tym grzechem

stanać przed swoim Stwórcą. Wrzasnął, że ci dwaj Sallongerowie byli gośćmi w jego domu i jeden z nich za gościnność odwdzieczył mu się kradzieżą ważnego osiągnięcia i uwiedzeniem jego wnuczki. Bóg sprawiedliwy nazwie to sprawiedliwością.

Francuzi dokładnie opracowali swój złotodajny projekt, a perfidny Anglik ukradł ten sekret, posługując się panną domu St Allengère'ów, którą w tym celu uwiodł. A zatem kara się należała.

Tu musiałem przyznać staremu rację. Bo les Comtes de Carsonne też ścigaliby takiego sprzeniewiercę.

— „Ale — zwróciłem mu uwagę — zabił pan niewinnego i będzie pan musiał odpowiadać przed Bogiem”.

On nie chciał w to uwierzyć, dopóki mu nie powiedziałem, że Adele wszystko mi wyznała.

Zaczął wrzeszczeć, ubliżać mi, zarzucać, że uwiodłem Adele. To dziwne, człowiek niezdolny do miłości, dopatruje się właśnie miłości we wszystkim, co się dzieje. Zostawiłem go rozwścieczonego, ale był też przerażony. Twarz mu zszarzała na myśl o pomście niebios. Już on widzi płomienie piekła zamiast nagrody za to, co nazywał swoim cnotliwym żywotem. Popełnił

przecież ten najcięższy grzech... morderstwo.

Le Comte umilkł i widziałam, że wielką przyjemność mu sprawiła ta rozmowa z moim dziadkiem. Po chwili mówił dalej:

— Potem w nocy zachorował. Dostał udaru. Skutek wstrząsu największego chyba w jego życiu. Żył zgodnie ze swymi zasadami, święcie wierzył, że jest prawy. Za grzech trzeba zapłacić, a on się czuł sędzią nas wszystkich... niejako namiestnikiem bożym, jedynym sprawiedliwym.

Wyobrażał sobie swojego Boga Zemsty z chórem niebiańskim śpiewającym na chwałę prawego Alphonse'a St Allengere... i ogień piekielny dla nas. Ale oto popełnił grzech śmiertelny.

Spowodował śmierć niewinnego. Ugody nie będzie. Chociaż żył dotychczas w cnocie, unieszczęśliwiającej tysiące ludzi, ale nieposzlakowanej, znalazł się wśród grzeszników. Tego znieść nie mógł. Może by z brzemieniem grzechu umarł, walczy jednak rozpaczliwie, żeby odzyskać swoją dawną pozycję u Wszechmocnego. Dałem mu przecież do zrozumienia, że spodziewamy się odpokutowania. Zmiana, jaka w nim nastąpiła, jest po prostu cudem.

— Pan się tym napawa.

— Oczywiście. To jest ta sprawiedliwość, w którą on zawsze wierzył. Wykorzystamy jego obawy jak najlepiej. On musi przyjąć pełną odpowiedzialność za to, co się stało: za śmierć pani męża... za śmierć Julii Aldringham. Jest odpowiedzialny. Ci, którzy popełnili te zbrodnie, to tylko jego marionetki.

— Czy to ich oczyści?

— Niezupełnie. Ale na pewno zostaną potraktowani miłosiernie. Nie wiem, co będzie... czy Adele przywiozą do Anglii na proces, czy nie. Chyba tak. Czy będą nalegać, żeby stary wyjawiał

nazwisko tego, który zastrzelił pani męża... nie potrafię powiedzieć. Wiem tylko, że taka była ta historia i że pani już nie jest podejrzana... i pan Drake Aldringham też wolny od podejrzeń.

Wasza policja już wie o tym. Może cała ta sprawa zostanie podana do wiadomości publicznej, może nie. Niewykluczone, że pozwolą ujawnić pewne szczegóły, ale sami je do ujawnienia wybiorą. Co do monsieur Charlesa, to on może mieć kłopoty. Firma St Aflengère mogłaby wnieść sprawę o kradzież wzoru i wtedy poniósłby klęskę finansową... zrujnowałoby go wielkie odszkodowanie, i tak dalej. Któż może wiedzieć na tym etapie? Ale nie będzie to więcej, niż on sobie zasłużył, bo sam swoim postępkami zapoczątkował ten szereg morderstw. To doprawdy nie nasze zmartwienie. Czy już jest pani dzięki mnie szczęśliwa?

— Jestem po prostu oszołomiona. Nie wiem, w co wierzyć.

— Czyżby wątpiła pani o mojej prawdomówności?

— Oczywiście że nie, ale to oszałamiające dowiedzieć się tyle w tak krótkim czasie.

— Opowieść o tym trwała krótko, ale długo to się rozgrywało. Więc jest mi pani bardzo wdzięczna, no, nie?

— Jeżeli to wszystko prawda...

— Czy pani nie powiedziałem?

— Tak... tak... ale...

— No więc?

— Nie wiem, jak panu dziękować za ten cały trud, który pan sobie zadał...

— Powiem pani, jak.

Patrzyłam na niego pytająco.

— Wkrótce — dodał — nawet pokażę pani.

Pomyślałam o Grand'mère i jej przestroгах.

— Chcę powtórzyć mojej babci — powiedziałam — to, co pan mówił. Ona strasznie się niepokoi. Powinnam to zrobić zaraz.

— Tak, powinna pani powiedzieć temu zacnemu smokowi. Powiedzieć, co ja wykryłem.

Wiem, ona zionie ogniem, ilekroć słyszy moje nazwisko. Byłoby przyjemnie, gdyby nie patrzyła na

mnie z taką gwałtowną niechęcią. Proszę jej wszystko powtórzyć. Niech wie, że już jest po kłopotcie.

— Muszę pójść do niej zaraz.

— Dobrze, skoro pani tak chce. Jutro część tego, o czym, mówiłem, zostanie potwierdzona i znów przyjdę do pani. Wyobrażam sobie te nagłówki: „Jedwabna zemsta”... cóż za kąsek dla prasy. A więc *au revoir*, madame Sallonger, do jutra.

* * *

Grand'mère nie dowierzała.

— Ty w to wierzysz? — zapytała.

— Zapewnił mnie, że to prawda. Ma zeznanie Adele. Wszystko pasuje.

— Może to opowiada, żeby cię zwieść?

— A po cóż miałby mnie zwodzić?

— Nie zapominaj, że wychowałam się w cieniu jego rodziny. Już ja znam tych de La Tour...

wszystkich. W dawnych czasach często wojowali z królami Francji. Rządzili na swojej ziemi despotycznie jak królowie. Jeżeli czegoś chcieli, uważali, że mają prawo to wziąć. A twój dziadek to jeszcze jeden z takiego gatunku. Bezwzględny, żądny zemsty, zmienia ludzi w morderców, żeby osiągać swoje cele. Jeżeli prawdą jest to, co mi mówisz...

— Grand'mère, czuję, że na pewno.

— Tak więc ty i Drake jesteście wolni. On... le Comte wie o tym. Dlaczego się tym zajął?

Przecież wie o tobie i Drake'u...

— Chciał, żeby sprawiedliwości stało się zadość.

— Ci de La Tour zawsze mieli jeden, jedyny cel na względzie... własne dobro. On widocznie jest bardzo tobą zainteresowany.

— Myślę, że zaintrygowała go fotografia Adele. Chciał się dowiedzieć, dlaczego Adele występuje pod przybranym nazwiskiem.

Popatrzyła na mnie bystro.

— Drake Aldringham to mężczyzna dla ciebie — rzekła stanowczo.

— Po tym wszystkim uważam, że nie moglibyśmy być razem. Może on też tak uważa.

— Nie, nie. On cię kocha. Da ci wszystko, żebyś była szczęśliwa. To zacy człowiek... godny

zaufania. Jego zawsze mogłabyś być pewna. Najlepsza rzecz w życiu to spokój ducha. On by ci to dawał.

Czy rzeczywiście? — zastanawiałam się. Gdybym wyszła za Drake'a, zawsze bym czuła, że częśćka mnie jest w Carsonne. Le Comte rzucił na mnie urok, już nic nigdy nie będzie jak dawniej.

— Wiem, Grand'mère, że poniekąd masz rację — powiedziałam.

— Więc bądź rozsądna.

— To nie byłoby w porządku wobec Drake'a.

— Powiedz mi prawdę. Chyba zawsze potrafiłaś być ze mną szczerą. Zadurzyłaś się w Gastonie de La Tour. On ci się wydaje potężny, silny i... podniecający, romantyczny, przypuszczam. Znam jego reputację. Taka sama jak kolejnych jego przodków. To nigdy nie byli wierni małżonkowie. Zresztą on by się nigdy z tobą nie ożenił. Ci de La Tour zawsze żenili się z wysoko urodzonymi, jak oni. I znudziłabyś mu się raz-dwa. Takie już oni prowadzą życie. Od stuleci żyją jak feudalni królowie... monarchowie na swojej ziemi, chociaż już nie w całej Francji. Otrząśnij się z tych marzeń. Drake czeka na ciebie. Znam się na zacnych ludziach. Więc mówię ci: Drake Aldringham jest zacny.

Milczałam. Rozsądek mi powiedział, że Grand'mère ma rację.

* * *

Tegoż samego dnia wiadomość się rozeszła. Tajemnica przestała być tajemnicą. „Jedwabna zemsta” głosiły nagłówki gazet.

„Zadawniona wojna między dwiema gałęziami rodu. Historia jedwabiu Sallon, który powinien być jedwabiem St Allengère”.

Były domysły. Manufaktura Sallongerów popadnie w tarapaty. To ją zniszczy. Manufaktura francuska zażąda rujnująco wysokiego odszkodowania. Ale przede wszystkim interesowano się wyjaśnieniem tajemnicy.

Drake złożył mi wizytę. Bałam się rozmowy z nim.

Ujął mnie za obie ręce i patrzył żarliwie. Wyglądał tak, jakby został nagle uwolniony od ciężkiego brzemienia.

— Lenore, czuję się wolny — powiedział. — Jeszcze nie mogę do tego przywyknąć.

Ale ja nie byłam wolna. Złapałam się w pajęczynę bez możliwości ucieczki — w pajęczynę, którą mnie osnuł Gaston de La Tour. Wiedziałam, że to głupie. Wiedziałam, że spokojne, pełne godności życie może mnie czekać z Drake'iem — ale zawsze myślami będę w Carsonne.

Drake mówił.

— To dla nas znaczy tak wiele, Lenore.

Milczałam. Nie mogłam spojrzeć mu w oczy.

— Nie chcesz wyjść za mnie, prawda? — powiedział. — Czy to le Comte? Zadał sobie sporo trudu. Wyjdiesz za niego?

— Za niego! On nigdy o niczym takim nawet nie napomykał. Drake, przykro mi, bardzo cię lubię, ale mam wrażenie, że to by nie było słuszne. Jedną pomyłkę już popełniłeś. Nie możesz popełnić drugiej.

— Ż tobą, Lenore, na pewno mógłbym stawić czoło wszystkiemu. Po tej sprawie nie będzie łatwo. Człowiek nawet niewinny nigdy nie jest akceptowany w pełni. Może jednak zmienisz decyzję.

— Drake, proszę, zrozum.

— Naprawdę rozumiem. Wiem, że mielibyśmy dobre życie we dwoje.

— Ludzie zawsze będą pamiętać, że posądzono nas o romans za życia Julii. Zawsze będą w to wierzyć. To by szkodziło twojej karierze.

— Moglibyśmy to naprawić. Moglibyśmy walczyć we dwoje. Ja bym odzyskał wszystko, co utraciłem... gdybyśmy tylko byli razem.

Przytaknęłam. Pomyślałam, że może... kto wie?

* * *

Nazajutrz złożył mi wizytę le Comte. Pocałował mnie w rękę, patrząc z tą miną na pół kpiącą, którą tak dobrze znałam.

— A więc — powiedział — nowina poszła w świat. Ekscytująca lektura. Cały Londyn czyta o jedwabnej zemście. Jakie to uczucie być jedną z głównych postaci w tej historii?

— Żenujące.

— Niech mi pani wierzy, ludzie za parę tygodni nie będą o tym pamiętać. Coś innego wypłynie i patrzcie wszyscy!... Sallongerowie, a kto to taki? Tylko nie skończy się ta sprawa dla monsieur Charlesa, oczywiście. On będzie musiał zapłacić dosyć słono za swoje grzechy, o tym jestem przekonany. Ale dlaczego my mielibyśmy martwić się o tego gentlemana? Przyszedłem, żeby panią zawiadomić, że zdecydowałem się na ożenek. Tak sobie pomyślałem, że pani pierwsza powinna o tym się dowiedzieć.

Miałam nadzieję, że nie okazuję tego, co czuję. Spadłam na dno nieszczęścia. Powinnam była przewidzieć — rzecz jasna. To z pewnością jakaś Francuzka ze starej arystokracji... dama z rodu, który przetrwał całopalenie w czasach rewolucji, tak jak jego ród.

— Właśnie — ciągnął le Comte — Raoul był bardzo chory. Omal nie umarł jesienią. Dało mi to dużo

do myślenia. Przedtem uważałem, że już zrobiłem swoje, postarałem się o dziedzica. Ale ród potrzebuje więcej niż jednego... życie jest takie niepewne.

— Rozumiem. Więc zdecydował się pan teraz ożenić ponownie.

Przytaknął.

— Zawsze w naszej rodzinie mieliśmy małżeństwa z rozsądku. Nasza powinność. *Noblesse oblige* i tak dalej. No więc teraz czas na mnie, żebym zawarł taki mariaż. Tylko muszę przedtem poradzić się pani.

— Dlaczego?

— Dlatego, że to pani dotyczy, oczywiście.

Objął mnie ramieniem i przyciągnął do siebie.

— Zawsze chodziło mi przede wszystkim o to, co odpowiada mnie... a ten mariaż odpowiadałby mi jak najbardziej. Co pani powie? Zrezygnowałaby pani ze swoich wielkich interesów, żeby zostać la comtesse de La Tour? Mogłaby pani zmienić swój styl życia krawiecki na feudalny? Nie da mi pani kosza? Ostrzegam zawczasu. Przynależem Raoulowi, że będzie niedługo mógł się cieszyć towarzystwem rozkosznej mademoiselle Katie dzień w dzień. Co pani na to?

— Pan mi się...

— A jakąż inną odpowiadałaby moim wymaganiom, jeśli nie ta, która wzbudziła we mnie uczucia dotychczas mi nie znane? Tym uczuciem jest, przypuszczam, miłość.

Fale przeogromnej radości o mało mnie nie powaliły. Ale pomyślałam: to nie może być naprawdę.

— Kochana moja — powiedział on — nie wydajesz się nadmiernie ucieszona.

— Tak bardzo się ucieszyłam, że odczuwam tylko wstrząs.

— A więc zgoda?

— Pan... pan na pewno się zdecydował.

— Jak dogłębnie pani mnie zna! Przecież bym nie dopuścił do odmowy. Zawsze dobrze jest rozumieć mężczyznę, którego ma się poślubić.

Położyłam głowę na jego piersi, wprost tonąc w uszczęśliwieniu.

— Zaczaj Grand'mère trzeba zawiadomić — powiedział. — *Le château* jest ogromny.

Znajdzie się dużo miejsca dla niej. Bo ona powinna być z tobą. Wiem, ile dla ciebie znaczy. Poza tym, zważywszy, że nie jestem faworytem tej groźnej pani, wprost nie mogę się doczekać utarczek z

nią. Mamy tylko pod jednym względem coś wspólnego, ona i ja, ale to jest dla nas najważniejsza rzecz na świecie — nasza miła Lenore. Babcia stanie na głowie, żeby cię odwieść od tego małżeństwa, wiesz.

— Wiem.

— Powie ci, że robisz straszny błąd. Że powinnaś wyjść za cnotliwego Drake’a. Że będziesz miała życie zupełnie inne niż wszystko, co dotychczas znałaś, z tym mężczyzną, którego ona ci nie wybrała. I co ty na to, Lenore?

— Powiem, że tam właśnie chcę pojechać... i że to, co tam znajdę, będzie tym, co mi jest sądzone.

— Właśnie tyle miałem nadzieję usłyszeć — powiedział. — Więc pójdźmy teraz razem do tego smoka.